



Ed

McDonald

Upadek  
wron

Znak Kruka

księga

III

# Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Podziękowania

Czarnoskrzydły i Zew kruka: Co się wydarzyło dotychczas

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Ed  
McDonald  
Upadek  
wron

Znak Kruka III  
księga

Przełożył Robert Waliś

Wydawnictwo MAG  
Warszawa 2020

Tytuł oryginału: *Crowfall – Book Three of the Raven’s Mark*

Copyright © 2019 by Ed McDonald

Copyright for the Polish translation © 2018 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Sylwia Sandowska-Dobija

Korekta: Magdalena Górnicka

Ilustracja na okładce: Dark Crayon

Opracowanie graficzne okładki: Piotr Chyliński

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-7480-583-4

Wydanie II

Wydawca: Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel./fax 225 194 743

[www.mag.com.pl](http://www.mag.com.pl)

Wyłączny dystrybutor:

Dressler Dublin sp. z o. o.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 227 335 010

[www.dressler.com.pl](http://www.dressler.com.pl)

Skład wersji elektronicznej:

[pan@drewnianyrower.com](mailto:pan@drewnianyrower.com)

*Dedykuję mamie i tacie.*

# Podziękowania

Kiedy wydasz książkę, zazwyczaj przypisują ci wszystkie zasługi, ale każda powieść to owoc pracy całego zespołu. Dlatego serdeczne podziękowania otrzymują:

Moi redaktorzy Gillian Redfearn, Jessica Wade i Craig Leyenaar za bezcenne uwagi dotyczące rozwoju fabuły, twórcze burze mózgów oraz pomoc w skupieniu na pracy, gdy dopadały mnie syndrom oszusta lub całkowite zamroczenie.

Mój agent Ian Drury, któremu jestem ogromnie wdzięczny za okazane zaufanie i rzucenie mnie na złamanie karku w głąb króliczej nory.

Ludzie ciężko pracujący za kulisami, zwłaszcza Miranda Hill, Stevie Finegan, Alexis Nixon, Jen McMenemy i wszyscy inni, którzy pomagają rozwijać ten cykl.

Gaia Banks i Alba Arnau z Sheil Land za ich niezwykle wysiłki w celu przełożenia moich książek na coraz większą liczbę języków.

Wszyscy w londyńskiej Akademii Longsword, z którymi trenowałem i odbywałem sparingi w ciągu ostatnich czterech lat. Byliście fantastycznymi celami, na których mogłem wypróbować sceny walk.

Andy Stoter, który nazwał swój pierwszy mówiący młot bojowy +3 „Łyżką” i razem ze mną wiódł życie na tuzin sposobów w światach naszej wyobraźni.

Moi dziadkowie, Mollie i Leslie.

Kit, Ben, Greg i Henry, pierwsi czytelnicy tekstu, który ostatecznie stał się *Czarnoskrzydłym*.

Dziękuję wreszcie swojej mamie, która od zawsze rozbudzała we mnie pragnienie wymyślania i opowiadania historii, oraz tacie, który włożył mi do ręki mój pierwszy drewniany miecz, gdy miałem

trzy latka. Moja obsesja na punkcie goblinów i smoków być może czasami was zastanawiała, ale to wy jesteście za wszystko odpowiedzialni.



# Czarnoskrzydły i Zew kruka: Co się wydarzyło dotychczas

Bezimienni i Królowie Głębi od niepamiętnych czasów toczą wojnę. Królowie Głębi pragną zniewolić ludzkość i zmienić ją w roboli – bezwolne, zdeformowane stwory, które oddają im cześć. Bezimienni, okrutni i mający na uwadze jedynie końcowy triumf, stoją im na drodze.

Minęło dziewięćdziesiąt lat, odkąd Wronia Stopa użył Serca Pustki przeciwko nadchodzącym siłom wroga, tworząc Nieszczęście – skażone mistyczne pustkowie, gdzie wędrują widma, zmutowane istoty szukają pożywienia pośród piasków, a odległość ani kierunek nie są tym, czym się wydają. Tę krainę potrafią przemierzać tylko wytrawni nawigatorzy kierujący się pozycją trzech księżyców.

Ryhalt Galharrow jest kapitanem Czarnoskrzydłych. Za sprawą czarów zmuszony do służenia Wroniej Stopie, jednemu z Bezimiennych, zajmuje się usuwaniem buntowników, zdrajców i szpiegów. Dzięki pomocy Elizabeth Tanzy – Przędzarki zdolnej przekształcać energię światła w magię i kobiety, którą kochał i utracił przed dwudziestu laty – Bezimienni zdołali zniszczyć jednego z Królów Głębi, Shavadę, i ocalić Valengrad. Elizabeth spłonęła podczas tego starcia, lecz jej duch został zesłany w głąb światła, gdzie trwał jako widmowa postać, którą od czasu do czasu widywano.

Cztery lata później powrócił dawny wróg – Saravor, przekształcający ciało czarownik, który kiedyś uleczył wojowniczkę Nenn. Saravor zamierzał napęłnić mocą Oko Shavady na szczycie Wielkiej Iglicy i wstąpić w szeregi Królów Głębi. Z pomocą ducha Elizabeth oraz Valiyi, szefowej wywiadu, Galharrow zdołał zapobiec

katastrofie. Podczas ostatecznej bitwy Nenn zginęła, a Shavadę stracił z dachu Wielkiej Iglicy potężny promień energii.

Chociaż miasto zostało ocalone, podopieczna Galharrowa, Amaira, przyjęła własny znak kruka i rozpoczęła służbę u Bezimiennego. Valiya, widząc, że uczucie łączące ją z Galharrowem przynosi im jedynie cierpienie, postanowiła odejść, co dla obojga okazało się bolesne.

Minęły lata.

Księżycy ustawiają się w jednej linii.

# 1

Rzuciłem się na piasek. Nie zauważyli mnie. Nie byłem pewien, ilu ich jest, ale wiedziałem, że będę musiał ich zabić całe mnóstwo.

– Jaki mamy plan? – spytała Nenn. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami na kamieniu i wyskubywała spomiędzy zębów włókna czarnosoku.

– Znikaj albo się przymknij – odrzekłem cicho. – Jak cię zobaczą, wszystko się posypie.

– Uczyłeś mnie, żeby nie walczyć, kiedy wróg ma przewagę liczebną – odparła Nenn. Znalazła kawałek chrzątki i rzuciła go na piasek, gdzie zniknął.

– Uczyłem cię, żebyś walczyła sprytnie – warknąłem. – Chociaż niewiele nam to dało.

Nenn przez chwilę się nad tym zastanawiała, a potem parsknęła pogardliwie.

– Przynajmniej dobrze się bawiliśmy.

– Czy choć raz możesz zrobić, co ci każę, i się, kurwa, zamknąć?

Podczołgałem się do przodu, żeby lepiej przyjrzeć się odludnemu, skalistemu terenowi u podnóża zbocza. Z czerwonego piasku wyrastały falujące brązowe liście, które bardziej przypominały wełnę niż rośliny. W Nieszczęściu wszystko się pomieszało, ale kępy fałszywej roślinności zapewniały mi osłonę. Wyjąłem lunetę i ją rozkręciłem, skupiając ostrość na oddziale przede mną. Szybko oszacowałem jego liczebność. Nie spodobał mi się ten wynik.

Oddział roboli i kolumna zapasowych wierzchowców oraz jucznych zwierząt zbliżali się z kierunku, który obecnie był wschodem. Ani Wielki Sojusz, ani robole nie wysyłali żołnierzy tak daleko w głąb Nieszczęścia – a przynajmniej nie robili tego jeszcze dwa miesiące temu – ponieważ tutejsza magia była gęsta, miękka

i plastyczna. Przyciągała potężne istoty, a może po prostu rodziły się tutaj, gdzie skażona energia naznaczyła nieruchome powietrze chemicznym smrodem. Pierwszy patrol, który się tutaj pojawił, mógł pobłądzić. Drugi podobnie. Trzeci mnie znalazł, a trzy patrole to zdecydowanie za dużo.

Naliczyłem trzydziestu roboi.

– Co zamierzasz? – spytała Nenn. Pomasowała się po brzuchu, jakby miała ochotę go rozciąć i sprawdzić, co kryje się pod skórą. Czasami to robiła i wcale nie było mi od tego niedobrze. Do wszystkiego można się przyzwyczaić, jeśli żyje się wystarczająco długo. Jestem na to żywym przykładem.

– Zrobię to, co zawsze – odpowiedziałem, chociaż Nenn nie mogła pamiętać. Duchy nie są w stanie się uczyć.

Wysunąłem rusznicę z płóciennego pokrowca. Chociaż sam jestem obszarpany i niechlujny, zawsze dbam o broń. Wyciągam ją, gdy chcę z niej skorzystać, i pakuję, gdy nie jest potrzebna. Odgryzłem końcówkę ładunku, wsypałem proch, ubiłem, splunąłem. Zostały mi tylko trzy pociski. Ile czasu minęło, odkąd uzupełniałem zapasy w mieście? Nie pamiętałem. Ale do tego, co obmyśliłem, wystarczył mi jeden strzał.

W skład patrolu wchodzili robole nowego typu. Te istoty przyjmowały rozmaite kształty i formy, od obrzmiałych Panien Młodych po wojowników o szarej, woskowej skórze, ale ci osobnicy byli niebieskawi i już prawie nie przypominali ludzi. Dzięki lunecie nawet z tej odległości widziałem ich twarze pozbawione rysów i gładkie lśniące ciała. Ich oczy miały postać dużych czarnych kul, a usta wąskich szparek. Nie mieli nosów. Jechali w ciasnej formacji na grzbietach kudłatych, masywnych i powolnych czworonożnych stworzeń, których jeszcze żaden dortmarcki uczonec nie nazwał. Sprowadzili je z jakiejś dalekiej podbitej krainy. Nazywałem je harkami z powodu odgłosów, jakie wydawały. Robole mieli ciężkie kusze i lance, solidne zbroje, ostrza i młoty. Byli dobrze wyposażeni.

No i na mnie polowali. Nie było tutaj niczego innego, czego mogliby szukać.

Przymocowałem lunetę do lufy rusznicy. Na świecie nie ma zbyt wielu lunet takich jak moja. Może ani jednej. Maldon nad nią popracował, dzięki czemu dostrajała się do odległości i odrzutu. Nie miałem pojęcia, jak to działa, ale z przeciętnego strzelca stałem się strzelcem wyborowym. Wyszukałem odpowiedni cel.

Przywódca był łatwy do zidentyfikowania. Nosił na muskularnych rękach więcej pasków modlitewnych niż pozostali. Obwiesił się całymi tuzinami, by zademonstrować swą wiarę w czerwieni i czerni. Twarz miał błękitną jak trup i równie pozbawioną wyrazu jak reszta, ale na jego napierśniku widniał wytłoczony wzór. Pieczęć Króla Głębi Acradiusa, piętno niewolnika noszone jak medal. Ustawiłem celownik między jego oczami i podążałem za każdym jego ruchem. Mógłbym go zabić, ale wtedy ktoś inny zająłby jego miejsce, a ja miałem tylko jeden strzał. Musiałem go dobrze wykorzystać.

Znalazłem swój cel w środku powłóczącej nogami kolumny. Był węższy od otaczających go wojowników i inaczej ubrany. Wciąż pozostała w nim część człowieczeństwa, dostrzegalna w nosie, ustach, włosach. Miał na sobie postarzaną, obficie zdobioną zbroję z brązu, oznakę szacunku swojego pana. Nie byłem pewien, czy moja rusznica da radę przebić pancerz z tej odległości. Zapewne był najmniej niebezpieczny z całej kolumny, ale to jego śmierć mogła coś zmienić. Wyróżniał go niesiony przyrząd: astrolabium do nawigacji lunarnej. Płatanina mosiężnych kólek oraz grubych i cienkich soczewek. Był nawigatorem, który odczytywał położenie księżyców, jedynych obiektów w Nieszczęściu na tyle stabilnych, by móc na ich podstawie wyznaczać kurs.

– Masz tylko jeden strzał – ostrzegła mnie Nenn. – Usłyszają go.

– Dzięki. Nie przyszło mi to do głowy – odparłem. – A zresztą co cię to obchodzi?

Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

Nie znosiłem ducha Nenn. Wiedziałem, że nie jest prawdziwy, ale reagowałem na niego tak, jakby był kobietą, którą znałem. To też mi się nie podobało.

Podpaliłem lont i przygotowałem się do zapalenia prochu na panewce. Powitała mnie znajoma ostra woń, moja dobra przyjaciółka. Zaciągnąłem się nią. Już prawie nie zauważałem cierpkiego smrodu Nieszczęścia. Zdołałem się do niego przyzwyczaić dzięki upływowi czasu. A upłynęło go sporo, bo aż sześć lat.

– Myślisz, że przyjdą cię zabić, kiedy wystrzelisz? – spytała Nenn.

– Spróbują.

Wziąłem nawigatora na cel. Rozważałem wpakowanie mu ołowianej kulki w głowę, ale robole mieli grube czaszki i nie każdy strzał okazywał się śmiertelny. Miałem lepszy pomysł. Kropla potu spłynęła mi po policzku. Powoli wypuściłem całe powietrze z płuc i wsłuchałem się w bicie swojego serca.

Spust szczęknął, proch zapłonął, broń ryknęła, a mosiężne astrolabium w dłoniach nawigatora rozpadło się na kawałki poskręcane metalu i okruchy szkła. Pocisk pomknął dalej, wbił się w brązowy napierśnik i wyrwał dziurę po drugiej stronie. Juczne zwierzęta zaryczały, a roztrzaskane mosiężne pokrętła, obręcze i pręciki posypały się z kurczowo zaciśniętych palców, gdy nawigator runął z siodła.

Wszyscy już byli martwi, zupełnie jakbym każdemu z nich strzelił w głowę. Jedynym, bez czego nie poradzisz sobie w Nieszczęściu, jest nawigator. Bezkresne piaski, wirująca igła kompasu, punkty orientacyjne, które potrafią ożyć i przenieść się w inne miejsce. Tak głęboko w Nieszczęściu robole mieli równie wielkie szanse na powrót do Dhojary jak ja na wygranie konkursu piękności.

– A jeśli zabrali drugiego nawigatora? – spytała Nenn.

Wycelowałem w powalonego robola, ale pozostali natychmiast go otoczyli i osłonili swoimi ciałami.

– Nigdy tego nie robią – odrzekłem. – Nie wiem, do jakiego gatunku należą ci niebiescy, ale bez niego nie znajdą drogi powrotnej. Tylko popatrz na kapitana. Właśnie sobie uświadomił, że ma przejebane. – Zerknąłem w prawo, ale Nenn pojawiła się po mojej lewej stronie. Odwzajemniła mój dziki uśmiech.

Robole się nie uśmiechali. Podnieśli wściekły żałobny lament i dobyli broni. Mieli zdobione zbroje z wygrawerowanymi

modlitwami uwielbienia dla swoich boskich Królów, owinięte powiewającymi wstęgami, które niosły ich prośby z wiatrem. Wyglądało na to, że żaden z nich nie modlił się wystarczająco intensywnie.

– Na pewno dobrze to przemyślałeś? – spytała Nenn.

– Zawsze o to pytasz.

– Jak zamierzasz ich wszystkich zabić?

– Nie będę musiał.

Robole już mnie zauważyli; pozbawione wyrazu białe twarze i bursztynowe oczy skupiły się na dymie unoszącym się z lufy. Wiedzieli, że z tej odległości nie mają szans trafić mnie z kuszy, a poza tym byłem sam. Wstałem, żeby mogli mi się lepiej przyjrzeć, i zacząłem przeładowywać rusznicę. Oddarłem róg z kolejnego ładunku prochowego i wsunąłem do lufy następną kulę.

Robole spięli rogate wierzchowce i harki ruszyły chwiejnym krokiem w górę zbocza, dudniąc kopytami o żwir i piach. Wojownicy byli wściekli i zaskoczeni, a takie połączenie skłania zarówno potwory, jak i ludzi do głupich zachowań.

– Kiepskie szanse – zauważył duch Nenn.

Pokręciłem głową. Szarżujący robole już byli martwi, chociaż jeszcze tego nie rozumieli. Zacisnąłem zęby i otarłem pot z czoła. Byłem pewny siebie i miałem plan, lecz paskudne plany mają w zwyczaju obracać się przeciwko swoim autorom.

– No dalej, dranie – warknąłem. – Chodźcie po mnie. – Zerknąłem przez lunetę, która usłużnie dostosowywała się do kurczącej się odległości, gdy wierzchowce roboli gnały w górę zbocza, mieląc piach pod kopytami. Jeździec na czele krzywił się, a z jego pozbawionych warg ust wydobywało się monotonne brzęczenie. Trzymał nad głową zakrzywione ostrze. Moja rusznica plunęła dymem i ogniem, a tył czaszki robola wybuchł, obryzgując kolejne jednostki kawałkami mózgu i kości, zanim ciało spadło z siodła.

To było marnotrawstwo kuli i prochu. Nie musiałem go zabijać, ale kiedy robole znaleźli się pod ostrzałem, zaczęli mocniej okładać wierzchowce. Ryczeli z wściekłości i chęci pocucia czegokolwiek poza osaczającą ich beznadzieją. Robole nie są tacy jak my. Mierzą

upływ czasu nie latami, lecz potężnymi myślami swoich panów, ale nawet oni z pewnością rozumieli, że po śmierci nawigatora już nigdy nie usłyszą głosu swojego boga.

Stado wbiło się w połać ździebeł spoczywających cicho i płasko na piasku, przejrzystych jak szkło i równie ostrych. Wierzchowce znajdowały się w połowie drogi, gdy nagle trawa Nieszczęścia ocknęła się i zabrzęczała jak malutkie dzwonki. To był niespodziewanie piękny dźwięk pośród tego czarnego pustkowia, ale trwał tylko chwilę, zanim zagłuszyły go wrzaski. Zwierzęta ciężko runęły na trawę, gdy ostre jak brzytwa krawędzie liści przecięły im nogi, i już po chwili szkliste źdźbła spłynęły czerwienią. Robole jadący z tyłu wpadli na poprzedzających ich towarzyszy, a impet uderzenia rzucił ich na ziemię.

Trawa czekała, aż wszyscy znajdą się w jej szponach. Ukłęknałem i położyłem dłoń na piasku. Poczułem Nieszczęście, jego moc, skazę na obliczu świata. W milczeniu mu podziękowałem.

Wrzaski. Krzyki. Robole wydawali odgłosy, jakich można się było spodziewać. Z krtani ich biednych i głupich wierzchowców wydobywały się ryki i kwiczenie. Trawa Nieszczęścia błyskawicznie uporała się z robolami i zwierzętami. Nie wiedziałem, czy jest rozumna, czy można w ogóle uznać ją za roślinę, ale elastyczne źdźbła chłostały rannych. Rozcinały nogi, odejmowały palce i przesywały dłonie, którymi robole próbowali się podpierać. Haczyki na liściach uniemożliwiały ich wyciągnięcie z ciała. Rozsiadłem się na ziemi i przekładałem z ręki do ręki ostatni pocisk. Podejrzewałem, że nie będę go potrzebował.

U podnóża zbocza stał kapitan i wpatrywał się we mnie, podczas gdy jego ludzie wyli i konali. Dowódca zawsze ostatni rusza do boju.

Wbiłem palce w piasek. Coś, co było częścią mnie, coś obcego i nieznanego, co wpełzło do mojego wnętrza, by tam zamieszkać, połączyło się z zepsuciem w dole. Przenikało moje dłonie i kręgosłup, ale już ledwie wyczuwałem jego truciznę. Trawa na zboczu była zajęta ucztowaniem, oplątywała ostatnie kawałki ciała roboli i wciągała je w głąb lepkiego czerwonego piasku, ale jednocześnie nasłuchiwała. Powiedziałem jej, że muszę przejść,



a Nieszczęście mnie usłyszało. Spierało się o to ze mną, ale tylko przez chwilę. Wciąż pozostawała we mnie częśćka, która do niego nie należała, obcy element, którego pragnęło. Ale obecnie byłem dla niego czymś innym i w cichym mroku, w którym kiedyś spoczywała moja dusza, poczułem łagodne zapewnienie, że trawa zostawi mnie w spokoju.

To wszystko brzmi wspaniale, jakbym nawiązał łączność z bogiem, który mnie wysłuchał, ale tak naprawdę Nieszczęście prawie nie zwracało na mnie uwagi. Byłem dla niego czymś małym. Muchą na tyłku słonia.

Zgasilem zapalkę, schowałem rusznicę do torby i ruszyłem w dół z boczka w stronę kapitana. Nie próbowałem uciekać. Trawa rozstąpiła się przede mną, tylko kilka młodych ździebeł pozbawionych haczyków zapomniało się i próbowało przebić moje buty. Kiedy pierwszy raz przechodziłem przez teren porośnięty taką trawą, bardzo się bałem, ale z upływem lat większość zagrożeń mi spowszedniała. Jednak robol nigdy wcześniej jej nie widział, więc jego rybie ślepie o okazałych źrenicach zrobiły się nienaturalnie duże. Zsiadł z wierzchowca i puścił go wolno. Nie był wysoki, ale miał masywne kończyny i ciało. Na płaszczyznach jego ust wytatuowano takie same magiczne znaki, jakich robole używali na modlitewnych amuletach, a okazała pieczęć na czole, która ogłaszała go stworzeniem Króla Acradiusa, lśniła srebrzyście na tle matowej, gumowatej skóry. Był uzbrojony w miecz podobny do tego, który odebrałem jednemu ze strażników niedaleko kryształowego lasu. Wciąż miałem go przy sobie.

Zbliżyłem się na odległość kilku kroków. Byłem w zasięgu śmiertelności ciosu. Kapitan zmierzył mnie wzrokiem. Nie wiedział, co o mnie myśleć, i nie mogłem mieć mu tego za złe. Nie wyglądałem jak człowiek. Nie wyglądałem także jak robol, a on właśnie zobaczył, jak bezpiecznie przechodzę przez morze trawy Nieszczęścia, która pożarła jego towarzyszy.

– Chciałbym z tobą pomówić, Sługo Acradiusa – powiedziałem. Bardzo oficjalne rozpoczęcie, ale robole lubią taki ton. Kiedy pierdoli

im się we łbach od magii Królów Głębi, zazwyczaj tracą poczucie humoru.

Kapitan był zaskoczony, słysząc, że kląskam i mruczę w jego języku. Przeształ z nogi na nogę i przyjął bojową postawę, przenosząc dłoń na rękojeść miecza. Nie sięgnąłem po broń. Nie bałem się pojedynczego robota, niezależnie od tego, jak głęboką pieczęcią naznaczył go jego bóg.

– Kim jesteś? – spytał kapitan.

– Człowiekiem – odpowiedziałem.

Jako że nerwowo ścisnął rękojeść broni, położyłem torbę i rusznicę na ziemi, chociaż kontakt z piaskiem im nie służył. Nieszczęście doprowadza rzeczy do rozkładu, narusza je kawałek po kawałku, aż w końcu nic z nich nie zostaje. Tkaniny, żelazo, ludzie – rozpadają się w taki sam sposób.

– To ty jesteś Synem Nieszczęścia? – spytał, mrużąc powieki.

– Jestem tylko człowiekiem.

– Nie – odparł kapitan. – Jesteś czymś innym. – Miał rację.

– Nie jestem taki jak oni – dodałem. – Rozumiesz, że już cię zabiłem, prawda?

Kapitan wytrzeszczył wyłupiaste oczy i zerknął na wykrwawione zwłoki nawigatora.

– Tak – odrzekł.

– Dostaliście rozkaz, żeby mnie odszukać. Po co? – Robole łatwiej się koncentrują, gdy przy każdej możliwej okazji wspomina się o ich panach. Mają na ich punkcie obsesję.

– Jesteś wynaturzeniem. Bogowie nie pozwolą na twoje istnienie – odparł robot. Obnażył grube, kanciaste zęby. – Będzie dla mnie zaszczytem umrzeć, jeśli dzięki temu prawowici władcy tego świata w końcu zdobędą tron. Nareszcie zapanuje pokój.

– Nie jesteś w stanie mnie zabić – stwierdziłem. – Powinno to być dla ciebie oczywiste.

– Nie możesz sprzeciwiać się woli Imperatora Głębi – rzekł z wielką pewnością.

Imperatora? Zachowałem kamienne oblicze, ale to słowo odbiło się mocnym echem w mojej piersi.

– Acradius teraz chce uchodzić za imperatora i wywyższać się ponad swoich braci?

– Jest imperatorem – odrzekł robot, jakbym zakwestionował położenie nieba. – Twoja śmierć jest tylko kwestią czasu. Broń się.

Dobylismy mieczy. Był silny i wyszkolony, ale wszystko trwało tylko kilka chwil. Zatoczył się do tyłu, a krew popłynęła z jego szyi. Nie mógł uwierzyć, że uderzyłem go tak szybko. Padł na kolana.

Wiele się we mnie zmieniło przez lata. Miałem pięćdziesiątkę na karku, ale byłem silniejszy i szybszy od mężczyzn młodszych o połowę. Może za silny. Może za szybki. W każdym razie inny.

Kiedy kapitan padł na twarz i zaczął się wykrwawiać na piasek, poczułem lekkie szarpnięcie w swojej świadomości. To była trawa. Pragnęła ciała kapitana i nie mogła go dosięgnąć. Byłem wdzięczny, że pozwoliła mi przejść, więc stoczyłem zwłoki ze zbocza, aby szkliste źdźbła mogły zacząć przebijać je i gryźć. Wkrótce z ciała nic nie zostanie. Trawa chciała dostać także nawigatora, ale nie miałem ochoty na kolejną wycieczkę na szczyt wzniesienia. Noga wciąż mi dokuczała, jeśli zbyt ją obciążałem, a poza tym miałem inne plany co do trupa. Przygwoździłem go do ziemi mieczem kapitana i zostawiłem.

Wykonałem zadanie, lecz wciąż musiałem się zająć wierzchowcami kapitana i nawigatora, a także harkami. Nie stanowiły zagrożenia, ale mogły zwabić większe istoty zamieszkujące Nieszczęście. Mniejsze stwory z zasady zostawiały mnie w spokoju, ale te naprawdę duże miały w dupie to, jak mocno nasiąknąłem Nieszczęściem. Niedawno widziałem na niebie potężny czarny kształt z ogonami skorpiona, szerokimi skrzydłami i więcej niż jedną głową. Pozostawiał za sobą czarny tłusty dym. To był Shantar. Choć Nieszczęście mnie przemieniło, nie przeżyłbym nawet pół minuty w starciu z jednym z nich. Kiedy teraz spoglądałem w górę, wciąż widziałem ślad na niebie, ale w dużym oddaleniu, zapewne na południu.

Miałem ponure przeczucie, że nie tylko robote mnie poszukują.

Wiedziałem, że harki przyciągną Shantary i inne włóczące się w pobliżu stwory. Przetrzęsnałem bagaż w poszukiwaniu czegoś

użytecznego. Mój nóż wiele wycierpiał przez ostatnie miesiące, był wyszczerbiony i coraz bardziej kruchy, więc ucieszyłem się, gdy znalazłem dla niego zastępstwo. Moje buty były w jeszcze gorszym stanie, ale obuwie roboli na mnie nie pasowało. Poradzenie sobie ze zwierzętami nie stanowiło problemu. Powiązałem je razem, a następnie strzeliłem w niebo ślepym nabojem. Huk wzbudził wśród nich panikę i pognały w tym samym kierunku, co ich byli właściciele. Trawa była mi winna podziękowanie.

Nadszedł czas powrotu do domu. Wiedziałem, skąd przyszedłem, ale to nie oznaczało, że mogę tamtędy wrócić. Przyklęknąłem i przycisnąłem rękę do zwiru Nieszczęścia. Magia popłynęła do wnętrza mojej dłoni jak zaraza, jak skażenie próbujące wnikać w każdą rzecz i napełnić ją mrokiem. Wciągnąłem powietrze i posmakowałem zepsucia, lecz spędziłem pośród tych oparów już tak wiele czasu, że ból, który niosły, miał dla mnie gorzko-słodki posmak. Sięgnąłem w głąb ziemi, wypuściłem powietrze i pozwoliłem, żeby Nieszczęście powiedziało mi, gdzie dzisiaj leży północ.

Stałem się częścią ziemi. Nie byliśmy jednością, gdyż nie mogłem całkowicie się stopić z czymś tak potężnym, ale wymieniliśmy się wiedzą.

Za jej pośrednictwem zdołałem go wyczuć. Dalekiego. Rozległego. Był zarazem oddzielony od całości i w jakiś zawyły sposób stanowił jej esencję. Był gdzieś tam, na zewnątrz. Cierpiał, dręczony bólem i osłabiony po tym, jak on i inni Bezimienni starli się z Królami Głębi, by powstrzymać przebudzenie Śpiącego, gdy po raz drugi rozbili świat. Wronia Stopa. Mój pan.

Niebo zawyło boleśnie. Czerwone chmury, przeplatane żyłami zatrutej czerni, kłębiły się na wschodzie. Skażony deszcz był nowym wrogiem, nawet tutaj. Pojawił się wraz z Upadkiem Wron, przynosząc krzykliwe wizje i szaleństwo tym, którzy znaleźli się na jego drodze. Musiałem znaleźć schronienie, zanim spadnie.

Dobyłem swojego nowego noża i wykonałem płytkie nacięcie wzdłuż prawego przedramienia, pośród siatki bladych blizn przeplatających się z dawnymi tatuażami. Kilka kropel krwi spadło

na piasek Nieszczęścia, które chętnie przyjęło tę ofiarę. Częstka mnie stała się jego częścią. Był to rodzaj transakcji. Coś brałem, ale również coś w zamian dawałem.

We śnie zstąpiłem do świata i zobaczyłem, jak zmieniło się ukształtowanie terenu, jak przekształciła się rzeczywistość w ciągu ostatnich godzin, miesięcy. Znalazłem Wieczny Dom i zwróciłem się w jego kierunku. Przechwycenie patrolu robotli zajęło mi zaledwie dwie godziny, ale droga powrotna miała potrwać pięć godzin i poprowadzić mnie obok jeziora czarnej smoły, którego wcześniej tam nie było.

## 2

Chmury nadciągnęły szybciej, niż przypuszczałem. Zepsuty kolor zakrył świat, a ja uciekłem.

Pojawił się przede mną charakterystyczny dym, który unosił się z komina Wiecznego Domu stojącego na szczycie wzniesienia, wygodnej wiejskiej chaty imponującej swoim odosobnieniem.

Niewiele w Nieszczęściu przetrwało Serce Pustki, ale katastroficzne wyładowanie zepsucia nie było skrępowane żadnymi regułami. Choć zrównało z ziemią miasta Clear i Adrogorsk, tę pojedynczą chatę wyrwało z czasu i pozostawiło nietkniętą. Wieczny Dom stanowił niezmiennie zakłócenie w tkance rzeczywistości, wyspę pochwyconą w zaburzenie czasu, dzięki któremu każdego dnia powracał do tego samego stanu.

Wciąż od schronienia dzieliło mnie sto metrów, kiedy otworzyło się niebo. Założyłem kaptur, gdy spadły syczące krople, ale tkanina szybko przesiąkła i deszcz podrażnił mi skórę jak pokrzywa. Duch Nenn już się zwinął. Szkoda, ponieważ czasami myślałem sobie, że gdyby wciąż żyła, mogłaby polubić piekący deszcz, tak jak polubiła ostre papryczki. Pobiegnęłam szybciej, by znaleźć się pod dachem, zanim zbyt wiele jadowitych kropli poparzy mi skórę, a wizje zaczną tańczyć mi przed oczami.

Otworzyłem drzwi ramieniem. Przez chwilę jak zwykle stawiały opór, ale zaraz znalazłem się w środku. Powiesiłem płaszcz obok wiecznie płonącego paleniska i wytarłem starym fartuchem piekącą wodę z dłoni. Pieczenie nie miało znaczenia. Wytrzymałem znacznie gorsze rzeczy. Prawdziwym zagrożeniem były wizje, które przynosił deszcz. Przerażające, doprowadzające przebłyski niemożliwego do obłędu. Zalew mrocznych obrazów, delikatnych sugestii, irytujące wrażenie piasku przesypującego się między

drżącymi palcami. Twarz, której nie sposób zobaczyć. Dalekie egzystencje, kolejno rozpadające się w pył. Kiedyś sądziłem, że te wizje coś oznaczają, lecz to była tylko przytłaczająca, bezsensowna zamieć poszarpanych wyobrażeń i trzepoczącego bólu, echa czegoś niepoznawalnego. Ludzie, którzy dali się im pochwycić, bełkotali niezrozumiale całymi dniami. Czarny deszcz rozpoczął się wraz z Upadkiem Wron. Wielu wtedy zginęło. Kolejne przypadkowe ofiary niekończącej się wojny Wroniej Stopy.

Dzisiaj nie ujrzałem żadnych wizji. Nie zostałem wystarczająco przemoczony. Zdjąłem wilgotne ubranie, zamknąłem drzwi i zabrałem się za to, co ważne – osuszanie rusznicy i miecza. Nie mogłem ryzykować, że mój skromny oręż zardzewieje.

Odkryłem Wieczny Dom już dawno, kiedy dopiero uczyłem się nawigowania po Nieszczęściu. Wtedy jeszcze wybierałem się na krótkie wyprawy. Trwały miesiąc, najwyżej dwa. Z czasem zacząłem postrzegać Wieczny Dom jako swoją własność, chociaż zważywszy na jego zagubienie w czasie, nie sposób wejść w jego posiadanie.

Sześć lat. Spędziłem tutaj większą część sześciu przeklętych lat, samotnie, jeśli nie liczyć duchów. Powiedziałem sobie, że będzie warto. Kiedy już będzie po wszystkim, kiedy osiągnę punkt krytyczny i będę mógł odrzucić oszustwo, które uknuliśmy, kiedy wszystko, co powinno umrzeć, rozpadnie się w gruzy, nie będę żałował. Musiałem w to wierzyć.

Wieczny Dom był prostą chatą, która stała w zwyczajnej wiosce na przedmieściach Clear. Miasto nie przetrwało Serca Pustki, ale dom owszem. Wznosił się samotnie, otoczony trawą, która nigdy nie wiedła i nie potrzebowała wody. Podczas gdy szalejące żywioły spaczyły i przekształciły okoliczny świat, jakaś przypadkowa zagubiona spirala magii pochwyciła dom i odrzuciła go na bok. Wciąż miał ściany, pokryty strzechą dach, który domagał się wymiany po stronie zazwyczaj zwróconej na północ, proste żółte szyby w oknach. Kiedyś należał do rolników, a przynajmniej tak wywnioskowałem po nożu ogrodniczym, sekatorze, cepie i innych narzędziach spiętrzonych w kącie. Kiedy nadszedł kataklizm, ktoś właśnie gotował zupę jarzynową z porów, cebuli i trzech

kawałeczków baraniny. Jeden z tych kęsów był nieco większy od pozostałych, a w drugim tkwił okruch kości. Doskonale je znałem; każdego dnia tuż po świcie wszystko powracało do pierwotnego stanu. Zupa za każdym razem się gotowała i zawsze zawierała te same składniki. Worek starego, stwardniałego owsa wracał do spiżarni, a pod ścianami znów zalegały mysie odchody. Dom stękał, drżał i skrzypiał, gdy czas wykrzywiał się i skręcał, opuszczając jego ściany. Nie miałem ochoty sprawdzać, co by mnie spotkało, gdybym przebywał w środku podczas tej przemiany. Kiedy Serce Pustki uderzyło, beczka z wodą była pełna. To odkrycie pozwoliło mi dłużej przebywać w Nieszczęściu. Początkowo żałowałem, że dawni mieszkańcy nie zostawili butelki brandy albo beczułki piwa, ale po pewnym czasie zauważyłem, że nie brakuje mi alkoholu. Wiodłem tutaj spokojne, skromne życie, ale tak wygląda egzystencja większości ludzi. Czasami nawet udawało mi się odnaleźć odrobinę spokoju.

Dokładnie wyczyściłem broń, naoliwiłem ją, a następnie wytarłem szmatką. Zużyłem do tego resztkę oliwy. Zaburzenie działało dwójako. Kiedy Wieczny Dom odtwarzał całą swoją zawartość, jednocześnie pożerał wszystko, co w nim pozostawiono. Boleśnie się o tym przekonałem podczas pierwszej wizyty, gdy ułożyłem swoje zapasy w miejscu, które uznałem za bezpieczny schowek, a po powrocie ich nie znalazłem. Potem testowałem tę właściwość za pomocą kamieni. Nie miałem pojęcia, co się dzieje z zagubionymi przedmiotami, ale zawsze gdy wychodziłem z domu, zabierałem ze sobą cały dobytek.

Dlaczego Dom nie pożarł także mnie? Nie miałem pojęcia. Może bycie żywym mocniej związywało mnie ze światem, ale mogłem tylko zgadywać, a zresztą zapewne lepiej tego nie wiedzieć. Nie ma sensu próbować zrozumieć Nieszczęścia, można tylko starać się w nim przetrwać.

Zastawiłem drzwi. Żadna z istot z Nieszczęścia nie zbliżała się do Wiecznego Domu, nawet te największe. Mimo wszystko czułbym się nieswojo, gdybym zostawił im zaproszenie.



Nalałem sobie kubek wody. Chłodnej, czystej, świeżej. Była jak wiejski żywot w płynnej postaci. Jak życie.

Wieczór zaciemnił niebo, ale miałem ogień i jedzenie, wodę i ciepło. Wszystko, czego człowiek może potrzebować. Deszcz padał godzinami. Słowa robota mnie zaniepokoiły i pogrążyłem się w ponurych myślach. Królowie Głębi nie tylko wiedzieli, że tutaj jestem, ale na mnie polowali. Z pewnością zamierzali wysłać moim tropem kolejnych skrzywionych służących. Gdyby powinęła mi się noga, natychmiast okrążyliby mnie i pokonali, a brakowało mi zapasów, żeby przetrwać tutaj dużo dłużej.

Musiałem wrócić do Łańcucha, by uzupełnić zapasy. Może jutro. Skończyły mi się amunicja, oliwa, właściwie wszystko. Załoga stacji cztery-cztery przyzwyczaiła się, że regularnie się u nich pojawiam, chociaż za każdym razem sprawiali wrażenie mniej zadowolonych. Nie mogłem ich za to winić. Nieszczęście przemieniało mnie z każdym mijającym dniem, z każdym rokiem. Zmieniała się moja skóra, a także oczy. Zapewne czuli ode mnie woń skażenia. Nie były to dla mnie najlepsze wieści.

Wszystkie trzy księżycy schowały się i jedynym źródłem światła były lśniące biało-brązowe pęknięcia na niebie. Kiedy deszcz ustał, wyciągnąłem krzesło na werandę i rozparłem się na nim, spoglądając na to, co kiedyś było koszmarem, a obecnie – jakimś cudem – stało się dla mnie czymś w rodzaju domu. Nie potrafiłem powiedzieć, kiedy ostatnio rozmawiałem z kimś, kto nie był martwy. Trudno śledzić upływ dni i pór roku, gdy otaczają cię tylko dokuczliwe gorąco Nieszczęścia i wycie nieba. Od Valengradu dzieliła mnie długa wędrówka. Obecnie rzadko opuszczałem Nieszczęście, a od mojej ostatniej wizyty w Łańcuchu minęło chyba pół roku. Dziwne spojrzenia, jakimi obrzucali mnie ludzie, nie zachęcały do powrotu.

W oddali widziałem ciemny ślad pozostawiony przez latającą istotę, która tak powoli sunęła po niebie, że z pewnością była oddalona o wiele kilometrów. Może było ich więcej niż jedna, ale raczej nie.

Wieczory dłużyły się w Nieszczęściu. Były nużące. Początkowo, gdy jeszcze często wracałem do miasta, próbowałem zabierać ze sobą książki. Problem polegał na tym, że jeśli zostawiałem je w Wiecznym Domu, znikają, jeśli zakopywałem je w ziemi, Nieszczęście potrafiło je przemieścić, a nie mogłem dźwigać ze sobą stert papieru. Dlatego postanowiłem zainwestować w dwa krótkie, napisane maczkiem teksty, które Dantry uznał za kluczowe dla realizacji planu, jaki obmyśliliśmy w pierwszych dniach po odbiciu Valengradu przez marszałek Davandein. Kluczowe dla naszych przygotowań na to, co miało nadejść. Pierwszym tekstem był traktat dotyczący sztuki tkania światła, a drugim przewodnik po wyższej matematyce. Były to trudne, nieprzystępne i ponure naukowe wywody, ale takiego ignoranta jak ja logiczne koła i zawirowania energetyczne potrafiły zająć na całe godziny. Czytałem je raz za razem, aż w końcu nauczyłem się ich na pamięć. To nie wystarczyło. Wciąż nie byłem pewien, co powinienem zrobić.

Zacząłem ponownie przerzucać zużyte kartki, ale nie potrafiłem się skupić i po chwili już wpatrywałem się w pęknięcia na niebie, jakbym miał dostrzec w tych przygaszonych światłach ostatni element układanki.

– Znów o niej myślisz? – spytała Nenn. Oparła nogi na balustradzie werandy, tak jak miała w zwyczaju. Jej buty nie wydawały żadnego odgłosu.

– Najwyraźniej tak sądzisz, więc albo rzeczywiście tak jest, albo myślę o tym, żeby o niej pomyśleć – odparłem.

– Myślenie o zmarłych w niczym nie pomaga.

– Ciekawa uwaga, zwłaszcza z twoich ust.

Nenn posłała mi widmowy uśmiech, szczerząc zielono-białe przejrzyste zęby, które za życia były czarne jak smoła.

– Właśnie do tego to wszystko się sprowadza, prawda? Do duchów. Ty tutaj. Ona martwa, ale uwięziona w świetle. Nawet to miejsce. Czym jest Nieszczęście, jeśli nie duchem furii Wroniej Stopy?

– Kurwa, ale z ciebie poetka!

Duch Nenn wstał, wyciągnął ręce i ziewnął. Jej usta otworzyły się za szeroko. Prawdziwa szczeka by pękła, a prawdziwa skóra by się rozdarła. Nie zwracałem na to uwagi. Już to wszystko widziałem. Na koniec donośnie i widmowo pierdnęła.

– Wołałem cię za życia – zauważyłem. Wcale się tym nie przejęła. W końcu nie była prawdziwa.

– Pewnego dnia o niej zapomnisz – stwierdziła Nenn.

– To nie było w porządku – odrzekłem. – Nie zasłużyła na śmierć. Elizabeth ocaliła nas wszystkich. Zasłużyła na lepszy los.

Nenn parsknęła.

– Tyle lat machasz ostrzem i gruchoczesz kości, patrzysz na latające strzały i armatnie pociski, na choroby i gangrenę, na Przędzarzy, Maszynerię i Królów Głębi. Czy kiedykolwiek odniosłeś wrażenie, że śmierć najpierw zabiera tych, którzy na to zasługują?

Miała rację. Robole, których zwabiłem w śmiertelną pułapkę, kiedyś byli ludźmi, a przynajmniej byli nimi ich przodkowie. To nie ich wina, że Królowie naznaczyli ich i przemienili. Byli tylko żołnierzami, tak samo jak ja. Tak samo jak tamte głupie dzieciaki, które zginęły przeze mnie podczas odwrotu spod Adrogorska, oraz ludzie, którym rozkazałem stać na murach Valengradu, gdy Shavada je rozdzierał. Nie powinienem nienawidzić roboli za to, czym są. Byli tacy sami jak my, a jednak nas nie przypominali i właśnie za to ich nienawidziłem. To było uprzedzenie, z którym potrafiłem żyć. Tak naprawdę wyciąłbym w pień całe ich imperium, gdyby to mogło sprowadzić Elizabeth Tanzę z powrotem z ognia.

Co ona by teraz o mnie pomyślała? Nic dobrego. Niezbyt lubiła dawnego mnie, a ostatnie dziesięć lat raczej nie było dla mnie łaskawe.

– Zostaw mnie w spokoju – powiedziałem duchowi. Tak samo jak poprzednim razem, gdy przyszła ze mną posiedzieć. Nenn wspinała się na werandę, ale jej cień nigdy nie wchodził do domu. Nic, co pochodziło z Nieszczęścia, nie wchodziło do Wiecznego Domu, który zapewniał ochronę nawet przeciwko skrzelakom, chociaż już dawno nie widziałem żadnego z nich. Istoty z Nieszczęścia nie próbowały dostać się do środka. Wiedziały, że to nie ich miejsce.

Noc przyszła i odeszła. Świt przyniósł ze sobą mgłę, a ja zostałem wewnątrz, dopóki się nie rozwiała. Mgła nigdy nie jest dobra, ale w Nieszczęściu potrafi robić dziwne rzeczy. Istnieją stworzenia, które żyją wyłącznie we mgle, i duchy raczą wiedzieć, dokąd odchodzą, kiedy ta znika. Lepiej się z nimi nie zadawać. W Nieszczęściu może nas spotkać coś gorszego niż pożarcie. Dopiero kiedy słońce weszło obok księżyców, złocistej Eali i zimnego błękitu Clady, wybrałem się na łowy.

Ukląkłem i położyłem dłoń na piachu. Nieszczęście wyszeptało mi swoje tajemnice i zwróciłem się w kierunku, który można było uznać za północ. Powiedziało mi, gdzie mam szukać, gdzie mam polować. Nie pamiętam, kiedy nawiązaliśmy tę dziwną więź, ale już mnie nie nienawidziło. Wnikało do moich żył i dziąseł, a kiedy się rozpraszałem, także do moich myśli. Nie podobały mu się moje dążenia ani mój opór przed całkowitym zespoleniem, ale wystarczająco długo nurzałem się w jego zepsuciu, by mnie zaakceptowało. Nie byliśmy jednością, ale współistnieliśmy. Nie darzyło mnie cieplejszymi uczuciami niż rzaski czy dępy. Byłem po prostu kolejną istotą, która je rozumiała. Która wydawała się istotna. Synem Nieszczęścia. Tak nazywali mnie robole. W pewnym sensie mieli rację.

Wróciłem na miejsce wczorajszej zasadzki, chociaż teraz leżało przed, a nie za wydmami, a dzieląca mnie od niego odległość skróciła się o połowę. Jezioro smoły zmieniło się w zagradzającą mi drogę rysę wypełnioną lepkiem płynem, który dymił, bulgotał i cuchnął, zmuszając mnie do nadłożenia dwóch mil, ale w końcu znalazłem drogę. Ciała roboli i ich wierzchowców zniknęły, pożarte przez coś, co kryło się pod źdźbłami trawy, ale mnie interesowały tylko zwłoki nawigatora. A tak naprawdę nie samo ciało, tylko istoty, które po nie przyszły.

Pośród oczyszczonych kości drzemała para wzdętych robaków o pajęczych nogach. Nie nosiły żadnej nazwy. Niewykluczone, że były jedynymi osobnikami swojego rodzaju. Przegryzły paski brązowej zbroi nawigatora i otworzyły ją jak rybak, który łamie pancerz kraba, by dostać się do miękkiego białego mięsa. Nazwałem

je dreptaczami. Leżały w popołudniowym słońcu z groteskowo obrzmiałymi białymi brzuchami. Oteńpione pod wpływem nasycenia, nie zauważyły, że się zbliżam, ale i tak były zbyt wzdęte, by się obronić. Odrąbałem to, co uznałem za ich głowy, spętałem je jak upolowaną zwierzynę i zwróciłem się w stronę domu.

W odległości kilku mil, jakby się ze mną drażniąc, z piasku wyłoniły się schody. Pozbawione podparcia, prowadziły do kamiennego łuku. Powinienem widzieć przez niego niebo, ale była tam tylko ciemność. Prowadził w jakieś inne miejsce. Nie po raz pierwszy napotkałem takie mroczne przejście. W ciągu ostatnich miesięcy pojawiało się i znikało, a wiadomość wysyłana przez Nieszczęście była jasna. Miałem tam wejść. Miałem wspiąć się po schodach i przedostać na drugą stronę.

Trzymałem się z daleka. Nieszczęście nie było moim sprzymierzeńcem. Nie ufałem mu.

Zaniosłem zabite istoty do Wiecznego Domu, a potem usiadłem na zewnątrz i zabrałem się do pracy. Nenn nic nie mówiła, gdy je skórowałem. Milczała, gdy je patroszyłem, aż w końcu całkowicie zniknęła, gdy zasiadłem do posiłku.

Pojawiły się koszmary. Sny tak wyraziste, że mógłbym je namalować, gdybym miał talent. Widziałem świat takim, jaki był przed nadejściem Królów Głębi, zanim Wronia Stopa powstrzymał ich armie, uwalniając Serce Pustki. Pola pokrywały bujną wiejską krainę szachownicą zieleni, złota i brązu. Pszenica głęboko wrastała w ziemię, gaje oliwne uginały się od owoców. Słońce mocno grzało latem, obfite deszcze spadały wiosną. Książęta i królowe, którzy zarządzili miastami, nie byli święci, ale walczyli ze wszystkich sił, gdy Królowie Głębi poprowadzili swoje wojska, by zdeptać pszenicę i spalić gaje. A kiedy już posłali do walki wszystkie swoje siły i nie pozostało im nic więcej, zdesperowany Wronia Stopa uwolnił Serce Pustki. Dzieci uniosły wzrok znad lekcji oraz zajęć i zobaczyły pęknięcia rozdzierające niebo. Energia, która opadła na ziemię, rozbiła ją i naruszyła strukturę rzeczywistości. Runęły wieże, stopiły się lasy. Ziarna pszenicy z sykiem wyskoczyły z kłosów i zmieniły się w obłoki skażonej mgły, a psy zespoliły się ze swoimi panami,

tworząc nowe istoty, choć one mogły mówić o największym szczęściu. Nacierające armie robotli podniosły wzrok. Księżycy zadrżały i przygasły, niebo zawyło, po czym wojsko zostało wykręcone, zniszczone i rozrzucone. Przeżyłem tysiąc ohydnych, bolesnych zgonów.

Kiedy się ocknąłem, całe moje ciało syczało z bólu, ale zdążyłem już do tego przywyknąć. Podczołgałem się do beczki z wodą i spróbowałem zmyć z siebie skażenie, ale ono nigdy nie chciało mnie opuścić. Skórę miałem śliską od potu, nawet moje palce lśniły. Paznokcie już dawno poczerniały, ciało stwardniało i połyskiwało jak polerowana miedź. Oparłem głowę o kolana, owinąłem ramiona kocem i odpełzłem do kąta. Nie płakałem. Nigdy nie płakałem. To wymaga smutku, a w skorupie mojego ciała nie pozostała już ani odrobina żalu. Tylko suchy, niewzruszony gniew. Gniew i pragnienie zemsty.

### 3

Musiałem wrócić do Łańcucha. Brakowało mi amunicji, prochu oraz oliwy. Deszcz padał w odstępie jedenastu dni, zawsze jedenastu dni. Regularnie jak w zegarku przez ostatnie trzy lata, od Upadku Wron.

Ziemia zadrżała. Niebo na nowo się rozdarło i wszystko się zmieniło.

Nie znaleźliśmy się w epicentrum, czymkolwiek ono było. Tego byłem pewien. Nikt nie wiedział, co było przyczyną, ale miałem swoje podejrzenia. Uderzenie tylko nas musnęło, ziemia się zatrzęsała i spadł na nas czarny deszcz. Tamten dzień zaczął się zwyczajnie, a potem – szaleństwo. Przez pierwszą dobę nic nie miało sensu. Kolory migotały i łączyły się ze sobą. Zimna woda wrzała i wyparowywała, a ukrop zamarzał. Ptaki spadały z nieba, drzewa okrywały się kwieciem, a potem usychały i zmieniały się w puste skorupy. Nie miało to żadnego sensu. Skutki były odmienne nawet w miejscach oddalonych o stopę od siebie. Czarnowidze, którzy od dawna twierdzili, że świat się kończy, przez jeden wariacki, katastrofalny dzień mogli napawać się tym, że mieli rację. Ale już nazajutrz czekało ich rozczarowanie.

Normalność nie powróciła, ale sytuacja się ustabilizowała. Gęsi pozostały odmienione, wrony nie wróciły. Nowe istoty, jakich nigdy wcześniej nie widziano, wypełzły z mroku, by dręczyć, kąsać, nękać. To przeważało szalę. Plan, który opracowaliśmy z Dantrym i Maldonem, był niebezpieczny, może nawet idiotyczny, ale kiedy świat skręcał się i miotał, a wszystkie elementy rzeczywistości ścierały się ze sobą, zrozumieliśmy, że nie mamy innego wyjścia. Poprzysięgliśmy, że to zrobimy. Ostatni gambit, zanim wszystko zniknie.

Potrzebowałem sześciu dni, by pieszo wrócić do Łańcucha, chociaż był oddalony o trzy tygodnie podróży. Nieszczęście mnie wspierało, czas i odległość wirowały jak krople krwi w wodzie, jeśli tylko byłem gotów zapłacić odpowiednią cenę. Poznałem nastroje tej krainy. Jej zwyczaje. Przejścia i nurty zmian łączące fragmenty tego, co tutaj uchodziło za rzeczywistość. Ale taka współpraca wyczerpywała zapasy esencji, która się we mnie wsączyła. Wszystko ma swoją cenę, a naginanie ścieżek Nieszczęścia do własnych potrzeb wymagało zużywania mocy, którą dotychczas nasiąkałem. Robiłem to niechętnie, gdyż wołałem ją gromadzić jak skąpiec składujący monety pod podłogą.

Nie oszedłem.

Zwlekałem.

Wykonywałem codzienne czynności. Wędrowałem po piaskach, solnych równinach i innych terenach, które pojawiały się wraz ze zmianami krajobrazu Nieszczęścia. Kiedy napotykałem jakieś istoty, zabijałem je i brałem od nich to, czego potrzebowałem. Już nie widywałem roboli, ale na mojej drodze dwukrotnie pojawiło się wiszące łukowate przejście. Spoglądałem w ciemność po drugiej stronie i ponownie czułem dręczące zaciekawienie tym, co się tam znajduje. Potem to uczucie mijało i okrążałem bramę szerokim łukiem.

Jedynym luksusem, jaki oferował Wieczny Dom, była pojedyncza cygaretki. Nieudolnie i nie do końca zwinięta. Może właściciel ją odrzucił i wybiegł z domu, by spotkać swój koniec, gdy niebo się rozwarło, a chaos spalił świat. Znalazłem ją między deskami podłogi. Zawsze trudno było ją wydobyć, ale przeważnie mi się udawało. Odpaliłem ją od ognia w piecu i usiadłem na werandzie, żeby posłuchać nieba. Dzisiaj było czerwono-czarne, krwawe jak smoła. Jęki i wycie zawsze sprawiały wrażenie przypadkowych, ale kryła się w nich regularność, jeśli ktoś wiedział, na co zwracać uwagę. Przesadą byłoby doszukiwanie się w tej pieśni piękna, ale być może warto było poświęcić jej nieco uwagi.

Wtedy go zobaczyłem. W oddali. Jak kropka na horyzoncie. Nachyliłem się i wyteżyłem wzrok w czerwonym blasku nieba.



To był człowiek. A przynajmniej miał ludzkie kształty. Istoty w Nieszczęściu czasami nas przypominają. Duchy są odbiciem dawnego życia. Skrzelaki parodiują nasze początki. Zwinniacy biegają po wydmach na patykowatych nogach, a kamieniste ciała behemotów mniej więcej odwzorowują nasze sylwetki. Ale to nie był żaden z tych stworów. To był człowiek, samotnie jadący konno. Żołnierz? Podróżnik?

Żaden zwykły człowiek na własną rękę nie dotarłby tak daleko w głąb Nieszczęścia. Nie tutaj, w mrok, gdzie kryją się koszmary.

Powoli sięgnąłem po broń palną, załadowałem ostatni pocisk, zapaliłem lont i znieruchomiałem, żeby ocenić zasięg. Nie musiałem wychodzić mu naprzeciw – mógł się kierować tylko do jednego miejsca. W tych okolicach istniało tylko jedno miejsce.

Odwiódłem kurek i przyłożyłem oko do lunety. Świat skoczył naprzód i nabrał ostrości, gdy pokręta zawirowały i soczewki odpowiednio się ustawiły. Jeszcze nigdy nie miałem tak dobrego wzroku. Nieszczęście nie tylko zabarwiło moją skórę na kolor miedzi, a żyły na czarno, ale także wyostrzyło moje zmysły. Jeździec nie mógł na to liczyć. Jego muł – a więc jednak nie koń – kulał, ale bez niego mężczyzna przemieszczałby się wolniej. Stracił stopę, a jeden z jego rękawów urywał się na wysokości łokcia. Zwiesił głowę i oklapł na siodle, tak że widziałem tylko jego łysinę i otaczające ją brudne brązowe włosy. Ustawiłem kratkę celownika na jego piersi. To był mój ostatni ołowiany pocisk. Szkoda byłoby go zmarnować, gdyby okazało się, że to zagubiony żołnierz, zwiadowca albo jakiś inny pechowiec odłączony od swojego oddziału.

Ale mógł być czymś gorszym. Czymś, co nagle wyskoczy z pancerza skóry, z nienawiścią obnażając kły. Czymś, co wybuchnie. Czymś paskudnym.

Poprawiłem palec na spuście. Czy powinienem się go pozbyć? Nawet jeśli jest człowiekiem, nie znajdzie tutaj żadnego jedzenia ani zapasów, które pozwoliłyby mu wrócić do domu. Ja potrafię przeżyć w Nieszczęściu, ale powoli się do tego przystosowywałem. Nikomu innemu to się nie udało. Lepiej odesłać go do tego z piekieł, w którym zapisano jego imię, i mieć sprawę z głowy.

Mocno ścisnąłem korpus rusznicy. Miałem poczucie, że to okrutne utrupić człowieka, który przetrwał najgorsze koszmary Nieszczęścia. Coś paskudnego odebrało mu stopę i rękę, ale zdołał uciec, a Wieczny Dom mógł utrzymać go przy życiu. Przynajmniej przez jakiś czas. Ale to był mój azyl, w którym nie było dla niego miejsca. Kiedy się zbliżył, spokojnie wycelowałem. Dzięki lunecie nawet z takiej odległości mogłem się pokusić o strzał w serce.

– Niech to szlag – mruknąłem. Opuściłem broń, zdusiłem lont. Zamiast tego wyjąłem miecze i położyłem je na stole w zasięgu ręki. Lepiej nie marnować ostatniego pocisku.

Kiedy muł się przybliżył, uświadomiłem sobie – z niepokojem, który rodzi się w spływających krwią rynsztokach – że znam tę osobę, jeśli można tak powiedzieć. „Osoba” to lekka przesada.

Wyszedłem mu na spotkanie. Muł był ślepy i ledwo szedł. Nie miał siły się mnie przestraszyć, gdy zdjąłem drobnego mężczyznę z jego grzbietu i przeniosłem go do oddalonego o dziesięć metrów domu.

– Nie do środka – wychrypiał. – Nie zabieraj mnie do środka.

Twarz miał pokrytą pyłem, pobrużdżoną i zakrwawioną. Nieszczęście surowo się z nim obeszło.

– Nie jest dla ciebie wystarczająco elegancki? – spytałem.

– Nic dobrego by z tego nie wynikło – odparł. Nie uśmiechał się. Ze wszystkich ludzi, których spodziewałem się zobaczyć na grzbiecie muła, jednym z ostatnich był Otto Lindrick. A przynajmniej człowiek – albo stwór – przypominający Otto Lindricka.

Nall. Jeden z Bezimiennych, tutaj, w Nieszczęściu, samotny i zakrwawiony, na grzbiecie żałośnie wyglądającego muła. Ten człowiek – ta istota – zbudował Maszynię, która broniła Łańcucha. Doświadczyłem potężnej mocy, którą wyzwoliły jego intrygi, widziałem, jak unicestwia boga pod cytadelą. Korzystał z wielu ciał, a to miało najlepsze dni za sobą. Nie spodziewałem się gościa w Wiecznym Domu. W najśmielszych snach nie oczekiwałem, że pojawi się jeden z Bezimiennych.

Przyniosłem wodę z beczki. Chociaż miałem do czynienia z nieśmiertelnym czarownikiem, ciało, w którym zamieszkiwała ta część jego świadomości, odczuło trudy podróży. Patrząc na wilgotne

ubrania przybysza, uświadomiłem sobie, że zmoczył go deszcz. To nie mogło być łatwe, nawet dla czarownika.

– Nie spodziewałem się gości – odezwałem się. Posadziłem Lindricka na bujanym fotelu na werandzie. – Dom jest w opłakanym stanie.

– „Drogi są w opłakanym stanie”. Tak mówiły te przekłete skrzelaki, kiedy się obudziłem – odrzekł Nall, pokazując poszarpany kikut odgryzionej ręki. – Paskudne istoty, czyż nie?

– Niezbyt przyjemne – przyznałem. Miałem gęsią skórkę. Przyniosłem koc, ponieważ ciało Nalla było zniszczone i umierające, a konający człowiek zasługuje na okrycie. Oczywiście Nall tak naprawdę nie umierał, gdy zawodziło któreś z jego ciał. Jego uczeń kiedyś przebił go nożem do owoców, a Bezimienny szybko powrócił.

– Długo trwało, zanim cię znalazłem – rzekł. – Nikt nie chciał mi powiedzieć, gdzie jesteś.

– Nie wiedzą – odrzekłem. Na chwilę zrobiło mi się zimno. – Kogo pytałeś?

– No wiesz, ludzi twojego pokroju. Pijaków i wyrzutków. Marszałek Łańcucha. Nawet niektórych kapitanów Czarnoskrzydłych. – Uniósł brew. – Nie pozostało was zbyt wielu, prawda?

Napił się wody, prawie wszystko rozlewając. Oczy miał przekrwione. Zbolale. Musiałem sobie przypomnieć, że to oszustwo. Całe to ciało było kłamstwem.

– Mogłeś zapytać Wronią Stopę – stwierdziłem. – On na pewno wie, gdzie jestem. Jak zawsze.

Oczy Nalla załśniły pod czerwonymi smugami. A więc pozostała w nim odrobina wilczego sprytu. Czegoś obcego.

– Obaj wiemy, że to nieprawda. Ukryłeś się głęboko w ciemności, a kruk już nie jest tym, czym dawniej był. Jak my wszyscy.

Mój pan nie odzywał się do mnie od czasu Upadku Wron. Nie było w tym niczego nienormalnego. Już wcześniej zdarzało się, że na dłużej dawał mi spokój. Ale tym razem było inaczej. W tych krótkich przeblyskach w deszczu coś zobaczyłem. Coś straszliwego.

– Jak mnie znalazłeś?

– Mój kapitan tego dokonał. Winter.

– Pierwsze słyszę.

– Nic dziwnego. Moi agenci nie popisują się tak jak wy, Czarnoskrzydli. Wronia Stopa nigdy nie rozumiał zalet subtelności.

Ciekawy komentarz z ust Nalla. Według mnie nie ma niczego subtelnego w potężnej budowli z żelaza i betonu, która ciągnie się przez całą długość Łańcucha, ani w maszynie zdolnej wymazać setki tysięcy istnień.

– Nie za dobrze wyglądasz, Galharrow – zauważył Nall. – Nawet w porównaniu ze mną.

Wstałem i oparłem się o jeden ze słupków na werandzie. Popatrzyłem na Nieszczęście, gdzie piasek poruszał się, przesuwając i zmieniał kształt pod wpływem czegoś potężnego, co przemieszczało się pod powierzchnią. Nieszczęście próbowało nie dopuścić, by Nall do mnie dotarł. A może miałem zbyt wysokie mniemanie o tej krainie. W końcu starała się powstrzymać wszystko i każdego.

– Czego chcesz?

– Wronia Stopa cię potrzebuje – odrzekł Nall. Zakaszlał w kułak. Zabrzmiało to tak, jakby w jego płucach przetaczał się mokry żwir. – Jesteśmy w rozsypce od Upadku.

– Upadku Wron?

– Skoro wolisz tak go nazywać. Ale jeżeli wydaje ci się, że wiesz, w jaki sposób Królowie Głębi prowadzą przeciwko nam wojnę, to, co nadchodzi, zmieni twoje wyobrażenia. Jest źle, Galharrow. Zostały nam w rękę ostatnie karty.

– Kiedy Bezimienni są zdesperowani, zazwyczaj postępują w sposób, który źle się kończy dla całej reszty. Co tym razem Wronia Stopa zaplanował? – Powiedziałem to bez cienia goryczy, a Nall przyjął moje słowa bez urazy. Było to zwykłe stwierdzenie faktu.

Nall zgiął się wpół pod wpływem kolejnego napadu kaszlu, a kiedy cofnął pięść od ust, widniały na niej czerwone plamki. Jego ciała pozostało niewiele czasu.

– A co Wronia Stopa zawsze robi, gdy widzi zbliżające się zagrożenie? Stawia mu czoło z subtelnością szarżującego stada.

Pracuje nad jakąś bronią. Nad czymś nowym. Jestem o tym przekonany.

– Ale nie wiesz tego na pewno? – odparłem. – Podobno jesteście wszechmocnymi Bezimiennymi, ale nie lubicie się ze sobą dzielić?

– Śmiertelnicy – rzucił Nall z obrzydzeniem. – Zawsze jesteście tacy drażliwi, że nie dostrzegacie oczywistej prawdy. Tylko popatrz na to ciało. – Popatrzyłem, ale nie wzbudziło we mnie zachwyty. – Upadek je zdruzgotał. Ten awatar przebywał na południowym wybrzeżu, gdzie sprzedawał rybakom miejsca do cumowania. Miałem ich tysiąc, rozsianych po całym świecie. A teraz? Pozostało mi niecałe dwadzieścia form. Nawet nie jestem pewien, ile ich jest, ani co Wronia Stopa zamierza. A nawet gdzie jest i w jaki sposób przeżył.

– Upadek Wron – odrzekłem. – Tamtego dnia walczyliście z Królami Głębi, by Śpiący pozostał pogrzebany, prawda?

Królowie Głębi usiłowali przywołać z głębin oceanu Śpiącego – wiekowego demona jeszcze potężniejszego od nich – by zatopić świat. Wszyscy Bezimienni wybrali się do odległego miejsca mocy, krainy lodu i przejmującego wiatru, by ich powstrzymać. Widziałem ich zgromadzenie tylko w krótkiej wizji, którą zesłał mi mój pan, ale zapamiętałem straszliwy byt mieszkający pod lodem.

– Być może. – Nall zamrugął. – Moje wspomnienia są pełne luk. Dną się, strzępią i prują. Może inna wersja mnie wie, co się stało. Słabo pamiętam nawet ciebie, Galharrow. Kojarzę tylko, że użyłeś fortelu z Maszynerią i okazał się skuteczny. To przykre, że przyszło mi polegać na śmiertelnikach. Ale zawiedliśmy. Królowie Głębi nadchodzą.

– Coś ci się pomieszało – odrzekłem powoli. – Gdyby Śpiący się wynurzył, wszyscy znaleźlibyśmy się sto stóp pod wodą.

– Rzeczywiście. – Nall próbował się uśmiechnąć, ale jego mięśnie słabły. – Ha. Ha. Masz rację. Stawiliśmy im czoło. Ale tylko unieruchomiliśmy potwora. Częściowo. Król Głębi Acradius zawarł układ ze Śpiącym. Przyjął małą część jego mocy, którą ten mógł uwolnić, a w zamian stali się jednością. Moc w zamian za wolność. Acradius jest teraz czymś nowym. Jest większy i potężniejszy od

pozostałych królów. Od wszystkich Bezimiennych. Nie wiemy, jak ani dlaczego tak się stało, ale inni Królowie Głębi z nim walczyli, a on potrzebował trzech lat, by zwyciężyć. Filon, Nexor, Iddin, wszyscy bez wyjątku są mu teraz podlegli. Acradius kreuje się na imperatora.

– Imperator Głębi – odrzekłem. Miałem nadzieję, że to arogancja jego podwładnych skłoniła robori do używania tego tytułu. Poczulem lodowaty dreszcz na karku i ramionach. – Nadciąga w naszą stronę?

– Oczywiście, że tak. Jesteśmy osłabieni, a skoro on dysponuje mocą Śpiącego, nawet Maszyneria go nie powstrzyma.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Wszedłem do domu, wygrzebałem cygaretkę spod podłogi i przypaliłem ją od ognia w piecu. Zjadłem mięso z zupy. Wróciłem na werandę. Usiadłem obok rzeźącego ciała Nalla.

– Umierasz, Nallu? – spytałem.

– To ciało bywało w lepszym stanie.

– Wiesz, co mam na myśli. Prawdziwy ty. Gdziekolwiek jesteś, do kurwy nędzy.

– Przychodzimy. Odchodzimy. Czasami na chwilę, czasami na zawsze. – Zakaszłał, a jego żebra zagrzechotały jak płatanina kości zawieszona w pustce. Może tym właśnie były.

– Boisz się?

Nall zmrużył oczy i wbił we mnie wzrok. W jego spojrzeniu kipiała jak potężny płomień furia kosmosu. Byłem tylko słabym śmiertelnikiem, a tymczasem to on umierał. Zapewne jeszcze nigdy nie znalazł się tak blisko śmierci.

– Chcesz, żebym zostawił cię samego, dopóki nie odejdziesz? – spytałem.

Nall spojrzał na mnie ostro, a potem spuścił wzrok, rozejrzał się, popatrzył w dal. Zażenowany. Wściekły. Wystraszony.

– Nie.

Dopaliłem cygaretkę i rzuciłem niedopałek na piasek. Dym powoli kłębił się w ciężkim powietrzu, niechętnie się wznosząc.

– Czy cokolwiek może teraz powstrzymać Acradiusa?

– Wronia Stopa ma plan. Ale czy on zadziała? Nawet duchy tego nie wiedzą, Galharrow. – Podniósł wzrok na strzaskane niebo, lśniące linie uskoków ciągnące się we wszystkich kierunkach, połyskujące białobrązowe światło. – Nawet jeśli tak się stanie, lękam się o wasz świat. Zdążyłem go polubić. Jestem tutaj od dawna. Wkrótce odejdę. Ale świat zasługuje na to, by pozostać.

– Czyżby? – odrzekłem. To słowo wyrwało się z moich ust, zanim zdążyłem je powstrzymać.

– Jest zimny i samotny – powiedział Nall. – Ale zaznałeś miłości. Właśnie dlatego od sześciu lat ukrywasz się w Nieszczęściu. Możesz udawać zgorzkniałego starca, ale wiem, co zamierzasz. Wronia Stopa nie zdaje sobie z tego sprawy, ale ja tak.

Moje mięśnie zeszywniały. Nóż przy pasie nagle zapragnął wskoczyć do mojej dłoni. Poprzysięgłem sobie, że usunę wszelkie zagrożenia. Nie pozwolę, by ktokolwiek mi przeszkadzał. Nikt ani nic nie stanie mi na drodze. Ale to był Nall, a niezależnie od tego, w jakim stanie znajdowało się jego ciało, zabicie go było bezcelowe. Zmusiłem swoje palce, by się rozluźniły.

– Nie masz o niczym pojęcia – odparłem.

– Przyjrzałem się poczynaniom Dantry'ego Tanzy – rzucił Nall swobodnie, jakby to nic nie znaczyło. – Badaniom, które prowadzi z twojego polecenia. Zniszczeniu fabryk. Na tej podstawie udało mi się odtworzyć wasz plan. Oczywiście jest szalony, ale właśnie na tym polega jego błyskotliwość. Tanza byłby uznanym geniuszem, gdyby każdy ksiązę w Dortmarku nie próbował go powiesić. To z pewnością śmiały zamysł.

– Czy ma szansę powodzenia? – spytałem.

Nall roześmiał się bulgotliwie.

– Nie. Oczywiście, że nie. Musiałbyś być szalony, żeby tego próbować.

Ale po chwili się uśmiechnął.

– Chcesz, żeby mi się udało.

– Każdy z nas ma swoją rolę do odegrania. Moja już prawie dobiegła końca. Teraz liczy się ludzkość. Możesz stać się kowadłem,

ale jeśli przestaniesz być człowiekiem, nie będzie to miało żadnego znaczenia. A ja już od bardzo dawna nie jestem człowiekiem.

Zagadki i półprawdy. Cały Nall. Nie powinienem był się spodziewać niczego innego.

Zamknął oczy, a rzeźenie w jego piersi ustało. Przez chwilę leżał nieruchomo, a potem gwałtownie otworzył oczy. Jego dłoń chwyciła mnie za nadgarstek, a przynajmniej próbowała. Jego palce powstrzymała niewidzialna siła, która nas oddzielała. Magia we mnie i magia w nim nie chciały się zetknąć.

– Broń Wroniej Stopy to nasza ostatnia szansa przetrwania. Ale nie ufaj swojemu panu – wysyczał. Jego spojrzenie stężało. Wpatrywał się we mnie tak, jakby potrafił zajrzeć do mojego serca.

Pokręciłem głową i odwróciłem wzrok.

– Jego poprzednia broń stworzyła tę krainę, a twoja wyźłobiła kratery, które nas otaczają. Gdzie to się skończy? – Ale Nall nie odpowiedział. Chrapliwy oddech zagrzechotał w jego słabnących płucach. – Co ci się stało?

– Deszcz pamięta, Galharrow – zaskrzeczał Nall. – Spytaj deszczu.

Ciało poddało się i sflaczało, jak zazwyczaj dzieje się po śmierci. Pusta, pozbawiona kości marionetka, którą nikt nie kieruje. Taka analogia wyjątkowo pasowała do tego konkretnego Bezimiennego. Okryłem jego głowę kocem. Będę musiał pogrzebać zwłoki. Lepiej nie zostawiać szczątków Bezimiennego istotom z Nieszczęścia. Wstałem, rozluźniłem ramiona. Kruk mnie wzywał, a ja musiałem odpowiedzieć.

Długo mnie nie było. Czas wrócić do cywilizacji.



## 4

O sile ludzkiego ducha świadczy fakt, że ludzie nie tylko potrafią przeżyć w każdej sytuacji, ale zazwyczaj znajdują sposób, by na tym zarobić.

Miasteczko, które nie powinno być miasteczkiem, leżało pomiędzy stacjami cztery-cztery i cztery-pięć. W lecie, gdy ze wschodu wiał ciepły wiatr, cuchnęło Nieszczęściem, a w zimie pokrywało się zielonkawym lodem. Przez lata Nieszczęście podpełzało coraz bliżej i gdyby ludzie, którzy odważyli się mieszkać w tej namiastce miasta, mieli choć odrobinę rozsądku, zwróciliby się na zachód i poszukali czegoś lepszego. Ale czasy były surowe, a ludzie stali się jeszcze surowsi. Uznałem, że jest w tym coś optymistycznego.

Nadszedłem szlakiem handlowym z południa, by nie zobaczyli, że przybywam ze strzaskanych piasków. Otoczone palisadą skupisko dwóch tuzinów budynków nie miało żadnych poważnych umocnień. Oficjalnie Wróżbogród w ogóle nie istniał. Wróżenie oddziela od czarnowidzenia cienka granica, a żadne z nich nie jest dozwolone w stacjach ani w Valengradzie, dlatego wróżbici zaczęli się osiedlać w miasteczkach slumsów, które wyrastały pomiędzy stacjami Łańcucha. Żołnierze są zabobonni, dzięki czemu handel kurzymi wnętrznościami, przepowiadanie przyszłości z kart i odczytywanie snów cieszyły się niesłabnącym powodzeniem.

Idąc gruntową drogą, zauważyłem że samotna wieża strażnicza jest pusta. Także na bramie w palisadzie nie było wartowników, mimo że zaczął zapadać zmierzch, a na świecie nie brakowało istot, których nie należało wpuszczać. Mieszkańcy zapewne czuli się bezpiecznie, lecz od czasu Upadku Wron nie wszystkie stwory mroku pozostawały w granicach Nieszczęścia.

Dzieliło mnie pięćdziesiąt jardów od bramy, gdy dostałem ataku kaszlu. Zgiąłem się w pół na poboczu zapyłonego szlaku, czując ostre klucie w płucach. Kolejne porcje powietrza gwałtownie wyrывały się z mojego wnętrza. Miałem wrażenie, że ktoś wbija mi nóż w głąb przełyku. Wyplułem grudkę jakiegoś gęstego, ciężkiego świństwa. Przypominało gotowaną smołę. Czułem w niej posmak Nieszczęścia, ostrego i chemicznego, gorzkiego i paskudnego. Bulgotała i nieznacznie się poruszała, parując i wpatrując się we mnie, gdy ocierałem usta. Niedobrze.

Zrobiłem, co mogłem, by zamaskować swój dziwny wygląd przed wejściem do Wróżbogrodu, co oznaczało założenie kaptura i pokazywanie jak najmniejszej ilości skóry. Wiedziałem, że noc pomoże mnie ukryć, ale wolałem nie ryzykować. W miasteczku przebywali żołnierze, a mnie od dawna było nie po drodze z cytadelą.

Jak na małą miejscinę na pustkowiu po zmroku panował tu zaskakujący ruch. Przepowiadanie przyszłości zgrabnie łączyło się z innymi usługami: tawernami, by upić się po niepomysłnej wróżbie albo uczcić pomyslną, domami rozkoszy, by jeszcze raz zaszaleć, a nawet kilkoma świątyniami poświęconymi Duchom Miłosierdzia i Pocieszenia. Wróżbogród przyciągał żołnierzy ze stacji, a po pojedynczej szerokiej ulicy wędrowali ludzie z kubkami piwa w jednej dłoni i oficjalnymi certyfikatami szczęśliwego losu w drugiej. Fosowe neony rozświetlały noc, proponując odczytywanie przyszłości oraz sposoby na zapomnienie o tym, co się usłyszało.

– Powrózę, tylko dziesięć marek! – zawołała staruszka z wąskiej bramy. – Powrózę z nieba. Szkoliłam się na uczelni, wszystkie wróżby z gwarancją spełnienia. Sprawdź, co cię czeka, zanim odjedziesz.

Miała głębokie zmarszczki wokół oczu i pomarszczone dłonie, ale była ubrana w jaskrawe jedwabie, a na jej palcach lśniły klejnoty. Prorokowanie zawsze było zyskowne dla ludzi, którzy każdego dnia ryzykują życie w pracy. Osobiście nie wierzyłem w żadne wróżby. Samodzielnie kierowałem swoim losem i nie chciałem przyznać, że historia mojego życia może być zapisana w liniach na dłoni.

Jak na Nieszczęście było to wyjątkowo pogodne miejsce. Wyglądało na to, że niekorzystne wróżby są rzadkością. W końcu niezadowoleni klienci nie są skłonni wracać. Niektórzy z wróżących zapewne wierzyli w to, co robią, inni prawdopodobnie byli szarlatanami, ale nie mogłem obwiniać ani jednych, ani drugich. Dawali ludziom szczęście, a Wróżbogród sprawiał wrażenie niezwykle radosnego miasta, biorąc pod uwagę bliskość granicy z Nieszczęściem. Już rozumiałem, dlaczego Tnota uczynił je swoim domem.

Drewniane budynki odbijały śmiech i radość w rozświetloną fosem noc, ale był to desperacki śmiech pełen napięcia, który w większości wchłaniało niebo. Szedłem z opuszczoną głową i rękami w kieszeniach do domu Tnoty.

Był większy od pozostałych budynków mieszkalnych, chociaż dużo mniejszy niż najbardziej oblegane piwiarnie. Zmarszczyłem czoło, gdy pomimo ciemności zobaczyłem, że dom popada w ruinę. Ogródek, który kiedyś sam wypielilem, zarosły wątłe chwasty. Szyby pokryła warstwa pyłu naniesionego z Nieszczęścia, a całość sprawiała ponure i zaniedbane wrażenie. Tnota nigdy nie przejmował się warunkami, w jakich mieszka, ale sądziłem, że Giralt ma na niego dobry wpływ. Coś się niewątpliwie zmieniło, a jeśli także w tej kwestii sprawy się posypały, to ta wizyta nie będzie należała do wesołych. Tnota znalazł tutaj szczęście – na skraju strzaskanego nieba, mimo piekła czającego się za progiem.

Trzykrotnie energicznie zapukałem. Po kilku chwilach w środku coś się poruszyło i drzwi stanęły otworem.

Upływ czasu źle się obszedł z Tnotą i znacznie go postarzył w ciągu zaledwie kilku lat. Podejrzewałem, że Tnota ma pięćdziesiąt kilka lat, i chociaż znałem starszych ludzi, to nigdy nie spotkałem starszego nawigatora. Resztką włosów na jego głowie zbielała, a chociaż jego fracańska skóra pozostała gładka, lata pijaństwa odcisnęły swoje piętno. Otworzył drzwi podchmielony, z rozchełstaną koszulą, spod której wystawał zwisający brzuch. Zamrugnął, ściskając w dłoni gliniany dzban, a po jego szklistym

wzroku domyśliłem się, że zaczął pić wkrótce po wschodzie słońca i nie przestał ani na chwilę.

– Ryhalcie – odezwał się. Kilkakrotnie zamrugał, jakby nie pojmował, na kogo patrzy, a potem wyszedł z domu i objął mnie jedną ręką. Cuchnął jak trzytygodniowa skarpeta. – Zaraza, Ryhalcie. Kopę lat. Nie spodziewałem się ciebie. Nie posprzątałem.

– Mogę zejść z ulicy?

– Jasne. Oczywiście. Czuj się jak u siebie. Weź sobie dzbanek ze spiżarni. Cokolwiek zechcesz. Wszystko, co mam, należy do ciebie. Dobrze o tym wiesz.

Chwiał się na nogach, solidnie odurzony. Dwie długie świece rzucały słaby blask. W domu było zimno, a woń zaniedbania unosiła się w powietrzu jak wieczorna mgła. Tnota usadowił się na krześle. Oczekiwałem, że ożywi się na mój widok i zasypie mnie pytaniami, ale zamiast tego zaczął powoli bujać się na krześle, które skrzypiało w rytm cykania starego stojącego zegara. To były jedyne dźwięki w pomieszczeniu. Podszedłem do szafki w spiżarni. Niewiele znajdujących się w niej przedmiotów można by nazwać jedzeniem. Stały tam głównie słoiki z pastą rybną. Znalazłem także kilka dzbanów z piwem, ale to już była przeszłość, która nie przyzywała mnie tak jak dawniej. Tnota nie miał żadnego trunku, który mógłby zbudzić tego dawnego demona. Wróciłem z pustymi rękami i dołączyłem do przyjaciela w ciemnym salonie. Mrużył oczy w mroku, jakby miał kłopoty z koncentracją.

– Minęło sporo czasu – odezwałem się.

Tnota popatrzył na mnie zamglonym wzrokiem.

– Nie byłem pewien, czy tym razem wrócisz. – Przyjrzał się mojej nadmiernie bujnej brodzie. W Nieszczęściu nie miałem dla kogo się golić. – Nie pasuje ci.

– Zawsze wracam – odrzekłem.

– Ale jeszcze nigdy nie zniknąłeś na tak długo. – Tnota zmrużył oczy, licząc coś w myślach. – Na prawie pół roku.

– Niemożliwe, żeby minęło tyle czasu – odparłem, marszcząc czoło. Ale odszedłem z miasteczka późną wiosną, a teraz zbliżała się

zima. Straciłem rachubę czasu. Straciłem orientację. Niesamowicie, że wystarczyło mi amunicji na tak długo.

– Giralta nie ma? – spytałem.

– Odszedł – wyjaśnił Tnota. Nie było mu łatwo to powiedzieć. Zastanawiałem się, co to dokładnie oznacza. Giralt prowadził jeden ze sklepów wielobranżowych zaopatrujących górników, którzy wyruszali na ekspedycje. Był dobrym człowiekiem, uczciwym i stanowczym. Miał tyle samo lat co Tnota i lubiłem go.

– Daleko?

– Na tyle daleko, że dzisiaj się z nim nie zobaczymy – odrzekł Tnota. Przytłoczył mnie ciężar smutku w jego słowach i postanowiłem nie naciskać. Spędzili razem trzy lata na skraju Nieszczęścia. Być może to wszystko, na co można liczyć. Z Tnotą trudno było się dogadać. Był tchórzem i chlał jak niepewny pan młody. Ale był także lojalny i miał dobre serce. Giralt był szlachetnym człowiekiem. Chciałem wiedzieć, co się między nimi stało, ale są rzeczy, o które nie wypytuje się swojego ostatniego przyjaciela.

Stałem niepewnie, zbierając się na odwagę, by zadać pytania, które domagały się odpowiedzi. Tnota kołysał się na krześle, wbijając wzrok w ciemność. Nie było po nim widać, że jego najlepszy przyjaciel właśnie wyłonił się z koszmaru i przyszedł do jego domu. Powinien mnie o coś zapytać. Powinien się przejąć.

– Słyszałeś o jakichś objawieniach Elizabeth?

– Nie – odrzekł.

– Żadnych? – nie ustępowałem.

Tnota zwrócił na mnie zaropiałe oczy i zamrugnął, jakby z trudem wydobywał wspomnienia spod potężnej góry.

– Tutaj rzadko docierają do nas tego typu wieści. Minęły całe lata. Jeśli ona wciąż jest w świetle, to ja nic o tym nie słyszałem. Pewnie odeszła. Wiem, że nie to chcesz usłyszeć.

Powiedział to tak, jakby jego słowa nie były druzgocące, ale ja tylko pokiwałem głową. Przestudiowałem swoje dwie nieprzeniknione księgi. Wiedziałem, że Elizabeth znika ze świata

i nawet jej pólstnienie musi dobiec końca. Nic nie trwa wiecznie – może poza Bezimiennymi.

– A Amaira? Coś o niej słyszałeś?

– Ani słowa. Cokolwiek robi dla twojego szefa, musiała wyjechać i wciąż nie wróciła. Ale Dantry nadal jest na wolności. Jeszcze go nie złapali. Wysadził w powietrze fabrykę fosu, i to dużą. Podobno to był wypadek, chociaż kiedy coś takiego zdarza się trzykrotnie, trudno w to wierzyć.

– Ktoś zginął?

– Pewnie tak. Nie wiem. Może Utalentowani.

Dom wypełniła melancholia, tak gęsta, że niemal miała smak. Kiedy byłem tutaj ostatnio, wewnątrz rozświetlały jasne lampy, a Giralt przyrządzał jagnięcą łopatkę. Z krokwi zwieszały się pęki wonnych ziół, świeży chleb leżał pod kraciatą serwetą. Teraz całe życie i radość odpłynęły. Giralt nigdy za mną nie przepadał i nie mogłem mieć mu tego za złe, biorąc pod uwagę, że przy każdym naszym spotkaniu wyglądałem coraz dziwniej, a on wiedział, że Tnota macza palce w tym, czym się zajmuję, i zapewne nie jest to nic dobrego. Ale był grzeczny, uprzejmy i ze względu na Tnotę traktował mnie jak gościa. Cieszyłem się, że znaleźli coś wartościowego.

Pukanie do drzwi.

– Spodziewasz się gości? – Wstałem i przesunąłem dłoń na rękojeść miecza. Kierowała mną paranoja, dawna ostrożność. Nikt nie wiedział, że tutaj jestem.

– To pewnie tylko chłopak z tawerny przyszedł przyjąć zamówienie na jutro – odrzekł Tnota znużonym głosem. – Może ktoś chce, żeby go zaprowadzić do kopalni. Ostatnio nie przyjmuję zbyt wielu zleceń, ale jakoś muszę zarabiać na życie.

Powoli wstał z krzesła i wyszedł do przedpokoju. Przez chwilę słyszałem głos dziecka, a potem drzwi się zamknęły i Tnota wrócił. Ponownie opadł na krzesło i zapatrzył się na płomień świecy. Wyglądało to tak, jakby zapomniał o mojej obecności.

Zupełnie straciłem humor, widząc swojego przyjaciela w takim stanie. Nie miałem łatwego życia, ale Tnota sprawiał wrażenie

jeszcze bardziej udręczonego. Może dlatego, że doświadczył szczęścia, a ono go opuściło. Może.

Rozumiem, w jaki sposób przygnębienie może człowieka pochłonać. Czujesz je w zmęczeniu, które wszędzie ci towarzyszy i uciska twoje oczy, podpowiadając, żebyś wszystko przespał. Ukrył świat pod snami i zamkniętymi powiekami, żeby nie być niczego świadomym. Każe ci działać rozpaczliwie i coś zmienić, by poprawić sytuację, a zarazem wmawia, że nie da się niczego zrobić i nie ma sensu próbować. Powtarza ci, że coś miałeś i to nigdy nie wróci, a butelka przynajmniej zabierze ból na kilka godzin... chociaż nigdy się tak nie dzieje. To przygnębienie zakorzeniło się w Tnocie nie tylko dlatego, że był pijany. Jedną ręką objął dzban piwa, jakby przyciskał do piersi dziecko, po czym nieświadomie wypowiedział kilka bezgłośnych słów do płomienia świecy.

Wstałem z krzesła i podszedłem do starego kufra. Otworzyłem go i zacząłem grzebać w środku. Znalazłem tylko stare narzędzia, zużyte i matowe.

– Masz jakieś problemy z gęśmi?

Tnota pokręcił głową. Nie okazał zainteresowania. Nie powiedział niczego więcej. Tylko wbijał wzrok w ciemność.

Zamknąłem kufer i podszedłem do komody. W pierwszej szufladzie leżały ścierki, czyste i równo poskładane. Znak, że ktoś dbał o swoje życie i był dumny z uczciwej pracy. Świat Giralta, wciąż nienaruszony.

– Kiedy ostatnio kontaktowali się z tobą Dantry i Maldon? – spytałem. – Nie odzywali się?

– Nie, odkąd byłeś tu po raz ostatni – odrzekł Tnota, zupełnie jakby to nie miało znaczenia. Jakby ich działalność nie była kluczowa.

W pozostałych szufladach znajdowały się srebrne sztucce, stara butelka z panaceum, naczynia i licencje. Tnota bez słowa patrzył, jak szperam w jego rzeczach. Zamknąłem szuflady.

– Ludzie z cytadeli pytali o ciebie dwa miesiące temu – rzekł Tnota.

– Domyślasz się, w jakiej sprawie?

Tnota nieznacznie wzruszył ramionami.

– Pewnie w tej, co zwykle.

– Davandein może iść przypalić sobie dupę – odparłem. – Nie jesteś dzisiaj zbyt rozmowny. Nie cieszy cię mój widok?

– Chyba tak – odrzekł Tnota. Ponownie przyłożył dzban do ust. Napił się, a trunek spłynął mu po brodzie na pierś. Pocił się. Miał zrujnowane zdrowie, ale już wcześniej widziałem go pijanego i smutnego. Tym razem stało się coś gorszego. Duchy wiedzą, że razem przeszliśmy przez piekło i widzieliśmy wiele rzeczy, które mogły nas pognębić. Ale takie zachowanie nie było w jego stylu.

Otworzyłem szklane drzwiczki stojącego zegara. Na dnie, pod wahadłem, leżały dwa stare kocy. Poruszyły się nieznacznie, kiedy wystraszyłem coś, co się pod nimi kryło.

– Mam cię – powiedziałem. Schyliłem się i podniosłem koc.

Kiedy Upadek Wron wszystko spieprzył, sprowadził nie tylko deszcz. Uwolnił coś innego, włókna mrocznej i straszliwej mocy, które zmieniały wszystko, na co opadły. Setki wron runęły z nieba z wypalonymi oczami i stąd wzięła się nazwa tego dnia. Na dalekim południu kolor pomarańczowy zniknął na cały rok. Mieszkańcy Pyre przez niemal miesiąc mówili wspaniale. Pojawił się nowy gatunek mięsożernych gęsi, które pożerały kolejne gospodarstwa, wściekle kłapiąc zębami, dopóki rolnicy ich nie wybili. Ale ze wszystkich dziwacznych plag, które spadły na świat, najgorsze były wysysacze.

Pod kocem leżał stwór. Miał humanoidalne kształty i osiem cali wzrostu. Był mlecznobiały i zdeformowany, jakby jego ciało nieumiejętnie ulepiono z gliny. Podniósł na mnie szeroko otwarte oczy, które tkwiły w twarzy niepokojąco przypominającej oblicze Tnoty. A więc przebywał tutaj już od dłuższego czasu. Dłużej niż miesiąc. Kiedy go odkryłem, próbował wpełznąć pod koc, a z jego naśladowczych ust wydobył się przenikliwy skrzek. Chwyciłem go za szyję. Wysysacze miały zęby, niewielkie, ale jednak.

– Patrz, co znalazłem – odezwałem się. Tnota obojętnie popatrzył na szarpiącą się istotę. Przytulił dzban do piersi. – Przykro mi. Będzie bolało.



Położyłem wysysacza na podłodze, nakryłem go butem i oparłem się na nim całym ciężarem ciała. Rozległ się chrzęst, pękły drobne żebra, trzasnęła czaszka. Stwór wydał z siebie pisk agonii. Uniosłem but i mocno go opuściłem, raz, a potem powtórnie. Jedna z patelni spadła z haczyka na ścianie.

Tnota jeszcze przez kilka chwil patrzył na mnie bez zainteresowania, a potem to poczuł. Życie, które wysysacz mu odbierał, gwałtownie się w niego wlało. Podskoczył na krześle. Wysysacze karmią się siłą woli, którą czerpią od ludzi. Z czasem przyjmują kształt ofiary, do której się przytwierdziły. Kradnąc duchową siłę, zaczynają przypominać swojego żywiciela. Stopniowo stają się większe. Słyszałem o pewnym osobniku w więzieniu, który osiągnął pełne rozmiary, ale stwory zazwyczaj znajdowano wcześniej i się ich pozbywano. Były prawdziwą plagą w miastach. Pojawiły się pod wpływem magii, która przetoczyła się przez świat, gdy Bezimienni starli się z Królami Głębi.

Tnota westchnął, jakbym wyciągnął go spod wody, i łapczywie zaczerpnął powietrza, a następnie zgiął się wpół, jakby otrzymał cios w żołądek. Dałem mu czas, żeby się pozbierał, zachowując obojętną minę, chociaż w głębi duszy czułem gniew. Zaufałem Tnocie, potrzebowałem go. Dlaczego niczego nie zauważył? Powinien być mądrzejszy. Lepiej go wyszkoliłem.

– Kurwa. Ryhalt. Ja pierdołę. Mamy problem.

– Mieliliśmy problem – odparłem. – Teraz to tylko obrzydliwa plama na twojej podłodze.

– Nie o tym mówię – odrzekł. Wziął kilka gwałtownych wdechów, jakby przez rok brakowało mu powietrza i dopiero teraz przypomniał sobie, jak bardzo go potrzebuje. Zamrugał i spróbował skupić wzrok. – Chodzi o Giralta. Dorwali go, zabrali. Nie wiem dokąd. Pojawił się jakiś facet. Prawdziwy drań. Wędrował na południe wzdłuż Łańcucha. Szukał cię.

– Mnie?

– Tak... To on umieścił tutaj tę rzecz. Ostrzegł, że jeśli nie zostawię jej w spokoju, przyśle mi oczy Giralta. – Wspomnienie tamtych wydarzeń wciąż go dręczyło. Potrząsnął głową, żeby je odpędzić, po

czym uderzył się dłonią w skroń, jakby w ten sposób mógł się pozbyć bólu. – Musisz ruszać, Ryhalcie. Tamten chłopak każdego dnia pojawia się przy drzwiach, żeby sprawdzić, czy tu jesteś. Przekaż facetowi wiadomość.

Szybko zrozumiałem, co się dzieje.

– A ty masz mnie zatrzymać, dopóki po mnie nie przyjdą?

Oczy Tnoty powiedziały mi wszystko. Bał się o swojego ukochanego. Gardził sobą za to, że mnie zdradził. Nie mogłem go o to winić. Wysysacz odebrał mu wolę walki. Zmiażdżyłem szczątki małego potwora pod butem.

– Przepraszam – powiedział Tnota.

– Ile mam czasu?

– To zależy, czy będziesz uciekał, czy walczył.

Przez chwilę się nad tym zastanawiałem.

– Masz proch? Amunicję?

– W tym samym kufrze co zawsze.

Rozprostowałem palce, aż chrupnęły stawy.

– Powiedz im, żeby przyprowadzili Giralta. Znajdą mnie u Sava.

# 5

Od zawsze darzę bary sympatią. Czuję się w nich jak u siebie i wiem, czego mogę się spodziewać. Większość barów ma taki sam rozkład pomieszczeń. Pojawiają się w nich tacy sami ludzie. Tak samo się wchodzi i wychodzi. Doskonale znałem Jedne Drzwi Sava. Światła były zbyt jaskrawe, piwo kiepsko uwarzone, a mieszkający tam wróżbici wychodzili o dziewiątej. Dzięki temu mniej osób mogło stanąć na linii strzału. Ale przede wszystkim chciałem, żeby znaleźli mnie w znajomym miejscu.

Lokal był prawie pusty, tylko jakiś zafrasowany mężczyzna polerował mosiężne sztuce za barem, który ciągnął się wzdłuż lewej ściany. Zlustrowałem wzrokiem balkon okalający pojedyncze duże pomieszczenie, ale nie dostrzegłem żadnych zagrożeń. Wciąż zakrywałem usta maską chroniącą przed pyłem, żeby nie pokazywać twarzy, a grube gogle przeznaczone dla Utalentowanych maskowały bursztynowe światło, które sączyło się z moich oczu.

– Zimny mamy wieczór – odezwałem się głosem surowym, chrapliwym i suchym jak piasek. – Whisky.

Barman z trudem przełknął ślinę.

– Nic lepiej nie rozgrzewa – przyznał, ale drżała mu dłoń. To on był Savem, którego imię nosił lokal, i pracował w nim od samego początku. Wiedział, kim jestem. W każdy inny wieczór przy stolikach siedziałyby co najmniej tuzin zdesperowanych górników, którzy wymienialiby się opowieściami o dępach i zwinniakach. Mały posłaniec najwyraźniej rozpuścił język i wieści pomknęły główną ulicą Wróżbogrodu jak nagły podmuch wiatru: u Sava będzie zamieszanie. Żołnierze po służbie wrócili na swoje prycze, poszukiwacze ukryli się głębiej niż pokłady srebra, którego pożąдали.

Woleli nie wplątywać się w coś, co ich nie dotyczy. A zatem ludzie trzęsący tym miastem to nie byle kto. Są niebezpieczni.

Sav nalał mi whisky, popatrzył na mnie i nalał kolejne dwie porcje. Włożyłem usmarowaną szklaneczkę pod maskę. Wciągnąłem powietrze. Odkąd się zmieniłem, nie działało to na mnie tak jak dawniej. Zaciągnąłem się aromatem, ale nie zamoczyłem ust, pozostawiając demona tam, gdzie jego miejsce.

Do baru wszedł rudowłosa mężczyzna i otrzepał długi płaszcz. Pozdrowił barmana przyjacielskim gestem, popatrzył na mnie i najwyraźniej nie spodobało mu się to, co zobaczył, bo pośpiesznie oddalił się w stronę jednego ze stolików. Odstraszałem klientelę.

– Dawno cię nie było w tych okolicach. Dołączysz do którejś z wypraw wydobywczych? – spytał Sav. Trzymał się blisko z butelką w pogotowiu, ale odstawiłem nietkniętą whisky na blat. Nie przyszedłem tutaj, żeby się napić, a Sav rozmawiał ze mną tylko po to, by uspokoić nerwy. Pewnie żałował, że nie wybrałem innego baru.

– Wątpię – odparłem. Nietknięta whisky stała między nami.

Barman zadrżał, podniósł jedną ze szklaneczek i wychylił trunek. Nie patrzył mi w oczy, gdy ponownie napełniał szkło. Nie znałem go zbyt dobrze, ale na przestrzeni lat kilka razy mi polewał. Nietrudno było mnie rozpoznać. Byłem nieco potężniejszy od większości wychudzonych awanturników, którzy się tutaj pojawiali.

– Co sprowadza cię z powrotem? – spytał. Lekka nerwowość w głosie. Zerknięcie na miedzianą skórę moich szorstkich dłoni.

– Szukam człowieka imieniem Giralt. Prowadzi sklep naprzeciwno.

– Znam Giralta. Ale jakiś czas temu wyjechał. – Barman niezręcznie się uśmiechnął. – Nie jestem pewien dokąd.

– Niedługo przyjdzie – odrzekłem. – Lepiej dla wszystkich, żeby tak się stało.

Odpiąłem maskę. Zdjąłem gogle. Pokazałem barmanowi metaliczny połysk swojego ciała. Czarne włókna skażenia biegnące pod skórą. Bursztynowy blask oczu. Ale to wyraz mojej twarzy sprawił, że Sav zaczął się jąkać.

– Zaraza – wykrztusił. – Zabierz butelkę. Wynoś się. Nie chcę tutaj żadnych kłopotów. To nie musi być tutaj, człowieku. Wybierz jakieś inne miejsce.

Jego słowa brzmiały całkiem przekonująco, ale dłonie szperały pod blatem, i możliwe, że by mnie zaskoczyli, gdyby nagle nie zerknął na coś za moimi plecami, czego nie powinienem był zobaczyć.

Poczułem zmianę w powietrzu, jakiś ruch za mną, i szybko odsunąłem się w bok, unikając ciosu pałką. Broń grzmotnęła o kontuar, który pękł z ostrym trzaskiem. Kiedyś wierzyłem, że należy brać wrogów żywcem i przesłuchiwać przed odesłaniem ich do piekieł. Ten czas minął. Wyszarpnąłem nóż, rzuciłem się naprzód i kilka razy dźgnąłem pogranicznika w brzuch. Był trupem, zanim uderzył o ścianę, chociaż jeszcze o tym nie wiedział i kurczowo zaciskał dłonie na wypływającej z niego czerwieni, jakby mógł w ten sposób zyskać kilka godzin życia.

– Na duchy! – syknął Sav. Chwycił pistolet, który trzymał pod barem, i z trudem odciągnął kurek. Okręciłem się i rzuciłem nożem. Ostrze wbiło się w szyję barmana tuż nad mostkiem. Obrócił się, nogi ugięły się pod nim i runął na podłogę.

Wiedziałem, że za chwilę rozpęta się piekło. Musiałem znaleźć osłonę.

Pobiegłem w stronę baru i rzuciłem się za niego w tej samej chwili, gdy ktoś kopniakiem otworzył drzwi i do środka wszedł mężczyzna z rusznicą, oślepiony bijącym z niej dymem. Sięgnąłem po pistolety przy pasie. Nie mógł mnie trafić za kontuarem, a stojąc w progu, stanowił łatwy cel. Mój pistolet szczęknął i niedoszły zabójca runął do tyłu z dymiącą dziurą w piersi. Schyliłem się, sięgnąłem za siebie i chwyciłem butelkę whisky. Pozostał mi jeszcze jeden pistolet, a dopóki masz whisky i spluwę, czy możesz mówić o pechu?

Okna od frontu rozpadły się w drobny mak, gdy ciężkie bełty z kusz przebiły się przez nie i roztrzaskały lustra za barem na połyskujące okruchy, a trio rusznic szczęknęło, wypluwając pociski. Rozbite szkło posypało się jak deszcz, rozświetlany fosem znak

reklamujący NAJLEPSZE POTRAWY Z GRILLA zatrzeszczał i wypluł niewielkie łuki błyskawic. Zamknąłem oczy i potrząsnąłem głową, żeby pozbyć się szkła z włosów. Ktokolwiek postanowił mnie sprzątnąć, sprowadził ze sobą pokaźną bandę. Podejrzewałem, że nie przyjdzie sam, być może zabierze kilku oprychów, tymczasem zwerbował cały oddział. Dawne przyzwyczajenia, dawno pogrzebane, zachęcały mnie, żebym pociągnął łyk whisky, ale tylko się skrzywiłem i odrzuciłem butelkę, rozlewając trunek. Nie szkodzi. Miałem wystarczająco dużo broni, by zmierzyć się z każdym, może poza całym batalionem.

Zerknąłem w stronę Sava. Wybrałem jego lokal, ponieważ, jak sama nazwa wskazuje, Jedne Drzwi miały tylko jedno wejście, a główne pomieszczenie otaczała galeria. Pod kontuarem zauważyłem przyciski służące do obsługi oświetlenia, wyraźnie oznaczone strzałkami. Przełączyłem trzy z nich, gasząc rurki z fosem wszędzie poza ścianą nad wejściem. Ktoś, kto spróbuje z niego skorzystać, nie będzie zachwycony.

– Galharrow! – zawołał ktoś z zewnątrz. Silny południowy akcent, mocny głos, ani cienia pośpiechu albo zatroskania tym, że załatwiłem dwóch jego ludzi. Nie odpowiedziałem. Jak najszybciej przeładowałem pistolet, a potem zabrałem broń Sava i schowałem obie spluwy w bandolierze. Poruszyłem mieczem w pochwie. Wysunął się bez trudu, świeżo naoliwiony. Zacisnąłem zęby i czekałem.

– Galharrow! Wiem, że tam jesteś! – znów odezwał się głos. – Jesteś otoczony, co nie?!

Wyszarpnąłem nóż z gardła nieruchomego barmana i nie odpowiedziałem. Poszukałem cygara w płaszczu. Bywają takie chwile, gdy uświadamiasz sobie, że to może być twoje ostatnie.

– Niepotrzebnie wszystko komplikujesz! – zawołał głos z południa. – Porozmawiajmy!

W Łańcuchu można usłyszeć wszystkie odcienie mowy. To miejsce obcych i imigrantów, skupisko ludzi wystarczająco dzielnych, by walczyć, albo zbyt pechowych, by tego uniknąć, a jednak ten akcent był bardzo charakterystyczny. Pochodził z Pyre, wyspy, na której

zadomowiła się Pani Fal, daleko na południu, gdzie zawsze panowało lato.

– Przed chwilą nie wyglądało na to, że chcesz rozmawiać! – odkrzyknąłem. Zaciągnąłem się cygarem, rozżarzając końcówkę. Tanie gówno. – Świadczą o tym dwa trupy, które tutaj mam, a sądząc po hałasie, jaki robi reszta twoich chłopców, niedługo będzie ich więcej!

Czas się ruszyć. W barze było całkowicie ciemno, nie licząc pojedynczego światła nad drzwiami. Przykucnąłem i ruszyłem w stronę schodów. Niełatwo pozostawać niezauważonym, gdy waży się sto trzydzieści kilogramów, więc musiałem liczyć na odrobinę szczęścia. Napastnicy już z pewnością przeładowali broń i byli gotowi przeciąć mnie na pół bełtami i pociskami. Ktoś mógłby trafić mnie przypadkiem w ciemności.

– Niespokojni amatorzy! Dali się ponieść emocjom! – zawołał mężczyzna. – Wyszli przed szereg. Zresztą pierwszemu dałem tylko pałkę, co nie? Ciężko znaleźć dobrych ludzi w takim miejscu.

– Wydaje mi się, że gdybyś chciał pogadać, mógłbyś to załatwić w prostszy sposób! – odkrzyknąłem, ale to była tylko pusta gadka i bardziej skupiałem się na przemieszczaniu wzdłuż galerii, aż dostrzegłem okno na piętrze wychodzące na ulicę.

– Niełatwo cię przyszpilić – stwierdził mężczyzna z akcentem. Stał za swoimi ludźmi, przywódca, który nie chce być w awangardzie. Długie czarne włosy, długi ciemny płaszcz. Szczupła sylwetka. Przyprowadził ze sobą Tnotę i trzymał go za kark. – Oto, co zrobimy. Mam ze sobą twojego Fracańczyka, a także sklepikarza. Jeśli nie chcesz, żeby ich języki wpadły do baru, wyjdź porozmawiać.

Zauważyłem Giralta, związanego i porzuconego pod ścianą. Człowiek z północy, który wyraźnie gorzej zniósł ostre traktowanie. Tnotę także sponiewierano, ale nic mu się nie stało. Chociaż się nie opierał, i tak dali mu wycisk. Czerwone zadrapania i skaleczenia szpeciły jego skądinąd nieskazitelną twarz i miał spuchniętą dolną wargę. Ludzie muszą uświadomić sobie, kim są i co powinni robić. Wiedzą, że nie unikną stosowania przemocy, i chcą sobie udowodnić, że są do tego zdolni, więc wyżywają się na łatwym celu.

Widziałem to tysiące razy w Łańcuchu. Tylko że tym razem długowłose pozwolił im wyładować agresję na jednej z niewielu osób, które coś mnie obchodziły.

– Jesteś uwięziony – odezwała się Nenn. Opierała się o kredens i przerzucała monetę z ręki do ręki.

Zamrugalem i potrząsnalem głową.

– Nie powinno cię tutaj być – wyszeptalem.

– Nigdy nie przepadałam za zasadami.

Duch Nenn upuścił monetę, wzruszył ramionami i posłał mi znaczące spojrzenie. Miała rację, ale nie bez powodu wybrałem bar Sava. Podejrzewałem, że ktoś, kto chce mnie dopaść, nie przyjdzie sam, a także nie będzie chciał szturmować drzwi, gdy już się przekona, że to zły pomysł.

Banda zebrała się na ulicy. Nerwowi mężczyźni i kobiety. Rusznikarzami byli żołnierze ze stacji Łańcucha w zaniedbanych mundurach, a kusznicy wyglądali jak górnicy pracujący w Nieszczęściu albo najemnicy, którzy ich tam prowadzą. Pijacy i desperaci. Wątpiłem, czy ciemnowłose dobrze im zapłacił, ale byli ryzykantami i już stracili kilku ludzi. To wyprowadziło ich z równowagi, a zdenerwowany wróg jest lepszy niż spokojny. Nenn nie udzieliła mi żadnych więcej rad – odeszła. W ogóle nie powinno jej tutaj być. Duchy nie mogą opuszczać Nieszczęścia. Są jego częścią, tak samo jak skały i piasek. Może Nieszczęście zbyt mocno się we mnie zakorzeniło, że bym mógł całkowicie je pozostawić, a może to tylko krew uderzająca mi do głowy sprawiała, że nie myślałem jasno. Pewnie tak.

Jedenaścioro, nie licząc przywódcy. Trzy rusznice, cztery kusze, reszta tylko z mieczami, pikami i młotami. Żadnej zbroi. Ludzie zwerbowani w pośpiechu. A zatem był samotny. W sumie dwunastka.

Kiepskie szanse.

Kiedyś powiedziałem, że nie staję do walki, gdy wróg ma przewagę liczebną, i nigdy nie walczę w przegranej sprawie. Atak na tuzin żołnierzy byłby samobójstwem. Ale Nieszczęście mnie



zmieniło. Wypaczyło. Miałem nad nimi przewagę, której nie byli w stanie pojąć.

Po pierwsze, kiedy byłem w domu Tnoty, zabrałem ze sobą kilka niespodzianek.

Po drugie, grupa ludzi stojących przy pojedynczych wąskich drzwiach stanowi doskonały cel.

Dwukrotnie zaciągnąłem się tanim cygarem, a potem przytknąłem je do lontu. Ciemnowłosa wołał coś o wyjściu bez broni, ale go nie słuchałem. Nucilem melodię, którą Lady Dovaura kiedyś grała na altówce. To było wieki temu, ale ta aria stale mi towarzyszyła. Skwierczące lonty zapewniały akompaniament. Kiedy już się wystarczająco skróciły, kopniakiem otworzyłem okno. To był znak dla Tnoty, żeby rzucić się na ziemię. Cisnąłem materiały wybuchowe na ulicę i zakryłem uszy.

Granat robi piekielny hałas. Wyrzuca mnóstwo odłamków i dymu, powoduje masę zniszczeń. Dwa granaty robią dwukrotnie większe zamieszanie.

Zwiesiłem się i zeskoczyłem z balkonu. Na zewnątrz było pełno białego dymu i wszystko cuchnęło wybuchowym proszkiem. Pośpiesznie przebiegłem przez drzwi, trzymając się nisko nad ziemią, a miecz roboli zaszepotał, gdy wysunąłem go z pochwy. Nie był delikatną bronią przeznaczoną do lekkich dźgnięć i pacnięć, ale ostrzem, które wykuto, by rozrąbywać kręgosłupy na pół.

Sunąłem przez dym jak zjawą.

Większość członków bandy leżała na ziemi, niektórzy zostali rozerwani na kawałki, inni jęczeli, jeszcze inni byli tylko oszołomieni albo wrzeszczeli z rękami przyciśniętymi do uszu. Nie musiałem mieć się na baczności, nie musiałem fechtować. Obszerne wściekłe ciosy, cięcia i smagnięcia, które rozczłonkowywały i unieruchamiały. Nie ryzykowałem, że ostrze ugrzęźnie między żebrami lub wnętrznościami, tylko odcinałem kończyny wrzeszczącym ludziom albo całkowicie uciszałem ich krzyki. Oślepieni i ogłuszeni, nie wiedzieli, kto jest wrogiem, a kto przyjacielem w kłębiącej się chmurze gęstego dymu, ale ja nie miałem takich problemów. Uderzałem każdego, kto się poruszył albo

wydał jakiś dźwięk. Jeden z górników, odważny albo spanikowany, zamachnął się na mnie toporem, ale uchyliłem się, zrobiłem krok naprzód i rozrąbałem go na pół. Jedna z najemniczek próbowała uderzyć mnie popsutą rusznicą jak pałką, ale sparowałem jej cios, po czym ciąłem ją w głowę. Mało kto stawiał mi opór. Nikt nie był w stanie skutecznie walczyć.

Wzdłuż zapyłonej ulicy kolejne okiennice zamykały się z trzaskiem. Gasły światła w domach. Ludzie, którzy wcześniej się na nas gapili, teraz koniecznie chcieli usunąć się z drogi. Umierający przewracali się na ściany, padali na kolana, nieruchomieli na ziemi. Wydawali rozmaite dźwięki, aż w końcu, gdy zamieszanie dobiegło końca, ucichli.

Kiedy dym się rozwiął, byłem sam, oblany czerwienią.

Ciemnowłosa z nieodgadnioną miną spoglądał spod przyciemnianych okularów na szczątki ludzi, których wynajął.

– Nie spodziewałem się czegoś aż tak potwornego – rzekł, przyciskając lufę pistoletu skałkowego do głowy Tnoty. Mówił spokojnym głosem naznaczonym silnym południowym akcentem. Utrata wynajętych ludzi była dla niego tylko drobną niedogodnością. – Niestety tak cię zmieniło?

Tnota się skrzywił, ale Ciemnowłosa nie zamierzał pociągnąć za spust. Gdyby tak było, najpierw wycelowałby we mnie. Zakładnik był tylko blefem, a ja go przejrzałem: gdyby rozwalił Tnocie czaszkę, stałby się bezbronny.

Krew skapywała z ostrza mojego miecza, z nadgarstka, z ręki. Gorąca. Mokra. Moja.

Ktoś mnie postrzelił. Bełt sterczał z mojej piersi. Nawet go nie zauważyłem.

Nie zrywając kontaktu wzrokowego, chwyciłem drzewce tkwiące po lewej stronie mojej klatki piersiowej. W migoczących fosowych światłach płynąca krew miała niebieskawy odcień i rozlewała się w karmazynową plamę na brudnej bieli mojej koszuli. Odłamałem kawałek drzewca z pierzyskiem. Nawet tego nie poczułem, częściowo za sprawą bitewnego entuzjazmu, a częściowo dlatego, że Niestety mnie przemieniło. Uczyniło mocniejszym. Twardszym.

Lepiej przystosowanym do znoszenia burz pyłowych, odpornym na liczne trucizny, którymi ociekały jego stworzenia. No i diabelnie trudnym do zabicia. Grot zgrzytał o żebra, gdy się poruszałem.

– Niestety zmienia nas wszystkich – powiedziałem. – Chcesz coś powiedzieć, zanim to zakończę?

Lekceważąco rzuciłem w jego stronę złamane, śliskie od krwi drzewce, a on błyskawicznie je chwycił. Nic nie odpowiedział. Nie był wystraszony. Myślał o tym, żeby zaryzykować i spróbować mnie zastrzelić. Bełt w mojej piersi i to, jak mało mi on przeszkadzał, zmuszały go do zastanowienia, czy w ogóle da się mnie zabić. Mógłby załatwić mnie strzałem w głowę – podejrzewałem, że nie przeżyję rozerwania mózgu, chociaż nigdy tego nie sprawdzałem. Ale gdyby spudłował chociaż o włos, dopadłbym go, a to nie skończyłoby się dla niego dobrze. Był szczupły, miał na sobie elegancki płaszcz do kolan i koszulę z krezą, pomimo wieczornej pory ukrywał oczy za przyciemnianymi szklami. Sięgające poniżej ramion czarne kręcone włosy natarł oliwą. Skórę miał zbrązowiałą od słońca.

– Przybyłeś aż z wybrzeża, żeby mnie znaleźć? – spytałem. – Z Pyre? Tak wyglądasz. Tak brzmisz. Ciekawe, co cię sprowadza. Nie zależy mi na tym, żeby cię zabić. W rynsztoku leży już wystarczająco dużo flaków. Ale nie przyjechałeś z tak daleka dlatego, że nie podoba ci się, jak wyglądam.

Ciemnowłosy rozważał możliwości. Był zawodowcem. Widziałem fragment rękojeści jego pistoletu i zorientowałem się, że to droga, doskonała broń skałkowa. Krój jego płaszcza świadczył o dużych pieniądzech, podobnie jak miecz przy pasie. Ale to wszystko miało praktyczne zastosowanie. Trzymał Tnotę pomiędzy nami, gdy zacząłem go okręzać. Sprytnie.

– Ciężko cię wytropić – powiedział.

– Pewnie jesteś rozczarowany tym, co znalazłeś – odrzekłem. Wskazałem szczątki jego ludzi. Niektórzy wciąż wydawali różne odgłosy, ale wiedziałem, że wkrótce umilkną.

– Wyglądasz jak coś, co wyszło z Nieszczęścia, co nie? – stwierdził.  
– W jaki sposób taki się stałeś?

Grał na czas. Rana na mojej piersi krwawiła, a kiedy minie bitewny entuzjazm, być może uderzy mnie fala bólu. Znał się na swojej robocie, a przynajmniej opierał się na właściwych założeniach. Tylko że ja już kiedyś zostałem tak trafiony. Strzelec roboli wpakował bełt w moją wątrobę. Wydobyłem go, a rana zagoiła się bez śladu.

– Czas zmienia nas wszystkich – odparłem. – Zmieniłem się nie tylko na zewnątrz. Jestem inny w środku. Potrafię czytać w myślach.

– Potrafisz, co nie? – Postawił Tnotę pomiędzy nami. Mój przyjaciel wpatrywał się w ziemię. Dobry chłopak. Nie chciał mnie rozpraszać. Powstrzymał ból i strach. Zachowywał spokój, mimo że zapewne robił w gacie. Wystarczyło jedno pociągnięcie za spust, żeby było po nim. Ciemnowłosa cofnął się o krok, pociągając za sobą Tnotę. – No dobrze, jasnowidzu. Powiedz mi, o czym teraz myślę?

Przesunąłem stopy po piasku, szykując się do ruszenia z miejsca.

– Po pierwsze, masz nadzieję, że bełt w mojej piersi w końcu zacznie mnie spowalniać – odrzekłem. – Nic z tego. Po drugie, zastanawiasz się, czy kiedy zacznę robić uniki, i tak uda ci się trafić mnie w głowę. Dobrze sobie radzisz z pistoletem. Nie znasz lepszego strzelca. Jak ja sobie na razie radzę?

– Nie mylisz się – odpowiedział. Uśmiechnął się jak lis. – Umiem trafić nurkującego sokoła.

Pokiwałem głową, jakby zrobił na mnie wrażenie.

– Nie wątpię. Ale widziałeś, jak kładę pokotem ludzi, których wynajęłeś. Nie zdziwiło cię to, w końcu nie spodziewałeś się, że mnie pokonają. Liczyłeś na to, że może mnie zranią. Może dopisze im szczęście. Ale nie daje ci spokoju to, jak łatwo się z nimi rozprawiłem. Tylko na siebie popatrz. Pocisz się od samego trzymania pistoletu, a ja? Spodziewałeś się, że znajdziesz pięćdziesięciolatka zrujnowanego przez Nieszczęście. Tymczasem ja nie dbam o bełt sterzący mi z piersi. Dlatego myślisz sobie: „Jak to możliwe? Dlaczego mnie nie uprzedzili?”.

Ciemnowłosa przyciągnął Tnotę bliżej. Jego ściśnięte usta przypominały bladą kreskę.

– Coś takiego dzieje się teraz w twojej głowie? – spytałem.

– Teraz stąd odejdziemy – odrzekł. – A ty nie pójdziesz za nami.

– Nie – odparłem. – Zostaniesz na miejscu i powiesz mi, kto chce mojej śmierci. Potem cię okaleczę. Ale jeśli powiesz mi to, co chcę wiedzieć, być może zostawię ci jeden staw w całości.

Ciemnowłosa zdjął przyciemniane okulary. Pod spodem kryły się oczy barwy wzburzonego oceanu. Powiódł po mnie falującym wzrokiem. Przyjrzał się miedzianej szorstkiej skórze, lśniąco oczom, czarnym nitkom biegnącym pod skórą jak żyły z połyskującego obsydianu. Nie bał się mnie, tylko rozważał możliwości. Szacował szanse. Ostrożny człowiek.

Miałem wielką ochotę podejść do niego, przyjąć ten pojedynczy strzał z pistoletu i ukręcić mu głowę. Ale trzymał Tnotę na muszce, a ja nie chciałem jeszcze bardziej go narażać.

– Może powinieneś spytać o ten plan swojego pana. Jeśli kiedyś się obudzi.

Zazgrzytałem zębami. Mocniej zacisnąłem dłoń na rękojeści miecza i strzepnąłem krew z ostrza.

– Wiesz, skąd wiem, że tak naprawdę nie potrafisz czytać w myślach? – spytał.

– Oświeć mnie.

Uśmiechnął się.

– Ponieważ wtedy byś wiedział, że mam ludzi na dachu.

Próbowałem powstrzymać odruch, ale moje oczy mnie zdradziły i zerknęły w stronę dachu piwiarni. Ciemnowłosa tylko na to czekał. Wyciągnął pistolet ponad ramieniem Tnoty i odstrzeliłby mi głowę, gdyby Tnota nie rzucił się w tył. Dzięki temu pocisk prześlizgnął się po moim policzku i przeciął mi ucho. Podniosłem wzrok i zobaczyłem dwóch ludzi na dachu. Trzymali dymiące rusznice, więc zanurkowałem i niezdarnie się przetoczyłem, gdy wokół mnie z rykiem wystrzeliły w górę fontanny piasku.

Tnota był bezpieczny. Płynnym ruchem wyciągnąłem pistolet barmana, wycelowałem w Ciemnowłosego i strzeliłem. Facet być może umiał trafić nurkującego sokoła, ale ja najwyraźniej nie byłem nawet w połowie tak dobrym strzelcem, ponieważ wcelowałem w okno. Ciemnowłosa rzucił się w stronę jednego z koni, wskoczył

na siodło, po czym pogalopował w ciemność. Serce waliło mi jak młotem, krew pulsowała w uszach i wciąż czułem wypełniający mnie bitewny entuzjazm, gdy wróciłem do baru i wspiałem się po schodach, ale mężczyźni, którzy do mnie strzelali, zrezygnowali z obiecanej zapłaty i uciekli w noc. Tnota był cały. Uwolnił Giralta i przywarli do siebie tak mocno, jakby cały świat nie potrafił ich rozdzielić. Nie mogłem mieć tego samego. Co gorsza, sam ściągnąłem im to na głowy. Przez niemal sześć lat żyłem samotnie w Nieszczęściu, a mimo to moich przyjaciół spotkała krzywda. Nie mogłem pozwolić, żeby za mnie krwawili. Żeby cierpieli. A co ważniejsze, żeby stali mi na drodze.

Musiałem to załatwić na własną rękę.

## 6

Czułem się jak dziecko słuchające kłótni rodziców. Zamknąłem się w pokoju na tyłach, gdzie Tnota przechowywał głównie swoją kolekcję statuetek o psich pyskach. Przypatrywały mi się oskarżycielsko z wysokich półek, gdy czyściłem sprzęt i szykowałem go do akcji. Naostrzyłem miecz, a pistolety były naładowane i gotowe do plucia pociskami. Szorowałem sztyletem po osełce, ale chropawe zgrzyty nie były w stanie zagłuszyć kłótni, która rozgorzała w dalszej części korytarza.

– Gdyby nie on, nic z tego by się nie stało – rzekł Giralt ze złością. – A teraz chcesz, żebyśmy podążyli za nim duchy wiedzą dokąd?

– To nie tylko kwestia chcenia – odrzekł Tnota. Co prawda uwolnił się spod wpływu wysysacza, ale jeszcze nie w pełni doszedł do siebie. A może po prostu nigdy nie słyszałem, jak kłóci się ze swoim partnerem.

– Wiem, że to nie jest wyjątkowe miejsce. Wyjątkowe życie. Ale, psiakrew, jest moje. Wiesz, jak ciężko musiałem pracować, żeby to osiągnąć? Mój ojciec opuścił matkę...

– ...i musiała szorować przemysłowe bębny ze smaru – dokończył Tnota. – Wiem. Mówiłeś. Wiele razy.

– Co to niby ma znaczyć? – odburknął Giralt.

Próbowałem się skupić na nożu. Dbanie o ostrze jest ważne. Chciałem być pewien, że kiedy w końcu przyjdzie na mnie czas, stanie się tak z powodu błędnej decyzji podjętej w ferworze bitwy, a nie za sprawą mojego lenistwa albo pomyłki popełnionej kilka dni bądź tygodni wcześniej. W życiu częściej wygrywasz, gdy starasz się zawnocześnie zwiększyć swoje szanse.

Bandaż wokół mojej piersi był szorstki, swędzący i działał mi na nerwy. Giralt wydobył grot bełtu. Musiał użyć noża i zagłębić go

w ciało, by się do niego dostać. Nie wiem, czym Giralt się zajmował, zanim zaczął handlować z górnikiem z Nieszczęścia, ale znał się na rzeczy. Zabieg nie był prosty. Grot trafił w żebra i zagiął mu się czubek. Bolało, ale nie tak bardzo, jak powinno, a nóż Giralta się stępił. Smród, który wydobywał się z rany, był gorszy od bólu, gorszy niż woń terpentyny i kanałów. Giralt zrobił, co mógł, a ja musiałem popatrzeć, chociaż wiedziałem, że nie powinienem. Odchyliłem bandaż i zerknąłem. Rana prawie zniknęła. Za kilka godzin nie pozostanie nawet najmniejsza blizna. Obrażenia zadane przez kulę z pistoletu już prawie się zagoiły. Dar Nieszczęścia spełniał swoje zadanie.

Zgiąłem się wpół pod wpływem ataku kaszlu, czując, jak paskudna czarno-zielona maź powoli podchodzi mi do gardła. Palika mnie w ustach i cuchnęła jeszcze gorzej niż rana. Wytarłem ją o głowę posągu, który obdarzał mnie szczególnie potępiającym spojrzeniem. Co prawda niszczenie religijnych zbiorów przyjaciela nie było w porządku, ale w końcu i tak będzie musiał je zostawić.

– Powtarzam ci, że nie jesteś mu nic winien! – wrzasnął Giralt, zapewne nie pierwszy i nie ostatni raz.

– Wszyscy mamy wobec niego dług, Gir – odrzekł Tnota. Próbował mówić tak cicho, żebym go nie usłyszał, ale bez powodzenia. – Większy, niż podejrzewasz. Ale nie w tym rzecz. Chodzi o to, że jeśli tutaj zostaniemy, będziemy trupami.

– Jedź sam – odburknął Giralt. – Zrób to, co musisz.

– Dobrze wiesz, że nie odejdę bez ciebie – odparł Tnota. – A zostać nie możemy.

Wtarłem nieco oliwy w sztylet i wsunąłem go do pochwy przy pasie. Sprawdziłem kilka innych elementów ekwipunku, ale tylko zabijałem czas. Podejrzewałem, że moja interwencja w kłótnię kochanków nie zostanie dobrze przyjęta, ale czas naglił. Spierali się całą noc i zbliżał się świt. Byłem pewien, że ktoś, kto stracił bliską osobę – a tym bardziej ktoś, komu któraś z ofiar była winna pieniądze – wkrótce zgłosi się do dowódcy jednej z dwóch pobliskich stacji Łańcucha. Chociaż cytadela przymykała oko na poczynania górników i mieszkańców Wróżbogrodu – zapewne dlatego, że cześć



cennych samorodków, które powracały z pustkowiec, trafiała do kieszeni zawiadujących – dowódcy nie będą zachwyceni masakrą tak blisko ich fortec, zwłaszcza że wśród zabitych znaleźli się żołnierze. Niezbyt dobrzy, ale jednak żołnierze, a argument, że to była tylko niewielka masakra, nie był zbyt przekonujący. W kwestii masakry skala ma niewielkie znaczenie.

Przypasałem miecze i pistolety oraz zebrałem cały osprzęt. Maź, którą rozmazałem na wizerunku Wielkiego Psa, przeżarła drewno i rzeźba straciła górną część pyska. Nie byłem zachwycony, że noszę w sobie to gówno, mimo że moje ciało goiło się szybciej niż u zwykłych ludzi.

Wszedłem do pokoju, w którym Giralt wbijał surowy wzrok w zażenowanego Tnotę. Powietrze było wilgotne od złości i żalu, a oni zamilkli, gdy wkroczyłem w sam środek ich sporu. W porównaniu z wieczornym rozlewem krwi był to drobiazg, ale również na swój sposób ważny.

– Rozumiem, że nie chcesz odejść – odezwałem się do Giralta. Tnota już się opamiętał. Popatrzyłem na komodę, fotele, niewielkie zagłębienia pozostawione przez dwóch mężczyzn, którzy każdego wieczora siedzieli razem przy kominku. – To twój świat i nie chcesz z niego rezygnować. Ale nie masz wyjścia.

– Nie mów mi, co mam, a czego nie mam. To wszystko twoja wina! – warknął na mnie Giralt. Jego twarz poczerwieniała pod brodą. Był dumny, nie był wojskowym, nie był Czarnoskrzydłym, a ja nic dla niego nie znaczyłem. Rozumiałem jego punkt widzenia.

Podszedłem do komody i wziąłem do ręki przykurzoną karafkę z czymś bursztynowym. Znalazłem szklanki. Nalałem dla nich obu i wręczyłem im szkło. Wypili pośród nieprzychylnych spojrzeń i złych emocji.

– Chcę, żebyś sobie poszedł – rzekł czerwony na twarzy Giralt. – Idź i nie wracaj. Powiedziałem mu, że masz na niego zły wpływ. Na niego i na mnie. Nawet nie wyglądasz jak człowiek. – Wycelował we mnie palcem, ale zwrócił się do Tnoty. – Właśnie tego chcesz? Naprawdę?

Tnota popatrzył na mnie bezradnie, uwięziony między galopującym stadem zwierząt a rzeką, ku której go pędziły.

– Nie jesteście tutaj bezpieczni – stwierdziłem.

– Przyjadą żołnierze – odrzekł Giralt. – Znam dowódcę stacji cztery-trzy. On się nami zaopiekuje. Jego ludzie wytropią drania, który tak mnie urządził, a jeśli tutaj wróci, następnym razem się nie wywinie. – Wskazał czarno-fioletowe cętki sińców na swoich policzkach. Tnota patrzył błagalnie. Nie mógł sobie pozwolić na przegranie tego sporu. – Jak mógłbyś to zrozumieć? – dodał Giralt z goryczą. – Już niemal nie jesteś człowiekiem.

– Masz rację – odrzekłem i oparłem się o komodę. – Ale kiedyś byłem, a nawet wtedy różniłem się od innych. Większość ludzi pragnie jedynie żyć bezpiecznie i spokojnie, wykonywać swoją pracę, napić się wieczorem piwa. Zbudować coś, przy czym będą mogli pozostać. Satisfakcjonuje ich życie bez zakłóceń. Nie pasuję do takiego świata.

– Twoje miejsce jest tam – odburknął Giralt. Zmierzył mnie wzrokiem z zaciśniętymi szczękami. Już dawno pogodziłem się z tym, co sobie zrobiłem. – Twój świat nie jest naszym światem.

– To prawda. Ale co z człowiekiem, który cię skrzywdził? Który cię uwięził, wynajął ludzi, żeby mnie zabili, i włożył wysysacza do twojego zegara, by złamać człowieka, którego kochasz? On pasuje do mojego świata. I jeszcze tutaj wróci.

Zamilkłem, czekając, aż to do niego dotrze. Zegar prowadził nas powolnym tykaniem w stronę świtu.

– Może to znów będzie on. A może następnym razem jego pracodawca wyśle kogoś innego. Nieważne. To będzie taki sam typ człowieka. A kiedy już przybędzie, zacznie wypytywać w miasteczku. Dowie się, że miałeś ze mną do czynienia. Dowie się, że odszedłem i nigdy nie wrócę. I możliwe – wątpliwe, lecz niewykluczone – że wiesz, dokąd się udałem. A zatem przyjdzie tutaj, żeby cię wypytać.

– Nie muszę wiedzieć, dokąd się udajesz – odparł Giralt. – Obaj nie musimy tego wiedzieć. Nie będziemy mieli mu nic do powiedzenia. – Podeszedł do Tnoty i objął go ramieniem, pokazując, że to nie na

niego się gniewa. Stanowili jedność, drużynę. To ja byłem problemem. Tnota sprawiał wrażenie skrepowanego.

– Problem w tym, że chociaż tak cię urządził, wciąż nie rozumiesz ludzi jego pokroju – odrzekłem. – Zapyta cię, a ty nie będziesz znał odpowiedzi. Wtedy zapyta ponownie i tym razem być może użyje pięści, ale ty nadal nie będziesz wiedział. Będzie pytał dalej, coraz natarczywiej. Zapyta za pomocą noży. Zapyta za pomocą szczypiec. Może każe ci patrzeć, gdy będzie przesłuchiwał Tnotę.

– Nie możesz tego wiedzieć – odparł Giralt, ale moje słowa przebiły się przez grubą skórę, którą próbował przywdziać.

– Owszem – odrzekłem. – Sam bym tak zrobił.

– On ma rację, Gir – rzekł Tnota. – Znam takich ludzi. Nie obchodzą ich żołnierze, którzy będą ich szukać, nie obchodzi ich, co tak naprawdę wiesz. Proszę.

W jego głosie pobrzmiwało przerażenie. W oczach czaił się strach. Biedak wpadł po uszy. Tnota nie myślał o swojej spuchniętej wardze ani skaleczeniach i otarciach na twarzy. Dbał tylko o Giralta. O jego bezpieczeństwo. Giralt w końcu przestał się opierać i zaakceptował moje słowa. Czuł rozpacz, frustrację i przytłaczający smutek na myśl o porzuceniu życia, które z takim trudem dla siebie zbudował. Tutaj, na skraju Nieszczęścia, u progu piekieł, stworzył coś własnego. Kim był przedtem? Może wyrzutkiem? Przestępcą? Sługą? Kimkolwiek był, zdążył przywiązać się do tego miejsca, które teraz błyskawicznie szło na dno, obciążone ołowiem.

Zostawiłem go z Tnotą, żeby omówili, co powinni zrobić, i wyszedłem na zimny, cichy świt. Ulice były puste. W tym mieście nie trzeba wstawać o brzasku. Górnicy i ci, którzy na nich żerują, to prawdziwi twardziele. Zapewne nie brakuje wśród nich ludzi, jakich przed chwilą opisałem Giraltowi. Większość z nich prawdopodobnie wyjrzała przez okno, gdy strzelanina się skończyła, mruknęła coś pod nosem i wróciła do łóżka.

Potrzebowałem koni. Pod lichym dachem niedaleko głównej ulicy mieściła się lokalna stajnia, ale nie miałem ochoty targować się o wierzchowce, a zresztą nie miałem wiele do zaoferowania. Kiedy wszedłem, młody chłopak, który spał za zasłoną, odchylił jej róg,

żeby sprawdzić, kto to. Gdy mnie zobaczył, kurczowo zacisnął palce na tkaninie, mocno ją gniotąc.

– Prowadzisz tę stajnię? – spytałem.

Energicznie pokiwał głową.

– Należy do mojego wujka – odrzekł. Był wystraszony. Nie odrywał ode mnie wzroku. Nie mogłem go za to winić.

– Wiesz, kim jestem?

Skinął głową.

– Zabił pan ludzi przed lokalem Sava.

– Zgadza się. Nie musisz się mnie bać. Nie zabijam dzieci. Wiesz, że część ludzi, którzy postradali życie, to byli żołnierze? Na pewno przyjechali z którejś ze stacji i raczej nie będą więcej potrzebowali swoich koni. Pokażesz mi, które to?

Był na tyle dzielny, że mi pokazał, ale w końcu samotne nocowanie w stajni w miejscu takim jak Wróżbogród wymaga odwagi.

Zdobyłem pięć koni, z których większość okazała się całkiem solidna. Czarne i brązowe, kilka z białymi skarpetkami. Zaprowadziłem je do domu, gdzie Tnota i Giralt już nie marnowali czasu. Zapakowali wszystkie potrzebne rzeczy do dużych wojskowych worków.

– Nie możesz tutaj wrócić. Nigdy. Jeśli ukryłeś cokolwiek, co może ci się kiedyś przydać, zabierz to teraz – rzekłem.

Giralt westchnął i obejrzał się na drewniany budynek. Niczym się nie wyróżniał, ale dla niego zapewne był wyjątkowy. Życie było niesprawiedliwe. Oczywiście, że tak. Jak zwykle.

– Dokąd? – spytał Tnota.

– A dokąd zawsze trafiamy? – odrzekłem. – W końcu wszystkie drogi prowadzą do Valengradu.

# 7

Podróż na południe wzdłuż Łańcucha nie była wygodna. Konie za mną nie przepadały, a w tym towarzystwie czułem się jeszcze mniej komfortowo niż w siodle. Swobodne więzy koleżeństwa, które powinny łączyć mnie i Tnotę, rujnował jego związek z Giralem. Tnota chciał przypodobać się nam obu, ja próbowałem skupić się na naszym zadaniu, a Giralt pragnął odzyskać swoje życie i marzył, żebym się odpiardolił. Nie mogłem go za to winić. Spędziłem z Tnotą wiele lat i wspólnie przeżyliśmy niejednego koszmar. Giralt wiedział, że nigdy nie będzie mógł tego z nami dzielić. W ten sam sposób duch Elizabeth wkroczył pomiędzy mnie a Valię.

Poprowadziłem nas na zachód, z dala od Nieszczęścia i drogi zaopatrzeniowej, która wiodła wzdłuż Łańcucha. Podążyliśmy za jednym z nieużywanych kanałów. Kiedyś pływały nim barki przewożące tony towarów pomiędzy stacjami, ale teraz pozostały tylko kaczki i chwasty. Stare porzucone barki stały na brzegach. W niektórych zamieszkały wydry i bernikle, w innych włóczędzy. Jako Czarnoskrzydły z pewnością dokładnie przetrząsnąłbym takie miejsce i mógłbym się założyć, że większość brudnych twarzy, które wyglądały z barek, należała do osób, które zerwały kontrakt otrzymany od cytadeli.

– Co zrobimy po dotarciu do miasta? – spytał Tnota. Obecnie niezbyt dobrze czuł się w siodle. Dokuczały mu plecy, a wodze trudno było trzymać jedną ręką. Giralt był kiepskim jeźdźcem, ale jakoś sobie radził. Ja jedynie wyszedłem z wprawy, ale podczas gdy umysł szybko przypomina sobie takie czynności, uda i jaja potrzebują nieco więcej czasu. Nikt cię nie poucza, że powinieneś dokładnie owinąć sobie sprzęt, zanim wsiądziesz na konia, ale jeśli

przez cały dzień masz wrażenie, że ktoś tłucze cię po jajkach, wkrótce sobie o tym przypominasz.

– Muszę się skontaktować z kapitanem Klaunusem i dowiedzieć, czy Wronia Stopa ostatnio odzywał się do niego – odrzekłem. – Cokolwiek się zbliża, chcę być gotowy.

– Nigdy nie przepadałem za Klaunusem – stwierdził Tnota. – Zwłaszcza po tym, czego dowiedziała się o nim Valiya.

Pokiwałem głową. To niezbyt dobrze świadczyło o Czarnoskrzydłych, że większość z siedmiu kapitanów, wliczając w to mnie, miała coś poważnego na sumieniu.

– Powiedz mi wszystko, co wiesz o ciemnowłosym mężczyźnie.

– Przedstawił się jako North – odpowiedział Tnota. – Przyjechał do Wrózbogrodu mniej więcej dwa miesiące temu. Przez tydzień nic specjalnego nie robił, dwa razy rozmawiał ze mną o planach wyprawy do Nieszczęścia. Zamierzał trochę pokopać, nic szczególnego. Wtedy już zrezygnowałem z nawigowania. Przeszedłem na emeryturę. – Zerknął na Giralta z poczuciem winy.

– A potem?

– Pewnego wieczoru przyszedł do nas do domu – odrzekł Giralt. – Wycelował mi pistolet w twarz, a kilku jego drabów poturbowało Tnotę. Zapowiedział, że jeśli nie pójdę z nim po dobroci, nakarmi mnie jego nerkami. – Spiorunował mnie wzrokiem, jakby to była moja wina. – Nie wiedziałem, o co chodzi. Zaprowadzili mnie do jakiegoś domu z piwnicą i tam zamknęli. Niczego mi nie powiedział.

– Potem kazał tamtemu chłopcu mnie odwiedzać – dodał Tnota z posępną miną. Wyraźnie cierpiał na myśl o tym, co spotkało Giralta. Każdy tak by się czuł na jego miejscu. – Nie mogłem niczego zrobić. Nie wiedziałem, czy mnie obserwują, czy nie spuszczają domu z oczu. Gdybym był w stanie, wysłałbym wiadomość do Amairy, ale ona już dawno odeszła.

– Lepiej, że nie została w to wplątana – odrzekłem, a wtedy Tnota zachichotał. Uniosłem brew.

– Ona nie jest świeżo wyklutym pisklęciem, które trzeba chronić przed deszczem – odparł. – Już nie. Po zawarciu układu szybko

nabrała krzepy. Powinieneś o tym wiedzieć, w końcu sam ją szkolileś.

Amaira. Drobna, koścista, pyskata Amaira, która tak bardzo chciała być Czarnoskrzydłą i zawarła układ z Wronią Stopą, żeby ocalić mi życie. Zrobiłem dla niej to, co mogłem. Szybko chłoneła wiedzę, jak to dzieci. Nauczyłem ją walki mieczem i sztyletem, zapasów, strzelania, wszystkiego, czego potrzebuje nastolatka, by przetrwać w Łańcuchu. Próbowałem uczyć ją liter, które dostała od Valiyi, ale opowiadałem jej także o ludziach. O tym, jak działają ich umysły, o ich słabościach, marzeniach, sposobach podejmowania decyzji. O tym, jak ich odnajdywać. Jak ich uciszać bez rozlewu krwi i jak przemocą zmuszać do mówienia. Uczyła się szybko, ale dwa lata to zdecydowanie za mało. Nie byłem przy niej, gdy kruk dostarczył jej pierwszą wiadomość dwa dni przed Upadkiem Wron. Przebywałem w Nieszczęściu, a wtedy każdorazowo wybierałem się tam na dwa tygodnie, najwyżej miesiąc. To było przed Wiecznym Domem, przed nadejściem deszczów.

Właśnie zbierało się na deszcz. Na brzegu stała mroczna stara chatka opiekuna śluzy. Zerknąłem w stronę Nieszczęścia i zobaczyłem nadciągające skażone chmury. Chatka sprawiała ponure i przygnębiające wrażenie, ale przynajmniej miała dach. Udało nam się nawet skrzesać ogień w palenisku, zanim spadły pierwsze krople.

– Zawsze miło być w pomieszczeniu, gdy leje jak z cebra – odezwał się Tnota, próbując rozniecić w sobie odrobinę dawnej wesołości.

– Jak to mówiła Nenn? „Deszcz to wiadomość od duchów, że najwyższa pora iść do baru”.

Wymieniliśmy słabe uśmiechy, ciesząc się ciepłem tego wspomnienia, zanim ostudziło je nieuniknione ukłucie żalu.

Deszcz bębnił o dach.

To wszystko wina Wroniej Stopy. Deszcz, szepty w deszczu, wysysacze: on to sprawił. Nie rozmyślnie. Owszem, byłby do tego zdolny, ale uznałby to za marnotrawstwo mocy. To był rykoszet, przypadkowy skutek uboczny Upadku Wron. Cokolwiek zrobili

Bezimienni, było to coś potężnego i straszliwego, co wykraczało poza ich wcześniejsze działania.

Nie rozumiałem wszystkiego, co się stało. Jeszcze nie. Ale Bezimienni, zamrozeni na dalekiej północy, zrobili, co mogli, by powstrzymać Śpiącego. Królowie Głębi zatopiliby świat, gdyby przywołali bestię z głębin oceanu, a Bezimienni nie mieli innego wyjścia. Ale na skutek ich czynu świat zapłonął. Trucizna spadała z nieba, a plony każdego roku były coraz skromniejsze. Słabsze. Bardziej mdłe, a niektóre rośliny nasiąkały czarnym deszczem i przestawały nadawać się do jedzenia. Jabłka były zakazane. Dynie stały się tak gorzkie, że nie dało się ich wziąć do ust. Kukurydza czerniała na łodygach.

Bezimienni wiele poświęcili, by złożyć Śpiącego z powrotem w jego lodowym legowisku, ale to nie wystarczyło. Nall powiedział, że Wronia Stopa szykuje jakiś plan, ale skoro on sam był okaleczony i umierający, przyszłość zapowiadała się wyjątkowo niepewnie.

Patrzyłem na syczący deszcz spadający na pociemniałą krainę i myślałem o tym, co Wronia Stopa zrobił z naszym światem. Niestety powstało w ogniu wbrew zasadom rządzącym rzeczywistością. Za sprawą tego wynaturzenia niebo się rozdarło, a ziemia zawrzała i zapłonęła. Furia Serca Pustki przemieniła mieszkańców Clear i Adrogorska w potwory. Wronia Stopa zdołał zatrzymać Królów Głębi, ale ogromnym kosztem. Co więcej, ze słów Nalla wynikało, że to nie wystarczyło.

Dziwnie było podróżować w towarzystwie. Przyzwyczyłem się, że słyszę tylko głosy duchów, które były odbiciami moich myśli. Kiedy zrobiło się późno, usiadłem w kącie. Tnota i Giralt długo musieli znosić rozłąkę. Chcieli spędzić trochę czasu tylko we dwóch, a ja nie mogłem winić Giralta za jego wrogą wobec mnie postawę. Zostawiłem ich samych i spróbowałem odpocząć w drugim pokoiku. Z tego, co słyszałem, sprawnie nadrabiali zaległości.

W środku nocy Tnota wślizgnął się do mojego pokoju i cicho zamknął za sobą drzwi. Przyłożył palec do ust.

– Lepiej nie hałasujmy. Zasnął – rzekł. Starał się nie zdradzać emocji, ale na jego pokiereszowanej twarzy wykwitł uśmiech.



– Nic nie jest w stanie na długo cię powstrzymać, co? – spytałem, a chociaż mój uśmiech nie był aż tak szeroki, to jednak się pojawił. Już dawno się nie uśmiechałem. Czułem się niezręcznie, jakbym próbował założyć dziecięcą czapkę, z której wyrosłem i która z pewnością nie może na mnie pasować.

Tnota usiadł po przeciwnej stronie stołu. Widziałem, że ma ochotę rzucić jakiś żart, ale w końcu uznał, że ma mało czasu i musi przejść do rzeczy. Nie chciał, aby Giralt się obudził i zobaczył, że go nie ma. Potrafiłem czytać w nim lepiej niż w książce.

– Wyglądasz gorzej, Ryhalcie – odezwał się. – Masz czerni w żyłach. Twoje oczy nie tylko lśnią, ale coś w nich płonie. Porusza się w nich jakiś płynny ogień. Mam wrażenie, że widzę w nich przeszłość i płonący świat.

Już się domyślałem, dokąd to zmierza.

– Podjąłem decyzję dawno temu. Wszyscy opracowaliśmy plan. – Obnażyłem prawą rękę, pokazałem mu stare blizny po cięciach tak głębokich, że nawet Nieszczęście nie mogło ich zagoić. STĄN SIĘ KOWADŁEM. – Od początku wiedzieliśmy, że przyjdzie nam zapłacić.

Tnota siedział w milczeniu. Wiedział, że mam rację. Wiedział, że dla mnie to już nie ma znaczenia. Co mógłbym teraz zrobić? Wrócić do zwykłego życia w społeczeństwie? Za bardzo się zmieniłem. Zniszczenia już się dokonały.

– Psiakrew, ale dobrze znów cię widzieć – powiedziałem szczerze. Podczas swoich samotnych wędrówek nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak bardzo mi go brakuje. – Chciałbym po prostu powspominać dawne czasy, ale mamy robotę do wykonania. Ktoś po naszej stronie Łańcucha chce mojej śmierci. Królowie Głębi chcą mojej śmierci. Acradius ustanowił się Imperatorem Głębi i zamierza nas dopaść. To wszystko jest powiązane.

– Wciąż mamy Maszynię – odrzekł Tnota. Wiedział, że nie rzucam słów na wiatr. – Prawda?

– Skoro Nall tak bardzo opadł z sił... nie sądzę. Wronia Stopa obmyślił jakąś broń, której mógłby przeciwko nim użyć, ale jest ranny. Posłał po mnie Nalla, żeby wcielić swój plan w życie.

– Nie słyszałeś o kapitanie Josafie i kapitan Linette – odrzekł Tnota. – Powinienem być wcześniej o nich wspomnieć.

Josaf był jednym z najpodlejszych ludzi, jakich poznałem. Brutalnym zabójcą o lodowatym sercu, który z pewnością trafiłby na szubienicę za swoje zbrodnie – sam skazywałem ludzi za mniejsze przestępstwa – gdyby Wronia Stopa nie naznaczył go tatuażem z krukiem. Linette przed rozpoczęciem służby dowodziła okrętem pirackim, ale miała w sobie pewien łobuzerski urok. Amaira ją lubiła. W sumie było nas siedmioro, a chociaż Łańcuch często wiele wymagał od swoich potajemnych obrońców, ta dwójka zdecydowanie zbyt często dawała upust swoim małostkowym okrutnym popędom.

– Co słyszałeś?

– Nie znam szczegółów, wiem tylko, że nie żyją. A gdyby ten North cię dopadł, byłabyś już trójka. Może ktoś wie, co Wronia Stopa zamierza, i usuwa jego kapitanów, by go powstrzymać.

– Możliwe – przyznałem. Ich śmierć mnie nie poruszyła. Zasłużyli sobie na taki los, a ja nie potrzebowałem ich pomocy. Łatwiej poradzę sobie z tym, co nadchodzi, jeśli nie będą stali mi na drodze. – Cokolwiek się stanie, to chyba będą ostatnie dni Łańcucha.

– Wiemy o tym, kapitanie – odrzekł Tnota, wskazując padający deszcz. – Świat płonie. Wykrwawia się. Czekamy tylko na zabójczy cios, który go wykończy.

– Już nie jestem twoim kapitanem, Tnota.

– Zawsze nim będziesz, Ryhalcie – powiedział łagodnie. – Nawet kiedy wyrośnie ci ogon i zaczniesz ziać ogniem, będziesz mógł na mnie polegać. Zbyt długo w tym siedzę, żebym teraz miał cię zostawić.

To były serdeczne i szczerze słowa. Ale wiedziałem, że nie mogę stale wymagać od niego, by angażował się w moje sprawy. Nie stawał się młodszy, a ja już nie potrzebowałem nawigatora. Nie był wojownikiem i w ostatnich latach życia zasłużył na coś lepszego niż włączenie się ze mną. Kosztowało go to już rękę.

A może po prostu egoistycznie nie chciałem, żeby zobaczył, w co się zmieniłem.

– Pytałeś o Amairę – zagadnął.

– Tak.

– A także o Maldona.

– Lepiej mieć ich na oku.

– No i o Dantry’ego. – Odliczał ich na palcach. Nic nie odpowiedziałem. Wiedziałem, do czego zmierza, i nie chciałem dać się w to wciągnąć. Tnota czasami potrafi się zachowywać jak kutas. – Chcesz jeszcze o kogoś spytać?

Z garstki osób, które przetrwały bitwę wokół Wielkiej Iglicy, zależało mi jeszcze tylko na Valiyi. Nie widziałem jej od tamtego dnia sześć lat temu, gdy po raz ostatni wyszła z naszego wynajętego domu. Postanowiła pójść własną drogą, co uszanowałem. Bolało mnie to bardziej niż wygrzebywanie grotu z rany, ale nie mogłem nic powiedzieć. Nie wiedziałem, jak ją odnaleźć, a ona nie miała powodu, by się ze mną kontaktować, zresztą nigdy nie dostała ode mnie niczego poza cierpieniem.

– Na pewno robi swoje i próbuje porządkować świat, gdziekolwiek jest – odrzekłem. – Dokonałem wyborów, które były konieczne.

– Nie wątpię – odparł Tnota. – Nikt w to nie wątpi. Ale nie martwisz się, że trafisz na nią, kiedy dotrzemy do Valengradu?

– To ona jest w Valengradzie? – spytałem bez namysłu i od razu tego pożałowałem.

– Nie wiem. Nie widziałem jej od chwili, gdy spaliliśmy ciało Nenn. Od czasu do czasu przysyłała mi wiadomości. Nie wiem, jak się dowiedziała, gdzie się ukrywam. Zawsze była aż za sprytna.

– Co ci przekazała?

– Niewiele. Podobno Amaira dwa lata temu zapowiedziała, że musi wyjechać na dłużej. Od tamtej pory nikt z nas jej nie widział. Kilka razy przekazała mi też, co księżęta planują. To wszystko.

Próbowałem powstrzymać nieznośny niepokój, który ogarniał mnie na myśl, że Amaira wykonuje rozkazy Wroniej Stopy. Była dobra: szybka, sprytna i twarda. Ale zarazem taka młoda, wciąż widziałem w niej małą dziewczynkę, z którą siedziałem po ciemku pod stołem. Może wszyscy rodzice myślą tak o swoich dzieciach. Nie była moją rodzoną córką, ale jeśli zrobiłem w życiu coś porządnego,

było to właśnie zastępowanie jej ojca, gdy tego potrzebowała. Odepchnąłem od siebie te myśli, przypominając sobie, że mała ma swoje własne życie.

– Dobrze. Cokolwiek robi, na pewno sobie poradzi. Przysłuży się Łańcuchowi. Potrzebujemy takich przywódców.

Tnota wstał i położył mi dłoń na ramieniu. Poczułem się niezręcznie. Kilka razy odniosłem go do domu, gdy był zbyt zalany, żeby utrzymać się na nogach, ale w tej chwili taki gest wydał mi się za bardzo poufały. Spod opuchlizny, otarć i guzów znaczących jego twarz wyzierała troska.

– Czasami ból nie jest zły. Nie zawsze trzeba być twardym jak granit – rzekł. Klepnął mnie w ramię, a potem wrócił do drugiego pokoju. Giralt mógł się obudzić i zauważyć jego nieobecność.

Za oknem zobaczyłem światło. Przemieszczało się równomiernie, nie przyspieszało gwałtownie ani nie podskakiwało, ale zarazem nie było powolne. Jeźdźcy z fosowymi latarniami przy siodłach jechali kłusem wzdłuż brzegu kanału.

Ogień przygasł i nie mieliśmy żadnych innych źródeł światła. Nie było powodu, by ktoś miał nas niepokoić. Rozwiązałem torbę z rusznicą i przytwierdziłem do niej lunetę. Nie załadowałem broni, tylko popatrzyłem na jeźdźców przez celownik. Mieli na sobie zwyczajne cywilne ubrania, mężczyźni i kobiety osłonięci przed zimowym chłodem. Uzbrojeni, ale w Łańcuchu dziwniejszy byłby brak broni. Jeśli byli żołnierzami, to się z tym nie obnosili. Nie robili niczego podejrzanego, jeśli nie liczyć faktu, że w środku nocy gnali wzdłuż kanału.

Powoli naładowałem rusznicę, w miarę możliwości nie chcąc alarmować Tnoty ani Giralta. Zapaliłem lont i umieściłem go na miejscu, zasypałem panewkę, załadowałem proch i kulę. Podsyciłem ogień. Wróciłem do obserwacji. Jeźdźców było pięcioro, trzy kobiety i dwóch mężczyzn. Wyglądali na twardzieli. Świat wciąż pachniał deszczem, a oni z tej odległości nie mogli wyczuć mojego lontu. Baczenie im się przyglądałem przez lunetę. Zerknęli w stronę starej chatki, ale się nie zbliżyli, tylko pognali konie dalej wzdłuż Łańcucha. Kiedy odjechali, zgasłem lont, odłożyłem broń i oparłem

się o ścianę. Gdyby to mnie szukali, zajrzeliby do domu, przynajmniej tak podejrzewałem. Nie miałem powodów przypuszczać, by chodziło im o mnie. To tylko jeźdźcy, którzy chcą jak najlepiej wykorzystać noc.

Jasne.

## 8

Jeśli kiedyś widzieliście niedbałego rodzica, który ssie zwitek białoliści, podczas gdy jego niemowlę bawi się sztucami na podłodze, to możecie mieć jakieś pojęcie o tym, co czułem, patrząc na Valengrad.

Dym z fabrycznych kominów zaczernił niebo na długo, zanim miasto pojawiło się w zasięgu wzroku, a obłoki skażenia unosiły się w powietrzu jak przygnębiający sztandar. Wielka Iglica wznosiła się wysoko, majestatyczna i okryta potężną kopułą z czarnego żelaza, którą można było otwierać i zamykać, by kontrolować gromadzenie fosu. Maszyneria trwała w milczeniu, ale było coś żałobnego w krzywiznie jej projektorów, przywodzących na myśl czapkę błazna. Oklapły znacząco, jakby zdawały sobie sprawę ze swojej zagłady.

Miasto jak zwykle cuchnęło. Ludźmi. Zwierzętami. Przemysłem. Wodą z kanałów. Niemal zatęskniłem za smrodem Nieszczęścia. Ludzie przemykali w pośpiechu, zajęci swoją pracą.

Czasami miałem poczucie, że wszystko, czego dokonałem w ciągu ostatnich trzydziestu lat, zrobiłem dla Valengradu, jego kamieni i mieszkańców, lecz tak naprawdę zrealizowałem to z myślą o dwóch drobnych istotach, które koniecznie chciałem ocalić, a także w ramach układu, który pozwolił mi się cofnąć o krok znad przepaści. Nie byłem altruistą, który stara się ocalić innych. Spotkałem w życiu tylko garstkę takich ludzi. Elizabeth przez to spłonęła, a Dantry był najbardziej poszukiwanym przestępcą we wszystkich miastach, więc nie wyszli na tym za dobrze.

Dopiero kiedy dostrzegłem cytadelę, zrozumiałem, że moja wstępna ocena sytuacji była mylna. Miasto się zmieniło. Brakowało kawałka cytadeli. Zachodnia fasada kończyła się nierówną,

poszarpaną krawędzią. Zatrzymaliśmy się na środku ulicy i z ustami szeroko otwartymi z grozy wpatrywaliśmy się w zniszczenia. Popękane świecące litery na frontowej ścianie układały się w napis ODWA i słabo skwierczały.

– Wielki Pies pyta: „Co mogło tak urządzić cytadelę, do kurwy nędzy?” – odezwał się Tnota.

– Pierwszy raz słyszę, żeby twój Wielki Pies o coś pytał – odrzekłem. – Pierwszy raz muszę się z nim zgodzić.

Tnota tylko pokiwał głową.

Z gogłami na oczach, maską na twarzy i kapturem na głowie wjechałem do miasta. Strażnicy zobaczyli, że nie wwozimy żadnych towarów na handel, więc przepuścili nas bez problemów. Służba na bramie jest męcząca nawet w najlepszych czasach, a trzech starcy nie wzbudzili ich zainteresowania. Podjechaliśmy do nich, żeby porozmawiać.

– Co się stało z cytadelą? – spytałem.

– Nikt nie chce powiedzieć – odrzekł strażnik. Unikał patrzenia na budynek.

– Kiedy to się stało?

– Dwa dni temu. W nocy rozległ się huk i zachodnie skrzydło zniknęło.

Był starszym mężczyzną. Przeżył atak Shavady na mury i ogniste pociski spadające na miasto. No i oczywiście Nieszczęście. Mimo wszystko zniszczenie cytadeli nim wstrząsnęło. Ruszyliśmy dalej.

– Jaki mamy plan? – spytał Tnota z posępną miną.

– Znajdziemy jakąś siedzibę. Wynajmiemy pokoje w tawernie. Ale nie w jakiejś zatęchłej norze ani nie w Dzwonie. Gdzieś, gdzie nikt nas nie rozpozna.

– Ciebie i tak nikt już nie rozpozna – odparł Giralt. Podły nastrój skłaniał go do uszczypliwości. Nie miałem serca się na niego wkurzać. Szczerze mówiąc, nie miałem do niego pretensji.

– Ale rozpoznają Tnotę – odrzekłem. – Ja się gdzieś zadekuję, a was wyślę na zakupy.

W żołnierskiej dzielnicy Piki znaleźliśmy porządną tawernę, w której nie tylko nie było szczurów ani pluskiew, ale oferowano

imponujący wybór piw i mocniejszych trunków. Wybraliśmy żołnierski lokal, ponieważ uznałem, że tam ludzie nie będą się dziwić ani na widok mojej zasłoniętej twarzy, ani okazałego arsenału, który wniosłem ze sobą do pokoju. Trochę się martwiłem, że kiedy wejdziemy, jakiś stary znajomy zawoła Tnotę po imieniu, a wtedy nie trzeba będzie geniusza, by skojarzyć idącego za nim potężnego faceta z jego dawnym kompanem od kieliszka. Przygarbiłem się, próbując ukryć swój wzrost i sprawiać mniej niepokojące wrażenie. Dziewczyna, która kazała Tnocie wpisać się do księgi gości, najwyraźniej nie dbała o to, kim jesteśmy, dopóki mieliśmy pieniądze.

Wynajęliśmy sąsiednie pokoje. Były wygodne, ze sprężystymi łózkami i świeżo napełnionymi paleniskami. Wysłałem Tnotę i Giralta na zakupy, a sam postanowiłem się zdrzemnąć. Niewiele spałem w drodze z północy i chociaż nie widziałem żadnych innych nocnych jeźdźców, przez cały czas byłem spięty. Położyłem się i zamknąłem oczy.

Przyśniła mi się Elizabeth. Obecnie rzadko o niej śniłem i sprawiało mi to mniej cierpienia niż kiedyś. Upływ czasu nas znieczula. Zdeterminowany człowiek w końcu poradzi sobie ze wszystkim. To nie znaczy, że ból i żal znikają, a rozżarzone węgle w głębi serca przestają się tlić. Odczucia po prostu się zmieniają. Paraliżujący ból po ciosie w żołądek przekształca się w trwałą, głęboką ból złamanej kości. Staje się znajomy. Nosisz go w sobie i akceptujesz, że nigdy cię nie opuści. Kiedy ciche pukanie Tnoty zbudziło mnie ze snu, dotkliwe wspomnienia powróciły razem ze mną, ale pozostawiłem je innej, śniącej części siebie.

Dobrze się spisali.

Kosmetyki. Kolorowe pudry, ale głównie gęsty biały podkład używany przez chorych na króliczą wysypkę do maskowania blizn. Okulary o ciężkich szklach w kształcie łez zakrywających całą twarz. Widziałem, że noszą je inżynierowie fosu, gdyż żółte szkło chroni ich oczy przed niepokornymi iskrami i promieniami skondensowanego księżycowego blasku. No i stroje. Niektóre ciasne – trudno było znaleźć porzucone ciuchy, które by na mnie pasowały,



ale w Valengradzie kwitł handel sprzętem nieboszczyków. Udało im się dostać bieliznę, spodnie, skarpety, koszule, kamizelki oraz przede wszystkim nowe buty. Moje dotychczasowe obuwie nosiło na sobie ślady Nieszczęścia. Czuję się jak dziecko, które dostało urodzinowe prezenty, i z trudem powstrzymałem się przed ich założeniem, dopóki nie obmyłem ciała w miednicy z wodą. Woda poczerniała. Potem zaczęła parować. Znalazły się w niej nie tylko pył i brud.

Kąpiel zakłócił napad kaszlu. Miałem wrażenie, że w płucach i gardle mam pełno kawałków straskanego szkła. Kiedy otarłem usta, przywarły do nich pasma zielono-czarnej smoły. Pomieszczenie wypełnił znajomy smród Nieszczęścia. Moje ciało wzmocniło się na tyle, że zaczęło odrzucać truciznę. Albo umierałem. Tak czy inaczej, miałem inne zmartwienia na głowie.

Popatrzyłem ponad dachami miasta na wznoszącą się za iglicami i słupami fabrycznego dymu uszkodzoną cytadelę. Ani śladu pożaru, stopionego kamienia ani wypaczonego powietrza, które mogłyby wskazywać na magiczną katastrofę. Maszyna i jej projektory znajdowały się wystarczająco daleko, by nie doznać uszczerbku, szczęśliwie bądź planowo. Ale czy to miało jakiegokolwiek znaczenie? Nall odchodził. Nie sądziłem, by udało nam się uruchomić Maszynę bez niego, a zresztą powiedział, że ona nie ochroni nas przed Acradiusem.

– Potrzebujemy forsy – rzekł Tnota, nakładając ostatnią porcję pudru. Moją twarz pokrywała gruba i ciężka warstwa kosmetyków.

– Kończą ci się pieniądze?

– Nie miałem ich zbyt wiele, a te pokoje nie są tanie. Zostało mi gotówki na kolejne dwa dni.

– Coś wykombinuję.

Nie wziąłem ze sobą pieniędzy. Nie nosiłem ich ze sobą w Nieszczęściu z oczywistych przyczyn. Wstyd przyznać, ale nawet nie przyszło mi to do głowy, kiedy wysyłałem ich, by kupili mi przebranie. Powinienem był o nich pomyśleć, ale nie przywykłem do troski o innych. Tnota i Giralt nie spali na pieniądzach – Giralt prowadził sklep. Wszystkie swoje oszczędności trzymał w skarpecie,

którą przeze mnie musiał zostawić. Nic dziwnego, że nawet na mnie nie patrzył, gdy Tnota malował moją twarz na białawy odcień gipsu.

– Poradzimy sobie, kapitanie. Jak zawsze – rzekł Tnota. – Gotowe. Jesteś bardziej blady od mleka, ale Wielki Pies mówi, że wyglądasz ślicznie. Może niezbyt naturalnie przez tę całą farbę, ale na pewno nie jak coś, co pochodzi z Nieszczęścia.

W pokoju wisiało lustro. Założyłem okulary i się przejrzałem. Miałem ochotę się roześmiać, ale wtedy farba mogłaby popękać.

– Może być – powiedziałem. Założyłem chustkę na głowę i postawiłem kołnierz zbyt małego płaszcza, który Tnota znalazł dla mnie. Ciuch był wystarczająco długi, ale poprzedni właściciel miał znacznie węższe barki, przez co płaszcz cisnął mnie w ramionach. Nudny matowy brąz materiału podobał mi się bardziej niż ozdobny złoty szlaczek przecinający pierś.

– Co teraz? – spytał Giralt przygnębionym głosem. Wbił wzrok w gęstniejącą ciemność.

– Muszę się dowiedzieć, kim był North i kto go posłał – odrzekłem. – Ale najpierw powinienem się skontaktować z tutejszym kapitanem Czarnoskrzydłych.

Uzupełniłem strój kapeluszem o szerokim rondzie, który, o dziwo, okazał się nieco za duży, a następnie wytoczyłem się na ulice pogrążonego w mroku miasta. Nie byłem tutaj całkowicie bezpieczny. Raczej nie groziło mi wpadnięcie na kogoś, kto rozpoznałby mnie pod warstwą pudru, ale marszałek Davandein mnie nienawidziła. Nie byłem wyjęty spod prawa, ale nie byliśmy także przyjaciółmi, a marszałek z jakiegoś powodu obwiniła mnie o druzgocący atak, jakiego Żelazne Słońce dokonało na jej wojsko. Ja z kolei nie mogłem jej wybaczyć napadu na miasto i rzezi tych biednych idiotów. Poza tym musiałem myśleć o swoich powiązaniach z Dantrym, a Urząd Bezpieczeństwa Miejskiego mógł postanowić, że – chociaż już nie byłem Czarnoskrzydłym – jako stary sprzymierzeniec zapewne znam jego miejsce pobytu. Nie kontaktowałem się z cytadelą od lat. Prawdopodobnie sądzili, że nie żyję.

Przemykałem ukradkiem zacienionymi drogami i zaplamionymi smogiem ulicami, zmierzając do porządnej części miasta, w której mieszkali paskudni ludzie. Prawnicy są najgorsi. Szczerze nienawidzę bankierów, ale oni przynajmniej oddają się chciwości jawnie i z otwartą przyłbicą. Dzielnica prawnicza była starannie wysprzątana, a wyznaczeni strażnicy odławiali dzikie świny i psy. Nie cuchnęło tutaj aż tak strasznie, ale skoro to był Valengrad, woń i tak była dokuczliwa.

Nenn czekała na mnie na rogu ulicy.

– Nie powinno cię tu być – oznajmiłem.

– To także moje miasto – odparła.

– Nie o to mi chodzi. Nie powinnaś opuszczać Nieszczęścia. Nie istniejesz poza jego granicami.

– To nie ja ustalam zasady – odburknęła. Zaczęła iść obok mnie, pogwizdując moją najmniej ulubioną ludową melodię. Sprawiała wrażenie aż nazbyt prawdziwej. Mógłbym dźgnąć ją palcem w policzek, ale tego nie zrobiłem, ponieważ gdyby była prawdziwa, zapewne by mnie ugryzła. – Może tylko sobie mnie wyobraziłeś. Może cała ta maź krążąca w twoich żyłach zaczyna mieszać ci w głowie. Chyba się tego spodziewałeś.

– Mówisz, że jesteś halucynacją?

– Pytasz własne szaleństwo, czy naprawdę go doświadczasz? Niewątpliwie jesteś obłąkany.

Przede mną wznosiła się uszkodzona wieża zegarowa, czarna iglica wyłaniająca się z gęstego obłoku zielonkawego smogu, który napływał od strony fabryki szkła. Czubek wieży zniszczył ogień z nieba i nikt nie próbował go odbudować. Sam zegar wciąż mniej więcej działał. Pokazywał cyfry, choć przeważnie niewłaściwe. Lepka, kleista zielona mgła, przez którą szedłem, chwytала mnie długimi kosmykami, które następnie zrywały się i wycofywały. Nie byłem zachwycony, że Klaunus postanowił rezydować w tym rozpadającym się monolicie. Czarnoskrzydli polegali na informatorach, a złowieszcze chemiczne wycieki w tej okolicy raczej nie zachęcały ich do przychodzenia. Ale jeśli chciał trzymać

wścibskich gapiów z dała, to miejsce miało pewien magiczny urok. A Klaunus w końcu był czarownikiem.

Smog rozwiął się równie gwałtownie, jak się pojawił i stanąłem w kręgu zimnego powietrza otaczającego wieżę zegarową. Nenn nie podążyła za mną. Kwiaty na starych rabatach skurczyły się i zwiędły, pozostawiając brązowe skorupy na czarnych łodygach, z których toksyny i brak światła wyssały życie. Jakiś młodzieniec siedzący przy drzwiach zerwał się na nogi, zrzucając koc, którym okrywał ramiona. Wyglądał na ulicznego rzezimieszka ze Ścieku, na palcach i pod oczami miał nieudolnie wykonane tatuaże, a na ogolonej głowie pozostawił tylko pasek włosów. Był uzbrojony w krzywo przypasany miecz, ale Klaunus usiłował ubrać go jak odźwiernego. Co prawda liberia miała lata świetności za sobą, ale na nadgarstku młodzieniec nosił lśniący nowością zegarek, a w uchu klejnot. Mimo wszystko nie wyglądał przekonująco i szybko się na nim poznałem. Dzieciństwo spędził na kradzieżach, jako nastolatek dostarczał pakunki z liśćmi i pyłkami, a potem często się bił i zastraszał innych. Złe odżywianie w dzieciństwie sprawiło, że nie zdołał wyrosnąć ani nabrać mięśni, ale wykształcił w sobie uliczną dzikość. Był niebezpieczny i nieprzewidywalny, jak przyparty do muru kot. Stanowił żywy dowód tego, jak problematyczne jest nominowanie na kapitanów członków arystokracji, którzy nie potrafią zrozumieć świata pod swoimi stopami. Tymczasem prawdziwą pracę wykonuje się w błocie.

– Przyszedłem do Klaunusa. Zastałem go? – spytałem.

Twardziel zmierzył mnie wzrokiem i nie spodobało mu się to, co zobaczył. Ważyłem dwukrotnie więcej od niego, ale on najwyraźniej przywykł do tego, że robi na wszystkich wrażenie i nikt mu nie podskakuje. Popisywał się, prężył fiuta. Pewnie dlatego Klaunus go zatrudnił.

– Tak? A może on nie chce się z tobą zobaczyć. Za kogo się, kurwa, uważasz? – spytał. Zdecydowanie akcent ze Ścieku.

– Jestem kapitan Czarnoskrzydłych Galharrow – odrzekłem.

Drgnął na dźwięk mojego nazwiska. Potem pokiwał głową.

– Nie ma sprawy, proszę pana, nie ma sprawy – rzekł z entuzjazmem. Jego głowa kołysała się w górę i w dół, a poza i brawura ustąpiły miejsca czemuś innemu. Zapewne nie był to szacunek. Raczej strach, zakładając, że słyszał opowieści o mnie. Nikt już nie wspominał o mojej krótkiej karierze marszałka Łańcucha. Obecnie ciągnęły się za mną opowieści o nocnych atakach i poharatanych ludziach. Jeśli wystarczająco długo przeżyjesz w tym świecie, w końcu cię zastąpią, odrzucą i znienawidzą.

Odźwierny wszedł do wieży, zostawiając swój koc w kałuży na zewnątrz. Usłyszałem jęk ładującego się komunikatora, a potem stukot nadawanej wiadomości. Po kilku chwilach młodzieniec wrócił.

– Może pan wejść na górę – oznajmił. Przycisnął się do ściany, gdy mnie mijał. – Czy to prawda, że pan powstrzymał ogień z nieba?

– Byłem przy tym, ale to major Nenn i jej chłopcy go powstrzymali – wyjaśniłem.

– Nie wiem, kto to jest – odrzekł.

Westchnąłem, ruszając po spiralnych schodach z kutego żelaza. Sześć lat temu wszyscy w mieście znali imię Nenn. Ona i jej Kaczory byli popularni. Może ten chłopak był młodszy, niż się wydawało. Tylko że jej imię już przygasało jak płomień świecy na niepowstrzymanym wietrze zmian. Jej z trudem wywalczona chwała odejdzie w ciemność razem ze mną.

Klaunus mieszkał na zimnym piętrze niedaleko szczytu wieży zegarowej. Być może sprowadziło go tutaj zamiłowanie do dramatyzmu, gdyż był jednym z tych czarowników, którzy traktują swoją pracę zbyt poważnie. Nie było to miejsce w moim stylu, ale wątpliwe, czy ja w ogóle jakiś styl mam. Schody trzeszczały pod moim ciężarem, poluzowane śruby podśmiewały się z mojej niepewności.

Klaunus już na mnie czekał, na stojąco, czego wymagają spotkania równych sobie. Miał sześć stóp wzrostu, jasną skórę, gładko ogoloną twarz i mocne kości, ale kanciaste rysy twarzy nie pozwalały nazwać go przystojnym. Był ubrany w modny fioletowy krawat i białą jedwabną koszulę z perłowymi guzikami, które odbijały słabe

światło, czyli zdecydowanie zbyt elegancko, skoro nie miał towarzystwa. Był rolnikiem, zanim Wronia Stopa zaoferował mu układ, a związany z nim prestiż – jeśli można to tak nazwać – uderzył mu do głowy. Wszyscy słudzy Wroniej Stopy zaglądali w Pustkę i widzieli rzeczy gorsze ode mnie, ale Klaunus mimo wszystko wytrzeszczył oczy.

– Byłem przekonany, że nie żyjesz – rzekł. – Myślałem, że jestem ostatnim.

Przez jedną niezręczną chwilę miałem wrażenie, że spróbuje mnie objąć.

– Ostatnim kim?

– Czarnoskrzydłym – wyjaśnił. – Wejdz. Napijesz się?

– Nie, dziękuję.

Klaunus wprowadził mnie do pokoju. Na jednej ze ścian znajdowały się koła zębate, rurki i mocno naciągnięte liny znikające w suficie. Prowadziły do napędzanego fosem zegara nad naszymi głowami. Pozostałe ściany pokrywały tablice korkowe, broszury, plakaty i ręcznie zapisane kartki, wszystkie połączone kawałkami sznurka. Niedofinansowana sieć wywiadowcza Klaunusa. W porównaniu z tym, jak Valiya dowodziła moją siatką szpiegów oraz informatorów, jego metody wydawały się niezorganizowane, mimo że wygląd jego lokum świadczył o nadmiernym umiłowaniu czystości i porządku.

Można powiedzieć, że Klaunus całkiem nieźle się przystosował w porównaniu z większością z nas. Był człowiekiem smutnym, wręcz zgorzkniałym, jednym z tych, którzy najbardziej żałowali swoich zobowiązań. Wszyscy podchodziliśmy do nich z niechęcią, może oprócz Silpura, ale niezadowolenie Klaunusa było jak chmura wisząca mu wokół ramion.

– Pozostali ostatnio się z tobą nie kontaktowali?

– A więc nie wiesz? – spytał. Założył, że nie wiem. – Kapitana Josafa znaleziono w rowie z nożem w plecach niedaleko czwartej stacji. Kapitan Linette została uduszona, gdy nocowała w tawernie. Vasilov i Amaira nie wracają od lat.

– A Silpur?

Klaunus był czarownikiem, i to potężnym, ale jego twarz zadrżała pod wpływem zakłopotania.

– Mam nadzieję, że już nigdy nie spotkam tej kreatury. Jeśli dowiem się, że zginął, zapalę fajkę i otworzę butelkę dobrego trunku.

– Wronia Stopa kontaktował się z tobą? – spytałem, siadając na kanapie, która najlepsze dni miała już za sobą. Duchy raczą wiedzieć, jak wtargali ją po tych schodach. Klaunus usiadł naprzeciwko mnie na twardym drewnianym krześle.

– Ostatnio osiem lat temu. Na długo przed Upadkiem Wron. A z tobą? – W jego głosie wyczuwałem tęsknotę. Może nawet desperację.

– Nie.

– Od jakiegoś czasu obawiam się, że spotkało go coś strasznego – rzekł Klaunus posępnym głosem. Wiedziałem, o co chce spytać. To było zbyt straszne, by o tym mówić. Albo zbyt obiecujące. Może jedno i drugie.

– Gdyby nie żył, wiedzielibyśmy o tym – odparłem. – Nie wiem, co by się z nami stało, gdyby Wronia Stopa zginął, ale raczej nie byłoby to przyjemne. Kapitanowie Zimnego wybuchli, gdy Królowie Głębi go wyeliminowali.

Klaunus pokiwał głową. Miałem wrażenie, że odetchnął z ulgą.

– Więc gdzie on się podział?

– Jest osłabiony – wyjaśniłem. – Może złamany. Ranny. Upadek Wron odcisnął piętno na wszystkich Bezimiennych.

– Płytki Grób wciąż działa – odrzekł Klaunus. – Widziałeś zniszczenia w cytadeli? To jego sprawka. Z tego, co nam wiadomo, to był wypadek, a przynajmniej tak mówią. Jakiś rodzaj broni. Ale marszałek Davandein zapieczętowała budynek i nie pozwalała mi nawet o tym opowiadać. Od dawna nie jest przyjaciółką Czarnoskrzydłych. Chyba obaj wiemy dlaczego.

Klaunus był sprzymierzeńcem, ale zarazem działał na własny rachunek. Obaj służyliśmy wronie, ale to nie oznaczało, że mogłem mu zaufać. Valiya zgromadziła dane na jego temat i odkryła, że jego imię powtarza się szeptem w związku z historią kilku młodych

ciężarnych kobiet, które uduszono. Wszystkie były służącymi i robotnicami w jego gospodarstwie. Ale Klaunusa nigdy nie było na miejscu w czasie zabójstwa. Wronia Stopa wybierał na swoich służących kompetentnych lub potężnych ludzi. Moralność uznawał za wadę. Może Klaunus wiedział o cytadeli więcej, niż mi mówił, a może nic nie wiedział. Miał własne plany i cele, podobnie jak ja. Przyjrzał mi się dokładnie, popatrzył na moje poźółkłe oczy i grubą warstwę kosmetyków rozsmarowanych na skórze. Zapewne czuł ode mnie woń Nieszczęścia.

– Gdzie się podziewałeś, Galharrow? Co porabiałeś? Wszyscy o to pytają: inni kapitanowie, cytadela, nawet Urząd Bezpieczeństwa Miejskiego. Wszyscy chcą wiedzieć, dokąd odszedłeś. Nie widziano cię od pięciu lat, a teraz nagle się pojawiaasz. Wyglądasz dziwniej niż błękitny drozd, brzmisz tak, jakbyś połknął ropuchę. Davandein chce cię aresztować za współpracę z szalonym hrabią.

O tym nie wiedziałem, ale nie byłem zaskoczony. Zastanowiłem się nad tym, ale uznałem, że North nie może pracować dla cytadeli. Nie próbował mnie zatrzymać. Starał się mnie wykończyć.

– Dokąd posłał cię Wronia Stopa? – spytał Klaunus.

Opierał się na błędnym założeniu i naruszał etykietę, pytając o szczegóły zadania.

– Pracowałem dla większego dobra. Z pewnością ty zajmowałeś się tym samym na miejscu. – Lekceważąco wskazałem jego papiery i sznurki.

Wzrok Klaunusa stał się mniej przyjazny, a ja pożałowałem swoich słów. Klaunus nie był moim wrogiem i to ja go odszukałem.

– Ktoś próbował mnie załatwić niedaleko stacji cztery-cztery. Człowiek z południa, niejaki North – szybki i wyszkolony zawodowiec. Linette i Josaf już nie żyją. Staliśmy się zwierzyną łowną.

– Zorganizowana akcja przeciwko Czarnoskrzydłym? – zdziwił się Klaunus, ściągając brwi. – Dwoje martwych kapitanów to podejrzana sprawa. Trzeci zamach wskazuje na spisek. North to niezbyt pospolite nazwisko. Sprawdzę to. – Zmrużył oczy, patrząc na ścianę kartek i sznurków.



– Co słyszałeś o Linette i Josafie? Są jakieś tropy?

– Cytadela przekazała mi informację o ich śmierci. – Zmarszczył czoło. – Josefowi wbito sztylet w kręgosłup, Linette uduszono garotą. Nie została zastrzelona ani zasztyletowana. To był zamach, nie przypadek. Uważam, że masz rację. Nikt nie nosi garoty, jeśli nie zamierza jej użyć, a Linette zawsze była czujna. Pojawił się jeden trop dotyczący jej zabójstwa. Opis nieznanego.

– O tym nie słyszałem – odrzekłem. – Coś przydatnego?

– Nieszczególnie. Jedna z pracownic tawerny twierdzi, że w dniu śmierci Linette w okolicy kręcił się Uroczy.

– Uroczy nie zabijają ludzi garotą, tylko rozdierają ich na strzępy – odparłem. – Poza tym już od dawna nie widziano Uroczych w Łańcuchu. To pewnie było zwykłe dziecko.

– Też tak pomyślałem, ale pytałeś, co słyszałem. Rzuciłem ochronne zaklęcie duszące na drzwi, zanim wszedłeś, na wypadek gdybyś okłamał odźwiernego. Opłaca się być ostrożnym.

W pewnym sensie cieszyłem się, że nie miałem pojęcia o zaklęciu. Klaunus był Niemową, a ja gównie wiedziałem o ich magii, ale słyszałem, że potrafią zabijać cicho i precyzyjnie. Wronia Stopa w miarę możliwości lubił kontraktować czarowników. Kapitan Vasilov był Przędzarzem. Cholera wie, kim był Silpur, ale nikt nie powinien być w stanie tak szybko się poruszać.

– Chyba mam dla ciebie nowy trop – oznajmiłem. Opowiedziałem mu o ciemnowłosym mężczyźnie we Wróźbogrodzie, ale Klaunus tylko zapisał informacje i przypiął kartkę do ściany, nie okazując ani odrobiny entuzjazmu. Był wyczerpany i osłabiony, a ja poczułem rozczarowanie. Gdyby jego pokój w wieży nie świadczył o zamiłowaniu do porządku, mógłbym podejrzewać, że zawładnął nim wysysacz, ale ten mały gnój nie miałby gdzie się tutaj schować. Miałem nadzieję, że Klaunus będzie miał jakieś podejrzenia dotyczące tego, kto poszczuł na mnie gończe psy, ale on niewiele wiedział, skoro siedział odizolowany w swojej wieży. Nie dotarły do niego żadne wieści dotyczące Vasilova, Silpura ani Amairy. Kapitan rezydujący w Valengradzie powinien pełnić centralną rolę, śledzić położenie i poczynania wszystkich pomocników Wroniej Stopy. Sam

się tym zajmowałem przez prawie dwadzieścia lat. Skoro pozostało nas już tylko pięcioro – zakładając, że pozostali żyją – koordynacja działań wydawała się ważniejsza niż kiedykolwiek. Musiałem znaleźć kogoś, kto dysponował konkretnymi informacjami.

– Pojawiło się jeszcze jedno nazwisko. Winter. Wiesz, kto to jest?

– Nic mi to nie mówi – odrzekł Klaunus.

Pokiwałem głową. Wiedziałem o istnieniu Wintera tylko dlatego, że Nall wspomniał o nim w Nieszczęściu. To był strzał na oślep, ale miałem tak mało tropów, że musiałem sprawdzić wszystkie możliwości.

Klaunus przestudiował kilka ze swoich list i pokręcił głową.

– Cytadela cię szuka, ale wątpię, żeby Davandein zniżyła się do wynajęcia zabijaków. Za bardzo lubi wymachiwać sztandarami. Bardziej niż na samym zwycięstwie zależy jej na związanej z nim sławie. Mówi się, że zamierza wyjść za mąż za wielkiego księcia Vercantiego, a następnie go zastąpić jako pierwsza marszałek-księżna. Możliwe, że jej się uda, jeśli odnotuje jakieś potężne zwycięstwo. Wspominała o odbiciu Adrogorska.

Mimo upływu lat ta nazwa wciąż przyprawiała mnie o dreszcze.

– Idiotyzm – stwierdziłem.

– Podejrzewałem, że tak powiesz – odrzekł Klaunus. Nawet to nie przywołało uśmiechu na jego skwaszoną twarz. – Czasami mam wrażenie, że działam w próżni. Nie mam prawie żadnych środków. Ten chłopak przy drzwiach to jedyne, na co mogę sobie pozwolić za ochłapy, które rzuca mi cytadela. Będzie mógł przytrzymać drzwi, jeśli Wronia Stopa kiedyś wróci. Ale to się nie stanie, prawda? Może nie zginął, ale już ma dosyć. Czuję to.

– Nigdy nie warto lekceważyć Wroniej Stopy – odparłem. Jakaś myśl nie dawała mi spokoju. – Tamten chłopak przy drzwiach. Ile mu płacisz?

– Dwieście tygodniowo – odpowiedział Klaunus z goryczą. – Ledwie wystarczy na dach nad głową. Ma tyle rozsądku co kurczak i jeszcze mniej zdolności. Nadaje się tylko do siedzenia przy drzwiach.

– Nie dałeś mu zegarka? Albo kolczyka z klejnotem?

Klaunus sprawiał wrażenie zbitego z tropu. Nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby dokładniej się przyjrzeć. Arystokraci rzadko zwracają uwagę na tych, którzy nurzają się w rynsztoku.

– Oczywiście, że nie. Nie jest moim kochankiem, jeśli o to pytasz. Nie obracam pościeli na tę stronę.

– Nie o to mi chodziło. Jeśli słabo mu płacisz, to najwyraźniej nie jesteś jego jedynym źródłem dochodów. Psiakrew, Klaunusie. Przecież on jest na usługach kogoś innego, tuż pod twoim nosem.

Klaunus zmarszczył czoło, a potem wyjął kartkę i zaczął zapisywać wszystko, co mu właśnie powiedziałem. Potem przypiął ją do ściany i zmierzył wzrokiem, jakby stanowiła element większej układanki. Co prawda wciąż działał zgodnie ze swoim planem, ale był wycieńczony. Nie mógł mi się na nic przydać. Ale to dobrze dla nas obu, ponieważ nie mógł mi przeszkodzić, gdy wreszcie przyjdzie czas porzucić pozory.

W ciągu kilku sekund wypadłem z pomieszczenia i popędziłem po niestabilnych schodach. Klaunus coś zawołał, ale już mnie nie było. Podobnie jak chłopaka, gdy dotarłem na parter. Zapewne pobiegł prosto do Davandein, gdy tylko wyszedłem za drzwi. Kiedy przebrnąłem przez krąg mgły otaczającej wieżę zegarową, już na mnie czekali.

## 9

Dwaj mężczyźni właśnie zsiadli z koni i przywiązali zmęczone wierzchowce do żelaznej poręczy. Na takich ludzi zwraca się uwagę, gdy samemu próbuje się pozostać niezauważonym. Twardzi, żyłaści, z krótkimi włosami i surowymi oczami. Poważni mężczyźni uzbrojeni w poważne miecze. Nosili na sobie wystarczająco dużo blizn, by pokazać, że uczestniczyli w licznych potyczkach, a zarazem na tyle niewiele, by przekonać, że wyszli z nich zwycięsko. Zobaczyli, jak wyłaniam się z mgły niczym zjawa.

– Sporo czasu upłynęło, kapitanie – odezwał się wyższy z nich. Był po trzydziestce, a jego włosy układały się we wdowi szpic. Jego niższy towarzysz odsunął się od niego o kilka kroków.

– Rzeczywiście. Miło cię widzieć, Casso – odrzekłem. Kiedyś był na moich usługach jako czołowy mięśniak Czarnoskrzydłych. Nie widziałem go od czasu, gdy zagubiłem się w Nieszczęściu. Przeniósł się do Jasnego Zakonu i sądziłem, że zginął podczas ataku Davandein. – Widzę, że znalazłeś nowe zajęcie.

– Teraz pracuję dla Urzędu Bezpieczeństwa Miejskiego – odrzekł. Zawsze był rzeczowym, poważnym człowiekiem, który rzadko się uśmiechał. To się nie zmieniło. – Marszałek chce cię widzieć.

– Jeśli zapragnę się z nią spotkać, wiem, gdzie ją znaleźć – odparłem. – Postąp mądrze, Casso. Nie zmuszaj mnie, żebym kazał ci się odpierdolić.

Był spokojny pomimo mojej wrogości. Urząd Bezpieczeństwa Miejskiego to o szczebel wyżej od ulicznej straży. Podczas gdy ta druga zajmuje się drobnymi gangami i usuwa żebraków ze świątynnych schodów, urząd gra o długoterminowe cele, tocząc potyczki w imieniu książąt i wojskowych. Casso zawsze potrafił sobie radzić z niebezpiecznymi i drażliwymi ludźmi.

– To nie potrwa długo – powiedział. – Marszałek potrafi być bardzo szczodra. Znacznie złagodniała, prawda, Tate?

– Jasna sprawa – zgodził się drugi z mężczyzn. Był niezgrabnym człowiekiem, u którego trudno było stwierdzić, gdzie kończy się tłuszcz, a zaczynają mięśnie. Obserwował mnie z rękami skrzyżowanymi na piersi.

– Jeśli uważasz, że motywują mnie pieniądze, to chyba niezbyt dobrze mnie znasz – odparłem. – Wolałbym, żebyś nie traktował mnie protekcyjnie. Obaj wiemy, że nie skończyłoby się to dobrze.

– Wygląda na to, że długo byłeś w Nieszczęściu – rzekł Casso. – Chyba odciska to na tobie piętno. Nie służy twojej skórze, a z oczami jest coś nie tak.

– A już zamierzałem wziąć udział w konkursie piękności.

Casso się nie uśmiechnął. Stał się jeszcze bardziej smukły i twardy od czasu, gdy Saravor próbował przejąć władzę.

– Proszę grzecznie ze względu na dawne czasy – powiedział spokojnie. Zatknął kciuki za pas i wyprostował plecy, wyraźnie pewny siebie. – Ale nie myl mojej przyjacielskiej postawy ze strachem. Kiedyś byłeś naprawdę wyjątkowy, ale od tamtej pory przeszedłeś przez piekła. Zresztą wszyscy tutaj jesteśmy po tej samej stronie. Chcemy tylko, żebyś odpowiedział na kilka pytań.

Już sobie wyobrażałem, jak zabrzmiały te pytania. Gdzie jest Dantry Tanza? Kiedy ostatnio widziałeś Dantry'ego Tanzę? Dlaczego zniszczył fabrykę fosu w Heirengradzie? W Snosk? W jaki sposób doprowadził do przeładowania zwojów baterii? Jaki jest twój udział w jego przestępczej działalności?

Nie pamiętasz? Może tydzień w białych celach odświeży ci pamięć.

Dostałem napadu kaszlu i wyplułem na dłoń nieco koszmarnej czarno-zielonej mazi.

– Może to nie w porządku znęcać się nad chorym – rzekł Casso – ale jeśli nie pójdziesz po dobroci, nie będziemy mieli wyboru, prawda?

– Jak tylko dotkniesz rękojęści, stracisz, kurwa, rękę – warknąłem. – Może masz mnie za starca, ale kiedy mówię, że nie chcę gdzieś iść,

możesz być pewien, że nie żartuję.

Kosmyki zaczarowanej mgły owinęły moje stopy. Tate ruszył naprzód obok Cassa. Był gotów do ataku, jego dłoń powoli przesuwała się w stronę rękojęści.

– Nie – rzucił Casso.

– Musimy go zabrać – zaprotestował Tate.

– Nie. Ma rację. Nie byłoby łatwo. – Może czegoś się jednak ode mnie nauczył. – Czy to prawda, kapitanie? Jesteś w zмовie z hrabią Tanzą? Jest najbardziej poszukiwanym człowiekiem w miastach.

– Nie widziałem Dantry’ego Tanzy od sześciu lat – odpowiedziałem. – Nie mam pojęcia, gdzie jest.

– Po nas przyjdą kolejni – ostrzegł Casso. – Skoro Davandein już wie, że tu jesteś, nie poprzestanie, dopóki cię nie dopadnie. Aresztowanie hrabiego Tanzy to zwycięstwo, którego potrzebuje, żeby zapewnić sobie miejsce u boku Vercantiego. Może wtedy skończy się gadanie o Adrogorsku. Tanza jest niebezpiecznym zdrajcą. Kiedyś polowałbyś na niego razem z nami.

– Wszystko się zmienia – odrzekłem. – Świat już nie jest taki jak dawniej.

– My jako pierwsi dostaliśmy wiadomość – dodał Casso. – Przed jutrzejszym wieczorem i tak będziesz w naszych rękach. Tylko to opóźniasz, przez co będzie ci trudniej.

– Zaryzykuję.

Casso powoli pokiwał głową. Odwróciłem się i odszedłem ciemną uliczką. Cieszyłem się, że Casso zaczerpnął ode mnie nieco rozsądku. Nie przepadałem za nim, ale go szanowałem. Jedynie wykonywał swoją pracę i słusznie zauważył, że kiedyś robiłbym to samo. Nie rozumieli, jak ważna jest praca Dantry’ego. Niewinni dostali się w krzyżowy ogień, ale nie tylko Casso nauczył się czegoś ode mnie. Również ja nauczyłem się czegoś od Wroniej Stopy. Nie da się uratować wszystkich.

\* \* \*

Wróciłem do Pik i sprawdziłem swój maskujący makijaż. Spotkanie z Klaunusem niewiele mi dało, ale zmartwiła mnie wieść, że Płytki Grób uszkodził cytadelę. Jeśli król Acradius poznał nowy sposób ataku na cytadelę, lepiej żeby nasi czarownicy go nie wyręczali. Płytki Grób zawsze był dziwny, nawet jak na standardy Bezimiennych.

Zgłodniałem, więc udałem się do baru i dodałem do rachunku talerz podpłomyków i sera. Ser był twardy, a pieczywo jeszcze twardsze, ale po sześciu miesiącach odżywiania się tymi samymi trzema kawałkami baraniny i zupą warzywną wszystko inne wydawało mi się pyszne. Kiedy zjadłem, zamówiłem jajecznicę z boczkiem. Bolało mnie gardło po wykrztuszeniu kolejnej porcji mazi i prosty pokarm był dla mnie jak zesłany przez duchy luksusu.

Tnota dołączył do mnie i zamówił kolejkę piwa. Sącyłem je powoli. Niemal się go obawiałem, ale to było małe piwo i musiałbym wypić pół tuzina kufla, żeby chociaż trochę się podchmielić.

– Jak poszło?

– Źle – odrzekłem. – Klaunus się pogubił. Myślę, że utrata Wroniej Stopy go złamała. Wielka szkoda. Zawsze był palantem, ale potężnym. Pamiętasz, jak Panny Młode próbowały zbudować swoje leże w Snosk? Załatwił je w pojedynkę. Szkoda, że już nam nie pomoże.

– Więc jaki mamy plan? – spytał Tnota. – Wciąż chcesz znaleźć Wintera?

– Owszem. Kimkolwiek jest, Winter to kapitan Nalla i zdołał mnie namierzyć w Nieszczęściu. Może nam pomóc odkryć, kto chce mnie załatwić.

– Wygląda na to, że Davandein chętnie by to zrobiła.

– Na pewno chce ze mną porozmawiać i niewykluczone, że spuchła z dumy, ale ma dobre serce. Przynajmniej częściowo. Chce zadbać o bezpieczeństwo Łańcucha, a krzywdzenie ludzi Wroniej Stopy by się temu nie przysłużyło.

Davandein chciała mnie zatrzymać. Ciemnowłosa mężczyzna, North, chciał mnie załatwić, a Królowie Głębi podzielali jego

pragnienie. Może powinienem czuć się zaszczycony. Stałem się strasznie popularny.

– Co zrobisz? – spytał Tnota.

– Jeśli ten Winter jest tak dobry, jak sędzę, to mnie znajdzie, skoro Urząd Bezpieczeństwa Miejskiego wie, że tutaj jestem. Sprawdzę, czy Dantry zostawił jakąś wiadomość w punkcie kontaktowym. Dawno tam nie byłem.

– Sprawdzimy to rano – odrzekł Tnota. Wypił ostatnie kilka łyków piwa i gestem poprosił o więcej. Picie odciska się piętnem na przestrzeni lat, a Tnota zaczynał płacić tę cenę. Kiedy się poznaliśmy, łoiliśmy browary do świtu i ze śmiechem zataczaliśmy się po ulicach, ale tamte czasy już dawno minęły.

– Nie – odparłem. – Ja to sprawdzę. – Wzięłem głęboki oddech. Podjąłem decyzję w drodze z wieży zegarowej. – Chcę, żebyście ty i Giralt znaleźli karawanę i ruszyli na zachód.

– Co? Dlaczego?

Westchnąłem. Ciężko będzie to powiedzieć. Ciężko dla niego, ponieważ nie chciał tego usłyszeć, a także dla mnie, ponieważ oznaczało to koniec czegoś, co przez lata miało dla mnie duże znaczenie. Ale przemyślałem to podczas podróży z Wróżbogrodu i moje sumienie nie dopuszczało innej możliwości.

– Jesteś na to za stary, Tnoto. Nie jesteś już tak żwawy jak kiedyś, a to, co się stało we Wróżbogrodzie, było moją winą. W mojej obecności grozi ci niebezpieczeństwo, a ty nie jesteś w stanie mu się przeciwstawić.

– Nie płacz nade mną, Ryhalcie – odparł Tnota. Próbował nie okazywać po sobie, jak bardzo go uraziłem, ale nigdy nie był dobry w noszeniu masek. – Zawsze znałem ryzyko, które wiąże się z jeżdżeniem u twego boku. Nigdy dotąd się nie wycofałem i teraz też nie mam takiego zamiaru.

– Jeździłeś ze mną, ponieważ nam płacili i mieliśmy robotę do wykonania – odrzekłem. – Ale to zadanie należy wyłącznie do mnie.

– Tak uważasz? – spytał z goryczą. – Masz mnie za pospolitego najemnika?



– Nie – zaprzeczyłem. – Może początkowo, jednak potem jeździłeś z nami, ponieważ zależało ci na mnie i Nenn. Wszyscy dbaliśmy o siebie nawzajem. Ale teraz masz kogoś innego, dla kogo powinieneś jeździć, a ja nie mogę mu ciebie odebrać. Miałem szansę z Elizabeth i ją straciłem. Miałem kolejną z Valiyą i też spieprzyłem sprawę. Ciebie i Giralta łączy coś, co warto zachować, a ja nie mogę pozwolić, żebyś oddał to za możliwość udzielenia mi niewielkiej pomocy. Nie potrzebuję nawigatora, a nie masz innych umiejętności, z których mógłbym skorzystać.

– Potrzebujesz mnie – sprzeciwił się Tnota.

– Wcale nie. Nawet nie masz kompletu rąk – odparłem brutalnie. Te słowa zawisły między nami jak noże. To prawda. Już nie potrzebowałem Tnoty. Nie mogłem walczyć, nie mogłem wydobyć z nikogo informacji dzięki swojemu urokowi osobistemu, a nawet nie dorównywał mi w sztuce nawigacji. Zarazem było to kłamstwo, ponieważ bardzo go potrzebowałem. Ale nie tak bardzo, jak on potrzebował czegoś porządnego pod koniec życia.

– Więc chcesz nas odesłać, a co potem?

Sięgnąłem do kieszeni płaszcza i wyjąłem woreczek, który od dawna przechowywałem. Wiedziałem, że już wkrótce nie będzie przydatny. Rozwiązałem sznurki i pokazałem Tnocie zawartość, a on głośno wstrzymał oddech, widząc refleksy światła na przejrzystych ostrych kamieniach.

– Diamenty Nieszczęścia – powiedziałem, mocno zaciągając sznurki. Pchnąłem woreczek w jego stronę po stole. – Warte małą fortunę, jeśli sprzedasz je w ciągu najbliższych kilku dni. To wystarczy, żebyście razem z Giraltiem udali się w podróż po miastach, aż do Valaigne, jeśli chcecie dotrzeć tak daleko. Giralt może otworzyć nowy sklep. Możecie żyć razem w spokoju. Ale macie jeszcze najwyżej kilka dni, zanim jak zwykle zmienią się w piasek. Sprzedajcie je za gotówkę i wynoście się stąd. Będzie mi łatwiej pracować ze świadomością, że nikt nie może wam zagrozić i wykorzystać tego przeciwko mnie.

Wyobrażał to sobie. Życie daleko stąd, wiele mil od popękanego i wyjącego nieba. Sklep, który Giralt będzie mógł poprowadzić, żeby

odzyskać chociaż część życia, które dla siebie zbudował. Odpoczynek od niekończącej się wojny pomiędzy Bezimiennymi a Królami Głębi. Szansa na zerwanie z piciem i jak najlepsze wykorzystanie pozostałych lat. Opuścił wzrok.

– Nie musisz być sam – powiedział. Ale nie miał racji.

Na twarzy Tnoty malowało się niezdecydowanie. W końcu położył dłoń na mojej dłoni.

– Pomyślę o tym – odrzekł. – Skąd będę wiedział, czy ci się powiodło? Czy twój plan, któremu poświęciłeś te wszystkie lata, wypalił?

– Będiesz wiedział – zapewniłem, obracając dłoń i zaciskając jego palce na diamentach. – Albo wszyscy zmienimy się w roboli, albo mi się uda. Zostały tylko te dwie możliwości.

# 10

Nastał świt. Niezbyt dobry, nieszczególnie istotny, po prostu słońce wzeszło na tle błękitnego migotania Clady. Na ulicy słyszałem robotników wyruszających na poszukiwanie pracy, podczas gdy ludzie nocy pełzli z powrotem do swoich slumsów.

– One są wszędzie – rzekł Tnota, wpychając mi do ręki kawałek papieru. Giralt obdarzył mnie sympatyczniejszym skinieniem głowy niż zazwyczaj. Tnota najwyraźniej powtórzył mu moje słowa. Cieszyłem się, że jego gniew wobec mnie ostygł, ale wystarczyło, by Tnota odmówił, a ogień rozgorzały na nowo.

Moją podobiznę narysowano całkiem sprawnie, chociaż wyglądałem zbyt przystojnie i młodo. Tusz był rozmazany – kartki czym prędzej pochwycono z prasy drukarskiej, by roznieść je po poszczególnych dzielnicach. Na plakacie widniał napis: „Galharrow, człowiek goblin! Niebezpieczny! Nagroda za informację. Nie zbliżać się!”.

Napis sporządzono pośpiesznie, krzywo układając czcionki, ale wiadomość była przejrzysta. Wyglądało na to, że ktoś zadał sobie mnóstwo trudu, skoro chodziło tylko o dowiedzenie się, czy coś wiem o miejscu pobytu Dantry’ego. Na dole kartki widniał napis: „Z rozkazu Urzędu Bezpieczeństwa Miejskiego”.

– Mam wyraźniej zarysowany podbródek – stwierdziłem, oddając plakat Tnocie, a gdy ten skrzywił się kwaśno, tak samo jak postać na obrazku, nie zdołałem powstrzymać uśmiechu.

– Jesteś w tarapatach – rzekł. – Jeśli okleją nimi miasto, dopadnie cię jakiś gang, zanim urząd zdąży to zrobić.

Przytaknąłem, a następnie wskazałem Tnocie i Giraltowi drogę do sklepu przy ulicy Leniwej, spisawszy na odwrocie plakatu listę potrzebnych rzeczy. Pociski do rusznicy, woreczek prochu,

a najlepiej gotowe ładunki, jeśli będą je mieli. Dwa nowe noże, żołnierska łopata, dwie solidne skórzane torby. Do tego kilka innych drobiazgów, niektóre niezbędne, inne dla przyjemności.

Kiedy poszli, stanąłem przed lustrem i zastanowiłem się, jak stary musi być ten portret. Narysowano go zapewne przed laty. Artysta dobrze uchwycił moje oczy, ale przedstawił je jako ciemne, a nie rozświetlone od środka. Moja skóra obecnie miała oleisty połysk, jakbym ją polakierował, a w żyłach biegły czarne i zielone nitki. Zmian, jakie się we mnie dokonały, nikt przedtem nie doświadczył. Przez sześć lat chłonałem skażoną energię tej przeklętej krainy. Nigdy nie byłem pięknišem, ale obecnie tylko najpodlejsza wiedźma mogłaby mnie uznać za pociągającego.

Broda sięgała mi do brzucha, włosy były długie i połamane. Szarość zastąpiła inne kolory, a gruzłowatą, popękaną skórę pokrywały zmarszczki i kurze łapki. Nie podobało mi się to, co widzę. Nikt nie chce się zestarzeć, ale wyglądałem znacznie bardziej wiekowo, niż się czułem. Postanowiłem jak najkrócej ostrzyc włosy i brodę. W trakcie przyszło mi do głowy, że tylko upodabnam się do postaci na portrecie, ale było już za późno, żeby przerwać.

Kiedy znów wyglądałem jak tani aktor, przyszedł czas zająć się drugą sprawą. Założyłem gogle i zakryłem kapturem goblinią twarz. Dzień był pochmurny i zanosilo się na deszcz. Nikt nie miał powodu zatrzymywać śpieszącego się podróżnego. Kiedy sięgnąłem w stronę klamki, dopadł mnie kolejny napad kaszlu, od którego aż zgiąłem się wpół. Na dłoni, którą przycisnąłem do ust, pojawiły się smugi czegoś, co przypominało czarny syrop, a moje gardło piekło, jakby obdzierał je ze skóry nasączony kwasem żwir. Usiadłem na łóżku, wyplułem kolejną porcję tego gówna i czekałem, aż atak minie. Za każdym razem, gdy opuszczałem Nieszczęście, moje ciało próbowało je odrzucić. W przeszłości zawsze wracałem do zdrowia. Tym razem skażenie wniknęło za głęboko. Wdarło się za daleko. Musiałem wrócić do Nieszczęścia, zanim rozłaka mnie zabije.

Wzmógł poranny ruch zastąpiła spokojniejsza atmosfera typowego dnia pracy, ale ktoś zostawił włączone fosowe rurki, które zalewały całą ulicę surowym białym światłem, marnując energię.

Odwracałem od nich wzrok. Ryzyko zauważenia mnie było mniejsze niż zagrożenie porwaniem przez nagły huragan, ale zawsze warto być ostrożnym.

– Z pewnością masz czas się napić? – usłyszałem szept Nenn, ale nawet jej nie zobaczyłem. Na Ducha Miłosierdzia, naprawdę miałem urojenia. Przypomniałem sobie, że przez długi czas żyłem w izolacji. Skoro znalazłem się między ludźmi, może uda mi się pozbyć kilku widm z mojej głowy. Pewnie właśnie to się działo. Na pewno nie traciłem zmysłów.

Wokół zniszczonej części odległej cytadeli stało rusztowanie, a inżynierowie naprawiali fosowe rurki, które wyświetlały dla całego miasta napis ODWAGA, starając się przywrócić porządek pośród chaosu. Słusznie robili. Nadzieja nie umiera, póki jest szansa na odbudowę.

Dotarłem do wąskiej witryny sklepu w Knotach, który sprzedawał wrzeciona, a po drodze nikt nie próbował mnie aresztować ani zadźgać. Mrużąc oczy, zajrzałem do środka przez zmatowiałe szyby, zobaczyłem, że w sklepie panuje spokój, i wszedłem przez niskie drzwi.

Młoda kobieta podniosła na mnie wzrok. Była zajęta tkaniem, zręcznie zmieniając stertę farbowanej wełny w nić, a obok niej stała kołyska z dzieckiem. Popatrzyła na mnie jak na zjawę, co nie mogło dziwić, biorąc pod uwagę moją pomalowaną twarz i absurdalnie żółte oczy.

– Nie wygląda pan na kogoś, kto szuka wrzeciona – odezwała się.

– Szczerze mówiąc, nie jestem Przędzarzem – przyznałem.

Na rzędach półek wzdłuż ścian wąskiego pomieszczenia stały wrzeciona rozmaitych konstrukcji, wykonane z różnych rodzajów drewna. Sprytne urządzenia: koła, pedały, igły.

– Czego pan szuka?

– Właścicielki tego sklepu. Glaudy. Zostałem ją?

– Byłą moją ciotką – odrzekła kobieta. Jej wrzeciono zwolniło. – Zmarła poprzedniej zimy. Na gorączkę. Teraz to mój sklep.

Psiakość.

– Proszę przyjąć wyrazy współczucia – rzekłem, skłaniając głowę.

– Znał pan moją ciotkę?

– Mieliśmy pewną umowę – wyjaśniłem. Młoda kobieta zmarszczyła czoło. Może uznała, że zamierzam wpakować ją w tarapaty. Jeśli odziedziczyła sklep, to także wszelkie związane z nim długi. – Glauda odbierała dla mnie wiadomości. Rzadko bywam w tych stronach, a ona zachowywała listy, które później odbierałem. Wie pani coś na ten temat?

– Ach, rozumiem. To pan jest tym kapitanem. – Sprawiała wrażenie nerwowej, ale w końcu wyglądałem niepokojąco.

– To ja.

– Był do pana list, ale obawiam się, że aż kilka miesięcy temu. Przez to całe zamieszanie związane z przejęciem sklepu po ciotce zapomniałam, co z nim zrobiłam. Ale mogę go dla pana odszukać.

Serce żywiej zabiło mi w piersi. Od dawna nie miałem żadnych wieści od Dantry'ego. Ustaliliśmy, że nie będziemy się komunikować, jeśli nie pojawi się coś wartego przekazania. Skoro wreszcie coś mi przysłał, to na pewno dokonał przełomu.

– Będę bardzo wdzięczny. Rozumiem, że posłaniec pani zapłacił?

– Zgadza się. Popilnuje pan przez chwilę sklepu? Pójdę poszukać listu.

Wstała, zabrała dziecko z kołyski i zniknęła za zasłoną w głębi. Sklepowi najwyraźniej było obojętne, kto się nim zajmuje, i nie zwracał uwagi na to, co robię. Leniwie zakręciłem kilkoma kołami, ciesząc oczy ich doskonałym wykonaniem, dzięki któremu tak gładko się obracały. Kobieta tak długo nie wracała, że pewnie schowała list pod stertą papierów albo wsadziła go do jakiegoś bezpiecznego, zapomnianego pudełka.

Glauda była uczciwą kobietą, ale miała swoje lata i jej śmierć mnie nie zaskoczyła. Nie wzbudzała podejrzeń i stanowiła pewny punkt na mapie Valengradu, do którego Dantry mógł słać swoje wiadomości bez potrzeby korzystania ze zwyczajowych kanałów komunikacji. To było roztropne rozwiązanie, biorąc pod uwagę problemy, jakie sprawiał.

Zbyt późno przyszło mi do głowy, że nie trzeba zabierać ze sobą dziecka, żeby znaleźć list. Wszedłem za zasłonę, ale nikogo nie

zostałem w kuchni, a tylne drzwi były otwarte na oścież. Wbiegłem po schodach, ale cały pieprzony dom był pusty.

Wybrałem Glaudę, ponieważ potrafiła pilnować swojego nosa. Jej siostrzenica najwyraźniej tego nie umiała.

Wyszedłem tylnymi drzwiami. Ten, do kogo pobiegła, nadejście główną drogą. Alejka pełna połamanych kawałków starego drewna i leniwych ślimaków prowadziła do kolejnej uliczki, która cuchnęła wilgocią. Odbiłem się od ściany i przesadziłem prawie dwumetrowe ogrodzenie, które głośno zaprotestowało i niemal zaważyło się pod moim ciężarem. Skończyłem z rękawicą pełną drzazg i obolałymi plecami, które oplakiwały utraconą młodość. Było tutaj mnóstwo alejek i zakrętów, więc byłem pewien, że prędzej sam się zgubię, niż ktoś będzie w stanie za mną podążyć.

Zaraza. Dantry coś mi wysłał, ale wiadomość już dawno zniknęła.

Oglądanie się przez ramię to dobry nawyk, zarówno w Nieszczęściu, jak i w pozornie bezpiecznej okolicy. Kiedy się obejrzałem, od razu tego pożałowałem.

Kosmyk fosu pełznął ku mnie uliczką jak węgorz, sycząc i migocząc od złocisto-błękitnej mocy. Najwyższy czas uciekać.

Pędem oddaliłem się od wijącej energii, po czym wpadłem w ślepy zaułek. Obróciłem się, zobaczyłem, jak świetlisty kształt wyłania się zza rogu, i zakląłem. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby fos zachowywał się w taki sposób, ale wątpiłem, żeby jego dotknięcie wyszło mi na zdrowie. Słaby rygiel ustąpił pod mocnym kopniakiem, a ja przeciąłem podwórko i wpadłem do kolejnego labiryntu uliczek. Wykorzystałem stertę starych połamanych desek podłogowych jako rampę i przeskoczyłem ogrodzenie. Znalazłem się na ulicy, której nie rozpoznawałem. Kilka zaskoczonych osób wzdrygnęło się, gdy wylądowałem w kałuży sięgającej mi do łydek.

Przez kilka chwil panował spokój, a potem ogrodzenie, które przeskoczyłem, wybuchło z hukiem w stronę ulicy, a przez powstały otwór wypełzła wijąca się moc, przypominająca długą skwierczącą, migoczącą linę. Nie mogłem z nią walczyć. Pobiegłem dalej. Fos nie był szybki, ale za to nieustępliwy. Podążał za mną wszędzie, tropił

mnie i szukał. Ludzie z wrzaskiem usuwali mu się z drogi, a jakiś pies obszczekiwał go i kłapał zębami z bezpiecznej odległości.

Na rogu ulicy Rowów gwiazdy stanęły mi przed oczami i zakręciło mi się w głowie. Poczułem, jak zza miejskich murów wzywa mnie Nieszczęście. Wzywa mnie do powrotu? Ból przeszył moje nogi i ręce, a ja zatoczyłem się na ścianę sklepu z tytoniem, zrzucając doniczki z kwiatami z parapetu. „Zignoruj ból, zignoruj wrzaski, sztywniejące mięśnie”. Próbowałem biec dalej i zrobiłem trzy kroki, a potem opuściły mnie siły i ponownie upadłem.

Połykujące barwy i migoczące światła zakołysały światem. Gdy pieśń nieba nad Nieszczęściem spadła na moje uszy, targnęły mną mdłości. Stara rana od włóczni, którą jeden z roboli przebił mi nogę podczas oblężenia Valengradu, przechwyciła przeszywający ból i owinęła się wokół niego. Pokaleczona magia nawoływała pokaleczoną krew i kość.

Nie mogłem prześcignąć światła, nie teraz. Powtarzałem sobie, że muszę ignorować ból, bo on jest tylko w moim umyśle. Ból żyje w głowie i walka czasami go stamtąd wyrzuca, a ty zdajesz sobie sprawę, że jesteś ranny i krwawisz, dopiero gdy jest po wszystkim, ale to nie był jeden z tych przypadków. Obejrzałem się i zobaczyłem, że moc już prawie mnie dogoniła. Wiele lat temu zmierzyłem się z magią Uroczonego i przeżyłem. Nieszczęście, które wsączyło się we mnie, odrzucało i odbijało śmiertelne zaklęcia. Nie wiedziałem, czy zadziała przeciwko temu skwierczącemu wężowi, ale nie miałem innego wyjścia. Przywołałem skażenie obecne w moim wnętrzu, poczułem, jak trucizna płynie żyłami, zakorzeniona w mojej istocie po latach spożywania najgorszego, co Nieszczęście ma do zaproponowania. Tysiąc paskudnych posiłków, palące mięso z Nieszczęścia wpychane do przełyku wraz z niesionymi przez nie koszmarami i gorączką. Poszukałem go teraz, stając naprzeciwko tej płonącej magii.

Lepiej stawić jej czoło, gdy będzie się do mnie zbliżać. W głębi ulicy, za fosowym węgorzem, stały dwie postacie, które były tutaj tak nie na miejscu, że musiały odgrywać jakąś rolę w mojej nieuchronnej zgubie.



Mniejsza z postaci była kobietą, niemal równie szeroką jak wysoką, i prawie całkowicie spowijała ją długa niebieska peleryna. Włosy miała srebrzyste i szaro-blond. Dłonie, które wystawały spod peleryny, były okryte rękawiczkami, ale emanujący z nich blask wskazywał, że to ona posłała za mną światło. Przędzarka była śmiertcionośną przeciwniczką, ale to olbrzym u jej boku zwrócił moją uwagę.

Jestem potężnym mężczyzną. Mierzę sześć i pół stopy i ciężko pracowałem, żeby temu wzrostowi towarzyszyła odpowiednia masa. Ale nie mogłem się równać z odzianą w czarną szatę istotą, która stała obok Przędzarki. Facet miał prawie osiem stóp, a żaden człowiek nie osiąga takiego wzrostu w naturalny sposób. Przędzarka mogłaby usiąść swojej bliźniaczce na ramionach i popatrzeć mu w oczy. Miał ogromną łysą głowę, a białe jak lód policzki i szczękę znaczyły rytualne blizny, ale wyglądało na to, że jest nieuzbrojony. Broń zapewne nic dla niego nie znaczyła. Przy takiej posturze sam był bronią.

Przędzarka skrzyżowała ręce na piersiach z zadowoloną miną. Czerwone oczy olbrzyma pozostały obojętne. Światło popłynęło w powietrzu w moją stronę, a ja zacisnąłem zęby.

– Bądź przy mnie, Elizabeth – syknąłem, gdy mnie trafiło.

Iskry posypały się na zewnątrz, z dala ode mnie, jakby światło było ostrzem, a ja kamieniem szlifierskim. Poczułem w swoim ciele surowe wibracje, a światło się zatrzymało. Zaczęło się kłębić i zawijać, gdy Przędzarka mocniej skupiła się na mnie, a potem przy wtórze trzasku pękającego szkła rurki z fosem wzdłuż ulicy wybuchły, zasypując wrzeszczących przechodniów ostrymi jak brzytwa odłamkami. Świetlisty robak zniknął z hukiem gromu, a mnie zalała fala światła niczym podmuch ciepłego wiatru. Przędzarka zatoczyła się i padła na kolana z zaskoczoną miną. W jej oczach kryły się pytania. Nie czułem potrzeby na nie odpowiadać, chyba że odpowiedzią, której pragnęła, była stal.

Dobyłem miecza, a to skłoniło olbrzyma do ruszenia w moją stronę. Jego oczy miały czerwony odcień, ale bardziej niepokoiło mnie, że nie dostrzegłem w nich ani odrobiny troski lub

człowieczeństwa. Ze swoją gładką i białą jak marmur skórą wyglądał równie niehumanie jak ja, ale niezależnie od tego, jak duży urósł, gdybym przebił mu pierś mieczem, imponujący wzrost w niczym by mu nie pomógł. Czasami potężna sylwetka to po prostu łatwiejszy cel.

Zaryzykowałem i zadałem cios, mierząc w twarz, ale noga ugięła się pod mną i skróciłem krok, przez co uderzenie okazało się dużo za krótkie. Olbrzym wyrzucił do przodu dłoń, chwycił moje ostrze i niemal od niechcienia odciągnął je na bok. Próbowałem obrócić miecz, ale za mocno go ścisnął i ostrze nawet nie drgnęło. Puściłem rękę i ruszyłem naprzód na obolałej nodze, wyprowadzając potężny cios prawą pięścią w splot słoneczny. Gigant nawet nie mrugnął, tylko z brzękiem odrzucił mój miecz do rynsztoka, a następnie uderzył mnie otwartą dłonią. Moja głowa odskoczyła, ale podążyłem za ciosem. To nie była moja pierwsza bijatyka. Wybiłem się w górę i trafiłem przeciwnika pięścią w szczękę, ale to był błąd. Poczułem się, jakbym uderzył w kamień. Moją rękę przeszyła włócznia bólu, a kości palców trzasnęły. Wykorzystując swoją ostatnią szansę, zamachnąłem się lewą ręką na niższy, łatwiejszy cel. Tym razem złapał mnie za pięść. Nie da się chwycić uderzającej pięści, zwłaszcza gdy cios zadaje ktoś tak ciężki jak ja. Olbrzym najwyraźniej o tym nie wiedział, ponieważ to zrobił. Jego wielka dłoń owinęła moją i powstrzymała uderzenie. Wykręcił mi rękę, potem staw, a druga dłoń spadła na moje odsłonięte przedramię.

Ostry ból pękającej kości ryknął w moim wnętrzu. Zanim zdołałem dość do siebie, zamachnął się drugą pięścią i zdzielił mnie w pierś, odrzucając na drugą stronę ulicy. Źle wylądowałem i poczułem paskudny chrzęst w biodrze. Olbrzym zbliżył się i stanął nade mną, równie obojętny na moje próby podniesienia się jak wcześniej na moje ataki. Postawił stopę na mojej pierś i wcisnął mnie w kałużę. Żadnych emocji. Beznamiętna twarz, nie licząc odrobiny próżnego zaciekawienia. Podziękowałem swoim zębom za wszystkie chwile, gdy chroniły moją klatkę piersiową, i wybaczyłem im nieuchronną porażkę. Ale mężczyzna nie uderzył,

tylko patrzył na mnie oczami czerwonymi jak krew. Na jego przerośniętej twarzy nie widziałem radości ani upojenia zwycięstwem. Po prostu przygwoździł mnie do ziemi i czekał.

Przędzarka dołączyła do nas, a za nią podążała grupa młodzieńców w czerwonych płaszczach.

– Jak to zrobiłeś? – spytała ostro.

– Łatwizna – odparłem, chociaż stopa uciskająca moją pierś utrudniała mi mówienie. – Po tym, jak mnie trafił, resztą zajęła się grawitacja. – Wyplułem krew z miejsca, w którym zęby przecięły wnętrze policzka. Była naznaczona czernią.

Dopiero po chwili zrozumiała żart.

– Jak zneutralizowałeś zakłęcie powstrzymujące? – spytała.

To nie była naukowa metoda, którą potrafiłbym wytłumaczyć, a zresztą nie powiedziałbym jej, nawet gdybym mógł. Nade mną pojawiła się znajoma twarz. Casso.

– Dobra robota, Przędzarko Kanalino. Wypłoszyłaś go, tak jak obiecałaś.

– Powiedziałaś, że go schwytam – odparła Przędzarka ze złością. – Nie zrobiłam tego.

– Wszystko dobre, co się dobrze kończy – odrzekł jeden z grona moich dawnych kawek. – Podnieście go, chłopcy. Najwyższy czas, żeby spotkał się z szefową. Trzeba było pójść po dobroci, kapitanie. Wcale mi się to nie podoba, ale cię ostrzegalem.

– Pierdol się, ty napuszony gnojku – rzuciłem w jego kierunku. Może było to dziecinne, ale gniew pomógł mi stłumić ból dłoni, ręki, biodra i nogi. Miałem wrażenie, że całe ciało mam kurewsko popękane i ponaciągane.

Casso wpatrywał się we mnie z nieprzeniknionym lodowatym obliczem.

– Uczyłeś mnie, że więźniowie muszą zachowywać się spokojnie – rzekł. – Pamiętasz?

Kopnął mnie w biodro, a cokolwiek było w nim pęknięte, postanowiło całkowicie się złamać. Tylko częściowo powstrzymałem wrzask, którego pierwsza część wyrwała się z moich ust, zanim nad nim zapanowałem i zmieniłem go w drżenie całego ciała. Mogłem

zapomnieć o chodzeniu. Jedna noga była bezużyteczna, a drugie biodro postanowiło się rozdzielić. Nie miało to większego znaczenia dla Cassa, ponieważ jego ludzie chętnie mnie powlekli, a moje zbolące jęki nie robiły na nich wrażenia.

# 11

Wrzucili moje połamane ciało do celi pod cytadelą. Lochy kojarzą się z ciemnością, ścianami ociekającymi śliską mazią i szlochaniem udręczonych więźniów. Ten był czysty, schludny, suchy i jeszcze gorszy. Połowę celi oddzielono żelaznymi prętami. Ściany pomalowano na jaskrawobiały kolor, a nadmiernie rozżarzone rurki z fosem zalewały bladym, martwym światłem plamy, których nie dało się wyszorować.

Kiedy drzwi się za mną zatrzasnęły, leżałem ciężko dysząc i próbując zachować przytomność. Nie mogłem pojąć, co się stało. We Wróżbogrodzie dostałem z kuszy w pierś i prawie nic nie poczułem, tymczasem ten blady potwór sponiewierał mnie tak, jakbym był szczurem w szczękach teriera. Sądziłem, że nabrałem krzepy i jestem wystarczająco silny, żeby zrobić to, co należy. Miałem być kowadłem. Moje połamane kości świadczyły o czymś zgoła innym. Kiedy tak leżałem, dysząc i rzeżąc, pocieszało mnie jedynie to, że w końcu się zagoją. Skażenie Nieszczęściem o to zadba, ale i tak będzie bolało. Przeżyję, chociaż kości goją się wolniej niż miękkie części ciała. Ale najpierw musiałem je nastawić. I to szybko, zanim scalą się pod jakimś dziwnym kątem.

Nie mogłem zacisnąć obu dłoni i miałem złamane prawe przedramię, ale krawędź złamania nie była poszarpana i fragmenty kości się nie poprzesuwały, a przynajmniej tak wyczuwałem pod potężną opuchlizną. Palce lewej dłoni nie były w tak dobrym stanie. Oparłem je o posadzkę, postawiłem na nich stopę i zaczekałem, aż minie fala oszałamiającego bólu i nudności. Potem się podniosłem i rzuciłem naprzód. Zwymiotowałem śniadaniem na zakurzoną białą podłogę, gdy rozdzierający ból przeszył moją dłoń i pomknął

wzdłuż ręki. Przez chwilę leżałem, ciężko dysząc, a potem przyjrzałem się palcom. Lepiej nie będzie.

Z trudem zbierałem myśli. Ból pochłaniał całą moją uwagę, ale zmuszałem się do koncentracji.

Sam dostarczyłem wielu ludzi do białych cel. Zdarzało mi się też werbować osadzonych w nich więźniów. Celę dzielił na pół rząd blisko osadzonych żelaznych prętów. W pewnym sensie miałem szczęście – większość białych cel ma szerokość dwóch stóp, więc sześć stóp kwadratowych, którymi dysponowałem, stanowiło luksus. Kiedy już trafisz do cel, nie wyjdiesz z nich, dopóki ktoś cię nie wypuści. Nie ma tu okien, kanalizacji, wentylacji, a wyższe piętra zajmują żołnierze. Tylko głupcy i szaleńcy próbowali stąd uciec, ale jeszcze nikomu się nie udało.

Oparłem się plecami o ścianę i przycisnąłem dłoń do pękniętego biodra. Przez chwilę nie mogłem myśleć o niczym innym poza przeszywającym bólem. Nie potrafiłem go nijak złagodzić, nie miałem przy sobie żadnego narkotyku. Nie pomagały zmiany ułożenia ciała. Był to ostry, lodowaty ból, który odbiera oddech. Dokuczala mi także klatka piersiowa w miejscu, w którym olbrzymi człowiek – zakładając, że to był człowiek – przydusił ją stopą, ale raczej nie złamał mi żeber. To już coś.

Tylko na chwilę zostawili mnie sam na sam z bólem. Ucieszyłem się, gdy moją uwagę odwróciły otwierające się drzwi. Znajoma Przędzarka wkroczyła do części celi oddzielonej prętami, zostawiając otwarte drzwi, za którymi ustawili się dwaj strażnicy. Popatrzyła na mnie jak dyrektorka prestiżowej szkoły, której ktoś podrzucił oblepioną brudem sierotę.

– Wybaczysz, że nie wstanę – odezwałem się. Mówienie wywołało nową falę bólu.

– Możesz zostać na podłodze. – Machnęła ręką i niezgrabny człowiek z Urzędu Bezpieczeństwa Miejskiego, Tate, przyniósł ciężkie drewniane krzesło. Posłał mi kpiący uśmiech, a następnie wyszedł. Kobieta usiadła.

Przędzarkę Kanalinę cechowały surowe oblicze i masywna budowa ciała. Miała eleganckie, ale nie rzucające się w oczy rysy,

i tylko delikatne kurze łapki wokół oczu oraz siwe nitki pośród blond włosów świadczyły o jej wieku. Nosiła skromną sukienkę, która rozszerzała się ku kolanom, a także wysoko sznurowane buty, które od ponad dekady nie wychodziły z mody w Valengradzie. Zmierzyła mnie wzrokiem. Była bystra. Czasami da się to zauważyć w człowieku jeszcze przed rozpoczęciem rozmowy. Kiedy skończyła mi się przyglądać, otworzyła torbę i wyjęła plik papierów oraz pióro.

– Nazwisko?

– Wiesz, jak się nazywam. – Zakaszlałem i moje biodro znów przeszył ból.

– Przedstaw się, żebym mogła to zaprotokołować – odparła. Miała wiejski akcent, wszystkie głoski wybrzmiewały z głębi krtani.

– Jestem Człowiekiem Goblinem.

Kanalina popatrzyła na mnie niewzruszonym wzrokiem. Zdecydowanie było w niej coś ze szkolnej matrony.

– Nie jestem tutaj po to, żeby utrudniać ci życie, tylko zadawać pytania – powiedziała spokojnie. – Ale jeśli zamierzasz mi w tym przeszkadzać, ja też mogę ci zaszkodzić. Chcę, żebyś dobrze zrozumiał sytuację. Jesteś w poważnych tarapatach. Rozmowa ze mną może być twoją najlepszą szansą powrotu do... – wyraźnie nie wiedziała, co powiedzieć – ...do życia, które wiodłeś.

Zapewne miała rację. Miewałem lepsze dni.

– Nazywam się Ryhalt Galharrow – odpowiedziałem. – Jestem kapitanem Czarnoskrzydłych. Bohaterem Łańcucha. Byłem pełniącym obowiązki marszałka podczas oblężenia. Byłem brygadierem pod komendą marszałka Venzera. Byłem synem hrabiego. Zabójcą roboli i pogromcą Torola Mancona. Mam wymieniać dalej?

Przyglądała mi się przez kilka chwil, a potem zacisnęła usta i zabrała się do notowania. Niewykluczone, że wszystko to zapisała. Aż pożałowałem, że tak wiele zdradziłem.

– Skąd znasz hrabiego Dantry'ego Tanzę?

– Nie widziałem go od lat. – To prawda. Od tamtego wieczoru, gdy wcieliliśmy w życie nasz plan. Od chwili, gdy uścisnęliśmy sobie dłonie.

– Nie o to pytam.

Była przebiegła. Bezpośrednia. W innych okolicznościach pewnie bym ją polubił.

– Znam go, ponieważ spotkaliśmy się dawno temu. Przed bitwą o Valengrad, gdy pełniłem obowiązki marszałka. Kiedy byłem bohaterem Łańcucha. Zabójcą roboi. Pamiętasz?

– Hm. – Pióro ze skrzypieniem przesuwano się po kartce. Raczej mi nie wierzyła. Ten aspekt mojej przeszłości został pogrzebany przez moich następców. Popadłem w niepamięć szybciej niż Nenn. – Jak się poznaliście?

Uznałem, że nie zaszkodzi opowiedzieć jej o tym, o czym wszyscy wiedzą. Że wybrałem się do Nieszcęścia i go wyłowilem, a potem próbowałem pomóc jego siostrze. Że po śmierci Elizabeth przez jakiś czas mieszkaliśmy razem w Dzwonie. Nie opowiedziałem jej o tym, jak uratowałem go z rzeźni Saravora pod miastem, ale Casso o tym wiedział, więc ona także. Kanalina nie żądała ode mnie takich szczegółów. Zadawała proste pytania, ponieważ dzięki temu przyzwyczajałem się do udzielania odpowiedzi. Nawiązywała nic porozumienia. Standardowa technika przesłuchań.

– Kiedy ostatnio go widziałeś?

– Szczerze mówiąc, ostatnio niezbyt śledzę upływ czasu – odrzekłem zgodnie z prawdą. – Ale dawno. Pięć lat temu.

– Hm.

– Nie wiem, gdzie on jest, jeśli o to chcesz zapytać.

– Jak myślisz, dlaczego Dantry Tanza stał się wrogiem publicznym?

– Nie wiedziałem, że nim jest.

To nie była prawda. Kanalina sprawiała wrażenie znużonej zadawaniem pytań, a może po prostu udzielałem tylko odpowiedzi, których się spodziewała.

– Trzy lata temu Dantry Tanza wszedł do fabryki fosu w Heirengardzie i zrobił coś, co doprowadziło do przeładowania zwojów baterii. Baterie wybuchły. Nikt nie zginął, ale zniszczeniu uległ sprzęt wart miliony marek. Fabryka należała do księcia Herono, krewnego Dantry'ego.



– Wiesz, że to ja zabiłem księżną Herono? – spytałem. Jej miejsce zajął pozbawiony ambicji młodzieniec, który nie znał się ani na wojsku, ani na gospodarce. Chociaż jego ciotka była kontrolowana przez robaka żyjącego w jej mózgu, zapewne lepiej spisywała się na swoim stanowisku niż młody książę.

– Dlaczego zniszczył fabrykę?

– Nie mam, kurwa, pojęcia. Może postradał zmysły. Spytaj swojego psa Cassa.

Kanalina skończyła zapisywać moją odpowiedź, a następnie zaczęła grzebać w papierach. Wyjęła list skreślony znajomym charakterem pisma. Starąłem się zachować niewzruszone oblicze. Trzymała go przed moimi oczami przez kilka sekund.

– Zabraliśmy to ze sklepu z wrzecionami. Na szczęście nowa właścicielka uznała, że te wiadomości przekazują sobie sympatycy, więc to zgłosiła. W tym liście nie ma zbyt wielu informacji, ale nie ulega wątpliwości, że były też inne, a ty od lat korespondujesz z hrabią Tanzą. Robisz to potajemnie. Po co człowiek, który potrafi przetrwać samotnie w Nieszczęściu, wymienia korespondencję z sabotażystą? Podczas wojny byłeś bohaterem. Co się zmieniło?

Zachichotałem, co wywołało nowe nieprzyjemne ukłucie bólu w boku.

– Podczas wojny? Wy wciąż powtarzacie te same błędy, raz za razem. Sądzicie, że wojna się skończyła? Sądzicie, że dziesięć lat temu Królowie Głębi uznali, że tak mocno dostali w kość, iż dadzą za wygraną? Właśnie w taki sposób straciliśmy poprzednim razem niemal wszystko. Wiecie, jaka największa zmiana zaszła w Valengradzie od mojego odejścia? Pojawiła się nowa opera. Sala koncertowa w Wierzbach. Teraz nadają godziny modłów, zamiast przypominać ludziom, by nie przestawali walczyć, nie przestawali żyć. To nie ja, kurwa, się zmieniłem.

Przędzarka przerwała pisanie. Położyła pióro na kartce i oparła dłonie na skrzyżowanych kolanach.

– Kiedy Dantry Tanza zniszczył drugą fabrykę, w Snosk, wiedzieliśmy, że pierwszy atak nie był przypadkowy – powiedziała. – Rada Wyższej Akademii zakazała mu prowadzenia dalszych badań,

gdy zaczął gonić za tymi samymi bzdurami, którymi przed laty zajmowała się jego siostra. Ale on był zdeterminowany. Kiedy doprowadził do przeładowania zwojów w Snosk, wybuch zabił piętnastoro Utalentowanych zatrudnionych w fabryce. Piętnaście zamordowanych osób, ponieważ jeden obłąkany arystokrata nie może się powstrzymać przed testowaniem swoich teorii.

Zmarszczyłem czoło. Ludzie stale umierali. Ja też często się do tego przyczyniałem. Zawsze wiedziałem, że nie da się uniknąć przypadkowych ofiar. Prowadziliśmy wojnę. Ale nie miałem pojęcia, że Dantry zabił aż tylu ludzi. Sądziłem, że będzie ostrożniejszy. To z pewnością był wypadek. A przynajmniej taką miałem nadzieję. Z oczywistych powodów nie mogłem tego powiedzieć Przędzarce.

– Kiedyś pracowałam jako Utalentowana w fabryce w Snosk, zanim zrozumiałam, że potrafię więcej niż tkać ze światła – ciągnęła Kanalina. To tłumaczyło jej akcent. – Wśród zabitych byli moi koledzy. Ja też mogłam się wśród nich znaleźć. Dlatego, kapitanie, niczego nie zapomniałam. Dla mnie zbrodnie Dantry’ego Tanzy są aż nadto rzeczywiste.

– Więc go znajdź – odparłem. – Na mnie nic nie macie. Jestem przeklętym kapitanem Czarnoskrzydłych. Macie w ogóle pojęcie, co to znaczy? Nie. Wszyscy pozapominaliście. Nastął Upadek Wron, spadły czarne deszcze, a wy zapomnieliście o wszystkim, co się działo wcześniej. O wszystkim. Ale ja wciąż walczę. Dbanie o bezpieczeństwo fabryk to wasza sprawa. Nie moja.

Zignorowała mnie.

– W swoim liście Dantry Tanza wspomina coś, co nazywa kowadłem. Co to takiego?

Wzruszyłem ramionami.

– Czy to jakaś broń?

Nic nie odpowiedziałem. Chciałem zobaczyć to pismo.

Przędzarka Kanalina zmrużyła oczy, próbując coś wyczytać z mojej twarzy. Możliwe, że bursztynowy kolor moich oczu ją zniechęcił, ponieważ nie zdołała zbyt długo wytrzymać mojego spojrzenia i niczego się nie dowiedziała.

– Każę dostarczyć jedzenie i picie. Otrzymasz pomoc lekarską, jeśli postanowisz nam pomóc. Będzie ci potrzebna, w przeciwnym razie możesz stracić rękę. Zastanów się nad tym, o co pytałam. Może nadszedł czas posłuchać sumienia, były kapitanie Galharrow.

Wstała.

– Chwileczkę. Przekaż Davandein – odrzekłem – że jeśli chce wymienić informacje, niech przyjdzie osobiście. Już pozwoliła na zniszczenie połowy cytadeli. Jeśli chce się dowiedzieć, jak powstrzymać resztę przed zawaleniem, musi ze mną pomówić.

Drzwi się zamknęły, a stanowczy szczepek zamków nie pozostawiał wątpliwości, że zaiste jestem uwięziony. W pomieszczeniu nagle zrobiło się cicho, nie licząc brzęczenia fosowej lampy. Chętnie bym wstał i ją rozbił, ale była poza moim zasięgiem, a ból w boku wykluczał podskoczenie. Nieprzyjemne odrętwienie rozeszło się po mojej nodze, ciało wokół biodra opuchło i pociemniało od rozerwanych naczyń krwionośnych pod skórą. Musiałem się zadowolić jedyną dostępną ciemnością. Zacisnąłem powieki.

\* \* \*

Czas nie płynie w pustce białych cel. Potraktowali mnie łaskawie, dając większe niż zazwyczaj pomieszczenie. Ja sam nie zawsze zamykałem ludzi w lepszych celach. Prawdę mówiąc, kiedyś opowiadałem się za tym, żeby wszystkie przekształcić w ciasne klitki. Ludzie, którzy mnie schwytali, zachowywali się jak zawodowcy, ale w porównaniu ze mną byli amatorami.

Bardzo długo nikt nie wracał. W końcu się przespałem, a kiedy się obudziłem, zobaczyłem, że ktoś zostawił mi talerz z kaczką na zimno, pastą fasolową i podplomykiem oraz kubek wody. Myśli przemijały, pozostawiając mnie tylko z bólem połamanego ciała i lękami. Poskładane kości wciąż mi dokuczały. Z trudem utrzymywałem się na nogach, ale już potrafiłem wstać. Usiadłem, zakaszlałem, wytarłem czarnawą maź o ścianę w kolorze wapna. Pomyślałem o Glecku Maldonie, który napisał swoją rozprawę główną na ścianach celi. Jego niewola dobiegła końca, gdy księżna

Heron zdraziła go na rzecz roboli i Shavady. Zastanawiałem się, czy mam lepsze perspektywy.

Nie. Nie skończę w celi. Mam zadanie do wykonania.

Znów się przespałem, chociaż nie byłem zmęczony. Pojawiły się talerz z zimnym jedzeniem i kubek słabej herbaty. Rurki z fosem nigdy nie przygasały, blade sterylne światło stale mi towarzyszyło. Udało mi się chwilę pokuśtykać po celi, co mnie zaskoczyło, ponieważ spodziewałem się, że złamane biodro unieruchomi mnie na dłużej. Zdjąłem koszulę i przyjrzałem się czarno-fioletowym sińcom, które stopa olbrzyma pozostawiła na mojej piersi. Odbarwienia przypominały niebo nad Nieszczęściem: urywane czerwone i niebieskie nitki wijące się pośród złota i zieleni. O dziwo, czułem, że mi go brakuje. Tęskniłem za nierównymi pęknięciami przecinającymi niebo i jego donośnym zawodzeniem.

Oczywiście, że za nimi tęskniłem. Nasiąkałem Nieszczęściem przez lata. Właśnie o to chodziło, prawda? Tęskniłem za nim jak ryba za wodą. Było moim domem.

Dobrze wiedziałem, co robią. Odosobnienie i cisza oddziałują na człowieka silniej niż groźby. Tak bardzo zależało im na schwytaniu Dantry'ego Tanzy, że mnie zatrzymali, ale przecież ścigali go od lat. Kilka godzin nie robiło im różnicy. Kiedy drzwi wreszcie się otworzyły i weszła Przędzarka Kanalina, nie miałem pojęcia, od jak dawna siedzę w tej celi. Zjadłem cztery posiłki i dwukrotnie czułem głód, ale równie dobrze mogły to być dwa albo cztery dni.

Kanalina znów przyniosła krzesło, a ja zostałem na swoim miejscu na podłodze. Nie zapewnili mi żadnych mebli, nie licząc wiadra do srania.

– Co jest na ścianach? – spytała.

– Gówno z Nieszczęścia. – Wzruszyłem ramionami. Ścianę, obok której najczęściej siedziałem, znaczyły tłuste smugi.

Kanalina popatrzyła na nie z lekką dezaprobatą, ale bez zdziwienia, porządkując papiery i wyjmując pióro.

– Wywierają na mnie dużą presję, żebym przyspieszyła bieg spraw – odezwała się w końcu.

– Czy to groźba?

– Sądzisz, że mogę to osiągnąć w inny sposób?

– W takim razie jesteś moją bohaterką.

Zignorowała mnie i ponownie zaczęła zadawać pytania o Dantry'ego Tanzę. Tym razem niektóre z nich były inne. Próbowwała nowego podejścia, chciała się dowiedzieć, czy cokolwiek wiem o badaniach Dantry'ego dotyczących teorii tkania światła. Udzielałem takich samych mało pomocnych, oschłych odpowiedzi. Mogłem po prostu milczeć, ale lubię zgrywać mądrałę.

– Nie pojmuję, dlaczego matematyk, który nie potrafi tkać światła, tak bardzo zainteresował się ideami, z których zrozumieniem mają problem nawet Przędzarze.

– Pewnie cię to frustruje.

Kanalina odłożyła pióro. Miała na nosie okulary w rogowej oprawce, ale teraz je zdjęła, żeby na mnie popatrzeć. Podobała mi się jej twarz, choć w kilku miejscach była zbyt ostro zarysowana; miała spiczasty nos i zakrzywione brwi.

– Dowiedziałam się więcej o tobie – powiedziała. – Początkowo miałam cię za prostego wariata, pustelnika, który mieszka w Nieszczęściu. Znałam twoją przeszłość Czarnoskrzydłego, ale cała reszta też jest prawdą. Zabiłeś Torola Mancona w budynku sądu i dowodziłeś obroną Valengradu, przynajmniej przez dwa dni. To czyni twoją zdradę jeszcze bardziej rozczarowującą.

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć. Postukała końcówką pióra w papiery. Patrzyłem na nią z obojętną miną.

– Widziałeś Króla Głębi? – spytała.

– Shavade? Widziałem go – odrzekłem. Trudno było sobie przypomnieć, jak wyglądał. Pamiętałem tylko potężną ciemność, czarne cienie i brzęk żelaza. Jego obecność w moim umyśle z czasem się zatarła, jakby po jego śmierci rzeczywistość usiłowała wymazać wszystkie ślady jego istnienia. Ale czasami, gdy przykładałem dłoń do piasków Nieszczęścia i sięgałem w dal, wyczuwałem Królów Głębi, a wśród nich utrzymujący się ślad jego obecności. Chociaż Bezimienni wyrwali mu serce i użyli go do zasilenia Maszyny Nalla, istota o takiej kosmicznej wadze nie mogła zostać całkowicie unicestwiona.

– Marszałek kiedyś mi powiedziała, że wszyscy zawdzięczamy przetrwanie tobie i siostrze Dantry’ego Tanzy.

– Davandein często gada głupoty – odparłem. – Ale w tej sprawie ma rację. Może powinnaś ponownie z nią porozmawiać i dowiedzieć się, co sądzi o moim uwięzieniu.

– Byłeś obrońcą miast – ciągnęła Kanalina. – Co się zmieniło?

– Wszystko – odrzekłem. – Davandein zwróciła się przeciwko swojemu własnemu miastu. Czarnoskrzydli stali się cieniem dawnej potęgi. A ja coś zrozumiałem. Maszyneria, Bezimienni, cytadela? Oni nie mają żadnego znaczenia. Liczę się tylko ja. Tylko ja toczę tę pierdoloną wojnę tak jak należy. Chcę jedynie, żeby wszyscy zostawili mnie w spokoju. Kurwa mać, niby po co od lat mieszkam w Nieszczęściu?

– Nie wiem. Oświeć mnie.

– Lubię samotność.

– Byłam tam, kapitanie. Duchy nie zaznają tam spokoju. Gdybyś pragnął samotności, znalazłbyś ją w wielu bezpieczniejszych miejscach. To niesamowite, że przetrwałeś tam tak długo. Zupełnie sam. Jak to robisz?

Uniosłem zbrązowiałą dłoń pokrytą odciskami, zielonymi i czerwonymi nitkami oraz starymi bliznami spiętrzonymi na tatuażach dla poległych. Obróciłem ją w ostrym fosowym świetle.

– To ma być przetrwanie?

# 12

Posiłki pojawiały się, potem znikaly, a czas mijał. Straciłem rachubę, ile razy jadłem i ile razy srałem do wiadra. Sypiałem zbyt głęboko. Zacząłem się zastanawiać, czy nie dodają mi do jedzenia środka uspokajającego, ponieważ nigdy nie byłem rozbudzony, gdy je przynosili. Widywałem tylko Kanalinę, a nasze rozmowy dotyczyły wyłącznie tego, co robiłem w Nieszczęściu, gdzie można znaleźć Dantry'ego Tanzę i co on chce osiągnąć.

To ponury los, gdy masz za towarzystwo tylko swoje myśli. Stale krążą w twojej głowie, podważane i niepewne, aż w końcu już nie jesteś pewien, co naprawdę wiesz. Nie jesteśmy stworzeni do izolacji. Białe cele zaczęły odciskać na mnie swoje piętno.

Żadnego dnia ani nocy, tylko bezustannie i niezmiennie jaskrawe światło. Kiedy zakłócenia mocy sprawiały, że lampy migotały, wzdrygałem się, zaniepokojony, i wbijałem w nie wzrok w nadziei, że zobaczę przeblysk tego, co utraciłem. Ale to była próżna nadzieja. Elizabeth zniknęła z tego świata. Wiedziałem, jak wielką cenę zapłaciła za ochronienie mnie, gdy Saravor próbował wstąpić na wyższy poziom. Obecnie rzadko o niej wspominało, coraz bardziej przypominała ducha.

Moje biodro się goiło. Takie złamanie powinno zwalić mnie z nóg na kilka miesięcy, ale gdzieś pomiędzy szesnastym a dwudziestym piątym posiłkiem przestałem odczuwać jakiegokolwiek dolegliwości. Kiedy nie możesz się zająć niczym poza swoim ciałem, pozostają ci tylko dwa źródła rozrywki. Pierwsze jest poniżające, drugie polega na stawianiu sobie wyzwań. Minęły całe lata, odkąd trenowałem tak jak za młodu. Ćwiczyłem, wykorzystując własny ciężar, próbując wszystkiego, co mogłem zrobić w pojedynkę bez żadnych przyrządów. Czasami robiłem to po to, by zająć czymś umysł,

a czasami chciałem się zmęczyć. Moja ręka odzyskała dawną siłę. Palce były zeszywniałe, ale kości przestały boleć. Wysilałem się do chwili, gdy padałem na posadzkę w kałuży potu, a oczy wreszcie same mi się zamykały.

Ocknąłem się z poszarpanego snu i znalazłem się w Nieszczęściu. Oczywiście w nim nie byłem, ale tak to wyglądało. Czerwień, szorstki piasek i czarne skały. Sen, ale wiedziałem, że śnię. Nenn siedziała na kamieniu i przerzucała nóż z ręki do ręki.

– Co się ze mną dzieje?

– Za chuja nie wiem. A co się dzieje ze mną? – odparła. W niczym mi to nie pomogło.

– Ty jesteś niczym – odrzekłem. – Tylko odbiciem. Bardziej mną niż sobą.

– Każdy z nas jest innymi ludźmi – stwierdziła. Wyrzuciła nóż w powietrze i złapała go za ostrze, gdy opadał. – Istniejemy nawzajem w swoich umysłach, tak samo jak we własnej głowie. Sądzisz, że jesteś sam, ale to nieprawda. Nauczyłam się tego bardzo późno. Ty mnie o tym przekonałeś. Tuż przed... blergh. – Udała, że wrywa sobie wnętrzności.

– Nie powinienem cię tutaj widzieć.

– Może nie widzisz – odrzekła. – Jak już mówiłam, pewnie po prostu zwariowałeś.

Zamrugąłem oczami, a wtedy czerwień, popękane niebo i smród Nieszczęścia zniknęły, a wokół mnie nie było niczego poza bielą celi.

Mijał dzień za dniem, a może wcale nie. Księżyce równie dobrze mogłyby przestać krążyć wokół ziemi. Nenn przychodziła i odchodziła, czasami pojawiała się w celi pomiędzy oddechami, czasem czekała na mnie, gdy się budziłem, ale przeważnie w białej celi panowała cisza, nie licząc moich stęknień, westchnień, ciężkiego dyszenia, charczącego kaszlu, który rozdzierał mi klatkę piersiową i wypełniał usta smołą. Rozsmarowałem po ścianach tyle tej mazi, że będą musieli zmienić nazwę tego pomieszczenia na „szarą celę”. Czasami ból mnie pokonywał, rzucał na kolana. Ale zdarzało się, że tylko czynił mnie bardziej zdeterminowanym.



Kiedy nie ma się na czym skupić, drobiazgi nabierają znaczenia. Liczyłem rzędy pokrytych białym gipsem cegieł na ścianach. Układałem otrzymane ziarna fasoli w małe oddziały i rozgrywałem nimi słynne bitwy. Zacząłem je gromadzić, tworząc całe armie fasolowych żołnierzy przeznaczone do odtwarzania większych starć. Podejrzewam, że się o tym dowiedzieli, ponieważ zaczęli mnie karmić zupami. Z zupy nie da się stworzyć tak taktycznie satysfakcjonujących dioram.

Doszedłem do wniosku, że rozsmarowując wykastowaną maź po ścianach, szkodzę tylko sobie samemu. Musiałem uznać mądrość starego powiedzenia, że nie należy kłaść własnego gniazda, chociaż jednocześnie byłem zmuszony srać w tym samym miejscu, w którym jadałem posiłki. Mimo wszystko próbowałem zdrapywać maź ze ścian, ale w niektórych miejscach stwardniała na kamień. W innych jakby wgryzła się w cegły i ze smugi na kamieniu zmieniła się w barwne wyżłobienie. Skoro tak działała na ściany, to strach pomyśleć, co robiła z moim wnętrzem.

Mijał dzień za dniem. Albo i nie. Któż mógł to wiedzieć? Tik, tak, tik, tak. Żadnej szansy na ratunek. Nikt poza moimi porywaczami nie wiedział, że tutaj jestem. Nie licząc Nenn, chociaż ona była martwa, a poza tym zapewne wcale się tu nie pojawiała.

Kiedy Przędzarka Kanalina otworzyła drzwi, stałem na rękach pod ścianą i robiłem pionowe pompki. Właśnie zrobiłem dziewięćdziesiątą trzecią, ustanawiając osobisty rekord. Biłem własne rekordy za każdym razem, gdy czegoś próbowałem. Wypadałem lepiej nawet niż w czasach młodości. Skażenie w moim wnętrzu reagowało na otrzymane bodźce i mnie zmieniało. Leczyło mnie i zaspokajało moją potrzebę siły. Troszczyło się o mnie, nawet w tej zalanej fosowym światłem celi.

– Jak ty to robisz? – spytała Kanalina, wbijając we mnie wzrok. Rozebrałem się do pasa, a moje wyraźnie zarysowane zabarwione na miedziany kolor mięśnie pokrywał pot.

– Mam ci pokazać?

– Miałeś złamane biodro – odrzekła.

Odbiłem się od ściany i opadłem na nogi.

– Wydobrałem.

– Nie powinienes. Nie tak szybko. – Obejrzała mnie od stóp do głów, a moje ego lekko urosło, gdy przesuwiała wzrokiem po mojej sylwetce. Z wiekiem na brzuchu pojawiła się miękka warstewka tłuszczu, która jednak całkowicie zniknęła w ciągu tych kilku dni, godzin czy tygodni. – Zmieniasz się – dodała. – W twoich włosach jest mniej siwizny, a więcej czerni. Co się z tobą dzieje?

– Nie mam pojęcia. Może ten biały pokój mi służy. Może to przez tę energię w powietrzu. – Poruszyłem ramionami, napinając mięśnie, których dotychczas nie posiadałem. Zmiany w moim ciele nie do końca były naturalne, ale już od lat nie byłem tak mocny i smukły.

Kanalina pociągnęła nosem. Ona też wyczuwała otaczające nas napięcie. Jak drzenie powietrza przed burzą albo podniecenie przed pojedynkiem.

– Jesteś jednym z nich? – spytała w końcu.

– To znaczy kim?

– Robolem. Przemienili cię?

– Nie.

– Dzisiaj jest mój ostatni dzień – powiedziała. Sprawiała wrażenie sfrustrowanej. Popatrzyła na czarne i zielone smugi na ścianach i posadzce. Starła się nie okazywać emocji, ale z trudem nad sobą panowała. – Sądziałam, że z czasem zmądrzejesz. Dojdiesz do wniosku, że lepiej postąpić właściwie niż spędzić resztę życia w celi.

Wzruszyłem ramionami, opadłem na podłogę i zacząłem robić pompki. Najpierw na jednej ręce, potem przerzuciłem się na drugą. To było zbyt proste. Oparłem się na opuszkach palców. Kanalina przez jakiś czas mnie obserwowała.

– Chcesz wiedzieć, co się teraz stanie?

– Czy to coś zmieni, jeśli będę wiedział? – odrzekłem, nie gubiąc rytmu. Poruszanie się w ten sposób, podtrzymywanie własnego ciężaru nie powinno być tak łatwe.

– Będą cię łamać kołem – wyjaśniła. – Heinrich Adenauer jest szefem bezpieczeństwa miejskiego. Przejmie tę sprawę po mnie, skoro nie potrafię niczego z ciebie wydobyć. On woli koło tortur. Wiesz, co się dzieje z człowiekiem, który na nie trafi?

– Potrafię sobie wyobrazić.

– Twoje nogi zostaną wyrwane ze stawów – ciągnęła. – Ręce też. Stopy połamią się na kawałki. Człowiek, który trafi na koło tortur, już nigdy nie staje na własnych nogach. Ledwie może siedzieć. Zapewne cię połamią, a kiedy nie dasz im tego, czego pragną, poderzną ci gardło i wyrzucą do rynsztoka jak worek ze strzaskanymi kośćmi.

Nic z tego nie było dla mnie nowością, chociaż nigdy nie widziałem łamania kołem. Za moich czasów używano rozgrzanego żelaza i ostrych noży. To pospolite, codzienne narzędzia, które można wykorzystać do ponurych celów. Ale kiedy ktoś buduje koło tortur, chce coś oznajmić światu: zamierza krzywdzić ludzi oficjalnie i często. Nigdy nie brakowało szpiegów i sympatyków, których można było posłać do cel, ale kiedy rządził Venzer, obowiązywały pewne zasady. Heinrich Adenauer nie był żołnierzem. Był rodzonym synem księcia Adenauera. Spotkałem go tylko raz, gdy próbował wciągnąć Dantry'ego Tanzę w pojedynek, by uniemożliwić mu uwolnienie siostry z Maud. Zapamiętałem go jako zasmarkanego biurokratę i gnoja.

– Twoja troska jest wzruszająca – mruknąłem. – Czterdzieści jeden, czterdzieści dwa. Ale mówię poważnie, odpiardol się.

Nie zrobiłem na Kanalinie wrażenia ani jej nie zaskoczyłem.

– Nie zastanawiałeś się, dlaczego wrzucano cię do tej celi, zamiast od razu wysłać do klitek? Jesteś tutaj, ponieważ ktoś cię chroni, ktoś, kto nie chce, żebyś skończył w kawałkach. Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, ale nie mogę bez końca cię chronić.

– Jak dotąd świetnie ci idzie – odparłem. – Gdyby nie twój tresowany potwór, wcale by mnie tu nie było. Kim jest ten przyjaciel?

– Kimkolwiek jest, na razie zdołał oddalić żądanie Adenauera, żebyś trafił na koło – odburknęła. – Ale dzisiaj masz ostatnią szansę, Galharrow. Daj mi coś, w przeciwnym razie nie będę miała innego wyjścia, jak wydać cię w ręce Adenauera.

Pięćdziesiąt pięć, pięćdziesiąt sześć. Może to prawda. Może wciąż miałem jakiegoś przyjaciela w cytadeli. Ale bardziej

prawdopodobne, że w ten sposób Kanalina starała się przekonać mnie do mówienia. Dawała mi nadzieję, że pewnego dnia stąd wyjdę, pokazywała światełko w tunelu. Tylko że sprawiała wrażenie wściekłej, zapewne dlatego, że nie dostała tego, na czym jej zależało, a wyglądała na kobietę, której zazwyczaj się to udaje.

– Poproś tego kogoś, żeby zmniejszył natężenie fosu, wtedy w powietrzu nie będzie tak dużego napięcia – powiedziałem i wróciłem do ćwiczeń.

Zostawiła mnie samego, roznieciwszy iskry strachu. Białe cele to nieprzyjemne miejsce, ale nie podejrzewali, że jestem tak obeznany z samotnością. W Nieszczęściu całymi miesiącami miałem za towarzystwo tylko duchy, a one są gorsze od ciszy.

Kiedy następnego dnia drzwi znów się otworzyły, byłem gotowy do walki. Lepiej czegoś spróbować – czegokolwiek, nawet bez szans powodzenia – niż potulnie pójść na tortury. Przeżyłem w Nieszczęściu. Nie miałem zamiaru się poddać ani słuchać pytań, na które nie znam odpowiedzi, zwłaszcza ze strony takiej szumowiny jak Adenauer. Ale żołnierze, którzy pojawili się na progu, celowali do mnie z pistoletów skałkowych. Poza tym było ich ośmiu. Nikt nie zamierzał ryzykować. Ci kompetentni ludzie dobrze wiedzieli, że biała cела mogła we mnie wzbudzić desperację.

– Obróć się i połóż dłonie na karku – rozkazał jeden z nich.

– Nie.

Żołnierz nie wyglądał na okrutnego człowieka. Raczej jak ktoś, kto ma rodzinę i wstąpił do służby, ponieważ uznał, że właśnie tak należy. Ale Łańcuch wychowuje prawdziwych twardzieli.

– Powiedziano mi, że jeśli odmówisz, mamy cię tutaj zostawić – rzekł. Wymienił niepewne spojrzenia ze swoim kompanem. – Mamy ci także powiedzieć, że jeśli tak się stanie, jutro przyniesiemy ci rękę Fracańczyka.

Moja wola, mocno ściśnięta wewnątrz klatki piersiowej, nieco osłabła.

– Co takiego?

– Nie wiem, co to znaczy – odrzekł żołnierz. – Po prostu wykonuję rozkazy. – Zapewne wiedział, że nie jest to zwyczajna ani legalna

wiadomość, i jej przekazanie było dla niego trudne, ale jego pistolet nawet nie drgnął. – Moje rozkazy zostały opatrzone pieczęcią pani marszałek. Radzę je wykonać. Załóż to.

Tnota niczym nie zawinił. Dla cytadeli był tylko starym nawigatorem, który najlepsze lata miał już za sobą. Miałem nadzieję, że zabrał moje diamenty i wyruszył na zachód. Ale oczywiście został, kiedy nie wróciłem. Może w końcu, zdesperowany, spytał o mnie w cytadeli. Niewykluczone, że to blef, ale bałem się podejmować tak straszliwe ryzyko.

– Dokąd mnie zabieracie?

– Do kolejnej celi, piętro wyżej – wyjaśnił żołnierz.

Znałem te cele. Ponad białymi celami znajdowały się szare i z pewnością właśnie tam trzymano koło tortur. Opuściłem wzrok na kajdany. Były grube, spięte nie słabym łańcuchem, ale pojedynczym masywnym łączem. Być może w białych celach odnalazłem nowy poziom siły, ale nie potrafiłbym ich zerwać. Na nadgarstkach wciąż nosiłem pochodzące sprzed lat blizny po linach roboli.

– Niech będzie. – Odwróciłem się i wyciągnąłem ręce. Jeden z żołnierzy ostrożnie się zbliżył, ale z pomieszczenia było tylko jedno wyjście, zastawione przez ludzi z pistoletami. Skrzywdzenie jednego żołnierza w niczym by mi nie pomogło. Kajdany zatrzęsły się na moich nadgarstkach jak wieko trumny.

Po raz pierwszy od bardzo dawna opuściłem swoją celę. Czterej żołnierze szli przede mną, a czterej za mną, przyciskając lufy pistoletów do moich pleców. Nie mogłem niczego spróbować. Wspięliśmy się po schodach – jedynych, które prowadziły do białych cel – i wyszliśmy na korytarz. Tutaj, za drzwiami z metalowymi kratami, trzymano więźniów politycznych, przeważnie w oczekiwaniu na śmierć, a nie w celu złamania oporu. Panowała tu cisza. Więzienie to hałaśliwe miejsce, pełne wrzasków i jazgotu osadzonych, ale loch jest zupełnie inny. Ludzie, którzy do niego trafiają, wiedzą, że jedyna droga wyjścia wiedzie przez szubienicę. Zatrzymaliśmy się przed grubymi drzwiami.

– Do środka.

Wpuścili mnie samego do pomieszczenia, w którym spodziewałem się zastać paskudnie uśmiechniętego człowieka stojącego obok urządzenia z drewna i sznurów, gotowego połamać mnie na kawałki. Ale cela była pusta, nie licząc łóżka z siennikiem i znajomego wiadra do srania. Zwyczajny loch, przynajmniej na tyle zwyczajny, na ile to możliwe w przypadku celi.

Drzwi zamknęły się za moimi plecami.

– Przyjdą po ciebie rano – rzucił dowódca żołnierzy przez kratkę. Wkrótce ich kroki się oddaliły.

Rozejrzałem się po swoim nowym tymczasowym domu, zastanawiając się, po jakie лихо przenieśli mnie do tego nieco wygodniejszego pomieszczenia. Nie było dużo lepsze, ale siennik to nie zimna kamienna posadzka. Usiadłem.

Pięć minut później kratka znów się otworzyła i do środka zajrzała jakaś nowa twarz. Strażnicy, więcej niż jeden.

– No dobrze – odezwał się któryś z nich. Zapewne każdego dnia miał do czynienia z niebezpiecznymi skazańcami, ale i tak się skrzywił na mój widok. – To twój szczęśliwy dzień. Przenoszą cię. Wstawaj, ale żadnych gwałtownych ruchów. Ja pierdołę, ale z ciebie brzydka.

Drzwi się otworzyły, ludzie weszli do środka. Coś było nie w porządku. Wciąż byłem skuty kajdanami, i chociaż ci strażnicy nie celowali do mnie z pistoletów, to mieli pałki nabijane stalowymi ćwiekami, a moje ręce były unieruchomione za plecami. Pozwoliłem się wyprowadzić na korytarz i zobaczyłem innego więźnia, groźnie wyglądającego mężczyznę bez jednego oka, z twarzą pokrytą tatuażami typowymi dla członka gangu. Pięć nieudolnie wytatuowanych sztyletów na czole stanowiło niesmaczny pokaz siły: każdy odpowiadał jednej zabitej osobie. Strażnicy wepchnęli go do celi, z której wyszedłem, i zatrzasnęli drzwi.

– Trochę tutaj posiedzi. Chyba zrobiłeś na kimś dobre wrażenie – odezwał się strażnik. – Niewielu ludzi trafia z szarych cel do brązowych, ale w ostatnich dniach zrobił się tutaj straszny tłok. Pewnie powiedziałeś im coś, co chcieli usłyszeć.

Nic nie odpowiedziałem. Facet wyglądał na gadułę, a ja nie miałem ochoty na rozmowę. Wszyscy strażnicy są do siebie podobni. Kiedy byliśmy w połowie schodów prowadzących na górę, napotkaliśmy parę ubranych w czarne płaszcze urzędników cytadeli. Schody były zbyt wąskie, żebyśmy mogli wygodnie się minąć.

– Stać – odezwała się jedna z urzędniczek, gdy zauważyła mnie za plecami pierwszego strażnika. – Czy to więzień z celi trzydzieści dziewięć?

– Tak – odrzekł strażnik. – A o co chodzi?

– Prowadzicie go do celi numer cztery?

– Nie, do celi piętnaście, na poziomie brązowym.

– Właśnie musieliśmy tam umieścić naprawdę paskudnego więźnia – odparła urzędniczka. – Otrzymaliśmy rozkazy, żeby przenieść tego osadzonego do czwórki.

– Moje rozkazy pochodzą z Urzędu Bezpieczeństwa Miejskiego, więc idziemy do celi piętnaście – odburknął strażnik, wyraźnie rozdrażniony, że musi prowadzić tę rozmowę na schodach.

– Nasze również – odrzekła urzędniczka. Podała strażnikowi złożoną kartkę.

– Dziwne, otrzymałem rozkazy zaledwie dziesięć minut temu.

– Rzeczywiście, dziwne jak diabli – zgodziła się urzędniczka, marszcząc czoło. – Może to pomyłka, ale wszystkie cele są pełne. W ostatnich kilku dniach pojawiło się tyle nowych tropów, że przyskrzyniliśmy połowę handlarzy pyłkami w mieście. Ale właśnie wsadziliśmy jakiegoś gościa do piętnastki, więc zamknijmy waszego więźnia w czwórce i porozmawiajmy z Cassem. Może wtedy wszystko się wyjaśni?

– Cassa lepiej nie drażnić – zauważył strażnik. – Jeśli będą kłopoty, wy za to bekniecie.

Urzędniczka wzruszyła ramionami. Miała swoje rozkazy na piśmie. Nie potrzebowała dodatkowego zabezpieczenia.

Cela numer cztery była niemal komfortowa w porównaniu z trzydziestką dziewiątką, a wręcz luksusowa w porównaniu z białymi celami. Tamte cele nie miały numerów. Nazywano je po

prostu białymi. Teraz miałem do dyspozycji łóżko, krzesło i stół, wszystko jeszcze bardziej surowe niż w koszarach. Po pięciu minutach siedzenia na krześle znów usłyszałem szczęk klucza w zamku.



# 13

Umundurowana żołnierz, która otworzyła drzwi, różniła się od pozostałych.

Była niska, miała szeroką, okrągłą twarz, charakterystyczne rysy i włosy w kolorze węgla, które wskazywały na pochodzenie z dalekiego zachodu, oraz poważną minę. Na jej ramieniu wisiała ciężka torba. Kiedy na mnie zerknęła, skrzywiła się, ale szybko opanowała zaskoczenie.

– Jesteś Ryhalt? – spytała. Pokiwałem głową. – Powinieneś mieć pięćdziesiąt lat. Jesteś pewien?

– Całkowicie.

– No tak, tego koloru nie da się pomylić z niczym innym. Wstawaj. Zdejmę ci kajdany. Przysłał mnie przyjaciel.

– Kto?

– Winter.

Nie wiedziałem, czy Winter jest moim przyjacielem, ale ktoś zadał sobie dużo trudu, żeby wyciągnąć mnie z białych i wsadzić do brązowych cel. Kobieta usunęła sworznie, na których trzymały się kajdany, rzuciła je na stół, a następnie podała mi torbę.

– Załóż to.

Mogłem się przebrać po raz pierwszy od chwili, gdy wrzucili mnie w rażące światło. Błękitny uniform dozorczy z cytadeli. Zdziwiłem się, że na mnie pasował. Rzadko tak się zdarza.

– Odwrócisz się? – spytałem.

– Plecami do ciebie? Nie. Pośpiesz się. Nie mamy dużo czasu.

– Kim jesteś?

– Możesz mnie nazywać Sang – odrzekła; nawet jeśli to nie było jej prawdziwe imię, wiedziałem, że tylko na tyle mogę liczyć. Nie miała

broni. – Naciągnij czapkę na oczy i się przygarb. Staraj się wyglądać na mniejszego.

Sang wyprowadziła mnie z celi i powiodła przez opustoszałe pomieszczenie strażników. Ktoś powinien siedzieć za biurkiem i zapisywać każdego, kto chciałby wejść do cel. Wiedziałem o tym, gdyż przez lata rejestrowałem wielu więźniów. Chociaż nieobecność strażnika pomogła mi w ucieczce, dziwiło mnie, że cytadela zatrudnia ludzi, którzy nie potrafią dopilnować tak ważnego posterunku. Wyszliśmy z bloku więziennego na środkowy dziedziniec. Była noc – co niewiele znaczyło w białych celach – a wszystkie fosowe światła zgasły. Kilku techników z ręcznymi foskulkami i lampami olejnymi oglądało przewody i rurki, sprawdzając, dlaczego przestały działać. Pośród głębokich cieni rozświetlanych oślepiającymi punktami światła nikt nie zwracał uwagi na niedopasowaną parę w mundurach kierującą się do kolejnych drzwi.

– Tutaj. Do zachodniego skrzydła – poleciała Sang.

– Tamtędy nie da się wyjść – odparłem.

– Teraz już tak.

Uwolniła mnie z celi, więc uznałem, że znów jej zaufam. Nie zyskaliby niczego na tym całym zamieszaniu, gdyby naprawdę nie chcieli mi pomóc. Musiałem uwierzyć Winterowi.

Sang poprowadziła mnie korytarzem, w którym minęliśmy dwóch starszuchów ze zwojami miedzianego drutu na ramionach, pośpiesznie idących w stronę ciemnego dziedzińca. Nie zwrócili na mnie uwagi. Sądziłem, że kierują się do koszar, ale po chwili uświadomiłem sobie, że nie. Tam już nie było koszar.

Ponownie wyszliśmy na nocne powietrze. Olbrzymie sterty gruzów okalały szeroki pas nierównego gruntu, pozostałość po nieistniejącej części cytadeli. Uderzyła mnie fala gorzkiej migdałowej woni. Powietrze było tutaj cieplejsze, zbyt ciepłe, tak że przypominało mi gorąco bijące od piasków Nieszczęścia. Na ziemi leżały jajowate strąki o długości dziesięciu stóp, których nierówna powierzchnia lśniła wilgocią.

– Co to jest?

– Płytki Grób je przysłał – wyjaśniła cicho Sang. – Mają nam pomóc.

– To one rozbiły cytadelę?

Pokiwała głową.

– Obejdźmy je.

Było ich dwadzieścia, w czterech rzędach po pięć sztuk. Były niemal identyczne, a chociaż nie wydawały żadnych odgłosów i trwały w bezruchu, ogarnęło mnie niepokojące uczucie, że są żywe. Tylko jeden z nich, znajdujący się na środku, czymś się różnił od pozostałych. Pękł na pół, a obie zwiotczałe części leżały na ziemi.

– Co w nim było?

– Istota, która cię połamała – odrzekła Sang. – Chodź. Nie zatrzymuj się. Wkrótce odkryją, że cię nie ma.

Jeśli w okolicy mieli być strażnicy, to ja ich nie widziałem. Szybko minęliśmy strąki, a kiedy zostawiliśmy je za sobą, ciepło odpłynęło i ogarnął nas chłód nocy. Dzielili nas dwie ulice od cytadeli, gdy za nami zawyła syrena ogłaszająca moje zniknięcie. Przyśpieszyliśmy kroku. Nie biegliśmy, ale trzymaliśmy stałe tempo. Sang z trudem za mną nadążała.

– Nie tędy – rzuciła.

– Muszę się dostać do Pik.

– Nie. Chodź za mną. Twój przyjaciele są bezpieczni.

Skrećaliśmy w kolejne ulice, równie znajome jak stopy, które mnie po nich niosły. Przez chwilę myślałem, że Sang prowadzi mnie do dawnego biura Czarnoskrzydłych, ale minęliśmy je, a w jego miejscu obecnie znajdował się dom kupiecki, na którym lśnił neon z nazwiskami handlarzy. Poczulem ukłucie żalu, że moja siedziba zmieniła się w kolejne targowisko. Nie miałem nic przeciwko handlarzom, ale nie miałem też żadnego powodu, by ich podziwiać. Przeszliśmy do Zakątka, cichej dzielnicy, która nie oczekiwała niczego poza tym, by jej mieszkańców zostawiono w spokoju. Sang zatrzymała się przed mało charakterystycznym budynkiem, otworzyła drzwi i wpuściła mnie do środka.

– Cytadela nie wie o tym miejscu – powiedziała. – Nie znajdą cię tutaj.

Tnota już na mnie czekał. Powitałem go uściskiem.

– Na piekła, Ryhalcie, ależ dobrze cię widzieć.

– Ciebie też – odrzekłem. A więc nie wyruszył na zachód, ale cytadela też go nie dopadła. – Giralt jest bezpieczny?

– Jest tutaj. Śpi. Nie chciałem go budzić, zanim nie będę pewny. – Zmierzył mnie wzrokiem. – Zmieniłeś się.

– W jaki sposób?

– Wciąż masz kolor miedziaka. Ale, na duchy, Ryhalcie, ty odmłodniałeś. Co zrobiłeś?

W korytarzu wisiało lustro. Popatrzyłem w nie z powątpiewaniem, ale Tnota miał rację. Zmarszczki wokół oczu się wygładziły. Policzki nabrały jędrności i przestały obwisać, a worki pod oczami zniknęły. Z trudem rozpoznałem człowieka, który patrzył na mnie z lustra. Złamany nos się wyprostował, siwizna we włosach ograniczyła się do kilku kosmyków. Ale moje oczy lśniły silniej niż kiedykolwiek, a obsydianowe żyły pod skórą rysowały się jeszcze wyraźniej. Poprosiłem skażenie, żeby mnie przemieniło, wypchnąłem je na powierzchnię, a ono spełniło moje żądanie.

– Na górę – odezwała się Sang. – Winter na ciebie czeka.

Oderwałem wzrok od nieznanego w polerowanej tafli. Tnota dotknął mojej ręki.

– Ryhalcie – rzekł cicho. – Zanim tam wejdiesz, powinieneś coś wiedzieć. Winter to ona.

Coś stanęło mi w gardle. To przecież oczywiste. Nikt inny nie zdołałby odnaleźć mnie w Nieszczęściu ani dyskretnie i bezkrwawo wyciągnąć z więzienia. To wszystko wymagało niezwykle drobiazgowego planu. Niemal równoczesnego dostarczenia rozkazów do poszczególnych grup strażników. Wypełnienia wszystkich cel poza jedną. Uszkodzenia fosowego oświetlenia na zewnątrz. Całość przygotowano w najdrobniejszych szczegółach. Zamknąłem oczy, a potem powoli je otworzyłem. Nadszedł czas, byłem gotowy. Ale pomimo odzyskanej młodości nie chciałem pokazać się w takim stanie.

Wspiąłem się po schodach w ślad za Sang. Wpuściła mnie do pomieszczenia i zamknęła za mną drzwi.

To był gabinet, tak jak się spodziewałem. Eleganckie, równe rzędy książek o prostych grzbietach. Dwa schludne biurka, a na nich globus, mikroskop i inne przyrządy badawcze. Światła były przygaszone, rurki z fosem ledwie lśniły. A pośród tego wszystkiego kobieta, której miałem już nigdy nie zobaczyć.

– Witaj, Ryhalcie – odezwała się Valiya. – Dawno się nie widzieliśmy.

Wyglądała podobnie jak w dniu, gdy odeszła sześć lat temu. Co prawda ogień w jej włosach poszarzał i była znacznie szczuplejsza, wręcz wychudzona, ale jej spokojna postawa i opanowanie, z jakim na mnie patrzyła, splatając ręce przed sobą, były nie do podrobienia. Sześć lat. Rozeszliśmy się każde w swoją stronę i tak było najlepiej. Wciąż wyglądała pięknie.

Jakaś część mnie pragnęła wyznać, jak często o niej myślałem. Kryjący się we mnie uczeń, który pamiętał wszystkie długie noce, które razem przepracowaliśmy, chciał, żeby się o tym dowiedziała, i to natychmiast. Ale nie potrafiłem znaleźć odpowiednich słów, a może w ogóle ich we mnie nie było.

– Valiyo – zagadnąłem. – Czy może teraz nazywasz się Winter?

– Możesz mnie nazywać Valiyą – odparła. Oficjalnie. Z dystansem. Gestem nakazała mi usiąść. – Napijesz się herbaty?

Niemal się roześmiałem. Valiya i jej przeklęta, paskudna herbata.

– Nie – odrzekłem. – Jak się miewasz?

Wzruszyła ramionami.

– Jest jak jest. Zawsze coś można poprawić.

– Długo trwało, zanim się ze mną skontaktowałaś.

– Do białych cel nie sposób dotrzeć – odparła, siadając przy biurku. – Tak je zaprojektowano.

Valiya się nie uśmiechała. Zmieniło się w niej coś jeszcze. Początkowo tego nie zauważyłem, ale nie tylko we mnie zaszła przemiana. Jej oczy nie miały źrenic, a tęczówki odbijały światło jak lustro. Już nie do końca była człowiekiem; imię Winter dobrze ją opisywało. Na jej twarzy nie można było dostrzec ani odrobiny ciepła, nawet wobec starego przyjaciela.

– A jednak ci się udało.

– Ledwie. Nie mogłam mieć pewności, czy moi agenci zdążą wyłączyć zasilanie, a podrobienie rozkazów trwało całe wieki. Ale owszem.

– Powinienem był się domyślić, że Nall właśnie ciebie wybierze. Zawsze byłaś aż za sprytna. Jesteś jednym z jego kapitanów?

– Jedynym – odrzekła.

– Twoje oczy...

– Twoje też. Naprawdę właśnie o tym chcesz rozmawiać?

Usiadłem na krześle. Panowała między nami napięta atmosfera, a ja chciałem jej zadać kilka pytań. Czy ponownie wyszła za mąż? Dlaczego zawarła ten układ? Ale dawna poufałość zniknęła. Zabiły ją dokonane wybory, upływ czasu i cała reszta.

– Co się stało z pozostałymi?

– Nall nie stracił żadnych kapitanów. Od początku byłam jedyna. Zawsze wolał działać samodzielnie. Ale słyszałam o Josafie i Linette. Nikt nie wie, kto ich zabił, lecz musimy zakładać, że ty też jesteś celem.

– Nall umiera – wtrąciłem.

Valiya ze smutkiem pokiwała głową.

– Wiem. A więc znalazł cię w Nieszczęściu?

Zaczął padać deszcz. Czarna mżawka, która uderzała o szybę mocniej niż zwykła woda.

– Przynajmniej część niego. Napotkał skrzelaki. – Nie musiałem jej mówić, że awatar nie wrócił. Wiedziała, jak to się skończy, gdy posyłała go moim tropem. – Bezimienni są rozbici. Śpiący co prawda się nie wynurzył, ale nie wygrali bitwy. Maszyna Nalla to nasza jedyna obrona, a to, że Płytki Grób próbuje zburzyć cytadelę, wcale nam nie pomaga. Co się stało?

Valiya zmarszczyła czoło.

– Trudno powiedzieć. Pojawił się jakiś zielony błysk i coś huknęło głośniejszym niż ogień z nieba, a potem północne skrzydło cytadeli runęło. Później na miejscu znaleźliśmy jaja.

– Jaja?

– Może to niewłaściwe słowo, ale z jednego z nich coś się wykluło. Już spotkałeś tę istotę. Osiem stóp wzrostu, mlecznobiała skóra,

czerwone oczy i blizny.

– Mieliśmy okazję się zapoznać – odrzekłem z niepokojem. Od początku zastanawiałem się, co to za stwór. – Wiesz, czym one są?

– Tak – potwierdziła Valiya. – Płytki Grób posłał nam Marmurową Straż.

Przez chwilę nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Potem na moje usta wypłynął uśmiech.

– Świetnie. Może Pani Fal podeśle nam batalion syrenek i krakena.

– Mówię poważnie – odrzekła Valiya. Moje odbicie w jej lustrzanych oczach i surowo zaciśnięte usta przekonały mnie, że nie żartuje. Jej nowe imię dobrze do niej pasowało. Valiya zawsze była oddana swojej pracy, ale teraz emanowała takim chłodem, że zastanawiałem się, jak głęboko jest pogrzebana kobieta, którą kiedyś znałem. Stanowisko kapitana zmieniło w niej coś więcej niż tylko wygląd.

Marmurowa Straż była mitem pochodzącym z przedwiecznego świata herosów, zanim pojawili się książęta i republika. Kiedy ludzie walczyli włóczyniami z brązu i rzucali w siebie kamieniami, pewien obalony król zawarł pakt z duchem, którego uzurpator obraził. Duch dał mu dwudziestu wojowników zrodzonych w sercu jego góry, wojowników, których nie da się pokonać w bitwie. Dzięki nim władca odbił swoje królestwo. Ale Marmurową Straż cechowała nienasycona żądza krwi i król wkrótce został sam w sali tronowej, gdyż nieludscy wojownicy pożarli jego lud. To przypowieść, ostrzeżenie dla tych, którzy za wszelką cenę dążą do władzy.

– Bajka dla dzieci – dodałem.

– Mity zazwyczaj są oparte na prawdzie – odparła Valiya. – W twojej ręce kryje się bóg i patrzyłeś na serce Nieszczęścia. Dlaczego nie coś takiego?

– To chyba bez znaczenia, dopóki są po naszej stronie.

– Czymkolwiek jest nasza strona – odrzekła. – Przez jakiś czas pracowałam u boku Davandein. Potem, po Upadku Wron, zepchnęła mnie na margines. Boi się, ale zamiast przyjąć moją pomoc, zamknęła się w sobie. Wciąż mam trochę wpływów wśród dobrych

ludzi w cytadeli, którzy słuchają moich rad i sączą je do jej ucha, ale ona już nie ufa Bezimiennym ani ich sługom.

– Nie winię jej za to.

– Myślę, że to dlatego Płytki Grób posłał Marmurową Straż. Próbuje wzmocnić swoją kontrolę. Tylko jeden ze strażników wyklął się ze skorupy. Nie wiemy, czy i kiedy pozostali się wyklują. Tego, który się wydostał, nazwano Pierwszym, i spodziewamy się, że reszta w końcu pójdzie w jego ślady.

Pradawni wojownicy przysłani w chwili potrzeby. Szkoda, że opowieść o królu nie miała szczęśliwszego zakończenia. Ale Pierwszy był strasliwym wrogiem. Straż z pewnością się przyda, gdy nadejdą Królowie Głębi. Nie przeważą szali zwycięstwa, zwłaszcza jeśli Acradius dysponuje mocą Śpiącego, ale przyda nam się każda pomoc.

– Dobrze cię widzieć – powiedziałem.

Valiya nawet nie mrugnęła.

– Marszałek Davandein planuje wyprawę do Adrogorska. Buduje armię kilka kilometrów od Łańcucha, ale nie zdradza swoich motywów. Moi szpiedzy niczego się nie dowiedzieli, co oznacza, że nikomu nie powiedziała. Ale jeden z kapitanów Pani Fal odwiedził ją tuż przed tym, jak wydała rozkaz.

– Valiyo. Wiem, że to ważne, ale czy możemy poświęcić choć chwilę... Minęło sześć lat...

– Wiem, co zamierzasz – powiedziała, czym mnie uciszyła.

Deszcz miarowo i nieustępliwie bębnił w okno.

– Wiesz, dlaczego muszę to zrobić.

– Wiem – przyznała. – Wiedziałam jeszcze wcześniej niż Nall. Determinacja, by ocalić Elizabeth, jest wypisana na twojej skórze.

Cały czas patrzyła mi w oczy. Wielokrotnie wyobrażałem sobie tę chwilę, gdy byłem w Nieszczęściu. Spotkanie po latach dwojga ludzi, których kiedyś łączyło coś wyjątkowego i nieskalanego. Nigdy nie sądziłem, że to będzie tak wyglądało. Uczucia, które zbudziły się we mnie, gdy ją ujrzałem, już się ulotniły, tryby i kółka zębate wskoczyły na swoje miejsca i zaczęły się obracać. Dawna iskra ciepła znów się ukryła i świat ruszył z miejsca.



– Dobrze – odrzekłem. – W takim razie nie będziesz mi przeszkadzała.

Fosowy graniastosłup na biurku Valiyi nagle rozświetlił się i zaczął szumieć. Komunikator. Valiya chwyciła pasek wystający ze znajdującej się pod nim skrzynki i powoli zaczęła go wyciągać, gdy ramię miarowo stuknęło o papier. Drapnięcie. Kropka-drapnięcie-kropka. Kropka-drapnięcie. Kropka-drapnięcie-drapnięcie-kropka.

– Kto to? – spytałem.

Kropka-drapnięcie-drapnięcie-kropka. Kropka. Drapnięcie-kropka-kropka. A potem pusto. Czekaliśmy, ale nic więcej się nie pojawiło. Niezbyt długa wiadomość, ale oddech niemal zamarzył mi w piersi, gdy odczytałem jej znaczenie. Beznamiętne oczy Valiyi wpatrywały się w pasek.

– Kto to był? – powtórzyłem.

– Amaira.

Krew zwolniła i ostygła mi w żyłach. Zamknąłem oczy, a świeżo odzyskana wolność zmieniła się w popiół w moich ustach.

Wiadomość była prosta. Uwięziona.

# 14

Valiya zaprowadziła mnie po schodach na czwarte piętro, do pomieszczenia, w którym cuchnęło zimnymi maszynami i fosem. Światła wokół sufitu z mrużeniem zbudziły się do życia. Na środku pokoju u stóp podwyższenia stały cztery grube metalowe walce wielkości beczek na piwo, połączone przewodami i rurkami.

– Co to jest? – spytałem.

– Muszę porozmawiać z twoim panem. Może nam powiedzieć, dokąd posłał Amairę.

– Nie wiesz, gdzie ona jest?

– Wronia Stopa posłał ją na misję, a ona używa komunikatora tylko po to, by dać mi znać, że wciąż żyje. Ty nie opowiadasz ludziom o szczegółach swoich misji, prawda?

– Raczej nie. Ale nie mogę po prostu wyciągnąć go ze swojej ręki.

– Nie będziesz musiał. Potrafię go do nas sprowadzić.

To nie brzmiało jak dobry pomysł. Valiya podeszła do ciężkiego sejfu i przez chwilę manipulowała czterema pokrętłami, aż rozległ się szcęk. Wyjęła ze środka szmaciane zawiniątko, które spoczywało na lodzie.

– Podłącz do tego kable na podwyższeniu – poleciała, wręczając mi przedmiot, a następnie odwróciła się i zakasała rękawy. Pakunek nie był ciężki, a kiedy odwinąłem szmatkę, poczułem ucisk w żołądku. W środku znajdowało się truchło kruka siwego z białą obwódką wokół tułowia. Ptak miał tylko jedno skrzydło. Pamiętałem go, chociaż to nie mogło być to samo zwierzę, które podążało za mną w Nieszczęściu.

– Skąd to masz?

– Wszedł z ręki Amairy. To on ją odesłał. Zachowałam go.

– Po co?

– Pomyślałam, że może się przydać. Miałam rację. Podłącz go do węzłów.

Na szczycie podwyższenia znajdowały się cztery grube miedziane kable, zakrzywione do wewnątrz niczym ozdobione rzeźbami smoków dzioby dawnych okrętów. Każdy kończył się zaciskiem ze sprężyną. Zawahałem się, ale Valiya zazwyczaj wiedziała, co robi, więc rozłożyłem zimne, delikatne skrzydło i przymocowałem je do dwóch zacisków. Pozostałe założyłem na stopy ptaka. Okaleczony kruk wyglądał absurdalnie, rozłożony na metalowej płytce. Miałem wrażenie, że to fatalny pomysł, ale wiadomość od Amairy zmusiła mnie do podjęcia ryzyka. Szybko się uczyła i stawiałbym na nią w starciu z najlepszymi wojownikami robori, ale to nie miało znaczenia. Moja dziewczynka znalazła się w niebezpieczeństwie.

– Nie rozumiem, co to da.

– Podczas oblężenia Lady Tanza wypaliła awatar Wroniej Stopy z twojej ręki za pomocą fosu – odrzekła Valiya. Nie patrzyła mi w oczy, tylko wodziła palcami wzdłuż własnego przedramienia. – To podsunęło mi pewien pomysł. Musiałam tylko wykombinować, jak to zrobić. Zbiorniki pod podwyższeniem prześlą fos do ptaka. Truchło wciąż jest częścią Wroniej Stopy, więc magia fosu powiadomi go, co robimy.

– Skąd możesz wiedzieć, że to zadziała? Że nie wybuchnie albo nie rozpyli ładunku obronnej magii? – W przeszłości nic dobrego nie wynikało z zabawy wizerunkami Wroniej Stopy.

Valiya podciągnęła rękaw, a jej palce lekko zamigotały nad przedramieniem. Kwieciste tatuaże, które kiedyś tam miała, zniknęły. Teraz jej skórę pokrywała gęstwina cyfr, linii oraz matematycznych i fizycznych symboli. Odsunęła na bok jedno z równań, a ono przemieściło się w poprzek ręki. Potem ustawiła serię liczb w szereg okręgów. Dodała kilka linii, które z początku były bladoszare, ale nabrały wyrazistości, gdy zaczęły dokonywać obliczeń, a następnie znikły, ustępując miejsca wynikom, które Valiya przenosiła do tabel, te zaś rozszerzały się i zmieniały, stopniowo rozplywając w coraz bardziej złożonym układzie.

– Co to jest? – wyszeptalem.

– Nall mi to dał – odpowiedziała, zabierając się do drugiej ręki. Zerknęła na nie naprzemiennie, jakby sprawdzała swoje obliczenia. – Mam dostęp do wszystkiego. Do tego, w jaki sposób wszystko działa.

– W jaki sposób co działa?

– Wszechświat – odrzekła, jakby chodziło o prognozę pogody.

– Ja pierdolę – mruknąłem. Zawsze uważałem, że Nall był najlepszym z Bezimiennych. Może się myliłem. To nie było normalne.

– Połóż na nim dłoń – poleciała. – W ten sposób wymusisz łączność. To ptak Amairy, ale jesteście połączeni za jego pośrednictwem. Gotowy?

Przez lata unikałem wykrycia przez Wronią Stopę, zanurzając się w maskującym skażeniu Nieszczęścia. Ukrywałem się, podczas gdy świat płonął, a z nieba padał czarny deszcz. Chociaż wiedziałem, że kiedyś znów się spotkamy, podchodziłem do tego z entuzjazmem człowieka, któremu chirurg za chwilę odetnie zgniłą kończynę. Nie. Nie byłem gotowy. Ale komunikator przesłał wiadomość i nie mogłem dłużej trwać w beczynności. Zebrałem się w sobie.

– Gotowy – odrzekłem.

Valiya ponownie przesunęła liczby, stuknęła w nie palcami, a następnie opuściła rękawy. Ucieszyłem się, że zakryła ręce; drażniły mnie jeszcze bardziej niż jej lustrzane oczy. Położyłem dłoń na martwym ptaku, a Valiya pstryknęła jakimś przełącznikiem.

Fos zaszumiał i popłynął miedzianymi rurkami. Lodowate ciało nagle się rozgrzało, potem drgnęło, a cienkie nóżki wierzgnęły, szarpiąc pęta. Woń wilgotnych piór i fosu wypełniła pomieszczenie, a ja poczułem, jak coś jednocześnie wypływa z mojego ciała i do niego wpływa. Kanał się otworzył.

Zobaczyłem inne miejsce, wizję przesłaniającą pokój. Gorące miejsce, gorętsze, niż człowiek mógłby wytrzymać. Pęknięcie w ziemi, głębokie i osłonięte, rozświetlone strużkami lśniącej pomarańczowo magmy, która ściekała po ścianach i gromadziła się w kałużach na poszarpanej czarnej skale. Powietrze wypełniał duszący dym, siarkowy i toksyczny. Nie widziałem Wroniej Stopy, ale czułem jego obecność, potężną i zarazem osłabioną. Wydrążoną.

– Galharrow... – Głos Wroniej Stopy był jak czarny szept wewnątrz iluzji. – Gdzie byłeś, Galharrow?

W jego słowach pobrzmiwał ból, cierpienie tak dojmujące i głębokie, że rezonowało w całej jego nieśmiertelnej istocie. Pomimo gniewu, pomimo silnej niechęci w związku z tym, do czego mnie zmusił i jak mnie wykorzystał, czułem jego ból. Dotkliwszy niż wszystko, czego sam doświadczyłem, nie do zniesienia dla żyjącego człowieka. Gorzki smak porażki, która nadeszła po tysiącu lat trudów i zmagañ. Otchłań jego strzaskanej dumy sięgała głębiej niż jaskinia, do której uciekł.

– Mój panie – odrzekłem. Czułem obecność Valiyy i rozgrzewające się truchło ptaka pod palcami. – Kapitan Amaira ma kłopoty. Muszę ją odnaleźć. Gdzie ona jest?

Zignorowałem jego pytanie. Jego wściekłość powinna wywrócić moje ciało na lewą stronę, ale pozostało mu niewiele sił. Wszystko, co posiadał, poświęcił na utrzymywanie kontaktu z rzeczywistością i chronienie tego, co z niego pozostało. Był upadłą, zdruzgotaną istotą, która kiedyś przewyższała potęgą gwiazdy. Nie powinienem był, ale mu współczułem.

– Amaira i Vasilov muszą być chronieni – wyszeptał do mojego umysłu. – Posłałem ich do miejsca mocy, gdzie Bezimienni walczyli z Królami Głębi. Ale jestem ślepy. Nie widzę ich. Świat pograżył się w cieniu. Nie mogę poświęcić mocy na cokolwiek innego poza podtrzymaniem swojego istnienia.

Pamiętałem to samotne miejsce. Ptak kiedyś pokazał mi Wronią Stopę, który siedział zamrożony na kamień razem z Nallem i Płytkim Grobem, rzucając czary przeciwko Królom Głębi.

– Udali się po moją broń – rozległ się cichy głos Wroniej Stopy. – Nie mogą zawieść.

– Nie pozwolę im, panie – odrzekłem.

– Jeśli zawiodą, nie pozostanie nam żaden sposób, by przeciwstawić się Królom Głębi – wyszeptał. – Znajdź ich i przynieś moją broń. Wybierz się przez Bramę Zmierzchu na szczyt świata.

Ptak pod moją dłońią był rozgrzany, a ja niejasno wyczuwałem woń zwęglonych kości. Drugi świat zafalował, a ja zamrugalem, gdy

obłoki toksycznego dymu podrażniły mi oczy.

– Brama Zmierzchu – powtórzyłem. – To zbyt niebezpieczne.

– Nie ma innej drogi – odparł Wronia Stopa. – Jeszcze jedno, Galharrow. – Byłem pewien, że powie mi, abym tego nie spierdolił, ale zamiast tego wydał mi znacznie bardziej niepokojące polecenie.

– Nie ufaj Bezimiennym.

Zniknął przy wtórze szumu płomienia, a ja oderwałem dłoń od płonącego ciała kruka. Wronia Stopa odszedł.

Valiya miała pytania, ale potrzebowałem chwili dla siebie. Usiadłem na krześle i powoli oddychałem. Wiedziałem, że bitwa wiele kosztowała Bezimiennych, ale nie podejrzewałem, że zniszczenia były tak potężne. Moc czarownika jest jak zbiornik, który powoli się napełnia wodą z kapiącego kranu. Narasta przez dziesięciolecia i jest wykorzystywana tylko w chwilach największej potrzeby, nigdy lekkomyślnie. Gromadzi się zbyt wolno, by bezcelowo ją zużywać. Kiedy Wronia Stopa był u szczytu potęgi, stworzył Serce Pustki i roztrzaskał świat. Ale teraz był pusty. Gorzej niż pusty. Trzymał się istnienia samą siłą woli. Miał mniej mocy ode mnie.

Przypominało to chwilę, gdy dowiadujesz się, że twój ojciec nie jest przerażającym osiłkiem, którego bałeś się przez całe dzieciństwo, i po raz pierwszy widzisz w nim złamanego starca, zniszczonego przez upływ czasu i karmionego łyżką. Ukrywałem się przed nim latami, więc trudno mi było widzieć go tak osłabionym.

– A zatem się udało – odezwała się Valiya uroczyście. – Co widziałeś?

– Wiem, gdzie jest Amaira – odrzekłem. Nie zamierzałem nikomu zdradzić prawdy o stanie mojego pana, nawet Valiyi. – Jest z nią kapitan Vasilov. To dobrze. Jest Przędzarzem. Jednym z najlepszych. Ale są daleko, kurwa mać. Będę potrzebował kilku rzeczy, żeby do niej dotrzeć.

– Ilu ludzi potrzebujesz?

– Tylu, ilu będziesz mogła mi przydzielić. Ale to muszą być prawdziwi twardziele. Ludzie, których nie da się łatwo zaskoczyć

i którzy nie uciekną, gdy zaczną się dziać dziwne rzeczy. Podróż będzie szybka i nieprzyjemna.

Valiya skinęła głową, a bursztynowy blask mojego spojrzenia odbił się w jej stalowych lustrzanych oczach.

– Dostaniesz ich.

\* \* \*

– Muszę cię o coś poprosić.

Znalazłem Giralta w kuchni, kiedy Tnota drzemał. Kuchenka cicho szumiała, podgrzewając rondel z wodą na herbatę. Giralt podejrzliwie zamieszał liście. Rozmawialiśmy po raz pierwszy od chwili, gdy Valiya wydostała mnie z cel.

– Powiedz, co masz do powiedzenia – odrzekł. – Ale niczego nie obiecuję.

– Chcę, żebyś przestał prosić Tnotę, by mnie porzucił.

Giralt zajrzał do swojej herbaty, jakby czegoś szukał w brązowej wodzie. Był łagodnym mężczyzną: spokojnym, zrównoważonym, ale silnym. Właśnie kogoś takiego Tnota potrzebował.

– Nie mogę tego zrobić – odparł. – Dopóki za tobą podąża, wciąż pakuje się w kłopoty. Może chcesz, żeby...

– Wiem – wszedłem mu w słowo. – Zgadzam się. Jest za stary do tej roboty i tylko mi przeszkadza. Chce mi pomóc, ale mnie spowalnia.

Giralt zerknął na mnie podejrzliwie.

– Więc po co chcesz go ze sobą zabrać?

– Nie chcę – odrzekłem. – Ale jeśli będziesz mu wmawiał, że to wybór pomiędzy tobą a mną, wybierze mnie.

Giralt wrzucił drewnianą łyżkę do rondla, odwrócił się do mnie plecami i wbił wzrok w ogień. Jego ramiona unosiły się i opuszczały. Miał ochotę powiedzieć tak wiele rzeczy. Zapewne często wyobrażał sobie tę rozmowę w długich okresach mojej nieobecności.

– Wiem – przyznał. – I właśnie tego nie mogę znieść. – Kiedy się odwrócił, zobaczyłem łzy w jego oczach. – Odbierasz mi go. Jest twój,

a ja nie mogę wygrać. Niezależnie od tego, co zbudowaliśmy, zawsze będziesz pomiędzy nami.

No tak. Gdy tylko wątpiłem w sens swoich działań, gdy zwieszałem głowę na myśl o rzeczach, które zrobiłem i będę musiał zrobić, wszystko sprowadzało się właśnie do tego. Do miłości, którą jeden człowiek żywi do drugiego. Dla niej żyjemy, o nią walczymy, a gdy los tak chce, jesteśmy gotowi dla niej umrzeć. To nie była moja miłość. Należała do nich. Ale i tak warto było o nią zawalczyć.

Pokręciłem głową.

– Wszystko ci się pomieszało – odrzekłem. – To, co łączy mnie i Tnotę, jest historią. Wspólnie przeżyliśmy rzeczy, jakich nikt nie widział na tym świecie. Przeszedłem u jego boku tysiąc mil Nieszczęścia i zawdzięczam mu każdy krok, który przetrwałem. Wchodził za mną w każde piekło, jakie można sobie wyobrazić, a ja broniłem go przed najgorszym, co można napotkać w Nieszczęściu. Jesteśmy braćmi krwi i duchy wiedzą, że kocham tego człowieka tak bardzo, że myśl o jego utracie rozdziera mi duszę. Ale musisz zrozumieć prawdę. Tnota cię kocha. To inny rodzaj miłości. Silniejszy. Lepszy. Jednak jeśli będziesz go zmuszał do dokonania wyboru, wybierze mnie.

– Nie powinien – odparł Giralt ze złością.

– Nie dajesz mu prawdziwego wyboru. Widzę, jak na siebie patrzycie. Cokolwiek razem przeżyliście, cokolwiek zbudowaliście przez te kilka lat, ma głębsze korzenie niż wszystko, co połączyło mnie z nim przez dwie dekady. Dlatego on wie, że za nim pójdziesz. Zaczekasz na niego. Będziesz tutaj, jeśli – albo kiedy – do ciebie wróci. Ponieważ ty go potrzebujesz, a ja nie. Dopóki będziesz mu powtarzał, żeby mnie nie wybierał, może mieć nas obu.

Giralt otarł oczy.

– Chcesz, żebym powiedział, że jestem wdzięczny?

– Nie, nie potrzebuję twojego przebaczenia. Chcę tylko, żebyś się spakował i był gotowy jutro opuścić Łańcuch. Na zawsze. Masz pieniądze ze sprzedaży diamentów z Nieszczęścia. Wykorzystaj je i zmień swoją historię. On za tobą podąży.

– A jeśli tego nie zrobi? – spytał Giralt ostro.



– Przeszedłem u jego boku tysiąc mil. Wiem, w którą stronę zwracają się jego stopy. Pozwól mu samodzielnie podjąć decyzję.

Świat rzeczywiście był w ruinie, skoro doradzałem ludziom w miłości. Zostawiłem go samego, mając nadzieję, że się nie mylę, chociaż nie byłem tego pewien. Ale nic więcej nie mogłem dla niego zrobić.

\* \* \*

Podajemy i zmieniamy decyzje, a koła życia niosą nas naprzód w stronę końca, którego nigdy sami nie planujemy. Miałem nadzieję, że niezależnie od tego, co czeka Tnotę w przyszłości, pokierowałem jego losem ku czemuś bardziej wartościowemu niż cel, do którego sam zmierzałem.

Siedziałem samotnie na tarasie na dachu, a drewniane deski wciąż były śliskie i cuchnące od deszczu. Gdzieś w pobliżu awanturował się pechowiec, który z jakiegoś paskudnego powodu nie zdołał znaleźć schronienia przed ulewą. Wykrzykiwał coś o zdradzie i wyrwanym sercu.

Umierałem. Chociaż moje ciało zmieniło się w białych celach, zregenerowało się i odzyskało dawną bitewną chwałę, wiedziałem, że się rozpadam. Męczył mnie coraz gorszy kaszel, ale to nie wszystko. To nie Nieszczęście mnie zabijało, tylko jego brak. Czułem, jak sączy się do mojego ciała z ziemi i wiatru. Wszystko, co wchłonałem, wciąż krążyło niespokojnie w moich żyłach i szpiku. Ale uzależniłem się i przyzwyczailem do regularnych dawek. Pragnąłem więcej. Chciałem się w nim skąpać. Byłem pewien – nie mniej niż tego, że księżycy przecinają niebo – iż nie jestem u siebie, a bez nowej porcji Nieszczęścia rozpląnę się w nicość. To będzie powolna śmierć spowodowana brakiem trucizny.

Dziesięć lat temu stałem na podobnym waleńgradzkim dachu i patrzyłem, jak Elizabeth tka światło. To było tak dawno. Najważniejsze wydarzenia z naszego życia, które nas definiują, dręczą nas jeszcze długo po tym, jak fakty idą w zapomnienie. Elizabeth była niesamowita, tkala księżycowy blask bez wrzeciona

ani gogli, opierając się wyłącznie na własnej biegłości. Zawsze ją kochałem, ale wtedy ujrzałem ją w nowym świetle. Być może zdawałem sobie sprawę, że jest kimś wyjątkowym. Ona wciąż gdzieś tam była; musiałem w to wierzyć. Ale czym się stała po tak długim przebywaniu w świetle, oddalona o dziesięć lat od naszego materialnego świata? W głębi serca wiedziałem, że już nie jest tamtą Elizabeth, o której śniłem, beztroską letnią dziewczyną, która katapultowała mnie od chłopięctwa do dorosłości, tak jak ja już nie jestem tamtym młodzieńcem, który chciał się przed nią popisać jazdą konną. Ale wciąż czymś była. Ja się zmieniłem, nasiąknąłem czarnym skażeniem Nieszczęścia. Tnota się zmienił, stracił rękę za sprawą strzału z rusznicy i miłosierdzia chirurga. Valiya się zmieniła, zgodnie z potrzebami Nalla. A Elizabeth była tylko szeptem w świetle oraz wspomnieniem niegdyś wzniesłego ideału. Żadne z nas nie jest tym, kim chcemy się stać. Ostatecznie jesteśmy tym, czym czyni nas świat. To musi nam wystarczyć.

– Tnota się pakuje – odezwała się Valiya. Nie słyszałem, że do mnie dołączyła. – Wyrusza rano.

– Dobrze – odrzekłem.

– Podoba mi się tutaj – powiedziała. Światła miasta tańczyły w jej lustrzanych oczach, czerwienie, błękity i zielenie wirowały, gdy wodziła wzrokiem po dachach. Trzy księżycy zbliżyły się do siebie, prawie jak podczas koniunkcji. Ostatnio krążyły coraz ciaśniej, ustawiając się w jednej linii na niebie. – Z góry wygląda spokojnie, prawda?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, więc milczałem. Podeszła i usiadła na krześle obok mnie. Nie na tyle blisko, żebyśmy się dotknęli, ale wystarczająco blisko, żebym poczuł zapach jaśminu, który wciąż jej towarzyszył. Okazało się, że nie mogę dłużej patrzeć na miasto, i mój wzrok zbłądził na kamienie pod stopami. W Nieszczęściu jest łatwo. Żadnych kompanów do rozmowy poza duchami, a kiedy już wiesz, że potrafią mówić tylko o twoich wyrzutach sumienia, łatwo ci je lekceważyć. Valiya była innym rodzajem ducha. Wciąż przypominała kobietę, którą kiedyś była,

choć jej włosy posiwiały, a oczy zmieniły się w stal. Ale stal była w niej od zawsze.

– Księżycy zbliżają się do siebie nawzajem – zauważyła. – Wkrótce dojdzie do potrójnego zaćmienia, gdy wszystkie trzy ustawią się przed słońcem. Zdarza się to raz na dziewięćset osiemdziesiąt dwa lata. Dane nam będzie to zobaczyć.

– Raczej niewiele zobaczymy, skoro księżycy zasłonią słońce.

– Księżycy to tylko kryształowe kule – odparła Valiya. – Światło przez nie przeniknie. Efekt powinien być spektakularny.

– Widziałem już w życiu wystarczająco dużo dziwactw – mruknąłem.

– Jesteś na mnie zły – powiedziała Valiya.

– Nie jestem.

– Nie zmieniłeś się aż tak bardzo, jak ci się wydaje – dodała. – Jesteś rozzłoszczony. Nie podoba ci się to, co zrobiłam.

– Jest różnica między złością a niezadowoleniem z wyniku.

– Zrobiłam wiele dobrego, kiedy ciebie nie było, Ryhalcie – zauważyła. – Rozumiem, dlaczego musiałeś odejść. Dlaczego musiałeś to sobie zrobić. Ale wojna nie skończyła się tylko dlatego, że ty wyruszyłeś na osobistą krucjatę.

– To nie jest moja wojna – odparłem. – Nigdy nie była. Po prostu muszę ją toczyć.

– Ale moja owszem – odrzekła Valiya. – Może na tym polega różnica między nami.

– Nie, nie na tym. Naprawdę chcesz, żebym się w to zagłębiał?

– Możesz o tym myśleć, co chcesz. Mężczyzna nie musi mi mówić, kim jestem. Każde z nas wybrało swoją ścieżkę.

– Masz rację – zgodziłem się. – Przynajmniej tyle zrobiliśmy.

Siedzieliśmy i patrzyliśmy na gasnące i rozbłyskujące miejskie światła.

– Chcesz mnie o coś spytać – odezwała się w końcu Valiya.

– Chcę?

– Rozpracowałam to. Nie powinnam była tego robić, ale chciałam wiedzieć. Dlaczego odszedłeś. Czego zamierzasz się podjąć. – Miała opuszczone rękawy, ale zgadywałem, co ma na myśli.

Zastanawiałem się, jak długo takie obliczenia mogłyby trwać i czy ktokolwiek mógłby ich spróbować. Odpowiedź znajdowała się przede mną. Valiya pracowała nad danym zadaniem tak długo, jak to było konieczne, a trudności nigdy jej nie zniechęcały.

– W porządku – odrzekłem. – Dlaczego za mną nie wyruszyłaś?

Zmarszczyła czoło i podwinęła rękaw. Zaczęła bawić się liczbami, wykresami oraz tabelami migoczącymi i przepływającymi po jej skórze. Całkowicie ją to pochłonęło, odsuwała stare obliczenia, wprowadzała nowe zmienne. W końcu przesunęła dłonią po przedramieniu i opuściła rękaw.

– Nie tego się spodziewałam – powiedziała. – Wiesz dlaczego.

– Czyżby?

– Tak – odrzekła. – Wiesz. Przez Elizabeth. – To imię zawisło między nami w nocnym powietrzu. Jak zwykle. – Miałeś mnie spytać, dlaczego zawarłam układ z Nallem.

– Tego się akurat domyślam. Chciałaś bardziej zaciekle walczyć. Chronić Łańcuch. Chciałaś być skuteczniejsza. Długo mnie nie było, ale nie zapomniałem, kim jesteś, Valiyo. Nawet jeśli ty to zrobiłaś.

To było nieprzyjemne. Boleśnie nieprzyjemne, ale tylko dla mnie. Twarz Valiyi nie zdradzała żadnych emocji, była spokojna i błoga. Od naszego ponownego spotkania nie widziałem, żeby się choćby skrzywiła. Zlekceważyła moje raniące słowa, jakby były ledwie odbiciami w jej lustrzanych oczach.

– Znalazłam oddział najemników o odpowiedniej reputacji, którzy za dobrą zapłatę nie będą wypytywali o detale. Jutro będą gotowi do drogi.

– Możesz mnie wyprowadzić z miasta?

– To nigdy nie było trudne.

– Dobrze. Zrobiło się tutaj zbyt gorąco. Davandein nie przestanie mnie szukać, podobnie jak człowiek, który próbował mnie zabić we Wrózbogrodzie. To bez znaczenia. Skoro wydostałem się z białych cel, to tak czy inaczej sobie poradzę. – Patrzyłem na Valiyę, może licząc na to, że wyczytam z jej twarzy odbicie spustoszeń, jakie dokonały się w moim sercu. – Ty też chcesz mnie o coś spytać.

– Nie – odparła. – Wiem wszystko, czego potrzebuję.

– Nieprawda. Chcesz wiedzieć, dlaczego nie wróciłem. Dlaczego byłem gotowy z wszystkiego zrezygnować.

Valiya się uśmiechnęła, a na jej obliczu po raz pierwszy zagościło ciepło. W jej oczach odbiły się czerwone litery z cytadeli i przez chwilę unosiło się między nami słowo ODWAGA.

– Poznałam cię, Ryhalcie. Jak możesz myśleć, że nie potrafiłabym tego zrozumieć?

# 15

– Nie chcę, żeby to się tak skończyło – powiedział Tnota. Spakował resztę rzeczy kupionych we Wrózbogrodzie do torby i ułożył ją równo na stole. Nawet nie była pełna. Wyobrażamy sobie, że na starość będziemy mieli wielki dom pełen sentymentalnych śmieci, relikwów udanego życia, lecz one także nie mają większej wartości, a kiedy twoje ciało się starzeje, czujesz się tak samo jak w młodości. Być może stajesz się mądrzejszy. Zapewne ostrożniejszy. Ale nie zmieniasz się w tym, co najbardziej się liczy.

– Wiem – odrzekłem. – Ale tak trzeba.

– Pamiętasz, co do ciebie powiedziałem tamtego dnia, gdy się poznaliśmy? – spytał.

– Powiedziałeś: „Ej, jebańcu, to moje piwo”.

– Fakt. – Tnota szeroko się uśmiechnął. – A potem obiecałem, że zawsze dobrze cię poprowadzę przez Nieszczęście. Dotrzymałem słowa.

– Rzeczywiście – zgodziłem się. – Najlepszy nawigator w miastach. Nie mogłem sobie wymarzyć lepszego towarzysza, Tnoto. Zrobiliśmy dla ludzi sporo dobrego, a ty zawsze stawiałeś na wysokości zadania.

– Przejadę się z tobą kawalek. – Wyjął spod kurtki butelkę. – Ostatnią szklaneczkę na drogę?

– Nie mogę – odparłem niezręcznie. Na przestrzeni lat dużo razem wypiliśmy, ale dzisiaj musiałem mieć jasny umysł. – Nigdy nie byłem dobry w pożegnaniach. Nie przedłużaj tego bardziej, niż to konieczne.

Uściskaliśmy się. Po raz ostatni. Tnota tak długo stanowił stały element mojego życia. Niewzruszony, stabilny głos rozsądku i mądrości, niezależnie od szalonego ryzyka, jakie Nenn chciała podejmować, i od tego, do czego próbowałem go namówić. Ale nie

mogłem pozostać w doku, skoro nadciągnął sztorm. Okręty, które trzymają się nabrzeża, kończą jako wraki, a ja postanowiłem samotnie popłynąć na grzbiecie fali albo dać się jej pogrążyć. Przyzwyczailem się do samotności. Elizabeth odeszła, Nenn odeszła, a teraz odcinałem się od ostatniej osoby. Ostatnie cięcie, by pogrubić bliznę.

– Uda ci się – powiedział cicho. – Ty też nigdy mnie nie zawiodłeś.

Valiya przygotowała dla nas konie. Wskoczyłem na siodło i podążyłem za nią ciemnymi, cichymi ulicami. Obejrzałem się tylko raz i zobaczyłem, że Tnota i Giralt razem patrzą, jak odjeżdżamy. Tnota podniósł rękę i pomachał, a ja skinąłem do niego głową.

Miałem nadzieję, że Tnota i Giralt znajdą spokojną chatkę gdzieś, gdzie jest czyste powietrze i dobre piwo. Miałem nadzieję, że przeżyją razem kolejne trzydzieści lat, ich miłość się rozwinie, a z upływem czasu Nieszczęście, Łańcuch, porwania, Uroczy, a także popękane i wyjące niebo przeminą i zaczną przypominać zły sen, o którym rzadko się pamięta.

– W porządku? – spytała Valiya.

– Jedźmy – odrzekłem.

– Potrzebuje pan światła?! – zawołał jakiś chłopak dwie ulice dalej. Miał nie więcej niż dziesięć lat i trzymał zgaszoną latarnię, gotowy poprowadzić nocnych wędrowców za garść miedziaków. Niebezpieczna praca, a te dzieciaki równie często jak do twoich własnych drzwi mogły cię zaprowadzić do uliczki pełnej oprychów. Rzuciłem mu pół marki, ale nie przyjąłem jego usług. Znaliśmy drogę. Kiedyś to było moje miasto.

Najemnicy czekali na nas przy Bramie Zmierzchu z zapasami, które Valiya zorganizowała. Opuściliśmy Valengrad przez tunel, którego użyłem w czasach, gdy Saravor kontrolował miasto, a Davandein nadciągała ze swoim wojskiem. Przez większość drogi się nie odzywaliśmy.

Minęliśmy Narheim, dawną posiadłość Wroniej Stopy. Zawaliła się podczas Upadku Wron i pogrzebała podziemny skarbiec. Ludzie nie rozkradli kamienia, drogi marmur lśnił blado w blasku niebieskiego

księżycu. Narheim zawsze wydawał się nienaturalny i chyba nikt nie zmartwił się jego zniszczeniem.

– Musimy zboczyć z trasy – oznajmiłem.

Mniej więcej pół mili za Narheimem stał kamienny drogowskaz z napisem LENNISGRAD: 150 MIL. Nie wiedziałem, czy to dokładna odległość, ale dziesięć kroków dalej niepozorna ścieżka prowadziła w zarośla. Świt rozjaśniał linię horyzontu. Dolna odnoga szlaku wiodła w stronę biednych gospodarstw, ale my pojechaliśmy w górę, zagłębiając się w lesie.

– Chcesz kogoś odwiedzić?

– Nie. Muszę coś zabrać – odrzekłem.

Obok szlaku stało potężne martwe drzewo. Rozejrzałem się i odnalazłem pniak pozostały po wiekowym dębie, a od niego ruszyłem w stronę szerokiego, płaskiego kamienia. Przewróciłem go, odsłaniając chaotyczne kłębowisko istot pełzających i wijących się w ciemności. Odtrąciłem je butem, uklęknałem na wilgotnej ziemi i zacząłem kopać.

– Jeśli okaże się, że to butelczyna brandy z Whitelande, nie będę zadowolona – ostrzegła Valiya. Próba rozładowania nastroju pośród lodowatej nocy.

Odgarniałem ziemię rękami. Jakaś cząstka mnie obawiała się, że mój zakopany skarb zniknął, ale nie było powodu, żeby ktokolwiek się tutaj pojawił i zaczął kopać. Moje palce natrafiły na twardą, płaską powierzchnię i wkrótce odsłoniłem wieko skrzynki. Nie zamknąłem jej na kluczyk; gdyby ktoś ją znalazł, i tak z ciekawości by ją roztrzaskał. W środku znajdowało się kilka cennych drobiazgów, które ukryłem przed rozpoczęciem wygnania w Nieszczęściu. Kiedy otworzyłem skrzynkę, na moich ustach pojawił się uśmiech. Wziąłem do ręki miniaturowy obraz i uniosłem go w półmroku.

Malarz dobrze nas uchwycił. Nenn, Tnota i ja stojący obok siebie, z twarzami pozbawionymi wyrazu. Nenn zamówiła ten portret, gdy poczuła, że nowe stanowisko odciąga ją od nas, i odmówiła pozowania w mundurze. Pod pewnymi względami została zmuszona do życia najemniczki, ale to nie znaczy, że nie była do niego



doskonale przystosowana. Tnota próbował ubrać się elegancko, ale efekt był daleki od wytworności.

Nie przyszedłem tutaj po wspomnienia. Zostawiłem trochę pieniędzy, które teraz rzuciłem Valiyi, nie rozsznurowując sakiewki, a następnie zacząłem grzebać w skrzynce, dopóki nie znalazłem tego, czego potrzebowałem. Kieszonkowego zegarka owiniętego w czerwony aksamit. Podniosłem go do światła i odczytałem inskrypcję na odwrocie:

*Lepszy niż zasługujesz! Gleck.*

– Przeprowadziłeś nas tutaj z sentymentu? Przecież to może poczekać, aż Amaira będzie bezpieczna – odezwała się Valiya, zerkając na zegarek. Dawno temu otrzymałem go w prezencie. Żałowałem tego, co muszę zrobić.

– Nie z sentymentu – odparłem. – Ty masz swój komunikator, a ja swój.

Uderzyłem zegarkiem o płaski kamień, doszczętnie rozbijając mechanizm. Poprawiłem jeszcze dwukrotnie, żeby mieć pewność, że jest zniszczony. Poczułem ukłucie żalu.

– Po co to zrobiłeś?

– Rozbijając go, wysyłam wiadomość do Maldona. Również do Dantry'ego, zakładając, że wciąż są razem. Nakazuję im, żeby mnie odszukali.

– Uważasz, że to właściwa chwila, żeby ich sprowadzić?

– Nie mamy dużego wyboru. Musimy się przekonać, czy badania Dantry'ego nauczyły go tego, co musi wiedzieć.

– Potrójne zaćmienie – rzekła Valiya. – O to ci chodzi?

– O to mi chodzi – potwierdziłem.

Zostawiłem resztę przedmiotów w skrzynce, po czym ją zakopałem i zakryłem kamieniem. Pewnie po nią nie wrócę, ale nigdy nic nie wiadomo. Zostawiłem także miniaturowy portret. Pewnego dnia okaże się jedyną rzeczą, która będzie łączyła Nenn, Tnotę i mnie, dlatego jego przetrwanie wydało mi się ważne.

Kolejną wioską, do której dotarliśmy, była Nejska, której mieszkańcy przywykli do widoku zaniedbanych żołnierzy. Robotnicy udawali się na pola z kosami, sierpami i koszami na ramionach. A więc był czas żniw: pory roku niewiele dla mnie znaczyły w Nieszczęściu, gdzie wszystko jest czerwone, zapyłone i nietrwałe. Robotników było niewielu. Nejska zarabiała na wędrownych handlarzach, wolnych spółkach, żołnierzach, artystach i innych ludziach, którzy opuszczali Valengrad bądź do niego zmierzali. W co drugim budynku mieściła się tawerna, a krzykliwe fosowe neony nawet za dnia wiły się wokół sztyldów.

– Pod twoją nieobecność dowiem się więcej o człowieku, który zaatakował cię we Wrózbogrodzie – powiedziała Valiya. – Porozmawiam z Klaunusem. Może nam pomoże.

– Klaunus obecnie nie jest w stanie nikomu pomóc – odrzekłem. – Nawet sobie, chociaż jest Czarnoskrzydłym. Ma złamanego ducha. Największą przysługę wyświadczy mu ten, kto wpakuje mu kulkę w głowę.

Valiya zacisnęła usta.

– Przeciwno wam sprzysięgło się zbyt wiele sił, Ryhalcie. Śmierć Josafa i Linette wskazuje na to, że wszyscy jesteście zagrożeni. Klaunus może doczekać się na tę kulkę, jeśli nie rozwikłamy tej sprawy.

– Ktoś z pewnością napuścił na mnie tamtego drania we Wrózbogrodzie – zgodziłem się. – Klaunus potrafi o siebie zadbać. Zamknął się w swojej wieży, ale pomóż mu, jeśli zdołasz. Nie zawsze był dobrym człowiekiem, ale brakuje nam sprzymierzeńców. Wolałbym nie tracić kolejnych.

– Cytadela tak łatwo o tobie nie zapomni – zauważyła. – Kiedy znajdziesz Amairę, nie będziesz mógł bezpiecznie tutaj wrócić. Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Nigdzie nie jest bezpiecznie – odparłem. Popatrzyłem na nią, ale wpatrywała się w dal pustymi srebrnymi oczami. – Znajdę ją. Sprowadzę do domu. Wiesz, że to zrobię.

– Kocham tę dziewczynę – powiedziała. – Nie zawieź jej. Nie zawieź mnie.

Wędrowaliśmy dalej pośród wiejskiego krajobrazu. Kopyta koni deptały skarłowaciałą pszenicę i kępki trawy na równinach, a ja żałowałem każdej pokonanej mili.

Torsk był mało znaczącym miejscem. Nie znałem nikogo z mieszkańców, a im zapewne nie zależało na tym, żeby nas poznać. Żyli tutaj głównie drwale, chociaż w okolicznych lasach nie było wartościowego drewna. Nie wjechaliśmy do wioski, tylko przecięliśmy pole i zanurzyliśmy się między drzewa rosnące wzdłuż zarośniętego szlaku. W oddali rozbrzmiewały głucho uderzenia siekier i zgrzyt pił. Przez prawie pół godziny jechaliśmy przez las, przecinając ścieżki jeleni, podążając za biegiem strumienia. Szlak stał się bardziej stromy, gdy dotarliśmy do wzgórz, a następnie opadł w głąb doliny.

Dyskretni najemnicy Valiyy już na nas czekali, zmarznięci i mokrzy od porannej rosy. Wyglądali jak zawodowcy, mieli na sobie lekkie pancerze i skórzane stroje, a rusznice ustawili w piramidki obok ognisk. Przed naszym przyjazdem przytroczyli do grzbietów jucznych zwierząt niezbędne zapasy oraz pakunki grubych zimowych futer i złożyli namioty. Za najemnikami, otoczona z trzech stron przez skalne ściany, wznosiła się Brama Zmierzchu. Poszliśmy pomówić z Sang, która poprzedniego dnia przyprowadziła tutaj tych dwudziestu mężczyzn. Właśnie rozmawiała z dowódcą najemników, masywnym człowiekiem o małych oczkach, który emanował pewnością siebie.

– Przyznam, że nie rozumiem, co tutaj robimy – powiedział. – Wyglądasz, jakbyś o jeden raz za dużo zapuścił się do Nieszczęścia. – Najwyraźniej mój wygląd nie zrobił na nim wrażenia. Widział dziwniejsze rzeczy, jeśli przez lata służył w Łańcuchu.

– Wszyscy musicie słuchać Galharrowa i robić dokładnie to, co wam powie – pouczyła go Valiyya. – Zapłata już czeka w waszym domu bankierskim.

– Zwyczajowa stawka za poniesione straty? – spytał mężczyzna, a Valiyya rzeczowo skinęła głową.

– Będziemy gotowi za godzinę. Musimy tylko objuczyć resztę zwierząt.

Zostawiliśmy Sang i dowódcę, pozwalając im dokończyć przygotowania, i razem z Valią zbliżyliśmy się do szerokiego okrągłego kamienia pod skalnymi ścianami. Poczulem zmianę w powietrzu. Zrobiło się zimniej. Trawa szeptała, ale z bocze osłaniało nas przed wiatrem.

Brama Zmierzchu. Miałem nadzieję, że moja stopa nigdy więcej tu nie postanie. Korzystałem z niej tylko raz, dawno temu, zanim zostałem Czarnoskrzydłym, a wspomnienie tamtego dnia nigdy mnie nie opuściło, chociaż próbowałem je zapisać. Brama była skuteczna, ale tę drogę wybierali jedynie szaleńcy i desperaci. Tylko że Amaira wpadła w pułapkę, a Wronia Stopa stracił siły. To czyniło mnie wystarczająco zdesperowanym.

Cztery kopce porośnięte trawą, każdy wyższy ode mnie, wznosiły się wokół szerokiej kamiennej platformy, do której nie zbliżała się żadna roślinność, płaskiej i gładkiej, nie licząc wyrzeźbionego spiralnego wzoru, który wiódł nieprzerwanie od krawędzi do środka płyty. Przyklęknąłem i powiodłem palcami po malutkich obrazkach tworzących spiralę.

– Ptaki – odezwała się Valia znużonym głosem. – Mam już dosyć ptaków. – Pokiwałem głową. – Co to za kopce?

– Chyba groby – odrzekłem. – Bardzo stare.

– Groby nad ziemią?

– Na to wygląda.

– Więc trzeba zapłacić cenę, a potem po prostu... stanąć tutaj? Łatwizna. – Podciągnęła rękaw i zaczęła obliczać, jak to działa.

Chwyciłem ją za rękę, zakrywając liczby i wykresy, które zaczęły łączyć się na jej skórze.

– Wcale nie będzie łatwo. Będzie paskudnie. To gorsze od białych cel. Gorsze od Nieszczęścia. O niektórych rzeczach lepiej nie wiedzieć.

Valia była spragniona wiedzy. Poczulem mrowienie pod dłonią, gdy magia zamieszkująca jej ciało starła się z dotykiem Nieszczęścia. Kryjące się we mnie skażenie odpychało inną magię. Nie chciało się dzielić. Valia niechętnie pokiwała głową. Moim nałogiem zawsze był alkohol, na nią tak samo działała wiedza.

– Bądź ostrożny, Ryhalcie – powiedziała. – Sprowadź ją z powrotem.

Położyła dłoń na mojej ręce. Byłem zmęczony, Niestety wypalało szlak w moim ciele, a ja nie miałem ochoty stawiać czoła Bramie Zmierzchu. To delikatne dotknięcie przywołało wszystkie wyobrażone rozmowy, które po tysiącokrotnie odtwarzałem w głowie. Powstrzymałem je. Nie ma sensu mówić kobiecie, że ją kochasz i żałujesz swoich decyzji, gdy wciąż przygniata cię brzemieniem zobowiązań wobec kogoś innego.

– Sprowadzę ją – obiecałem.

W obozie zapanowało poruszenie. Najemnicy popatrzyli w stronę linii drzew, gdzie szybko przesunęło się jakieś jaskrawe światło, niewielkie, ale intensywne. W końcu ją zobaczyłem: wijącą się linię fosu, która płynęła w powietrzu, skrząc się błękitem i złotem.

– Znaleźli nas.

Światło kierowało się prosto na mnie. Szybko przecięło stumetrową łąkę i odrzuciło na bok trzy stojące rusznice, wirując i z sykiem mknąc wzdłuż doliny.

– To Kanalina – powiedziała Valiya.

W ślad za świetlistą linią spomiędzy drzew wyjechał galopem tuzin jeźdźców w mundurach Urzędu Bezpieczeństwa Miejskiego z Przędzarką na czele. A obok nich, ubrany w czarną szatę i błady jak lód, biegł swobodnie olbrzym, który rozbił mnie na kawałki.

Linia fosu skierowała się w moją stronę, ale już wcześniej mierzyłem się z jej magią i wiedziałem, że nie jest taka groźna, na jaką wygląda. Uniosłem dłoń, poszukałem w swoim wnętrzu trucizny Niestety i stawiałem opór. Kanalina dysponowała nie lada siłą, skoro jej twór zdołał mnie odnaleźć, ale nie mogła się równać z magią, która łączyła mnie z całym przeklętym Niestety. Świetlista linia pisnęła, zgięła się z trzaskiem, a następnie zniknęła przy wtórce potężnego rozbłysku. Kanalina spadła z siodła.

– Ustawcie się! – zawołałem, ale najemnicy już byli w ruchu i chwyтали broń. Nie znali napastników, chociaż rozpoznawali ich

mundury, ale Pierwszy od razu zwrócił ich uwagę. Nie zwalniał, tylko szarżował prosto na nich.

Jedna z najemniczek opuściła bagnet, ale potężny wojownik wyrwał jej rusznicę z dłoni i odrzucił kobietę uderzeniem na odlew. Oderwała się od ziemi i roztrzaskała o głaz. Najemnicy byli zaprawionymi w boju wojownikami, a takich ludzi łączą silne więzi. Dobyli mieczy i ruszyli w stronę zagrożenia. Pierwszy nie zwalniał i po chwili od ciosu jego pięści kolejny z najemników runął na ziemię z wygiętym napierśnikiem. Zablockował przedramieniem cięcie szablą, która zagłębiła się w jego mlecznobiałej skórze, ale nie utoczyła ani kropli krwi, po czym chwycił przeciwnika i urwał mu głowę z taką łatwością, jakby ukręcał łeb ptakowi. Krew zbryzgała mu twarz, a długi język wysunął się z ust, by jej posmakować.

Marmurowa Straż.

– Zaraza – zakląłem.

Pierwszy machnięciem masywnej ręki wyrzucił w powietrze kolejnych dwóch mężczyzn. Huknęły rusznice, ale on nie zwolnił, tylko brnął poprzez dym jak istota rodem z legend, którą zapewne był.

Najemnicy wrzeszczeli i wymachiwali ostrzami, walcząc, umierając i nieskutecznie próbując powstrzymać pochód Pierwszego, ale wtedy spomiędzy drzew wyłoniła się kolejna postać. Drobnego mężczyzna, ciemnowłosego i nisko pochylony nad szyją wierzchowca. Zaszarżował w naszą stronę. Wyszarpnąłem pistolet zza pasa, wycelowałem i odciągnąłem kciukiem kurek, ale mężczyzna minął Pierwszego, który właśnie mierzył się z trzema najemnikami uzbrojonymi w halabardy, i rzucił się ku nam. Nie zwalniając, zeskoczył z siodła, a ja go rozpoznałem.

To był jeden z kapitanów Czarnoskrzydłych.

– Silpur?

– Czas się zbierać – powiedział.

Miał pięć stóp i pięć cali wzrostu, szczupłą sylwetkę i surową, wiecznie młodą twarz. Mimo dramatycznej sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, przemawiał cichym głosem, który przypominał szum fal rozbijających się o brzeg. Miał brązową skórę, oczy zieleńsze od

wiosny i ubranie czarne jak krecie futro. Trudno było oszacować jego wiek, ale wyglądał na dwadzieścia kilka lat. Sprawiał takie wrażenie od co najmniej trzydziestu lat.

– Na kamień.

– Pomóż mi pokonać tę istotę! – zawołałem.

– Czas się zbierać – powtórzył cicho. – Pierwszy za silny. Lepiej uciekać.

Miałem ochotę się sprzeciwić, ale najemnicy zostali błyskawicznie zdziesiątkowani, a w ślad za Pierwszym nadciągała kawaleria. Atakowali nerwowo, nie chcąc wpaść w sam środek potyczki, skoro nie musieli tego robić. Już widziałem, że Pierwszy wygra. Jeden z najemników odrzucił topór i próbował uciec, ale olbrzym powalił go na ziemię. Potężne pięści uniosły się i opadły. Ogromną istotę, która wbiła zęby w odsłoniętą szyję ofiary, opanowała żądza krwi.

– Ryhalcie, musisz uciekać! – zawołała Valiya, patrząc na mnie zaszokowanymi nieludzkimi oczami.

Pozostanie tutaj nie wchodziło w grę. Ale nie mogłem jej porzucić, skoro Pierwszy wpadł w bojowy szal.

Podbiegłem do najbliższego jucznego muła i wciągnąłem go na platformę. Zwierzę zaparło się kopytami, wyczuwając, że znalazło się w niewłaściwym miejscu, ale było nam potrzebne. Silpur przyprowadził swojego konia. Pomimo niebezpieczeństwa sprawiał wrażenie beztroskiego.

– Już to kiedyś robiłeś? – spytałem.

– Wiele razy.

– Muszę zostać – powiedziała Valiya. – Mogę przemówić im do rozsądku...

Chwyciłem ją w pasie i pociągnąłem ze sobą. Bała się tego kamienia i nic dziwnego. Sprawdziła, czym jest Brama Zmierzchu, i wiedziała, co nas czeka.

– Postaw mnie! – zaprotestowała.

– Nie – odparłem. – Cokolwiek zrobisz, nie schodź z kamienia. – Pociągnąłem ją w dół i otoczyłem ramionami, nie puszczając wodzy.

Bez najmniejszego ostrzeżenia Silpur dobył miecza i wbił go w środek szyi konia. Rumak wierzgał kopytami, ale tylko przez

chwile. Silpur znalazł się na rzeczy i zwierzę zaraz runęło na kamienie, a jego krew popłynęła na wiekowe rzeźbienia. Schował miecz i stanął nieruchomo, nie okazując ani cienia emocji. Dwaj najemnicy pobiegli w naszą stronę. Pozostała ich tylko piątka albo szóstka, a ci dwaj zrezygnowali z walki. Pierwszy ruszył za nimi z zakrwawioną twarzą, a Kanalina, która znów siedziała w siodle, coś za nim krzyknęła. Olbrzym dogonił uciekinierów, zderzył ich ze sobą, gruchocząc im kości, a potem zwrócił się w naszą stronę. Dowódca najemników rzucił się do ucieczki, biegnąc ku nam, jakbyśmy mogli ochronić go skuteczniej niż jego ludzie.

Stado szpaków zatoczyło pętlę na czerwonym niebie, krążąc w niemożliwej formacji. Ptaki opadły całymi setkami na kopce, podczas gdy zdyszany dowódca dobiegł do kamienia. Oczy szpaków błyskały czerwienią.

Valiya dygotała.

– Cokolwiek zrobisz, nie schodź z kamienia – powtórzyłem.

Słowo „lęk” nie oddaje tego, jak się czułem. Robiłem to już wcześniej i uświadamiałem sobie wzbierający we mnie strach. Bałem się jeszcze bardziej niż Valiya. Mocno ją chwyciłem.

Istnieją różne teorie dotyczące tego, czym są Bezimienni. Nie są czarownikami jak Przędzarze, Niemowy, dalecy Dryjowie albo inni ludzie władający magią. Niektórzy nazywają ich bogami, inni potworami, a jedyne, co mogłem z całą pewnością powiedzieć o Wroniej Stopie, to że z jakiegoś, kurwa, powodu jego czary zawsze miały coś wspólnego z ptakami.

Kiedy krew konia popłynęła wzdłuż rzeźbień, szpaki jednocześnie poderwały się w powietrze i zaczęły krążyć nad polaną. Rozległ się trzepot tysięcy skrzydeł i uderzyły w nas mocne podmuchy powietrza. Juczny muł ryczał przerażony; instynktownie pragnął uciekać, ale nie miał dokąd. Przykucnąłem, wciąż obejmując Valiyę.

Ciemne ptaki pędziły coraz szybciej, szybciej od nurkującego sokoła. Rozmazywały nam się przed oczami, zlewając się w jedną smugę czerni, aż w końcu ze wszystkich stron otoczył nas wirujący huragan mroku. Kakofonia ptasich okrzyków zmieniła się w pojedynczą drażniącą nutę, a potężne podmuchy wiatru szarpały



nasze ubrania. Dowódca najemników wrzeszczał. Silpur stał w milczeniu.

– Zamknij oczy i nie słuchaj! – ryknąłem Valiyi do ucha, chociaż nie wiedziałem, czy zdołam przekrzyczeć szum ptasich skrzydeł i ich jazgotliwą pieśń.

Rozległy się szepty, ciche syki, które jednak wyraźnie odznaczały się na tle grzmotu skrzydeł. Mówiły o czarnych, mrocznych sprawach. Znały tajemnice, których nie powinny znać, i przypominały nam o wszystkim, czym nie chcieliśmy być.

Valiya kurczowo się mnie trzymała z zamkniętymi oczami. Dobrze sobie radziła.

Szum skrzydeł przybrał na sile i nagle ich zobaczyłem pośród otaczającej nas czerni. Jaśniejsze szare kształty o nadmiernie długich kończynach i rozdętych głowach, trzymające na wysokości serca kule światła. Dłudzy Ludzie Kurhanów przemieszczali się w strumieniu magii, próbując wkroczyć do naszego kamiennego kręgu. Nadciągali powoli, ale wyczuwali naszą obecność. Dyrygowali szeptami zmarłych, niewyraźnymi odgłosami pochodzącymi ze świata po drugiej stronie albo innego piekła, w którym czają się źli zmarli.

– Zawiodłeś ich wszystkich. – Jeden z szepczących stał bliżej od pozostałych.

Zacisnąłem zęby.

– Umarliśmy dla twojego pierdolonego awansu – wyszeptał kompan z przeszłości.

– Przez ciebie zginęła, prawda? Przez ciebie. Nawet ona.

– Nigdy nie potrafiłeś powstrzymać człowieka szachownicy.

Wcisnąłem twarz we włosy Valiyi. Zachowujemy swoje lęki i wątpliwości dla siebie i staramy się je zdusić. Dłudzy Ludzie wszystkie je znają.

Dowódca najemników całkowicie stracił głowę ze strachu. Próbowałem go chwycić, gdy uciekał z kręgu na zatracenie. Szare postaci opadły go, gdy tylko zszedł z kamienia, i po chwili zniknęły, a Dłudzy Ludzie wrócili na swoje miejsca, powolni i stanowczy. Wokół nas huczała magia.

– Davan! – wrzasnęła Valiya. – Davan, nie wychodź tam, nie rób tego! – wyła przez łyżę, ale coraz bardziej kurczowo się mnie trzymała. – Davan! Davan, zostań ze mną, Davan!

– Zignoruj to – warknąłem. – To nie jest prawdziwe. Zignoruj to.

Valiya mocniej zacisnęła palce, wbijając mi paznokcie w kark i wciskając twarz w moje ramię. Nie przestawała nawoływać utraconego męża. Jej wrzaski stawały się coraz bardziej zbolące, jakby ktoś wbijał jej lodowate żelazo w plecy, ale ponad nimi wciąż słyszałem szept Długich Ludzi, którzy mówili o tym, że nie dotrzymałem obietnic, nie ocaliłem Elizabeth przed spłonieniem, nie uratowałem Nenn, nikogo nie uratowałem. To wszystko moja wina, krew, smutek, martwe dzieci patrzące na mnie pustymi, bezdusznymi oczami. Nie byłem wystarczająco silny, dzielny ani trzeźwy, żeby im pomóc.

Silpur stał spokojnie, jakby ta śmiertelna groza była dla niego niczym podmuchy letniego wiatorku. Bez trudu przytrzymał muła, który musiał pięciokrotnie przewyższać go wagą. Sprawiał wrażenie zadowolonego. Krążąca wokół nas czerń rozrastała się, a szepty sięgały coraz głębiej, wyszukując wszystkie koszmary, jakie kiedykolwiek odczuwałem, i wszystkie rozczarowania, które przeżyłem. Było tego zdecydowanie za dużo. Byłem bezużyteczny. Nic nie miało znaczenia.

A potem wszystko ustało i znaleźliśmy się gdzieś indziej.

# 16

Cisza.

Zimno spadło na mnie jak szarżujący bawół i zęby zaczęły mi gwałtownie szczekać, gdy ciało zareagowało na wstrząs. Nie mogłem zaczerpnąć powietrza, moje płuca się zaciskały. Poczułem, że przepracowane serce wywinęło salto pod wpływem nowych, bolesnych bodźców. Gdybym nie był tak rozgrzany grozą Długich Ludzi, szok mógłby zabić mnie na miejscu.

– D-duchy – wykrztusiła Valiya, szeroko otwierając oczy, żeby zerknąć mi przez ramię. Przytrzymałem ją, patrząc na otaczające nas zniszczenia. Wyłoniliśmy się z ciemności i wkroczyliśmy w sam środek nowej zawieruchy.

Już kiedyś widziałem tę okolicę podczas wizji wywołanej przez kruka, ale wtedy wyglądała inaczej. Horyzont był idealnie płaski i pusty we wszystkich kierunkach, a bezkresną równinę pod bezgranicznym lazurowym niebem pokrywał nieskalany biały lód. Błogie miejsce mocy. To się zmieniło. Poza gładką, płaską kamienną platformą, na której wciąż siedzieliśmy, świat był pogrążony w chaosie. Potężne, ostre płyty porozrywanego, zburzonego lodu wznosiły się i opadały pod różnymi kątami, strzaskane w wyszczerbionym dysonansie. Ponad nami na niebie wisały potężne bryły lodu, nieruchome i pozbawione ciężaru. Wszystko było zepsute. Wszystko było niewłaściwe.

Nic z tego nie miało znaczenia. Liczyło się tylko zimno.

Silpur wzdrygnął się, ale poza tym pozostawał niewzruszony. Muł zaryczał z niepokojem, uderzając kopytami o ziemię, podczas gdy obojętny kapitan wyciągnął z pakunku na jego grzbiecie grube płaszcze z łosiowego futra i rzucił je w naszą stronę. Wsunąłem drżące dłonie w rękawy, na tyle szybko, na ile pozwalało mi

zmarznięte, targane skurczami ciało, a potem otuliłem płaszczem Valiyę.

– Schowaj ręce – poleciłem, zakrywając jej głowę kapturem. Nigdy nie doświadczyłem takiego zimna. Nasze oddechy nie tylko parowały w powietrzu, ale tworzyły kryształki na ustach. Nie wierzyłem, że takie zimno może istnieć.

– Jesteś Galharrow – odezwał się Silpur, rzucając mi grube rękawice. Wlepił we mnie zielone oczy, nieco zbyt intensywnie, jak zakochany młodzieniec widzący swoją pierwszą miłość.

– Już się spotkaliśmy – rzuciłem, szczękając zębami. – Kilka razy.

Nawet nie mrugnął, jakby nie zwrócił uwagi na moje słowa. Widywaliśmy się rzadko, ale zawsze starałem się pamiętać o trzech sprawach. Po pierwsze, jego pozorna nonszalancja wcale nie oznaczała, że nie jest skupiony. Po drugie, nie powinno się go traktować jak innych ludzi. Po trzecie, nigdy nie należy odwracać się do niego plecami. Gdyby Wronia Stopa kiedyś uznał, że przestałem mu być potrzebny, wysłałby Silpura, by się ze mną rozprawił.

– Kto to jest? – spytał.

– Winter – odrzekłem. Nigdy nie ufałem Silpurowi. Nie musiał znać prawdziwego imienia Valiyi.

– Nie mówię o kobiecie. – Wskazał zamrznęte ciało leżące nieopodal na lodzie, a raczej płataninę zamrznętych flaków, skóry i kości, która jeszcze niedawno była osobą. Prawdopodobnie.

– Nie wiem.

– Zapewne kapitan Vasilov. Zawsze był słaby. Wyszedł z kręgu.

Zimowe futra chroniły moje ciało i głowę przed wiatrem, ale dłonie, pomimo rękawic, wciąż przypominały sople. Każdy oddech sprawiał ból. Kamienny krąg pod nami pokrywała warstwa przejrzystego lodu, a wizerunki ptaków na platformie wyglądały inaczej.

– To nie Vasilov – odrzekłem. Fragmenty skóry, które widziałem, były jasne, a Vasilov był Fracańczykiem.

Silpur wzruszył ramionami. Zapewne nie pamiętał Vasilova. Miał chłopięcą twarz, która mogłaby podobać się dziewczętom, gdyby nie

duże, wytrzeszczone, niewzruszone oczy. Nie było niczego pociągającego w ich martwym spojrzeniu.

– Tutaj jest środek dnia – zauważyła Valiya.

Straciliśmy nieco czasu, a może go zyskaliśmy. Czas płynie inaczej, gdy podróżujesz poprzez śmierć.

– Trzeba ruszać – powiedział Silpur.

Potężny wiatr wył pomiędzy poszarpanymi lodowymi uskokami w zniszczonym miejscu mocy. Równina została rozbita wbrew naturalnym prawom wiążącym nas ze światem. Ogromne odłamki lodu wyrwano z ziemi i wyrzucono w powietrze, gdzie zawisły, znajdując jakieś niewidzialne podparcie. Valiya z nieprzeniknioną miną popatrzyła na latające wyspy. Pokręciła głową, a następnie przyklękła obok szczątków, które kiedyś zapewne były człowiekiem.

– To się stało, ponieważ zszedł z kamienia?

– Tak sędzę. Nie bez powodu szef rzadko posyła nas przez Bramę Zmierzchu.

Patrzyłem, jak Silpur się oddala. Większość z nas i tak nieczęsto korzysta z kamienia. Wśród kapitanów Czarnoskrzydłych próżno szukać normalnych ludzi, ale on był najdziwniejszy ze wszystkich.

Valiya zadrżała i mocniej otuliła się futrem.

– Biedna Sang – odezwała się cicho.

– Może wezmą ją do niewoli – odrzekłem, ale to była wątpliwa nadzieja. Słabe pocieszenie. Pierwszy wpadł w krwawy szal. Nie zamierzał brać jeńców. Sang mogła jedynie próbować się ukryć. Może to by ją uratowało.

– Gdzie jesteśmy? – spytała Valiya, szcękając zębami. – Na duchy, Ryhalcie. Nie przetrwamy tutaj zbyt długo. Musimy znaleźć schronienie.

– Trzeba pójść tam. – Wskazałem w ślad za Silpurem.

– Co tam jest?

– Tam znajdziemy Amairę. – Z trudem znajdowałem właściwe słowa. – I coś jeszcze.

Czułem to w piersi. Głos Nieszczęścia, Wroniej Stopy, a częściowo także mój własny, ale wszystkie połączone i zjednoczone. Byliśmy częściami jednej całości. Podobieństwa się przyciągają. Skażenie

Nieszczęściem świeciło w moim wnętrzu, sięgało ku magii, którą czułem w powietrzu. Odepchnąłem na bok odłamek lodu zawieszony w powietrzu, a on odsunął się, zwolnił i zatrzymał stopę nad ziemią.

Pod mułem ugięły się nogi i zwierzę runęło na bok, bezradnie wymachując kopytami. Może nie wytrzymało uderzenia zimna, a może przerażającej przeprawy przez Bramę Zmierzchu. Muł szaleńczo przewrócił ślepiami, a potem znieruchomiał, wypuszczając z pyska ostatnie parujące tchnienie. Nie mogliśmy mu pomóc. Przeszukaliśmy juki i zabraliśmy wszystko, co mogło nam się przydać. Traciłem czucie w stopach, więc założyłem duże kaptcie ze skóry łośia. Znalazłem zapasowy płaszcz i okryłem nim Valiyę. Była chuda. Płaszcz uszyto dla wojownika, więc bez trudu się w nim zmieściła. Nie znaleźliśmy żadnego jedzenia.

Wokół nas rozciągały się tylko mile popękane lodu. Zabrałem długi miecz, który był przytwierdzony do bagaży na grzbiecie muła. Zapewne na tym pustkowiu do niczego się nie przyda, ale warto mieć takie narzędzie. Valiya schyliła się i podniosła swoje zawiniątko.

– Ruszajmy.

\* \* \*

Dogoniliśmy Silpura. Przemieszczał się szybko, wspinając się na lodowe wzniesienia i ześlizgując ze zboczy. Valiya z trudem szła obok mnie, korzystając z mojej dłoni za każdym razem, gdy nie mogła samodzielnie podciągnąć się na półkę. Niełatwa wędrówka wiodła nas przez szczyty i głębokie niecki, zupełnie jakbyśmy szli po ogromnym talerzu, który ktoś roztrzaskał młotkiem. Równiny były poprzecinane wąskimi wąwozami, ale udawało nam się je przekraczać. Musieliśmy ostrożnie stawiać stopy, gdyż lód był gładki i śliski. Kilkakrotnie zsunęliśmy się ze zbyt stromej platformy i musieliśmy znaleźć inną trasę, a od zimna najbardziej cierpiały nasze dłonie i stopy. Nierówne ukształtowanie terenu osłaniało nas przed wyjąłym wichrem, co stanowiło drobną pomoc.

Silpur zatrzymał się na szczycie jednego ze wzniesień i zaczął, aż do niego dołączymy. Pomogłem Valiyi pokonać ostatni trudny etap wspinaczki i po chwili patrzyliśmy w dół na idealny lodowy krąg o średnicy mili. Miliony pęknięć rozbiegały się od epicentrum, łącząc się i zlewając ze sobą, a od spodu przeświecało bladoniebieskie światło. W powietrzu słyszeliśmy szum wyładowań. Pozostałość tego, co się tutaj wydarzyło. Kiedy uniosłem wzrok poza wiszące w powietrzu lodowce, ogarnął mnie mroczny niepokój, ponieważ zrozumiałem, na co patrzę.

Pęknięcie w niebie.

– Kurwa mać – zaklęła Valiya. Trzeba nie było czego, żeby skłonić Valię do przeklinania. To było nie było co.

– Znów to zrobił – powiedziałem. – Ponownie rozbił świat.

– Nie było innego wyjścia – odrzekł Silpur. Nie zwracał uwagi na pęknięte niebo. Wyglądało na to, że nic nie robi na nim wrażenia, ani zimno, ani unoszące się w powietrzu bryły lodu, po prostu nic. Prawie nie przypominał człowieka, co musi ciekawie brzmieć w moich ustach. Wskazał centrum zniszczeń, gdzie zauważył coś na lodowej równinie. Miał lepszy wzrok ode mnie.

To była jakaś niewielka ciemna bryła – ale niby dokąd mielibyśmy się skierować, jeśli nie na sam środek? Byłem w sercu Nieszczęścia i przeżyłem, ale nie pamiętałem dużej części tego, co tam widziałem. Część z tych rzeczy była prawdziwa, część nie, a przynajmniej taką miałem nadzieję. Wróciłem wyposażony jedynie w wiedzę konieczną do pokonania Saravora oraz trzy słowa wycięte na moim ręku. Nie chciałem zastanawiać się nad tym, co tam zostawiłem.

– Ludzie już tutaj byli – odezwała się Valiya, a wiatr porwał jej głos.

Popękany lód znaczyły rysy i ślady wędrówki oraz unoszące się lodowe odłamki, które ktoś odepchnął na bok, wyznaczając szlak, budując otaczający nas korytarz. Widzieliśmy pojedyncze odciski butów na tej samej drodze, którą my podążaliśmy. Niewykluczone, że były to ślady Amairy, chociaż było ich za dużo.

Podniosłem wzrok na przerażające pęknięcie, przez które do naszego świata wlewało się łagodne białe światło. Ze szpary

promieniowały trzy równej długości smugi, doskonałe w swojej symetrii, niedoskonałe w swojej istocie.

Pośród bezkresnej bieli trudno było oszacować odległość. Dotarcie do ciemnej bryły trwało dłużej, niż się spodziewałem, a za każdym razem, gdy przekraczałem pęknięcie w lodzie, myślałem, że zimne niebieskie światło mnie przypali, ale ono milczało i nie reagowało na nasz przemarsz.

W centrum zniszczeń siedziało ze skrzyżowanymi nogami zamrożone ciało otulone grubymi płaszczami. Kiedy je zobaczyłem, objąłem Valiyę ramieniem. To był Nall, a przynajmniej jeden z jego awatarów.

– Przyjaciel naszego pana – rzekł Silpur. – Nie żyje. Idziemy dalej.

– Chwileczkę – rzuciłem przez szal, którym okryłem usta. Materiał już stwardniał od mrozu.

Valiya cofnęła się, kiedy podszedłem do ciała i przy nim uklęknąłem. Nie wiedziałem, co myśli. Oczy są niezwykle ważne. Przekazujemy nimi więcej, niż nam się wydaje, a w jej oczach można było dostrzec tylko odbicia.

Awatar Nalla przypominał tamtego, który dotarł do mnie w Nieszczęściu, ale był starszy, posiwiasty i jeszcze bardziej wychudzony. Jego skóra była niebiesko-szara i stwardniała. Pochylał się, więc grube fałdy zamrożonej peleryny zwieszały się do przodu, a kiedy pod nie zajrzałem, wstrzymałem oddech. Pociągnąłem materiał, żeby lepiej się przyjrzeć, a on pękł jak szkło. Wsunąłem rękę pod pelerynę i upewniłem się, że wzrok nie płata mi figla.

Klatka piersiowa Nalla była otwarta. Zobaczyłem ziejącą dziurę w miejscu, w którym powinno się znajdować jego serce.

Serce czarownika to straszna rzecz. W szczytowym momencie obłączenia Wronia Stopa i pozostali Bezimienni rozerwali Shavadę na kawałki i użyli jego mocy do zasilenia Maszynerii. Wcześniej tę rolę pełnił Pieśniarz, inny z Bezimiennych zabity dla swojej magii. Widziałem jego serce w głębi Maszynerii. Nall został złamany, niemal zniszczony, ale sądziłem, że przegrał ciche starcie z siłą woli Królów Głębi i Śpiącego, a nie został zabity przez innych



Bezimiennych. Wpatrywałem się w jego zamarznąętą otwartą klatkę piersiową.

Niewątpliwie istniało jakieś doskonale szalone wyjaśnienie. Może kiedy moc Nalla została rozbita, jego serce wyrwało się z piersi. Dlaczego nie? Cóż mogę wiedzieć o magii Bezimiennych?

„Nie ufaj swojemu panu” – ostrzegł Nall.

„Nie ufaj Bezimiennym” – powiedział Wronia Stopa.

Kiedy w Valengradzie siedziałem na dachu kryjówki Valiyy, usłyszałem człowieka, który krzyczał, że wyrwano mu serce. To była ofiara czarnego deszczu. Nall powiedział mi, żebym słuchał deszczu. Deszczu, który przynosi szaleństwo, wizje i palący ból. A także coś więcej. Deszcz wiedział, co się tutaj wydarzyło. Deszcz pamiętał.

„Nie ufaj swojemu panu”. Te słowa nagle nabrały nowego znaczenia i zbudziły w moim umyśle trudne, mroczne pytania. Jak najdokładniej okryłem Nalla peleryną. Kiedyś przyjdzie czas, by podzielić się z Valiyyą tym, czego się dowiedziałem – jako jego kapitan zasługiwała, by znać prawdę – ale jeszcze nie teraz. Straciłem czucie w stopach, a pomimo grubych rękawic moje dłonie nie były w dużo lepszym stanie.

– Wronia Stopa siedział tutaj – oznajmił Silpur. Nie interesowało go ciało Nalla. Stał na fragmencie lodu, z którego rozbiegała się pajęczyna pęknięć.

– A tutaj Płytki Grób – odrzekłem, zauważając podobny wzór. Trzy wierzchołki trójkąta. Brakowało tylko Pani Fal. Bezimienni współpracowali z myślą o wspólnym celu: przetrwaniu. Dlaczego Pani była nieobecna? Nie byli prawdziwymi sojusznikami. Mieli własne cele i plany. Tylko w chwilach rozpaczliwej potrzeby się jednoczyli – albo, jak w przypadku Nalla, rozpadali na kawałki.

– Schodzimy – oznajmił Silpur. – Tak jak oni.

– Schodzimy? – zdziwiłem się, a on wskazał w dół.

Jedno z pęknięć było szersze i głębsze od pozostałych; promieniowało tym samym migoczącym niebieskim blaskiem. W ziemię wbito kołki, do których przywiązano trzy grube, pokryte supłami liny opuszczające się ku światłu. Teren wokół krawędzi był

pobrużdżony i wyglądało na to, że jeden z kołków wyrwał się i zabrał ze sobą kawałek lodu.

– Myślisz, że Amaira tam zeszła? – spytała Valiya.

Silpur nie odpowiedział, ponieważ był zajęty sprawdzaniem liny, badaniem jej udźwigu. Uklęknąłem i wsunąłem dłoń w blade niebieskie światło. Było ciepłe i przyjazne. Kiedy kolor popłynął po moich palcach, poczułem, jak coś poluzowuje się w mojej piersi. Wzbierający kaszel uspokoił się i ustąpił. Zajrzałem w otchłań. Światło w dole nie było bardziej intensywne, jeśli w ogóle można je nazwać światłem. Miałem wrażenie, że pęknięcie w ziemi opada bardzo głęboko.

– Tam coś jest – powiedziałem. – Poczułem to, kiedy poprzednio zobaczyłem to miejsce. Coś starego. Starszego od Bezimiennych. Zamrożone od ponad tysiąca lat.

– Co takiego?

– Nie wiem. – Chyba nie chciałem się dowiedzieć. – Ale wygląda na to, że Amaira i Vasilov tam zeszli.

– Przecież są trzy liny – zauważyła Valiya. – A wcześniej zapewne były cztery. Nikt im nie towarzyszył? – Dobre pytanie.

– Musimy tam zejść – stwierdził Silpur.

– Nie wiem, czy dam radę – odrzekła Valiya, ostrożnie wyglądając poza krawędź.

Należała do najbardziej zaradnych osób, jakie znałem, ale jej siła lepiej się nadawała do zmieniania świata niż do górskich wspinaczek. Wędrówka po lodowych płytach sprawiła jej wystarczająco dużo kłopotu, a trudno było ocenić, jak głęboko sięgała ta rozpadlina. Nawet młody i sprawny mężczyzna na jej miejscu byłby na skraju wyczerpania.

– Jeśli tutaj zostaniesz, to zamarzniesz – powiedziałem. Sprawdziłem jedną z lin. Żelazny kołek był mocno wbity w lód i sprawiał solidne wrażenie. – Trzymaj się mnie. Zniosę cię na dół.

– Ważę więcej, niż ci się wydaje – odparła Valiya.

Pokręciłem głową. Wszystkim się wydaje, że są ciężsi niż w rzeczywistości.

– Jestem silniejszy, niż na to wyglądam. A ty jesteś silniejsza, niż przypuszczasz.

Niebo wydało z siebie cichy żalony pisk. Nie przypominał ryczącego wycia pęknięć w Nieszczęściu, ale tutejsze rozdarcie było niewielkie.

Silpur już ruszył w drogę. Prześlizgnął się nad krawędzią i zniknął, napinając linę.

– Jesteś pewien? – spytała Valiya.

– Zaufaj mi. Dam radę ponieść nas oboje.

– A lina to wytrzyma? Bez urazy, ale na pewno ważysz ponad trzysta funtów. Nigdy nie widziałam kogoś tak muskularnego.

Głupio było poczuć przypływ dumy. To Nieszczęście przemieniło mnie w białej celi, nie było w tym mojej zasługi.

– Miejmy nadzieję, że tak. Nie ma innej możliwości.

Valiya wspięła mi się na plecy i otoczyła rękami szyję. Nie wyglądała godnie, ale ledwie czułem jej ciężar. Zdjąłem pas, zrobiłem z niego pętlę i obwiązałem nią jej nadgarstki. Nie wiedziałem, jak długo będziemy schodzić, a gdyby opadła z sił, mogła po prostu zawisnąć, chociaż byłoby to bolesne. Od dawna nie wspinałem się po takim zboczu, ale nie miałem wyboru. Nie osiągnęlibyśmy niczego, siedząc tutaj, a wiadomość od Amairy wciąż płonęła w moim umyśle. Dla tego dzieciaka zszedłbym do samych piekieł. Cieszyłem się, że Silpur poszedł pierwszy. Nie usłyszeliśmy krzyku człowieka spadającego na spotkanie śmierci, chociaż wątpiłem, by Silpur krzyknął, nawet gdyby jego lina puściła.

– Gotowa?

– Jestem gotowa – powiedziała Valiya prosto do mojego ucha.

Napiąłem linę, ześlizgnąłem się z krawędzi i zaczęliśmy schodzić. Pochłonęło nas błękitne światło, niematerialne i łagodne. Na duchy, ależ nabrałem krzepy w celi. Moje ręce prawie nie czuły obciążenia. Stopy szukały oparcia na pionowej lodowej ścianie, gdy schodziłem krok po trudnym kroku. Valiya kurczowo się mnie trzymała, obejmując nogami w pasie, zawieszona nad otchłanią. Początkowo przemieszczałem się powoli, za każdym razem upewniając się, że pewnie postawiłem stopy, ale lód nie zapewniał dobrego oparcia.

Chociaż nie był całkowicie gładki, nie ufałem nielicznym szorstkim występom. Łatwiej było korzystać z samych rąk. Schodziłem, na zmianę przekładając dłonie. Valiya chwyciła mnie mocniej za szyję, gdy zwiększyłem tempo. Zeszliśmy dziesięć stóp, potem dwadzieścia i więcej, a niebieskie drobinki unosiły się w powietrzu jak nasiona dmuchawca.

– Wszystko w porządku – powiedziałem. – To łatwe. – Rzeczywiście takie było. Jeszcze nigdy nie czułem się tak silny. Nawet nie wiedziałem, że ludzie mogą mieć taką krzepę. Może nie mogą. Pomyślałem sobie, że dzięki wpływowi Nieszczęścia stałem się najsilniejszym człowiekiem w historii. Mógłbym to robić przez cały dzień.

Lód miał inne zdanie.

W górze rozległ się ostry trzask i lina się obniżyła. Tylko o kilka centymetrów, ale nagle uświadomiłem sobie z przerażającą pewnością, że kołek wyskoczy z podłoża. Powinienem był poprosić Valiyę o obliczenie, czy utrzyma naszą łączną wagę. Powinienem był najpierw zejść sam. Powinienem był...

– Ryhalcie! – zawołała Valiya. – Rusz się!

Popatrzyłem w dół, gdzie wciąż nie było widać dna. Schodziłem coraz szybciej, ręka za ręką. Z góry dobiegł mnie żaloszny jęk doprawiony brzękiem pękającego szkła. Ręka za ręką, ręka za ręką, ręka za ręką, a serce tłukło mi się w piersi. Jęk przybrał na sile. Może kołek utrzymałby samą Valiyę. Może żadna z lin by mnie nie utrzymała. Lód na pewno nie zniósł ciężaru nas obojga.

– Chwyć linę – poleciłem, zatrzymując się. Nachyliłem się, żeby Valiya mogła jej dosięgnąć. – Nie puszczaj. Cokolwiek się stanie, trzymaj się. Zdejmij ze mnie nogi.

– Co ty robisz? – spytała.

– Trzymaj się – powiedziałem, kiedy uwiesiła się na linie i rozplotła nogi. – Przepraszam.

Nie miałem czasu myśleć ani kalkulować. Musiałem działać natychmiast, w przeciwnym razie oboje runęlibyśmy w przepaść. Lina nie mogła utrzymać mojego ciężaru, a pod nami wciąż nie było

niczego poza nieprzeniknionym błękitem. Roztrzaskalibyśmy się o dno. Nie mogłem na to pozwolić.

Sięgnąłem do swojego wnętrza, poszukałem kryjącego się tam Nieszczęścia i puściłem linę.

Pęd powietrza porwał nagły wrzask Valiyi. Runąłem w dół, a wtedy błękitna mgiełka się rozviała i przez dwie sekundy widziałem Silpura, który podnosił na mnie wzrok. Potem z trzaskiem uderzyłem o ziemię.

Powinienem zostać zmiażdżony, ale Nieszczęście huczało w moim ciele. Czuję, jak przenika moje kości ogniem, pochłaniając, chwytając, przejmując potężną siłę upadku. Okruchy lodu wystrzeliły w powietrze, gdy moje ciało napięło się i zadrżało. Fala uderzeniowa przeszła kości i organy wewnętrzne, zawibrowała w czaszce i zaryczała w uszach. To była ogromna moc, która powinna mnie rozerwać.

Krzyknąłem, a wtedy moje ciało uwolniło nagromadzoną energię. Silpur runął na ziemię, a kreski pęknięć wystrzeliły w górę ścian jaskini. Twardy czarny lód pode mną rozpadł się na mozaikę z tysiąca nierównych kawałków.

Przeżyłem. Byłem cały i zdrowy, a przez kilka chwil czuję krążącą we mnie czarną moc Nieszczęścia. Byłem niepokonany. Ocaliłem ją. Przepeliła mnie euforia, a potem w górze rozległ się chrzęst i wrzask.

Valiya spadła, gdy podtrzymujący ją kołek wysunął się z lodu. Nie dysponowała mocą Nieszczęścia, ale jego gwałtowna i mroczna magia wciąż płonęła w moim wnętrzu. Kiedy zobaczyłem, jak cień Valiyi spada poprzez błękit, instynktownie zareagowałem.

Zażądałem siły od płomienia, który zbudził się w moim ciele, przekazałem ją do swoich nóg i wyskoczyłem w stronę występu, który znajdował się na wysokości trzech stóp. Odbiłem się od niego i dotarłem do kolejnego, a potem następnego, brnąc w górę lodowej ściany. Byłem już sześć stóp nad ziemią, dziesięć, piętnaście, a każdy skok wynosił mnie wyżej, niż powinno to być możliwe. A kiedy Valiya opadła w moją stronę, odbiłem się od ściany.

Spotkaliśmy się w powietrzu i z całych sił ją chwyciłem. Trzasnąłem plecami o przeciwległą ścianę i ześlizgnąłem się po niej, otoczony deszczem odłamków. Valiya kurczowo się mnie trzymała, gdy mocno uderzyliśmy o ziemię.

Światło przygasło, a ja, słuchając tego ostrzeżenia, przycisnąłem Valiyę do lodu i osłoniłem ją swoim ciałem.

Bryła lodu oderwana od krawędzi przepaści trafiła mnie z siłą kowalskiego młota... i roztrzaskała się na kawałki. Energia Nieszczęścia skłębiła się w moim wnętrzu, podtrzymując moje ciało, a zaplamione na błękitno powietrze wokół nas wypełniły kawałki spadającego lodu. Leżałem na Valiyi, dygocząc, gdy magia próbowała ochronić nas przed śmiercią, po raz drugi w ciągu dziesięciu sekund. Bursztynowy blask w moich oczach zapłonął mocniej, odbijając się w lustrzanych oczach Valiyi. Zacisnąłem zęby, gdy nitki bólu powoli rozpełzły się po moich mięśniach i skórze, a potem wziąłem potężny lodowaty wdech. Stoczyłem się z niej i zaległem na plecach, spodziewając się, że obrażenia za chwilę przełamia magiczną barierę w moim ciele.

Tak się nie stało. Zaczerpnąłem powietrza, a unoszące się błękitne światło wniknęło do mojego wnętrza. Uspokajało. Łagodziło. Pomagało.

Spróbowałem wstać, ale runąłem na twarz. Nie miałem siły podnieść ręki. Nowe nitki czerni rozdzieliły się i rozprzestrzeniły pod moją skórą. Całe moje ciało było napięte i sztywne, gdy zapanowała nad nim ciemność, przenikając mnie zimnymi ostrzami bólu. Nie byłem w stanie nawet jęknąć.

– To niemożliwe – stwierdził Silpur, dźwigając się na nogi. Patrzył tylko na mnie, nie zauważając Valiyi albo o nią nie dbając. – Powinieneś być martwy. Jak tamten człowiek.

Skupiłem się na swojej szyi, która krzyczała, że jest doszczętnie zjebana, i zdołałem bardzo powoli odwrócić głowę. Obok zwoju lin leżały zmasakrowane, roztrzaskane zwłoki. Siła uderzenia rozerwała ciało i spod popękanej skóry wyciekła czarna wydzielina. W takim zimnie nie czuć było smrodu, ale wyraźnie widziałem zgniliznę. Moje ciało drżało, a w umyśle wirowały chaotycznie

spłątane kosmyki Nieszczęścia; byłem pewien, że już kiedyś widziałem takie zgniłe wnętrze. Tylko jeden z moich wrogów przemienił w ten sposób ludzi.

Saravor.

# 17

Miałem wrażenie, że minęło dużo czasu, zanim znalazłem w sobie siłę, by usiąść. W mojej głowie rozdzwonił się alarm, a reszta ciała była w gorszym stanie niż po pięćdziesięciomilowym sprincie. Moc Nieszczęścia mnie ocaliła, ale zarazem coś mi odebrała. Moje pociemniałe dłonie drżały, gdy dźwignąłem się z lodu.

Silpur badał szczątki człowieka, który runął w przepaść przed nami, ale Valiya cierpiała. Cała się trzęsła, targana grozą wywołaną upadkiem. Zderzenie ze mną w powietrzu i późniejsze uderzenie o ziemię mocno dały jej się we znaki i kurczowo trzymała się za ramię. Metaliczne łzy spływały po jej policzkach jak rzeki rtęci. Przez chwilę mogłem tylko siedzieć i słuchać.

– Gdzie cię boli? – spytałem w końcu.

– Wszędzie – westchnęła, z trudem łapiąc oddech. Próbowałem stłumić własny ból. Valiya była w szoku. Potrzebowała mojego spokoju.

– Jesteś mi potrzebna. Musisz być silna dla Amairy – powiedziałem. – Mów konkretnie. Muszę sprawdzić, jak bardzo ucierpiałaś. – Później przyjdzie pora na miłe słowa i delikatność, ale znałem się na opatrywaniu obrażeń. Najpierw krwawiące rany, potem złamane kości i obym nie znalazł niczego gorszego.

– Czuję się tak, jakby stratował mnie pułk kawalerii – wyszeptała, krzywiąc twarz. – Coś jest nie tak z moim ramieniem.

– Sprawdzę, czy nic nie jest złamane – odrzekłem. – Żeby to zrobić, będę musiał położyć na tobie rękę.

– Oczywiście – przytaknęła. – Jakim cudem wciąż żyjesz? Myślałam, że cię straciłam.

– Sześć lat trucizny Nieszczęścia – wyjaśniłem. A przynajmniej tak sądziłem. Sam nie wiedziałem, jak to działa.



– Masz takie jasne oczy – powiedziała cicho.

Kilka razy strzeliłem palcami przed jej twarzą.

– Zostań ze mną. Nie zatracaj się w cierpieniu. Powiedz mi, czy to, co robię, sprawia ci ból. Myśl o Amairze. Nie wiemy, ile czasu mamy, żeby do niej dotrzeć.

Zacząłem od głowy Valiyi, potem obmacałem jej szyję i stwierdziłem, że wszystko jest z nimi w porządku. Ale lewe ramię mocno się wykręciło i nie wyglądało najlepiej.

– Bardzo boli? – spytałem.

Valiya pokiwała głową, przygryzając zębami dolną wargę. Jeszcze przez chwilę ją badałem. Zwichnięcie.

– Twoja ręka wyskoczyła ze stawu. Mogę ją nastawić, ale będzie bolało. – Kontynuowałem oględziny. Biodra także doznały skręcenia, zapewne podczas lądowania. Rozejrzałem się za Silpurem. Klęczał przy roztrzaskanym ciele i porzuconym zwoju liny. Nie tylko nas łód zdradził. Chciałem go poprosić, żeby przytrzymał Valiyę, ale nie podobała mi się myśl, że miałby położyć na niej swoje łapy. – Ufasz mi?

– Od zawsze – odpowiedziała. – Robiłeś to już kiedyś?

– Kilka razy. To się często przytrafia żołnierzom podczas szkolenia. Zaboli, ale tylko przez chwilę. Potem ból zelżeje. Spróbuj się nie poruszać.

Nie byłem chirurgiem, ale opatrywałem niejedną ranę na polu bitwy. Miałem nadzieję, że nie zabraknie mi siły ani precyzji, by zrobić to, co trzeba. Umieściłem swoją stopę pod pachą Valiyi, żeby ją unieruchomić, a następnie zacząłem ciągnąć jej przedramię, wolno, ale coraz mocniej. Valiya zeszywniała i zacisnęła powieki. Potem uderzyła pięścią o ziemię. Ciągnąłem powoli, aż w końcu poczułem, że kość wślizguje się na swoje miejsce. Valiya westchnęła i otworzyła oczy. Niesłusznie uznawałem je za nieludzkie. Widziałem wypisane w nich cierpienie i nie mogłem go znieść. Obmacałem jej ramię, aby upewnić się, że wszystko jest w porządku.

– Już dobrze – powiedziałem i spróbowałem się uśmiechnąć.

Poruszyła ręką i palcami. Wyglądało na to, że odzyskała sprawność. Mieliśmy ogromne szczęście. Nie licząc jeszcze bardziej

pożółkłych oczu, nie odniosłem żadnych obrażeń. Popatrzyłem na okruchy lodu pokrywające podłoże jaskini. Wszystkie razem zapewne ważyły tyle co koń. Nie powinienem był przetrwać ani upadku, ani późniejszego uderzenia.

To za sprawą tego miejsca. Wszędzie wokół siebie czułem jego niebieskawą energię, która obmywała mnie jak ciepło bijące od ogniska. Pierwszy mnie poharatał, ale wtedy byliśmy w Valengradzie, z dala od objęć Nieszczęścia. Czymkolwiek było to miejsce, trochę je przypominało. Tutaj byłem silniejszy. Moc, która rozbiła lodową równinę, była pokrewna truciznie Nieszczęścia. Skąpałem się w niej, a ona uczyniła mnie silniejszym.

STAŃ SIĘ KOWADŁEM.

Valiya stopniowo odzyskiwała jasność umysłu. Posadziłem ją pod ścianą i uważniej rozejrzałem się po okolicy. Znajdowaliśmy się na brzegu jaskini wydrążonej w lodzie, a wysoko nad nami rozciągał się zamrożony strop. Lodowe kolumny, zbyt kanciaste, by mogły uchodzić za naturalne formacje, powstrzymywały go przed runięciem nam na głowy. Nie miałem pojęcia, co to za miejsce, ale było stare. Bardzo stare. Czasami takie rzeczy po prostu się wie. Jaskinia ciągnęła się w dal, skąpana w granatowej mgielce. Wstałem i dołączyłem do Silpura. W mojej nodze odezwała się stara rana od włóczni. Tona lodu nawet mnie nie drasnęła, ale wciąż utykałem na skutek tej dawnej kontuzji.

– Zabijałem już takich – odezwał się Silpur, wskazując leżącego człowieka.

Obok szczątków leżała jego lina. W miejscu, w którym ciało pękło, widzieliśmy brązowo-czarną zgniliznę, chorobowe zmiany i wrzody pokrywające wnętrze. Cieszyłem się, że zimno powstrzymuje smród. Czułem tę woń już zbyt wiele razy.

– Naprawiony człowiek – odrzekłem. – Jedna z marionetek Saravora. Wiesz o Saravorze. Wysłałem ci jego akta.

– Tak, dostałem je – potwierdził Silpur. – Wnętrza zgniły.

– Kiedyś w przeszłości Saravor go naprawił. Podejrzewam, że zgnilizna rozprzestrzeniła się w jego wnętrzu. Wygląda na to, że nie

tylko nas ciekawi, co Wronia Stopa tutaj ukrył. Ale Saravor powinien być martwy. Sądziłem, że Wielka Iglica doszczętnie go spaliła.

– To tylko figurant. Szare dzieci – rzekł Silpur. – Kiedyś z nimi walczyłem.

– Kiedy?

Silpur zamrugał po raz pierwszy od chwili, gdy do nas podjechał. Próbował sobie przypomnieć.

– Shanasti była wtedy królową – odpowiedział.

Niemożliwe. Shanasti była ostatnią królową Dortmarku, mniej więcej czterysta lat temu. Silpur miał kiepską pamięć. Stale zapominał, kim jestem, a jeśli żył od ponad czterech wieków, to najwyraźniej z jego głowy wywietrzały także umiejętności prowadzenia rozmowy oraz współczucie. Ale skoro byliśmy skąpani w niebieskim świetle mistycznego zniszczenia, a ja właśnie przeżyłem bez uszczerbku na zdrowiu upadek z wysokości osiemdziesięciu stóp, to nie miałem prawa podawać w wątpliwość jego wieku.

– Tam, gdzie jest jeden, znajdziemy ich więcej – stwierdziłem. – Saravor raczej nie posłałby pojedynczego człowieka. Ciekawe, jak się tutaj dostali.

– Przez Bramę Zmierzchu – odrzekł Silpur. – Nie ma innej drogi.

To niewykłuczone. Saravor wszedł w posiadanie *Kodeksu Tarana*, spisane go przez jednego z Bezimiennych, który już dawno nie żył. Mogliśmy tylko zgadywać, czego się z niego dowiedział. Dantry Tanza przetłumaczył fragment *Kodeksu*, ale odmówił zapisania tego, co w nim odkrył.

Mój miecz na szczęście przetrwał upadek. Miałem przecucie, że będę go potrzebował. Truposz miał pas od miecza, ale jego broń zniknęła. Pomogłem Valiyi wstać, przytrzymując ją za zdrową rękę.

– Musimy ruszać – powiedziała. – Każda minuta, którą tutaj marnujemy, zwiększa ryzyko, że Amaira nie wyjdzie stąd żywa. – Strzepnęła okruchy lodu z grubego futrzanego płaszcza.

– Chcesz broń? – spytałem, podając jej swój sztylet.

– Już ją mam – odrzekła. – Ciebie.

Posłałem jej uśmiech, którego nie poczułem. Popatrzyłem na grzbiet swojej dłoni i zobaczyłem dwie czarne nitki, które połączyły się pod skórą. Użycie mocy Nieszczęścia przyspieszyło rozwój skażenia.

– Ale i tak go wezmę. – Schowała sztylet do kieszeni płaszcza.

Zagłębiliśmy się w jaskinię. Nie chciałem myśleć o tym, jak stąd później wyjdziemy. Kiedy Amaira przekazała, że wpadła w pułapkę, mogliśmy tylko zgadywać, co miała na myśli. Teraz zaczynałem rozumieć. Wspinaczka nie wchodziła w grę. Valiya nie zdołałaby zrobić tego sama, zwłaszcza ze zwichniętym ramieniem, a ja nie miałem zamiaru ponownie ryzykować obciążenia liny. Musieliśmy znaleźć inną drogę. Jeżeli jakaś istniała.

Podłoże jaskini było idealnie gładkie, zbyt gładkie, by powstało w naturalny sposób. Niebieski żar zapewniał nam wystarczająco dużo światła, a na dole było znacznie cieplej niż na wietrznym szczycie przepaści. Przez chwilę miałem wrażenie, że jakiś głos, znajomy, ale metaliczny i głuchy, szepcze moje imię. Rozejrzałem się, lecz niczego nie zobaczyłem.

– Popatrz na to. – Valiya przywołała mnie do jednej z kolumn. Na jej powierzchni wyrzeźbiono rzędy obrazów, scenek przedstawiających dawne wydarzenia. Widziałem podobne rzeźbienia na wiekowych kolumnach w Karnun, zwiędziały pozostałościach cywilizacji, które upadły w czasach opisywanych przez legendy. Rzeźbienia przedstawiały profile postaci pogrążonych w pracy, dźwigających ciężary albo ciągnących sanie. Niektóre czerpały wodę, inne miały na sobie stroje wojowników z pękami włóczni na ramionach i prymitywnymi tarczami w rękach.

– To nie są ludzie – zauważyła Valiya. – Popatrz na ich twarze.

– Albo rzeźbiarz nie znał się na swoim fachu – odrzekłem, ale to nie była prawda. Wiele detali oddano z oszałamiającą precyzją, wliczając w to pierścienie na palcach robotników. Oczy postaci były nadmiernie duże, a twarzom brakowało nosów. Z czoł sterczały krótkie, pękate rogi.

– Wyglądają jak robale – stwierdziła Valiya. Może to dlatego, że rozmyślałem o Saravorze, ale wyrzeźbione sylwetki przypominały

mi szare dzieci w swojej prawdziwej formie, którą przez chwilę zobaczyłem w kanałach Valengradu za sprawą magii Wroniej Stopy. – To jakaś opowieść. Otacza całą kolumnę. Zobacz, oni coś budowali.

– Nie mamy czasu na historię – odparłem. – Chodź. Musimy znaleźć Amairę.

– Budowali coś, co potem zostało zniszczone. Popatrz, tutaj widać burzone budynki. Co to jest?

Na jednym z rzeźbień coś ogromnego górowało nad miastem i rozbijało wieże. Miało sześć nóg i potężną paszczę pełną kłów. Valiya dalej obchodziła kolumnę.

– Ludzie byli rozbijani w pył. Wysłali posłów za morze, by błagać jakiegoś wielkiego węża o pomoc. Sześcioro dzieci prosiło węża o wsparcie. Wąż i niszczyciel starli się w boju. – Usiłowała dostrzec wyżej położone wizerunki. – Dalej nie widzę.

Sześcioro dzieci. Niepokojąco znajoma liczba. Pojawiła się, gdy Maldon i Saravor walczyli w moim umyśle.

– Nieważne, to tylko mit – odrzekłem. – Chodźmy.

Silpur już ruszył przodem. Po przeciwnej stronie jaskini znajdowały się potężne drzwi z filarami i nadprożem wyciętymi z lodu.

– Nie ufam Silpurowi – powiedziała Valiya. – Mam wrażenie, jakby nie był tu z nami całym sobą.

– Też tak sędzę – przyznałem. – Ale jest całkowicie lojalny wobec Wroniej Stopy. Nie musimy go lubić i nie możemy oczekiwać od niego współczucia, ale jego oddanie nie opiera się wyłącznie na lęku lub długu, jak w przypadku pozostałych kapitanów Czarnoskrzydłych. On jest fanatykiem. Dopóki będziemy wykonywali wolę Wroniej Stopy, możemy mu zaufać.

Drzwi otaczały lodowe rzeźby wojowników z rogami i okrągłymi oczami, którzy patrzyli na nas z góry, gdy wkraczaliśmy do tunelu prowadzącego w dół. Jego ściany zdobiły fryzy podobne do tych na kolumnach. Pomimo dotkliwego znużenia w moim żołądku zaczął się odzywać głód, ale nie mieliśmy niczego do jedzenia. Pomyślałem o mięsie muła i pożałowałem, że nie byłem na tyle przezorny, by

wykroić i zabrać kilka kawałków. Surowe mięso nie jest zbyt apetyczne, ale jadałem znacznie gorsze rzeczy w Nieszczęściu.

Tunel ostro skręcił w lewo i straciliśmy Silpura z oczu. Po chwili dotarliśmy do kolejnego zakrętu i jeszcze jednego. Schodziliśmy po spirali w głąb lodu. Mijane rzeźby przypominały te wcześniejsze, ale pokrywały ściany od posadzki aż po strop, a pogrążonych w pracy ludzi o dziwnych kształtach wyrzeźbiono w naturalnych rozmiarach. Postaci gromadziły się wokół piramid i podnosiły wzrok na potężniejsze istoty stojące na ich szczytach – zapewne bogów. Bogowie nie przypominali ludzi. Mieli postać figur geometrycznych, obłoków, płomieni albo innych niematerialnych obiektów. Wierni czcili swoje bóstwa, jeńców wleczono na ołtarze, noże wycinały serca.

– Uprawiali magię duszy – zauważyła Valiya. – Tak jak Królowie Głębi. Na Duchy Miłosierdzia, gdzie my jesteśmy? Jak stare jest to wszystko?

Silpur wyłonił się zza rogu i przycisnął palec do ust. Powoli i bezszelestnie dobył miecza, a następnie przywołał nas gestem. Również wyjąłem ostrze i podążyłem za nim.

Korytarz prowadził do kolejnej rozległej jaskini z równie gładką posadzką i kolumnami. Ale tutaj znajdowały się jakieś istoty, ludzkie i niedoskonałe w niebieskim bezruchu. Na ziemi leżały trzy ciała. Nic się nie poruszało. Pośpiesznie do nich podszedłem, obawiając się tego, co znajdę, ale żadna z tych osób nie była szczupłą dziewczyną przed dwudziestką. To byli krępi mężczyźni, przynajmniej zanim coś doszczętnie ich nie spaliło. Poczerniałe ciała prawie obróciły się w popiół. Obok leżały dwie rusznice skałkowe z lufami wykrzywionymi od gorąca, a na lodowej posadzce widniał długi wypalony ślad. Rozpoznałem ten wzór.

– To robota Vasilova – stwierdziłem.

Silpur pokiwał głową.

– Z pewnością.

Spalonymi zapewne byli kolejni naprawieni Saravora, ale zostało z nich zbyt niewiele, żebym mógł się upewnić. Potężny żar magii Vasilova spalił zwłoki. Vasilov był wybitnym Przędzarzem

i cieszyłem się, że towarzyszy Amairze. Przekazałem jej wszystko, co mogłem, na temat przebijania ludzi mieczem, ale bojowy Przędzarcz kalibru Vasilova jest wart tyle co cały batalion, dopóki nie opróżni pojemników z fosem. Kiedy tak się stanie, nie zdoła już niczego utkać.

– Ruszajmy – powiedziałem.

Przyśpieszyliśmy kroku, ignorując rzeźbienia w lodzie, a ja kuśtykałem najszybciej jak mogłem. Zaginione dzieła sztuki nie miały znaczenia, ale rzeźba przy drzwiach po przeciwnej stronie pomieszczenia zajmowała całą ścianę i nie dało się nie zwrócić na nią uwagi. Po lewej stronie sześcionogi niszczyciel walczył ze smokogłowym węzem, a sześcioro dzieci patrzyło na to z dołu. Po prawej potężna fala pędziła ku miastu, a rzędy postaci z krótkimi rogami kulily się w obliczu nieuchronnej zagłady. Pośród nich znajdowali się ich bogowie, figury geometryczne, płomienie i obłoki.

– Poprosili węża o pomoc, a bitwa zatopiła ich świat – powiedziała Valiya. Mimo pochłaniających nas poszukiwań Amairy koniecznie chciała poznać prawdę. – Na duchy. Myślę, że... Ryhalcie. Ich bogowie walczyli i przegrali. Wszyscy utonęli. Królowie Głębi...

Znów to usłyszałem. Moje imię pobrzmiwające surowym, metalicznym echem. Zamrugalem i rozejrzałem się dokoła. Miałem wrażenie, że czyjaś dłoń zagłębiła się w mojej piersi i zacisnęła na sercu. Nie było tutaj nikogo poza Valiyą i Silpurem, ale czułem czyjąś obecność. Przemawiała do mnie przez pęknięcia w świecie. Elizabeth. A przynajmniej to, co z niej zostało. To musiała być tylko moja wyobraźnia. Znajdowaliśmy się w miejscu bogów i demonów, dokąd nie docierał księżycowy blask.

Silpur wskazał miejsce ponad gigantycznym węzem i bestią, z którą ten walczył. Początkowo nie widziałem, co nam pokazuje, ale po chwili to dostrzegłem. Niepozorna mała rzeźba, która wyglądała niemal jak coś od niechcienia wyskrobanego na lodzie. Malutki ptaszek krążący wysoko nad tytanami. Silpur zwrócił ku nam nieruchome oczy. Uśmiechnął się.

– Cztery tysiące lat – odezwał się. – Wojna nadal trwa.

– Nie przyszedliśmy tutaj, żeby poznawać dawne dzieje – odparłem.  
– Pośpieszmy się.

Ściany zdobiły kolejne wypalone ślady, a w ich sąsiedztwie lodowe rzeźby stopiły się i odkształciły. Znaleźliśmy następne cztery ciała, z których dwa zespoliły się ze sobą. Ścigali Amairę i Vasilova i zapłacili za to wysoką cenę.

Potem w tunelu odbił się echem jakiś dźwięk. Stukanie. Powędrowaliśmy w jego stronę, a gdy tunel ponownie się rozszerzył, powstrzymałem Valiyę gestem dłoni i wyjrzałem zza rogu. Zobaczyłem jaskinię niemal identyczną do tych, w których byliśmy poprzednio. Przed nami było dziesięcioro ludzi.

Owinięci futrami, ułożyli w kręgi pakunki z zapasami i materiałami. Stali przed dziurą w lodowej ścianie. Nie było to gładkie wycięte przejście, jakie napotykalismy do tej pory, ale nierówny, mniej więcej okrągły otwór, wystarczająco duży, by się do niego wczołgać. Nieznajomi mieli na ramionach broń palną, a przy pasach ostrza i młoty. Jedna z osób, młoda kobieta o nienaturalnie dużej czaszce, niemal całkowicie łysej, nie licząc pasma siwych włosów na karku, była nieuzbrojona. Wyglądała jak jedna z Karnari – była blada, dzika, a na szyi nosiła tradycyjne plemienne amulety, zwierzęce czaszki oraz pióra. Szamanka. Nie wiadomo, co robili przy tym otworze, ale wyraźnie byli na nim skupieni i nie zwracali uwagi na nic innego. Nikt się nie poruszał, wszyscy tylko wpatrywali się w dziurę. Czekali.

Uwięziona.

Nie odzywali się. Niczego nie robili. Nieruchomi jak posągi, zapewne również byli naprawionymi stworzeniami Saravora. Było ich mnóstwo. Z taką liczbą Silpur i ja nie zdołalibyśmy sobie poradzić.

– Ryhalcie, popatrz – wyszeptała Valiya. – Co tam jest, w lodzie?

Nie widziałem dokładnie. Jakiś olbrzymi mroczny cień głęboko za przejrzystą lodową ścianą. Wiedziałem jednak, co to jest. Już kiedyś poczułem jego obecność, kiedy Wronia Stopa po raz pierwszy pokazał mi miejsce mocy. Widziałem tę istotę na rzeźbach w lodowych salach na górze, widziałem jej upadek w walce z Wężem



Ziemi. Była tylko cieniem, ale znajdowała się właśnie tutaj, zapieczętowana przez tysiące lat w miejscu swojej porażki. Niszczyciel światów, lodowy demon, martwy od tysiącleci, a jednak jego moc wciąż odbijała się echem w tych komnatach i rozświetlała je niebieskim blaskiem. Pierwotna, przedwieczna istota o niezmiernie potężnej, bestia z zapomnianego świata. Cień, który widzieliśmy, musiał być tylko jej niewielką częścią.

Po drugiej stronie jaskini widniało pęknięcie na stropie. Trzy ramiona równej długości, doskonałe w swojej symetrii, niedoskonałe w swojej istocie. Idealne odbicie rozdarcia na niebie wysoko nad nami. Zniszczenia wniknęły w lód. Snop łagodniejszego białego światła pośród błękitu zstępował na lodową posadzkę, gdzie napotykał kolejne pęknięcia, lustrzane odbicie szczelin w górze. A w tym świetle stała jakaś postać.

– Widzisz ją? – wyszeptałem. Moje serce w piersi chciało rozpaść się na kawałki.

– Nikogo nie widzę – odrzekła Valiya.

To była, a zarazem nie była Elizabeth. Miała taką samą drobną i wątłą posturę, a na jej twarzy widniały blizny, które ją stworzyły. Ale zarazem się zmieniła. Nosila w sobie surowość, miała puste i białe oczy, a wyprostowana sylwetka już nie świadczyła o determinacji i stanowczości, ale o czymś chłodniejszym. Elizabeth nigdy nie brakowało pewności siebie, ale nie była arogancka. Tymczasem taką arogancję widziałem tylko u garstki nieśmiertelnych.

Jej włosy były ogniem, jaskrawą kaskadą opadającą na ramiona.

– Ryhalcie – powiedziała, chociaż jej usta się nie poruszyły. Popatrzyła prosto na mnie. Kolana niemal się pode mną ugięły. Moc tego słowa była większa niż siła uderzenia o dno szybu, a skażenie w moim wnętrzu wzburzyło się jak rój szerszeni.

– Co widzisz? – spytała Valiya.

– Jesteś Ryhaltem, którego pamiętam. – Głos Elizabeth odbił się echem w moim umyśle, a ja poczułem, jak jej słowa płyną do mnie na fali magii rozbitego świata. Rozdarcie zbliżyło do siebie wszystkie światy.

– To naprawdę ty? – spytałem.

– Nie jest postanowione, co jest prawdą, a co nią nie jest – odrzekł głos. – Czekałam na ciebie.

– Elizabeth – powiedziałem, a z moich ust wydobył się tylko jęk. Głowa płonącej postaci lekko się obróciła.

– Jestem nikim – odparła. – Ale pamiętam to imię.

Zadrżałem.

– Jesteś Elizabeth Tanzą – powiedziałem.

– Część mnie nią była. Dawno temu. Ale ona już odeszła. Powiedziała mi, żebym na ciebie czekała. Od bardzo dawna przebywam w świetle i utraciłam dużą część tego, kim byłam, ale ciebie pamiętam.

Zamknąłem oczy, ponieważ nie chciałem jej widzieć. Nie chciałem słyszeć okropnych rzeczy, które mówiła. Rzeczy, które czułem, gdy coraz bardziej oddalała się ode mnie i zanurzała w świetle. Gdy z upływem lat słabła i zacierała się w mojej pamięci.

– Obiecałem, że ją ocalę – powiedziałem.

– Nie pamiętam – odezwała się zjawą cicho do moich myśli. – Noc jest ciemna. Nadchodzi czas. Mrok gęstnieje z każdym dniem. Odeszłam, ale wciąż tutaj jestem. Musisz poznać prawdę o tym, co się tu wydarzyło.

– Opowiedz mi – poprosiłem.

– Nie pamiętam – odrzekła. – Ale niebo pamięta. Zapytaj nieba, co się ze mną stało.

– To wszystko nie może być po nic – warknąłem. – Wszystko, co zrobiłem. Wszystko, czym się stałem. Lata planowania. To wszystko nie może być po nic.

– Nie jest postanowione, co jest prawdą, a co nią nie jest – powtórzyła. – Jestem znużona. Część mnie, która pamięta, cieszy się z naszego ponownego spotkania.

– Elizabeth...

Postać migotała w milczącym płomieniu. Patrzyła na mnie bez emocji, bez troski. Wróciły do mnie słowa Nalla. „Rozumiesz, że człowieczeństwo jest kluczem, prawda?”. Ale tutaj nie było już żadnego człowieczeństwa. Elizabeth przeszła przez ogień z jednego

istnienia w kolejne, które nią zawładnęło. Dziesięć lat w świetle, w płomieniach. Już nie była moją Elizabeth. Ale w końcu wszyscy się zmieniliśmy i ja także już nie byłem mężczyzną, którego kochała chociaż przez chwilę w tamtych szaleńczych, krwawych dniach oblężenia.

Stała nieruchomo, skąpana w świetle bijącym z pękniętego nieba. Z pęknięcia będącego odbiciem nowego rozdarcia, które Wronia Stopa wykonał na niebie.

– Ryhalcie – odezwał się inny głos, tym razem należący do prawdziwej kobiety. Valiyi.

Potrząsnąłem głową i poczułem, jak coś się ode mnie oddziela. Zerwałem połączenie z innym światem. Elizabeth pozostała, ale już nie patrzyła na mnie, tylko na cień w lodzie.

– Wszystko w porządku? – Valiya położyła dłoń na mojej ręce, ale ją strąciłem. Nic nie było w porządku. Już nigdy nie będzie.

– Ruszają – odezwał się Silpur.

# 18

– Zabij dwóch – powiedział Silpur. Następnie bezgłośnie podreptał w głąb jaskini i szybko podszedł do jednej z potężnych rzeźbionych kolumn, dzierżąc w obu dłoniach zakrzywione miecze. Nie miałem czasu go powstrzymać i uzgodnić jakiś plan. Nawet gdybym próbował, i tak by się tym nie przejął.

– Nie możesz walczyć z tyloma wrogami – powiedziała Valiya.

– Przetrwiałem upadek w głąb szybu – odrzekłem, ale czułem, że ogarnia mnie zmęczenie, a trucizna Nieszczęścia pulsuje w moim ciele.

– W takim stanie nie powinieneś walczyć – dodała. Podwinęła rękaw i przywołała kilka tabel oraz wykresów, wśród których pysznił się anatomiczny rysunek człowieka rodem z uniwersyteckiego podręcznika. – Ledwie trzymasz się na nogach.

– Amaira jest tam uwięziona – odrzekłem. – Nie mam wyboru.

Na chwilę zamknąłem oczy, szukając energii unoszącej się w powietrzu. Starłem się wciągnąć ją do płuc, żeby odzyskać chociaż część tego, co Nieszczęście mi odebrało, gdy mnie ocaliło. Skupiłem się na niesprawnej nodze i poleciłem, żeby przypomniiała sobie, jak powinna działać.

Dwaj naprawieni uzbroili rusznice, a w nieruchomym powietrzu wzniosły się smugi dymu. Ostrożnie podeszli do otworu. Szamanka trzymała się daleko z tyłu; jej bulwiasta głowa wydawała się nienaturalnie ciężka na smukłej szyi. Z pewnością była przywódczynią. Niewiele wiedziałem o wiedźmach szamankach ludu Karnari. Spędziłem pośród nich mało czasu i stwierdziłem, że te dzikusy wolą własne tradycje od cywilizacji. Wciąż zjadali swoich zmarłych. Ale ta kobieta była niebezpieczna. Mężczyźni z bronią palną w pogotowiu zajrzeli do dziury, a potem jeden z nich opadł na

kolana i wpełzł do środka. Zniknął w ciemności, pozostawiając za sobą czerwony ślad, gdyż krwawił z oczu.

Tunel rozświetliła eksplozja. Naprawiony wypadł z niego, wydając z siebie zwierzęce odgłosy. Jego ubranie i włosy dymiły, a twarz była czerwona i poparzona, ale zdołał się pozbierać. Czułem w powietrzu woń fosu, ale ten wybuch był słaby jak na standardy Przędzarza. Szamanka wykrzyknęła jakiś rozkaz głębokim i szorstkim głosem, a wtedy drugi z mężczyzn ruszył w stronę otworu.

Amaira i Vasilov tam byli, a Vasilovowi kończył się fos. Gdyby miał go więcej, zadałby śmiertelny cios, tak jak przeciwko ludziom, których zwłoki mijaliśmy. Jak najciszej pokuśtykałem do najbliższej kolumny. Po raz ostatni obejrzałem się na Valię, a ona pokiwała głową.

W dziurze coś mignęło i w jaskini odbił się echem trzask wystrzału z rusznicy. Szamanka zatrzepotała rękami i wydała rozkazy, a jej ludzie wyjęli ładunki z prochem oraz wyciory i zaczęli ładować broń. Wyczuła słabość. Posyłała ich, żeby wykończyli ofiary.

Silpur ruszył do akcji, zanim zdążyłem się przygotować. Wszedł zza kolumny, cichy jak duch, a jego miecz gwałtownie wyłonił się z piersi zaskoczonego człowieka. Mężczyzna popatrzył w dół na zakrwawioną stal, która go przebiła, a następnie spróbował ją chwycić, gdy wysuwała się z jego ciała. Silpur zbliżył się do kolejnego przeciwnika. Nie szarżował, tylko spokojnie szedł. Najbliższy z wrogów zamachnął się rusznicą jak pałką, ale jemu również się nie poszczęściło i po chwili runął na posadzkę, krwawiąc z przedziurawionego gardła i rozplątanej pachwiny. Silpur atakował bez emocji, krążąc nieśpiesznie między mężczyznami i wyprowadzając druzgocąco błyskawiczne ciosy.

Nie dorównywałem mu finezją. Uniosłem miecz na wysokość ramienia i zaszarżowałem.

Nie była to zbyt imponująca szarża. Jaskrawe migotanie nieba nad Nieszczęściem przeszło mój umysł i świat się zakołysał. Ugięły się pode mną nogi i runąłem na kolana, klnąc pod nosem, gdy migoczące rozbłyski odebrały mi wzrok.

Nie teraz, nie teraz!

Ludzie obrócili się, zobaczyli mnie, porzucili na wpół naładowane rusznice i dobyli ostrzy. Z trudem wstałem; nogi przeszywały mi eksplozje bólu. Naprawieni ostrożnie się zbliżyli. Mimo że byłem poturbowany niemal na śmierć, z płonącymi oczami i obnażonymi zębami wciąż wyglądałem jak istota rodem z drugiego piekła. Moja dziwaczna powierzchowność zatrzymała ich tylko na chwilę; mieli przewagę liczebną i natychmiast trzech z nich mnie okrążyło.

Przyjąłem postawę obronną i zacząłem się wycofywać. To tyle, jeśli chodzi o moją szarżę.

Silpur powalił kolejnych dwóch mężczyzn, ale napierali na niego wojownicy z bagnetami na rusznicach, a dwóch takich ludzi może bez trudu stawić czoło nawet najlepszemu szermierzowi. Wściekle wykrzywiłem usta. Ten pieprzony arogancki gnój nas zabił. Szamanka trzymała nóż i wodziła ostrzem tam i z powrotem po swojej dłoni, znacząc ją płytkimi rozcięciami. Rozsmarowała krew po twarzy i zaczęła śpiewać.

Nie miałem czasu słuchać jej pieśni. Pierwszy z mężczyzn natarł i zamachnął się na moje dłonie, które stanowiły jedyny odsłonięty cel. Gwałtownie cofnąłem ręce i odwzajemniłem się takim samym ciosem, ale zrobiłem za krótki krok i wróg zdołał uciec. Ruszył na mnie kolejny z przeciwników, a kiedy ciął od góry, potężnie sparowałem i odbiłem jego ostrze w bok. Drżące światła w mojej głowie zmieniły kierunek i poczułem nagły przypływ energii. Przeciwnik nie był gotowy ani na moje pchnięcie, ani na śmierć, a jednak musiał je przyjąć.

Zadając cios, sam wystawiłem się na atak. Jeden z wrogów natychmiast zamachnął się na mnie mieczem, a ja rozpaczliwie zasłoniłem głowę ręką. Grube futro łosia powstrzymało siłę uderzenia, ale nie całkowicie. Kawałek ostrza się przedostał. Nie poczułem bólu, bitewny szal na to nie pozwolił, a napastnik musiał się cofnąć poza zasięg mojego dłuższego miecza. Skaleczenie prawie nie krwawiło, a to, co pociekło z mojego rękawa, było gęste, parujące i czarne. Oszłomienie minęło. Energia, która przeze mnie przepływała, była ciepła. Roześmiana.

Dalej, dalej, naprzód. Nie mogłem się zatrzymać, żeby nie dawać im przestrzeni. Musiałem ich okrążyć, zmusić do stłoczenia się, w nadziei, że któryś z nich się potknie.

Szamanka robiła coraz więcej hałasu; z głębi jej krtani wydobywał się falujący dźwięk. Powietrze gęstniało, gdy promieniowała prymitywną, pulsującą magią. Skażenie w moim wnętrzu buntowało się przeciwko tym czarom, ale tylko nieznacznie. Nie były skierowane przeciwko mnie. Kobieta uznała, że jestem mniej groźny, i zaatakowała Silpura.

Myliłem się co do bagnetów. Silpur jakimś cudem minął jeden z nich i odrąbał wrogowi rękę, a teraz sparował w dół pchnięcie bagnetem i wbił mężczyźnie miecz w głowę. Swobodny, skuteczny, wyborny pokaz szermierki. Ale szamanka miała go na oku i tkąła wokół niego swoją plemienną magię, spluwając krwią przez szparę między zębami. Silpur spróbował na nią zaszarżować, ale zatoczył się i upadł, gdy zawiodły go nogi. Popatrzył na nie ze zdziwieniem, zastanawiając się, dlaczego przestały działać, a potem podniósł wzrok na szamanę. Mężczyzna, któremu odrąbał rękę, dźwigał się z ziemi i dobywał zza pasa ciężki sztylet. Z oczy płynęły mu krwawe łzy.

Kolejny zamach mieczem znów zmusił moich przeciwników do cofnięcia się, ale wywijając bronią, pozbawiałem swoje wyczerpane mięśnie resztek sił. Jeden z mężczyzn zamarkował atak, a ja zakręciłem mieczem w powietrzu, żeby go odpędzić, co wiele mnie kosztowało. Ostrze przestało się obracać i jego czubek opadł ku ziemi. Ciężko dyszałem i uginały się przede mną nogi.

Z otworu w lodzie wypadła Amaira. Ciemnoskóra, z włosami jak noc i wyższa, niż pamiętałem, popędziła w stronę mężczyzn, którzy grozili mi ostrzami. Zaatakowała nisko, w ciągu kilku chwil rozprawiając się z pierwszym przeciwnikiem. Odbiła jego miecz tarczą i cięła go raz, drugi, trzeci, po czym odwróciła się ku ostatniemu wrogowi. Przywołałem resztki sił i spróbowałem przerąbać go na pół, ale zdołał sparować moje uderzenie. Amaira skwapliwie wykorzystała okazję i wbiła mu miecz w plecy. Runął na ziemię w milczeniu.

Silpur jakimś sposobem wstał, a reszta naprawionych leżała na posadzce. Rozległo się kilka ostatnich westchnień umierających, a potem było po wszystkim. Ten blady, zielonooki gnojek jakimś cudem wykończył sześciu uzbrojonych mężczyzn. Wypuściłem miecz z dłoni i opadłem na kolana.

Kiedyś Amaira rzuciłaby mi się w ramiona, ale już nie była dzieckiem. Kobieta, która stała przede mną, była kimś innym. Wciąż miała smukłą sylwetkę, kanciaste policzki i nos, który zdradzał jej pochodzenie, ale jej oczy mówiły wszystko. Zostawiłem dziecko, a wróciłem do kobiety. I to śmiertelnie niebezpiecznej. Sprawdziła, czy nie jestem ranny.

– W samą porę, panie kapitanie – odezwała się z lekkim uśmiechem. Być może nie zmieniła się aż tak bardzo, jak się obawiałem.

– No nie wiem, raczej się nie śpieszyłaś – odparłem.

– Racja – przyznała. – Ale oczywiście chodziło mi o pana. Dziękuję.  
– Uśmiech zniknął z jej twarzy. – Postrzelili Vasilova.

Obejrzała się na Valię, a na jej obliczu zagościł smutek, który nie pasował do jej młodego wieku. Pośpiesznie wróciła do tunelu, podczas gdy ja przyjrzałem się Silpurowi. Był pokryty krwią, ale nie własną. Zwróciłem się w stronę szamanki Karnari. W jej plecach tkwił nóż. Mój nóż. Valiya opierała się o jedną z kolumn i uparcie usiłowała wytrzeć krew z dłoni o futro.

– Wszystko w porządku – powiedziałem. – Dobra robota.

Pokręciła głową ze zmartwioną miną. Zapewne po raz pierwszy kogoś skrzywdziła. Świadomość, że musiała to zrobić, niczego nie zmieniała. Przykucnąłem przy ciele szamanki i wcale się nie zdziwiłem, gdy powoli otworzyła oczy; w ich kącikach zebrały się krople krwi. Nie patrzyła na mnie zwykła kobieta.

– Przybliżasz dzień własnej zagłady. – Syczący głos wydobywał się spomiędzy nieruchomych warg. To Saravor przemawiał przez zmarłą.

– Wygląda na to, że wygrywamy – odparłem.

– Rozejrzyj się. Popatrz na pęknięcia w świecie – wyszeptały zwłoki. – Czy to przypomina zwycięstwo? Co się stanie, jeśli Wronia



Stopa naładuje broń i użyje jej wobec Nieszczęścia? Jak daleko się posunie, by nie przegrać?

– A więc stałeś się altruistą? Walczysz, żeby nas ocalić? – parsknąłem. – Chyba rozumiesz, dlaczego mam wątpliwości.

– Cóż to za zwycięstwo zostać władcą popiołów? – syknął Saravor. – Niebo popękało. Czarny deszcz pogrąża świat w obłędzie. Zboża nie rosną, w mroku powstają potwory. Bezimienni walczą między sobą, wasza Jasna Pani traci cały blask, a Imperator Głębi nadchodzi ze Śpiącym na każde wezwanie. Naprawdę się upierasz, Galharrow, że wybrałeś właściwą stronę?

Popatrzyłem na dwie strużki krwi spływające po policzkach szamanki.

– Jestem po swojej własnej stronie – odparłem.

– Ten świat należał do szarych dzieci na długo, zanim pojawił się na nim twój rodzaj – westchnął Saravor. – One rozumieją cenę zdrady Wroniej Stopy. Poszukaj mnie, Galharrow, gdy księżycy ustawią się w jednej linii. Dzieci nie pozwolą, by kruk rozerwał świat tylko po to, żeby pozostać przy życiu jako ostatni ocalały, zanim niebo pęknie i zniszczy nas wszystkich.

Krew przestała płynąć, a źrenice uciekły do góry pod zamykającymi się powiekami.

– Po swojej własnej stronie – powtórzył Silpur.

Patrzył na mnie surowo i znacząco nieruchomymi zielonymi oczami. Dla niego istniała tylko wrona i nic więcej. Pozwoliłem mu się gapić.

\* \* \*

Kapitan Czarnoskrzydłych Vasilov służył wiernie. Rozpoczął pracę dla Wroniej Stopy mniej więcej w czasie oblężenia Valengradu i był wyjątkiem wśród sług Bezimiennych. Dobrze sobie radził w sytuacjach towarzyskich, podziwiali go i kochali żołnierze, nawet książęta i arystokraci nie mogli się oprzeć jego swobodnemu stylowi bycia i uroczemu uśmiewowi. Poza tym był Przędzarzem o znacznej mocy. Jego karnacja zdradzała, że był Fracańczykiem i zapewne nie

przyszedł na świat pod nazwiskiem Vasilov. Przez większość czasu pracował w miastach, skąd wypleniał sekciarzy oraz zaczątki legowisk Panien Młodych i gdzie jego maniery, urok osobisty i inteligencja mogły się najbardziej przydać. Był urodziwy, serdeczny i nieznośny. Nie zamierzał nikomu oddać miejsca w łożu honorowej.

Amaira pomogła mu wydostać się z tunelu, a Valiya sporządziła dla niego posłanie z przedmiotów, które wywlekła z plecaków naprawionych. Był zlany potem i miał dziurę w boku w miejscu, w którym kula z rusznicy przebiła go na wylot. Pomogłem kobietom wyciąć bandażę i opatrzyć obie rany, a Vasilov z ponurym spokojem znosił dotkliwy ból, chociaż obficie spływał potem. Widział w życiu wystarczająco wiele ran, by domyślać się prawdy. Wiedział, że już po nim.

– Nie sądziliśmy, że nadejdzie pomoc – odezwała się Amaira. – Nie mogliśmy marnować fosu na wysłanie dłuższej wiadomości. – Otarła pot z czoła Vasilova. Mówiła, żeby zająć czymś myśli. – Tkwiliśmy w tej dziurze niemal trzy dni. Drążąc tunel, prawie opróżniliśmy pojemniki z fosem. Mieliśmy paskudnego pecha. Próbowaliśmy odczytać wzory z fryzów, czekając, aż Wronia Stopa powie nam, jak wrócić do domu, gdy nagle zaatakowała nas tamta wiedźma ze swoimi ludźmi. Przygwoździli nas tutaj i nie mieliśmy dokąd uciekać.

– Jak się dostaliście na dół? – spytała Valiya.

Amaira podniosła na nią smutny wzrok. Zobaczyła, co się stało z oczami Valiyi, i nie potrafiła powstrzymać żalu. Ponownie popatrzyła na rany Vasilova, chociaż z pewnością nie stanowiły przyjemniejszego widoku.

– W komnacie nad nami znajdują się schody prowadzące na powierzchnię. – Wskazała drzwi po przeciwnej stronie jaskini.

– Dostaliście się tutaj przez Bramę Zmierzchu? – spytałem.

– Znasz jakąś inną drogę? Od innych żywych ludzi dzielą nas tysiąc mil i ocean. Słudzy Saravora zapewne też z niej skorzystali – dodała.

– Możemy znów jej użyć, gdy wyjdziemy na powierzchnię.

– Macie zwierzęta? – spytała Amaira. Kiedy pokręciłem głową, jej oblicze spochmurniało. – A zatem nie możemy.

– Powinnam spróbować pozszywać rany Vasilova – wtrąciła się Valiya.

Wymieniły spojrzenia z Amairą, a ta wzięła mnie za rękę.

– Chodź ze mną – poprosiła.

Przecieliśmy salę i zbliżyliśmy się do ducha Elizabeth, który stał nieruchomy i obojętny pod pęknięciem świata. Elizabeth nas nie zauważyła, najwyraźniej pochłonięta płomieniami, które przesuwały się w górę i w dół jej ręki.

– Widzisz ją? – spytała Amaira.

– Tak. Ty też?

– Oczywiście. Ale Vasilov nie. Nie wiem dlaczego. Może jej nie pamięta. Tylko tyle z niej pozostało, prawda? Wspomnienie. Jej czas dobiega końca. Kiedy objawiła się nam tamtego dnia w sali sądowej, wyglądała na taką silną.

– Inni też jej nie widzą, ale Valiyi raz się udało.

– Może sama tego nie chce. Nie wiem. Wciąż o niej śnisz?

– Czasami. Ale nie tak jak dawniej, a poza tym to tylko sny. Niegdyś prosiła mnie o pomoc. Sądzę, że już jej tam nie ma. Nie tak jak kiedyś.

Trudno było patrzeć na Elizabeth, a raczej na to, czym dawno temu była. Nie chciałem o niej rozmawiać. Amaira mnie objęła, a jej ręce przyniosły mi ciepło i pociechę, ale tylko przez chwilę.

– Cieszę się, że to ciebie posłał.

– Nie możemy wrócić przez Bramę Zmierzchu – odrzekłem.

– Możemy, jeśli znajdziemy jakąś ofiarę – odparła. – Bramy są zasilane przez umarłych. Coś musi wywabić Długich Ludzi. Rozejrzyj się. Widzisz tutaj coś żywego?

– Po co Wronia Stopa posłałby cię w podróż bez powrotu?

– Mieliśmy ze sobą zwierzęta – wyjaśniła Amaira – ale wpadły w szal i uciekły, kiedy Dłudzy Ludzie wyszli z kurhanów. Gdybym próbowała je utrzymać, pociągnęłyby mnie za sobą.

Duch Elizabeth stanął na palcach i leniwie się obrócił. Zagubiony i uwięziony pod łączącym światy pęknięciem w niebie. Na zawsze

albo do czasu, aż całkowicie zatrze się w pamięci.

– Mam nadzieję, że znaleźliście to, po co tutaj przyszliście – powiedziałem.

– Znaleźliśmy – odrzekła cicho Amaira. – Jest w skrzynce Vasilova. Opróżnił większość pojemników, które zabraliśmy, żeby wypalić dziurę w lodzie. Potem musieliśmy korzystać z siekiery. Ale przedostaliśmy się i odcięliśmy tyle, ile się dało.

– Co to jest?

– To co zawsze – odrzekła. – Skamieniałe serce lodowego potwora. Zawsze chodzi o serce, prawda? – Zadrżała. – Nie dotykaj go, panie kapitanie. Zobaczysz rzeczy, których nie chcesz oglądać. Obrazy z czasów, gdy ta istota chodziła po ziemi. Lepiej ich nie pamiętać.

– To właśnie jest broń Wroniej Stopy?

– Nie sama w sobie. To naczynie, podobnie jak Oko Shavady, które Saravor wykorzystywał do przechowywania magii duszy, tylko że ono było częścią jednego z Królów Głębi, a istota w lodzie... jest czymś więcej. Przypomina stwora, którego Królowie Głębi próbowali podnieść z dna oceanu. Przewyższa ich milion razy zdolnością pochłaniania magii. Królowie Głębi co prawda są nieśmiertelni, ale lodowy potwór to coś znacznie gorszego. Właśnie z powodu jego serca Bezimienni posyłają Davandein do Adrogorska. Uważają, że zdołają go tam użyć. Nasz pan nie zdradził, w jaki sposób.

– Nie podoba mi się to, do czego to wszystko zmierza – odrzekłem. Amaira miała podobne zdanie.

Po drugiej stronie komnaty rozległ się syk. Pośpiesznie wróciliśmy. Silpur podwinął rękaw, ukazując wytatuowanego na przedramieniu kruka. Ale takiego kruka jeszcze nigdy nie widziałem: stracił pióra, miał skrzydła jak nietoperz i wydłużony dziób.

– Opaska uciskowa! – zawołała Amaira, zdejmując pasek, ale Silpur powstrzymał ją gestem dłoni. Kruk pojawił się powoli: słaba, zabiedzona istota pozbawiona połowy piór, która z trudem się uwolniła. Stanowiłaby zaledwie okruch mocy Wroniej Stopy, gdyby ten jeszcze jakąś posiadał. Silpur nawet się nie skrzywił, gdy ptak wyrwał się spod jego skóry. Przemawiał tylko do Silpura, w języku,

którego nigdy nie słyszałem przez długie lata spędzone w Valengradzie, gdzie miesza się wszystkie kultury pod słońcem. Nigdy wcześniej nie widziałem, jak awatar mojego pana wydostaje się z ciała innej osoby. Zwyczajowa wściekłość Wroniej Stopy zgasła w krtani tej wątlej istoty. Patrzyliśmy, jak skurczone stworzenie wydaje polecenia. Nie było w nich gniewu, a Silpur spoglądał na ptaka niewidzącymi oczami i o nic nie pytał, tylko od czasu do czasu kiwał głową, by pokazać, że rozumie. Kiedy wynędzniała istota przekazała wiadomość, upadła, a z jej wypalonych oczodołów uniósł się dym.

– Czas ruszać – rzekł Silpur.

– Jeszcze nie możemy przenieść Vasilova. Rana się otworzy. Jego stan uniemożliwia podróż – zaproponowała Valiya.

Zielone oczy Silpura sprawiały wrażenie mniej ludzkich od jej srebrzystych oczu.

– Czas ruszać.

# 19

Wciąż mieliśmy tuzin pytań domagających się odpowiedzi, ale uznaliśmy, że im szybciej się stąd wyniesiemy, tym lepiej. Zgadywałem, jak brzmiała wiadomość od Wroniej Stopy. Nie musiałem pytać Silpura. Wystarczyło podążyć za tokiem rozumowania Wroniej Stopy i zastanowić się, co najbardziej odpowiadałoby jego potrzebom. Znałem swojego pana jeszcze lepiej niż siebie. To niepokojąca myśl, ale pomimo swojej potencjalnie ogromnej potęgi Wronia Stopa działał prosto. Zabierać wszystko, niczego nie dawać. Wygrywać za wszelką cenę, odrzucać kompromisy. Jeśli chciałem poznać jego myśli, wystarczyło przyjrzeć się ptasim padlinożercom.

Ale nie mogłem patrzeć na Vasilova. Był ranny. Słaby.

Bezużyteczny.

Potrzebowałem odpoczynku, a Silpur dał nam godzinę. W ogóle nie pomagał przy Vasilovie, tylko siedział na plecaku jednego z naprawionych i patrzył przed siebie z dłońmi na kolanach. Nieruchomy jak posąg. Ciekawe, od jak dawna służył Wroniej Stopy. Ilu ludzi zabił, ilu misji się podjął w ramach niekończącej się wojny mojego pana? Wypełniał jego żądania bez zastanowienia. Nie obchodziły go ich skutki. Według archiwów Czarnoskrzydłych kapitan Narada przetransportowała Serce Pustki do miejsca, które miało się stać Bezkresnym Brakiem, centrum Nieszczęścia. Zapewne wiedziała, co robi, i podejrzewała, ile istnień broń Wroniej Stopy unicestwi. Zastanawiałem się, czy była taka sama jak Silpur, oschła i pozbawiona emocji jak kamień, czy może żałowała swojego czynu. Pewnie układ, który zawarła, był na tyle ważny, że zdołała tego dokonać. Albo po prostu była słaba.

W Silpurze nie było słabości.

Godzina minęła pośród stęknień, niewygody i bólu. Skaleczenie na mojej ręce przyciągnęło do siebie drobinki niebieskiego światła i zagoiło się, zanim zdążyłem mu się przyjrzeć. Obserwowałem podobiznę Elizabeth i ponownie próbowałem z nią porozmawiać, ale już nie zwracała na mnie uwagi. Wiele lat temu obiecałem, że uwolnię ją ze światła, nawet gdyby miało mi to zająć sto lat. Kiedy teraz na nią patrzyłem, nadszarpniętą przez ból, czas i rozdarcie między naszymi światami, zastanawiałem się, czy los także w tej kwestii uczyni mnie kłamcą.

– Tak długo żyłem bez ciebie – odezwałem się cicho. – Niedługo znów się zobaczymy, kiedy to będzie miało jakieś znaczenie. – Zasalutowałem jej, ale była zbyt zajęta obserwowaniem płomieni przeciekających jej między palcami.

Zostawiłem ją. Byłem tu dla niej bezużyteczny, tak jak ona dla mnie.

– Czas ruszać – rzekł Silpur.

Czułem się nieco lepiej, z pewnością nie byłem w pełni sił, ale bez trudu mogłem chodzić, a nawet pomogłem Amairze w podźwignięciu Vasilowa. Nie był w stanie swobodnie iść, a czekała nas długa droga, zwłaszcza dla poważnie ранego człowieka. Amaira poprowadziła nas w stronę schodów.

– Wyglądasz do dupy, Ryhalcie – powiedziała. – Początkowo w ogóle cię nie rozpoznałam. Wyglądasz też młodziej. Młodo i do dupy.

– Wyrażaj się – mruknąłem.

Posłała mi typowe dla siebie dzikie i zuchwałe spojrzenie, jakby chciała powiedzieć „złap mnie, jeśli potrafisz”, ale obecnie było w nim więcej głębi, ponieważ wierzyła, że nie potrafiłbym jej złapać, a jej dzikość była wyborem, nie brakiem dobrego wychowania. Niewątpliwie zwracała na siebie uwagę mężczyzn, ale jednocześnie była silna, surowa i niepokorna. Sprytna, wytrzymała i potężna; byłem dumny z tego, kim się stała, chociaż tylko w niewielkim stopniu odpowiadałem za jej ukształtowanie.

Przeszliśmy do kolejnej komnaty, już nie zwracając uwagi na lodowe rzeźby dawnych ludów. Czułem obecność potwora w lodzie,

martwego, ale wciąż kipiącego starą, straszliwą magią. Chciałem jak najszybciej się od niego oddalić. Silpur niósł skrzynkę z kawałkiem jego serca. Szedł przodem i często zostawiał nas w tyle, podczas gdy Vasilov krzywił się z bólu. Postrzał go nie zabił, ale sprawy nie wyglądały najlepiej.

Wszyscy wiedzieliśmy. Nie musieliśmy tego mówić, ale wiedzieliśmy.

Byłoby łatwiej, gdyby Wronia Stopa zdradził, że aby dostać się do jaskini, wcale nie musiałem spaść z wysokości prawie stu stóp i przeżyć tylko dzięki wieloletniemu karmieniu się magią. Niestety, ale czarownicy to dupki. Zostawiliśmy u podnóża schodów wszystko, co nie było nam potrzebne. Przenośny komunikator, który zabrała Amaira, był warty małą fortunę, ale musiał dołączyć do mieczy, pustych pojemników po fosie i innych rupieci, które nie były nam niezbędne podczas wspinaczki. Wszyscy byliśmy wycieńczeni, tylko Silpur sprawiał wrażenie wypoczętego. Nie odłożył swoich mieczy i wydawało się, że jest tak samo pełen energii jak wtedy, gdy zjechał po linie. Nieprzejednany, stanowczy, nieczuły.

– Możesz otworzyć Bramę Zmierzchu? – spytałem go.

– Brama się otworzy – odrzekł. Zupełnie jakbym pytał o pogodę. Jakby to było nieistotne.

Schody wznosiły się spiralnie coraz wyżej i wyżej, a Vasilov z każdym krokiem mocno zaciskał zęby. Bywałem tak ciężko ranny jak on, a nawet ciężiej, więc rozumiałem, co przeżywa. Biedny drań. To niesprawiedliwe.

– W Valengradzie znajdziemy ci najlepszego chirurga – obiecałem.

– Będziesz miał bliźniacze blizny, z przodu i z tyłu.

Próbował się uśmiechnąć, ale tylko stęknął i mocno zacisnął powieki.

Oczywiście kłamałem. Wszyscy wiedzieliśmy, że kłamię. Nawet gdyby się nie wykrwawił, nawet gdyby jakimś cudem ołowiany pocisk nie rozpruł mu wnętrzości, z pewnością nie miał szansy wrócić do domu. Amaira i ja dźwigaliśmy brzemie znacznie cięższe od jego ciała i on także zdawał sobie z tego sprawę.



Coraz wyżej, wyżej i wyżej. Istoty, które wycięły te schody, zrobiły to równo i precyzyjnie, tak że każdy stopień był identyczny. To było dla nich święte miejsce, grobowiec potężnego i straszliwego wroga. Niszczyciela. Lodowego potwora. Słyszałem opowieści – absurdalne i bezsensowne – o węzłach świata, gadach wielkości zamków, które podobno podtrzymują magię świata, bezustannie zataczając kręgi na jakimś dalekim zamorskim lądzie, do którego nikt nie dotarł, choć niektórzy przechwalają się, że tego dokonali. Może to prawda. Jeśli tak, chciałbym któregoś zobaczyć.

Chociaż biorąc pod uwagę, jakie wrażenie zrobiła na mnie obecność potwora w lodzie, może lepiej nie.

W końcu schody się skończyły. Moje nogi głośno się skarżyły, dawna rana od włóczni przeszywała kość ukłuciami bólu. Wejście przesłaniała bryła pękniętego lodu i musieliśmy się na nią wspierać, ale potem wyszliśmy na mroźny wiatr. Widziałem epicentrum pod pęknięciem na niebie, widziałem Bramę Zmierzchu oddaloną o pół mili, ciemną plamę kamienia odznaczającą się na tle strzaskanych równin. Gdybyśmy wcześniej znali tę drogę, oszczędzilibyśmy sobie straszliwej przeprawy, a wszystko mogłoby pójść szybciej i łatwiej. Gdybyśmy dotarli na miejsce wcześniej, Vasilov być może teraz nie musiałby przytrzymywać wnętrzości w brzuchu podartymi szmatami. To był nasz cel i nasza jedyna możliwość, ale z ciężkim sercem myślałem o tym, co musimy zrobić.

Silpur szedł przodem, więc sami nieśliśmy Vasilova przez resztę drogi. Lód był tutaj mniej popękany, ale wędrówka i tak nie należała do najłatwiejszych. Ślizgając się, w końcu dotarliśmy do martwego muła. Kiedy zbliżyliśmy się do kamiennej platformy, puściłem Vasilova i podszedłem do Valiyi. Sprawiała wrażenie wyczerpanej, ale podejrzewałem, że ja wyglądam dużo gorzej. Im bardziej oddalaliśmy się od niebieskiego światła, tym słabiej się czułem. Objąłem Valiyę ramieniem, nachyliłem się i wyszeptalem jej do ucha:

- Nie mieszaj się w to.
- Musimy dotrzeć do domu – odpowiedziała, szcękając zębami.
- Zrobimy to – odrzekłem. – Zostaw to mnie.

– Świat zbyt wiele od ciebie wymaga. A ty żądasz od niego jeszcze więcej. Kiedy to się skończy? Strata, ból – kiedy okaże się, że było warto?

– Nie wiem – przyznałem. – Powiem ci, kiedy tak się stanie. Ale w końcu się uda.

Weszliśmy na ciemny kamień Bramy Zmierzchu. Ptasie sylwetki spoglądały na nas spod pokrywającej go warstwy przejrzystego lodu. Brama Zmierzchu zawsze była paskudnym miejscem. Nawet kiedy po raz pierwszy odszukałem Wronią Stopę i w desperacji zaproponowałem mu zawarcie układu, brama napełniała mnie grozą. Teraz było jeszcze gorzej.

Śmierć. Magia pochodziła od Długich Ludzi Kurhanów, uwięzionych, rozwrzeszczanych, mściwych złych dusz, które sprawiały, że świat rozciągał się i nagiął, przenosząc nas od jednej bramy do drugiej. Platforma była sygnałem, rozgłaszała śmierć niczym hejnalista, przyzywając dusze. Za pierwszym razem próbowałem użyć królika, ale Długim Ludziom to się nie spodobało. Skuteczniejsze były konie, a w jednym z annałów wyczytałem, że jeszcze lepiej nadają się świnię. Być może dusza konia jest warta więcej od duszy królika. Dłudzy Ludzie najwyraźniej tak uważali. Kiedy odpowiadali, kiedy śmierć otaczała nas zewsząd, przechodziliśmy na drugą stronę. Śmierć nie zna granic. Wszędzie jest taka sama, więc wszystkie miejsca są dla niej jednym. Albo coś w tym rodzaju. Podczas każdej wcześniejszej podróży przezornie zabierałem ze sobą zwierzęta także na drogę powrotną. Ale muł już zdechł i nie miałem żadnej innej ofiary.

Vasilov z ulgą zwałił się na twardą platformę. Jego bandaże nasiąkły krwią, ciemna skóra poszarzała, a oczy błyszczały od rosnącej gorączki. Podniósł wzrok i popatrzył poza unoszące się w powietrzu bryły lodu na Rioque, który rozświetlał czerwonym blaskiem ciemniejące niebo. Nadchodził zmierzch – jak na zawołanie. Vasilov zmrużył oczy i zaczął czerpać moc. Nitki czerwonego światła ciągnęły się za jego palcami. Kiedyś widziałem, jak Elizabeth coś takiego robiła, ale podczas gdy ona ciągnęła dziesiątki nitek, zupełnie jakby rozczesywała włosy, Vasilowi

przychodziło to z wielkim trudem. Wciąż miałem przy sobie gogle Utalentowanych, których używałem do maskowania blasku swoich oczu, więc mu je wręczyłem. Podziękował mi z bolesnym grymasem i nieco przyspieszył.

– Przygotujcie się do drogi – odezwał się Silpur. Odwrócił się do nas plecami i popatrzył na pęknięcie na niebie.

Palce Vasilova świeciły, gdy wchłaniał fos. Mógł naładować swoje ciało odrobiną tej energii. Żaden człowiek nie wytrzymałby dużej dawki – właśnie dlatego używano pojemników – ale Vasilov zaczerpnął tyle, ile był w stanie. Tylko tracił czas, ale jeszcze sobie tego nie uświadamiał. Był poważnie ranny, zapewne umierający. Szkoda, ale nie było innego wyjścia. I tak by nie przeżył.

Vasilov dotknął rany, a pod jego palcami rozbłysnął fos. Westchnął i opadł na postument, ciężko dysząc z bólu. Zasklepił przebite ciało. Wyglądało na to, że niepotrzebnie przysparza sobie cierpienia. Zakażenie i tak niemal na pewno go zabije.

Nagle nowa myśl zawyła w moim wnętrzu jak lodowaty wicher między sterczącymi lodowymi taflami. Byłem głupcem. Wronia Stopa nigdy nie poświęciłby jednego ze swoich kapitanów, gdyby to nie było konieczne. Na pewno nie w tak łatwy sposób, nawet kogoś umierającego. Próbował wyciągnąć z nas każdą minutę służby. Amaira, Silpur, Vasilov i ja, wszyscy do niego należeliśmy, a on nie wyrzucał swoich narzędzi.

Jedynie Valiya do niego nie należała.

„Nie ufaj swojemu panu”.

Powoli wstałem i podszedłem do Valiyi. Mój chrapliwy, wypalony Nieszczęściem głos stał się jeszcze niższy niż zwykle.

– Co Wronia Stopa kazał ci zrobić? – warknąłem.

Silpur skrzyżował ze mną spojrzenia, a jego szeroko otwarte zielone oczy były równie martwe jak otaczający nas zmrożony świat.

– Czas ruszać – szepnął.

– Ruszamy wszyscy – spytałem – czy tylko jego ludzie?

Przeniosłem wzrok z Vasilova na Silpura.

– Daj mi skrzynkę.

– Rozlej krew – rzekł Silpur. Patrzył prosto na Valiyę. – Otwórz bramę.

Valiya i Amaira natychmiast zrozumiały. Amaira okręciła się i stanęła przed Valiyą, tak że oboje zasłaniaли ją przed Silpurem. Sądziłem, że mój miecz to tylko zbędny balast, ale, na duchy, właśnie go potrzebowałem. „Galharrow, ty głupku! Zmądrzej!”. Porzucenie miecza w żadnym wypadku nie jest dobrym pomysłem.

– Ktoś musi umrzeć – stwierdził Silpur. Jego syk był zimniejszy niż powietrze.

– Sądził, że to będę ja – rzekł Vasilov, opierając się na rękę. – Prawda, Galharrow?

Nie popatrzyłem na niego. Wciąż wpatrywałem się w Silpura i miecze przy jego pasie. Był szybszy od atakującego kota. Potrzebował tylko sekundy, by otworzyć bramę. Lodowaty wiatr świstał pośród popękane go lodu.

– Znajdziemy inny sposób – powiedziałem.

– Nie mamy czasu – odparł Vasilov. Zacerpnął kosmyk światła z powietrza. – Mamy serce potwora. Trzeba je dostarczyć agentowi Pani Fal w cytadeli. Acradius przygotowuje się do marszu na Valengrad od chwili, gdy złączył się ze Śpiącym. Musimy się dostać do Adrogoska i naładować broń. – Zakaszłał i chwycił się za bok, gdy targnął nim ból.

Niebo stęknęło, wydając żaloszny odgłos rozpacz y. Silpur wbił we mnie wzrok. Wiedziałem, że spróbuje otworzyć bramę. Zrobi cokolwiek, co będzie musiał. Taki już jest. Zastanawiałem się, czym różni się służba Silpura dla Wroniej Stopy od bezmyślnego posłuszeństwa robori wobec Królów Głębi.

– Dlaczego do Adrogoska?

– Serce potwora jest tylko naczyniem – odrzekł Vasilov. – Ale mogę je naładować, gdy księżyce ustawią się w jednej linii. Do potrójnego zaćmienia dojdzie nad ruinami Adrogoska. – Ból ponownie odebrał mu oddech. – Światło wielokrotnie się odbije, zwiększając swoją moc. Przez dziesięć sekund będę zdolny przekazać sercu więcej fosu, niż wszystkie fabryki w Dortmarku mogą wyprodukować przez

pięćset lat. Lodowy potwór był ucieleśnieniem czystego zniszczenia. Właśnie takiej broni Wronia Stopa potrzebuje.

– Raczej Bezimienni – poprawiła go Valiya.

– Wszyscy jej potrzebujemy – dodałem.

– Jedna osoba musi umrzeć – powiedział Silpur. – Brama musi się otworzyć. Rozkazy były jasne.

– Nic z tego – rzuciła Amaira. – Musi istnieć jakiś inny sposób. Nie możesz decydować za wszystkich tylko dlatego, że ptak wyszedł z twojej ręki.

– Jesteście kapitanami – odparł Silpur, marszcząc czoło. Był zaskoczony. Nie rozumiał.

Vasilov czerpał coraz więcej fosu z powietrza. Dyszał i wzdychał, a ja uświadomiłem sobie z przerażeniem, że nie tylko Silpur jest uzbrojony. Światło tańczyło wzdłuż palców Vasilova i płynęło jego żyłami, gdy moc ponownie go wypełniała, parując przez skórę. Chęć przeżycia jest potężna.

– Wymyślimy coś innego – powiedziałem. – Nie tkniesz Valiyi, a Vasilov i tak umrze, nawet jeśli nie zamierza tego, kurwa, przyznać. Wszyscy to widzieliśmy. Jesteśmy jego kapitanami. Musimy działać w jego imieniu, dopóki nie zacznie odzyskiwać mocy. Ale to nie znaczy, że mamy zabijać niewinnych, żeby zdobyć to, na czym nam zależy. Jeśli zaczniemy to robić, wszystko straci sens. Nie będzie czego ratować.

– Nigdy nie chodziło o to, by cokolwiek ratować, Galharrow – odparł Vasilov. Światło, które pochłaniał, dawało mu siłę, surową moc czerpaną z nieba. – Chodzi tylko o zwycięstwo.

– Nie za wszelką cenę.

– Za wszelką – odrzekł Silpur.

– Nie.

Silpur i Vasilov popatrzyli na mnie tak, jakbym właśnie nasrał na ich boga. Amaira się napięła. Na platformie nagle zrobiło się bardzo ciasno.

Silpur dobył miecza i zaszarżował. Poruszał się szybko, klucząc jak wąż, szukając sposobu, by nas ominąć. Był oddany swojej misji i skrupulatnie wypełniał rozkazy. Nie chciał zabić Amairy ani mnie,

ale to nie znaczyło, że nie może nas unieruchomić. Zakrzywione ostrze w jego dłoni migotało, kręcąc ósemki, przecinając powietrze jak wiatrak. Palce Valiyi kurczowo zacisnęły się na moim płaszczu.

Nie zamierzałem pozwolić, by ktokolwiek ją zabrał. Ani Wronia Stopa, ani nikt inny, ani jako broń, ani w żadnym innym celu. Przywołałem czarną moc Nieszczęścia, zmuszając ją do wypłynięcia na powierzchnię i próbując wpompować ją do swoich mięśni i skóry. Powitała mnie szumem zadowolenia. Naczynka krwionośne pękły, a przed oczami zatańczyły mi światła.

– Z drogi, Galharrow – wykrztusił Vasilov. Fos zakwitł na jego wyciągniętej dłoni ostrym, wąskim sztyletem światła.

Silpur zaatakował, a Amaira stawiała mu czoło. Była szybka, niemal tak szybka jak on, i chociaż mógł ją przebić, wstrzymał rękę. Miał zachować kapitanów przy życiu i nie mógł zlekceważyć tych rozkazów. Zupełnie jak jebany robot. Amaira skoczyła naprzód, chwyciła go za rękę, w której trzymał miecz, i spróbowała pociągnąć go na ziemię. Ale Silpur był twardy jak skała i korzystał z wielowiekowego doświadczenia. Wykręcił dłoń, obrócił się, a Amaira wrzasnęła, gdy unieruchomił jej rękę. Uderzył ją kolaniem w brzuch, ale go nie puściła. Zadał jeszcze kilka ciosów kolaniem, a potem skręcił jej nadgarstek i grzmotnął jej twarzą o kamień. Ale jednocześnie wypuścił z dłoni miecz i pochylił się, by go podnieść.

Jak głupek.

Obejrzałem się na Vasilova, który dostrzegł swoją szansę i posłał świetlisty sztylet w stronę Valiyi, której już nie osłaniało moje skażone Nieszczęściem ciało.

Gwałtownie wyciągnąłem rękę i chwyciłem w powietrzu płonący sztylet energii.

Nieszczęście sprzeciwiło się obcej magii, a ta szarpnęła się i skłębiła. Już nie przypominała idealnego ostrza, tylko wijącego się syczącego węża. Zdołałem ją utrzymać i nie mogła mnie sparzyć. Byłem potężniejszy od tej odrobiny czarów. Vasilov szerzej otworzył oczy; ci butni Przędzarze mają zbyt łatwe życie. Nic dziwnego, że są aroganccy jak arystokracja.

– Poddaj się! – ryknąłem, ale Vasilov przywołał kolejne, mniejsze ostrze.

Jego klatka piersiowa spływała potem. Walczył z całych sił. Ochronił Amairę. Dostał fatalne karty i miał dać się wykorzystać. Było mi go żal. Ale w niewybaczalny sposób przekroczył granicę. Spróbował trafić Valiyę kolejnym wyładowaniem fosu.

Cisnąłem światło z powrotem w jego stronę, a ono przebiło mu pierś. Krew trysnęła na kamień.

Wokół Bramy Zmierzchu rozpętała się lodowa zawierucha. Wznosiła się coraz wyżej, pochłaniając światło, podczas gdy krew Vasilova płynęła po rzeźbieniach, karmiąc kamień i przyzywając Długich Ludzi. Obróciłem się w stronę Silpura z mieczem w dłoni, ale on już schował broń. Valiya ukryła się za mną.

– Już nie czujesz żądzы krwi?! – zawołałem, przekrzykując ryk wiatru.

Silpur przeniósł wzrok ze mnie na Vasilova. Przędzarz już nie żył.

„Teraz to bez znaczenia” – odpowiedział bezgłośnie, tracąc zainteresowanie Valiyą. Dla niego to było aż tak proste. Otrzymał zadanie do wykonania i zrobił wszystko, co w jego mocy, by się z niego wywiązać. Nie miał do nikogo pretensji, nawet nie obejrzał się na Amairę, która chwiejnie się podnosiła. Popatrzył na chaotycznie wirujące kawałki lodu, za którymi zniknęły lodowe równiny oraz rozdarte niebo. W dali mignęły mi ludzkie sylwetki, które brnęły ku nam przez zamieć. Były tylko niematerialnymi lśnącymi kształtami, ale z ich głów sterczały do tyłu krótkie rogi.

– Ktoś musiał umrzeć! – zawołałem. – Valiya jest bardziej użyteczna dla Wroniej Stopy. Potrzebuję jej. Vasilov nie przeżyłby podróży. Rozumiesz to, prawda?

– Do czego jej potrzebujesz? – spytał Silpur.

„Nigdy nie radziłeś sobie z trudnymi sprawami” – wyszeptał do moich myśli jeden z Długich Ludzi.

– Ona dużo wie o rzeczach, które są dla nas przydatne. Czwórka kapitanów Czarnoskrzydłych nie wystarczy. Jeśli mamy wygrać tę wojnę i powstrzymać Królów Głębi przed zniszczeniem Łańcucha,

musimy działać razem. Nie dam rady pokonać ich samotnie. Ty też nie.

Silpur patrzył na mnie niewzruszonym wzrokiem.

– Vasilov należał do niego.

– Zgadza się. A teraz została nas trójka i musimy jak najlepiej służyć naszemu panu. Pogódźmy się. To była rozpaczliwa sytuacja, a ja się pomyliłem.

Wyciągnąłem do niego rękę. Pod moją miedzianą skórą przeskakiwały iskry światła i nitki czerni. Silpur przez chwilę się zastanawiał.

– Pomyliłeś się – przyznał.

– Zrobiłem to, co musiałem. Wronia Stopa jest panem i wiele wie. Ale nie patrzy naszymi oczami. Nie wie dokładnie, gdzie jesteśmy i co musimy zrobić. Wybrał nas, ponieważ uważa, że zdołamy wykonać zadanie. Vasilov odegrał swoją rolę. Stał się bezużyteczny. Silpurze, jestem żołnierzem, kapitanem i być może jestem słaby. Może nie jestem aż tak groźny jak ty ani tak młody jak Amaira, ale dobrze służę i nie brakuje mi lojalności.

„Nigdy nie dotrzymujesz obietnic” – wyszeptali Dłudzy Ludzie.

– Służ naszemu panu – odpowiedział Silpur. Chwycił mnie za nadgarstek i uścisnęliśmy sobie dłonie.

Nie puściłem go.

– Ale oprócz tego jestem też kłamcą – dodałem.

Odchyliłem się do tyłu, nie zwalniając uścisku. Był silny jak na mężczyznę swojej postury, ale dużo niższy i lżejszy ode mnie, i chociaż Wronia Stopa obdarował go mocą, Nieszczęście zmieniło mnie w coś wyjątkowego. Kiedy go obróciłem, rzucił się, ani na chwilę nie spuszczać ze mnie wzroku. Okręciłem się jak przy rzucie młotem, a jego stopy oderwały się od podłoża. Wbił paznokcie w moją rękę, ale moja skóra była śliska od potu, a siła odśrodkowa to nie żart. Z rykiem puściłem jego rękę.

Silpur spadł z platformy i zniknął w zamieci, zmieniając się w niewyraźny cień. Dłudzy Ludzie opadli go przy wtórze huczącego wiatru. Dobył miecza i zaczął nim wymachiwać na lewo i prawo,



gdy lśniące postaci się zbliżyły. Zapomniał o szermierczym kunszcie, tylko rozpaczliwie siekł lodową zawieruchę.

„Kochamy cię, dawco śmierci” – wyszeptali Dłudzy Ludzie. A potem ogarnęła nas ciemność.

## 20

Brama Zmierzchu wypłuła nas w ciszę, którą zakłócał tylko szelest drzew na wietrze. Policzyłem ocalałych. Ja, Valiya, Amaira. Tylko troje, ale wszyscy cali i zdrowi.

– Nic wam nie jest? – spytałem.

Valiya pokiwała głową, wyraźnie wstrząśnięta. Amaira posłała mi półuśmiech i zasalutowała dwoma palcami.

– Wszyscy w jednym kawałku – odrzekła. – Biedny Vasilov. Nie był złym człowiekiem.

– Nie – zgodziłem się. – Wykonywał swoje obowiązki.

– Ty chyba o swoich zapomniałeś. – Odegrała lot Silpura przy Bramie Zmierzchu.

– Nigdy – odparłem. – Wiem, co trzeba zrobić. Ale nie mam zamiaru w tym celu spalić świata.

Przez chwilę mi się przyglądała, a potem pokiwała głową i wyjęła ciężką czarną skrzynkę z martwych rąk Vasilova.

Zginęli kolejni dwaj kapitanowie Czarnoskrzydłych i tym razem z mojej ręki. Od tej myśli robiło mi się zimno. Świat nie będzie tęsknił za Silpurem, ale wyręczałem wrogów.

Wąwóz wyglądał inaczej. Od czasu, gdy wyruszyliśmy, minął ponad dzień – przynajmniej tutaj. Wykopano rzędy grobów i oznaczono patykami miejsce pochówku zmarłych. Naliczyłem dwadzieścia jeden. Po jednym dla każdego najemnika i kolejny dla Sang. Ciała martwych koni i mułów przeciągnięto na drugą stronę wąwozu i pozostawiono, żeby zgniły. Ptasi padlinożercy mieli ucztę.

– Ta istota wszystkich zabiła – powiedziałem.

W górze rozległ się trzask i odstrzelona rękojeść miecza wiszącego przy moim pasie zawirowała w powietrzu. Nie mieliśmy żadnej osłony, żadnej drogi ucieczki. W połowie wysokości zbocza siedziała

samotna postać z dymiącym pistoletem w jednej dłoni i długolufową bronią w drugiej. Ciemnowłosa mężczyzna, który sprowadził najemników, żeby zabić mnie we Wrózbogrodzie. North.

– Myślałem, że umiesz trafić nurkującego sokoła! – zawołałem. Nie było sensu uciekać. Uśmiechnął się; oczy ukrywał za przyciemnionymi szklami. Nagle dostałem napadu kaszlu, ale próbowałem nie spuszczać z niego wzroku, gdy zaczął ześlizgiwać się w naszą stronę.

– Sądzisz, że spudłowałem? Gdyby tak było, wyszedłby mi niezły rozbrajający strzał, co nie? – Celował we mnie z drugiej broni.

– Został mu tylko jeden pocisk – powiedziałem do Amairy, kiedy kaszel ustąpił. – Jest szybki jak błyskawica, ale możesz go dopaść.

– Nie da rady – odparł. Przy pasie miał drogi miecz i kolejne pistolety, a nam zostały tylko ciężka metalowa skrzynka oraz resztkę sił nadszarpniętych podczas wędrówki po lodowych płytach. – Gdybym chciał cię załatwić albo chociaż zranić, już bym to zrobił. Twardziel z ciebie, co nie? Masz serce potwora?

– Co o nim wiesz? – odburknęła Amaira.

– Nie tylko wy macie powiązania z tymi na górze – odrzekł, a na jego twarzy z wystającym podbródkiem pojawił się ironiczny uśmiech. Zatrzymał się kilka kroków od nas i schował pistolety za pas. Nie stały się przez to ani odrobinę mniej groźne. – Zapewne mam przyjemność z kapitan Amairą. A ty jesteś Winter. Miło was poznać. Nazywam się North. Macie mi towarzyszyć.

– Tym razem nie próbujesz mnie wykończyć? – spytałem.

– Cóż mogę powiedzieć? Złagodniałem. Pani Fal widziała w tobie zagrożenie dla Łańcucha. Nikt nie powinien włóczyć się tam i nasiąkać skażeniem ani pomagać szalonemu hrabiemu niszczyć fabryki fosu. Później się tobą zajmie, ale na razie Bezimienni chcą, żebyśmy razem pracowali. Zresztą wszyscy już mają w dupie Dantry'ego Tanzę, a marszałek Davandein byłaby wściekła, gdybym cię zabił.

„Nie ufaj Bezimiennym”.

– Jesteś jednym z kapitanów Pani Fal.

– Do twoich usług. No, niezupełnie. W każdym razie nie opuszczę cię na krok. Wiem, co tam macie. Mam cię odstawić do cytadeli.

– Moja ostatnia wizyta nie była przyjemna – odparłem.

– Domyślam się. – North się uśmiechnął. – Ale to nie jest prośba. Jeśli odmówisz pójścia po dobroci, przestrelę ci kolana i przyślę po ciebie ludzi. Marszałek uznała, że jednoosobowy komitet powitalny sprawdzi się lepiej niż kilkudziesięciu żołnierzy.

– Jeśli tam wrócisz, czeka cię łamanie kołem – odezwała się Valiya. Miała rację, chociaż nie wiedziałem, czy mają wystarczająco duże koło. Przetrwiałem już gorsze tarapaty.

– Wiele się zmieniło przez ostatni miesiąc. Pani już się nie przejmuje kilkoma wysadzonymi w powietrze fabrykami. Teraz liczy się Adrogorsk, a ty masz go znaleźć.

– Chce, żebym znalazł dla niej Adrogorsk?

– Mniej więcej.

– Niech wynajmie nawigatora.

– Nawigatorzy już próbowali – odrzekł North. – Nie potrafią odszukać miasta. Przemieściło się albo zniknęło. Ale ty mógłbyś je odnaleźć, prawda, Galharrow? Wronia Stopa chce, żebyś zaniósł tam serce potwora. Tak, Pani Fal niezwykle szczegółowo objaśniła mi plan Bezimiennych. Wszyscy jesteśmy po tej samej stronie. Zabawne, jak to się w życiu plecie, co nie?

– I to wszystko? Teraz mamy być przyjaciółmi? – odparłem.

North skłonił głowę.

– Przyjaciele to przesada. Ale na dobry początek cię nie zastrzelę. To co, ruszamy? Będziemy musieli podróżować pieszo, a zbliża się deszcz. Lepiej nie zmoknąć.

Naradziłem się z Valiyą i Amairą. North miał rację, że może nam przestrelić nogi i nie zdołamy go powstrzymać. Nie zamierzał dopuścić nas na tyle blisko, żebyśmy mogli zaatakować. A serce musiało zostać dostarczone. North był jednym z kapitanów Pani Fal. To czyniło go bezwzględny i kompetentny, ale może rzeczywiście był po naszej stronie.

– Bez pomocy cytadeli broń Wroniej Stopy jest bezużyteczna – zauważyła Valiya. – Jeśli ma powstrzymać króla Acradiusa,

będziemy potrzebowali Przędzarza.

– Nie tylko Przędzarza – dodała Amaira. – Vasilov mówił, że potrzebne będzie potężne wrzeciono, które wytrzyma nagły przypływ mocy. Soczewki w rodzaju tych, które zamontowano w Wielkiej Iglicy. Nie zdobędziemy tego wszystkiego bez pomocy Davandein. Potrzebujemy jej po naszej stronie.

– Naprawdę sądzisz, że zapomniała o Dantrym? – spytałem.

– Na pewno nie – odrzekła Valiya. – Ale to większa afera. Nie chodzi tylko o kilka zniszczonych fabryk. Mówimy o całym Łańcuchu. Marszałek skupia się na szerszej perspektywie, przynajmniej na razie.

– Chciałbym ufać decyzjom Davandein tak jak ty – odparłem. Ale widziałem, że nie mam wyboru.

\* \* \*

Nenn jechała obok nas, a przynajmniej sunęła w powietrzu, jakby siedziała na koniu. Nikt inny jej nie widział. Paplała o dodawaniu papryczek chilli do piwa i swoich planach zdobycia Gór Obsydianowych na północnym krańcu Nieszczęścia. Towarzyszyła mi dłużej niż dotychczas i z wyraźnym zadowoleniem trajkotała do siebie. Starąłem się ją ignorować i przyglądałem się czarnym żyłom pod swoją skórą. Stały się grubsze i twardsze od czasu upadku w głąb szybu. Przecinały całe moje dłonie i sięgały aż do paznokci. Byłem zmęczony. Tak cholernie zmęczony, że mógłbym przeleżeć w łóżku cały tydzień. Ponadto mój żołądek nie zapomniał o głodzie, więc co jakiś czas wyłączałem się z rozmowy.

North przekazywał nam najnowsze wieści. Trzymał się na dystans, żeby żadne z nas go nie zaskoczyło, ale byliśmy obdarci, pokryci otarciami i strupami oraz wycieńczeni. Wcale nie radziłem sobie lepiej od Valiyi, tylko Amaira dzięki swej młodości szła swobodnym krokiem. Dzieci są niezniszczalne, niewyczerpana energia pozwala im przeć naprzód niezależnie od okoliczności.

Robole zbudowali nową armię po swojej stronie Nieszczęścia i byli gotowi do wymarszu. Nasi zwiadowcy nie docierali tak daleko,

ale dowiedzieliśmy się o tym od Bezimiennych. Pani Fal wreszcie zbudziła się ze zwyczajowego uśpienia i przekazywała nam informacje. Wszyscy pokładali nadzieje w naładowaniu serca potwora w Adrogorsku, zanim Acradius zbliży się do Valengradu i wyeliminuje Maszynę Nalla. Prawdę ukrywano przed ludźmi, lecz North najwyraźniej zakładał, że jesteśmy równie dobrze poinformowani jak on. Moim zdaniem zbyt przypominało to sytuację z Sercem Pustki. Tamta ostateczna broń Wroniej Stopy strzaskała niebo i sprowadziła na świat Nieszczęście. Nikt nie był tym zachwycony i wolałem nie myśleć o tym, jak niebo zniesie kolejny taki cios i jakie będą skutki dla świata.

Kiedy zbliżaliśmy się do celu, coraz wyraźniej czułem Nieszczęście daleko za horyzontem. Nawoływało mnie. Jego obecność poruszała mój umysł, rozpływała się w czarnych żyłach pod skórą. Zachęcało mnie do powrotu, smuciło się, tęskniło. Byłem pionkiem, który zgubił się z planszy, a gra bez mojej obecności przestała być przyjemna. Nieszczęście było potężne, pełne obietnic, a jakaś część mnie chciała do niego wrócić i szukała jego bliskości. Obiecywało, że będę się dalej zmieniał i tego nie pożałuję.

Poza murami miasta stacjonowała armia. Davandein zwołała potężne siły. Jeszcze nigdy nie widziałem tylu ludzi w jednym obozie. Dobrze. Będziemy ich potrzebować.

Próbowałem przejrzeć Northa. Nie wspominał o tym, że usiłował mnie zabić i fatalnie potraktował moich bliskich. Zamierzałem zapytać, czy to on zabił Linette i Josafa, ale nie było sensu o tym rozmawiać: on nie miał powodu wyznać mi prawdy, a ja nie miałem możliwości jej z niego wyciągnąć. Niepokoiło mnie, że jest jednym z kapitanów Pani. Czy decyzja o ataku na mnie była jego wyborem, czy jej rozkazem? Kiedy mówił, był radosny, pewny siebie i odprężony. Ot, zwykły dzień w życiu kapitana. Rozważałem zabicie go, ponieważ wiedziałem, że pewnego dnia i tak będę musiał to zrobić, ale nie byłem w wystarczająco dobrej formie. Podczas powolnej podróży powrotnej do miasta każda część mojego ciała znalazła jakiś sposób, by dawać mi się we znaki.

– Czerwone gęsi – odezwał się North, kiedy miejskie mury pojawiły się w zasięgu wzroku.

Cegły wciąż były podziurawione i pokruszone po ostrzale artyleryjskim wojsk Davandein. Nad nami przeleciał klucz szkarłatnych ptaków. North wyciągnął pistolet, zmrużył oko i oddał głośny strzał. Jedna z gęsi oderwała się od stada i spadła, wirując. Nieprawdopodobny strzał, ale w końcu wszyscy byliśmy na swój sposób nieprawdopodobni, a ja już dawno przestałem się czemukolwiek dziwić. Może tylko się popisywał, a może to było ostrzeżenie.

Zatrzymaliśmy się przed bramą. North kazał strażnikom sprowadzić eskortę i wkrótce poprowadzono nas do cytadeli.

\* \* \*

Mówiąc najprościej, eskorta, którą po nas przysłano, wcale mi się nie spodobała.

Szesnaście potężnych, białych i twardych jak kość postaci w grubych czarnych szatach cicho nadeszło ulicą, wpatrując się w nas czerwonymi oczami. Wyglądało na to, że nie interesujemy ich bardziej od innych ludzi na ulicy. Mierzyli wzrokiem i oceniali wszystkich, jak kawałki mięsa na ruszcie ulicznego handlarza.

Na przedzie jechała konno Przędzarka Kanalina.

– A więc wróciłeś – powiedziała. – Nie spodziewałam się.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odrzekłem.

Kanalina popatrzyła na skrzynkę w dłoniach Amairy.

– To właśnie ono? – spytała z czią.

– Tak – potwierdziła Amaira.

– Jest takie małe.

– Spróbuj je trochę podźwigać – odparła Amaira.

Kanalina pokiwała głową.

– Kapitanie North, proszę je stąd zabrać. Pani ucieszy się, że dotarło bezpiecznie.

Nie mogliśmy się sprzeciwić. Amaira oderwała dłonie od zimnego ółowiu, a North z namaszczeniem przejął od niej skrzynkę, jak

gdyby otrzymał dar wiecznego życia, a nie zamarznęte serce koszmaru.

– Witamy z powrotem, kapitanie. A pani to Winter, jeśli się nie mylę. Marszałek już na was czeka. Chodźmy.

Ludzie usunęli się nam z drogi. Wszędzie byli żołnierze, nie tylko w czarnych mundurach cytadeli, ale także najemnicy w jaskrawych czerwieniach i żółciach, błękitach i zieleniach. Obóz znajdował się poza miastem, ale wielu rekrutów przedostało się za mury. Kiedy Davandein ostatnio zwołała armię, nie skończyło się to dla nas dobrze. Ludzie czmychali przed gigantycznymi wojownikami.

– Wszyscy już wyszli z jaj? – spytałem.

– Prawie. Jak dotąd siedemnastu i każdego dnia dołączają następni – odrzekła Kanalina. Nie sprawiała wrażenia zdenerwowanej w ich obecności. Może powinna. Bez problemu wykonywali jej rozkazy. Pierwszego chyba wśród nich nie było. Jeśli dobrze pamiętałem, był nieco większy, ale wszyscy wyglądali identycznie, nie licząc różnej wielkości rytualnych blizn na ostro zarysowanych policzkach i bezwłosych szczękach.

Na rogu ulicy jakiś mężczyzna przypinał plakat z podobizną przyjaciela, który zaginął przed dwoma dniami. Dostrzegłem też inne kartki z niechlujnie nakreślonymi podobiznami bliskich. Kiedy zobaczył nadchodzącą Marmurową Straż, pobladł i szybko się oddalił.

\* \* \*

Pozwolili nam się wykąpać i oczyścić przed wizytą u marszałek. Dla nas minął tylko dzień, ale Brama Zmierzchu ukradła więcej czasu. Nie mieli żadnego ubrania, które by na mnie pasowało, musiałem więc założyć swoje podarte ciuchy, wciąż naznaczone plamami potu i pozaciągane od lodu. Pomimo eskorty nie traktowano nas jak więźniów. Byliśmy gośćmi honorowymi. Mniej więcej. Przed drzwiami pokoju czekał służący z dwoma Kaczorami, osobistymi strażnikami Davandein. Odbudowała ich szeregi w latach po odzyskaniu władzy.



Wysłałem służącego po coś do jedzenia. Kiedy opróżniłem cały półmisek, wykrztusiłem trochę czarnego ścierwa, po czym poprosiłem o dokładkę. Kilka indyckich udek nie wystarczyło. Zjadłbym całe stado.

Amaira umyła się i dołączyła do mnie w salonie. Wyglądała całkiem dobrze, była jedynie niedożywiona i przydałaby jej się wizyta u fryzjera. Jej stare ubranie było w gorszym stanie niż moje, ale znaleźli dla niej spodnie od munduru, koszulę i dopasowaną bluzę. Wręczyli jej także przydziałowy miecz.

– Przykro mi z powodu Vasilova – powiedziałem, kiedy usiedliśmy przed kominkiem.

– Mnie też – odrzekła szczerze. – On i Linette byli w porządku. Mamy coraz mniej przyjaciół, Ryhalcie. – W jej oczach pojawił się dziki błysk. – Powinniśmy byli zabić Silpura.

– Być może. Jeśli ktokolwiek jest w stanie przetrwać starcie z Długimi Ludźmi, to właśnie on. Ale drań jest tam uwięziony. Więcej nie będzie nas niepokoił. Byłaś blisko z Vasilovem?

– Tkwiliśmy razem w tej dziurze przez prawie trzy dni – odrzekła Amaira. – Sprawiał wrażenie porządnego gościa jak na kapitana Czarnoskrzydłych. – Przyjrzała się krytycznie łuskowatym grudkom na moich policzkach, metalicznie połyskującej skórze i niegasnącemu blaskowi w oczach. – Przekroczyliśmy granicę, Ryhalcie.

– Trzeba było ją przekroczyć.

– Wronia Stopa dowie się, że stracił kolejnych dwóch kapitanów.

– Na pewno. Ale nie może na to nic poradzić. Widziałaś, co wyszło z ręki Silpura. Moc Wroniej Stopy jest zaburzona. Nic mu nie zostało. Cokolwiek się wydarzyło podczas Upadku Wron, wszystko stracił. Podobnie Nall. Pani Fal i Płytki Grób będą teraz grali pierwsze skrzypce. Wronia Stopa jest tylko szeptem.

– Jak Elizabeth – dodała Amaira.

– Nie jestem pewien, czy ona jest nawet czymś takim – odrzekłem.

Amaira wyczuła ból w moich słowach i usiadła obok, obejmując mnie ramieniem, tak jak kiedyś Nenn. Pomogłem wychować Amairę,

ale teraz była dorosła i bez słowa skargi toczyła własne bitwy. Wyrosła na silną kobietę. Mogłem być za to wdzięczny losowi.

– A więc – odezwała się, żeby zmienić temat, a w jej oczach pojawił się porozumiewawczy błysk, jakiego nie widywałem, gdy była dzieckiem – jakie to uczucie znów spotkać Valiyę?

– Zmieniła się.

– Oczywiście, że tak – odrzekła Amaira. – Wszyscy się zmieniliśmy, czyż nie? Nie o to pytam. Ładnie jej w srebrnych włosach, nie sądzisz?

Zmarszczyłem czoło, ale Amaira tylko się uśmiechnęła, zakrywając twarz dłonią, a ja poczerwieniałem, co zapewne wyglądało dziwacznie na mojej miedzianej skórze.

– Minęło tyle czasu – powiedziałem. – Cieszę się, że mamy ją po swojej stronie.

Zupełnie jakbyśmy ją przywołali, Valiya dołączyła do nas. Sprawiała wrażenie zmartwionej, co jest trudne dla kogoś, kto ma lustra zamiast oczu, ale łatwe dla kogoś, kto przeszedł to co my.

– Co się stało?

– Nie wiem – odrzekła. Podwinęła rękaw i powiodła palcami wzdłuż liczb. Agresywnie odsunęła je na bok i zaczęła wbijać paznokcie w ciało. Podszedłem do niej i chwyciłem ją za nadgarstek. Długie czerwone pręgi przecinały skórę pokrytą poruszającymi się, wirującymi i zmieniającymi się liczbami oraz liniami. – Już nad nimi nie panuję. Poruszają się za szybko. Nie mogę ich odczytać. Nie rozumiem ich. Nic już nie ma sensu. Na przykład to. – Dźgnęła palcem równanie, które zbiłoby z tropu wykładowców matematyki na uniwersytecie. – Nie zgadza się. Wynik jest niewłaściwy.

Posadziłem ją na krzesło.

– Świat chwieje się w posadach – powiedziałem. – Może to jest przyczyna.

Ale ona pokręciła głową i wbiła wzrok w liczby, które zlewały się ze sobą i rozplływały w nicość na jej skórze.

– Schowaj to – poprosiła łagodnie Amaira.

– Ale potrzebuję ich – odparła Valiya z rozpaczą. – Taki był układ. W ten sposób mogę pomóc. Nall powiedział mi, że muszę w tym

uczestniczyć, cokolwiek się wydarzy. Muszę doprowadzić to do końca. Podarował mi to jako moją broń. Tylko że wszystko się popsuło. Musi istnieć jakiś klucz. Sposób na wygraną.

Amaira opuściła jej rękaw.

– Wciąż jesteś sobą, niezależnie od tego, czy masz klucz – powiedziała spokojnie. – Wygramy. Oczywiście, że tak. Wtedy okaże się, że warto było.

Amaira i ja wymieniliśmy spojrzenia. Przychodził mi do głowy tylko jeden powód, dla którego dar Nalla zaczął słabnąć. Valiya z pewnością też o nim pomyślała. Musiała, jeśli była z samą sobą szczerą. Bezimienni nie popełniali błędów. Przynajmniej nieczęsto.

# 21

Duch, który nie był Nenn, ale myślał, że nią jest, dołączył do mnie podczas wspinaczki na dach. Marszałek Davandein lubiła spotykać się tam z ludźmi, ponieważ czuła, że ma wtedy cały świat u swoich stóp. Wzywała nas jedno po drugim, ja poszedłem ostatni. Stała samotnie na dachu, bez zwyczajowego tłumu asystentów. Wciąż ubierała się tak, jakby usiłowała wprowadzić nową modę: miała na sobie połączenie munduru z suknią balową.

– Mówili mi, że jest kiepsko – odezwała się. – Powinnam ci zaufać, skoro tak wyglądasz?

– Możesz mi zaufać albo nie, dla mnie to bez znaczenia – odparłem.

– Gurling Stracht wyglądał tak samo, ale dopiero po ponad czterdziestu latach w Nieszczęściu. Ty zrobiłeś to sobie rozmyślnie, prawda?

– Nie lubię liczyć na przypadek.

– Ale po co? Co cię opętało, żeby zrobić sobie coś takiego?

– Postanowiłem znaleźć własną drogę przetrwania wojny.

Davandein bawiła się jednym z licznych delikatnych, bezcennych pierścionków, które skrzyły się na jej palcach.

– Przebywasz tam od czasu, gdy zmiążdżyliśmy Jasny Zakon, i samotnie nawigujesz w Nieszczęściu. Cokolwiek sobie zrobiłeś, nauczyłeś się kilku nowych sztuczek. – Była dobrze poinformowana.

– Zamierzasz pomaszerować na Adrogorsk – odrzekłem.

Davandein była spokojna. Widywałem ją wściekłą, zdesperowaną, a także byłem świadkiem, jak podjęła fatalną decyzję, przez którą mnóstwo niewinnych ludzi straciło cały dobytek. Ale dzisiaj, w ośrodku swojej władzy, była chłodna i niewzruszona.

– Pani Fal nakazała to trzy tygodnie temu. Płytki Grób posłał Marmurową Straż, żeby nas wesprzeć.

Nie byłem przekonany, czy to dobra wiadomość.

– Rozmawiałaś osobiście z Panią?

Davandein wzięła głęboki oddech.

– Owszem. Teraz już rozumiem, Galharrow. Rozumiem, czym oni są, i wiem, że nie mamy wyboru. Pokazała mi przeblysłk tego, co sama widzi, wiedzy niesionej przez chmury, składanej do morza. Królowie Głębi zgromadzili nową armię wojowników. Nową rasę robotów, silniejszych i wytrzymalszych. Ściągnęli całe tysiące ze wszystkich zakątków imperium. Ale Acradius posiadał moc czegoś, co nazywają Śpiącym. Moc, z jaką jeszcze nie mieliśmy do czynienia.

Davandein odwróciła się w stronę blanków i oparła rękami o mur. Popatrzyła na pustkowia i kratery, które Maszyneria wybiła w ziemi, a które przypominały nam, jaka potęga musiała ich powstrzymać dziesięć lat temu.

– Maszyneria go nie zatrzyma.

– Pani uważa, że nie.

– Znam plan, który ci przekazała – odrzekłem. – Masz dostarczyć serce potwora do Adrogorska i naładować je mocą podczas zaćmienia. To śmiały ruch. Ale taka ilość fosu to problem. Paradoks odbicia sprawi, że nie będziemy mogli go użyć. Im więcej fosu wydajemy, tym odbicie jest silniejsze – tak działa Maszyneria Nalla. Więc do czego możemy wykorzystać tę energię?

– Nie możemy – odparła Davandein. – Ale Bezimienni mogą.

– Co z nią zrobią? – spytałem ze złością. – Zafundują nam kolejne Serce Pustki? Niebo jest strzaskane, a ludzie wariują od deszczu. Kurwa, nawet gęsi próbują nas pożreć. Co możemy zyskać przez ponowne uwolnienie takiej mocy?

– Przez te myśli długo nie mogłam zasnąć – odrzekła Davandein znużonym głosem. – Za każdym razem dochodzę do tego samego wniosku. Nie możemy wygrać bez Bezimiennych, a to jest ich rozgrywka. Bez nich nie sprzeciwiemy się Królowi Acradiusowi, Królom Głębi, którymi włada, ani Śpiącemu.

– Sądzisz, że to wystarczy? Wronia Stopa jest w czarnej dupie, Nall też, a pozostałej dwójce nie ufam.

– Będzie musiało wystarczyć! – odburknęła Davandein. – Nie porzucę Łańcucha. Nie ucieknę za morze i nie zostawię mieszkańców Dortmarku na pastwę ognia. Ta rozmowa nie ma sensu, ponieważ ty też tego nie zrobisz. Nie zawsze się zgadzamy, Galharrow, ale ostatecznie zawsze dążymy do tego samego celu.

Ciekawa uwaga, zważywszy na to, że jeszcze kilka dni temu była gotowa łamać mnie kołem – chociaż miałem wrażenie, że pod moją nieobecność tutaj minął cały miesiąc. Davandein zawsze naginała rzeczywistość do swoich potrzeb.

Wzbudzała we mnie gniew. Chciałbym, żeby ją usunięto, zdymisjonowano, może nawet powieszono za poprowadzenie szturm na Valengrad. Zrobiła to, co uznała za stosowne, by ochronić Łańcuch, i okazało się, że się myliła, całkowicie i nieodwracalnie, ale pomimo swojej dumy i ambicji była żołnierzem.

– Potwór, którego przysłał Płytki Grób, zabił dwudziestu jeden dobrych ludzi, próbując mnie zatrzymać.

– Nad Strażą czasem... trudno zapanować. Wielu ludzi zaginęło, odkąd zaczęli się wykluwać. Adenauer posłał ich, ponieważ pilnuje przestrzegania prawa, ale ofiary były... niepotrzebne.

Można i tak powiedzieć. Wśród nich była Sang, podwładna Valiyi. Dla Bezimiennych to tylko wypadek przy pracy. Nie dbają o nas, nawet o tych, którzy im służą. Każdy z nich prowadzi własną długofalową rozgrywkę.

– Udało wam się zgubić Adrogorsk.

Davandein się roześmiała.

– Jak wiesz, miasto było stałym punktem w Nieszczęściu. Ale to się zmieniło.

– Wciąż jest stałym punktem – odrzekłem. – Po prostu po Upadku Wron zmienił się otaczający je teren. Większość Nieszczęścia zmienia się co kilka godzin. Tam zmiany następują z minuty na minutę.

– Pani Fal mówi, że do potrójnego zaćmienia dojdzie dokładnie nad ruinami – powiedziała marszałek. – Wszystkie trzy księżycy ustawią się w jednej linii przed słońcem, a światło przeniknie przez potężne kryształowe kule. Uwolniona moc zapewni dziesięć sekund boskiej potęgi Przędzarzowi, który zdoła ją poskromić. Serce musi się tam znaleźć.

Oczywiście, że tak.

Walczyłem pod Adrogorskiem trzydzieści lat temu, gdy wciąż byłem młody i na tyle naiwny, by wierzyć, że można okryć się chwałą, zabijając ludzi dla popękanych kamieni i powalonych skał. To był początek mojej porażki i niesławy. Jeden z moich piechurów z dumą niósł sztandar mojego rodu, ogromną czerwoną flagę z lśniąca srebrną pięścią. Poległ podczas walk, a ja pod wpływem rozpaczyny podarłem sztandar na kawałki. Właśnie wtedy moja duma zaczęła się sypać.

Czy to mogło się zakończyć gdzieś indziej?

– Królowie Głębi będą próbowali nas powstrzymać.

– Na pewno. Poślą wszystkie swoje siły – zgodziła się Davandain. W jej wnętrzu płonął ogień. To była jej chwila. Chociaż zdołała zdobyć miasto, na zawsze skalala swoje imię masakrą, której dokonała. Teraz miała okazję poprowadzić szarżę, która wymaze tę czarną plamę z jej przeszłości. – Zgromadziłam sześćdziesiąt tysięcy ludzi. Największą, najlepiej wyszkoloną i najlepiej wyposażoną armię, jaką Dortmark kiedykolwiek wystawił. Mam artylerię, mam Przędzarzy i mam serce. Ale nawet dziesięć razy tyle żołnierzy w niczym mi nie pomoże, jeśli nie zdołam dotrzeć do Adrogorska.

Koła losu wciąż się obracają, niestrudzenie mieląc przyszłość i układając ją na swoim miejscu. Prawie się uśmiechnąłem.

– Zrobię to – odrzekłem – ale chcę czegoś w zamian.

– Jeśli nas tam doprowadzisz i wszystko się uda, uczynię cię księciem – odpowiedziała swobodnie Davendain.

Uśmiechnąłem się. Myśl o zostaniu księciem, otoczonym przez płaszczących się dworzan i zachwyconych służących, była kusząca, chociażby dlatego, że wtedy mógłbym ich wszystkich odprawić i patrzeć na ich zaskoczone miny. Cięż Nenn najwyraźniej się ze

mną zgadzał, ponieważ zaczął spacerować po dachu dumnym krokiem, pozdrawiając zamaszystymi gestami wyobrażonych podwładnych.

– Chcę tylko, żeby Dantry Tanza został ułaskawiony i odzyskał swoje ziemie.

– Ten człowiek jest przestępcą – odparła. – Sabotażystą i zabójcą.

– Takie są moje warunki. Albo jeszcze dzisiaj go ułaskawisz, albo możesz poszukać innego nawigatora, który doprowadzi cię do Adrogorska.

Davandein się roześmiała.

– Ależ z ciebie arogancki i pretensjonalny dupek, Galharrow. Niech będzie. Atrament na dokumentach wyschnie, zanim stąd odejdziesz, ale najpierw coś mi powiedz. Skoro tak ci zależy na jego ułaskawieniu, to pewnie wiesz, dlaczego powoduje takie zniszczenia.

– Owszem.

– Powiesz mi?

– Nie.

Davandein pokręciła głową.

– Pewnie świat nie mógłby istnieć, gdybyś nie miał przede mną tajemnic. A więc dobrze. Aha, jeszcze jedno, Galharrow. – Na chwilę umilkła. – Lubię kapitan Amairę. Chroń ją.

\* \* \*

Davandein zaproponowała mi nocleg w cytadeli, ale zależało mi na prywatności i nie chciałem poczuć się jak w więzieniu. Na pustkowiu przyzwyczailem się do tego, że dysponuję własną przestrzenią, więc wróciłem do kryjówki Valiyi.

W końcu położyłem się spać, a przynajmniej spróbowałem. Kiedy zamknąłem oczy, zobaczyłem tańczące światła i usłyszałem dobiegające z oddali szepty. Niestety. W pewnej chwili odbyłem pogawędkę z samym Żelaznym Kozłem, marszałkiem Venzerem, ale później nie mogłem sobie przypomnieć, czy naprawdę



rozmawialiśmy, czy może był to wariacki sen. Nie pamiętałem treści rozmowy.

Opuściliśmy Valengrad przed miesiącem, chociaż mnie wydawało się, że minął zaledwie dzień. Byłem tak wygłodniały, że mogłbym pochłonąć miesięczny przydział racji. Zjadłem całe pęto kaszanki i pół bochenka chleba posmarowanego gęstą ziarnistą musztardą. Ledwie zauważałem ich smak, ponieważ wciąż czułem w ustach skażenie, ale mój żołądek przyjął pokarm z wdzięcznością, a gdy się najadłem, zacząłem odzyskiwać jasność umysłu. Światelka migoczące i skrzące się na granicy pola widzenia zniknęły. Nawet Nenn na jakiś czas odeszła.

Valiya nieśpiesznie skubała kawałek kaszanki. Ciągle drapała się po rękach, próbując zmusić liczby do poprawnego działania. Zawsze starała się urządzać świat po swojemu, ale on nie chciał jej słuchać.

– Przestań, proszę – odezwałem się. – Zrobisz sobie krzywdę.

– Co się im stało? – spytała. – Jak mamy wygrać, jeśli nie będziemy znali żadnych odpowiedzi?

– Wygramy – zapewniłem ją. A potem zrobiłem coś, czego nie miałem w zwyczaju. Uklęknąłem przy jej krześle i ją objąłem, ale miałem wrażenie, że obejmuję posąg. Miała zimną skórę i była napięta, jakby szykowała się do ataku. Sam nieco się odsłoniłem, ale ona była nieprzystępna jak forteca.

– Puść mnie, proszę – powiedziała cicho. To była krępująca chwila dla nas obojga. Odepchnęła mnie i wyszła z pokoju.

Popatrzyłem na Amairę. Zapewne nie miała jeszcze dwudziestu lat – nigdy nie znaliśmy jej dokładnego wieku – ale w jej wzroku dostrzegłem zrozumienie.

– Chodź – powiedziałem, unikając jej spojrzenia. – Jesteśmy umówieni.

Amaira rozsmarowała biały gipsowy makijaż po mojej twarzy i założyła mi gogle w kształcie łez. Znów niemal mogłem uchodzić za człowieka. Zaopatrzyliśmy się w niewielkiej zbrojowni Valiyi i wyszliśmy na światło dnia.

– To dla niej niełatwe – powiedziała.

– Nic z tego nie jest łatwe.

– Dobrze wiesz, że nie o to mi chodzi – odparła Amaira. – Zaczekaj chwilę. Muszę tutaj wejść. Minęły wieki, odkąd kosztowałam słodczy. – Weszła do sklepu ze słodkościami. Na zewnątrz ktoś powiesił plakat z napisem: „Nagroda za wszelkie informacje dotyczące śmierci Finnei Stiegana, pogryzionego i pobitego. Sześćset marek”. Nędzna suma, ale nie do pogardzenia dla kogoś, kto z trudem wiąże koniec z końcem. Kiedy opiekowałam się tym miejscem, taka informacja trafiłaby na moje biurko. Ciekawe, czy Klaunus umieścił ją na swojej ścianie pełnej sznurków i notatek. Wiedziałem, że powinienem go odwiedzić i włączyć w to, co nas czekało, ale już raz mnie zawiódł i miałem ważniejsze spotkanie.

Amaira wyszła ze sklepu ze słoikiem lodów polanych czerwonym syropem. Wyciągnęła w moją stronę drewnianą łyżkę zmrożonego przysmaku.

– Nie, dziękuję – odrzekłem.

Uśmiechnęła się radośnie i wpakowała lody do ust. Zmieniłem Amairę w broń, częściowo przez pomyłkę, a częściowo rozmyślnie, i łatwo było zapomnieć, że jeszcze niedawno była małą dziewczynką.

– Uwielbiam je – powiedziała z zadowoleniem. – O czym mówiliśmy? A tak, o Valiyi. Jest jej dużo trudniej, odkąd wróciłeś.

– Jest w żałobie – odrzekłem. – Z powodu Sang i Nalla. Wie, że on umiera.

– Oczywiście – przyznała – ale to nie wszystko. Do diabła, panie kapitanie, nie chcesz dostrzec tego, co jest tuż pod twoim nosem. Powiedz: dlaczego według ciebie Valiya poprosiła Nalla o zawarcie układu?

– Taka już jest. Jeśli czegoś wystarczająco mocno pragnie, zrobi wszystko, by to uzyskać. – Coś w słowach Amairy nagle mnie uderzyło. – Chwileczkę. Ona go poprosiła?

– Tak.

Zmarszczyłem czoło. Bez słowa sięgnąłem do słoika z lodami i wpakowałem sobie trochę do ust. Były nieprzyjemnie zimne i słodkie jak ulepek. Zatkaly mi usta, więc przez chwilę nie musiałem się odzywać.

– Nie rozumiem – powiedziałem w końcu. – To radykalny krok, nawet jak na nią. Bezimienni zabierają znacznie więcej, niż dają, nawet jeśli teraz Valiya potrafi odczytać ze swojej ręki szlak lotu każdej kaczki. Dlaczego zrobiła sobie coś takiego?

– To znaczy przeobraziła się w kogoś nieludzko dziwnego? – odrzekła Amaira. – No właśnie, dlaczego?

Trudno zmienić relację rodzica z dzieckiem, zwłaszcza po latach, ale czasami miałem ochotę przypomnieć Amairze, że jestem starszy, mądrzejszy i znam się na wszystkim lepiej od niej. Oczywiście to nie była prawda i nie spodobała mi się jej sugestia.

– Nie zawsze chodzi o mnie – westchnąłem.

– Nie w przypadku większości ludzi – przyznała Amaira – ale czy możesz uczciwie powiedzieć, że nie poświęciłeś życia miłości do kobiety?

Skręciliśmy za róg i z zadowoleniem zauważyłem przed sobą znajome niekształtne belki Dzwonu, dzięki czemu mogłem zakończyć tę rozmowę. Kiedyś tam mieszkałem, po oblężeniu. Przez kilka lat Nenn, Tnota i ja praktycznie utrzymywaliśmy tamtejszy bar. Trudno było powiedzieć o nim coś dobrego, poza tym, że mieli tanie piwo i nie odpieczętowywali beczek, co zmniejszało ryzyko znalezienia w kuflu utopionej myszy. Za to kiedyś znalazłem ropuchę, duchy raczą wiedzieć, skąd się tam wzięła. Zawsze podejrzewałem, że Nenn maczała w tym palce.

W środku dnia na ławach zasiadali tylko stali bywalcy, a oni wiedzieli, że nie należy wtrącać się w nie swoje sprawy, nawet kiedy do lokalu wchodził ktoś tak miły dla oka jak Amaira. Miała szczęście wyrosnąć na piękną kobietę, co pod pewnymi względami ułatwiało jej życie. Ludzie robili dla niej różne rzeczy, bez powodu mieli o niej dobre zdanie i chętnie dopuszczali ją do rozmowy. Mężczyźni łatwo tracili dla niej głowę. Ale atrakcyjny wygląd ma też wady. Zwracała na siebie uwagę każdego pijaka, ludzie dysponujący władzą próbowali zaciągnąć ją do łóżka, a czasami przed snem zastanawiała się, czy inni lubią ją tylko z powodu dużych oczu i kształtnych kości policzkowych. Traktowałem Amairę jak córkę i pod pewnymi względami żałowałem, że nie wygląda bardziej

pospolicie. Oszałamiająca uroda nie musi być zaletą w pracy kapitana Czarnoskrzydłych.

Ludzie, z którymi byliśmy umówieni, siedzieli przy stoliku w kącie, zabijając czas. Zadbany czterdziestoletni mężczyzna z żółtymi włosami, które opadały mu do połowy klatki piersiowej i okalały bladą, wąską twarz, czytał książkę o filozofii. Wyglądał przystojnie w skromnej, ale dobrze skrojonej granatowej marynarce z rozcięciami w rękawach, spod których wystawał srebrzysty materiał. Zupełnie nie pasował do klienteli raczącej się trunkami w Dzwonie w środku dnia. Obok niego siedział niezgrabny chłopak, który wydrapywał nożem na blacie coś, czego zapewne nie powinien, skoro zakrył twarz chustą. Dzieciak zmierzył nas wzrokiem, kiedy usiedliśmy.

– Poczęstowałbym was winem, ale obawiam się, że mam tylko jeden kieliszek – powiedział Dantry Tanza, odkładając książkę, i przepaszająco uniósł dłonie. – Musiałem przynieść go ze sobą. Nie mają tutaj kieliszków, a cynowe kubki psują aromat.

– Wino w Dzwonie nie ma aromatu – odparłem. Nie mogłem powstrzymać uśmiechu.

– Przyniosłem też wino – rzekł Dantry. – Od dwóch tygodni płacę im za to, że mogę tu całymi dniami przesiadywać. Obawiałem się, że już nie przyjdziecie.

Kiedy pierwszy raz spotkałem Dantry'ego niedaleko Krateru Zimnego, sprawiał wrażenie młodszego, niż wynikało z jego metryki. Od tamtej pory niejedno razem przeszliśmy i było mu do twarzy z dojrzałością. Czas spędzony w lochu Saravora brutalnie pozbawił go optymizmu, a chociaż nie życzylbym nikomu takiej niewoli, odrobina cynizmu dobrze wpływa na duszę. Wyglądał zdrowo. Kwitnąco. Odpowiadała mu rola najbardziej poszukiwanego w Dortmarku przestępcy.

– Nie martwiłeś się, że przyjdą po ciebie z Urzędu Bezpieczeństwa Miejskiego?

– Nie wpadliby na to, żeby mnie tu szukać – odrzekł swobodnie Dantry. Może nie do końca utracił optymizm. – Zresztą nikt mnie tutaj nie zna. Podobają ci się dłuższe włosy? To przebranie.

– Wyglądasz jak aktor – stwierdziłem. Czy to komplement? Pewnie nie.

– Jeszcze mnie nie przedstawiłeś swojej towarzyszce – zauważył Dantry.

– Kapitan Amaira – odezwała się. – Nie pamiętasz mnie? Przynosiłam ci zupę.

Dantry zamrugał powiekami. Jego oblicze złagodniało. Pojaśniało. Odzyskał odrobinę utraconej młodości.

– A niech mnie – powiedział. – Bardzo się zmieniłaś. Wspaniale znów cię widzieć. Minęło tak dużo czasu. Bardzo... eee... się zmieniłaś.

– Psiakrew, tylko nie znowu – mruknął Maldon.

Nagle z przerażeniem zrozumiałem, że Dantry Tanza właśnie stracił głowę dla dwukrotnie młodszej kobiety, która w ogóle nie była nim zainteresowana. Amaira zaraz wykpi jego nieskładną mowę i da mu do zrozumienia, że interesuje ją tylko czekające nas zadanie.

– Dziękuję, chyba. – Amaira poczerwieniała. – Podoba mi się twoja nowa fryzura.

Psiakrew po dwakroć. Czas zmienić temat i przejść do rzeczy.

– Wszystko toczy się błyskawicznie – odezwałem się. Wręczyłem Dantry'emu kopertę. – Zostałeś ułaskawiony. Zawsze noś ten dokument przy sobie. Gdybyś go zgubił, mam kopię w sejfie, a kolejne dwie znajdują się w cytadeli i budynku sądu. Nikt cię teraz nie tknie, przynajmniej zgodnie z prawem. Gratulacje. Znów jesteś zwykłym obywatelem.

– Trochę szkoda – odrzekł Dantry. – Podobał mi się żywot tajemniczego zbiega.

– Co się wydarzyło w fabryce w Snosk? – spytałem. – Słyszałem, że zginęli tam ludzie.

– To moja wina – wtrącił Maldon. Pił przez trzcinę najmocniejsze piwo podawane w Dzwonie. Spodziewałem się, że Dantry wyjaśni, iż to był wypadek. Zdenerwowało mnie, że Maldon bez zająknięcia wziął na siebie odpowiedzialność.

– Co zrobiłeś?

– To był błąd – rzekł Dantry. On przynajmniej miał na tyle godności, by przybrać zboląłą minę.

– Źle oszacowałem siłę odbicia – wyjaśnił Maldon. – Wiesz, jak to działa. Kiedy używasz fosu, dochodzi do odbicia energii, które tym bardziej przybiera na sile, im więcej fosu spalasz. Pomyliłem się. Ale właśnie dlatego pracujemy nad tym od sześciu lat, prawda? Staramy się wszystko dobrze wyliczyć. Podróżowanie z tym lalusiem to koszmar. Wiesz, jak często się kąpie? Codziennie. A kto musi podgrzewać wodę?

– Trzeba zachowywać pozory, że jesteś moim sługą. Ale nie jestem okrutnym panem. Ty też mogłeś się oddalić, żeby zająć się „kilkoma niezbędnymi sprawami”, a zanim zaczniesz gadać, wiedz, że zupełnie mnie nie interesuje, jakie okropieństwa popełniasz – rzekł Dantry wyniośle, choć w jego oczach pojawił się błysk rozbawienia.

– Rzeczywiście, próbowaliśmy doprowadzić do przeładowania baterii w fabryce w Snosk. Utalentowani mieli akurat być na codziennym spacerze poza budynkiem. Fatalnie ich tam traktują, Ryhalcie. Są dosłownie przykuci do ławek. Szykując się do dokonania pomiarów, obliczyliśmy siłę wybuchu i odbicia. Miały być potężne. Nawet zaplanowałem eksplozję na chwilę, gdy Utalentowani będą jak najdalej od fabryki. Tylko nie wiedzieliśmy, że niektórzy zostali w budynku. Zapewne ci, którzy i tak już byli ledwie żywi. Biorę to na siebie.

Pragnałem wyjaśnienia i je otrzymałem. Pomyłki stale się zdarzają i nie mogłem obwiniać Dantry’ego, tak jak nie mogłem winić siebie za nieudolne poprowadzenie odwrotu spod Adrogorska. Moje błędy kosztowały życie znacznie większej liczby ludzi niż błąd w obliczeniach Dantry’ego.

– To nie twoja wina – wtrącił się Maldon. – Ja jestem odpowiedzialny. Jeśli chcą, mogą mnie za to powiesić.

– Pewnie nie byłoby to satysfakcjonujące rozwiązanie ani dla nich, ani dla ciebie – odrzekłem. Ale niezależnie od tego, jak poważny był wypadek w Snosk i jak wielkie zniszczenia Dantry spowodował, wędrując po republice i testując swoje obliczenia i teorie, to był

dopiero wstęp. – A więc powiedz – ciągnąłem, zaczerpnąwszy powietrza – będzie działało?

Dantry obrócił kieliszek z winem w dłoni.

– Nie.

Nie zraziłem się. Nie przyjąłem tego do wiadomości.

– Dlaczego?

– Trudno było zmierzyć siłę odbić, ale była niewystarczająca. Dobranie się do rezerw fosu wewnątrz Maszynerii Nalla to trudne zadanie, ale nawet jeśli użyjemy wszystkiego, co nagromadzono tam przez ostatnie dziesięć lat... Biorąc pod uwagę to, co wyczytałem o Bezimiennych w *Kodeksie Tarana*... przykro mi, Ryhalcie. To za mało.

– Ale teoria ma solidne podstawy? – spytałem. – Da się to zrobić, jeśli zdobędziemy wystarczającą moc?

– Jeśli Taran miał rację, owszem. Teorii nie można nic zarzucić.

– Dobrze. Więc wyobraź sobie, że mamy sto Maszynerii Nalla, a ich odbicia zasilają się nawzajem. Czy to by podziałało?

– Możliwe – odrzekł Dantry. – Ale we wszystkich miastach razem wziętych nie ma tyle mocy.

Gruba warstwa farby na mojej twarzy popękała od uśmiechu.

– Jeszcze nie.

## 22

Nenn i marszałek Venzer nie poznali się za życia, ale teraz siedzieli naprzeciw siebie i grali w dwie różne gry, które jakimś sposobem łączyły się w jedną. Nenn grała w płytki, w których nie była szczególnie dobra, ale znakomicie oszukiwała, więc najczęściej i tak wygrywała. Marszałek Venzer grał w grę zwaną Stop, popularną wyłącznie wśród arystokratów, po części dlatego, że nauczanie się podstawowych zasad zajmowało trzy lata, a instrukcję można było nabyć wyłącznie na Uniwersytecie Lennisgradzkim. Z tego, co udało mi się zauważyć, Venzer zdołał zgromadzić kamienie wokół środka planszy, podczas gdy Nenn trzymała co najmniej trzy płytki na kolanie pod stołem, więc trudno było ocenić, kto zwycięży. Nenn była pijana, ale Venzer miał pętlę wokół szyi, więc szanse były wyrównane.

– Ryhalcie. Ryhalcie!

Zamrugalem powiekami i znów skupilem uwagę na Valiyyi. Wróciliśmy do jej domu. Dantry i Maldon właśnie przynosili swoje bagaże do drugiego pokoju gościnnego. Ja i Amaira zajęliśmy wygodniejsze izby, więc zrobiło się ciasno i musieli zamieszkać razem.

– Co?

– Słuchasz, co do ciebie mówię? Przeczytaj listę. To chyba wszystko, czego potrzebujemy.

Valiyya odzyskała panowanie nad sobą. Skupiła się na pracy, żeby nie myśleć o bezsensownych wzorach kłębiących się na jej rękach. Drapała się po nich na oślep, wskazując kolejne punkty na liście.

– Tego jest za dużo – stwierdziłem. – Nie potrzebuję tych wszystkich rzeczy. Po co mi trzy namioty?



– To nie tylko dla ciebie – odparła. – Dostaniesz jeden. Ja podzielę się z Amairą. Dantry i Maldon też mogą nocować razem, w końcu od dawna wspólnie podróżują.

– Nie będę mieszkał z Nenn – powiedziałem.

Valiya mocno zacisnęła usta.

– Nie będziesz musiał – odrzekła łagodnie. – Nenn nie potrzebuje namiotu.

– Ty jej to powiedz – odparłem ze śmiechem, a następnie potrząsnąłem głową. Coś mąciło mi myśli. Zew Nieszczęścia stale przybierał na sile. Dopuszciliem je w pobliże swojego umysłu, ale cofałem się pod wpływem najłżejszego dotknięcia. Nie było sensu się rozczulać, skoro nie mogłem się tam znaleźć.

– Chwileczkę! – zawołałem. – Nie potrzebuję trzech. Wystarczą dwa. Zabiorę ze sobą Maldona i Dantry’ego, ale reszta zostanie tutaj, gdzie jest bezpiecznie.

– Nie ma mowy – zaproponowała Valiya. – Nie wygaduj głupstw. To najważniejsza wyprawa w naszym życiu. Oczywiście, że idziemy z tobą.

– Nie – odparłem. – Ty i Amaira nigdy nie byłyście w Nieszczęściu. Nie wiecie, co mówicie. Chcę, żebyście zostały tutaj, z dala od tego, co się wydarzy.

– Powinniśmy być tam – upierała się Valiya.

Nenn zachichotała i umieściła dwie płytki na starannie ułożonych kamieniach. Zachwiały się i spadły. Venzer pokiwał głową, jakby to był przemyślany, sprytny ruch. Jego kolejka trwała nawet pół godziny. Nenn udała, że nalewa sobie kolejnego drinka, i siedziała, nie pijąc z niewidzialnej szklaneczki w dłoni.

– Znasz historię kapitan Narady? – spytałem.

– Nie – odrzekła Valiya.

– Nic dziwnego. Narada była kapitanem Czarnoskrzydłych dziewiętnaście lat temu. Wronia Stopa powierzył jej zadanie użycia Serca Pustki przeciwko robotom. Nikt nie ma pojęcia, co się stało, a wiesz dlaczego? Ponieważ broń znajdowała się w epicentrum. Powstało Nieszczęście, a wszyscy w strefie zniszczeń spłonęli albo zostali nienaturalnie przemienieni. Nie wiem, jaką broń Wronia

Stopa zamierza zbudować z serca potwora, ale mam paskudne podejrzenie, że to będzie coś bardzo podobnego. W końcu już raz mu się udało, prawda?

Valiya wbiła we mnie wzrok.

– Wierzysz, że znów coś takiego uwolni? – spytała.

– Przecież wiesz, że tak – odparłem. – Każdy z Bezimiennych by to zrobił. Nastaly ciężkie czasy. Oni posuną się do wszystkiego, żeby zapewnić sobie przetrwanie.

– Ale ty się tam wybierasz. – To było stwierdzenie faktu.

– Przygotowuję się do tego od sześciu lat – odrzekłem, unosząc dłoń. Poprzecinana czarnymi żyłami skóra wokół moich knykci stała się szorstka i guzowata. Jak u jaszczurki. Miałem ochotę się roześmiać.

– Nie jesteś w pełni sił, Ryhalcie – powiedziała Valiya. – Potrzebujesz nas. Swoich przyjaciół. Cokolwiek się stanie, znów odeprzemy Królów Głębi, tak jak kiedyś.

– To tylko kaszel – odparłem. Czuję się niezwykle beztrosko, co zapewne powinno mnie ostrzec, że coś jest ze mną nie w porządku. Nie było mi niedobrze. Byłem głodny i miałem ochotę wrócić do Nieszczęścia. Tęskniłem za swoim Wiecznym Domem. Kawalki baraniny będą gotowały się w zupie, wydobędę cygaretkę spomiędzy desek podłogi i usiądę na werandzie.

– Ile lukrecji potrzebuje jeden człowiek? – spytała Valiya.

– Musimy dotrzeć do celu w ciągu jedenastu dni, w przeciwnym razie złapie nas deszcz – wyjaśniłem. – Większości ludzi wystarczą trzy korzonki dziennie. – Wciąż nie chciałem zaakceptować tego, że będą mi towarzyszyły. Mogłem z nimi dyskutować, ale zarówno Valiya, jak i Amaira nigdy nie lubiły wykonywać poleceń. Nie mogłem ich powstrzymać, chyba że postanowiłbym je związać. Nagle ucieszyłem się, że odesłałem Tnotę, zanim stanął przed taką decyzją. Nie zdołałbym przemówić mu do rozsądku. Podobnie byłoby z Nenn. Zerknąłem w stronę stołu, gdzie bujała się na krześle w rytm muzyki, którą tylko ona słyszała, próbując rozproszyć Venzera i nie pozwolić mu na przesunięcie płytki na lepsze, niezgodne z przepisami miejsce.

Wiedziałem, że nie jest prawdziwa. Po prostu czasem przyjemnie było poudawać.

\* \* \*

– Zaatakowano cytadelę – oznajmiła Valiya, budząc mnie ze snu. – Chcą, żebyśmy natychmiast się tam udali.

– Zaatakowano? Kto?

– Nie wiem. Musimy tam iść.

W pół minuty zebraliśmy swoje graty i wyszliśmy z domu. Dwie godziny do świtu. Większość rurek z fosem była uśpiona i w mieście panowała niemal całkowita ciemność. Towarzyszył nam sierżant wysłany z cytadeli.

– Kiedy?

– Niecałą godzinę temu – wyjaśnił. – Uzbrojeni ludzie próbowali przebić się do środka. Zostali powstrzymani.

– Kto? – spytałem.

– Nie wiem. Ujęto jeńca. Chce rozmawiać tylko z panem.

Weszliśmy przez główną bramę. Połowa cytadeli została zburzona, więc budynek był słabiej pilnowany. Zobaczyłem białoskórych członków Straży, nieruchomych i czerwonoookich, którzy pilnowali najważniejszych wejść. Żołnierze z rusznicami na ramionach wylegli na dziedziniec, na którym było jasno jak w południe.

Davandein czekała na nas razem z kapitanem Northem. Nie ucieszył mnie jego widok.

– Jak w skrócie przedstawia się sytuacja?

– Dziesięciu mężczyzn próbowało włamać się przez uszkodzone skrzydło – zrelacjonowała. – Dziewięciu zbrojnych i jeden czarownik. Podejrzewamy, że próbowali dostać się do zabezpieczonej komnaty, w której przechowujemy artefakt.

– Sekciarze?

– Właśnie po to cię wezwaliśmy, żebyś nam powiedział.

Ciała leżały na dziedzińcu. Ciężko opancerzeni mężczyźni w pełnych uprzężach, z bronią palną, granatami i ostrymi mieczami.

Byli ubrani jak na wojnę i próbowali ją rozpętać w cytadeli. Popatrzyłem na pierwszego z agresorów. Miał wgnieciony napierśnik. Rozpoznałem znak płatnerza przy krawędzi zbroi. Wiedziałem z doświadczenia, że taka stal mogłaby niemal bez szwanku wytrzymać cios młotem kowalskim. Drugi z mężczyzn nie miał głowy. Trzeciemu brakowało obu rąk.

– Nie poszło im najlepiej.

– Straż zatrzymała ich w jednym z korytarzy – wyjaśniła Davandein. – Najpierw powalili czarownika. Trzymamy go żywego w szarych celach. Przynajmniej na razie. Jest ciężko ranny.

– Ci ludzie niewiele nam powiedzą – odezwała się Valiya. – Pytaliście o coś jeńca?

– Chce rozmawiać tylko z Galharrowem – odrzekła marszałek. – Kanalina utrzymuje go wewnątrz świetlnego pola. Nie będzie mógł cię skrzywdzić. Ale czas ucieka. Nie możemy ryzykować opatrzenia jego ran, a Pierwszy był nieco nadgorliwy i zadał mu obrażenia, które się nie zagoją. Musimy się śpieszyć.

– Zauważyłaś, że te marmurowe stwory zawsze są „nieco nadgorliwe”, gdy dochodzi do przemocy? – spytałem.

– Są żywą bronią, która nie ma sobie równych w moim arsenale – odparła Davandein. – Są bardzo skuteczni.

– Różnica między twoją pozostałą bronią a nimi polega na tym, że nad resztą swojego arsenału panujesz – zauważyłem. – Nie polegaj nadmiernie na tych istotach. Wiem z doświadczenia, że lepiej nie pokładać nadziei w darach Bezimiennych.

– Płytki Grób przysłał je po to, żeby mi służyły.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz. Zaprowadź nas do jeńca.

– Nie wygląda najlepiej – ostrzegł North. – Ale chyba nie był zbyt piękny, jeszcze zanim Pierwszy go nadwerężył. To niebezpieczny wybryk natury.

– Jakiej klasy jest czarownikiem? – spytała Valiya.

– Nie wiemy. Dysponował kilkoma śmiercionośnymi zaklęciami i zabił tuzin żołnierzy, zanim Pierwszy go załatwił. Magia tylko się od niego odbijała. Ta Marmurowa Straż jest naprawdę wyjątkowa, co nie?

Zignorowałem Northa, ponieważ go nie lubiłem. Nie mam w zwyczaju wybaczać i zapominać. Nie chodziło tylko o to, że próbował mnie wykończyć we Wróźbogrodzie, ale skrzywdził Tnotę i Giralta, a nawet podczas pracy dla Bezimiennych są granice, których nie należy przekraczać. Chociaż na przestrzeni lat Wronia Stopa, a do pewnego stopnia także Nall, wiele ode mnie wymagali, nigdy nie musiałem używać niewinnych jako przynęty. Kiedy zaczynasz krzywdzić ludzi, którzy są po twojej stronie, zaciera się sens stawania po którejś ze stron. Pani Fal rzadko się odzywała, gdyż jej uśpiony umysł dryfował po oceanach, ale była równie zdolna do okrucieństwa jak pozostali Bezimienni.

Skierowaliśmy się do cel. Davandein zatrzymała się na szczycie schodów. Nie chciała zbyt blisko zbliżyć się do czarownika.

– Nie ryzykuj, Galharrow – ostrzegła. – Będę cię potrzebowała, kiedy wyruszymy. Wszyscy cię potrzebujemy. Jesteś zbyt cenny, żebyśmy cię stracili. Jeśli poczujesz, że coś śmierdzi, natychmiast się stamtąd wynoś.

Jej troska była bezgranicznie wzruszająca.

– Ty też możesz spierdalać – rzuciłem do Northa.

– Powinienem być przy przesłuchaniu, co nie? – odrzekł.

– Spierdalaj po tych schodkach, North. Nie ufam ci. Nie podobasz mi się i jeśli mam spróbować wydostać jakieś informacje od czarownika, to za cholerę nie chcę cię mieć za plecami.

North na chwilę stracił opanowanie i mocniej zacisnął usta, ale przestał za mną iść.

– Ty też lepiej zostań – powiedziałem do Valiyi. – Dam sobie radę sam.

– Wolałabym przy tym być – odparła.

– A ja wolałabym, żebyś była bezpieczna. Jeśli będę musiał się o ciebie martwić, nie skupię się na robocie. Lepiej pracuję w pojedynkę. – Dotknąłem jej ręki i poczułem pod dłonią delikatne mrowienie magii. Już prawie niewyczuwalne. Valiya była napięta, jej mięśnie zeszywniały. Ale mój argument o skupieniu na pracy podziałał i ustąpiła.

Przedzarka Kanalina i Pierwszy czekali na mnie przy wejściu do celi. Pierwszy trzymał w ustach potężny biały paluch i próbował wygrzebać coś spomiędzy zębów. Jego skóra była czysta, ale czarna szata lepiała się od czegoś czarnego. Kanalina miała na ramionach uprząż z ciężkim pojemnikiem, a z jej skóry unosiła się świetlista mgiełka. Powoli i równomiernie emanowała fosem. Mogła to robić tylko do chwili opróżnienia pojemnika. Jeniec nie miał dużo czasu. W *Podręczniku oficera Łańcucha* wyraźnie napisano, że wrogiego czarownika można przetrzymywać tylko w stanie stałego związania. Zalecano przeprowadzenie przesłuchania, a następnie egzekucję. Sądząc po czarnej chrząstce, którą Pierwszy wyciągnął spomiędzy zębów, czarownikowi nie zostało wiele życia. Strażnik patrzył na mnie pozbawionymi emocji szkarłatnymi oczami.

– Co możesz mi o nim powiedzieć? – spytałem pod drzwiami.

– Niewiele – odrzekła Kanalina. – Jest otoczony fosową matrycą. Nic nie powinno się przez nią przedostać. Dziwny gość. O cokolwiek go pytałam, domagał się rozmowy z tobą. A pytałam bardzo uporczywie.

– Nie wątpię – odparłem. Nie przepadałem za Kanalina. No i zdecydowanie nie lubiłem Pierwszego. Byłem silnie uprzedzony wobec ludzi, którzy próbowali mnie skrzywdzić.

Wszedłem do celi i szybko zamknąłem za sobą drzwi.

– No proszę – syknęła niekształna bryła zwęglonego i poskręcane mięsa za świetlną matrycę. – Nie spodziewałem się, że dotrzesz na miejsce, zanim moje ciało da za wygraną. Ale zawsze mnie zaskakujesz. – Kpiący ton utonął w napadzie bulgoczącego kaszlu. Podwójna spirala jasnozłotej energii powoli obracała się wokół czarownika, tworząc świetlistą klatkę.

Nie wiem, czego się spodziewałem. Może Uroczonego albo jakiegoś czarownika, który przeszedł na stronę Kultu Głębi. Na pewno nie Saravora we własnej osobie.

– Nie sądziłem, że tak szybko wrócisz – powiedziałem.

Sześć lat temu Saravor niemal zniszczył Oko Shavady, próbując uwolnić moc dziesięciu tysięcy dusz i stać się jednym z Bezimiennych. Nie udało mu się. Nenn odcięła mu dłoń, a Wielka

Iglica zmiotła go z dachu pośród świetlistej zawieruchy. Ciało zwykłego człowieka nie przetrwałoby uderzenia takiej potęgi, ale Saravor z pewnością nie był zwykłym człowiekiem. Był wybrykiem natury jeszcze przed tamtym dniem, a światło również odcisnęło na nim swoje piętno.

Siedział skulony w kącie, a chociaż był nagi, nie miało to takiego znaczenia, jakie miałyby w naszym przypadku. Większa część jego ciała była poczerniała i zwęglona, stwardniała jak wyprawiona skóra. Sztywne płyty poparzeń pokrywała siatka pęknięć, spod których wзираł lśniący czerwony płyn. Saravor stracił jedno oko, a wykrzywiony oczodół wypełniała mięsista narośl. Wciąż nie miał dłoni, którą odcięła mu Nenn, a kikut był nierówno przyżegniony. Z szyi i ramienia czarownika wyrwano potężny kawałek ciała. Ślady zębów znaczyły skórę, spod której wyłaniały się mięso i biała kość. Pierwszy był głodny.

Szare dzieci zniknęły. Kiedy ostatnio je widziałem, niektóre z nich połączyły się z jego ciałem, ale teraz już ich nie było. Saravor był żywą raną, cały poparzony i zniekształcony, ale na lewej stopie miał tylko dwa palce nietknięte ogniem. Nie należały do niego – choć nie wiem, czy nie dotyczyło to również innych części jego ciała – a miejsce ich złączenia z poczerniałą stopą miało niezdrowy zielonkawy kolor. Próbował się odbudować, zapewne wielokrotnie na przestrzeni lat, ale bez powodzenia. Niektóre uszkodzenia nie dadzą się wyleczyć.

Saravor zakaszłał, a z jego ust pociekła czarna krew.

– Umieram, Galharrow – powiedział.

– Dobrze.

– Straciłem rachubę lat. Nie wiem, ile istnień przeżyłem. Jak myślisz, co na nas czeka po drugiej stronie? Czułe objęcia matczynego ducha? Miło byłoby wierzyć w taką fantazję, czyż nie? Że to wszystko się nie kończy, gdy ciało daje za wygraną.

Usiadłem na stołku. Saravor był niebezpieczny, ale spętany światłem i krztuszący się własną gęstą krwią nie stanowił zagrożenia.

– Co miałeś nadzieję osiągnąć? – spytałem.

– Przecież ci powiedziałem, prawda? – odrzekł. – Powiedziałem ci na szczycie świata: szare dzieci nie pozwolą, żeby Wronia Stopa użył swojej broni. Trzeba go powstrzymać, zanim wszystko zniszczy.

– Jesteś nimi? – spytałem. – One są tobą?

– Ta granica już dawno się zatarła – odparł Saravor. Jego jedyne oko nie było w stanie na niczym się skupić, życie powoli z niego uciekało. – Kiedyś byłem człowiekiem. Nie tą pomieszaną układanką, jaką teraz jestem. Prawdziwym człowiekiem z własnym ciałem i życiem. Ale ciało przemija. Pokazały mi, jak mogę się rozwinąć, zmienić. Przetrwać. Na swój sposób były miłosierne. Ale ostatecznie mnie porzuciły. Aż tak bardzo się od siebie nie różnimy ty i ja.

Saravor dotknął rany palcem i nie spodobało mu się to, co odkrył. Taki ból byłby nie do zniesienia dla zwykłego człowieka. Jego obojczyk wycierał na mnie spod rozdartego ciała.

– Nie jesteśmy w niczym podobni – odparłem.

– Nie oszukuj się, Galharrow. Obaj byliśmy narzędziami, czyż nie? Naprawdę uważasz, że świat jest bezpieczniejszy w rękach Wroniej Stopy niż w rękach szarych dzieci?

– Tak – przyznałem – ponieważ on uwierzył we mnie, a dzieci uwierzyły w ciebie. Być może w istocie są tacy sami, ale liczą się metody.

– Metody, nie skutki? – zaskrzeczał Saravor. – Kurwa, zawsze jesteś taki pewny siebie. Co się stanie, jeśli twój szalony plan wypali? Kolejne Serce Pustki nie ograniczy się do rozdarcia nieba nad Nieszczęściem. Pęknięcia się rozszerzą, rozprzestrzeniają, popłyną ponad całym światem. Jeśli trafisz zamkowy mur kanonadą, kamienie pokruszą się i popękają. Drugi ostrzał zburzy całą budowlę. Kto wtedy zostanie bohaterem, Galharrow?

Zachichotał i krew spłynęła mu po piersi.

– Trzeba powstrzymać Królów Głębi – powiedziałem. – Wiesz, do czego są zdolni. Król Acradius posiadał część mocy Śpiącego i związał pozostałych pod swoją władzą. Oni niczego nie kochają, nawet siebie nawzajem.



– Zdrada? – Saravor się roześmiał, co go wiele kosztowało. – Niczego nie rozumiesz, prawda, Galharrow? Gdzie jest teraz Nall? Co się z nim stało? Nadchodzi potrójne zaćmienie; czy naprawdę sądzisz, że tylko twój pan ma plany wykorzystania takiej potęgi? W tej chwili Bezimienni zgodnie współpracują. Płytki Grób budzi swoich najsilniejszych wojowników z tysiącletniego uśpienia, Pani Fal przejmuje dowodzenie. Wronia Stopa wysyła swoich ludzi po serce. Tylko niebo wie, jak bardzo zdradzieckie są ich knowania. Powinieneś go zapytać.

– Co masz na myśli?

Ale Saravor już stracił koncentrację. Popatrzył na swoją jedyną dłoń, poczerniałą i zwęgloną, z palcami powykręcanyymi w groteskowe spirale.

– To ciało – odezwał się. – Które części należały do mnie na samym początku? Czy pozostała choć jedna? Już nie pamiętam. Jeśli zmieniasz się kawałek po kawałku, to kiedy przestajesz być sobą i stajesz się tym czymś, co stworzyłeś? A skoro stworzyłeś siebie, czy to cię czyni własnym bogiem?

Widziałem, że mi się wymyka, że w obliczu śmierci zwraca się ku swojemu wnętrzu. Wezbrała we mnie gorycz. Chciałem zniszczyć go osobiście za to, co mi zrobił. Za to, co zrobił Nenn. Co zrobił tak wielu niewinnym ludziom w Valengradzie. Czuję, że wyrwanie gardła przez potwora to zbyt mała kara za tak straszliwe zbrodnie.

– Miałeś *Kodeks Tarana* – odrzekłem. – Jeśli naprawdę chcesz powstrzymać Wronią Stopę, powiedz mi, jak jeszcze mogę zerwać więź Acradiusa ze Śpiącym.

Saravor zamrugał i z trudem skupił na mnie wzrok. Krew zaczynała mu skapywać z ust.

– Dlaczego miałoby mnie to teraz obchodzić? Moja gra dobiegła końca. Teraz to ty musisz walczyć o przetrwanie. – Uśmiechnął się do mnie. Był to chory uśmiech, pożółkłe zęby wyzierały zza wykrzywionych i poczerniałych warg. – Byłeś wprawnym graczem, Galharrow. Sądziłem, że *Kodeks Tarana* kryje każdą odpowiedź, ale się myliłem. Powiedz mi jedno, zanim odejdę. – Zakrztusił się i splunął krwią w światło, a ta zaskwierczała i zmieniła się w obłok

oleistej pary. – Miałem twoją kobietę, tamtą major. Należała do mnie. Powinienem być wygrać. Jak mi ją odebrałeś?

Wstałem.

– To był twój błąd – odrzekłem. – Ona nie była moja. Twoja też nie. Nigdy do nikogo nie należała. Gdybyś to zrozumiał, może mógłbyś wybrać inną ścieżkę. Władza nie polega na kontrolowaniu innych siłą. Pojawia się, gdy ludzie sami za tobą podążają.

Saravor chwycił się za pierś. Potem gwałtownie wyciągnął rękę w moją stronę. Z jego dłoni wystrzeliła energia, ale świetlista spirala zawirowała i ją przechwyciła, tak że uderzenie odbiło się rykoszetem i przebiło czarownikowi pierś.

– Musiałem spróbować... żeby wyrównać... rachunki... zanim odejdę – wykrztusił, a uśmiech nie schodził z jego zrujnowanej twarzy. – Zaraz... zaraz...

Saravor przewrócił jedynym okiem, po czym pochylił się i wpadł na spiralę. Rozbłysły płomienie, ciało zaczęło się topić i rozpływać, a celę wypełnił smród spalonego zgniętego mięsa. Zwłoki pod wpływem własnego ciężaru powoli zagłębiały się w ogniu. Przyglądałem się temu, dopóki całe ciało nie spaliło się na popiół.

Kiedy obserwujesz porażkę wroga, pośród triumfu nagle pojawia się poczucie straty. Przez dziesięć lat marzyłem o tym, żeby zobaczyć trupa Saravora. Zmienił życie moje i moich bliskich w piekło. Był potworem, złośliwym, pełnym jadu i nienawiści. Jego śmierć domagała się toastu doskonałą brandy z Whitelande. Kolejna przeszkoda usunięta z drogi. Ale budujemy własny obraz, patrząc na siebie oczami otaczających nas ludzi, i oceniamy siebie nie tylko na podstawie sądów swoich przyjaciół, lecz także wrogów. Kiedy ciało Saravora spłonęło, z jakiegoś powodu poczułem, że coś utraciłem.

Myślałem o swojej nienawiści i o tym, jak wyobrażałem sobie tę chwilę. Przeszywałem mu szyję mieczem, wbijałem sztylet w oko, wieszałem go na Konopnej Bramie albo robiłem coś znacznie gorszego, gdy dawałem upust złości. Nie miałem dla niego litości, a on nigdy nie żałował swoich czynów. Ale być może przed samą śmiercią miał czyste intencje. Przerazała mnie myśl, że możemy stać po niewłaściwej stronie tej wojny.

## 23

Czułem się dziwnie przygaszony, gdy zabrałem się do usuwania skutków ataku. Saravor niczego mi nie dał. Ciała ludzi, których sprowadził, wyglądały tak, jak można się było spodziewać: miały przegniłe wnętrzności. Marmurowa Straż kręciła się podejrzanie blisko zwłok, więc kazałem je spalić w przemysłowym piecu. Głód tych istot nie napawał mnie optymizmem.

Wróciłem do domu razem z Valiyą. Wciąż drapała się po rękach.

– Jeden wróg z głowy – stwierdziła.

– To zawsze coś – zgodziłem się – ale Saravor nie jest naszym prawdziwym wrogiem. Ten nadciąga przez Nieszczęście z całą armią, magami i bronią, która może przełamać naszą ostatnią obronę.

– Nigdy nie byłeś defetystą – zauważyła Valiya.

– Wciąż nim nie jestem, po prostu obserwuję sytuację i szacuję nasze szanse.

– Rozumiem – odrzekła. Wbijiała wzrok w drogę. – Wojsko jest prawie gotowe do wymarszu. Davandein bardzo się śpieszy. North otrzymał świeże rozkazy od Pani Fal. Bezimienni chcą, żeby serce jak najszybciej znalazło się na miejscu.

– Będziemy gotowi. Możemy wyruszyć po następnym deszczu. Wciąż nie zmieniłaś zdania?

– Nie mam dokąd pójść – odparła. – Tutaj wydarzy się wszystko, na czym mi zależy.

Odnieśliśmy zwycięstwo, w pewnym sensie. Część żołnierzy zginęła, ale żołnierze prędzej czy później zawsze umierają, a wykluczenie Saravora z gry to duże osiągnięcie. Przez niego wszystko niemal się spierdoliło w zmrożonej krainie. Świadomość, że już nie będę musiał stale oglądać się przez ramię na jego

naprawionych, przynosiła mi ulgę, ale to był tylko jeden z ciężarów, które dźwigałem. Valiya była posepna i zniechęcona. Trzymała się na dystans od chwili naszego ponownego spotkania. Podczas wygnania w Nieszczęściu wspominałem jej delikatny kpiący uśmiech. Teraz mi go brakowało.

– Powinniśmy to uczcić – powiedziałem. – Chodź, znam dobre miejsce. Mają prawdziwe mięso krabów sprowadzone aż z wybrzeża.

– Nie jesteśmy odpowiednio ubrani na kolację – odparła.

– Jakie to ma znaczenie?

– Jak tylko nas zobaczą, każą nam wracać do Nieszczęścia. Ty jesteś zrobiony z metalu, a ja mam lusterka zamiast oczu. Jaki szanujący się lokal nas obsłuży?

– Nie mówiłem, że to szanujący się lokal. No chodź, bez dyskusji.

Nie posłała mi uśmiechu, na który liczyłem, ale poszła ze mną.

Valengrad leży bardzo daleko od morza, mimo tego w Solniczce rzeczywiście podawali potrawy ze zwierząt sprowadzanych z wybrzeża. Serwowali to, co akurat zdołało przeżyć w ich zbiornikach i co udało się z nich wydobyć bez utraty palców. Nie mieli osobnych stolików, tylko sadzali gości ramię przy ramieniu na długich ławach, a kelnerzy przynosili dzbanki piwa. Nie była to wyszukana ani kulturalna knajpa, chociaż miała w jadłospisie egzotyczne potrawy. Cechowała ją jednak pewna prostota, którą zawsze ceniłem.

– Co za... ciekawe miejsce – powiedziała Valiya, siadając naprzeciwko mnie. Na drewnianym blacie stołu klienci wycinali swoje imiona oraz listy potraw, które udało im się pochłonąć. Gdzieś tutaj widniało imię Nenn.

– To nie jest najlepszy lokal w mieście – przyznałem. Nagle zawstydzilem się, że ją tutaj przyprowadziłem. Sądziłem, że w zatłoczonej knajpie, gdzie piwo leje się strumieniami, łatwiej wtopimy się w tłum niż w jakiejś eleganckiej jadłodajni, gdzie klienci zachwycają się dwoma paseczkami jagnięcych nerek ułożonych na połówce samotnej cebuli. Pozostali goście byli zbyt zajęci wypłukiwaniem z ust posmaku krabowego mięsa, by zwracać na nas

uwagę, ale kiedy zabierasz kobietę na kolację, dajesz jej do zrozumienia, co o niej myślisz. Może źle to rozegrałem.

– Ależ nie, podoba mi się – odrzekła Valiya. – Kojarzy mi się z domem nad morzem. Co powinniśmy zjeść, by uczcić porażkę wroga?

– Zazwyczaj zamawiam to, co uda im się wydobyć ze zbiornika. Już dawno tu nie jadałem. Ani nigdzie indziej.

Kelnerka przyszła przyjąć zamówienie.

– Nie macie wina, prawda? – spytała Valiya, a dziewczyna pokręciła głową. – W takim razie piwo.

– Dla mnie tylko wodę – poprosiłem.

Nie wiedziałem, że Valiya pije, i wyraźnie nie miała w tym wprawy. Jeden kufel piwa wystarczył jej na cały wieczór, ale to nic złego. Ja sam już nie czułem dawnej potrzeby, żeby zalać się w trupa. Jeśli miałbym wskazać jakąś zaletę przebywania w Nieszczęściu, to było nią zerwanie z dawnym nałogiem. Chociaż obecnie wcale nie czułem się lepiej. Przyniesiono nam jakieś martwe morskie zwierzę, zapewne nie kraba, ale wyglądało tak, jakby kiedyś żyło w skorupie. Mięso nie było szczególnie smaczne, ale podano także chleb z masłem, a ja nie jestem wybredny. Nie wiedziałem, czy Valiya dobrze się bawi, czy tylko robi dobrą minę do złej gry, żeby mnie nie zasmucić.

Przez jakiś czas rozmawialiśmy o różnych drobiazgach. O tym, jak daleko Tnota i Giralt zawędrowali, jak dobrze Amaira przystosowała się do swojego nowego życia i jak podczas śniadania Dantry zapomniiał języka w gębie w jej obecności. Chyba powinienem z nim pomówić.

– Amaira opowiedziała mi, co widziałeś w lodowych jaskiniach – zagaiła Valiya. Nastrój nagle stał się nieco poważniejszy i pojawiła się między nami bariera niezręczności.

– Wszyscy widzieliśmy tam wiele rzeczy, których nie mieliśmy ochoty oglądać – odrzekłem.

– Mówię o Elizabeth – ciągnęła Valiya.

– Wiem.

– Nie byłam z tobą szczerą – dodała i odwróciła wzrok. – Widziałam ją. W lodowej grocie. Widziałam ją pod pęknięciem.

Znieruchomiałem z porcją zapewne-nie-krabowego mięsa w połowie drogi do ust. Odłożyłem widelec na talerz.

– Dlaczego to zrobiłaś?

– Nie wiem – odrzekła. Ale dobrze wiedziała. Oboje zdawaliśmy sobie z tego sprawę. Pociągnęła duży łyk z kufła. – Spanikowałam. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Wróciłeś po tylu latach, a wtedy ona też się pojawiła. Widziałam ją tylko raz, kiedy nas ocaliła, ale...

Zrobiło mi się zimno.

– Ale co?

– To nie była moja sprawa – dodała ze złością. – Pojawiła się tam dla ciebie. Zawsze ci pomaga. Nie jestem częścią tego, co was łączyło. Nigdy nie będę. Nawet w takiej chwili byłam intruzem. Ona zawsze będzie miała twoje serce.

Minęło dziesięć lat. Dziesięć lat, a ta rana wciąż się nie zabiłiła.

– Zawsze – przyznałem. Musiałem być szczerą. – Pewnie to rozumiesz. Wiesz, jak to jest kogoś stracić.

– Owszem – przytaknęła Valiya. – Ale przynajmniej u mnie sprawa była jasna. Davan umarł i zniknął. Nie musiałam żyć ze świadomością, że wciąż istnieje. – Posłała mi spojrzenie, z którego wyczytałem, że mnie rozumie. Zawahała się, a potem położyła swoją drobną, kościstą dłoń na moich poranionych knykciach.

– Kiedy kogoś tracisz, zawsze jest ciężko – odrzekłem. – Nie proszę o specjalne traktowanie. Dziesięć lat to mnóstwo czasu. Załóżmy, że ona by przeżyła i odnieśliśmy pełne zwycięstwo. Że nigdy bym jej nie zawiódł. Często to sobie wyobrażałem. Może bylibyśmy szczęśliwi razem. Ale kiedy zobaczyłem ją pod tamtym pęknięciem... to nie była ona. Nie tak naprawdę. Już nie.

– Przyszła do ciebie – powiedziała łagodnie Valiya. – Przez śmierć. Przez światło. Przez inny świat.

– Wiem – przyznałem. – I będzie mogła na mnie liczyć w potrzebie.

Valiya uśmiechnęła się do mnie smutno.

Na zewnątrz rozległ się jakiś hałas, jakby zaskrzypiały potężne wiekowe drzwi, których nie otwierano od stuleci. Nagle z niepokojem popatrzyliśmy sobie w oczy, odstawiliśmy naczynia i wyszliśmy na chłodny wieczór. Wszechobecny odgłos dobiegał z nieba. Nagle zafalował, a pęknięcia, nieruchome i zastygłe na swoich miejscach od dnia, gdy niebo się rozdarło, zaczęły się wyginać.

– Co się dzieje, na piekła? – westchnęła Valiya.

Światło po drugiej stronie pęknięć kłębiło się i parowało, a ja pomyślałem, że może jest już po wszystkim. Może to koniec świata. Jeśli te pęknięcia się rozerwą, nie sposób przewidzieć, co się stanie. Stałem bezsilny, czekając na unicestwienie. Chciałem chwycić Valiyę za rękę, ale oddaliła się ode mnie o kilka kroków.

– O nie – szepnęła.

Z pęknięć wydobyły się ciemne skłębione obłoki i zalały niebo. Błyskawicznie rozprzestrzeniały się we wszystkich kierunkach, ocieniając ziemię. Valiya ruszyła w stronę muru, a ja zawołałem do niej, żeby wróciła, ale mnie nie słuchała.

Zerwał się silny wiatr i obłoki przetoczyły się nad miastem. Ludzie, którzy wyszli zobaczyć, co się dzieje, wrzeszczeli i przewracali się na ulicy. Podmuch mną wstrząsnął, ale utrzymałem się na nogach, podczas gdy Valiya chwyciła chwiejający się słupek. Niebo warczało, wiatr ryczał, a potem spadł deszcz. To była ściana wody, rozszalałe strumienie, które lśniły jak obsydian w fosowym świetle. Zanim się zorientowałem, cały byłem przemoczony i skóra zaczęła mnie palić.

Krzyki zagłuszały nawet szum ulewy i żalobną pieśń wiatru. Przez soczewki gogli zobaczyłem, jak Valiya pada na ziemię. Podbiegłem do niej i ją podniosłem. Targały nią drgawki i skurcze, źrenice uciekły do góry, na usta wystąpiła piana. Moja skóra wzmocniona w Nieszczęściu powstrzymywała ból. Pobiegnę do Solniczki i wepchnąłem się do środka przez tłum szczęściarzy, którzy próbowali wciągnąć jednego z powalonych towarzyszy. Na ulicy leżało dużo ludzi, a ja nie mogłem im pomóc. Nie mogłem niczego

dla nich zrobić. Czołgali się, wyjąc, jakby opadł ich rój szerszeni, i na óslep szukali schronienia.

Deszcz miał spaść dopiero za osiem dni. Światła tańczyły mi przed oczami, a w głowie pojawiały się powykrzywiane obrazy.

Zaniosłem Valiyę do baru i wybiłem pięścią dziurę w beczce z piwem. Obficie splukałem ciemnym płynem jej odsłoniętą twarz i dłonie, a potem wylałem resztę zawartości na siebie. Kiedy opróżniłem beczkę, poszedłem po następną. Barman początkowo z przerażeniem zerkał to na mnie, to na swoje zapasy, ale był porządnym człowiekiem, więc po chwili zaczął w ten sam sposób pomagać innym ludziom wnoszonym z zewnątrz. Zza okien dobiegały wrzaski, gdy deszcz zalewał umysły pechowców falami chorych obrazów.

Nie byłem na nie odporny i wkrótce też mnie dopadły.

Zatoczyłem się i upadłem na bar, rozbijając szklanki, zrzucając na podłogę brudne talerze i ości. Zobaczyłem przed sobą znajomą smutną i znużoną twarz, ale oczy Nalla były surowe i skupione. Wpatrywały się we mnie, a ja próbowałem wyrzucić je z głowy. Niewyraźnie zdałem sobie sprawę, że podłoga uniosła się, ruszając mi na spotkanie. Twarz Nalla zniknęła. Ujrzałem miejsce mocy, tym razem niezniszczone i spokojne pod nienaruszonym niebem. Trzy postaci siedziały skulone i zamrożone w lodzie, a czwarta stała obok nich. Elizabeth, pochwycona w światło, z kosmykami płomieni skaczącymi wzdłuż jej rąk i skroni, pokrzykiwała na nich ze złością. Lód zaczął pękać, gdy Wronia Stopa obrócił w jej stronę skrzywioną głowę.

Spadające gwiazdy przesłoniły wszystko. Pędziłem coraz szybciej przez szalone deszczowe wizje. Czuję czern, pozbawioną światła ciszę na dnie najgłębszego oceanu oraz ogromną i straszliwą obecność czegoś, co poruszyło się pode mną, pogrzebane pod milą osadu i kamienia. Widziałem odpływające strumienie magii, które kołysały się jak wodorosty. Istota w dole była zbyt wielka. Zbyt przerażająca, a zarazem znajoma.

Moja matka nachyliła się nade mną, ganiąc mnie i burcząc. Moje białe lniane spodnie miały podartą nogawkę i kolana poplamione



trawą po tym, jak razem z bratem walczyliśmy i turlaliśmy się po ziemi. Zaraz przyjdą goście, co mi przyszło do głowy?

Jakiś płyn w moich ustach, znajomy smak kiepsko postarzałej brandy. Migoczące światła trzaskały i mieniły się na skraju pola widzenia, a po chwili znów zobaczyłem bar. Deszcz dalej syczał na zewnątrz, paliła mnie podrażniona i poparzona skóra. Wizerunek Nalla odcisnął mi się przed oczami i wciąż się we mnie wpatrywał. Potem zaczął blaknąć, a zanim zniknął, po raz ostatni powoli skinął głową.

Podczołgałem się do Valiyi. Jej ciało dygotało.

– Masz wannę? – spytałem barmana, który nosił kolejne butelki uratowanym ofiarom. Niektórzy wybiegli na zewnątrz i ściągnęli kolejnych nieszczęśników, którzy także wymagali pomocy.

– Nie – odparł i pośpiesznie się oddalił.

Miejsca, w których mokre ubranie dotykało skóry, piekły jak pod dotknięciem igły tatuażysty. Musieliśmy się ich pozbyć i osuszyć. Przeciągnąłem Valiyę do kuchenki, na której kipiała zupa z owoców morza, zdjąłem ciężki gar i przywołałem krępa kobietę, która nie była tak tępa jak my i została pod dachem.

– Moja przyjaciółka musi się wysuszyć. Niech pani porozcina jej ubrania i okryje ją tym. – Podałem jej swój prochowiec, który zostawiłem na wieszaku, kiedy wszedłem do lokalu. Kobieta wyglądała jak matka, która musiała robić znacznie gorsze rzeczy dla wielu dzieci, więc natychmiast zabrała się do pracy.

Wstyd Valiyi miał znaczenie, ale mój nie. Rozebrałem się do bielizny i stanąłem niezgrabnie, ukazując dziwaczną złotą skórę i twarz pokrytą białym pudrem. Przyciągnąłem kilka zaniepokojonych spojrzeń, ale ludzie mieli większe zmartwienia niż mój wygląd.

Niebo się rozdarło i spuściło odbierający zmysły deszcz. Za wcześniej. Ilu ludzi zaskoczyła ta nagła ulewa? Wciąż czułem w umyśle echa wizji. Oczy Nalla, takie smutne. Świadome. Już dwukrotnie byłem świadkiem jego śmierci. Ale ta śmierć była inna. Ostateczna. Kiedy Zimny umarł, wybuchł, a jego zgon wyrwał

w ziemi dziurę tak głęboką, że nawet Nieszczęście nie było w stanie jej wymazać.

Nall odszedł, a niebo poczuło to jeszcze mocniej.

Straciliśmy jednego z Bezimiennych.

To nie do pomyślenia. Przez całe moje życie było ich czworo. Wronia Stopa, który działał za kulisami, knując i manipulując. Pani Fal, która strzegła oceanów i karała wszystkich wysłanników Królów Głębi, którzy próbowali rozwinąć żagle. Płytki Grób, mroczny i ukryty, który wychodził tylko pod osłoną nocy. No i Nall, który dał nam Maszynę, by nas ochronić, i wędrował pośród nas jako tysiąc zwyczajnych, nierzucających się w oczy postaci. Naszych obrońców zawsze było mniej niż Królów Głębi. Teraz ich szeregi jeszcze się skurczyły, a my byliśmy zgubieni.

Kiedy zginął Zimny, jego kapitanowie umarli razem z nim. Ogarnęła mnie groza, ale Valiya wciąż żyła. Nie wiedziałem, co się wydarzy, gdy nadejdzie ta chwila. Wołałem o tym nie myśleć. A jednak Valiya nie eksplodowała. Wciąż oddychała. To zawsze coś.

Po dwudziestu minutach deszcz ustał. Mógłby padać bez końca. Nie obowiązywały już żadne zasady. Woda w kolorze nocy płynęła rynsztokami i nikt nie śmiał wyjść na zewnątrz. Wyjrzałem przez okno. Czyjeś zwłoki dygotały na środku ulicy. Nie udało nam się wszystkich ocalić.

Valiya ocknęła się, gdy przestało padać. Popatrzyła na mnie szeroko otwartymi srebrzystymi oczami, a potem zmarszczyła czoło, otworzyła usta i rozpaczliwie załkała. Przyciągnąłem ją do siebie, a ona wtuliła twarz w moją pierś i oplakiwała odejście legendy. Długo ją przytulałem, nic nie mówiąc, ponieważ nie miałem słów na to, co się stało.

– Widziałam wszystko – powiedziała.

– Co widziałaś?

– Upadek Wron – odrzekła. – Wiem, co zrobili.

Nie powiedziała nic więcej, a ja wiedziałem, że nie powinienem dopytywać. Ja także widziałem, jak to się zaczęło. Elizabeth stała nad Bezimiennymi i ich łajała. Mógłbym się uśmiechnąć, gdybym nie był tak obolały, wystraszony i zasmucony śmiercią boga.

Kiedy Valiya się ode mnie odsunęła, na mojej piersi pozostały lśniące smugi rtęci. Znaczyły także zapadnięte policzki Valiyi jak gałęzie zimowych drzew. Kiedy znów otworzyła oczy, były niebieskie, piękne i ludzkie. Podwinęła rękawy i popatrzyła na swoje ręce. Liczby przestały się poruszać. Znieruchomiały w postaci niewyobrażalnie złożonych wzorów. Valiya wpatrywała się w nie, przesuając wzrokiem od lewej do prawej strony. Na skórze pojawiły się nowe litery zapisane srebrem, które było w jej oczach. Przycisnęła rękę do piersi, ukrywając je przede mną.

– Co to jest? – spytałem.

– Ostatnia wiadomość – wyjaśniła. – Od Nalla. Jego ostatnia myśl.

– Co powiedział?

Pokręciła głową.

– Teraz już znam swoją rolę – powiedziała. – Wiem, co mam zrobić. – Starła srebrną smugę z twarzy rękawem mojego płaszcza i odezwała się przez zaciśnięte zęby. Jeszcze nigdy nie widziałem w jej oczach takiej determinacji. – Nall odszedł, ale wciąż możemy wygrać. Ty i ja, Ryhalcie. To jeszcze nie koniec.

# 24

W trudnych chwilach Valengrad jednoczy siły. Mieszkańcy wpuszczali do swoich domów nieznajomych, którzy byli na zewnątrz, gdy spadł deszcz. Ale przed próg Maud wciąż znoszono ogromną liczbę pechowców.

Sześćdziesiątych tysięcy armia Davandein miała jeszcze mniej szczęścia.

Mieszkali w woskowanych namiotach i radzili sobie z deszczami, które od lat padały równo co jedenaście dni. Rutyna zapewnia bezpieczeństwo. Ale kiedy rozpętała się ulewa, akurat odbywali musztrę w odległości mili od obozu i tysiące żołnierzy nie zdołały znaleźć schronienia.

Niektórzy umarli. Inni całkowicie postradali zmysły. Stałem obok Davandein i patrzyliśmy na prowizoryczny szpital polowy, ogromny płócienny dach, pod którym tłoczyli się szlochający i jazgoczący ludzie.

– Najpotężniejsza armia, jaką miasta Dortmarku kiedykolwiek wystawiły – odezwała się marszałek z goryczą. – Najlepsi żołnierze, jakich można wynająć, muszą opiekować się dwudziestoma tysiącami bełkoczących ludzkich wraków. – Była blada i mocno zaciskała szczęki.

– Niektórzy z nich wrócą do zdrowia – odrzekłem. – Przynajmniej możemy mieć na to nadzieję.

– A co potem, Galharrow? Wyruszymy, licząc na to, że deszcz ponownie nie spadnie? Ta jedna ulewa zadała nam druzgocący cios. Mamy wmaszerować do Nieszczęścia w nadziei, że pogoda będzie nam sprzyjać? – Wściekle potrząsnęła głową, jakby chciała wyrzucić z niej gorzkie myśli. – To nawet nie był atak wroga, tylko przekłete

niebo. Czy właśnie tak to wygląda? Koniec świata? Znaleźliśmy się na krawędzi?

– Zawsze staliśmy na skraju świata – odparłem. – Dlatego to jest takie ważne. Jesteśmy ostatnią linią obrony, pani marszałek. Od zawsze tak jest.

Zeszliśmy do szpitala. Dach wykonano z grubego brezentu zabezpieczonego woskiem, który miał powstrzymać kolejny deszcz, gdy ten nieuchronnie nadejdzie, by nas dręczyć. Pod spodem mężczyźni i kobiety, dumni żołnierze i obsługa obozowiska, leżeli przywiązani do swoich pryczy. Ich towarzysze starali się za wszelką cenę złagodzić ich cierpienia i owinęli liny szmatami, ale rzucający się ludzie i tak boleśnie się o nie ocierali. Niektórzy nieruchomo patrzyli w górę i coś bezgłośnie mówili. Inni płakali, bełkotali albo błagali.

– Nie chcę tego widzieć – szeptał raz za razem młody kanonier. – Nie chcę tego widzieć. Zabierzcie to. Zabierzcie. – Twarz miał podrapaną i pokrytą bąblami od deszczu.

– Wyrwał mi serce – mówiła jedna z kobiet, drapiąc się po piersi. – Oddaj je! Oddaj mi serce!

– Nie słuchajcie jej, jest szalona – powiedział ktoś. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że nie odezwał się do nas, tylko dyskutuje z powietrzem. – Co ona może wiedzieć? Nic. Zignorujcie ją. Ona kłamie.

– Śpiący – zaskrzeczał jakiś staruszek. – Nadchodzi. Poddajcie się mu. Poddajcie się Królom.

– Jest dla nich jakaś nadzieja? – spytała Davandein.

– Nie wiem. – Rzeczywiście nie wiedziałem.

Przeszliśmy między rzędami pryczy. Davandein musiała się tutaj pokazać. Nie ze względu na pacjentów – oni już jej nie poznawali – ale ze względu na ich opiekunów. W ten sposób pokazywała, że jej zależy i jest świadoma ich losu. Współczucie buduje lojalność, a ona jej potrzebowała.

Skala tragedii była przerażająca. Armia, z którą obroniłem Valengrad, była mniej liczna od tego szlochającego i majaczącego tłumu. Zauważyłem coś pod jednym z łóżek: małą jakby glinianą

figurkę, nie większą od mojego palca. Wysysacz. Wyciągnąłem go i rozdeptałem. Salowi codziennie wypatrywali tych małych potworów, ale wciąż przywabiała je tutaj ludzka rozpacz, a może po prostu materializowały się w powietrzu. Davandein miała rację. Świat się kończy. Nawet jeśli zdołamy powstrzymać Królów Głębi, jak możemy przetrwać, gdy niebo zniszczy wszystko, co próbowaliśmy zbudować?

– Mój plan nie zadziała – odezwała się marszałek.

– Nie – przyznałem. – Wystarczy jedna taka nawałnica w Nieszczęściu i żołnierze postradają życie. Nie dotrą do Adrogorska. Wyślemy ich na pewną śmierć.

– W takim razie przegraliśmy – stwierdziła. – Mamy broń Bezimiennych, ale nie możemy jej naładować.

– Możemy – odparłem. – I zrobimy to.

– Jak?

Sytuacja nie wyglądała dobrze. Ale pozostało nam kilka możliwości.

– Potrzebujemy zadaszonych wozów – rzekłem. – Zwierzętom deszcz nie przeszkadza. Działa tylko na ludzi. Okryjemy wozy brezentem, dzięki czemu zapewnią nam schronienie przed ulewą. Jeden wóz na tuzin ludzi.

– Więc będziemy potrzebowali pięciu tysięcy – odparła Davandein z przerażeniem. – Nawet gdybyśmy dysponowali niezbędnymi środkami – a nie dysponujemy – to karawana tej długości ledwie by się wlekła.

– Zabiorę każdego, kogo zdołamy wyposażyć. W ostateczności wystarczy, jeśli dołączą do mnie kapitan Amaira, kapitan Klaunus i jeden Przędzacz, który obsłuży wrzeciono podczas zaćmienia. Winter też z pewnością zechce nam towarzyszyć. Wezmę każdego żołnierza, który będzie gotowy.

Oblicze Davandein stężało. Odepchnęła od siebie rozpacz, jak przystało na żołnierza.

– Od razu wydam stosowne rozkazy. Ale nie zdołamy przygotować zbyt wielu ludzi. Mogą nie poradzić sobie z Nieszczęściem.

– Przetrwiałem tam dłużej, niż ci się śniło – odparłem. – Ja będę się martwił Nieszczęściem.

– A jeśli Królowie Głębi doprowadzą swoich wojowników do Adrogorska przed wami? Potrzebujesz żołnierzy. – Desperacki plan, ale nie mieliśmy innego. – Poślę z tobą Marmurową Straż i wszystkich ludzi, których uda mi się powołać.

– Nie podoba mi się Straż – odparłem. – Nie ufam im.

– Kiedy Bezimienni przysyłają nam broń, lepiej nie kręcić na nią nosem. To prawda, że są inni niż my. Ale każdy z nich jest wart dwudziestu żołnierzy. Trudno marzyć o lepszej ochronie, a poza tym deszcz w ogóle na nich nie działa. Wytrzymali całą nawałnicę. Zabierzesz ich, ponieważ to zadanie jest ważniejsze od twoich sympatii i uprzedzeń. Znajdę ci także Przędzarzy.

– Dobrze – odrzekłem. – Zabiorę Straż oraz wszystkich Przędzarzy i żołnierzy, których zdołasz zmobilizować. Wszystko, co najlepsze.

– Doskonale. Kapitan North również do was dołączy.

– Jemu także nie ufam.

– To on dostarczył nam schemat wrzeciona od Pani Fal. Będzie przydatny. Twierdzi, że Królowie Głębi wystawili armię dziewięćdziesięciu tysięcy robotli, którzy wkrótce wkroczą do Nieszczęścia.

Chociaż nie byłem zachwycony, potrzebowałem wrzeciona.

– Wiem, co Wronia Stopa zamierza – zacząłem, ale przerwało mi gwałtowne falowanie klatki piersiowej. Wykrztusiłem kolejną porcję szlamu z Nieszczęścia. Davandein patrzyła na mnie w milczeniu. – Przynajmniej częściowo – ciągnąłem, gdy atak minął. – Ale Pani Fal i Płytki Grób są dla mnie niewiadomą. Chcą naładować serce potwora, a co potem? Które z nich go użyje? Martwię się, pani marszałek. Obawiam się, że ich pozorna zgodność to tylko gra. Przekażemy im moc zaćmienia zaklętą w skamieniałe serce i co wtedy?

Davandein poruszyła się niespokojnie. Miała ponurą twarz.

– Wtedy dowiemy się, czy słusznie im zaufaliśmy.

– Królowie Głębi nie będą beczynn timer czekać. Oboje o tym wiemy. Nie chcę, żeby dotarli do Adrogorska przed nami. Nawet Straż nie

zdołałaby przebić się przez tyłu roboli.

Davandein pokiwała głową.

– Przygotuję wozy. Kiedy będziecie gotowi do drogi?

– Zaćmienie nie będzie na nas czekać – odrzekłem. – Wyruszymy jutro rano. Spotkam się z twoimi ludźmi w stacji trzy-cztery. To najlepsze miejsce do wymarszu.

Nagle jedna z mijanych pacjentek spróbowała usiąść.

– Ryhalcie – odezwała się. – Tak mi przykro, że muszę to zrobić. Przepraszam, że nie mogę na ciebie poczekać. Nie wytrzymam dłużej.

Jej głos pobrzmiwał głuchym metalicznym echem. Poczułem, że moje gardło zaczyna się zaciskać.

– Skąd znasz moje imię? – spytałem.

– Musimy działać natychmiast – powiedziała. – Wszelkimi sposobami, za wszelką cenę. Na co czekasz?

Już nie mówiła do mnie. Popatrzyła wzdłuż niekończących się rzędów łóżek, a potem wybuchła śmiechem, jednocześnie szarpiąc krępujące ją sznury. Pod wpływem jej krzyków pacjenci na sąsiednich pryczach zaczęli stękać i szlochać, aż w końcu cały szpital rozbrzmiewał ich szaleństwem. To nic ważnego. Może się przesłyszałem.

Nenn i Venzer uklękli po obu stronach jej łóżka i zabrali się do rolowania cygaretek. Dziwne, że potrafili zachować spokój, gdy wszyscy wokół dostawali obłądu.

\* \* \*

– Wyruszamy jutro – oznajmiłem.

Valiya pokiwała głową, nie podnosząc wzroku. Rozłożyła na stole schematy i teraz je przeglądała. To było wrzeciono, które mieliśmy przetransportować przez Nieszczęście, sprzęt wyjątkowej konstrukcji. Kartki miały dziwnie metaliczny połysk. Pani Fal uczyniła je niezniszczalnymi.

Nalałem sobie kubek wody i usiadłem naprzeciwko Valiyi.

– Nie musisz jechać – powiedziałem.



– Już o tym rozmawialiśmy. Nie mam innego wyjścia.

– Nie chcę, żebyś jechała.

Podniosła wzrok znad metalicznego arkusza.

– Przyda ci się każda pomoc – stwierdziła. – Davandein się zgodziła?

– Wysyła z nami Marmurową Straż. Oraz Northa.

– Wiedzieliśmy, że będzie się upierała przy tych pierwszych, i obawialiśmy się tego drugiego – przyznała. – Nie da się tego uniknąć. Kogo wysyła do obsługi wrzeciona?

– Kanalinę. Ona też mi się nie podoba.

– Jest dobra – odrzekła Valiya. – Wykonuje rozkazy. Poza tym nie posłała cię na koło tortur, gdy miała okazję.

– Może po prostu nie lubię ludzi – stwierdziłem. – Gdzie Dantry?

– Na górze – rzekł Maldon, wychodząc z piwniczki z butelką wina w dłoni. – Razem z Amairą.

Przez chwilę czułem się nieswojo. Valiya wbijała wzrok w lśniące kartki z niepotrzebnym skupieniem. Maldon uśmiechnął się wrednie spod szala, którym zakrywał dziurę na twarzy.

– Co tam robią?

Maldon zaczął lubieżnie poruszać biodrami.

– Przestań – burknęła Valiya. – Opowiada jej o Nieszczęściu. O tym, czego może się tam spodziewać.

– Podczas szkolenia nauczyłem ją wszystkiego o Nieszczęściu – odparłem, marszcząc czoło.

– Aha. W takim razie nie wiem, co robią. Ryhalcie! – zawołała, kiedy ruszyłem w stronę schodów. – Nie rób tego.

– Czego?

– Nie sprawdzaj, co robią. Jeśli Amaira chce udawać, że potrzebuje opowieści Dantry’ego o Nieszczęściu, to niech korzysta z jego mądrości. Czy jest w tym coś złego. – To nie było pytanie.

– Nie powinnaś z nami jechać. – Maldon niespodziewanie odezwał się do Valiyi. – Powiedz jej, Ryhalcie. Powiedz jej, dlaczego musi zostać.

– Jadę – odparła Valiya.

– Możesz się z nią kłócić, jeśli chcesz – odrzekłem. Byłaby to dla niego przegrana bitwa, podobnie jak dla mnie.

– Mamy zadanie do wykonania, a ty nie odgrywasz w nim żadnej roli – powiedział Maldon. – Ja jestem niezbędny. Dantry także. Udział Ryhalta jest kluczowy. Ale ty tylko nas rozpraszasz.

– Mam rolę do odegrania – sprzeciwiła się Valiya. – Wiem, do czego jestem potrzebna. Mój udział jest równie ważny jak każdego z was. O tym traktowała ostatnia wiadomość Nalla.

– Czyżby? – parsknął Maldon. – A cóż w niej było?

– Musicie mi zaufać – odparła Valiya. – Nie będę wam przeszkadzała.

– Przeszkadzasz nam samą swoją obecnością – burknął Maldon. – Mieszasz w głowie Ryhaltowi. A on nie może być rozkojarzony, kiedy dotrzemy na miejsce.

– Daj spokój – ostrzegłem go. – Idź napić się wina i przestań nękać dorosłych.

– Tani chwyt – odparł Maldon. Odwrócił się od nas i oddalił, ale po drodze strzelił palcami i wszystkie rurki z fosem zgasły.

– Włącz je z powrotem! – zawołałem za nim, ale mnie zlekceważył. – Co za gnojek – mruknąłem, ruszając do piwnicy, by nakręcić zapłonnik i zapalić światła. Kilka obrotów korbą przywróciło przepływ fosu i w pomieszczeniu znów zrobiło się jasno.

Wróciłem do pracowni i zobaczyłem Amairę i Dantry'ego schodzących z piętra.

– To znowu sprawka Maldona? – spytał Dantry.

Z irytacją uniosłem brew, ale nie skojarzyłem, że jestem bardziej zdenerwowany na niego niż na drobnego, niezwykle irytującego nieśmiertelnego. Amaira sprawiała wrażenie nadspodziewanie radosnej, zważywszy na to, że rano wyruszyliśmy ku końcowi świata.

Popatrzyłem na tę dziwną rodzinę. Spędziliśmy bez siebie sześć lat, zajmując się tym, co było konieczne, a teraz, bez szans na odpoczynek ani ponowne zapoznanie się i odkrycie, jak bardzo zmieniliśmy się przez te lata, musieliśmy rzucić się prosto w paszcze

rzasek. Gdyby to ode mnie zależało, zostawiłbym ich wszystkich. Odesłałbym ich na zachód, do dalekich krain, w których nie słyszano o Królach Głębi, a serca lodowych potworów pojawiają się tylko w opowieściach, którymi straszy się dzieci.

– Przygotujcie się – powiedziałem. – Jutro wracamy do piekła.

## 25

Markotna procesja wędrowała zatopiona w swoich myślach, kierując się na północ szlakiem dostawczym do stacji trzy-cztery. Długorogi ciągnące wozy nie mogły dotrzymać kroku niestrudżonym członkom Marmurowej Straży, którzy maszerowali równym tempem na swoich długich nogach i często zostawiali nas w tyle. Nie odzywali się, ale rozumieli moje rozkazy i zawsze czekali na nas w ustalonych miejscach nocnych postojów. Nie potrzebowali schronienia. Od czasu wyjścia ze straków najwyraźniej niczego nie potrzebowali. Pierwszej nocy ustawili się przed stacją trzy-jeden w równych rzędach, otaczając skrzynię z sercem lodowego potwora. Zarzucili halabardy na ramię i czekali na poranny wymarsz. Ich broń zdobiły przedwieczne symbole, których pochodzenia nikt nie znał. Nie miałem wątpliwości, że jeden cios takiego ostrza przerębałby na pół trzy wierzchowce. Straż działała mi na nerwy, ale nikt nie podawał w wątpliwość ich skuteczności. Potężną skrzynię, w której przechowywano strzęp serca, wykonano z czarnego żelaza, a Straż nikogo do niej nie dopuszczała. Nawet mnie.

Staliśmy na skraju Nieszczęścia i spoglądaliśmy w głąb szaleństwa.

Pęknięcia na niebie poszerzyły się i rozszczepiły. Nowe odnogi wyznaczyły nierówne, delikatne ścieżki. Gdy promienie, zwane boskimi światłami, przesączały się przez chmury, opadały z niebios na czarno-czerwone połacie Nieszczęścia jak punktowe reflektory oświetlające surową i niebezpieczną scenę. Niebo wyło pod wpływem bezustannego cierpienia.

Nie mogłem się doczekać powrotu. To była moja kraina. Rozległa, bezkresna, bardziej kapryśna od losu, ale moja.

– Czekamy tylko na żołnierzy, co nie? – odezwał się kapitan North. Związał długie czarne włosy w kucyk, ale zrezygnował z noszenia zbroi.

Mój pancerz jechał na jednym z wozów. Zabrałem go człowiekowi mojego wzrostu, który nie przeżył ulewy. Miałem szczęście; rzadko robi się zbroje płytowe dla ludzi mojej postury. Ale chociaż North nie nosił uprząży, zdobył nową broń: włócznię długą na osiem stóp z czarnym drzewcem pokrytym oceanicznymi symbolami i grotem z materiału, który przypominał jadeit. Było w tym orężu coś niepokojącego. Wyglądał dziwnie znajomo, chociaż nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem.

– Niedługo się pojawią – odrzekłem. Wstał chłodny świt, a skażenie napływało ku nam ze wschodu. – Co to za włócznia?

– Nie tylko twój pan wręcza swoim sługom dary – wyjaśnił North. Nie podobał mi się jego uśmiech. – Pani dba o swoich kapitanów. Wykonała tę broń w kryształowych ogrodach na Pyre. Powali najgorsze potwory Nieszczęścia.

– Szkoda, że nie przysłała ich więcej – zauważyłem.

– Kapitan Klaunus przyprowadzi żołnierzy? – spytał North.

Pokiwałem głową.

– Powinien. – Popatrzyłem mu w oczy. – Kiedy tam wejdziemy, będziesz robił to, co ci każę. Rozumiesz? Jeśli uznam, że działasz na własną rękę, pošlę cię prosto na pole tnącej trawy. Nie podobasz mi się, North. Pamiętaj o tym, kiedy zaczniesz mieć dosyć wykonywania poleceń. To moja wyprawa.

– Jesteś nawigatorem, co nie? – odrzekł swobodnie. – Ale podążamy za planem Bezimiennych. Kiedy dotrzemy do Adrogorska, rozstawię wrzeciono. Ja też za tobą nie przepadam, ale obu nam zależy na powodzeniu. Lepiej nie myśleć o tym, co się stanie, jeśli zawiedziemy.

– Powiedz mi jedno: próbowałeś mnie zabić we Wróźbogrodzie. Ile czasu minie, zanim znów spróbujesz to zrobić?

North pokręcił głową. Uśmiechnął się kpiąco.

– Jestem kapitanem, Galharrow. Zabijamy potwory. Na tym zawsze polegała nasza praca, czyż nie? Ale w cokolwiek się

zmieniłeś, nie możesz się równać z tym, co nadchodzi. Można zabijać czas łowieniem płotek, ale tylko wtedy, gdy lewiatany śpią.

– A kapitan Linette? Josaf? Czym rozgniewali Panią?

– Mam mnóstwo krwi na rękach – odrzekł swobodnie – ale to nie jest ich krew.

Nie dowierzałem mu, ale North z taką otwartością rozprawił o tym, że próbował mnie zabić we Wróżbogrodzie, iż nie widziałem powodu, by wypierał się tamtych zamachów. Nie potrafiłem mu wybaczyć tego, co zrobił Tnocie i Giraltowi. Być może teraz byliśmy po tej samej stronie, ale kiedy to się skończy, wszystkie zasady przestaną obowiązywać.

Popatrzyłem na ludzi, których ze sobą przyprowadziłem. Ostatnia nadzieja Dortmarku i całej ludzkości. Valiya, Dantry, Amaira, Maldon. Ludzie o rzadkich i niezwykłych talentach. Pragnąłem mieć ich przy swoim boku, a zarazem jak najdalej odesłać.

Żołnierze spóźnili się dwie godziny. Ludzie Davandein zmobilizowali się na czas, co świadczyło o ich jakości.

– Ilu mamy żołnierzy? – spytałem generał Kaznę, kiedy podjechała do mnie konno. Znałem ją, gdy oboje jeszcze byliśmy brygadierami. Jej kariera potoczyła się nieco lepiej niż moja. Była żylasta, jej wąską twarz pokrywały ślady po robakach Nieszczęścia, a powyginana zbroja nosiła ślady długiej służby. Osiwiała dobre dziesięć lat temu, ale pasemka w kolorze indygo, charakterystycznym dla jej pułku, stanowiły wspomnienie czasów, gdy walczyła za morzem z dzikimi ludami Karnun. Była profesjonalistką o bogatym doświadczeniu i żołnierzem z krwi i kości. Nie zdradzała, co myśli o mnie.

– Prawie tysiąc – odrzekła. – Najlepsi żołnierze cytadeli. Sami weterani. Mamy trzystu kanonierów, stu łuczników, a reszta to głównie kawaleria. Mam też garstkę inżynierów oraz Przędzarzy.

Żyliśmy w erze prochu, ale łucznicy trenowani od dzieciństwa wciąż potrafili razić wrogów czterokrotnie szybciej od kanonierów. Osobiście zdecydowanie wolałem łuczników, ale trzeba lat, żeby nauczyć człowieka posługiwania się łukiem, a opanowanie rusznicy to kwestia kilku tygodni.

Mieliśmy dziesięcioro bojowych Przędzarzy, wliczając w to Kanalinę, a na pierwszym wozie jechały pojemniki z fosem. Drugi wóz, ciągnięty przez sześć dużych długorogów, transportował wrzeczono rozebrane na części. Żelazna rama była gruba i ciężka, a każda z ogromnych soczewek musiała ważyć tonę. Kiedy dotrzemy na miejsce, Marmurowa Straż złoży urządzenie pod okiem Northa. Towarzyszyli nam także dwaj zapasowi nawigatorzy, ale wiedziałem, że nie zdołają odnaleźć Adrogorska, skoro Nieszczęście tak bardzo zmieniało się wokół miasta. Może mieli wyznaczyć trasę powrotną, gdybym zginął.

– Spóźniliście się – odezwałem się do Kanaliny, kiedy zeszła z wozu. – Gdzie Klaunus?

Pokazała mi, żebyśmy oddalili się o kilka kroków od pozostałych.

– Nie przyjedzie – wyjaśniła. Twarz miała surową i nieruchomą jak posąg. – Nie żyje.

– Nie żyje?

– Samobójstwo – odrzekła ponuro. – Wygląda na to, że wyszedł z pistoletem na szczyt tej swojej wieży zegarowej i przestrzelił sobie głowę.

Klaunus nie był moim przyjacielem, ale był kapitanem Czarnoskrzydłych. Jego śmierć mogła zaszkodzić planom Wroniej Stopy. Pokręciłem głową.

– Na pewno zrobił to sam?

– Drzwi były zaryglowane od wewnątrz, a z wieży nie ma innego wyjścia, chyba że ktoś go zabił, a potem wyskoczył z piątego piętra – odpowiedziała Kanalina. – Musiałam przepalić zamki. Leżał na swoim biurku z dymiącym pistoletem w dłoni. – Pokręciła głową. – Samolubny drań!

Straciliśmy kolejnego kapitana w chwili, gdy był nam najbardziej potrzebny. Wyczuwałem jego rozpacz. Rozumiałem ją. Może powinienem był zrobić dla niego więcej. Zabiłem Silpura i Vasilova. Klaunus strzelił sobie w głowę. Amaira i ja byliśmy ostatnimi kapitanami Czarnoskrzydłych.

– Znałem silniejszych ludzi, którzy wybrali tę ścieżkę – odparłem, wspominając swojego starego druha i dowódcę Venzera, który

właśnie gonił ptaki na dachu pobliskiego budynku. – Lepiej nie mówmy źle o zmarłych. Jego zdolności bardzo by nam się przydały, ale poradzimy sobie bez niego. Zachowajmy to między sobą, żeby nie nadwerężyć morale.

Kanalina ponuro pokiwała głową. Zauważyła Maldona, który był tak znudzony udawaniem ślepcy, na co wskazywał szal wokół jego twarzy, że rozmyślnie zadawał dziecinne pytania, na które znał odpowiedź.

– Co tutaj robi to dziecko? – zdziwiła się.

– Dzięki niemu nawiguję – odpowiedziałem. – Nie przejmuj się. Jest do tego przyzwyczajony. – To była najlepsza wymówka, jaką udało mi się wymyślić, żeby usprawiedliwić obecność Maldona.

– Chyba żartujesz? – westchnęła. – Zabierasz ze sobą dziecko do Nieszczęścia?

– Trudne czasy wymagają trudnych rozwiązań – odparłem. To akurat była prawda, ale i tak ciężko mi było znieść odrazę w jej spojrzeniu. Poświęciłem wszystko. Swoje ciało, stanowisko, nawet reputację. To bez znaczenia. Powtarzałem sobie, że to bez znaczenia.

\* \* \*

Poczułem, jak świat zmienia się pode mną, gdy postawiłem stopę na piasku Nieszczęścia. Jego powitanie popłynęło przez podeszwę buta i zabrzmiało we mnie radosnym chórem. Przeniknęło mnie jak łyk lodowatej wody w letni dzień, zalewając wszystkie cząsteczki mojego ciała, triumfalnie witając magię, którą samo we mnie zaszczepiło, niczym zaginioną córkę. Ból, który próbowałem ignorować, zniknął, a w mojej duszy znużenie ustąpiło miejsca lekkości i euforii. Wkroczyłem prosto w jego objęcia, zaciągając się pięknym egzotycznym aromatem.

– Cieszę się, że do nas wróciłeś, kapitanie – odezwała się Nenn. – Dokąd ruszamy?

– Do Adrogorska – odpowiedziałem. – A niby dokąd? Właśnie tam rozpoczęła się ta długa podróż, czyż nie? Zatem wiadomo, że nie skończy się nigdzie indziej.



– Sądzisz, że poradzisz sobie lepiej niż ostatnim razem? – spytał Betch. Ukochany Nenn wsparł się na jej ramieniu. Cienkie, proste cięcie na jego gardle lśniło czerwienią w karmazynowym blasku Rioque.

– Możemy tylko spróbować – odrzekłem.

– Mam dla ciebie coś na pamiątkę tej podróży – powiedziała Nenn. Uniosłem brew, gdy wręczyła mi żołnierską piersiówkę o szerokiej szyjce i pękatych bokach, ale wykonaną ze srebra. Wytłoczony na niej napis głosił: „Zawsze z Tobą, szefie”. Odkręciłem korek i powąchałem – brandy.

– Rzuciłem picie raz na zawsze – odparłem.

– Zawsze to bardzo długo – rzuciła z szerokim uśmiechem.

Nenn i Betch rozwiali się na wietrze, kiedy podjechała do mnie Valiya. Schowałem piersiówkę pod płaszczem i na chwilę zapatrzyłem się na jej włosy, w których odbijały się barwy nieba, tworząc aureolę w kolorach indygo i fioletu. Zamrugalem, a wtedy efekt zniknął. Valiya uśmiechnęła się do mnie niewyraźnie, ale nic nie powiedziała, tylko skupiła się na dopasowaniu ruchów bioder do kroku wierzchowca. Nie była urodzonym jeźdźcem, ale to nie kołysanie końskiego grzbietu ją niepokoiło.

– Po jakimś czasie będzie ci łatwiej – pocieszyłem ją. – Jeszcze nie napocznaj lukrecji. Im dłużej bez niej wytrzymasz, tym lepiej sobie poradzisz.

– Tak długo żyłam w pobliżu Nieszczęścia, ale nie miałam pojęcia, jak to jest do niego wkroczyć. Czuję, jak się we mnie wsącza. Do mojego nosa, oczu, dziąseł. Na Ducha Miłosierdzia, to jak zimowy mróz wnikający w kości.

– W końcu się do tego przyzwyczaisz – zapewniłem, chociaż to nie była prawda. Nie przywykniesz do Nieszczęścia, chyba że sam się zmienisz. Właśnie tym ono jest: esencją zmiany. Żeby w obiekcie zaszła zmiana, potrzebna jest przyczyna, ale Nieszczęście jest przyczyną bez obiektu. Wszystko wypacza i przerabia, jest kanałem prowadzącym do przypadkowej, niekontrolowanej przemiany. Mógłbym napisać o nim książkę filozoficzną, ale nie da się go

zrozumieć, jeśli nie żyło się w nim tak jak ja, wchłaniając je dzień po dniu.

Wozy wyjechały na piasek. Podróż się rozpoczęła.

\* \* \*

Ryk, który rozbrzmiał w moich kościach, powiedział mi, kiedy Król Głębi Acradius wkroczył do Nieszczęścia.

Nawet nasi najlepsi uczeni nie potrafili wytłumaczyć, czym są Królowie Głębi. O ich początkach opowiada tylko niekompletna legenda. Kiedyś zostali podbici przez Bezimiennych, albo coś jeszcze gorszego, i uwięzieni pod oceanem. Przebywali tam odizolowani, bezsilni i pogrzebani przez niezliczone pokolenia. Potem powstali, zaczęli podbijać, a ich potęga mogła zagrozić Bezimiennym, którzy podobno nad nami czuwali. Giganci. Bogowie. Człowiek był dla nich tym, czym mrówka dla człowieka. Stałem twarzą w twarz z Królem Shavadą w sercu Maszynerii Nalla. Był ciemnością zjednoczoną z czymś jeszcze potężniejszym, a sama jego obecność rzuciła mnie na kolana. Nawet mnie nie zauważył.

Imperator Acradius znacznie przewyższał Shavadę.

Jeśli ja byłem mrówką, a Shavada człowiekiem, to Acradius był jak góra. Jego umysł opadł na mnie, a Nieszczęście zdołało utrzymać mnie na nogach, gdy zewsząd otoczył mnie wyjący wichur, donośny podmuch dziesięciu tysięcy wrzeszczących dusz. Zobaczyłem drugi świat, krainę cienia, która ukrywa się za naszą rzeczywistością, ale Nieszczęście wezbrało, żeby wzmocnić mój kręgosłup, i nawałnica stała się zwykłą burzą.

Góra mnie zauważyła. Wejrzała we mnie. Złowroga, surowa, tak wypełniona bezkresem, że gdy skupiła na mnie tytaniczne spojrzenie, poczułem ciężar oceanu oraz mrok jego głębin. Ale chociaż byłem mrówką, Acradius również poczuł moją obecność. Dzielily nas setki mil, poruszające się, niestałe i skażone połączenie piasku i kamienia, ale on wiedział. Dostrzegł we mnie wroga. Kogoś, z kim warto stanąć do walki.

„Masz serce mojego brata” – powiedział do mnie. Nie za pomocą słów, ale wiedzy, która przebyła dzielącą nas odległość i spadła do mojego umysłu jak młyńskie kamienie. Chociaż był ogromny, nie był pojedynczą istotą. Czułem coś obcego, co kryło się na jego obrzeżach, jak pleśń, która wkrada się do środka i pożera. Acradius nie był tylko Królem Głębi. Zjednoczył się z odrobiną esencji Śpiącego, a ta rwała się w stronę serca, które wieźliśmy w żelaznej skrzyni. W stronę swojego pobratymca.

„To moja kraina – odpowiedziałem. – Rozumiesz, czym się stałem?”.

Nagle otoczyła mnie mroczna obecność, która z groźnym pomrukiem zawirowała ponad setkami udręczonych mil. Nie bałem się. Nie tutaj, w kochających objęciach matki.

„Jesteś wynaturzeniem – szepnął Acradius. – Głosem tego, czego nie da się kontrolować. Ujściem dla jego niedoskonałości. Twoje miejsce jest pod strzaskanym niebem”.

„W takim razie wiesz, że muszę cię powstrzymać” – odparłem.

„Wiem, że spróbujesz – odrzekł Acradius. – Ale rozumiem cię, śmiertelne narzędzie. Twój przywódca cię zawiedli i toczą między sobą gorzkie wojny. Rzucają się na ochłapy władzy, chcąc uciec z nimi przed moją potęgą. To ich nie uratuje. Wszyscy się podporządkują. Wszyscy będą rządzeni”.

– Powiedz mu, żeby spierdalał – podsunęła pomocnie Nenn.

„Już kiedyś cię powstrzymałem – powiedziałem i pozwoliłem, by Nieszczęście popłynęło w moim wnętrzu. Pokazałem Acradiusowi, czym jestem, czym się stałem. – Znowu cię powstrzymam”. Nieszczęście wniknęło głębiej do mojego umysłu, rozzłoszczone obecnością intruza, a potem gwałtownie go wyrzuciło. Wyjący wicher ustał, kraina cienia się rozplynęła. To było takie proste, pozostał tylko ostry chemiczno-metaliczny posmak w moich ustach.

– Ryhalcie! – zawołała Amaira, potrząsając mnie za ramię.

Nie zdawałem sobie sprawy z jej obecności. Poczulem gorącą wilgoć na ustach, podniosłem rękę i otarłem krew ciekącą z nosa.

– Nic mi nie jest.

Amaira otarła mi twarz. Zauważyłem, że Marmurowa Straż przygląda mi się z niepokojącą intensywnością. A raczej przyglądali się zakrwawionej chustce, którą Amaira schowała do kieszeni.

– Ono aż tak bardzo na ciebie działa? – spytała.

Popatrzyłem na piękne światła skrzące się pod piaskiem i żeglujące po niebie. Podobało mi się tutaj.

– W ogóle na mnie nie działa – odrzekłem z uśmiechem. – Jestem w domu.

\* \* \*

W pobliżu Łańcucha nawigacja była prosta. Przyciskałem dłoń do ziemi, odczytywałem najnowsze zmiany i wyznaczałem kierunek. Dziwne, że nikt inny tego nie potrafił.

Typowy nocleg w Nieszczęściu wygląda tak, że dwie osoby śpią oparte o siebie plecami, a trzecia nad nimi czuwa. Stolarze, którzy zbudowali wozy, mieli głowę na karku. Brezent okrywający drewniane ramy był gruby jak podeszwa, więc tylko zdeterminowany drapieźnik przedostałby się przez niego i nie zrobiłby tego po cichu. Z pewnością nie przegryzłyby go skrzelaki, ale wiedziałem, że ich nie napotkamy. Z roku na rok pojawiały się coraz rzadziej, mimo że kiedyś były jednymi z najliczniejszych potworów w Nieszczęściu, i nie wyczuwałem ich w pobliżu. Usiadłem przed wozem, który miałem dzielić z Dantrym, Maldonem i trójką bojowych Przędzarzy. Nie byłem zmęczony, więc tylko wpatrywałem się w drżące niebo, nasiąkając cudami Nieszczęścia i miarowo zaciągając się cygarem. Odkąd wróciłem do Nieszczęścia, uciążliwy kaszel ustąpił i znów odczuwałem lekkość w piersi. Nie czułem się tak, jakbym umierał.

Żołnierze uformowali obronny krąg ze swoich wozów. Z jego wnętrza nie dobiegały żadne rozmowy, śpiewy ani śmiechy. Pierwszy dzień w Nieszczęściu zawsze jest ciężki, ale wszyscy wiedzieli, że dalej będzie jeszcze trudniej. Marmurowa Straż patrolowała obrzeża obozu, dla tych niestrudzonych wartowników sen nie miał znaczenia.

Nenn, Venzer i Betch siedzieli naprzeciwko mnie. Duchy moich wyrzutów sumienia. Cienie mojego poczucia winy. Czasami zapomniałem, że nie byli niczym więcej. Niejasno zdawałem sobie z tego sprawę, lecz nie wydawało mi się to istotne. Dzisiaj się nie odzywali, tylko siedzieli i wpatrywali się we mnie. Obserwowali.

Nenn, moja dzielna krwiożercza wojowniczką. Żyła mocniej niż ktokolwiek, zabijała szybciej, kochała lepiej. Nie zawsze podejmowała właściwe decyzje, ale to tylko upodabniało ją do nas wszystkich. Była za to lojalna i odważna, dlatego nikomu nie ufałem bardziej, niezależnie od tego, jak mocno ją skrzywdziłem. To przede mną straciła nos. Walczyliśmy z bandą zwinniaków, którzy wpadli na nas w Nieszczęściu, a kiedy zamachnąłem się mieczem przez ramię, Nenn obróciła się i czubek ostrza trafił ją w twarz. Takie rzeczy czasami się zdarzają w bitewnym zamieszaniu. Może wiedziała, że to mój miecz ją okaleczył, ale niekoniecznie, w końcu była zajęta walką i oszołomiona bólem. Opatrzyliśmy ją i wróciliśmy do Łańcucha, a ona nigdy więcej o tym nie wspominała. Ja również, jak tchórz.

Marszałek Venzer, Żelazny Koziół, był już stary, zanim trafiłem do Łańcucha, ale miał do mnie słabość. Może widział we mnie coś, co przypominało mu jego własną odległą młodość, a może po prostu podobała mu się moja determinacja. Nie zawsze się zgadzaliśmy, ale zawsze darzyliśmy się szacunkiem. Był dla mnie mentorem, mimo że czasami nie słuchałem jego rad, i pragnąłem się od niego uczyć, nawet jeśli rzadko mi to wychodziło. Odebrał sobie życie, gdy zobaczył, że już nie ma nadziei. Miał rację i nie mogłem go za to winić, chociaż niezmiennie żałowałem, że nie udało mi się go ocalić.

Nie znałem zbyt dobrze Betcha. Kochał moją przyjaciółkę. Zginął bohaterską śmiercią. Byliśmy jeńcami w środku wrogiego obozu, a on tak paskudnie skręcił stopę, że nie mógłby stamtąd wyjść o własnych siłach. Poderżnąłem mu gardło i zniósł to dzielnie. Ale z całej trójki to jego śmierć najbardziej ciążyła mi na sumieniu. Nenn zginęła w walce i ocaliła nas wszystkich. Venzer przeżył osiemdziesiąt lat i został uhonorowany jako bohater. Ale Betch był

tylko skromnym kapitanem, który trafił do Nieszczęścia, ponieważ kochał Nenn. Zasłużył na coś lepszego niż ostrze mojego noża.

Cienie przeszłości mnie obserwowały. Osądzały. Nie były nieznajome.

O tej porze wszyscy już spali, chyba że byli zbudowani z kamienia, więc wstałem i zacząłem oddalać się od obozowiska.

Pierwszy patrzył, jak zanurzam się w ciemności. Członkowie Straży byli niemal identyczni, ale potrafiłem odróżnić go od reszty. Tylko on patrzył na nas jak na żywe istoty. Był nieznacznie bardziej ludzki niż pozostali. Wolałem tych, którzy w ogóle nas nie przypominali. Dzięki temu łatwiej było ich tolerować. Pierwszy obserwował mnie bez słowa i nie ruszył moim śladem.

Zatrzymałem się i przeciąłem skórę na rękę, a krew skapnęła na piasek. Zwróciłem małą cząstkę siebie Nieszczęściu, od którego tak wiele wziąłem. Stworzyłem punkt nawigacyjny.

Korzystałem z Nieszczęścia, żeby działać szybciej. Czytałem w piasku, więc wiedziałem, co znajduje się w pobliżu, i w ten sposób odnalazłem pewną istotę. Była długa, podobna do dżdżownicy i powoli drążyła ziemię pod skałą. Niczego nie jadła. Niczego nie piła. Po prostu istniała. Nie była niebezpieczna. W Nieszczęściu żyją także niegroźne stwory. Nikt poza mną nie domyśliłby się jej istnienia. Znalazłem miejsce, w którym nieudolnie próbowała ominąć formację czarnych gładów, kruchych jak węgiel. Była ślepa i pozbawiona jakichkolwiek znanych nam zmysłów. Wygrzebałem z ziemi jej walcowate ciało, szerokie jak moja dłoń. Już wcześniej znajdowałem takie istoty. Nie da się ich zabić. Nawet po posiekaniu wszystkie kawałki dalej się ruszają.

Można je pochłonąć wyłącznie żywcem.

Pewne rzeczy chciałoby się zapomnieć. Poczułem to za pierwszym razem, gdy zjadłem jedno z tych stworzeń. Chciałem pozbyć się z ust jego smaku, wspomnienia wijącego się i kłębiącego ciała, które napierało na moje dziąsła i przełyk, a potem poruszało się nawet w moim żołądku. Ale tamten dzień już dawno minął. Potrafiłem zignorować fizyczne doznania. Nie miały znaczenia. Kiedy pożarłem mięsiste białe mięso, poczułem, jak moja więź z Nieszczęściem się

wzmacnia. Migotało w moim wnętrzu, dodawało mi siłę, naprawiało mnie i przemieniało. Mógłbym się roześmiać, ale usta miałem zalane śliską brązową mazią, która zawsze wypływa z tych robaków, gdy przegryzie się niewłaściwą rurką, a w tym nie ma nic zabawnego. A może jednak? Zachichotałem. Ależ mi tego brakowało.

Czułem pieczenie w ustach, przełyku, żołądku. Miałem wrażenie, że ktoś przebił mnie nożem i zgiął w pół. Porcja spienionego, białego jak robaki mięsa wypadła mi z ust i dostałem torsji, więc zakryłem usta dłońmi i mocno zacisnąłem powieki. Musiałem to zjeść. Musiałem zachować to, co Nieszczęście mi dawało. Zapomnieć o wszystkim innym. Zapomnieć o tym, co mi robiło, zapomnieć o jego przybierającej na sile, syczącej obecności w moim umyśle. To wszystko nie miało znaczenia. Musiałem to zrobić.

Musiałem to zrobić.

Musiałem to zrobić.

Robiłem to przez lata, tak bardzo skupiając się na swoim celu, że mogłem wszystko usprawiedliwić. Nawet ten koszmar. W krótkich chwilach jasności umysłu rozumiałem, czym się stałem.

Śmiałem się. Nie wiedziałem, że się śmieję. Matka karciała mnie, gdy pakowałem do ust kolejne porcje mięsa robaka, ale jej zachowanie mnie bawiło, zresztą nie słuchałem jej nawet wtedy, gdy żyła. Jeszcze nie skończyłem uczy. Zostało mi kilka godzin do świtu, a zbyt długo mnie tutaj nie było.

## 26

Wiedziałem, że nie wszyscy są prawdziwi. Amaira, Nenn, Dantry i Venzer oczywiście tacy byli, ale podróżowały ze mną także cienie. Torolo Mancono podążał za nami, wykrzykując, że został zdradzony. Towarzyszył nam mój przyjaciel Gleck Maldon, ale teraz był dzieckiem, ślepym i pełnym gniewu, co nie miało ani odrobiny sensu. Cienie przeszłości obmywały mój umysł kolorami i niebiańskim blaskiem. Nie rozmawiałem z nimi, kiedy nie musiałem. Zacząłem się martwić, że Valiya naprawdę jest kobietą, którą kiedyś kochałem, a nie wytworem mojej wyobraźni, i że z jakiegoś powodu pozwoliłem, żeby tutaj ze mną przybyła. Widywałem także Elizabeth z ognistymi włosami i obojętną twarzą rozświetloną blaskiem bijącym z pęknięć na niebie.

Kiedy patrzyłem na tańczące w kręgu trzy widmowe kobiety, zaskoczyło nas stado liniejących. Straż rzuciła się na nich i rozdarła ich na strzępy. Jeszcze nigdy nie czułem się tak bezpieczny w Nieszczęściu.

Moi towarzysze próbowali ze mną rozmawiać. Moi przyjaciele. A przynajmniej tak się określali. Czy naprawdę nimi byli przez ten cały czas? Nie byli Nieszczęściem. Nie byli częścią mnie.

Kiedy zapadała noc, wychodziłem z obozu w poszukiwaniu zbiorników czarnego oleistego płynu, jakie czasami powstają w Nieszczęściu, albo istot pełzających w piasku. Znalazłem ślady małych stóp z pazurami. Było ich kilkadziesiąt, może więcej. To były tropy skrzelaków odcisnięte jedne na drugich, zupełnie jakby stworzyły gęsiego. To ponura, a zarazem komiczna myśl. Przez ostatni rok nie widywałem skrzelaków i nikt o nich nie wspominał, nie licząc tego, który żerował na Nallu. Nienawidziłem tych małych drani, a jeszcze mniej podobała mi się perspektywa spotkania z całym



stadem. Mógłbym zabić i zjeść jednego, ale ślady były stare i skrzelaki już dawno odeszły, dokądkolwiek zmierzały.

Znalazłem padlinę do połowy pożartą przez innego stwora i ją dokończyłem. Dziwne, że kiedyś brzydziłem się zjadania tych istot.

Ezabeth stała pod jednym z niebiańskich światel i mnie obserwowała. Zgarbiłem się pod jej oskarżycielskim spojrzeniem, łapczywie żując ścięgno.

– Zaszedłeś za daleko – powiedziała.

Nie przestawałem żuć. Twarde mięso wchodziło mi między zęby, drażniło dziąsła.

– Ryhalcie – rzuciła, a ja znieruchomiałem na dźwięk swojego imienia. Wydłubałem chrząstkę spomiędzy zębów i wyplułem ją na piasek.

– Co?

– Zatracasz siebie. – Jej głos rozbrzmiewał głucho jak echo w żelaznej grocie.

– I kto to mówi? – odparłem.

– Ja jestem nikiem.

– Jesteś Ezabeth Tanza. – Nie chciałem wracać do tej rozmowy, a ona również nie podjęła wątku.

– Poddajesz się, ale podążasz w niewłaściwym kierunku. To marnotrawstwo. Otacza nas wielka moc, ale nie tylko ty jej potrzebujesz. Kluczem jest człowieczeństwo.

Już gdzieś to słyszałem, ale bardzo dawno i nie pamiętałem od kogo. Odłożyłem udziec, który jadłem, i odwróciłem się w jej stronę. Już nie wyglądała jak moja Ezabeth. Była czymś nie z tego świata, czymś surowszym, co za bardzo kojarzyło mi się z Bezimiennymi. Czymś odległym. Płomienie wesoło tańczyły na rąbku jej sukni i wokół palców.

– Ty też to zrobiłaś? – spytałem. – Poddadaś się?

– Musiałam – odrzekła – w przeciwnym razie by nas tutaj nie było. Ale widzę to jak przez mgłę. Niewiele pamiętam.

– A ja powinienem zapytać nieba, prawda? – odparłem z goryczą. Podniosłem wzrok na ostre białe światło, które rozrywało czerwony

nieboskłon. – Powiedz mi, niebo. Czekam na odpowiedzi. Powiedz, co się stało z moją Elizabeth.

Niebo zamilkło. Nie miało mi nic do powiedzenia. W chwili słabości wyciągnąłem ku niej rękę. Ona już nie próbowała mnie dotknąć jak dawniej, a moje palce przeniknęły przez jej wizerunek i zatańczyło na nich światło. Dwa światy – jeden cielesny, drugi eteryczny – które nie mogły się zetknąć.

– Nie poddawaj się – powiedziała. – Jeszcze nie. Ktoś wciąż cię potrzebuje.

Światło z pęknięcia zaczęło słabnąć, promień, w którym stała Elizabeth, stopniowo zniknął i zostałem sam ze szczątkami czegoś, co nigdy nie powinno istnieć. Wybuchnąłem śmiechem i śmiałem się, dopóki nie zapomniałem, dlaczego to robię, a wtedy wróciłem do wozów.

\* \* \*

„Próbujesz dotrzeć do punktu skupienia” – wyszeptał z siłą lawiny do moich myśli Imperator Głębi Acradius.

Mój umysł wypełniła wizja potężnej czarnej lektyki niesionej na ramionach dziesiątków roboli. Mieli na sobie szaty wysokich urzędników, korony, togi wyszywane połyskującymi klejnotami. Wielcy królowie dźwigali to brzemie wspólnie ze słynnymi wojownikami, zachłapanymi farbą artystami i kunsztownie tatuowanymi kurtyzanami: elity wschodu niosły swojego boga poprzez piaski, krocząc z czcią.

– Ty też – odrzekłem.

„Co masz nadzieję osiągnąć, istoto Nieszczęścia? – Myśli Acradiusa przetaczały się przeze mnie. – Jest ze mną legion. Jest ze mną gniew Śpiącego. Nawet sam mógłbym zetrzeć cię z powierzchni ziemi”.

– A mimo to się boisz – odparłem.

„Strach już w nas nie istnieje – rzekł Acradius. – Jestem ponad takimi rzeczami. Jestem potęgą oceanicznego mroku. Jestem furią sztormu. Sam jesteś blisko wstąpienia. Mógłbym ci to dać. Wystarczy, że przyniesiesz mi serce lodowego potwora i padniesz na

kolana, a zapewnię ci odrodzenie. Nieśmiertelność jest w twoim zasięgu. Musisz tylko po nią sięgnąć, a ja podam ci rękę”.

– Spotkamy się w Adrogorsku. Tam to się zakończy. W tym samym miejscu, w którym się zaczęło.

„Powita cię tam dwadzieścia tysięcy jeźdźców – odrzekł Acradius. – Nie możesz się nam przeciwstawić i nie będziesz żył na tyle długo, by naładować serce. Moje wojsko zajmie miasto, zanim księżyce ustawią się w linii, a twój pan jest wobec mnie bezsilny. Przekaż mu to, jeśli cokolwiek z niego pozostało. Powinien wiedzieć, że jego plany są skazane na niepowodzenie. Nawet moi pobratymcy nie mogli mi się przeciwstawić. Ten świat znów należy do mnie”.

Ktoś potrząsał mnie za rękę. Zamrugalem i lektyka zniknęła. Horyzont wypełniły czerwono-szare piaski Nieszczęścia i popękane skały. Odtrąciłem rękę Dantry’ego. Po jego lewej stronie stała Amaira i patrzyła na mnie z troską.

– Znów mówiłeś do siebie – rzekł Dantry. Miał ściągniętą twarz. Nieszczęście wyraźnie mu nie służyło.

– Nie – odparłem. Nie próbowałem tłumaczyć. Głos Króla Głębi odbijał się echem w mojej głowie. „Ten świat znów należy do mnie”.

Dantry i Amaira wymienili spojrzenia i hrabia położył dłoń na jej ramieniu. To był zbyt intymny gest jak na Nieszczęście, zbyt intymny jak na mężczyznę w jego wieku i młodą dziewczynę. Nie mogłem nic powiedzieć. Zrobią to, co będą chcieli, a ja i tak nigdy nie rozumiałem tajemnic serca. Ich bliskość sprawiała, że z jeszcze większym smutkiem myślałem o tym, co nas czeka. Wiedziałem, jak to boli, gdy znajdujesz coś, co jest dla ciebie najważniejsze, a potem tracisz to w chwili triumfu.

– Kapitanie Galharrow?! Wciąż jesteśmy na właściwym kursie?! – zawołała Przędzarka Kanalina. Robiła to co dwie godziny.

Nie mogłem mieć jej tego za złe. Betch i Nenn wciąż próbowali odwrócić moją uwagę i odciągnąć nas w innym kierunku. Dupki.

Zeskoczyłem z konia i dotknąłem ziemi. Zanurzyłem się w niej, badając przecinające ją kanały i pęknięcia. Na wschodzie wyczułem coś dużego, co maszerowało na olbrzymich łapach i dziobało piasek.

Odepchnąłem tę istotę myślą. Szlak, który wybrałem, prowadził z dala od niej.

– Jesteśmy na właściwym kursie – potwierdziłem. – Za trzy dni powinniśmy zobaczyć wieże.

– Dobrze – odrzekła Kanalina. Jak zwykle nie miała zamiaru się rozgadywać. W rękach trzymała astrolabium i teraz odwróciła się, żeby popatrzeć na księżyc. Z kolejnymi dniami coraz bardziej się do siebie zbliżały. Potężne kryształowe kule załamywały światło i posyłały je do nas w kolorach błękitu, złota i czerwieni. Towarzyszący nam Przędzarze gawędzili, podnieceni czystością fosu, który tkali z powietrza. Trzymali się z dala ode mnie i moich ludzi, tak jak my unikaliśmy Marmurowej Straży. Kapitan North jechał samotnie. Byliśmy sojusznikami dążącymi do tego samego celu, ale dystans, jaki między sobą zachowywaliśmy, podróżując po przeciwnych stronach wozów, uwidaczniał panujące między nami podziały.

Uklęknąłem, dobyłem noża i rozciąłem sobie przedramię. Krople gęstej czarniawej krwi spadły na ziemię i związały mnie z piaskiem Nieszczęścia. Umiejscowiły mnie w nim.

– Nie mogę się doczekać – odezwał się Maldon, podjeżdżając do mnie. – Co robisz? – Z nas wszystkich jego Przędzarze najbardziej unikali. Nie rozumieli, dlaczego uparłem się, by towarzyszyło nam dziecko, ale domyślali się, że coś jest z nim nie w porządku. Może wyglądał na dziesięciolatka, ale coś w jego sposobie mówienia niepokoiło dorosłych. Zignorowałem jego pytanie i schowałem nóż.

– Czego nie możesz się doczekać?

– Doprowadzenia tego do końca.

– Wszystko musi się skończyć – odrzekłem.

Maldon uroczyście pokiwał głową. Przyłożył manierkę z brandy do ust, ale po chwili ją cofnął, nie wypiwszy ani łyka.

– Popełniliśmy kilka błędów – powiedział.

– Błędy się zdarzają.

Przez jakiś czas jechaliśmy w milczeniu, ale coś wyraźnie nie dawało mu spokoju. Nie należał do ludzi, którzy otwierają przed

innymi serce, ale prawda w końcu zawsze wydobywała się z jego ust.

– Przepraszam – mruknął. – Za Utalentowanych. To przeze mnie zginęli. Poniosło mnie. Powinienem być bardziej ostrożny w fabryce. Nie musieli umrzeć.

– Pewnie nie musieli – przyznałem – ale nie jesteś zobowiązany tłumaczyć mi się z wojennych ofiar. Zwłaszcza biorąc pod uwagę, dokąd jedziemy.

– Oni nie byli wojownikami.

– Racja. Ale brali udział w wojnie.

To go raczej nie pocieszyło.

– Byłeś w Adrogorsku po tym, jak to się stało? – spytał.

– Nie, ale ludzie, którzy tam zginęli, byli moimi podwładnymi. Zabiły ich moje błędne decyzje, ponieważ porwałem się z motyką na słońce.

– Byli żołnierzami. Zdawali sobie sprawę z ryzyka – odrzekł Maldon. – Poza tym nie żyją od trzydziestu lat. Moje zachowanie było lekkomyślne. Koniecznie chciałem dowieść naszej teorii. Przekonać się, czy jest prawdziwa.

– Wiedziałeś, że są w środku, gdy wywołałeś odbicie? – zapytałem. Nie chciałem poznać prawdy.

– Wiedziałem – przyznał Maldon – a jednak to zrobiłem. Nic mnie nie obchodziło.

– Ale teraz cię to obchodzi.

– Nieprawda – odrzekł. – To nie tak. Miałem i nadal mam ich gdzieś. Niczym się nie przejmuję, Ryhalcie. Nawet tym ciałem, tym, co Shavada mi zrobił. Nie czuję niczego wobec nikogo. Niczego nie kocham. Odebrali mi to.

Nie wywoływał we mnie gniewu. Życie i śmierć, bycie żywym i kochanie; jak mógłbym oczekiwać, że ktoś taki jak Maldon będzie ich doświadczał w taki sam sposób jak my? Jego ciało praktycznie było niezniszczalne i nawet próby zakończenia własnej egzystencji okazały się nieskuteczne. Był złamany, uwięziony w niekończącym się dzieciństwie, bezoki i odmienny od wszystkich, których spotykał.

Taki okrutny i przygnębiający los spotkał człowieka, który niegdyś był bohaterem Łańcucha.

– Wszystkim nam coś odebrali – odparłem. Opuściłem wzrok na bliźniacze kwiaty na mojej ręce, malutkie i zagubione pośród czaszek. – Właśnie dlatego to robimy. Wiem, dlaczego tutaj jestem. Dla kogo to robię. Ale powiedz mi, Gleck, jeśli ten świat nie ma ci nic do zaoferowania, to dlaczego ty tu jesteś?

– Ponieważ chcę wygrać – odrzekł Maldon z pasją. – Żeby to osiągnąć, wcale nie musimy sami triumfować. Wystarczy, że powstrzymamy kogoś innego. Pozostawili mi nienawiść. To coś, czego wciąż mogę się trzymać.

Położyłem dłoń na jego ramieniu. Wzdrygnął się od niespodziewanego dotyku, ale chociaż zadrżał, nie odtrącił mojej ręki. Przez chwilę przypominał zwyczajne dziecko, wystraszone i zrozpaczone, tęskniące za bliskością ojca. Absurdalna myśl. Był starszy ode mnie, ale może nasze serce nigdy nie przestaje pragnąć bezpieczeństwa, jakie znamy z najmłodszych lat.

– Wygramy – odparłem. – Nawet gdybyśmy musieli zniszczyć ten cały pierdolony świat.

Maldon odepchnął moją dłoń, a z jego ust wydobył się gorzki śmiech Uroczego.

– Właśnie z tego nie zdają sobie sprawy, prawda? – rzekł. – Nigdy nie zniszczysz świata, dopóki twoje dzieci w nim żyją.

Poczułem się tak, jakby wylał mi na głowę wiadro lodowatej wody.

– Moje dzieci zginęły. Dobrze o tym wiesz.

– Och, wiem, że zginęły – ciągnął. – Wiem także, że wkrótce po tym udałeś się do Bramy Zmierzchu i odszukałeś Wronią Stopę. Nie lubisz o tym mówić. Opowiadasz, że to Wronia Stopa odezwał się do ciebie i zaproponował ci układ. Ale ja cię znam. Wcale do ciebie nie przyszedł, prawda? To ty go odnalazłeś.

– I co z tego? – burknąłem.

– Mogłeś sprzedać swoje życie tylko za jedną cenę. Oto cały ty. Robisz, co tylko chcesz, ale nigdy dla siebie. Za bardzo się nienawidzisz. To dlatego nie mogłeś przyjąć miłości Valiyi. Dlatego

kurczowo trzymasz się wspomnienia martwej kobiety, której nie mogłeś zdobyć. Łatwo było kochać Elizabeth. Tak naprawdę nigdy nie była w twoim zasięgu.

Bolesne słowa, ale słowa najbardziej bolą wtedy, gdy są podszyte prawdą. Nigdy niczego nie kochałem bardziej niż Elizabeth. Nie kochałem swoich dzieci. Przynajmniej nie tak, jak powinienem. Kiedy żyły, prawie o nich nie myślałem.

– To już wszystko przeszłość – powiedziałem.

Maldon się roześmiał.

– Gdyby to była tylko przeszłość, nie jechalibyśmy teraz w stronę Imperatora Głębi i jego armii – zauważył. – Wiem. Ja też go czuję. Wszyscy Królowie Głębi są jednością, chociaż mają się za indywidualistów. Pozostałość Shavady we mnie wyczuwa zbliżającego się Acradiusa. Nie przejmuj się. Nie powiem pozostałym. Nie są aż tak żądni zniszczenia jak ja, a gdyby wiedzieli, na co się porywamy, pewnie podwinęliby ogony i uciekli. Poszukaliby innego sposobu, by to zakończyć. Ale to ostatnia szansa, prawda? Najbardziej absurdalne i straszliwe ryzyko, na jakie możemy się zdecydować. Podejmiemy je, ponieważ Wronia Stopa przywrócił twoje dzieci do życia. Nie myślę się?

Westchnąłem. Nigdy nikomu nie zdradziłem, za jaką cenę się sprzedałem. Dlaczego nieustannie krzywdziłem innych, dlaczego wykonywałem rozkazy, które mógłbym uznać za czyste zło, gdybym wierzył w jego istnienie.

– Ich dusze – odrzekłem w końcu. – Umieścił ich dusze w ciałach dzieci, które w przeciwnym razie urodziłyby się martwe, żeby dać im szansę na życie. Nie wiem, gdzie się znajdują. Nie wiem, kim są ani jak się nazywają. Możliwe, że w ogóle nie przetrwały dzieciństwa. Ale dałem im szansę. Nigdy mnie nie poznają, nie dowiedzą się, kim mogłyby być. To nie ma znaczenia. Wystarczy, że dałem im szansę.

– Skąd wiesz, że on naprawdę to zrobił? – spytał Maldon.

– Nie wiem – przyznałem. – Może robię to wszystko w imię kłamstwa. Może dał mi znamię kruka, a potem opowiedział łzawą

historyjkę. Od czasu do czasu się nad tym zastanawiam. Ale pojawiła się szansa, a ja uznałem, że jest warta więcej ode mnie.

Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu, wiatr pokrywał kopyta koni cienką warstwą piasku, wozy skrzypiały, brnąc po nierównym podłożu.

– Cieszę się, że podzieliłeś się tym ze mną – powiedział w końcu Maldon. – Dopóki jeszcze jesteś w stanie.

– Co masz na myśli?

– Coraz bardziej się zatracasz – odrzekł. – Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

Ale już straciłem zainteresowanie rozmową. Wzdłuż naszego szlaku maszerował z bronią na ramieniu legion eterycznych ciał ubranych w mundury sprzed trzydziestu lat. Trzeci batalion, złożony z wojowników, którymi dowodziłem pod Adrogorskiem, postanowił ponownie odbyć ze mną swoją ostatnią podróż. Zasalutowałem, a mijający mnie mężczyźni i kobiety kolejno odpowiadali na ten gest. Moi ludzie powrócili, by patrzeć, jak zmierzamy ku zapomnieniu.

– Już wkrótce nie będzie wiadomo, co jest rzeczywiste – odrzekłem.

\* \* \*

Schody wycięte z gładkiego kamienia wznosiły się nad nicością, a łukowate przejście na szczycie prowadziło do innego miejsca.

Czasami Nieszczęście jest proste. Są w nim istoty, które próbują cię pożreć, chociaż nie są głodne. Są wielkie sterty piachu i kamieni oraz rozpadliny i morza krwiożerczej trawy. Niebo jest rozdarte i wydaje mnóstwo osobliwych dźwięków, ale można się do tego przyzwyczaić. Zepsuta magia, odpad po apokalipsie, stale się w ciebie wsącza, przez co kwaśniejają dziąsła i bolą nozdrza. Ale chociaż to wszystko jest dziwaczne, z czasem staje się znajome.

Dałem kolumnie znak, żeby się zatrzymała.

Drzwi wyraźnie tutaj nie pasowały, jak gawron w gołębniku. Czuję, że mnie wabią, wypuszczają macki myśli, które ocierają się



o moje ręce i ramiona, przyciągając mnie coraz bliżej. Mój koń, który od początku za mną nie przepadał, zarżał niespokojnie.

– Co to jest? – spytała Amaira. Jechała u mego boku.

Wiedziałem, na co patrzymy. Widywałem to przez ostatnie dwa lata.

– Grobowiec – odpowiedziałem.

Machnąłem ręką, zatrzymując karawanę wozów.

Łukowate przejście zbudowano z bladego kamienia, a szare kolumny szerokością dorównywały wiekowym dębom. Były wolne od zdobień, gładkie. Trójkątne, zwężające się schody pięły się ku drzwiom, które wisiały dziesięć stóp nad ziemią. Po drugiej stronie była tylko ciemność.

– Pamiętacie tamte spiralne schody, które znaleźliśmy? – spytała Nenn. – Mieliśmy wtedy przejebane.

– Straciliśmy tam Jennin – przypomniałem.

– Tutaj? – spytała Amaira. Nie słuchała Nenn i myślała, że mówię o tym przejściu.

– Nie. Na spiralnych schodach – odrzekłem.

– Jakich schodach?

Nenn przewróciła oczami, a Betch pokręcił głową.

Natrafiliśmy na spiralne schody piętnaście lat temu. Podczas wykonywania jednej z misji zobaczyliśmy na horyzoncie jakąś linię wznoszącą się ku niebu. Znaleźliśmy kręte schody, jakie przed kilkoma wiekami uwielbiali projektanci zamków, ale oddzielone od jakiegokolwiek zamku, kończące się w powietrzu. Wysłałem na górę Jannin, żeby rozejrzała się po okolicy. Na jednym ze stopni u stóp schodów ktoś wyrzeźbił słowo „prywatne” oraz strzałkę wskazującą w górę. Jennin zaczęła się wspinać, walcząc z podmuchami wiatru, a potem zniknęła. Po jakimś czasie zaczęliśmy ją wołać, ale wciąż nie wracała. Razem z Nenn ruszyliśmy jej śladem. Wspięliśmy się na wysokość dwudziestu stóp, a wtedy zobaczyłem słowo „prywatne” i taką samą strzałkę. Zatrzymałem się, a po chwili Jennin zeszła do nas.

– Stamtąd jest wspaniały widok – powiedziała. Minęła nas, a my poszliśmy za nią. Ale kiedy dotarliśmy na dół, Jennin nie było. Nie

mogła zejść inną drogą, więc znów ruszyliśmy na górę. Ponownie ku nam zeszła i skomentowała widok, a ja chwyciłem ją pod ramię i próbowałem sprowadzić, ale wyślizgnęła mi się, zniknęła za zakrętem i nie dotarła do ziemi. Usiłowałem ją stamtąd zabrać kilka razy, ale już była w innym świecie. Gdybym przekroczył oznaczony kamień, zapewne bym do niej dołączył i bez końca schodził, zagubiony za sprawą błędu w przestrzeni i czasie. Możliwe, że wciąż tam jest, ogląda widoki i raz za razem schodzi nam na spotkanie.

Nieszczęście może cię posiąść na kilka sposobów. Łukowate drzwi były niebezpieczne. Ukazywały mi się wielokrotnie, zachęcając, żebym przez nie przeszedł.

Zsiadłem z konia i uklęknąłem na skale. Sięgnąłem myślą w dal, sądząc, że dostatecznie dobrze znam Nieszczęście. Czułem, gdzie mniej więcej znajduje się Krater Zimnego, ruiny Adrogorska i Clear, a także oczywiście Bezkresny Brak, gdzie wyciąłem sobie na skórze swoje przeznaczenie. Ale te drzwi nie były stałym punktem. Były czymś innym. Ziemia niczego mi nie powiedziała, a Nieszczęście milczało. Zupełnie jakby nie chciało mi zdradzić, co o tym sądzi. Ukrywało to przede mną.

- Powinniśmy je okrążyć – zaproponowała Valiya.
- Zgadza się – odrzekłem. – Obejdźmy je szerokim łukiem.
- Jak sądzisz, co jest po drugiej stronie? – spytała Amaira.
- Na pewno nic dobrego. Może w ogóle nic.
- Co oni robią? – odezwał się North.

Członkowie Marmurowej Straży ustawili się w szeregu niedaleko drzwi. Jednocześnie skłonili głowy, jakby łączyli się ze sobą w milczeniu, a potem Siódmy wystąpił z szeregu.

– Cofnij się! – zawołałem, ale po raz pierwszy Strażnik zignorował mój rozkaz i zaczął wspinać się po schodach. – Co on wyprawia? – mruknąłem.

Potężne nogi Strażnika ułatwiały mu wspinaczkę. Dotarł na szczyt i spróbował przejść przez drzwi.

Rozległo się wycie, takie samo, jakie niebo uwielbiało wydawać, a z drzwi nagle buchnęło powietrze. Strażnik został wyrzucony w górę i stoczył się po schodach, uderzając bladymi kończynami

o stopnie, aż zatrzymał się na piasku na samym dole. W drzwiach wezbrało zimne światło, które szybko zgasło.

– Mówiłem ci, że to coś niedobrego – powiedziałem. – Jedziemy.

Strażnik wstał; karkołomny upadek nie wyrządził mu krzywdy. Trzeba czegoś więcej, żeby powstrzymać jednego z nich.

Warto to zapamiętać.

Dwie mile dalej ponownie zamajaczyły przed nami drzwi.

– Co się stało? – spytał North. Popatrzył na bladoszary kamień spod przymrużonych powiek, a potem zwrócił się w moją stronę, marszcząc czoło. – Nieszczęście dało ci w kość?

– Chodzimy w kółko – warknęła generał Kazna. Posłała mi surowe spojrzenie, jakbym robił to rozmyślnie.

Pozostawiliśmy drzwi za sobą godzinę wcześniej, ale wyglądało na to, że z jakiegoś powodu wróciliśmy do punktu wyjścia. Otaczający nas krajobraz wyglądał tak samo, wszędzie rozciągał się czerwono-czarny piach i pył. Nie widzieliśmy śladów wozów, ale mogliśmy nadjechać z dowolnego kierunku.

– Może to nie te same drzwi – odrzekłem.

North parsknął z niezadowoleniem.

– Bezimienni nam zaufali, kapitanie – odparł. – Wykonujemy tutaj ich wolę. Weź się w garść.

Oddaliłem się od nich.

– To te same drzwi – powiedziała Valiya, gdy do mnie dołączyła. – Dokładnie te same.

– Wiem – odrzekłem. Nie wyczułem, by Nieszczęście mnie zawróciło. Nie byłem też świadom żadnej zmiany terenu. A jednak coś się stało.

– Co to oznacza?

– To oznacza, że spieprzyłem sprawę. Dawno mi się to nie zdarzyło, ale najwidoczniej to wciąż możliwe. Nieważne, nie straciliśmy dużo czasu. Dokonam nowego odczytu i możemy ruszać.

Moją uwagę na chwilę odwrócił śpiew chóru dzieci. Valiya najwyraźniej go nie słyszała, ale dołączyłem do nich, gdy położyłem dłonie na piasku. Poczulem łaskotanie, gdy trucizny Nieszczęścia

dotknęły mojej skóry i powoli zaczęły się we mnie wsączać. Robiły to wolniej niż kiedykolwiek, ale zarazem czułem je wyraźniej niż powietrze wpływające do płuc. Badałem teren przed nami i wokół nas, wydychając samego siebie w rozległą przestrzeń. Poczułem Adrogorsk, jego wysokie, kanciaste wieże wciąż wznosiły się na północnym zachodzie. W tym samym kierunku, co przedtem, i w takiej samej odległości. Pewnie straciłem koncentrację, a Nieszczęście sprawiło, że zatoczyliśmy pętlę. Drzwi górowały nad nami, mroczne i puste.

– Popatrz na to – odezwała się Valiya. Wskazała jakieś znaki na piasku. – Co to jest?

– Tropy skrzelałów – odpowiedziałem. Małe łapy o trzech pazurach jak ślady pyzatyh ptaków, zachodzące na siebie, jakby stwory wędrowały gęsiego. Było ich mnóstwo.

– Powinniśmy się martwić?

– Jesteśmy w Nieszczęściu. Tutaj zawsze powinniśmy się martwić. Ale to były tylko skrzelały, dokądkolwiek poszły. Widziałem gorsze rzeczy. – Zdołałem przywołać uśmiech na twarz. – Generał Kazna jest rozdrażniona, bo przejęłaś obowiązki związane z organizacją obozu i oporządzeniem koni. A także zmieniałaś kolejność wozów z amunicją oraz grafik kopania latryn. Wścieka się z tego powodu, kiedy nie ma cię w pobliżu.

– No cóż – odrzekła Valiya, unosząc brew – nie kazała mi przestać.

– Pewnie wie, że byś tego nie zrobiła.

– Radzisz sobie, Ryhalcie?

Pytanie Valiyi mnie zaskoczyło. Nie rozmawialiśmy zbyt często podczas wędrowki przez wydmy. Odkąd Nall odszedł ze świata, była zdystansowana i zamknięta w sobie. Nieszczęście co prawda nie wpływało na nią tak dotkliwie jak na niektórych, ale jeszcze nigdy go nie odwiedzała. Tutaj nikomu nie było łatwo, może poza mną.

– Musimy iść tamtędy – odpowiedziałem. – Pozostały nam dwie godziny do zmroku, więc powinniśmy przyśpieszyć.

– To nie jest odpowiedź. Wiem, co musisz zrobić. Wiem, czego Wronia Stopa żąda od nas wszystkich. Ale muszę wiedzieć, czy sobie radzisz.

Wzruszyłem ramionami. Może tak, a może nie. Rozmawianie o tym niczego nie zmieni.

– Już wiesz, dokąd idziemy? – spytał North. Był na mnie zły, ale za jego złośliwą uwagą kryła się nuta niepokoju.

– Cały czas prosto – odrzekłem. – Pozwól, że sam zajmę się nawigowaniem. Będziesz mógł spróbować, jeśli znów coś spieprzę.

Wozy ruszyły naprzód. Długorogi ciągnące wóz, na którym spoczywała żelazna skrzynia z sercem, najlepiej czuły się w ruchu. Ich prymitywne mózgi najwyraźniej podpowiadały im, że w ten sposób oddalają się od swojego brzemienia. Zauważyłem, że zwierzęta na końcu karawany straciły nieco futra na zadach, a ich skóra była podrażniona. Przędzarze na zmianę powozili wozem, ale nikt nie chciał zbyt długo przebywać w pobliżu serca potwora.

Uklęknąłem na piasku i położyłem na nim dłoń.

„Przepuścisz mnie – powiedziałem Nieszczęściu. – Dokądkolwiek prowadzą te drzwi, nie potrzebuję ich. Zrobiłem to, co musiałem. Wziąłem wszystko, czego potrzebuję. Jestem wystarczająco silny bez nich”.

„Niewystarczająco silny – odpowiedziało Nieszczęście szeptem. – Najpierw musisz zrozumieć”. A może to była tylko moja wyobraźnia.

\* \* \*

Usiadłem przy ognisku i patrzyłem, jak płomień tańczy beztroskimi falami.

– Coś przede mną ukrywasz – odezwała się Amaira. Wyglądała dziko w blasku ognia ze związanymi z tyłu czarnymi włosami i ostrymi rysami. Dantry siedział obok niej, ale się nie odzywał. Ostatnio stale jej towarzyszył. Nie byłem tym zachwycony.

– Są rzeczy, których nie musisz wiedzieć – odparłem. – Mam obowiązek dbać o twoje bezpieczeństwo.

– Rozejrzyj się, Ryhalcie – powiedziała. – Jesteśmy w samym środku Nieszczęścia. Tutaj nic nie jest bezpieczne.

– Będziesz musiała mi zaufać.

Amaira nawet nie mrugnęła, wbijając we mnie wzrok.

– Kiedyś byś mi powiedział – rzekła w końcu. Ale się myliła. Dantry znał plan. Maldon również. Wariacki, niemożliwy plan zrodzony z bólu i desperacji. Ale nie zdradziłem go Amairze. To zawsze sprawiało mi ból. Pozwoliłem, żeby trzask płomieni odpowiedział za mnie.

Poza kręgiem wozów, które otaczały nasze obozowisko, stała samotna postać. Valiya patrzyła na trzy księżycy ściśnięte w jednej linii, każdego dnia bliższe potrójnego zaćmienia. Na jej srebrzystych włosach skrzyło się czerwone, złote i niebieskie światło. – Powinieneś do niej podejść – stwierdziła Amaira. Mówiła z taką pewnością w głosie, jakby wydawała rozkaz. Zaszczepiłem jej tę naturalną pewność siebie, nauczyłem ją wydawać polecenia zamaskowane jako rady. Teraz wykorzystywała te sztuczki przeciwko mnie.

– Nie wiem, co jeszcze mogę jej powiedzieć – odrzekłem.

– Nieistotne, co powiesz. Ważne, że w ogóle się do niej odezwiesz.

– Za późno, żeby to miało jakieś znaczenie.

– Nie – sprzeciwiła się Amaira. Nie miała jeszcze dwudziestu lat, ale była równie pewna siebie jak ja w jej wieku. Świat powoli odziera nas z marzeń, aż w końcu docieramy do kamiennego dna i uświadamiamy sobie, że nigdy nie czekało na nas nic innego. Iluzja możliwości to sztuczka, której ofiarą padają młodzi. Amaira wzięła mnie za rękę. – Nigdy nie jest za późno. Ani dla ciebie, ani dla niej. Dla nikogo z nas. Popatrz na tę dzielną kobietę, Ryhalcie. Co ona tutaj robi? Co wnosi do tej bitwy? Nie jest wojowniczką ani taktyczką. Nie używa magii. Owszem, przejęła zarządzanie praktycznie całym obozem, ale nie po to tutaj przyjechała. Odejście Nalla odebrało jej wszystkie atuty, a to nie jest jej świat. Przyjechała tutaj, ponieważ wciąż żywi wobec ciebie nadzieję. Nawet jeśli tego nie rozumiesz, powinieneś to uszanować.

– Już na to za późno – odrzekłem.

Amaira z całych sił mnie spoliczkowała. Skrzywiła się i potrząsnęła ręką pod wpływem bólu. Od jej ciosu nawet nie obróciłem głowy i ledwie go poczułem.

– Nie powiem, że na to nie zasługuję – powiedziałem – ale nie rób tego więcej.

– Nigdy nie jest za późno! – wykrzyczała mi w twarz, a potem wstała, otrzepała spodnie z piasku i oddaliła się, by wyładować frustrację na Przędzaczach.

– Ma rację – odezwał się Dantry. – Zawsze jest czas.

– Czas na co? – spytałem. Czułem, że gorycz wzbiera we mnie jak żółć, syczy i parzy mi gardło. Czułem się tak tysiące razy, zazwyczaj po pijaku, kiedy tasowałem swoje życiowe porażki jak karty w talii.

– Na to, czego pragniesz – odrzekł. – Mogę udzielić ci rady?

– Wszyscy już to zrobili, możesz i ty.

– Kochałeś moją siostrę. Nawet jeśli trwało to krótko, wiedziałeś wtedy, że istnieje coś więcej. Coś innego niż... – powiódł wkoło dłonią – ...to, czymkolwiek ono jest. Pamiętasz?

– To było dziesięć lat temu – odparłem.

– A ty pamiętasz to wyraźniej niż dzisiejszy wschód słońca. Zrób mi przyjemność i opowiedz, jakie to było uczucie.

Jakaś cząstka ciebie nigdy się nie starzeje, nie blaknie, nie umiera. Nie chodzi o wspomnienia; one ulegają wypaczeniu, wykrzywieniu i żyją własnym życiem w twoim umyśle, ale to uczucie pozostaje. Właśnie jego się trzymam.

– Czułem się prawdziwy – odpowiedziałem. – Czułem, że to wszystko ma sens. Jakbym znalazł coś, co mogę zatrzymać w swoim wnętrzu i nigdy tego nie oddać. Miałem wrażenie, że wygrywam. Że po tym wszystkim, co się wydarzyło, nawet jeśli umrzemy, zdobyłem to, czego potrzebuję.

– A potem to straciłeś – rzekł łagodnie Dantry.

– Straciłem. Tylko raz było nam dane to powiedzieć. Raz w całym życiu. Potem ona umarła.

– A gdybyś usłyszał to jeszcze sto albo tysiąc razy, albo gdyby gwiazdy na niebie ułożyły się w te słowa, czy wtedy stałyby się one bardziej prawdziwe? Czy ich częstsze wypowiedanie dodaje im wartości?

– Nie wiem.



– To, o czym mówisz, działa tylko z perspektywy czasu, prawda? – ciągnął Dantry. Miał kurze łapki wokół oczu, bujną brodę i nikt już nie uznawał go za chłopca, ale w jego głosie pobrzmiwała siła. Mimo tego wszystkiego, co go spotkało, strachu i tortur, których doznał z rąk Saravora, jego światło nie zgasło. Płonęło równie jasno jak zawsze. – Będę z tobą szczery. Kocham Amairę. Czuję to bardzo mocno, właśnie tutaj. – Położył dłoń na piersi w miejscu, gdzie według większości ludzi znajduje się serce.

– Dantry. Powiem to tylko raz. Amaira nie jest dla ciebie.

– Bo co? – odparł. – Pobijesz mnie? Zabijesz? Spróbuj, Ryhalcie. Nie wiem, jak długo zdołam ci się opierać, ale będzie warto, choćby po to, by dowiedzieć się, czy ona czuje to samo. Właśnie o to chodzi, czyż nie?

– Naprawdę myślisz, że ją kochasz? Przecież ledwie ją znasz.

– Tu nie chodzi o „myślenie” – Roześmiał się, co zabrzmiało obco w Nieszczęściu. – Posłuchaj mnie, ponieważ znam się na tym lepiej od ciebie, nawet jeśli jesteś zbyt skupiony na sobie, by to przyznać. Czasami miłość jest jak owoc na drzewie, powoli rośnie, czerpiąc siłę z ziemi. Ale czasami po prostu cię opanowuje i ani ty, ani ja, ani nikt inny nic nie może na to poradzić. To jest jak burza. Jak zalewająca cię fala oceanu. Jeśli kogoś kochasz, nie liczy się to, ile spędziliście razem czasu, ale to, co przeżyliście w tych chwilach. Nic nie trwa wiecznie. Nawet Bezimienni.

– Nawet świat – odparłem. Westchnąłem i wyciągnąłem do niego rękę, ale po chwili zreflektowałem się i założyłem rękawicę. Tym razem Dantry uścisnął mi dłoń. To było jedyne błogosławieństwo, jakiego byłem gotów mu udzielić.

– Nie schrzań tego – powiedziałem. – Jesteś zaskakująco mądry jak na takiego szczeniaka.

Dantry uśmiechnął się i wstał, żeby podążyć za Amairą.

– A ty zaskakująco mało uparty jak na takiego starego pryka.

Kiedy oddalił się, żeby przerwać kłótnię Amairy z Przędzarzem, który zapomniał przywiązać jedną z brezentowych płacht, przysiadł się do mnie Torolo Mancono. Z jego szyi w miejscu, w którym rozdarłem ją zębami, płynęła krew.

– Jesteś dzisiaj w kiepskim nastroju – zagadnął.

– Możesz się odpiardolić – odrzekłem, potrząsając głową, żeby go z niej wypędzić. Popatrzyłem na Valiyę, która stała samotnie tam, gdzie ją zostawiłem, i obserwowała gwiazdy, których nie mogłem jej dać. W innym życiu. W innym świecie. Ale nie w tym.

Ten za chwilę miał się skończyć.

Od początku wiedziałem, co mam zrobić. Słowa Dantry’ego krążyły w mojej głowie, gdy patrzyłem, jak on i Amaira spacerują razem, rozmawiają z dala od pozostałych, znajdując subtelne, delikatne sposoby na dotykanie się, gdy nikt nie patrzy. Ona pomogła mu zawiązać węzeł. On podsadził ją na wóz, mimo że mogła skorzystać ze schodka. To nie powinno się udać. Był dla niej stanowczo za stary. Ale stało się i może każdy z nas ma prawo brać z tego życia wszystko, co uda mu się zdobyć.

Nagle wyczułem w powietrzu jakąś woń. Paskudny smród kanału, mokrych rur zapchanych gnijącym mięsem. W Nieszczęściu nie brakowało ohydnych istot, z których każda cuchnęła na swój własny dotkliwy i nienaturalny sposób, ale tę woń znałem aż za dobrze. Zerwałem się na równe nogi, wypatrując zagrożenia, ale żołnierze zajmowali się swoimi obowiązkami, czujni, lecz odprężeni.

– Saravor tutaj jest! – ryknąłem. – Zmienił coś. Kogoś. Jest tutaj...

– Saravor nie żyje, Ryhalcie – odrzekła Nenn. – Widziałeś, jak umiera. Pamiętasz?

– Ale myślałem... – Pokręciłem głową. Widziałem, jak spala się w podwójnej spirali fosu, ale woń była tak silna. Tak bliska. Już zniknęła, ale wydawała się tak wyraźna. Potrząsnąłem głową.

– Nie przejmuj się – pocieszyła mnie Nenn. – To tylko twój umysł płata ci figle.

\* \* \*

Wędrowaliśmy przed siebie. Zwierzęta ciągnące wóz z sercem słabły i stawały się coraz bardziej chore. Jeden z naszych nawigatorów zniknął. Nikt nie wiedział, czy postanowił spróbować sił na własną rękę, czy coś po cichu wciągnęło go pod piasek.

Świat zawirował i straciłem równowagę, jakbym od świtu raczył się rumem. Poczułem w uszach czarny ryk i otoczyły mnie głośne poddmuchy mrocznego wiatru. W moich myślach rozgościła się czarna żelazna lektyka, tak zimna, że jej chłód pokonywał spaczone mile i otulał mój umysł.

„Głupio uczyniłeś, sprzeciwiając mi się, Synu Nieszczęścia – odezwał się łagodnie Imperator Głębi Acradius. Łagodnie jak lawina. Łagodnie jak zderzenie planet. – Co chcesz osiągnąć ze swoją żalosiwą bandą śmiertelników?”

– Nie traciłbyś na mnie swojego boskiego oddechu, gdybyś nie uważał, że mogę cię pokonać – odparłem. Poczułem w ustach krew i czarny olej Nieszczęścia, który sączył mi się z dziąseł. Splunąłem. A potem zobaczyłem ich za pośrednictwem umysłu Acradiusa.

Maszerowali tysiącami. Robole wojownicy, niebieskoskórzy jak trupy i ciężko opancerzeni, z włóczyniami na ramionach i tarczami w rękach. Nad nimi powiewały długie jaskrawe sztandary Królów Głębi. Ogromna armia ciągnęła w naszą stronę, gotowa nas zniszczyć.

„Obejrzyj się na zachód, który tak bardzo cenisz – zagrzmiał Acradius. Głośny jak letni deszcz. Głośny jak pieszczota kochanka. – Wasi bogowie was zawiedli. Gdzie teraz są? Kulą się na swoich grzędach, na swoich wyspach, w swoich grobach pod ziemią. Posyłają swoich przedwiecznych wojowników, by was chronili, ponieważ boją się przybyć osobiście. Oddaj się mnie. Nie możesz ujarzmić mocy księżyców i przetrwać. A może wysłali cię na oślep w burzę?”

Odepchnąłem się od piasku, a przyjazne dłonie spróbowały mnie podźwignąć. Odtrąciłem je, przed oczami wciąż widząc gwiazdy i wirujący piach.

– Nawet gdybym był tutaj sam – odrzekłem – nawet gdybym był ostatnim człowiekiem na świecie, i tak znajdziesz mnie pod murami Adrogorska. – Otarłem maź i krew z ust i wbiłem wzrok w czarną lektykę, wejrzałem poza żelazo i ziąb, w głąb wirującego cienia, który krył się w środku. – Sprowadź swoich Królów. Sprowadź

swoich roboli. Sprowadź całe pierdolone imperium, jeśli tego chcesz. Wszystko, co masz. Będę na ciebie czekał.

Śmiech Acradiusa odbił się echem w moim umyśle, gdy się z niego wycofywał.

„Nie dotrzesz tak daleko”.

– Co to jest?! – wykrzyknęła Kanalina, wlepiając oczy w niebo.

Coś dużego i czarnego zbliżało się ku nam od wschodu, przecinając niebo olbrzymimi ciemnymi skrzydłami. Długie ciało z dwoma ogonami skorpiona, które ciągnęły się za nim jak stery. Leciało prosto na nas. Pozostawiało za sobą smugę czarnego dymu.

Shantar.

Przyklęknąłem i przycisnąłem dłoń do Nieszczęścia, sięgając na zewnątrz, pragnąc dowiedzieć się, co to takiego. Już wcześniej widziałem takie stwory latające w Nieszczęściu, lecz tylko z daleka i przez ostatnie sześć lat nigdy mnie nie niepokoiły. Ale kiedy moje zmysły popłynęły przez skażony piasek i zatrute powietrze, wyczułem w tej istocie dwie połączone natury. Pochodziła z Nieszczęścia, ale była też czymś innym. Skażenie na skażeniu, ciemność spleciona z jeszcze głębszą ciemnością.

Acradius.

– Niech duchy mają nas w opiece! – zawołała Kanalina, chwytając amulet pod szyję. – Przędzarze, przygotować się do walki. Maksymalny zasięg, wszystkie pojemniki.

Żołnierze wysypali się z wozów, uzbrajając lonty i upychając pociski w lufach, podczas gdy oficerowie wykrzykiwali rozkazy. Wątpiłem, czy ich broń na cokolwiek się zda.

Istota pędziła w naszą stronę z oszałamiającą prędkością, czarna i lśniąca, ze słońcem za plecami. Widziałem rogate pyski i płonące oczodoły, ostre jak brzytwa zęby w trzech rozdziawionych paszczach, pół tuzina długich nóg zakończonych rozczapierzonymi pazurami oraz dwa rzędy kolców sterczących z grzbietu. Mknęła nad piaskiem, pozostawiając za sobą tłusty dym.

– Ognia! – wrzasnęła Kanalina.

Przędzarze zaczerpnęli fosu, ale Shantar nadciągnął szybciej, niż się spodziewali. Jego rozmiary maskowały szybkość, dopóki się nie

przybliżył. Rzucił się na nas z szeroko rozwartymi szczękami. Kanalina strzeliła światłem w tej samej chwili, w której huknęły rusznice, ale demon gwałtownie zakręcił, wpadł w naszych ludzi, a następnie wzbił się w niebo. Usłyszałem krzyki i zobaczyłem, że chwycił pazurami dwójkę Przędzarzy. Zacisnął łapy i z nieba pospadały kawałki ciała. Dym ciągnący się za nim cuchnął jak rozgrzana smoła.

North dobył pistoletów i dwukrotnie wystrzelił, ale jego broń robiła żalosne wrażenie w starciu z potężną latającą bestią. Potem wypalili kanonierzy, ale nawet jeśli trafili potwora, to on nie zwolnił. Podbiegłem do Valiyi.

– Schowaj się pod wozem – poleciłem. – Nie wychodź. – Wiedziała, że to nie jest jej walka, więc zrobiła to, o co prosiłem.

– Co to jest? – spytała Amaira. Dobyła ostrzy, ale z ziemi nie mogliśmy nic zrobić.

– Shantar – odpowiedziałem, mocno zaciskając zęby. – Istota z najwcześniejszych dni Nieszczęścia.

– Nie możesz jej odpędzić?

– Jest w niej nie tylko Nieszczęście – syknąłem. – Także Acradius.

Czułem jego obecność, patrząc na ślad dymu na niebie. Czarna żelazna lektyka odcisnęła piętno na potworze i zmuszała go do posłuszeństwa. Do polowania na mnie. Ogarnęła mnie wściekłość. Ta istota, czymkolwiek była, nie należała do Acradiusa. Była moja. Nieszczęście należało do mnie. Królowie Głębi chcieli mi nawet to odebrać.

Shantar nadciągał po raz drugi. Pozostali Przędzarze ustawili się, a ich pojemniki zawyły pod wpływem czerpanej energii. Ich skóra dymiała od fosu, gdy przeładowywali nim swoje ciała.

– Ognia! – zaskrzeczała Kanalina i grad świetlistych kul pomknął w niebo. Ale Shantar był szybszy, niż można by się spodziewać po jego długim na czterdzieści stóp cielsku. Okręcił się w powietrzu i opadł, a kule wybuchły niegroźnie pośród czarnego dymu. Demon skorygował lot machnięciem czarnych skrzydeł i ogona, a potem znów pomknął w naszym kierunku.

– Mam nadzieję, że masz pod ręką tę włócznie – odezwałem się do Northa. – To chyba właściwa chwila, by jej użyć.

North pobiegł w stronę wozów.

– Ognia! – rozkazała Kanalina, ale tylko trójka Przędzarzy jej usłuchała, gdyż pozostali przypadli do ziemi, gdy bestia z rykiem nad nimi przeleciała.

Dwa świetlne pociski trafiły Shantara i wybuchły w obłokach migoczącego fosu, a potwór zachwiał się, ale nie przestał nacierać. Mijając nas, ciął pazurami i machnął ogonem, a wtedy rozległy się kolejne wrzaski, krew trysnęła w powietrze, a konający ludzie padli na ziemię. Bestia skupiała się na naszych czarownikach. Kanalina dźwignęła się z piasku z przerażeniem w oczach, gdy Shantar ponownie wzbił się w niebo. Ryknęły rusznice i żołnierze zasypali go pociskami, ale poruszał się za szybko, a kule nie robiły mu więcej krzywdy niż dym z luf.

– Atakuje Przędzarzy – zauważyłem. – Acradius próbuje ich usunąć. Ukryjcie ich.

– Do roboty! – zażądała Kanalina, a ja pomyślałem, że mówi do mnie, ale potem uświadomiłem sobie, że rozkazuje Marmurowej Straży. Stali bez cienia strachu, obojętni, obserwując czerwonymi oczami kałuże krwi, które otaczały pozbawionych głów Przędzarzy. Z wielkim trudem oderwali od nich wzrok i obrócili się z mrozącą krew w żyłach zgodnością, by popatrzeć na istotę szykującą się do trzeciego podejścia.

– Wyciągnijcie kolubryny! – wrzeszczała generał Kazna. Wykrzykiwała rozkazy, wymachując szablą, formując szeregi ze swoich ludzi, ale ci nie byli przeszkoleni do obrony przed atakiem z powietrza.

North wrócił ze swoją włócznie o jadeitowym grocie. Kiedy ją zobaczyłem, poczułem, że jest w niej coś dziwnie znajomego, ale nie miałem czasu się nad tym zastanawiać, gdyż skrzydlata śmierć znów na nas opadła. Trzymałem miecz w garści, ale przeciwko Shantarowi był równie skuteczny jak przekleństwa.

Głos tysięcy lat cierpienia i nienawiści zabrzmiał w moim umyśle jak zgrzyt paznokci na tabliczce.

„Nie pojmujesz tego, jak mało znaczysz – wyszeptał Acradius. Shantar zawtórował tej myśli donośnym piskiem, opętany mocą Imperatora Głębi. – „Uważasz, że Nieszczęście ci służy, ale zwracam przeciwko tobie nawet twoją własną broń”. Bestia pomknęła nad piaskiem.

Żaden z Przędzarzy nie stawiał jej czoła podczas trzeciego podejścia. Rzucili się do ucieczki, gdy opadła z nieba, a Shantar wyczuł łatwiejszą ofiarę i skręcił ku Marmurowej Straży. To był błąd. Połowa Strażników chwyciła swoje halabardy jak oszczepy, a gdy Shantar się zbliżył, cisnęli nimi w jego stronę. Halabardy nie były stworzone do rzucania – bardziej przypominały topory niż włócznie – ale Strażnicy posłali je w powietrze z siłą huraganu. Żaden nie spudłował, szerokie ostrza wbiły się głęboko i bestia poszybowała w górę z gadzim rykiem wściekłości. Broń opadła na ziemię, część pod wpływem nagłej zmiany kierunku lotu, a część wyrwana przez potwora zębami. Shantar przestał się wznosić i na chwilę zawisł w powietrzu.

Nagle otoczyła go wielościenna kopuła światła. Kanalina i pozostali Przędzarze zabrali się do pracy, między nimi z trzaskiem przeskakiwały błyskawice. Świetlista kopuła gwałtownie się zacisnęła, a następnie wybuchła, wywołując gorący podmuch. Odwróciłem twarz, na chwilę oślepiony eksplozją, która poraziła moje oczy. Shantar z hukiem runął na ziemię, jego skórzaste skrzydła zajęły się ogniem i oto już nie walczyliśmy ze zwykłym demonem, ale z demonem, który płonie.

Czasami szczęście po prostu ci nie sprzyja.

Strażnicy, którzy wciąż mieli broń, ruszyli na stwora. Trzy głowy syczały i kłapały zębami, pazury darły ziemię, kolczaste ogony przecinały powietrze. A potem Shantar zaatakował, wściekle kłusząc i tnąc pazurami. Strażnicy poruszali się bezgłośnie, ale byli szybcy, równie szybcy jak Pierwszy, gdy próbowałem nie dopuścić, by roztrzaskał mnie na kawałki, a poza tym działali jak jeden organizm. Unieśli halabardy, by przebijać ciało potwora i kaleczyć jego grubą dymiącą skórę, ale płonąca istota nie stanowiła łatwego celu. Shantar chwycił zębami jednego ze Strażników i rozerwał go na pół;

kolejnemu przebił rękę kolcem na ogonie. Białe ramię Strażnika momentalnie poczerniało i rozpadło się w pył. Olbrzym walczył dalej, pozbawiony połowy ciała, dopóki paszcza stwora nie urwała mu głowy.

– Użyj tej przeklętej włóczni – rzuciłem do Northa. Stał z tyłu, podobnie jak ja, pozwalając, by Strażnicy walczyli z potworem.

– Nie mogę jej zmarnować – odburknął. – Dołącz do nich. Wykorzystaj swoją krew potwora.

– Przeciwno temu czemuś?

– Ach, dasz radę – odezwała się Nenn.

– Galharrow, którego znałem, pierwszy ruszyłby do walki – zgodził się Venzer.

Kolejni dwaj Strażnicy polegli, ale jeden z łbów Shantara był do połowy odcięty i kołysał się na szyi, wciąż sycząc i plując. Skóra demona bulgotała jak roztopiona smoła, pole bitwy otoczyły kłęby cuchnącego dymu. Usłyszałem przerażone westchnienie Dantry'ego i zobaczyłem, że Amaira okrąża stwora z mieczem w dłoni, próbując dołączyć do walki. Odskoczyła do tyłu, gdy ogon skorpiona zatoczył krąg w powietrzu, ledwie unikając trafienia, i zgubiła miecz. Odczepiła od pasa kolczasty granat, wyrwała zawleczkę i przygotowała się do rzutu.

Shantar rzucił się naprzód, odrzucając na bok dwóch mężczyzn, a wtedy znalazł się przed nim Dantry, który lekkomyślnie szarżował, by pomóc Amairze. Lecący kawałek ciała jednego z żołnierzy powalił go na ziemię i dymiący brzuch Shantara przemknął nad nim, gdy bestia skierowała się ku ofierze, która wciąż stała na nogach.

Amaira się zawahała. Pokryty kolcami żelazny granat mógł powalić potwora. Lont już się wypalił. Ale Shantar stał nad Dantrym. Był zbyt blisko. Amaira z krzykiem cisnęła granat za siebie, na piasek Nieszczęścia. Głośny wybuch wyrzucił w powietrze piach i kamyki.

Postanowiła go ocalić, mimo że leżał w cieniu śmierci. Uratowała jego, być może zabiła nas. Przygotowałem miecz. To było ostrze odebrane jednemu z roboli, którzy pojмали mnie dawno temu. Nigdy



mnie nie zawiodło. Musiałem ruszyć na potwora i podejrzewałem, że nawet moja wzmocniona Nieszczęściem skóra nie wytrzyma ciosu jednego z tych pazurów, nawet tutaj, gdzie byłem najsilniejszy. Nieszczęście uodporniło mnie na magię Kanaliny, ochroniło przed spadającym lodem, ale ten stwór mógł mi urwać głowę jednym szarpnięciem. Pomimo wypełniającego mnie skażenia nie byłem dostatecznie potężny.

Dwie kolubryny, niewielkie armaty, ryknęły i Shantar zatoczył się do tyłu, trafiony potężnymi pociskami. Zachwiał się i ryknął, a salwa odstrzeliła mu jedną z głów. Odwrócił się od Dantry'ego i rzucił w stronę kanonierów. Był zdecydowanie za szybki i dopadł do nich w kilka chwil. Czarne pazury odrzuciły na bok rusznice i cisnęły dzielnych strzelców w powietrze. Zapłacili życiem za odwrócenie uwagi potwora.

Kanalina i ocalali Przędzarze chwycili się za ręce, łącząc siły, a ich pojemniki z fosem wybuchły, gdy przywołali całą pozostałą moc. Seria donośnych eksplozji rozświetliła demona od środka i rozsadziła klatkę piersiową Shantara, obryzgując lepkim czarnym płynem tych kanonierów, którzy zdołali ująć przed jego szponami. Żołnierze wrzasnęli, gdy ich ciała i zbroje roztopiły się w truciźnie stwora, który miotał na boki ostatnim ogonem, rozrywając na strzępy brezent na jednym z wozów, ale w końcu ostatnia głowa po raz ostatni wściekle kłapnęła paszczą i bestia padła. Ogień w jej oczodołach zamigotał i zgasł, a kości olbrzymich spalonych skrzydeł spoczęły na piasku Nieszczęścia.

Warknięcia ucichły, wiatr rozwiał pozostałości eksplozji. Nad piaskiem płynęły blade smugi dymu z luf rusznic. Spokój powrócił do Nieszczęścia.

Dantry pochylił się nad Amairą, która krztusiła się dymem bijącym od ciała stwora, i zaczął ją wachlować dłonią. Poczujęm, że ucisk w mojej piersi i żołądku ustępuje. Myślałem, że ją straciłem. Że straciłem ich oboje. Mimo że powietrze cuchnęło i otaczał ich tłusty dym Nieszczęścia, znaleźli swoją chwilę czystości, gdy przywarli do siebie.

Pamiętałem, jakie to uczucie, chociaż miałem wrażenie, że minęły całe wieki. Wiedziałem, że to ważne. Po prostu to nie było dla mnie. Nagle poczułem, że coś znów dobija się do mojego umysłu.

To truchło Shantara mnie nawoływało. Czulem jego przyciąganie, gwałtowne szarpnięcia w samym sercu. Nieszczęście nalegało. Żądało. Mój umysł wypełniła pełna cieni mgła i chwiejnym krokiem ruszyłem w stronę pola bitwy. Potężne pazury potwora porozrzuciły i porozdzierały piasek oraz skały. Z dwudziestu Strażników siedmiu leżało rozerwanych na strzępy i połamanych. Ich zwłoki nie krwawiły. Pozostali wojownicy pozbierali broń, ale nie okazywali żadnych emocji ani wyrzutów sumienia. Znów skierowali wzrok na krwawe kałuże wokół martwych Przędzarzy, oblizując usta. Byli głodni.

Nie wiedzieli niczego o głodzie. W odróżnieniu ode mnie.

– To zły pomysł – odezwała się Nenn. – Prawdopodobnie powinieneś to przemyśleć.

– Szkoda zmarnować taką okazję – odrzekłem. – Poza tym w Dzwonie podają gorsze paskudztwa.

– Jestem duchem i nawet ja uważam, że to głupota – upierała się Nenn. – Ludzie cię obserwują. Nie myślisz rozsądnie.

Jej słowa krążyły po mrocznych obrzeżach mojego umysłu, ale Shantar był zbyt czysty i wyborny, bym pozwolił mu się zmarnować. Ta istota miała dziewięćdziesiąt lat i narodziła się w pierwszych dniach Nieszczęścia. Stałem przed rozerwaną klatką piersiową potwora i w środku dostrzegłem ostatnie słabe drgnienia szczątków serca. Skóra istoty wciąż bulgotała i dymiała, tłuste plugastwo wypełniało powietrze. Potwór zaczynał się rozkładać, jego esencja powracała do Nieszczęścia, które go stworzyło. To serce miało tak wiele mocy, taki potencjał dokonywania przemian. Z nim mógłbym zbliżyć się do Nieszczęścia bardziej niż kiedykolwiek. Stać się o wiele silniejszy. Potrzebowałem go. Musiałem to zrobić.

– Nie, Ryhalcie – odezwała się Valiya, stając za mną. Otoczyła mnie ramionami. – Nie to – szepnęła. – To dla ciebie za dużo.

Położyła dłoń na mojej ręce i pchnęła ją w dół. Zamrugalem, spoglądając na nią.

– Nie rozumiesz – powiedziałem cicho drżącym głosem. – Tutaj jest tak wiele mocy.

– Rozumiem – odrzekła łagodnie – ale jeszcze nie. Nie teraz. Dopiero kiedy nie będziemy mieli innego wyjścia.

Pokręciłem głową. Nie mieliśmy innego wyjścia. Ona po prostu jeszcze tego nie dostrzegała.

Obejrzałem się na Dantry'ego i Amairę, dla których reszta świata przestała istnieć. Jeśli nie mogłem ochronić ich w taki sposób, musiałem znaleźć inną drogę, i już wiedziałem, co zrobię.

## 28

Te same jebane drzwi.

– Na imię Pani – warknął North, kiedy wyszliśmy z za wydmy i znów ukazały się naszym oczom. – Co to ma być, kapitanie Galharrow? Co ci się tak bardzo podoba w tym cholerstwie?

Wpatrywałem się w szary kamień, a wiatr szarpał poły mojego płaszcza. Pokręciłem głową. Nie wiedziałem.

– Rozbijcie obóz – poleciłem. – Coś jest nie tak. Przeczekamy noc i rano zobaczymy, co da się zrobić.

– Kończy nam się czas – odrzekł szybko North. – Musimy dotrzeć do Adrogorska za trzy dni. Za dwa, jeśli mamy zdążyć przygotować wrzeczono przed zaćmieniem.

– Będziemy na czas – odburknąłem. – To nie przypomina podążania za mapą. To coś dokładnie odwrotnego, do kurwy nędzy. Zajmę się tym. Ty dopilnuj rozstawiania obozu i daj mi pomyśleć.

Wozy jak zwykle ustawiono w obronnym kręgu, a w środku umieszczono żelazną skrzynię z sercem lodowego potwora. Po rozprzęgnięciu wozu jeden z długorogów padł na piasek i nie chciał się podnieść. Pozostałe odmówiły paszy. Zostawiłem je w spokoju, podszedłem do drzwi i popatrzyłem w pustą ciemność po drugiej stronie. Odpiąłem i odłożyłem pas z mieczem, a potem wygładziłem dłonią piasek i usiadłem ze skrzyżowanymi nogami u stóp schodów. Mroczne przejście patrzyło na mnie z góry, pusty portal prowadzący w nicość.

– North mi się nie podoba – powiedziała Nenn, przysiadając obok mnie. – To palant. Nie ufam mu.

– Nie ufam nikomu z nich – odparłem. – Wszyscy są tylko pionkami. Nikt z nich nie rozumie, co się stanie, jeśli Wronia Stopa zdoła zdetonować serce potwora. Uważają, że Bezimienni chcą nas

ocalić. Ludzie są zdolni uwierzyć we wszystko, jeśli to służy ich celom. Cóż za ironia, że Saravor widział to wyraźniej od nich.

– Będę miała oko na Northa – obiecała Nenn. – Przypilnuję cię, jak zawsze.

– Zawsze mogłem na ciebie liczyć – przyznałem. – Brakuje mi cię, Nenn. Chociaż minęło tyle czasu, wciąż za tobą tęsknię.

– Nigdzie nie odeszłam – roześmiała się. – Wciąż mogę pobić cię na głowę w picciu.

– Nie – odrzekłem. – Tak naprawdę cię nie ma. Czasami wydajesz się tak prawdziwa, że mógłbym cię dotknąć, ale czasami, tak jak teraz, wiem, czym jesteś. Tylko cieniem. Duchem. Odbiciem mojego poczucia winy i niczym więcej.

– No nie wiem. Jeśli o mnie chodzi, za cholerę nie masz powodów, by czuć się winnym. Było mi dane zginąć z mieczem w dłoni, żyć i kochać. Życie nie jest wyścigiem do łoża śmierci, w nadziei, że uda nam się łagodnie zasnąć, nawet o tym nie wiedząc. Cieszę się, że mogłam spojrzeć mu prosto w twarz. Lepiej odejść, robiąc coś, co ma znaczenie.

– Więc powinnaś była odejść pijana, pieprząc się z Betchem i plując w gębę jakiemuś arystokracie.

– Byłoby wspaniale! – zaśmiała się Nenn. – A ty? Jesteś gotowy?

– Jestem gotowy już od dawna – odpowiedziałem. – Bardziej już się nie da. Choć może nie sposób naprawdę przygotować się na śmierć. Jak tam jest po drugiej stronie? Właśnie na to liczyliśmy?

– Nie mam pojęcia. – Nenn wzruszyła ramionami. – Przecież utknęłam tutaj z tobą. – Wskazała głową ciche kamienne przejście. – Jak sądzisz, o co w tym wszystkim chodzi?

– Nie wiem. Nigdy o tym nie słyszałem. Może to coś nowego.

– Nowego albo starego – zastanawiała się głośno Nenn. – Nie masz ochoty zerknąć, co jest po drugiej stronie?

– Ani trochę.

– Ale i tak to zrobisz, prawda?

Skrzywiłem się, ale moje poczucie winy najwyraźniej było wobec mnie bardziej szczerze niż ja sam.

– Obawiam się, że Nieszczęście nie pozwoli nam przejść, dopóki tego nie zrobię – odparłem. – Nie mówi do mnie, tylko wciąż mnie tutaj sprowadza. Jak myślisz, czego chce?

– A czego my wszyscy chcemy? – spytała Nenn. – Życ. Przetrwac. Znalezc cos swojego. Czyli przejdiesz?

– Jeszcze nie. Jeśli mam tam wejść, chcę dostać coś w zamian.

Amaira i Dantry siedzieli obok siebie przy małym prywatnym ognisku. Nawet tutaj, pośród skażenia, potworów i nieustannie zmieniającego się świata, pozostawali razem. On zaśmiała się z jego żartu, który zapewne wcale nie był śmieszny. On odgarnął jej z czoła kosmyk włosów, który nie wymagał odgarnięcia. Z ich oczu dało się wyczytać, że się rozumieją, że zajrzeli nawzajem w swoje dusze i dostrzegli w nich część siebie. Piękno tego widoku na chwilę mnie sparaliżowało.

– Można się porzygać, co nie? – spytał Maldon, ale tym razem w jego słowach nie było jadu. Obracał w dłoniach coś długiego, czarnego i lekko zakrzywionego. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, co to jest.

– Nie powinieneś był tego zabierać – rzuciłem. To był kolec z jednego z ogonów Shantara, zakończony pulsującym workiem jadowym, który przypominał obsydianowe jądro. Poczulem, że coś mnie do niego przyciąga, i próbowałem stłumić tę tęsknotę.

– Uznałem, że może się przydać jako broń – odrzekł, po czym kilka razy dźgnął powietrze.

– Pozbądź się go. Nie chcę być w jego pobliżu. Valiya ma rację. Może i jestem porąbany jak wszystkie piekła, ale kto wie, jak ta rzecz by mnie zmieniła.

– Na pewno nie chciałbyś jej zjeść – odrzekł Maldon. Wystarczyło, że się zbliżył, a wyczułem toksyczność jadu. – Może użyjesz go na Dantrym, jeśli nie będzie panował nad rękami. Albo mogę ci pożyczyć garotę, jeżeli chcesz to załatwić po cichu. Przynajmniej przestałby recytować jej tę paskudną poezję.

Przez chwilę czułem, jak zimno rozlewa się po moich kościach i zeszywniałych mięśniach.

– Garotę?

– Gdzieś ją mam – odpowiedział, przesuwając palcem wzdłuż zewnętrznej krawędzi zakrzywionego kolca. – Chyba w głębi duszy wiedziałeś. Po prostu nie chciałeś tego przyznać.

Może miał rację. Może specjalnie nie przyglądałem się zbyt wnikliwie tym zgonom.

Linette miała gardło przecięte drutem, a na miejscu zbrodni widziano Urocze. Josaf dostał nożem w plecy. Klaunus, zamknięty samotnie w wieży, chroniony przez zaklęcia tłumiące. Co powiedziała Kanalina? „Z wieży nie ma innego wyjścia, chyba że ktoś go zabił, a potem wyskoczył z piątego piętra”. Zrozumiałem, że ten niezniszczalny mały drań właśnie to zrobił.

– Dlaczego?

– Przecież wiesz – odparł. – Żeby doprowadzić do ostatecznej rozgrywki. Żebyśmy byli ostatnimi figurami na planszy, gdy nadejdzie czas. Oni próbowaliby nas powstrzymać. Wiele można o tobie powiedzieć, Galharrow, ale nie masz duszy mordercy. Wiesz, że to było konieczne, ale nie jesteś zdolny do zabójstwa z zimną krwią.

Mylił się. Zamordowałem Silpura przy Bramie Zmierzchu.

Maldon wycelował we mnie kolec.

– Ona musi zrozumieć. Mam na myśli Amairę. Musi być gotowa wszystko porzucić. Powinieneś jej powiedzieć. A Dantry powinien przypomnieć sobie, jaką rolę pełni. Nie rzuciłem się z wieży na próżno.

Brutalne słowa, ale prawdziwe. Amaira stała się wielką niewiadomą. Służyła Wroniej Stopie, ale także mnie. Dzięki wspólnemu celowi byliśmy sobie bliżsi niż zaciśnięte szczęki rosomaka. Sądziłem, że potrafię przewidzieć każdy jej ruch, ale Dantry pozbawił mnie tej pewności.

Westchnąłem. To, co musiałem zrobić, nie było sprawiedliwe, ale podjęli tę decyzję za mnie. Wstałem.

– Jeszcze jedno – dodał Maldon. – Winter.

Odwróciłem się w jego stronę.

– Valiya? Co z nią?

– Ty i Amaira nie jesteście tutaj jedynymi kapitanami.

– Ona zna plan – odrzekłem. – Znał go też Nall, ale odszedł. Valiya już nie walczy dla Bezimiennych. Walczy dla nas wszystkich. Kiedy przyjdzie godzina próby, nie stanie nam na drodze.

– Na pewno nie jesteś co do niej równie zaślepiony jak w przypadku Dantry’ego?

Nie warto było spierać się z nim o coś, co sobie wyobraził. Pozwoliłem mu się bawić kolcem i odszedłem, żeby zrobić to, co konieczne.

– Wymyśliłeś, jak ominąć te przeklęte drzwi? – spytała Amaira, gdy wdarłem się do ich prywatnego świata. Sprawiała wrażenie zmęczonej, ale silnej. Oboje mieli więcej energii od nas, Niestety mniej na nich wpływało. Może po prostu mniej się na nim skupiali.

– Mam kilka pomysłów. Chodźcie ze mną, spróbuję wybadać Niestety – poprosiłem. – Musicie coś zrozumieć.

Odciągnąłem ich od obozowiska, idąc przodem. Amaira martwiła się o mnie, widziałem to w jej ruchach i w tym, że przygryzała dolną wargę. Poprowadziłem ich na szczyt niskiego piargu, a potem w głąb skalistego parowu i na kolejną rozległą piaszczystą równinę. Na tyle daleko od obozowiska, by nikt nas nie usłyszał, nawet Przędzarze dzięki swoim sprytnym sztuczkom. Nigdy dość ostrożności w towarzystwie czarowników.

– Opowiadałeś Valiyi o wrzecionie? – spytałem, gwałtownie obracając się na pięcie.

– Tak – odrzekł Dantry. – Szybko się uczy. Dlaczego pytasz?

– Chciałem się upewnić, że w razie potrzeby jeszcze ktoś z naszych ludzi będzie umiał je obsługiwać – wyjaśniłem. – Za bardzo polegamy na pojedynczych osobach. Na tobie, na mnie, na Maldonie. Zbyt wielki ciężar spoczywa na ramionach tak niewielu.

– Dzielimy obowiązki na wypadek, gdybyśmy kogoś stracili? – spytał Dantry. Radosny nastrój towarzyszący jego igraszkom z Amairą już się ulotnił. – Rozumiem. Zapoznałem ją ze wszystkimi planami. Jeśli po obudzeniu się stwierdzą, że dopadły mnie skrzelaki, ona poradzi sobie beze mnie. Nie jesteśmy też zależni od Northa.



– To dobrze – odrzekłem, chociaż wątpiłem, żebyśmy natrafili na skrzelaki. – Chcę, żeby w razie konieczności nasi ludzie potrafili doprowadzić sprawę do końca.

– Co to znaczy „nasi ludzie”? – spytała Amaira. – Wszyscy jesteśmy po jednej stronie.

– Nie – odparłem. – Nie jesteśmy.

– Jak to?

Coś pełzło pod piaskiem obok nas. Gwałtownie odwróciłem głowę jak ogar, który wyczuł zdobycz. Chwyciłem to coś i wyszarpnąłem spod ziemi. Miało nogi długie jak moje przedramiona. Patrzyło na mnie błagalnie, gdy odrywałem mu głowy i zatapiałem w nim zęby.

– Na duchy, przestań – westchnęła Amaira. Ruszyła w moją stronę, ale Dantry ją powstrzymał. Mogłaby mu się wyrwać, gdyby chciała – znacznie przewyższała go siłą – ale pozwoliła się zatrzymać z szacunku i miłości. Żułem pancerz, który chrzęścił mi między zębami, i wysysałem musujące soki. Palily mnie w usta i parzyły przęłyk, ale gorszy był wyraz twarzy Amairy. Groza, obrzydzenie, zagubienie.

– Przestań! – zawołała ponownie.

Wyssałem resztkę mięsa spod pancerza i upuściłem go na piasek. Popatrzyłem Amairze w oczy, ocierając usta.

– A więc już rozumiesz – odezwałem się.

– Właśnie to sobie zrobiłeś? Zmieniłeś się w taki sposób? Na piekła, Ryhalcie, dlaczego?

– Ponieważ musiałem – odrzekłem. – Dokonałem wyboru już dawno temu. Wszystko albo nic. Ale ja wybrałem oba. Właśnie tym teraz jestem.

– Przyprowadziłeś nas tutaj po to, żeby nam to pokazać? Teraz, gdy jesteśmy tak blisko celu? – spytał zapalczywie Dantry.

Oczywiście znał prawdę. Zapoznałem go z planem wiele lat temu i przez cały ten czas go dla mnie realizował. Stał się poszukiwanym człowiekiem, by przetestować moją teorię. Sprawdzić, czy ma szanse powodzenia.

Teraz objął Amairę, pocieszając ją, a nie przytrzymując. Była prawdziwą twardzielką, ale wtuliła się w niego.

– Nie – odpowiedziałem. – To był przypadek. Ale jesteśmy już tak blisko końca. Muszę wchłonąć wszystko, co zdołam. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

– O czym ty mówisz? – warknęła Amaira. – Dantry? Powiedz mi, co się dzieje.

– Jeszcze nie – rzuciłem, zanim zdążył się odezwać. – Powiedz jej później. Może za godzinę. Ale jeszcze nie teraz. Nie żartowałem, mówiąc „nasi ludzie”. Stoimy po różnych stronach. Widzisz to, prawda?

– Widzę, że my próbujemy dostarczyć broń do celu, by powstrzymać Królów Głębi, a Acradius pędzi w naszą stronę przez Nieszczęście – odburknęła Amaira. – Coś ci się pomieszało. Te... toksyny wypalają ci mózg. Wszyscy to dostrzegamy. Dostajesz paranoi, wszędzie widzisz duchy. Jedziemy na tym samym wózku.

– Nie – odparłem. – Ani przez chwilę tak nie było.

– Co masz na myśli? – spytała, marszcząc czoło.

Czułem świeżą energię Nieszczęścia, którą przekazywało mi ciało pochłoniętej istoty. Trujący ogień rozlewał się po moich żyłach i powoli przenikał kończyny. Ziemia pod butami triumfowała.

– Kto odpowiada za tę misję, Amairo? – spytałem. – Wronia Stopa? Posłał cię po broń. Pani Fal? Kieruje wszystkim w cytadeli. Płytki Grób? Wysłał te potwory, by nas broniły, ale w tym celu zburzył połowę cytadeli. Toczy się tutaj więcej niż jedna wojna. Bezimienni są wycieńczeni, zdziesiątkowani, podzieleni. Słabi. Jak długo wytrzymają?

– Co ty mówisz?

– Każdy z nich będzie próbował zagarnąć moc serca dla siebie – odrzekłem. – Wronia Stopa chce ją wykorzystać jako broń. Zależy mu tylko na pokonaniu Królów Głębi. Liczy się dla niego wyłącznie zwycięstwo. Rozmawiałaś z nim, więc dobrze o tym wiesz.

Amaira patrzyła mi w oczy, ale milczała. Miała minę jak burzowa chmura. Palcami prawej dłoni przesunęła po znaku kruka na lewym przedramieniu, może nieświadomie.

– Służymy naszemu panu – powiedziała. – Zawieramy układ. Jeśli to będzie konieczne, poradzimy sobie z innymi zagrożeniami, ale

Bezimienni są naszymi sojusznikami.

– Sądziś, że Pani Fal zrezygnuje z okazji do zdobycia takiej potęgi? – spytałem. – Jest wcieleniem próżności i złości. A Płytki Grób... Kto, u diabła, wie, czego on pragnie?

– Więc ich powstrzymamy – odparła Amaira z zapalem. – Czarnoskrzydli odpowiadają tylko przed Wronią Stopą. To jego plan. Doprowadzimy go do końca, a oni niech lepiej nie wchodzą nam w drogę. Ale myślę, że się mylisz. Bezimienni są co prawda małostkowi i zawistni, ale działają razem.

– Czyżby? Linette i Josaf zostali zamordowani. North próbował mnie zabić. Klaunus nie żyje. Ktoś nie chce, żeby kapitanowie Czarnoskrzydłych byli obecni podczas zaćmienia.

– North? – spytała od razu Amaira. – Sądziś, że Pani posunęłaby się aż tak daleko?

– Jeszcze dalej. – Popatrzyłem na Dantry'ego. – Ale to nie jej sprawka, prawda?

Amaira przeniosła wzrok ze mnie na Dantry'ego. Próbowwała coś wyczytać ze zmarszczek na jego twarzy i cieni wokół oczu. Dostrzegła tam coś, czego nigdy wcześniej nie widziała. Do jej serca zakradły się wątpliwości.

– Czegoś mi nie powiedziałaś – stwierdziła. – Dantry? O co chodzi?

– Powiedz jej – rzuciłem. – Powiedz, dokąd Maldon chodził, żeby zajmować się swoimi „niezbędnymi sprawami”. Jakie zadanie dla niego wymyśliłeś. Kogo kazałeś mu zabić.

– Galharrow – syknął Dantry, a jego oczy groźnie zapłonęły. – Po co teraz to robisz?

– Rzuciłeś się na Shantara jak idiota. Pobiegłeś prosto na spotkanie śmierci. – Odwróciłem się w stronę Amairy i wycelowałem w nią palcem. – A ty mogłaś zabić potwora i ocalić ludziom życie, ale się zawahałaś. Przez niego. Ponieważ jesteś odurzona i rozmarzona. Ludzie zginęli, gdyż nie dopełniłaś swoich obowiązków.

Dantry wbijał we mnie wzrok. Jeszcze nigdy nie widziałem w jego oczach takiej wściekłości. Jego młodzieńcza energia zgasła. Pod nią kryło się zmęczenie i znużenie.

– A więc chcesz mi to odebrać – odezwał się, a jego głos był zimniejszy niż mróz. – Teraz, gdy nie mam niczego więcej. Próbujesz mi to odebrać po tych wszystkich latach. Robię to dla niej. Ale robiłem to także dla ciebie.

Drżąca energia istoty z Nieszczęścia wciąż mnie wypełniała. Współczucie było bladym wspomnieniem, latawcem szarpanym przez wichur. Tutaj nie ma miejsca na łagodność. Dostrzegłem niepewność na twarzy Amairy. Udrękę. Wywróciłem jej świat do góry nogami. Nie mógłbym tego dokonać bez przepływającego przede mną skwierczącego mroku, który wchłonąłem.

– Weźcie się w garść. Pamiętajcie, na czym polega nasze zadanie. Tylko to nam pozostało. Nie bądźcie tutaj za długo. Okolica wkrótce znów się zmieni.

– Okłamałeś mnie – powiedziała Amaira, kiedy się oddalałem. Łamał jej się głos. – Linette była moją przyjaciółką.

Poprosiłem Nieszczęście, żeby nie zmieniało się zbyt wcześnie i pozwoliło im omówić trudną prawdę. Popatrzyłem na drzwi zawieszane nad piaskiem na szczycie niemożliwych schodów.

Nie kryłem się ze swoją hipokryzją. Zrujnowałem życie swoich przyjaciół, odbierając im coś pięknego w imię obowiązku, chociaż sam unikałem zobowiązań. Wobec Valengradu, Wroniej Stopy, ludzi, którzy mnie potrzebowali. Wobec Nieszczęścia, które czegoś ode mnie wymagało, a ja powinienem doprowadzić swoje zadanie do końca ze względu na nich wszystkich. Skoro potrafiłem złamać serca przyjaciółom, to mogłem także to znieść.

Obejrzałem się na obóz, w którym trwały gorączkowe przygotowania. Żołnierze upewniali się, że wszystko jest przykryte i przywiązane, na wypadek gdyby znów spadł deszcz. Valiya stała na skrzyni i wydawała polecenia. Kazna pozostawiła ją u steru.

– Proszę – odezwała się Nenn, wręczając mi pas z mieczem.

Zapiąłem go, nawet się nie zastanawiając, w jaki sposób Nenn zdołała go podnieść. Przecież była tylko duchem, a one mogą dotknąć jedynie umysłu. Ale Nenn po chwili zniknęła tam, dokąd udają się duchy, gdy mnie nie dręczą. W końcu są tylko figlami, którymi płata mi wyobraźnia.

Zamrugalem i potrząsnalem głowa, zeby odzyskać jasność myśli. Nie byłem nieświadomy. Wiedziałem, że Nieszczęście wpływa na mój umysł. Jeszcze kilka dni, a wszystko się skończy. Ale na razie musiałem zrobić to, o co mnie prosiło.

Żołnierze nerwowo mi salutowali, gdy ich mijałem. Byli dobrymi ludźmi, przyzwyczajonymi do dziwactw Nieszczęścia, ale nigdy nie widzieli czegoś takiego jak ja. Trudno było im zaufać komuś, kto tak wyraźnie się od nich odróżniał. Kiwałem głową, ale nie wdawałem się w rozmowy. Nie chcieli mnie przy swoich ogniskach. Nawet bez mojej obecności trudno im było o uśmiech.

Minąłem krąg zakrytych wozów i podszedłem do unoszącego się w powietrzu przejścia.

Nikommu o niczym nie wspomniawszy, postawiłem stopę na pierwszym schodku, a wtedy coś zabrzmiało echem w moim wnętrzu, jakby uderzenie kropli o powierzchnię podziemnego jeziora, fala rozchodząca się w ciszy. Musiałem zmusić się do wejścia na kolejny stopień. Jakiś ciężar naciskał od góry na moje ramiona. Mówił: nie. Ale dźwigałem już większe brzemiona. Wspinałem się krok po kroku. Siódmemu wychodziło to bez większego trudu, co świadczyło o tym, jak potężne były alabastrowe ciała Marmurowej Straży. Usłyszałem krzyki w obozowisku – Valiya i North wołali mnie po imieniu – ale zignorowałem ich i wspiąłem się na sam szczyt. Stamtąd zobaczyłem, że za drzwiami jest coś więcej niż zwykła ciemność. Kolejne schody wiodły w dół do jaskini, która nie miała prawa istnieć, tunelu prowadzącego w puste powietrze. Stopnie były szorstkie, raczej wydrapane niż wycięte, a w suchym powietrzu unosił się paskudny trupi smród.

Obejrzałem się na Valiyę, która do mnie biegła. Pokręciłem głową i uniosłem dłoń, zeby ją zatrzymać. Zwolniła dopiero u stóp schodów. Kapitan North zaczął wrzeszczeć, pozostali do niego dołączyli. Kiedy byłem pewien, że Valiya zostanie na miejscu, wkroczyłem w mrok.

Żadnego wiatru. Żadnych podmuchów wydobywających się z przejścia. Jaskinia nie odrzuciła mnie tak jak Strażników. Otrzymałem zgodę na przejście.

Niemożliwy tunel opadał do jakiegoś innego miejsca. W dole widziałem blask, bladą zimną biel. Przypominała mi o świetle w Bezkresnym Braku, jaskrawym i jednostajnym, płynnym, ale martwym. Wycie rozbitego nieba ucichło za mną, gdy zszedłem w jasność.

Schody zanurzały się bez końca w mleczny blask. Zacząłem przeskakiwać po dwa stopnie naraz.

Ciszę początkowo zakłócał tylko odgłos moich kroków, ale potem usłyszałem jakiś szept na obrzeżach swojej świadomości. Śpiewanie. Dziecięce głosiki, wspólnie powtarzające beztroską, leniwą frazę:

*Noc jest ciemna, zimna jest noc.*

Oczywiście.

W dół, w dół, ciągle w dół. Przypomniały mi się schody, na których straciłem Jennin. Czy gdybym się teraz cofnął, czarna plamka wejścia chociaż trochę by się przybliżyła? Schodom w Nieszczęściu nie można ufać. Za późno na wątpliwości. Parłem naprzód. Nieszczęście chciało, żebym tutaj przyszedł, nie pozwoliło mi pójść dalej, dopóki nie zagram w jego grę. Nawet przyjęło moje warunki, by sobie to zagwarantować.

Do czegoś się zbliżałem. Nie wiedziałem do czego, ale czułem, jak się nade mną wznosi. Miałem coraz silniejsze wrażenie, że ktoś dotyka moich ramion, aż w końcu utonąłem w czyichś objęciach. Ten ktoś mnie witał czy powstrzymywał? Nie wiadomo, ale niezależnie od tego, w czyje widmowe ramiona wpadłem, nie były one na tyle silne, by mnie przewrócić albo odpędzić. Nie przywykłem do takiego Nieszczęścia. Było takie samo, a jednak inne. Starsze, może nawet silniejsze. Wystarczająco silne, by raz za razem stawać mi na drodze i narzucać się, nawet wbrew swojej zmiennej naturze.

Schody się skończyły. Wszedłem na ruchliwy targ, na którym kładły się długie cienie zmierzchu.

Ludzie byli znajomi, a zarazem nieznajomi. Nie rozpoznawałem tutejszej mody. To byli moi rodacy, o takiej samej karnacji i oczach,

ale od wieku nikt nie nosił takich pantalonów. Oddział żołnierzy maszerował z hakownicami na ramionach, staroświecką bronią palną, którą już dawno zastąpiły rusznice. Przemieszczali się w dobrze zorganizowanych pułkach, maszerując przy wtórze znajomo brzmiącego pokrzykiwania ślepowronów. Kupcy i mieszczenie krążyli między straganami, szybko się przemieszczając i jeszcze szybciej dobijając targu. Dzieci stały na scenie, a ich głosy wzbijały się w niebo w rytm ruchów batuty nauczyciela. Spędziłem tak wiele czasu w Łańcuchu, że zapomniałem o istnieniu takich miejsc. Miejsc, w których życie toczyło się normalnie, handlarze handlowali, śpiewacy śpiewali, a życie mijало dzień po dniu bez popękanego i strzaskanego nieba nad głową. Białe obłoki płynęły po niemożliwie błękitnym nieboskłonie.

Podeszli do mnie dwaj młodzi handlarze z uśmiechami na twarzach i lśnjącymi oczami, niosąc przed sobą tace z towarami dla żołnierzy. Świecełka, które miały chronić przed złym losem, erotyczne broszury, lekarstwa na odciski. Żadne z nich nie działały zgodnie z oczekiwaniami.

– Długa podróż, przyjacielu? – spytał jeden z nich. Pewnie uznał mnie za żołnierza, który właśnie zszedł ze szlaku. Wokół było mnóstwo żołnierzy. Targ był ich pełen.

– Wystarczająco długa – odpowiedziałem.

– Nie dziwi mnie to. Drogi są w oplakany stan, rządzący o nic nie dbają – rzekł pogodnie. – Może coś orzeźwiającego? – Odszukał wśród przedmiotów na tacy buteleczkę z bursztynowym płynem. Ale ja zamarłem. Chwyciłem go za rękę, a on popatrzył na mnie z lękiem.

– Co powiedziałaś? – spytałem.

– Może coś orzeźwiającego?

– Nie, wcześniej.

– Przecież to prawda. Rządzący nie dbają o drogi, czyż nie?

Puściłem go i odepchnąłem. Zamrugąłem i potrząsnąłem głową. Co ja tutaj robię? Czy cokolwiek z tego jest prawdziwe? Może

pozostali mieli rację. Może to cena za truciznę, którą wpuściłem do swoich żył.

Zanurzyłem się głębiej w targowisku. Za straganami stał samotny niepilnowany wóz. Na uginającej się pace spoczywał ogromny sarkofag z czarnego żelaza. Z jego wnętrza dobiegały szepty, które starały się do mnie dotrzeć. Nie wypowiadały żadnych słów, tylko mnie witały. Niemożliwe, ale cóż obecnie to słowo dla mnie oznaczało? Widziałem zbyt wiele niemożliwych rzeczy, by nadal uważać to określenie za zasadne.

– Gorące ciastka, szybko się sprzedają! – ryczał mężczyzna z pełną tacą. – Szybko się sprzedają! Zostały tylko siedemdziesiąt cztery! – Rozdawał parujące bułeczki, przyjmował pieniądze. – Siedemdziesiąt trzy, siedemdziesiąt dwa...

Ponętna młoda kobieta o oczach ciemnych jak węgiel i ustach czerwonych jak zimowe jagody sunęła po obrzeżach tłumu, piękna i zmysłowa w taki sposób, że przewracało mi się w żołądku. Miała na sobie szatę wiszącą na jednym ramieniu, jakich pracujące dziewczyny nie nosiły za mojego życia, ale która dla każdego była symbolem prostytutki. Zauważyła mnie i uniosła jedną brew, widząc, że zwróciłem na nią uwagę. Cofnąłem się w stronę dzieci, nagle zdjęty strachem. Teraz śpiewały nową piosenkę:

*Łup, łup, łup, drewno rąb  
Na kawałki, mój kolego,  
Nie ułożysz po zawietrznej,  
Zimą będzie do niczego.*

– Znów nierówno! – krzyknął nauczyciel na jedno z dzieci, chłopca z wściekle wykrzywioną buzią. Dziecko zacisnęło pięści i cisnęło ogryzkiem w nauczyciela, a ten w odpowiedzi pogroził laską.

– To dobry chłopiec, tylko go nie złościę – powiedziała pokornie jego siostra, starając się uspokoić czerwonego na twarzy malca.

Zatoczyłem się. Już kiedyś słyszałem te słowa. Wielokrotnie. Znałem je wszystkie. Młody żołnierz złapał mnie za ramię.



– Ejże, chyba przyda się panu chwila odpoczynku – rzekł. – Chce pan usiąść?

– Nic mi nie jest – odpowiedziałem. Nie miałem pojęcia, czy rozmawiam z prawdziwym człowiekiem, czy z halucynacją. To wszystko było kłamstwem. Nic z tego nie było prawdziwe, nic nie istniało. Ogarniał mnie obłęd, widziałem już nie tylko swoich serdecznych przyjaciół, ale całe miasteczka. prostytutka się do nas zbliżyła.

– Dobry wieczór, panie – odezwała się cicho i namiętnie. – Chcesz się zabawić?

Zakryłem uszy dłońmi i zamknąłem oczy. Kiedy znów je otworzyłem, noc przeminęła i na horyzoncie wstawał świt. Ludzie zniknęli, tylko dwie postacie siedziały na krawędzi wozu z ładunkiem. Oszałamiająco przystojny młodzieniec, który wyglądał tak, jakby nigdy nie wykorzystywał swojej urody do szlachetnych celów, oraz kobieta, zdecydowanie za młoda na tatuaż z wroną, który zakrywał większą część jej twarzy. On sprawiał wrażenie drobnego i wystraszonego. Ona była zdecydowana, ale bardzo smutna.

Kapitan Czarnoskrzydłych Narada. Siedziała tutaj o świcie dziewięćdziesiąt lat temu, zanim powstało Nieszczęście. Wiedziałem, co spoczywa wewnątrz tej ogromnej żelaznej trumny. Nazwa miasteczka nie miała znaczenia. Ludzie na targu byli tylko echemi przeszłości i raz za razem powtarzali te same zdania co skrzelaki, słowa wyrwane z czasu i wciśnięte w głosy przemienionych.

– Pomóż mi ją otworzyć – poprosiła Narada i razem z młodzieńcem podnieśli wieko, które spadło z brzękiem. Ponownie usiedli na krawędzi wozu, a ich palce lekko zadymiły i pokryły się zgniłą zielenią w miejscach, którymi dotknęli żelaza.

Niebo nad ich głowami zaczęło wybrzuszać się i skręcać. Oto ta chwila. Moment uwolnienia Serca Pustki. Narodziny Nieszczęścia. Jakaś kobieta, odziana w podrzędnej jakości jedwabie i zbyt wiele pierścionków, wtoczyła się na plac i chwyciła mnie za rękę, żeby nie upaść, gdy pierwsze pęknięcie przeszło niebo.

– Niech duchy mają nas w opiece – wyszeptała. Z jej upudrowanej twarzy dało się wyczytać przerażenie. – Bezimienni nas zdradzili. – Popatrzyła w górę, wypowiadając bezgłośnie słowa. – Nadchodzi śmierć.

Wycie nieba zmieniło się w rozedrgany ryk, a następnie wszystko zalała jaskrawa biel. Potem nie było już niczego.

Stałem w surowej, wilgotnej jaskini o niskim stropie. Miasteczko zniknęło. Targ przepadł. Ludzie rozplłynęli się w powietrzu. Obrzeża jaskini były pogrążone w cieniu, ale jej wnętrze niewiele przewyższało rozmiarami salę w tawernie. Stałem w progu, za moimi plecami ciągnął się blady tunel. Pochyłe, nierówne podłoże pokrywały muszle istot, które mieszkały w morzu, oraz takich, które nigdy nie powinny istnieć. Jaskinię oświetlało coś, czego nie potrafiłem nazwać, a co unosiło się w powietrzu bez żadnego podparcia. Miało rozmiary kasztana i promieniowało słabym światłem przypominającym zachód słońca nad pustynią.

To nie było Serce Pustki. Niezupełnie. Ale kiedyś stanowiło jego część. Malutki odprysk, który trafił tutaj, gdy Wronia Stopa wcielił w życie swój plan. Jego furia wyczerpała się niemal sto lat temu, lecz wciąż kryła się w nim mroczna energia. Moc wypełnia każde serce, zarówno czarownika, potwora, odprysku pustki, jak i człowieka, ale on nie mógł jej spożytkować, nie miał celu, do którego mógłby wyruszyć. Paraliżowała go bolesna świadomość własnych czynów.

Nieszczęście sprowadziło mnie tutaj, abym był świadkiem i zobaczył, do czego został zmuszony. Zniszczenie Clear i Adrogorska, unicestwienie milionów istnień. Wielokrotnie stawiało na mojej drodze te mroczne drzwi. Może dzięki naszej nowo zbudowanej więzi uznało, że wreszcie pojawił się ktoś, kto zrozumie.

Doskonale rozumiałem. Pustka pragnęła tego, czego wszyscy szukamy, a czego ja sam poszukiwałem od chwili, gdy posłałem na śmierć tamtych dzielnych ludzi pod Adrogorskiem. Czego potrzebowałem od chwili, gdy stanąłem w sądzie z twarzą zalaną krwią Torola Mancona. Co topiłem w kolejnych porcjach alkoholu, gdy dowiedziałem się, że moja żona i dzieci odeszli.

Pustka pragnęła przebaczenia.

Nieszczęście nie ma umysłu. Jest zmianą, nieskrępowaną i gwałtowną, stale przekształcającym się miazmatem możliwości. Ale tutaj pozostałość broni, która je stworzyła, zbudowała sanktuarium i otuliła się wspomnieniami. Nie mogła się ich pozbyć, może nawet nie wiedziała, czym są. Poczucie winy to potężna siła. Osacza cię, przygniata, zrywa twoją więź z prawdą świata, a jednak nie potrafimy go odrzucić, ponieważ zdradzilibyśmy tych, których zawiedliśmy. Duchy Nieszczęścia nie były tylko projekcją moich wyrzutów sumienia. Były przesączającą się do naszej rzeczywistości krwią Serca Pustki, odbiciem jego dotkliwej samotności i pragnienia złagodzenia bólu wywołanego tym, co uczyniło. Do czego Wronia Stopa je zmusił. W końcu w naszej więzi znalazło ujście dla swoich uczuć. Sposób na wyrażenie tego, co dręczyło je przez dziewięćdziesiąt długich lat.

– Właśnie tego pragniesz?

Ezabeth pojawiła się przede mną, pochwycona w promień światła, który przesączał się przez pęknięcie w stropie. Jej stopy i dłonie lizały płomienie.

– Nie – odpowiedziałem. – Nigdy czegoś takiego nie chciałem. Ale nie możemy liczyć na lato. Sama mi to powiedziałaś.

– Wiesz, jak to się skończy – wyszeptała, a jej słowa były jak stal. – Cierpieniem i śmiercią.

– Zobaczymy.

Z czcią wyciągnąłem rękę i zacisnąłem dłoń wokół punkciku światła. Poczułem jego żar, nie delikatne ciepło lata, ale gorący kaszel zakażenia i choroby wydobywający się z głębi gardła, mącący wzrok. Nieszczęście w moim wnętrzu zaskwierczało. Poczuło nie tylko swoją moc, ale tego, kto je stworzył. Tak jak ono stworzyło mnie.

– Jesteś już na to za słaby – odezwała się Ezabeth. – Niezależnie od mocy, którą dysponujesz, jesteś tylko pojedynczym człowiekiem.

– Nie – odparłem. – Nigdy nie jestem sam. Ty mnie tego nauczyłaś.

Światło popłynęło wzdłuż mojego nadgarstka, ręki, łokcia, a potem w głąb piersi. Poczułem je w swoim wnętrzu. Wrażenie

zimna, niekończącej się udręki wywołanej tym, czego w jego imię dokonano. Czułem mrowienie palców w miejscach, które się z nim zetknęły, ale to wrażenie nie było nieprzyjemne. Byłem jego powiernikiem: miałem strzec tej tajemnicy, tej winy. Ponieść ją na swoich barkach, jeśli to będzie konieczne. Taki zawarliśmy układ.

Wróciłem do schodów i zacząłem się wspinać w stronę światła.

Prowadziło mnie tutaj przez te wszystkie lata. Każdy kochanek pragnie ofiarować serce. Nieszczęście właśnie oddało mi swoje.

# 29

Kiedy przeszedłem przez drzwi, świat wyglądał inaczej.

Wieże Adrogorska sterczały z pyłu jak zęby jakiejś głębinowej ryby, oddalone o niecałą milę na północ. Był dzień, brak księżyców wskazywał na wczesny ranek, a wieże lśniły czerwono i złoto pod wstającym słońcem. Wąskie, powykrzywiane, wypaczone i zespolone w miejscach, w których kamień stopił się i rozpląnął pod wpływem Serca Pustki, wciąż przypominały, że wybitne umysły i silne dłonie niegdyś wspólnie stworzyły tutaj coś pięknego.

Nie było niczego pięknego w pozostałościach miasta. Iglice stanowiły surowe świadectwo zagłady, potężne kamienie nagrobne dla setek tysięcy zabitych, które wznosiły się w niebo w poszukiwaniu zemsty, która nigdy się nie dokona.

Byłem brygadierem, kiedy przybyłem tutaj po raz pierwszy. Elegancki mundur, wypolerowane guziki, insygnia z symbolem księżycy na ramieniu pokazujące wojskowy stopień, z którego byłem dumny, ale który chciałem czym prędzej poprawić. Ależ był ze mnie głupiec. Teraz wróciłem tutaj jako dowódca niczego.

Zmobilizowani żołnierze już maszerowali w stronę miasta, wozy grzechotały, zwierzęta ryczały. Valiya stała u stóp schodów i patrzyła w górę. Miała ściągniętą twarz i kurczowo ścisnęła szal, którym okryła ramiona, choć nie było zimno.

– Wiedziałaś, że wrócisz – powiedziała – kiedy okolica zaczęła się zmieniać. Wiedziałaś.

– Podziałało – odrzekłem.

– Podziałało – zgodziła się. – Co jest za portalem?

– Wspomnienia. Wyrzuty sumienia. Żal. Rzeczy, których można się tutaj spodziewać.

– A więc trzeba zapłacić cenę.

– Jak zawsze. – Podniosłem wzrok na pęknięcia na niebie, szerokie i rozjarzone. Rioque mijał jedno z nich i jego obraz był zniekształcony, jak wtedy, gdy patrzy się przez palce trzymane przed jednym okiem. Tak jak smutek, nadzieja czy zrozumienie, pęknięcia zarazem były i nie były prawdziwe. Prawda, która istnieje tylko w naszym umyśle.

Valiya odwróciła się i podeszła do naszych wierzchowców. Przeprowadziła mojego, osiodłanego i gotowego do pokonania ostatniej mili dzielącej nas od miasta. Podsadziłem ją na siodło, a potem sam również dosiadłem konia. Nie było to tak łatwe jak dawniej. Byłem większy, cięższy i w ogóle nie podobałem się swojemu wierzchowcowi. Pojechaliśmy w stronę Adrogorska. Zauważyłem, że Dantry obserwuje mnie z goryczą i ciężkim sercem. Garbił się i już nie wyglądał przystojnie. Amaira jechała po drugiej stronie kolumny i nieobecny wzrokiem patrzyła w dal.

Musiałem ich rozdzielić. Potrzebowałem ich obojga. Odkryłem, że powtarzam to sobie raz za razem, ale nie chcę spojrzeć Dantry'emu w oczy.

Adrogorsk kiedyś był wspaniałym miastem. Nie za mojego życia. Nie w ciągu ostatnich dziewięćdziesięciu lat. Przed Sercem Pustki. Każdy żyjący śmiertelnik znał go jako ruinę, wspomnienie miejsca, które kiedyś tętniło handlem, sztuką i kulturą. Jego strzaskane kości stanowiły dowód, jeśli takowy był konieczny, że Bezimienni są skłonni poświęcić wszystko, by przetrwać.

Długi bulwar prowadził w stronę niegdysiejszej Bramy Ogrodowej, którą dawniej zdobiły bluszcz i kosze z kwiatami, tak że promieniowała kolorami. Chyba nic tak nie ucisza serca jak upadli giganci. Mieszkańcy Adrogorska byli dumni z wojowniczych królowych, które kiedyś walczyły mieczami z brązu o swoje żyzne ziemie i stawiały potężne kamienne posągi wzdłuż tego szlaku, cuda świata wznoszące się pod samo niebo. Pozostały po nich tylko cokoły, stopy oraz w kilku szczęśliwych przypadkach kostki. Podstawy niegdyś największych rzeźb znanego świata otaczały napisy w elgin, języku, który został zapomniany na długo przed tym,

zanim broń Wroniej Stopy powaliła posągi, ale Maldon go znał. Chętnie zabrał się do tłumaczenia.

– Tutaj stoi Shinestra, Królowa Świata! Patrzcie na Jej Wysokość i rozpaczajcie! – Popatrzył na inny postument. – Tutaj stoi Vinova, Królowa Świata! Jej piękno hipnotyzuje, jej siła niszczy! – Roześmiał się. Ludzie nie śmieją się w Nieszczęściu, jeśli są przy zdrowych zmysłach. Maldon o to nie dbał albo rzeczywiście postradał rozum. Żołnierze posyłali mi zaniepokojone spojrzenia, mijając go z pikami na ramionach. Maldon zakrył twarz szalem, więc wiedzieli, że nie czyta napisów, a poza tym słyszeli o Uroczych więcej niż przeciętny człowiek. Kazałem mu przestać, gdy wzdłuż bulwaru zaczęli się ustawiać żołnierze.

Były ich całe legiony. Niektóre twarze rozpoznawałem, wielu nie. Mieli mundury, które wyszły z mody przed trzydziestu laty, i przestarzałą broń. Stawali w szeregach po obu stronach popękanych i strzaskanych brukowców, eteryczni, spowici obłokami pary. Duchy mojej przeszłości. Ludzie, którzy zginęli na murach lub pod nimi albo podczas tamtego piekielnego odwrotu do Łańcucha. Niektórzy wciąż mieli na sobie rany, które ich zabiły, inni sprawiali wrażenie wypoczętych i zdrowych. Jakiś mężczyzna zasalutował mi kikutem dłoni, z którego sterczała nierówna kość.

– Panie brygadierze – odezwał się.

– Naprzód, szeregowy – odrzekłem.

– Z kim rozmawiasz? – spytała Valiya.

– Nie widzisz ich? – zdziwiłem się. Powiodłem wzrokiem po oddziałach duchów, które zajmowały pustynną równinę. Szeregi widmowych żołnierzy z eteryczną bronią stały w milczeniu. Patrzyły, jak je mijam. Zadrzałem.

– Nikogo nie widzę – odrzekła Valiya.

– Są ich tysiące. – Ściszyłem głos. – Znacznie więcej, niż miałem pod Adrogorskiem. Setki tysięcy.

Znajome twarze mieszały się z zapomnianymi. Nenn również zajęła miejsce w szeregu i jako jedna z niewielu nie stała na baczność. Otoczyła się swoimi Kaczorami, dzielną kawalerią, którą kiedyś powiedliśmy do kryształowego lasu. Byli wśród nich także

ludzie, którzy zginęli, broniąc murów Valengradu, jak również najemnicy, których osobiście wynajmowałem do pustynnych wypraw jako łowca nagród. Jedna z młodych twarzy przypomniła mi, jak kazałem pewnemu młodzieńcowi stać na warcie przez całą noc, ponieważ obsypał piaskiem moje świeżo wypolerowane buty. Inna przywołała wspomnienie mężczyzny, którego wysłałem z wiadomością na mury tuż przed tym, jak zabójcze zakłęcie Uroczego rozdarło fortyfikacje. Tak wielu umarło. Wszyscy przeze mnie. Z mojej winy.

„Moje” – zapulsował we mnie głos Nieszczęścia. Nie wypowiedziało tego słowa, ale dało mi znać, że do niego należę. Zaznaczyło swoje prawo do mnie. Do nich. Mocno zacisnąłem powieki w nadziei, że kiedy je otworzę, żołnierzy już nie będzie, ale tak się nie stało. Zawsze powtarzałem, że duchy z Nieszczęścia to tylko odbicia naszych wyrzutów sumienia, a jeśli w ogóle mamy duszę, to wędruje ona do zupełnie innego miejsca. Ale teraz, gdy obserwowały mnie tysiące par widmowych oczu, już nie byłem tego taki pewny.

Kiedy zbliżyliśmy się do zburzonych murów miasta, Trzeci Batalion, moi ludzie, stanął ramię w ramię, tak samo jak wtedy, gdy rozkazałem im sformować szyk i osłaniać odwrót. Obracali się w moją stronę z serdecznymi uśmiechami, salutując. Nie widziałem ich ostatniej, heroicznej potyczki. Nie zasługiwałem na ich szacunek.

– Niech pan idzie – odezwał się major Gil. – Kupimy panu trochę czasu. Niech pan zrobi to, co konieczne.

Na chwilę się zatrzymałem i popatrzyłem na odsłoniętą kość na jego głowie. Nie patrzył bezpośrednio na mnie. Wypowiadał te słowa z innego miejsca i czasu. To było tylko echo, ale i tak robiło wstrząsające wrażenie. Gil był wtedy o dziesięć lat starszy ode mnie i mógł uchodzić za weterana, ale to było trzydzieści lat temu. Teraz wydawał mi się taki młody. Dotyczyło to ich wszystkich: dzieci Nieszczęścia.

– Nie powinienes być za mnie umierać – powiedziałem. To pierwsze przeprosiny, jakie do nich skierowałem.



– Dobrze nas pan traktował – odrzekł Gil. – Może i był pan nadętym dupkiem, ale naszym nadętym dupkiem. Zaczekamy tutaj, jeśli będzie nas pan potrzebował.

Skinąłem głową, chociaż wolałbym, żeby rozpląnął się w powietrzu. Nieszczęście mogłoby pokazać mi ich śmierć, ale ich szacunek był jeszcze gorszy.

Świat zawirował i straciłem równowagę, jakbym od świtu raczył się rumem. Poczulem w uszach czarny ryk i otoczyły mnie głośne podmuchy mrocznego wiatru. W moich myślach rozgościła się czarna żelazna lektyka, tak zimna, że jej chłód pokonywał spaczone mile i otulał mój umysł.

„Dotarcie do miasta nic ci nie da, Synu Nieszczęścia – odezwał się łagodnie Imperator Głębi Acradius. Łagodnie jak lawina. Łagodnie jak zderzenie planet. – Przynieś mi serce mojego brata, a cię oszczędzę. Twój sojusznicy będą nosili mój znak. Żaden z was nie umrze na próżno”.

– Nie traciłbyś na mnie swojego boskiego oddechu, gdybyś nie uważał, że mogę cię pokonać – odparłem. W ustach poczułem krew i czarny olej Nieszczęścia, który sączył mi się z dziąseł. Splunąłem. Ale i tak ich zobaczyłem.

Maszerowali tysiącami. Robole wojownicy, bladokórzy i ciężko opancerzeni, z włóczyniami na ramionach i tarczami w rękach. Nad nimi powiewały długie jaskrawe sztandary Królów Głębi. Wyczułem, że tą potężną armią kieruje jakiś inny umysł. Znacznie starszy nawet od Acradiusa. Śpiący, który wciąż cierpliwie czekał.

Acradius zamierzał mnie wystraszyć, pokazać siłę wojowników, którymi dowodzi, ale źle ocenił moje zdolności. Znałem Nieszczęście, jego prądy i kanały, przepływy i zmiany mocy. Poza tym dostrzegąłem, że siły Imperatora są na wyczerpaniu, tak samo jak siły Bezimiennych. Kurczowo trzymał się życia, a Śpiący pragnął nim pokierować i go zdominować. Acradius ogromnym kosztem podporządkował sobie Królów Głębi. Powinien był zmieść nas z planszy, lecz okazał się równie bezsilny jak Wronia Stopa, Pani Fal i cała reszta.

Parsknąłem śmiechem w piach i pył, a furia Acradiusa rozpalila się do białości. Była gorętsza od ognia w kuźni, gorętsza od słońca. Jeszcze nigdy żaden śmiertelnik z niego nie kpił. Nigdy przez całe tysiąclecia.

„Zachowam cię przy życiu. Będziesz trwał przez dziesięć tysięcy lat, obdarty ze skóry i przybity do miejskich murów – zagrzmiął Acradius ze swojego żelaznego grobowca. – Moją armię poprzedzają najszybsi jeźdźcy. Dwadzieścia tysięcy moich najlepszych wojowników sprowadzi cię do mnie w łańcuchach”.

– Ale ty nie możesz z nimi pojechać – odparłem. – Wszystkie siły zużywasz na utrzymanie kontroli.

„Nigdy nie zrozumiesz, czym jest kontrola – wyszeptał Acradius. – Jestem legionami”.

Wizja uległa zmianie i ukazała mi się druga armia roboli. Potężny kontyngent mocno popędzający wierzchowce. Mieli grubą białą skórę i nie nosili zbroi, tylko długie kaftany. Byli uzbrojeni w łuki oraz lance. Jechali na szczuplejszej odmianie harków, kudłatych rogaczy, okładając je do krwi podczas szarży przez Nieszczęście. Pępowina czarnej energii, która miała połączyć Acradiusa z Adrogorskiem, ciągnęła ich naprzód, usuwając z drogi wynaturzenia Nieszczęścia. Magia gromadziła się wokół tronu, który niosły juczne zwierzęta. Na rozpadających się aksamitnych poduchach spoczywało, otoczone złotem i połyskującymi klejnotami, wysuszone, zabalsamowane ciało dawno umarłego czarownika, które stanowiło punkt skupienia dla magii jeźdźców, łącznik pomiędzy Imperatorem a miastem, koralik niestrudzenie sunący po drucie. Nie potrzebowali nawigatorów, zwłoki posyłały nieograniczony ładunek energii wzdłuż korytarza myśli Acradiusa. Jeźdźcy pozostawiali na szlaku zasnutym obłokami pyłu zdychające, wyczerpane wierzchowce, które słabo podrygiwały. Starali się za wszelką cenę dotrzeć do Adrogorska, zanim księżycyce ustawią się w jednej linii.

Ogromna armia ciągnęła w naszą stronę, gotowa nas zniszczyć.

„Nie rozumiesz, jaką potęgą władam? – zagrzmiął Acradius. Głośny jak zimowy śnieg. Surowy jak matczyzna miłość. – Twój

panowie kulą się ze strachu. Nic im nie pozostało. Ich dzień dobiegł końca, wszystkie ich plany i pionki okazały się bezużyteczne. Ale ja jestem kosmosem. Jestem światem. Nie mogę zdradzić swoich wyznawców, gdyż jestem wszystkim. Oddaj mi się. Ocal swoich ludzi i uczyn ich czymś więcej, niż potrafią sobie wyobrazić. Ich los spoczywa w twoich rękach”.

Cał po całach podźwignąłem się z piasku, podczas gdy obecność Acradiusa otaczała mnie zgiełkiem i drażniła.

Odepchnąłem go. Powtórzyłem słowa, które już kiedyś do niego wypowiedziałem.

– Zaraz spadnie deszcz – odezwał się daleki kobiecy głos.

– Nawet gdybym był tutaj sam – odrzekłem – nawet gdybym był ostatnim człowiekiem na świecie, i tak znajdziesz mnie pod murami Adrogorska.

Strzepnąłem piasek z dłoni i posłałem swoją furję przeciwko niemu, poza czerń, ziąb i zło, które usiłowały podporządkować mnie jego woli.

– Sprowadź swoich Królów. Sprowadź swoich roboty. Sprowadź całe pierdolone imperium, jeśli tego chcesz. Wszystko, co masz. Będziemy na ciebie czekać.

# 30

Niebo huczało głuchymi grzmotami, a fioletowa zasłona pędziła ku nam przez Nieszczęście.

Miejska brama przypominała ziewającą pustą paszczę. Nic organicznego nie przetrwało Serca Pustki. Żołnierze na rozklekotanych wozach popędzali długorogi uderzeniami batów. Kamienne mury były podziurawione i pokaleczone od uderzeń maszyn oblężniczych i zakłóc roboli, ale wciąż stały. Adrogorsk zbudowano tak, by wszystko przetrwał. Budynki za murami nadal były na swoich miejscach, chociaż powykręcały się i stopiły.

Wszystko wyglądało tak znajomo.

– Musimy znaleźć schronienie – stwierdziła Valiya, która doskonale zdawała sobie sprawę z działania deszczu.

– Dokąd zabierzemy wrzeciono, kapitanie? – spytała generał Kazna.

– Kanalina chce, żeby stanęło w najwyższym punkcie miasta. O ile dobrze pamiętam, to podniebna łaźnia w pałacu, ale na razie po prostu znajdziemy jakiś budynek i dostaniemy się do środka.

– Może pan wskazać kwatermistrzowi jakiś wojskowy skład? Chcę jak najszybciej wyładować amunicję w suchym miejscu.

Pokręciłem głową.

– Minęło trzydzieści lat, pani generał, a kiedy ostatnio tutaj byłem, miasto było pełne ludzi, dymu i chorej magii. Pamiętam podniebną łaźnię, ponieważ ją stąd widzę. – Musiałem przekrzykiwać powarkiwanie kłębiących się chmur, gdy wskazywałem pałac, najwyższą ocalałą budowlę. Z jego kopulastego dachu wznosiła się wieża zakończona płytką misą.

Generał wydała rozkazy: rozstawcie ekstraktory wilgoci, wybierzcie porządną budynek na skład prochu, wykopcie latryny,

zabezpieczcie granice obozu, zaopiekujcie się zwierzętami. Pośłańcy rozbiegli się z dobrze wyćwiczonym pośpiechem. Ich ceratowe peleryny mogły powstrzymać słaby deszcz, ale nie na długo. Pierwsze krople zaskwierczały między nami, paląc odsłoniętą skórę.

– Niech każdy gdzieś się schowa! – zawołałem całkiem niepotrzebnie. Żołnierze nie byli głupi i widzieli na własne oczy, co deszcz zrobił ich towarzyszom.

Valiya, Maldon i ja wślizgnęliśmy się przez drzwi na wpół przesłonięte stopioną ścianą. Pomieszczenie za nimi było ciemne, również częściowo stopione, a dach opadał skosem ku podłodze. Przez lata w kątach zgromadziły się piach i żwir, ale kości leżały nienaruszone, trzy oddzielne szkielety widoczne w słabym świetle. Pośród ludzkich szczątków walały się porwane resztki starych ubrań, sprzączki pasków i blaszane guziki.

– To grobowiec – odezwał się Maldon.

– Zapewne przynosiliśmy tutaj rannych żołnierzy z murów – odrzekłem.

– A potem ich zostawiliście, kiedy ewakuowaliście miasto? – spytała Valiya.

Uklęknąłem obok kości i podniosłem porysowany mosiężny kieszonkowy zegarek. Już dawno przestał chodzić, wskazówki znieruchomiały w ostatniej godzinie jego właściciela. Na zewnątrz czarny deszcz padał już z pełną siłą, z sykiem zalewając ulice.

– Zostawiliśmy umarłych – odparłem. – A ci, których rany uniemożliwiały ich przeniesienie, ponieśli szybką śmierć z rąk swoich oficerów. Robole mieli zająć miasto. Cios nożem był lepszy od wzięcia do niewoli. Nikt nie chciał, by potraktowano go robakami umysłu albo zmieniono w robola. – Przesunąłem palcami po czubku czaszki. Może znałem tego żołnierza. Może wypiliśmy razem szklaneczkę albo żartowaliśmy, zanim ogarnęły nas płomienie wojny. Nie pozostało tutaj nic poza szkieletami i strzępami przeszłości. Ostatecznie wszyscy jesteśmy niczym.

Nie mieliśmy nic więcej do powiedzenia. Usiedliśmy najdalej, jak to było możliwe pod skośnym sufitem, od drzwi i czekaliśmy, aż niebo opadnie z sił.

\* \* \*

– Co zrobisz, Galharrow? – spytał mnie Venzer.

Byliśmy sami w ciemności i obserwowaliśmy się nawzajem, siedząc ze skrzyżowanymi nogami na posadzce. Przerzucałem z ręki do ręki mały kamyk, a może to była kość palca. Trudno powiedzieć w mroku.

– Kiedy?

– Kiedy będziesz musiał. Kiedy broń Wroniej Stopy zostanie uzbrojona. Kiedy Przędzarze zgromadzą i utkają moc księżyców, a ty staniesz przed tą nową bronią, która może przynieść koniec świata.

– Zrobię to, co będzie konieczne – odparłem.

– To, co będzie konieczne, czy to, czego ty pragniesz? – Głowa Venzera opadła na bok. Złamany kark nie mógł jej utrzymać w pionie. Upływ czasu nadszarpnął jego niekompletne uzębienie, ale oczy wciąż jasno lśniły.

– Przekonałem się, że to może być jedno i to samo – odpowiedziałem powoli.

– Czarnoskrzydły, wszyscy kapitanowie odlecieli – rzekł Venzer. Jego głowa opadła do przodu, podbródek oparł się o pierś. Podniósł go obiema rękami. – Ciekawe, co się z nimi stało? Kto zabił Linette, Klaunusa, Josafa i Vasilova? Gdzie jest Silpur, obronny pies naszego pana? Dlaczego to nie on pociągnie za spust?

– Zrobiłem to, co musiałem.

– Czy oni by się z tobą zgodzili?

– Większość nie może – odparłem. – Nie mieli siły zrobić tego, czego się od nas wymaga. Nie wiem, jak umarli Linette i Josaf, ale oboje zawahaliby się w ostatniej chwili. Przykro mi, że odeszli. Nie ufam nikomu innemu. Tylko sobie. Sam podejmę ostateczną decyzję.

– A co z Amairą, nowym pisklęciem Wroniej Stopy? Pozwoliłeś, żeby hrabia jej powiedział. Dopuściłeś ją do waszego małego spisku. Ale co ona robi, gdy nadejdzie chwila twojej zdrady? Ciekawe, wobec kogo będzie lojalna?

– Pozwól, że ja się zajmę Amairą.

– A czy zrobiłeś na tyle dużo, by sobie z tym poradzić? – spytał Venzer. – Naprawdę jesteś wystarczająco silny?

– Jeszcze nie – odparłem – ale będę. Możesz na mnie liczyć, panie marszałku.

\* \* \*

Deszcz zabrał nam dwóch ludzi, głupców, którzy wybiegli, żeby coś zabrać, licząc na to, że peleryny ich ochronią. Dostali drgawek, zatraceni we wspomnieniach, które wtłoczono im do głów. Wspomnieniach Nalla. Usłyszałem ich bełkotliwe wrzaski z odległości dwóch ulic, gdy nadzorowałem rozładowywanie elementów wrzeciona. Rama była wykonana z grubych kawałków żelaza przeplatanych kunsztowną siatką srebrnego i miedzianego drutu. Soczewki zapakowano razem w pękate paczki, które powierzono Marmurowej Straży, gdyż nasi najsilniejsi żołnierze nie byłiby ich w stanie udźwignąć.

Wóz, na którym przywieziono serce lodowego potwora, był w opłakanym stanie. Deski wypaczyły się i poczerniały, a słoje w drewnie przypominały rozdziawione wrzeszczące usta. Długorogi zaprężone do wozu często wymieniano, ale nawet te, które ciągnęły ładunek tylko przez dwa dni, straciły futro na zadzie, a ich skóra pokryła się dużymi żółtymi wrzodami. Zbyt długo przebywały w pobliżu serca potwora, które odcisnęło na nich piętno, mimo że ściany skrzyni wyłożono ołowiem.

Stałem po drugiej stronie wozu razem z Northem, który opierał się na swojej włóczni z jadeitowym grotem. Nieco dalej stał Pierwszy i obserwował ładunek.

– Jeśli chcesz je tam zanieść, to proszę bardzo – powiedziałem. – Wolę nie zbliżać się do tego cholerstwa.

Kiedy tak na nich patrzyłem, na Northa skrytego za ciemnymi soczewkami okularów i na Pierwszego o oczach koloru krwi, uświadomiłem sobie, że w ostatnich dniach musiałem walczyć z oboma tymi sługami Bezimiennych. Teraz łączył nas wspólny cel, ale nadal za nimi nie przepadałem. North mruknął coś pod nosem

i się oddalił; nie miał zamiaru dźwigać ciężarów. Skrzynia nie była duża, ale do podniebnej łaźni prowadziło wiele stopni, a ładunek był cięższy, niż się wydawało.

Pierwszy przeniósł wzrok ze skrzyni na mnie. Strażnicy byli beznamiętnymi istotami, które nie interesowały się otaczającym ich światem, chyba że w powietrzu unosiła się woń krwi, ale Pierwszy miał zupełnie inny wyraz twarzy. Gdybym wierzył, że to możliwe, mógłbym przysiąc, że powstrzymywał uśmiech.

– Kapitanie Galharrow – odezwał się posłaniec. – Generał Kazna chce się z panem zobaczyć w podniebnej łaźni.

Stęknąłem w duchu, myśląc o tych wszystkich stopniach i czekającej mnie niebezpiecznej wspinaczce.

Stary pałac był najłatwiejszą do obrony budowlą w mieście. Królowe Adrogorska lubiły robić wrażenie na gościach, więc otoczyły swoją siedzibę głęboką fosą, nad którą przerzucono trzy szerokie mosty. Przez lata do fosy wpadło mnóstwo piasku i powstały ruchome piaski. Nieszczęśnik, który by w nie wpadł, nie miałby szans. Fosa nie miała pełnić funkcji obronnej; od czasu do czasu stateczek zabierał królowe na wycieczkę wokół ich wspaniałej posiadłości. Wzdłuż brzegów wciąż można było zobaczyć posągi przedstawiające kolejne pokolenia władców powalone przez magię Bezimiennych i niszczycielski wpływ Nieszczęścia. Toksyny w zgęstniałej wodzie zapewne przeżarłyby dno łódki, która teraz wypłynęłaby na taką wycieczkę.

Dach pałacu, w którym kiedyś mieszkały elity Adrogorska, wieńczyła podniebna łaźnia. Gdzie można przyjemniej zażyć wspólnej kąpieli niż dziesięć pięter nad ziemią? Jak na standardy Adrogorska dziesięć pięter to niewiele. Sporo wież w mieście wznosiło się nawet dwukrotnie wyżej – iglice luksusu zbudowane dla arystokratów, przy których książęta Dortmarku wyglądali jak nędzarze. Bujne ogrody, które niegdyś otaczały pałac, zmieniły się w zapyłone pustkowie usiane połaciami piasku. Otwarte schody pięły się w górę pałacowej ściany, a odkąd uderzenie Serca Pustki wyrwało poręczę, jedyny uchwyt zapewniały powyginane ołowiane rury sterczące z muru. Dziesięciopiętrowa wieża nie mogła się



równać z Wielką Iglicą, ale i tak zalałem się potem, a dawna rana w udzie od włóczni pulsowała bólem.

Sama łaźnia miała postać okrągłego basenu zakrywającego większą część dachu; woda sięgała typowemu arystokracie do pasa. Odpływy były teraz otwarte i nagromadzona deszczówka spłynęła, a gładkie pochyłe marmurowe ściany znaczyły brudne czerwone smugi. Generał Kazna i jej oficerowie zgromadzili się na krawędzi zbiornika i patrzyli na wschód. Amaira opierała się o ścianę. Była blada i miała pył we włosach. Nie patrzyła mi w oczy.

– Chciałabym, żeby pan ocenił zdolności obronne miasta, Galharrow – odezwała się Kazna. – A potem zaproponował, jak powinniśmy rozdysponować dostępne siły.

Pokiwałem głową. Spodziewałem się tego. Z dachu pałacu wyraźnie widzieliśmy większą część murów, nie licząc miejsc, które przesłaniały cienkie poskręcane iglice.

– W zewnętrznym murze jest pięć większych wejść – odpowiedziała mi Nenn. – Dwie główne bramy, na tyle szerokie, że można przez nie przejechać wozami, tylna brama, która na to nie pozwala, a także dwie wyrwy w miejscach, w których robotom udało się zburzyć spore fragmenty murów. Ale istnieją też dziesiątki mniejszych tuneli wydrążonych za pomocą czarów.

Wskazywałem je, a ona podawała ich nazwy.

– No i co? – spytała Kazna.

– Słyszała ją pani – odrzekłem. Skrzywiłem się, kiedy Kazna i oficerowie wymienili spojrzenia, które mi się nie spodobały. Nenn była majorem i nie lubiłem, gdy ktoś nie okazywał jej należytego szacunku.

– Sam im powiedz, jeśli nie chcą mnie słuchać – powiedziała, przewracając oczami.

Pokręciłem głową ze znużeniem. Jej ocena sytuacji była nienaganna. Powtórzyłem dokładnie słowa Nenn i tym razem oficerowie okazali zainteresowanie.

– Powiedział pan, że nadciąga pierwsza armia robotli – odezwała się Kazna. – Kiedy tutaj przybędą?

– Szacuję, że za dwa dni – odrzekłem. – Ale możliwe, że wcześniej. Albo później.

– Musimy utrzymać ruiny tylko do chwili, gdy Przędzarka Kanalina wykona swoje zadanie – powiedziała Kazna bardziej do swoich oficerów niż do mnie. Zastanawiałem się, czy usłyszeli zniechęcenie w jej głosie. Robiła dobrą minę do złej gry, ale moja ocena sytuacji ją przygnębiła. – Potem porzucimy wszystko, co się da, i jak najszybciej odjedziemy w stronę Łańcucha. Robole będą zmęczeni po forsownym marszu. Dzięki zapasowi sił powinniśmy zostawić ich w tyle. – Zerknęła na niebo, jakby potrafiła wyczytać z orbit księżyców, ile czasu zostało do zaćmienia. – Trzy dni. Tak długo musimy się utrzymać. Ilu roboli nadciąga?

– Nie chce pani wiedzieć – odparłem.

Oficerowie byli twardzi. Każdy z nich wielokrotnie służył w Nieszczęściu, czego dowodziły zmarszczki wokół ich oczu. Zamiast mundurów nosili zbroje i korzystali z praktycznego oręża. Nie byli delikatni jak orchidee, mimo wszystko wiedziałem, że moja odpowiedź ich zabol.

– Nie mogę zaplanować obrony, skoro nie wiem, z czym mam do czynienia – powiedziała Kazna.

– Nie znam dokładnej liczby – odrzekłem – ale gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że dwadzieścia tysięcy.

Twarze pobladyły, poszarzały, pozieleniały. Amaira wreszcie na mnie popatrzyła. Miała ciemne oczy, a mocno zaciśnięte usta zmieniły się w cienką kreskę.

– Pierdolone Duchy Miłosierdzia, mają dwudziestokrotną przewagę liczebną, a to tylko pierwsza armia? Jak mamy się utrzymać przeciwko dwudziestu tysiącom? – warknął stary, twardy Fracańczyk.

– Wszyscy wiedzieliście, że to niebezpieczna misja – odparła Kazna stanowczym głosem. Odgarnęła z twarzy kosmyki włosów, siwych i w kolorze indygo. – W końcu to Nieszczęście. Bierzemy się do przygotowań.

Dyskusje toczyły się po cichu. Czekałem na uboczu, trochę podsłuchując, a trochę obserwując. Trzeci Batalion maszerował

przez zapyłone dawne ogrody. Wszyscy spoglądali na mnie z wyczekiwaniem, a ja salutowałem. Miło było znów zobaczyć swoich ludzi.

Zamrugalem, a wtedy batalion zafalował i zniknął mi z oczu. Pozostały tylko Amaira i Kazna, gdyż oficerowie zeszli po schodach.

– Dwadzieścia tysięcy – powtórzyła generał. – Od jak dawna pan wie?

– Od niedawna.

– Nie utrzymamy miasta przeciwko takiej armii.

Mógłbym jej dać fałszywą nadzieję. Mógłbym skłamać. Możliwe, że wtedy bardziej by mnie szanowała.

– Wiem.

Kazna pokręciła głową i oparła się o ścianę. Amaira zacisnęła pięści i mocno zdzieliła mnie w pierś.

– To od początku była misja samobójcza – powiedziała. – Prawda?

Biłem się z myślami, czy jej powiedzieć. Nie musiała znać prawdy, ale w końcu uznałem, że pewność jest bardziej użyteczna od rozpaczliwej nadziei. Rezygnacja może wywołać rozpacz albo determinację. Trudne decyzje stają się łatwiejsze. Można inaczej wykorzystać zasoby. Powiedzenie prawdy było praktyczne, choć nieuczciwe. Teraz już nikt nie mógł liczyć na uczciwość.

– Nawet jeśli Kanalina użyje wrzeciona, Adrogorsk nie przetrwa – wyznałem. – Nieszczęście może nie przetrwać. Łańcuch? Dortmark? Nie wiem. Nie jesteśmy tutaj tylko po to, żeby naładować zwoje jakiejś baterii. Mamy uzbroić broń. Rozejrzyjcie się. Widzieliście, jak działa broń Bezimiennych. Oddychaliście nią. Musimy utrzymać się na tyle długo, żeby móc zobaczyć koniec. Na pewno o tym wiedziałaś, Amairo. Wronia Stopa nas wykorzystuje zgodnie ze swoimi potrzebami.

Kazna pokiwała głową. Popatrzyła na wschód, jakby mogła przesyć wzrokiem mgiełkę gorąca na horyzoncie, przeniknąć Nieszczęście i zobaczyć Starą Dhojarę, podbite królestwa Królów Głębi.

– Ale tego nie dożyjemy – odpowiedziała. – To wszystko, kapitanowie.

\* \* \*

Mój batalion wypełnił ulice. Kiwali do mnie głowami albo salutowali, gdy ich mijalem. Trzymałem ich w gotowości, nie bałem się przeprowadzić nocną inspekcję sprzętu albo nakazać przebiegnięcie trzech mil wokół koszar. Sądziłem, że mnie za to szanują. Nie mówili mi tego prosto w twarz ani nawet nie plotkowali o tym szeptem w oficerskiej kantynie, ale w głębi serca wiedzieli, że to dla ich dobra. Byli na wojnie i tylko popatrzcie, dokąd ich ona doprowadziła. Kiedy pojawią się robale, żołnierze będą mi wdzięczni za te nocne przebieżki. Jeśli pojawią się robale. Pewnie tego nie zrobią. Adrogorsk był gównem wart.

– Naostrz tę pikę – poleciłem mężczyźnie, który był zbyt zajęty oglądaniem strzały, która utkwiała w jego ręce, by zauważyć, że zaniedbał swoją broń.

– Oczywiście, panie brygadierze – odrzekł, gorliwie salutując. Dwie kobiety zaczęły pośpiesznie oglądać swój oręż.

Roześmiałem się, wędrując ulicami, które tak dobrze znałem. U stóp żołnierzy leżały ich własne kości, cóż za absurdalna myśl. Miałem ochotę rozkazać, żeby je uprzętnęli.

– To byli dobrzy chłopcy – odezwała się Nenn, zrównując się ze mną. – I dobre dziewczyny.

– Byli – przyznałem. – I chyba wciąż są.

– Czy to dla ciebie trudne? Ich widok w tym miejscu?

– Szczerze mówiąc, nie jestem do końca pewien, gdzie jesteśmy, co robimy ani kim ty jesteś – odparłem. – Wszystko staje się niewyraźne. Nie jestem tutaj sam. Nie jestem Nieszczęściem. Jeszcze nie. Ale nie potrafiłbym powiedzieć, gdzie przebiega granica między nami.

– Czy nie taki miałeś plan od samego początku?

– Nie wiem – przyznałem. – Już nie pamiętam, do czego dążyłem.

Szliśmy dalej. Nenn pomagała mi besztac moich ludzi, chociaż miała zaledwie dziesięć lat, kiedy oni poszli do ziemi. Wyglądało na to, że im to nie przeszkadza. Żuła eteryczny czarnosok, który teraz miał postać papryczek. Poczęstowała mnie. Nigdy za nim nie

przepadałem, ponieważ pozostawiał tłuste ciemne plamy na zębach, ale moje zęby, nierówne i częściowo ząbkowane, co wyczuwałem językiem, i tak nie prezentowały się najlepiej. Skorzystałem z poczęstunku i zacząłem żuć. Czarnosok był ziarnisty i gorzki.

– Nigdy nie rozumiałem, dlaczego lubiałaś to gówno – odezwałem się.

– Wcale nie lubiałam – odrzekła. – Po prostu zawsze się wkurzałeś, kiedy je żułam. – Splunęła. – To znacznie mniej zabawne, kiedy mi towarzyszysz.

– Nawet mnie to nie dziwi.

– Przecież dobrze wiesz – dodała Nenn. – Wydaje ci się, że nie, ale wiesz.

– Co wiem?

– Po co to robisz. To wszystko. – Zatoczyła krąg dłonią. – Kiedy sięgasz dostatecznie głęboko, wciąż ją odnajdujesz. Zawsze tam będzie.

– Jesteś jeszcze bardziej irytująca po śmierci niż za życia – odparłem.

– Wcale nie. – Wypluła reszkę czarnoskoku na pechowe duchy, które próbowały ukryć przede mną planszę do gry w płytki. – Jestem taka jak zawsze. – Położyła dłoń na moim ramieniu i mnie obróciła. – Rozumiesz to, prawda? Jesteś tutaj dla niej. Ale my też jesteśmy tutaj dla ciebie. Nie tylko ja, Betch i Venzer. My wszyscy. Jesteśmy przy tobie, kiedy nas potrzebujesz.

Odrząciłem jej rękę i pokręciłem głową. Nawet nie była prawdziwa. Nowe duchy były mi potrzebne jak kolejne dźgnięcie włócznią w nogę – które zapewne mnie czeka, jeśli nie znajdę Northa i się z nim nie pogodzę. W przeciwnym razie będę musiał go załatwić. Nie był istotnym elementem tego równania. Pragmatyczna część mojego umysłu podpowiadała mi, że szybki cios sztyletem może rozwiązać wiele problemów.

Znalazłem Valiyę w pałacowych ogrodach, gdzie przerzucała łopatą rozmoczony piasek. Kiedy usłyszała, że się zbliżam, gwałtownie się obróciła i zamachnęła łopatą, jakby mogła zrobić mi nią krzywdę. Jej zboliała twarz odpędziła duchy tam, dokąd się

udawały, gdy akurat nie próbowały doprowadzić mnie do obłądu. Nie starała się ukryć tych uczuć. Była wyczerpana jak my wszyscy. Nie tylko za sprawą wędrówki przez Nieszczęście, ale także poniesionych strat i stale nam towarzyszącej niepewności przyszłości. Taki niepokój dręczy człowieka i odbiera mu siły. Włosy Valiyi nie mogły już bardziej posiwieć, ale twarz wyraźnie poszarzała.

– Żołnierze mogą cię wyręczyć – powiedziałem. Nie byłem pewien, po co ją odszukałem. Nie wiedziałem, jaką rolę odgrywa w tym wszystkim, ale nie obsługiwała wrzeciona, nie potrafiła prząć ani nie była wojowniczką. Może wciąż rozbrzmiewało w niej echo walki Nalla, chociaż srebro wyciekło z jej oczu, a liczby przestały tańczyć na ręku. Wykonywała jakieś zadanie, ale nie miałem pojęcia, na czym polegało. Popatrzyłem na piasek, który przerzucała. – Co robisz?

– Zakrywam włazy prowadzące do kanałów – wyjaśniła.

– Po co?

– Pokażę ci.

Przerzuciła kilka kolejnych łopat piachu, a potem wyjęła mapę. Mogłem się domyślić, że Valiya będzie miała mapę ulic Adrogorska. Poprowadziła mnie, szukając czegoś, co zaznaczono na kartce, aż w końcu zatrzymała się przed olbrzymią świątynią z kolumnadami. Kiedy byłem tutaj po raz pierwszy, niektórzy żołnierze urządzili w niej polowy szpital. Stare wejście do kanałów było tu wyraźnie widoczne.

– Nie panikuj – powiedziała. – No i nikomu o tym nie mów. Nie możemy nic zrobić poza zakryciem tych dziur; gdyby ludzie się o nich dowiedzieli, na pewno nie obyłyby się bez dezercji.

Usłyszałem głosy, zanim dotarliśmy do dziury. Były wysokie, jęczące i bełkotliwe.

– Siedemdziesiąt trzy, siedemdziesiąt dwa.

– To dobry chłopiec, tylko go nie złościę.

– Dobry wieczór, panie. Chcesz się zabawić?

Zajrzałem w ciemność pod ulicą. W słabym świetle docierającym z góry dostrzegłem jakiś ruch. Coś tam się wiło i wierciło. Musiały

ich być tysiące. Od cholery skrzelaków. Napotkaliśmy ich tropy i zwróciliśmy uwagę na ich nieobecność w Nieszczęściu. Okazało się, że przybyły tutaj całymi szkarłatnymi legionami, by zgromadzić się pod ulicami Adrogorska.

– Pierdolone skrzelaki – mruknąłem. – Szukam tych gnojków od miesięcy. Pewnie postanowiły tu przybyć jeszcze przed nami.

– Co tutaj robią? – spytała Valiya. Nie bała się. Skrzelaki nie mogły się wydostać, a od kłębiącej się masy dzieliło nas dobre sześć stóp.

– Wronia Stopa się zbliża – odpowiedziałem. – One to czują. Kiedy zgubiłem się w Nieszczęściu, zbiegły się do kruka. Pewnego razu nazwały go „ojcem”. On je przyciąga. Podobnie jak my, przybyły tutaj, żeby zobaczyć koniec.

Valiya podeszła do jednego z częściowo stopionych budynków i znalazła szeroki płaski kamień, który odłamał się pod własnym ciężarem. Miała podrapane i pokaleczone dłonie od przesuwania kamiennych płyt w innych miejscach. Wytężyła siły, próbując przetoczyć kamień, a ja tylko stałem i patrzyłem, zastanawiając się, po co tak się męczy. Rzuciła mi karcące spojrzenie.

– Mógłbyś mi pomóc?

– To bez sensu – odrzekłem. – Znalazły drogę do podziemi i nie dadzą rady wyjść na powierzchnię.

– Mogą to zrobić – odparła ostro. Postawiła kamienną płytę na nierównej krawędzi i zaczęła toczyć ją w stronę otworu.

– Nie ma mowy – odrzekłem. Wydawało mi się to nieistotne. Popatrzyłem na wijącą się masę zniekształconych tłustych ciałek. – Po co się męczysz?

– Ponieważ mogę się na coś przydać – westchnęła. Straciła kontrolę nad kamieniem, który przewrócił się na bok. Nachyliła się i spróbowała znów go podnieść, ale zapewne ważył więcej od niej. Usłyszałem, jak złamał się jej paznokieć. Nie wiem, dlaczego to mnie poruszyło, ale tak się stało. Pochyliłem się i podniosłem kamień jedną ręką, a drugą chwyciłem jej dłoń. Była mała, niemożliwie mała i blada w porównaniu z moimi miedzianymi szponami. Paznokcie, które już dawno poczerniały, podejrzanie przypominały pazury, bardziej niż kiedykolwiek, odkąd wkroczyliśmy do Nieszczęścia.

Popatrzyłem na drobną rękę Valiyy, na błękitne żyły pod skórą i silne kości.

– Nie musisz dalej się wysilać – powiedziałem. – Zrobiłaś już wystarczająco dużo. Możesz zostawić mi resztę.

Valiya tylko pokręciła głową. Nie potrafiłem odczytać wyrazu jej twarzy. Już nie radziłem sobie z wychwytywaniem niuansów.

– Naprawdę postradałeś zmysły, jeśli uważasz, że zrezygnuję – odrzekła. – Zakryj otwór i zasyp go piaskiem.

Zrobiłem to, o co prosiła, chociaż uważałem to za stratę czasu. Według mapy na wyspie pałacowej były co najmniej dwa tuziny wejść do kanałów. Zabezpieczenie ich wszystkich wymagało zaangażowania drużyny zdeterminowanych ludzi, a skrzelaki i tak by się wydostały, gdyby zechciały, my zaś nie moglibyśmy nic na to poradzić. Ale wydawało się, że są zadowolone z przebywania w mroku, gdzie bez końca trajkotały, powtarzając swoje dziwaczne bzdury.

– Nie robię tego dlatego, że to konieczne, Ryhalcie – powiedziała Valiya, gdy skończyłem zasypywać kamień mączką kostną. – Robię to dlatego, że mogę.

Popatrzyłem na nią i coś we mnie pękło, jak zamarznięty wodospad popchnięty przez lodowiec.

– Mogę cię odesłać do domu – rzekłem.

– Co masz na myśli?

– Mogę cię odesłać do domu – powtórzyłem. – Do Łańcucha. Jeśli chcesz odejść. Jeśli chcesz żyć.

Popatrzyła na mnie surowo.

– Jak?

– To skomplikowane. Moja krew. Piasek. Cała ta skażona magia wokół nas. Teraz są ze sobą powiązane. Ale sądzę, że mam w sobie wystarczająco dużo esencji Nieszczęścia, by kogoś odesłać. Tylko jedną osobę. Jeśli mogę kogoś ocalić, to powinnaś być ty.

Valiya odwróciła się do mnie plecami.

– Nigdy do końca nie dałeś za wygraną, prawda?

– Wiem – odrzekłem. – Prawie tego nie czuję. Teraz już prawie niczego nie czuję. Wiem, czym się stałem, Valiyo. Zanurzyłem się



w nienawiści, wściekłości i egoizmie. Posmakowałem, jak to jest być Bezimiennym albo Królem Głębi, a taki kontakt pozostawia blizny w umyśle. Ale przede wszystkim nasyciłem się Nieszczęściem, a jego smak nigdy mnie nie opuszcza. Mój umysł tak często płata mi figle, że już nie wiem, kto jest martwy, a kto żywy. Czy ty jesteś prawdziwa? Albo którykolwiek z przyjaciół, których widziałem po drodze? Wszystko we mnie popękało. Czasami nawet nie wiem, kim jestem.

Valiya chwyciła mnie za absurdalnie szponiastą dłoń i popatrzyła na mnie oczami, które już nie były srebrne, ale jeszcze lepiej odbijały świat. Głęboko w moim wnętrzu płonęła iskra, która buntowała się, miotła i próbowała sięgnąć na zewnątrz. Już nie pamiętałem, czym ona jest.

– Nie. Nall przekazał mi swój ostatni rozkaz, zanim odszedł. Nie porzucę go teraz. Ani ciebie. Kiedy szukałam czegoś do roboty, znalazłam coś jeszcze. Chodź.

Nie mieliśmy dużo czasu. Jeźdźcy szybko się zbliżali. Doskonale zdawałem sobie sprawę, że niezależnie od naszych planów mieliśmy niewielkie szanse powstrzymania dwudziestu tysięcy roboi. Jeśli do nas dotrą, będziemy mieli przejebane, chyba że wymyślę coś spektakularnego. Ale dłonie Valiyi, chociaż ledwie czułem ich dotyk na grudkowatej skórze, i tak mnie odciągnęły. Poprowadziła mnie szerokimi mostami nad fosą do budynku położonego niedaleko pałacu. Miałem wrażenie, że go rozpoznaję. Wykorzystywaliśmy go jako... zbrojownię? Nie. Jakiś rodzaj magazynu. Trzydziestoletnie wspomnienie było zamazane. Valiya wciągnęła mnie do środka.

Duch Miłosierdzia raczy wiedzieć, dlaczego weszła akurat do tego budynku, ale coś musiało ją prowadzić. Może po prostu szczęście. Ślepe, bezcelowe szczęście. Poczulem, że moja twarz próbuje się wykrzywić w uśmiechu, co nie było łatwe, ponieważ zęby już nie pasowały do ludzkich ust. Nie widziałem tego od dziesięcioleci. Symbol dumy. Symbol wstydu.

Ale należał do mnie.

Pod ścianami złożyliśmy sztandary lordów, którzy polegli podczas obrony miasta. To było mauzoleum ku czci tych, którzy nie wrócili.

Ich kości spoczywały pośród stopionych ruin, już dawno oskubane i wyblakłe na słońcu, a teraz także zaplamione na czerwono przez deszcz. Widziałem herby rodów, które wyginęły podczas odwrotu, symbole ludzi, których nazwisk nikt już nie wymawiał, a także sflaczały sztandar generała z trójką stojących dęba złotych koni na jadeitowym tle. Generał walczył u boku swoich ludzi, by zatrzymać szturm na wyrwę w murze, i stracił życie. Wszyscy je stracili, bohaterowie co do jednego. Martwi bohaterowie.

Na posadzce, w tym samym miejscu, w którym upuściłem je przed trzydziestu laty, leżały cztery podarte kawałki zakurzonej czerwonej tkaniny. Mój sztandar. Moje barwy. Srebrna pięść na szkarłatnym tle. Zanim opuściliśmy miasto, oddając je w ręce nadciągających Królów Głębi, przyniosłem go tutaj i podarłem. Byłem taki wściekły. Na roboi, ale także na martwych ludzi, których barwy teraz na mnie spoglądały. Miałem dwadzieścia lat, a oni powierzyli mi tak wiele istnień. Byłem wtedy pełen furii.

– W tym miejscu się zapomniałem – wyszeptałem pośród kurzu i ciemności, podnosząc strzęp sztandaru z podłogi. – Właśnie tu przestał istnieć człowiek, którym byłem, a narodził się Ryhalt Galharrow.

– Wiesz, kim jesteś – odrzekła Valiya. – Tym samym dobrym człowiekiem, co zawsze.

Przepuściłem tkaninę przez palce.

– Wiedziałaś, że to były moje barwy. Dlaczego mi je pokazałaś?

– Ponieważ chcę, żebyś pamiętał – odrzekła. – Chcę, żebyś wiedział, kim jesteś.

– Wiem, czym jestem – odparłem. Cisnąłem fragment przeszłości w pył. – Świat tego nie wie, ale ja tak.

# 31

– Nieszczęście odebrało panu rozum? Zaatakować dwadzieścia tysięcy robotli?

Wpatrywali się we mnie z niedowierzaniem. Znów padało, po raz drugi w ciągu zaledwie dwóch dni. Żołnierze kulili się w ruinach powykręcanych budynków, otoczeni syczącą czernią. Stałem przed Kazną, Kanaliną, Northem, Pierwszym i oficerami w pustej komnacie na czwartym piętrze pałacu. To była dziwna narada wojenna, z udziałem wyrzutków i weteranów.

– Nie damy rady utrzymać miasta – odrzekłem. – Nie mamy bram. Mury są dziurawe. Mamy pięć lekkich armat, więc nasi kanonierzy nie zrobią krzywdy tak licznym robotom. Wróg pojawi się za dwa dni, a wtedy wleje się do miasta jak dym.

– Broniliśmy się już w trudniejszych okolicznościach, kapitanie – przypomniała mi Kazna.

– Nie w takich – odparłem. – Nie zdołalibyśmy powstrzymać nawet pięciu tysięcy, nie mówiąc o dziesięciu. Dwadzieścia tysięcy robotli zmiecie nas z powierzchni ziemi w niecałą godzinę. Jeśli spróbujemy się tutaj bronić, polegniemy.

– Więc mamy wyruszyć w głąb Nieszczęścia i wyjść naprzeciw nadciągającym robotom? To szaleństwo – rzekł North. Wolałbym, żeby nie był obecny. Był jak cierń w mojej dłoni, drażniąca drzazga.

– Nie naprzeciw – zaprzeczyłem. – Nie zdołamy rozbić ich szeregów ani ich rozgromić. Ale możemy ich powstrzymać przed dotarciem do Adrogorska. Jeśli na nich uderzymy, damy Przędzaczom więcej czasu na wcielenie w życie planu Bezimiennych, zanim pojawi się Acradius.

Oficerowie zaczęli szemrać, ale Kazna przyłożyła zgięty palec do ust i pograżyła się w myślach. Zmrużyła oczy i wyprostowała plecy.

Nie była potężną kobietą, ale jej nastrój narzucał ton naradzie. Oficerowie kolejno milkli, nawet North.

– Jestem gotowa pana wysłuchać – powiedziała w końcu.

– Robole nie korzystają z nawigatorów – wyjaśniłem. – Adrogorsk ukrywa się przed nimi tak samo jak przed nami. Ale są rzeczy, którym nawet Nieszczęście nie może się oprzeć. Jeźdźcami kieruje Acradius. Wyznacza dla nich szlak przecinający Nieszczęście.

– W takim razie powinniśmy wzmocnić fortyfikacje – wtrąciła się Kanalina. – Bronić murów.

– Podejdź tutaj.

Przywołałem ją do okna, przy którym staliśmy z Valią, a ona niechętnie się do nas zbliżyła. Amaira wciąż się do mnie nie odzywała, ale North i Pierwszy również do nas dołączyli. Potężny Strażnik niepokoił mnie bardziej niż jego pobratymcy. Każdego dnia wydawał się coraz bardziej ludzki, a jego czerwone oczy nabierały czujności. Wolałem nie odwracać się plecami do nikogo z nich.

Wskazałem miejskie mury, popękane i krzywe jak gnijące zęby pijaka.

– W murach jest więcej dziur niż w koszuli żebraka – powiedziałem. – A my mamy czternastu Strażników, sześcioro Przędarzy i tysiąc ludzi.

– Najlepszych w Łańcuchu – mruknął jeden z oficerów.

– Najlepszych – przyznałem – ale tylko tysiąc. – Wyciągnąłem szponiastą dłoń w stronę murów. Mój głos brzmiał tak, jakby ktoś miał żwir w młynku. – Według mojej rachuby w murach jest szesnaście otworów, przez które robole mogą się wedrzeć, wliczając w to trzy bramy. Nie możemy marzyć o utrzymaniu ich wszystkich. Na polu bitwy każdy ze Strażników może i jest wart tyle co setka mężczyzn, ale robole nie zamierzają stawać do walki. Muszą tylko dotrzeć do wrzeczona i je zniszczyć, a Acradius o tym wie. Poświęci dziesięć tysięcy wojowników tylko po to, by przedrzeć się przez mury. Kiedy dostaną się do środka, już ich nie powstrzymamy.

– Możemy bronić się w pałacu – powiedziała Kanalina. – Utrzymamy mosty. Nic nie przedostanie się przez fosę.

– Jak długo i przeciwko ilu robotom? – spytałem.

– Utrzymamy się.

– Nie – sprzeciwił się North. Zmarszczył czoło z rezygnacją. – Nie damy rady. Nie przeciwko tylu wrogom. Możemy umieścić na każdym moście trzystu ludzi, ale mosty są szerokie na sześćdziesiąt stóp, co nie?

Nie spodziewałem się wsparcia ze strony Northa, ale byłem wdzięczny za każdą pomoc.

– Poza tym bylibyśmy otoczeni i uwięzieni – zgodziłem się. – A jeśli mają ze sobą Uroczych, posiekają naszych ludzi na kawałki na środku mostu. Acradius rzuci przeciwko nam wszystkie swoje siły.

– W jaki sposób udało ci się dokonać zwiadu? – spytał North.

– Pewnych rzeczy nie musicie wiedzieć – odrzekłem. – Jak dotąd mi ufaliście. Zaufajcie mi ponownie.

Nenn zastanawiała się, w jaki sposób zbić dwie płytki Venzera, używając pionka z innej gry. Przez chwilę z zainteresowaniem przyglądałem się ich rozgrywce i przesunąłem jeden z jej pionków na właściwe miejsce, gdy Venzer nie patrzył. Nenn uznała to za przezabawne, a zszokowany Venzer wypadł przez okno, gdy nagle zobaczył, że jego król jest otoczony.

– Czy ty w ogóle słuchasz? – warknęła Kanalina.

Zamrugalem i skupilem na niej wzrok.

– Co takiego?

– Spytałam, co w takim razie zrobimy? – rzuciła ostro Kanalina.

– Przeniesiemy walkę na ich teren – odrzekłem. – Wybierzemy odpowiednie miejsce i to, co zaatakujemy. A potem zatrzymamy ich pochód. Odwrócimy ich uwagę i pozwolimy, żeby Nieszczęście poprowadziło ich gdzieś indziej.

– Chcesz usunąć ich nawigatorów – stwierdził North. Był znacznie bystrzejszy, niż powinien.

– Tak, ale oni nie korzystają z astrolabiów ani takich nawigatorów, jakich znamy – odrzekłem. – Acradius namierzył Adrogorsk. Miasto jest stałym punktem, a on rozciągnął nad Nieszczęściem wstążkę mocy, wyznaczając prosty szlak. Mają stare zwłoki, zmumifikowane ciało czarownika. Duchy raczą wiedzieć, gdzie je znaleźli, ale

wskazuje im drogę do nas. Jeśli uda się je zniszczyć, może samo Nieszczęście ich powstrzyma.

– Ilu roboli będziemy musieli pokonać, żeby dostać się do ciała? – spytał North.

Popatrzyłem mu w oczy.

– Wielu. Ale oni jadą w kolumnie, w dużych odstępach. Zasadzka da nam największą szansę na zniszczenie tej rzeczy, która ich prowadzi.

– A jeśli ją zniszczymy? – dopytywał North.

– Wtedy wszyscy żywi powinni rzucić się do ucieczki – odrzekłem.

– Miejmy nadzieję, że robole będą zbyt zmęczeni, żeby nas ścigać.

– To nie jest plan Pani – warknęła North.

– Nie dziwię się.

– Dosyć – burknęła Kazna. – Później będziecie stroszyć piórka i porównywać długość mieczy. Pański plan ma sens. Nie powstrzymamy dwudziestu tysięcy roboli. Oceniliśmy nasze zdolności obronne. Nie dysponujemy wystarczającymi siłami ani fortyfikacjami. Ale Nieszczęście może im przeszkodzić.

– Ja też mogłabym to zrobić – wtrąciła się Nenn, jak zwykle pomocna. Marszałek Venzer zdołał wspiąć się na parapet, ale wciąż miał skręcony kark i jego głowa zwieszała się na jedną stronę.

– Poprowadzę oddział uderzeniowy, który ich zatrzyma – zaproponowałem. – Mogę błyskawicznie wytyczyć trasę. Dystans, który robole pokonują w ciągu dwóch dni, ja przebędę w niecały dzień. Im dalej od miasta zaatakujemy, tym lepiej. Potrzebuję Strażników i dziewięciuset ludzi. Do tego Przędzarzy, którzy nas osłonią, dopóki nie będziemy gotowi uderzyć.

– Muszę zostać tutaj, żeby tkać światło – odrzekła Kanalina. – Będę potrzebowała jakiejś ochrony.

– Kanalina i pięćdziesięciu ludzi mogą zostać – oznajmiła Kazna. – Reszta wyruszy w drogę.

– Ja zostanę.

Wszystkie głowy zwróciły się w stronę Pierwszego. Jego nieprzyjemny głos przypominał chrzęst młyńskich kamieni. Nigdy wcześniej go nie używał.

– Wykonasz rozkazy – odparła Kazna.

– Zostanę – powtórzył Pierwszy. – Strażnicy pójdą. Ja zostanę.

Nie mieliśmy na to żadnej odpowiedzi. Nie mogliśmy go do niczego zmusić.

– Nie zaatakuję dwudziestu tysięcy przeklętych roboi! – wykrzyknął jeden z oficerów. – To nie jest po prostu samobójcza misja, ale czyste szaleństwo.

– Nasze zadanie od początku jest szalone – odparłem. – Atak da nam największą szansę na przetrwanie. Wyruszymy o zmierzchu. Jeźdźcy roboi nie zatrzymają się na noc. Są za blisko celu. Uderzymy o świcie. Jeśli chcecie pomodlić się do duchów, radzę solidnie się przyłożyć.

\* \* \*

Strażnicy nie musieli o niczym dyskutować. Kiedy przyszedł czas wymarszu, zebrali się przed murami Adrogorska z halabardami na ramionach i zwrócili twarze na wschód. Nasi zmęczeni ludzie wyjechali z miasta w kilku kolumnach. Nie zabraliśmy wozów ani namiotów. Gdyby złapał nas deszcz, byłoby po nas. Ale niebo było bezchmurne, a na wojnie czasami trzeba zdać się na szczęście. Dołączyły do mnie dwie Przędzarki, jedna wysoka, a druga z pajęczyną starych poparzeń pod okiem. Wydawała się zbyt młoda, by się tutaj znaleźć. Miałem wrażenie, że piasek obmywają barwne fale opalizującego oleju. Mrugałem, dopóki nie zniknęły albo przynajmniej przestały domagać się mojej uwagi.

– Nie jedziecie ze swoimi przyjaciółmi? – spytałem.

– Mamy zachować pana przy życiu – odrzekła wysoka kobieta. Przedstawiła się jako Dovroi. Przędzarka z blizną nazywała się Vurtna. – Jeśli nam się uda, tylko pan zdoła doprowadzić nas z powrotem do miasta, więc Kazna rozkazała, żeby nie brał pan udziału w walce.

Rozejrzałem się.

– Gdzie są pozostali Przędzarze?

– Mieliśmy przypadki dezercji. Przędzarze i nawigatorzy zabrali to, co zdołali udźwignąć, i odjechali na zachód. A przynajmniej tam, gdzie według nich znajduje się zachód.

– Zdezercerowali? – zdziwiłem się. To słowo zawsze miało nieprzyjemny posmak.

Dovroi pokiwała głową. Vurtna trzymała się ode mnie na dystans i wołała towarzystwo jasnoskórej Straży. Zastanawiałem się, ilu naszych ludzi przyłączyło się do uciekinierów.

Usłyszałem starą żołnierską piosenkę docierającą przez szpary w murach. Niektórzy chłopcy z Trzeciego Batalionu wreszcie dobrze się bawili.

Przycisnąłem dłoń do piasku Nieszczęścia i nasłuchiwałem. Wyczuwałem wroga, czułem gruby czarny postronek, który ciągnął ich w naszą stronę. Był zjełczały, chory od magii Królów Głębi, która nawet mnie, zanurzonemu w skażeniu Nieszczęścia, wydawała się zepsuta. Próbując się z niej otrząsnąć, dobyłem noża. Obnażyłem przedramię, wykonałem płytkie cięcie i wycisnąłem krew z rany. Była ciemna i gęsta, nieśpiesznie skapywała na piasek. Nieszczęście ją poczuło i wchłonęło. Punkt orientacyjny, który pozwoli nam wrócić. Miałem nadzieję, że nam się przyda.

Dantry wyjechał z miasta na czarnym rumaku, odziany w lśniącą czarną zbroję. Wyglądał jak zwłoki księcia z bajki, ze złocistymi włosami wokół trupiej skóry.

– Powinieneś tutaj zostać – powiedziałem.

– Wszyscy jadą – odparł, a w jego głosie wyczułem cień i mróz. – Nie każ mi się wycofać, ponieważ tego nie zrobię. Nie możesz mi rozkazywać, Ryhalcie.

– Wciąż jesteś na mnie wściekły – zauważyłem.

– Wściekły? Ależ nie.

– Więc o co chodzi?

Westchnął, ale nie z mojego powodu, po prostu zrobiło mu się ciężko na sercu.

– To wszystko na nic – odrzekł – nawet jeśli nam się uda. Popatrz, co oni z nas zrobili. Popatrz, co sami zrobiliśmy. Jaki sens w tym był, jeśli mamy być kimś takim? Nie jesteśmy lepsi od Królów Głębi.



Jesteśmy mordercami. Watażkami. Zabójcami. Wszystkim tym, z czym powinniśmy walczyć.

Popędził konia wzdłuż kolumny, a jego śladem podążyła pustka. Dosiadłem wierzchowca i wyprowadziłem swoją drużynę w ciemność. Skaleczenie na moim ręku zagoiło się w ciągu kilku minut.

Niewidzialna smycz Acradiusa przeorywała wszystko, co Nieszczęście stawiało na jej drodze. Połacie ostrej jak brzytwa trawy kurczyły się i usuwały, nawet skały i piach robiły miejsce. Szlak Acradiusa, powoli wycinany przez niewidzialne moce, sprzeciwiał się nawet Nieszczęściu. Chociaż łączyła mnie z nim więź, nie byłem wystarczająco silny, by je zmieniać. Wkrótce natrafiliśmy na płytki parów, którego zbocza wznosiły się na wysokość zamkowych murów, osłaniając popękana skalną drogę o długości jednej trzeciej mili. Smycz odsunęła na bok piach i skały, tworząc przesmyk dla jeźdźców. Mieli przemknąć tuż pod nami.

Jechaliśmy szybko i bez słowa. Wszyscy modlili się do ulubionych duchów, sprawdzali amulety, poprawiali paski, które nie wymagały poprawiania. Znali swoje zadanie, które było bardzo proste: zniszczyć zwłoki. Eala rozświetlał noc woskowym złocistym blaskiem.

W drodze pozwoliłem matce, żeby zaplotła mi włosy. Nigdy wcześniej nie nosiłem długich włosów, a jej fotel bujany był dziwnie cichy, gdy skupiała się na pasemkach i kosmykach. Od lat tak bardzo brakowało mi jej dotyku. Czułem się pewniej, gdy siedziałem w jej zakładzie. Wiedziałem, że nie mogę w nim być, ponieważ jechałem konno przez Nieszczęście, ale mimo wszystko byłem zadowolony.

W ciszy wstającego świtu zajęliśmy pozycje i dokonaliśmy ostatnich przygotowań.

Znalazłem Amairę. Siedziała samotnie i oporządzała broń, a zgrzyt oselki o ostrze niósł się cichym piskiem w spokojnym porannym powietrzu.

– Chcę, żebyś została ze mną na szczycie zbocza – powiedziałem.

Podniosła na mnie wzrok, a potem zmarszczyła czoło, jakby zdenerwowała się na siebie za to, że mnie zauważyła.

– Nie – odparła.

– Nie?

– Nie. Pojadę razem z kawalerią.

Usiadłem obok niej.

– Nie chcę cię narażać. Jeden miecz więcej nic nie zmieni. Nawet tak ostry jak twój.

Przestała ostrzyć broń i dotknęła krawędzi palcem. Najwyraźniej nie była zadowolona, ponieważ wróciła do pracy.

– Kiedyś cię ubóstwiałam – odezwała się. – Nie, to niewłaściwe słowo. Ufałam ci jak nikomu innemu przed tobą. Zawsze wiedziałam, że przyjdiesz mi z pomocą. Że zrobisz to, co trzeba. Czy byłam głupia?

– Nie rozumiem – odparłem.

Amaira stęknęła i odrzuciła osełkę. Wbiła wzrok w horyzont, obejmując kolana rękami.

– Dzisiaj zginę – powiedziała. – Wszyscy dzisiaj zginiemy. Mogłam umrzeć zakochana, ale mi to odebrałeś. Spaliłeś najlepszą rzecz, jaką kiedykolwiek znalazłam. – Popatrzyła na mnie. – Dla niej.

– Zostań ze mną na szczycie – powtórzyłem. – Nie umieraj. Będzie czas na odpokutowanie win, jeśli tego pragniesz.

– Kapitan Linette była moją przyjaciółką – ciągnęła. – Oszukałeś mnie. Wszyscy mnie oszukaliście.

Nie wiedziałem, co się z nią stało, ale nie było sensu teraz tego tłumaczyć. Nie przyszedłem pogłębiać konfliktu. Już dostatecznie się do tego przyczyniłem i teraz czułem się tak, jakbym stąpał po ruchomych piaskach. Zaślepiła mnie obsesja. Teraz tego żałowałem. Mogłem odpuścić. Powinienem był to zrobić. Ale, na duchy, byłem zgorzkniałym, okrutnym starcem. Sprzeciwiłem się miłości, którą znalazła z Dantrym, nie tylko z powodu ojcowskiej opiekuńczości, ale także czarnej, gorzkiej zazdrości.

– Nie daj się zabić – powiedziałem. – Zrób to dla mnie.

Nie odpowiedziała.

Jeźdźcy pojawili się najpierw jako kolumna pyłu wyrzucanego w upalne powietrze Nieszczęścia przez okrwawione kopyta wierzchowców. Otoczył nas wściekły skwar, gdy słońce wyłoniło się

zza horyzontu. Dwa z księżyców już rozpoczęły powolną wędrówkę ku sobie. Eala dołączy na końcu, gdyż ma najkrótszą orbitę. Trzy potężne kryształowe kule skupiające moc naszego żółtego słońca w pojedynczy snop magii, tak intensywny, że nawet Bezimienni go pragnęli. Acradius znajdował się w Nieszczęściu, odsłonięty, ale jeśli zawiedziemy, Kanalina i North będą zmuszeni oddać naszą broń w jego ręce.

Porażka oznaczałaby koniec wszystkiego.

Dostrzegłem pierwsze szeregi nadciągających jeźdźców. Nie wyciskali ostatnich potów ze swoich wierzchowców, ale niestrudzenie wędrowali krok za bolesnym krokiem. Wzniesienie miało ostry grzbiet, dzięki czemu nas nie widzieli, a za sprawą hałasu kopyt chrzęszczących o piach raczej nie mieli szansy nas usłyszeć. Leżałem na ziemi i ich obserwowałem. Zbliżali się – jeszcze mila, jeszcze pół – a potem pierwsi jeźdźcy znaleźli się przede mną. To byli robole o trupio niebieskiej skórze i twarzach pobrużdżonych kunsztownymi magicznymi glifami. Na ich rękach i nogach powiewały modlitewne paski, a na czele jechał potężny wojownik w rozgrzanej stalowej zbroi ze sztandarem Acradiusa na długiej na dwadzieścia stóp żerdzi. Robole mijali nas z chrzęstem. Pył i piach przywierały do nich, piana kapiała z pysków harków, ale każde oko patrzyło w stronę Adrogorska. Kolumna była ogromna, ciągnęła się w głąb Nieszczęścia. Widok takiej hordy wystarczył, by zmrozić każdego żołnierza, wliczając w to mnie, ale siły wroga były rozciągnięte, a uparta szarża nierówna. Gdyby zbili się w jedną masę, nie mielibyśmy żadnych szans, ale skoro dzieliły ich spore odstępy, mogliśmy to wykorzystać.

Minęły nas ponad trzy tysiące jeźdźców, gdy wreszcie ujrzeliśmy kotwicę.

Zwłoki zwracały się na zachód, wyciągnięta zmumifikowana ręka wskazywała kierunek, utrzymując armię na magicznej smyczy rozciągniętej pomiędzy Acradiusem a Adrogorskiem. Złoty tron trupa jechał na saniach ciągniętych przez tuzin harków, co stanowiło kpinę z dawno nieżyjącego czarownika-króla.

– Oto cel – poinformowałem Dovroi i Vurtnę, które leżały obok mnie. Vurtna utkała świetlną sieć nad nami, żeby ukryć nas przed wzrokiem roboli, ale żaden z nich nie spoglądał w górę. Byli skupieni na swoim celu. Nie spodziewali się ataku. Może się nim nie przejmowali. – Zróbcie, co w waszej mocy.

– Jesteśmy zgubieni – odezwała się cicho Dovroi. – Kiedy już uderzymy, nie będzie ucieczki.

– Nie – przyznałem. – Prawdopodobnie nie. Jestem wam wdzięczny, jeśli to coś dla was znaczy.

Wysoka Przędzarka nawet na mnie nie popatrzyła.

– Mam rodzinę w miastach. Robię to dla nich – odrzekła.

Pokiwałem głową. W moim wypadku było tak samo. Nie wiedziałem, co kierowało Vurtną.

Sanie z wysuszonym trupem zazgrzytały pod nami.

– Już czas – powiedziałem. Wstałem, a blask świtu odbił się od mojej zbroi. – Teraz.

Dovroi zaczerpnęła fosu ze swoich pojemników i posłała świetlisty pocisk ponad krawędzią grzbietu. Pocisk pomknął w stronę roboli i wybuchł z potężnym rozbłyskiem. Wrzeszczące ciała wyleciały w powietrze, kończyny rozpadały się w pył. To był sygnał do natarcia.

Kawaleria wypadła zza szczytu wzniesienia niczym czarna fala koni i stali. Kopyta wyrzuciły w górę czerwony pył, gdy wierzchowce pogalopowały w dół zbocza. Zobaczyłem Amairę z kawaleryjską szablą wzniesioną nad głową i moje serce na chwilę się zatrzymało. Żołnierze szarżowali na koszmar. Kilka koni potknęło się i runęło na ziemię, powalając kolejnych jeźdźców, ale kawaleria utrzymywała szyk klina. Robole zaczęli skręcać, próbując wyjechać nam naprzeciw.

Wtedy spod ziemi po przeciwnej stronie parowu wystrzeliła Marmurowa Straż. Czekali zakopani w piasku, a teraz słońce odbiło się od wypolerowanej stali ich halabard. Kiedy olbrzymi białoskórzy wojownicy rozpoczęli natarcie, robole podnieśli lament. Zacisnęli dłonie na włóczniach i toporach i po chwili najlepsi spośród nich byli przygotowani do odparcia ataku istot rodem z legend.

„To wszystko, co możesz mi przeciwstawić?” – syknął Acradius w moim umyśle, a jego słowa wypłynęły z ciała martwego czarownika. Stara skóra popękała, trzasnęły kości, gdy trup odwrócił głowę w moim kierunku. Nie miałem żadnej riposty.

Strażnicy zaszarżowali. Robole, którymi sprawnie kierowała jedna wszechmocna wola, spięli wierzchowce i ruszyli im na spotkanie.

Atak kawalerii ma straszliwą siłę. Jeśli piechota nie chroni się za solidną ścianą włócznie, rowem lub murem, nie ma szans odeprzeć ciężko opancerzonych lansjerów, a większość żołnierzy w obliczu takiego natarcia załamuje się i ucieka bądź rzuca na ziemię, modląc się, by grzmiące kopyta ich nie stratowały. Tylko karne wojsko, poprzez żmudne szkolenie nauczone panowania nad instynktem samozachowawczym, potrafi zwalczyć chęć ucieczki, gdyż wie, że największą szansę daje trzymanie zwartego szeregu. Tylko dyscyplina i odpowiednia liczebność oddziałów mogą powstrzymać nawałnicę zwierząt i stali.

Strażnicy byli niezdyscyplinowani i nieliczni, a jednak wbili się w szarżującą kawalerię jak taran. Z donośnym trzaskiem odrzucali z drogi wierzchowce i jeźdźców albo przyjmowali na siebie pełną siłę uderzenia i toczyli się po piasku w płątaniu rąk i strzemion, nóg i futra. W ciągu zaledwie kilku chwil miejsce zorganizowanej formacji zajęło kłębowisko miotających się ciał. Pojedynczy cios halabardy rozplątał jednego z roboli od ramienia do biodra, lanca robola przebiła pierś Strażnika, ale go nie spowolniła. Napierająca kawaleria była ścianą, przez którą Straż zaczęła się przebijać, rozrzucając wrogów na boki ciosami broni, wbijając ich w ziemię i posyłając w powietrze rozbryzgi krwi. Jeden ze Strażników przyjął potężny cios toporem w szyję, ale zamiast paść, chwycił robola, który go trafił, i oderwał mu ręce.

Byli wspaniali.

Żołnierze napotkali większy opór. Wróg wysłał najlepszych, najpotężniejszych i najtwardszych wojowników, stworzonych do walki. Bitewny harmider, wrzaski ludzi i zwierząt wypełniły powietrze. Włócznia robola wbiła się w bok jednego z jeźdźców,

a ten stanął w strzemionach i zadał potężny cios szablą, który rozplątał hełm i głowę przeciwnika, po czym runął z siodła. Zobaczyłem mężczyznę zwleczonego z grzbietu konia i błysk noża, a potem kobietę ostrzeliwującą się z pistoletów, która następnie cisnęła nimi we wroga, gdy ołowiane kule go nie powstrzymały. Widziałem skłębioną krwawą masę siekających, strzelających i dźgających ciał.

Poszukałem wzrokiem Amairy, ale zginęła mi z oczu w zamęcie ludzi i ostrzy.

Nasi kanonierzy i łucznicy ustawili się wzdłuż krawędzi zbocza, skąd obsypywali stłoczonych roboli pociskami i strzałami. Nie strzelali salwami, tylko nieprzerwanie ładowali i odpalali, naciągali i zwalniali, przy wtórze niekończących się huków rusznic i brzęków cięciw. Dym spływał w dół zbocza jak kłęby bagiennej mgły.

Robole, którzy już nas minęli, usłyszeli odgłosy bitwy i zawrócili, a ci, którzy nadciągali ze wschodu, zaczęli się zbliżać. W porównaniu z ich siłami nasze dziewięć setek ludzi wyglądało żałośnie.

– Przygotujcie się – powiedziałem do Dovroi. – Czekajcie na swoją szansę.

Dwie Przędzarki zaczerpnęły mocy ze swoich pojemników. Ich skóra zaczęła słabo lśnić i parować od gromadzonego fosu. Światła na pojemnikach zamigotały i zgasły, gdy kobiety powoli chłoneły energię. Ich magia była spokojna i kontrolowana, ale w oczach czaił się strach.

Nigdy nie widziałem takich wojowników jak Strażnicy. Jeden z nich stanął dęba z piersią przebitą dwiema włóczniami i wywieszonym językiem, wywijając pękniętą halabardą jak mieczem. Ich przypominające kapelusze grzybów łyse głowy były zalane krwią, ale stopniowo zbliżali się do trupiego króla, mimo że ze wszystkich stron napierali na nich kolejni wrogowie. Jeszcze nie miałem do czynienia z tak silnymi robotami. Nacierali z bronią w rękę i naprężonymi mięśniami, ale nawet ich solidne zbroje nie wytrzymały ciosów Strażników. Jeden z roboli, który zapewne ważył więcej ode mnie, został wyrzucony na dziesięć stóp

w powietrze. Ale wciąż nadciągali kolejni i Strażnicy zwolnili, okładając i szarpiąc ścianę ciał. Robole ich otoczyli. Włócznie wbijały się w plecy olbrzymów, trafiały ich strzały, i chociaż Strażników niełatwo było powalić, ich pochód stracił impet.

Grupa roboli zauważyła nas na szczycie wzniesienia. Popędzili wierzchowce w górę zbocza, sypiąc piaskiem spod kopyt. Strzały pomknęły im na spotkanie i część jeźdźców oraz zwierząt runęła na ziemię, ale inni do nas dotarli. Pierwszy z nich zaatakował mnie toporem wzniesionym nad głową o płaskiej twarzy, ale powstrzymałem jego szarżę długą włócznią, strącając go z siodła. Drugi zachwiał się, gdy trup spadł pod kopyta jego wierzchowca, a ja dopadłem go, zanim zdążył odzyskać równowagę. Wbiłem mu włócznię w twarz, zwalając go na ziemię, a następnie natarłem na kolejnych wrogów, rozdzielając wściekle pchnięcia. Niektóre ciosy trafiły w zbroję, ale inne przebiły odsłonięte ciało, mięśnie i organy. North walczył u mojego boku. Rzeczywiście był tak szybki, jak twierdził, i strącał roboli z siodeł strzałami z kolejnych pistoletów. Wkrótce wyczerpał amunicję we wszystkich pięciu i znów skupiliśmy uwagę na potyczce w dole.

Czarna więź łącząca zwłoki czarownika z Acradiussem wezbrała mocą i zakwitły wokół niej wijące się kosmyki nocy. Wystrzeliły w stronę dwóch Strażników, którzy zdołali się zbliżyć. Trafieni wojownicy zeszywnieli, a ich posiekane i podziurawione ciała zadygotały, gdy popłynęła przez nie energia. Kolejny przypływ mocy rozerwał ich na bezkrwawe strzępy, które poleciały we wszystkie strony. Trupie usta, z których wyzierały żółte zęby, napięły się w grymasie przypominającym uśmiech.

To nie byli jedyni powaleni Strażnicy. Ci, którym odrąbano głowy, jeszcze przez jakiś czas niezdarnie walczyli, a potem zwolnili, stopniowo tracąc energię, i wreszcie upadli. Strażnicy próbowali przebić się przez elitarne oddziały roboli, ale w końcu zaczęli uginać się pod naporem przytłaczających sił wroga. Drugie uderzenie mrocznej energii rozerwało na pół kolejnych dwóch olbrzymów.

Nasi żołnierze, niemal całkowicie otoczeni, nie zdołali zbliżyć się do trupa tak bardzo jak Marmurowa Straż. Nie mieli szans.

„Amaira”.

– Teraz! – rozkazałem Przędzarkom. – Nie będziecie miały lepszej okazji.

Dovroi postawiła kołnierz bluzy. Wymieniła z Vurtną spojrzenie, z którego wyczytałem więcej, niż powinienem, a potem obie splotyły dłonie.

– Za republikę – powiedziała Vurtna, a Dovroi pokiwała głową. Kiedy zaczęły działać, otoczyła je świetlna spirala. Ciepło dnia zastąpił nowy żar, ostry i jaskrawy, nienaturalny i metaliczny. Odsunąłem się od nich, gdy w moją stronę popęzły chwytne macki fosu. Pozostałe pojemniki jęknęły i nagły szum poprzedził ich implozję. Metalowe ścianki zapadły się, gdy moc ze środka wyszło.

Przędzarki uwolniły fos i powietrze wokół trupa czarownika zamigotało od nagłego przypływu gorąca. Pojawiły się obręcze czystego białego światła, które stopniowo zachodziły na siebie, aż utworzyły kulę. Trup patrzył na nas nienawistnym wzrokiem, gdy obręcze się zacisnęły. To było zabójcze zaklęcie związania, które mogło zmienić ciało w proch.

Coś poszło jednak nie tak. Może zadziałała moc, którą Acradius natchnął zwłoki, a może sam martwy czarownik wciąż dysponował własną potęgą, w każdym razie seria ochronnych zaklęć zafalowała w powietrzu, rozjarzając je migoczącymi symbolami z ognia i dymu. Moc Przędzarek zderzyła się z dawno zapomnianymi magicznymi słowami, splątując się z nimi i zahaczając o ich łagodny blask, a potem wróciła do źródła.

Nie miałem czasu wykrzyknąć ostrzeżenia. Nie zdążyłem niczego zrobić.

Moc została błyskawicznie przekierowana i fosowe obręcze pomknęły w górę zbocza. Piasek pod stopami Przędzarek stopił się od gorąca, a Vurtna i Dovroi runęły w rozgrzane do białości grzęzawisko, jakby ktoś wyrwał spod nich podłoże. Stało się to tak nagle, że nawet nie wrzasnęły, a piasek był tak gorący, że natychmiast zniknęły, zmieniając się w kilka bąbelków na powierzchni kałuży wrzącego szkła.



W dole walczyła już tylko garstka Strażników z posiekanymi i rozoranymi kończynami. Próbowali brnąć przez ścianę ciał ku zwłokom czarownika. Zostało pięciu. Czterech, gdy dwaj robole wbili topory w czaszkę jednego z olbrzymów. Kolejny wpadł w bitewny szal i wbił zęby w zabitego robola, chciwie pijąc jego krew, podczas gdy młoty i ostrza spadały na jego ciało.

Bulgocząca kałuża płynnego piasku zasyczała i ze środka wynurzyła się czaszka otoczona szkłem, uformowana w typową dla roboli imitację ludzkich rysów. Chwiała się na migoczącej szyi.

„To wszystko? Czy tylko tyle Bezimienni mogą mi przeciwstawić?”.

Nie wydawała żadnych dźwięków, ale śmiała się ze mnie.

Chociaż to straszne, taka była prawda. To wszystko, co mogłem przeciwstawić robolom. Elitarni wojownicy, których przysłał Płytki Grób, Przędzarze z cytadeli, no i ja sam, zwykły człowiek z włócznią, mimo Nieszczęścia, którym nasiąknęłam.

Zawiedliśmy. Zwłoki pokrywały dno kanionu, krzyki rannych mieszały się z wrzaskami umierających i brzękiem stali. Dzielni kawalerzyści walczyli wewnątrz coraz bardziej zacieśniającego się kręgu niezliczonych kłębiących się roboli. Byli bez szans. Wszyscy. Zginęli na próżno.

Kanonierzy i łucznicy wokół mnie zdawali sobie z tego sprawę. Kilka szwadronów roboli na wierzchowcach odłączyło się od głównej linii i nadciągało ku nam ze wschodu i zachodu. Oficerowie rozpaczliwie usiłowali sformować szereg, by móc ostrzelać wroga.

Płynne szkło rozpadło się i ziemia połknęła czaszkę. W bitewnym zamieszaniu ostatni Strażnik odrzucał do tyłu roboli, którzy go siekli. Nie miał ręki i połowy głowy, a z jego pleców sterczało pół tuzina bełtów niczym kolce wzdłuż kręgosłupa. Z rykiem wymachiwał pochwyconym wojownikiem, oczyszczając teren wokół siebie. Krew ciekła mu z ust, a jedyne pozostałe oko rozglądało się dziko, szukając ofiary. Nagle dostrzegło lukę i Strażnik pobiegł prosto w kierunku zmumifikowanego czarownika.

Zderzył się z zaklęciami ochronnymi i zajął się ogniem, ale to go nie powstrzymało. Z donośnym rykiem zacisnął palce na czaszce

trupa, a wtedy płomienie na nią przeskoczyły. Ponad zgiełkiem z pola bitwy, ponad kakofonią mieczy i śmiertelnych spazmów wzniósł się nieumarły wrzask i wysuszone zwłoki czarownika zapłonęły, a ciało i kości Strażnika zmieniły się w popiół. Robole niosący tron upadli, gdy śmiercionośna magia wylała się falami z trupa, roztopiając oczy i gotując krew w ich czaszkach.

– Odwrót! – zawołałem. – Odwrót!

Kanonierzy mnie nie usłuchali. Stali w szeregu z bronią w gotowości, czekając na szarżę wroga. Chwyciłem jednego z sierżantów za rękę i wykrzyczałem, że musimy natychmiast wiać, zanim robole nas zaleją. Nie mogliśmy wygrać tej walki, musieliśmy uciekać.

– Nie zostawimy swoich ludzi, kapitanie – odparł sierżant. – Oni wciąż mogą się przebić. – W jego głosie nie było jednak nadziei.

– Każdy, kto zostanie, zginie – odrzekłem.

– Zgadza się, kapitanie – potwierdził sierżant. – Musimy mieć pewność, że zrobiliśmy wystarczająco dużo.

Już miałem się odwrócić i ich zostawić, gdy nagle ją zobaczyłem. Amaira, moja mała wrona, brnęła w górę zbocza na konającym wierzchowcu; z jego ciała sterczały połamane włócznie i mimo że dziewczyna popędzała go piętami, zatoczył się na bok, a potem upadł. Amaira próbowała odtoczyć się na bezpieczną odległość, ale koń przygniótł jej stopę. Wrzasnęła. Ja też wrzasnąłem. Najszybsi z roboli byli tuż za nią.

Chciałem do niej pobiec, ale sierżant i jeszcze jeden mężczyzna mnie chwycili. Byłem od nich silniejszy i zacząłem ich wlec w stronę Amairy, wbijając wzrok przed siebie.

– Potrzebujemy pana, kapitanie! – wykrzyknął sierżant. – Musi pan wrócić. Nie!

Kolejni dwaj żołnierze rzucili się na mnie i zaczęli ciągnąć. Przytłoczyli mnie. Patrzyłem bezsilnie, jak robole zbliżają się do kobiety, którą pomogłem wychować.

Amaira wstała z mieczem w dłoni, ale nie mogła oprzeć się na stopie, którą przygniótł upadający wierzchowiec. Była już czerwona od stóp do głów, a pierwszy robol, który do niej dotarł, dostał cios

szablą w środek głowy. Amaira wrzasnęła opętańczo, gdy kolejny wróg zamachnął się na nią toporem, po czym odbiła jego uderzenie w bok i dźgnęła go prosto w usta. Jej dzikość ich zatrzymała, ale tylko na chwilę. Czterej robole zwinnie ją okrążyli, gdy próbowała uwolnić ostrze. Miała zaciśnięte zęby i szalone spojrzenie. Musiałem patrzeć, jak moja córka umiera.

Od strony wycofujących się żołnierzy pomknął ku niej olbrzymi koń. Robole go zauważyli i usiłovali się przygotować, ale rumak niczym czarny piorun wbił dwóch z nich w ziemię. Opancerzony mężczyzna siekł mieczem bez finezji i na oślep, ale zabił kolejnego wroga. Nagle włócznia robola wbiła się w szyję wierzchowca, który stanął dęba i zrzucił jeźdźca na ziemię.

Królowie Głębi, Bezimienni, wszyscy postrzegali miłość jako słabość. Ale to, że potrzebujemy kogoś u naszego boku, wcale nie czyni nas słabymi, tylko dodaje nam sił.

Wykrzykiwałem imię Dantry'ego. Wykrzykiwałem imię Amairy. Sierżant i żołnierze ciągnęli mnie coraz dalej i dalej do tyłu, a moje stopy ślizgały się po piasku, gdy próbowałem ich odepchnąć. Nie miałem punktu oparcia, nie mogłem wykorzystać swojej siły.

Amaira powaliła ostatniego robola, prezentując umiejętności znacznie wykraczające poza to, czego ja zdołałem się nauczyć, a potem padła na kolana obok Dantry'ego, który żył, ale nie mógł się podnieść. Łzy rysowały blade ślady na jej zbryzganej krwią twarzy. Chwyciła go pod rękę i chwiejnie postawiła na nogi, mimo że podczas upadku zapewne doznał wstrząśnienia mózgu albo się połamał.

Jeźdźcy roboli szarżowali za ich plecami. Amaira i Dantry nie mogli im uciec. Ja też nie miałem szans dotrzeć do nich na czas.

Dantry miał rację. Poświęciliśmy wszystko. Staliśmy się tym, czym gardziliśmy, żeby osiągnąć cel. Ale mimo wszystko oni nie zamierzali z siebie zrezygnować. Ja również nie mogłem ich porzucić. Nie miałem takiego zamiaru. Za żadną cenę.

Odepchnąłem sierżanta i pociągnąłem go za sobą na piasek.

– Proszę cię tylko o to jedno – warknąłem, chociaż Nieszczęście nie potrzebowało moich słów, by mnie zrozumieć. – Wkroczyłem

w twoją bramę cieni. Dałem ci to, czego potrzebujesz. A teraz zrobisz to dla mnie. – Poczułem, jak popękana ziemia pode mną porusza się, a przepływająca przez nią energia, bezustannie spragniona zmiany, nagina się ku mojej woli. Naznaczyłem Nieszczęście kroplami swojej krwi, a ono ją zapamiętało.

Obejrzałem się na Amairę i Dantry'ego, którzy kuśtykali w naszą stronę, świadomi zbliżającej się zagłady.

– Kocham was oboje – wyszeptalem. – Bądźcie dla siebie dobrzy.

Wniknąłem w Nieszczęście, przekazując do ziemi moc, którą od niego zaczerpnąłem. W moim umyśle rozbłysły punkty orientacyjne, a ja je pochwyciłem i ustawiłem w linię nie dłuższą niż dziesięć stóp, usuwając z drogi wszystko, co się między nimi znajdowało. Manipulowałem odległościami, skałą i kamieniem, przekształcając świat zgodnie z własną wolą, a on poruszał się i zmieniał, na mój rozkaz stając się krwawym szlakiem. Dantry i Amaira to poczuli; zdawali sobie sprawę z falowania ziemi pod ich stopami.

Amaira popatrzyła mi w oczy i szeroko otworzyła usta, gdy zrobili kolejny krok w stronę...

Potem zniknęli.

Szlak, który stworzyłem, kończył się sto mil na zachód. Dantry i Amaira przebiegną zaledwie trzy stopy, ale pokonają ogromną odległość i z zaskoczeniem znajdą się o niecałą milę od Łańcucha. Nie rozumieją. Nigdy się nie dowiedzą, co dla nich poświęciłem. Ale przeżyją.

Ból rozdarł mi głowę, gdy duża część mojej siły wróciła do Nieszczęścia. Niebo zajaśniało świeżymi barwami, gdy otaczająca mnie rzeczywistość dostała drgawek. Nagle powróciła do dawnej postaci, a siła uderzenia rzuciła mnie na plecy. Krew trysnęła mi z nosa i ust. Świat zakręcił się wokół mnie, wirując, wirując.

Robole zbliżają się z północy. Robole zbliżają się ze wschodu i zachodu. Ci, którzy wciąż żyją, po raz ostatni staną do walki, a to kiedyś czeka nas wszystkich. Odgrywamy swoje role, a gdy wypowiemy ostatnie kwestie, obsada wraca za kurtynę, by stać się blednącym wspomnieniem, aż w końcu ich występ już nic dla świata

nie znaczy. Może kanonierzy by uciekli, gdyby uznali, że im się uda, ale tego nie zrobili. Nie mieli szansy.

Nie mogłem ponownie przemienić świata. Nie zostało mi wystarczająco dużo siły. Zdesperowani żołnierze postawili mnie na nogi i pociągnęli za sobą.

Poszukałem wzrokiem należącego do Acradiusa króla-czarownika. Był teraz zwęglony i spowity dymem. Miałem wrażenie, że jego zęby, które wyłoniły się spod spalonych bandaży, szczerzą się w uśmiechu. Jeszcze nie jest po wszystkim. Nie do końca.

Chwiejnym krokiem ruszyłem w stronę swojego konia. To nie pora na śmierć. Jeszcze nie. Wciąż miałem jakąś rolę do odegrania.

Garstka kanonierów opuściła szereg i podążyła za mną. W sumie może trzydzieści osób. Kiedy spinaliśmy konie, słyszeliśmy za sobą huk rusznic. Nie zdążyłem skonsultować się z Nieszczęściem i miałem mętlik w głowie, a rozbłyśki światła i kolorów sprawiały, że ledwie trzymałem się w siodle. Po prostu galopowaliśmy przed siebie, na południe, oddalając się od niezliczonych roboi. Rozbrzmiały cztery salwy, a potem kanonierzy ucichli. Obejrzałem się, a to, co zobaczyłem, zaciążyło mi na sercu.

Wiedziałem, że prowadzę tych ludzi na śmierć. Oni również o tym wiedzieli. Ale to wcale nie czyniło tego łatwiejszym. Generał Kazna poprowadziła szarżę, a należała do najlepszych dowódców; była ulepiona z tej samej gliny co marszałek Venzer. Nie czekał jej pogrzeb z honorami w mieście, ale z drugiej strony zapewne już niedługo nie będzie żadnych miast.

Ocaliłem tylu ludzi, ilu się dało. Słaba pociecha w obliczu takiej rzezi.

Żołnierze oczekiwali, że ich poprowadzę. Nenn zniknęła i było mi jej brak. Sądziłem, że będzie na mnie czekała w Adrogorsku, ale dotrzymany mi tam towarzystwa mnóstwo dawnych znajomych. Część z tych, którzy polegli podczas nieudanej zasadzki, także krążyła wokół nas, robiąc cyrkowe sztuczki na koniach. Podobało mi się to. W Nieszczęściu nie warto podchodzić do wszystkiego poważnie. Tchórzliwi kanonierzy, którzy uciekli razem ze mną, zerkali na mnie z niepokojem, podczas gdy powinni cieszyć się tym przedstawieniem.

Czułem się pusty w środku. Tak długo gromadziłem moc Nieszczęścia, by teraz po prostu ją z siebie wyrzucić. W jakim celu? Nawet nie pamiętałem. Znalazłem coś do jedzenia. W obronnym

geście pokarm próbował zmienić się w płyn, ale był za wolny i udało mi się większość pochłonąć. Paliły mnie usta i przełyk, ale zaśmiewałem się z absurdalności sytuacji. Ból nie trwał długo. Nie byłem pewien, dlaczego zjadam istoty z Nieszczęścia. Kiedyś miało to jakiś sens. Jakiś cel. Ale zagubił się on pod kolejnymi warstwami osadu, skamieniał pod kurhanami czasu, ciśnienia i rdzy.

Otoczające nas pola były bujnie porośnięte. Pola pszenicy, kruchej i jasnej jak złoto, ciągnęły się aż do rzeki. Tam kąpali się moi rodzice. Dobrze było wyrwać się spod ich kontroli. Nieczęsto mogłem wybrać się na swobodną przejażdżkę, galopując coraz szybciej i szybciej. Kochałem swojego wierzchowca. Mógłbym na nim jechać bez końca. Do winnic, przez gaje oliwne, wzdłuż morskiego wybrzeża. W taki piękny dzień wspaniale być beztroskim chłopcem.

Zamrugalem i słońce zaczęło zachodzić. Przykucnąłem z dala od żołnierzy i kołysałem się na piętach, obejmując rękami kolana. Towarzyszyło mi mniej kanonierów, niż sądziłem. Widziałem ciała leżące w rzędzie, sześć trupów, i nie wiedziałem, co się stało. Nie pamiętałem. Kanonierzy nie odzywali się do mnie, tylko posyłali mi lękliwe spojrzenia.

Zanurzyłem się w Nieszczęściu. Ból głowy, który dręczył mnie od kilku dni, ustąpił, migoczące światełka na skraju pola widzenia zniknęły, a ucisk w piersi złagodniał. Odprężyłem się, tak jak rodzice podczas kąpieli. Położyłem się na piasku, przeczesałem żwir poczerniałymi palcami. Czułem je w powietrzu, na swoich dziąsłach, wszędzie. Czułem, jak płynie moimi żyłami, przenika mięśnie rąk i ramion. Odprężyłem się.

Byłem pijany. Wściekle pijany i gotowy wszcząć bójkę. Tawerna, jeśli można ją tak nazwać, cuchnęła szczynami i psami, które snuły się wokół nóg klientów. Rozejrzałem się po sali, szukając kogoś wystarczająco potężnego, z kim warto byłoby się pobić. Nie dbałem o pretekst, po prostu byłem wściekły i koniecznie chciałem coś zniszczyć lub zrobić komuś krzywdę i poczuć ból, na którym będę mógł się skupić, żeby nie być sam na sam z cierpieniem, które kłębiło się w moim wnętrzu. Zhańbiony i odrzucony, jeszcze niedawno wypełniałem wzniosłą misję, teraz byłem nikiem.

Ezabeth stała przede mną złocista i olśniewająca, ale byliśmy w innym czasie i miejscu. Nie była moją Ezabeth. Była czymś innym, nieskończenie większym, a zarazem bardziej pustym. Marmurowe kolumny wznosiły się wokół olbrzymiej sali, otaczając jej poczerniały od sadzy tron. Królowa, może nawet bogini. Ukłęknałem pokornie. Wszyscy ukłękliśmy. Była wspaniała.

Kiedy wreszcie przypomniałem sobie, że powinienem odczytać stan Nieszczęścia, siedziałem samotnie w płytkiej jaskini. Nie wiem, co się stało z kanonierami. Mój koń zniknął. Nie wiedziałem, gdzie jest, dopóki nie dotknąłem ziemi i nie posłałem swoich pulsujących myśli w świat.

Imperator Głębi Acradius mnie zobaczył. Był coraz bliżej.

Mała, stwardniała cząstka mojego umysłu zadrżała i pisnęła z przerażenia. Zużyłem zbyt wiele sił, by odesłać Dantry'ego i Amairę. Mój umysł się chwiał, falował jak porwany, zmoczony deszczem sztandar. Fortyfikacje, które wznosiłem latami, runęły. Wiedziałem, że to, co robię, to szaleństwo, i już nie jestem sobą, ale nie zatrzymałem się, tak jak pijak, który sięga po kolejną butelkę, chociaż wie, że nie będzie powrotu.

Czarną lektykę niesiono w środku kolumny. Ozdobiona rogami i kolcami góra żelaza, która mieściła w sobie esencję jedyne prawdziwego boga. Acradius zobaczył mnie przed sobą, chociaż ściany lektyki były zbudowane z żelaza. Istnieliśmy poza sferami dostępnymi dla śmiertelników. Przytłoczył mnie ogrom osoby podróżującej wewnątrz lektyki. To nie był powóz, ale sarkofag ozdobiony dużą metalową twarzą. Acradius stał się tak potężny, że fizyczną część jego istoty trzeba było nie tylko nosić nad ziemią, ale i zamknąć.

„Synu Nieszczęścia – odezwał się. Jego głos był jak szum wodospadu i trzask okrętów rozbijających się o skały. – Przyszedłeś, żeby wreszcie oddać mi pokłon? Zrozumiałeś, jak próżny jest twój opór? Nagniesz wolę Nieszczęścia, by służyło moim celom?”

– Nie ma żadnego celu – odparłem. – Jesteśmy istotą niestabilności. Ono mówi, żebyśmy się zmieniali, wciąż na nowo. Nigdy nie przestawajmy się zmieniać. Nigdy nie tamujmy przepływu



możliwości. Nie ma żadnego celu. Nie ma niczego. Wszyscy jesteśmy niczym.

– Gówno prawda, Ryhalcie – rzuciła Nenn. Unosiła się w powietrzu obok mnie. Acradius jej nie widział ani nie wyczuwał. Była przebłyskiem mojego dawnego życia, który przybył, by mnie dręczyć. Zignorowałem ją. Byłem teraz czymś znacznie większym.

„Jest tylko jeden cel – zagrział Acradius, a każde jego słowo miało ciężar eonów. – Mój własny”.

Nawet on nie rozumiał mocy Śpiącego, znaczenia, które kryło się za jego słowami. Uważał się za niezrównanie potężnego, ale był marionetką, tak samo jak ja. Rzecznikiem istoty, która nigdy nie powinna zostać obudzona. Ale mało mnie to obchodziło. Nieszczęście przetrwa. Nie da się powstrzymać zmian.

– Kiedyś miałeś cel – odezwała się Nenn, irytująca jak mucha. Była częścią Nieszczęścia, prawda? Powinna stać po mojej stronie. Powinna mnie rozumieć. – Zgubiłeś go. Musisz go odnaleźć.

– Nie ma przeznaczenia – odparłem. – Nie ma celu. Nie ma istnienia. Jesteśmy tylko pyłem rozwiewanym przez wiatr.

„Jesteś głupcem, jeśli tak myślisz – rzekł Acradius. – Nieszczęście pomyliło się, gdy cię stworzyło. Czyniąc cię swoją własnością, otworzyło się na kruchość. Na chwiejne ludzkie emocje. Na pragnienie zrozumienia. Na pragnienie odkupienia. Czy właśnie tego chce, Synu Nieszczęścia? Stać się słabe?”.

Pokręciłem głową, a z widmowej formy, którą przyjąłem, wylał się bełkotliwy śmiech.

„Złóż mi pokłon – warknął Imperator Głębi. – Staniesz się moją własnością. Nieszczęście stanie się moją własnością. Wszystko będzie moje”.

Miałem wrażenie, że usta żelaznej twarzy zdobiącej sarkofag Acradiusa szerzej się otworzyły i wysunęła się z nich nić słabego różowego światła. Magiczne światło popłynęło w moją stronę, a ja wyciągnąłem ku niemu rękę.

Nasze światy się zderzyły.

Jego nienawiść była tak głęboka, że pomimo siły, którą obdarzyło mnie Nieszczęście, czułem, że faluję i napinam się, jakbym za chwilę

miał przestać istnieć. To nie była jedna nienawiść, ale cztery, sprzeciwiające się sobie nawzajem, rozwrzeszczane jak dzieci ogarnięte napadem złości.

Poczułem, jak coś porusza się w poprzecinanym żyłkami lawy grobowcu, a dawna potęga skrzydlatego padlinożercy wrzasnęła z furją w moim wnętrzu. Wronia Stopa i Acradius po raz pierwszy zobaczyli się w taki sposób. Acradius warczał i szczyrzył kły jak ogar, porzucając pod wpływem wszechogarniającego szału wszelkie pozory godności i bóstwa.

Trzecia istota pojawiła się jak wzbierający ból głowy, jak burza piaskowa nad pustynią. Śpiący, zespolony z Acradiusem, ale ukryty pod powierzchnią. Źródło mocy, które w tajemnicy przed Acradiusem czekało na sposobność do ucieczki i powrotu. Bezimienny i Król Głębi przypominali wściekłe psy, Śpiący tymczasem był jak powoli nadciągający złowrogi i nieprzejednany przypływ, który chce wszystko zmyć. Była także kobieta ze złota, która mimo upływu lat z jakiegoś powodu wciąż we mnie mieszkała.

Nienawiść nieśmiertelnych była płytką. Napędzała ich sprzeczki, pierdolone małostkowe sprzeczki, które kosztowały życie tak wielu niewinnych ludzi. Moja nienawiść narodziła się z czegoś znacznie silniejszego. Uderzyła we mnie z siłą wezbranego wodospadu, nagłego strumienia świadomości, który otworzył mój umysł na oścież.

Ale to nie była magia. To nie była moc, tylko nienawiść. Żalсна i ponura, mniej groźna od chorego kociaka. Toczyli pianę z ust, patrząc na siebie po raz pierwszy od ponad stulecia. Ich nienawiść przebijała świat jak włócznia. Ale nic nie znaczyła.

– Nie – powiedziałem.

Odrzuciłem ich. Zmieniaj się, wciąż na nowo. Różowe światło, które mnie spowiło, pękło i rozsypało się na kawałki. Honorowa gwardia Acradiusa złożona z Uroczych poleciała do tyłu.

– Teraz dokładnie cię widzę – rzekłem. – Skąd pochodzisz, czym jesteś. Jesteś głodem. Jesteś pustką. Sięgasz po wszystko, ponieważ nic nie może zaspokoić twojej żądzy pochłaniania. Ale głód nie jest istotą. Jest brakiem istoty. Jest niczym. Pomimo twoich przechwałek,

pomimo wściekłości nie możesz mnie powstrzymać – warknąłem wściekle, choć niemal bezgłośnie. – Ani ty, ani Bezimienni. Nikt z was już mnie nie powstrzyma.

„Nie zdołasz mi się oprzeć! – ryknął Acradius. Kiedy ta myśl wybrzmiała, jego armia roboli zaczęła padać falami na piasek Nieszczęścia, chwytając się za głowy. – Zużyłeś wszystkie siły. Ja nie jestem tylko tym głosem. Jestem milionem istnień. Jestem wojskami, które właśnie atakują twoją ostatnią nadzieję. Będziesz mi służył. Wszyscy będą mi służyć”. – Jego groźby muskały mnie jak letni wietrzyk.

– Wiem, czemu służę – odparłem. – To nigdy nie będziesz ty.

„Jesteś niczym! Nawet twój własny pan cię zdradził!” – wrzeszczał Acradius, a jego godność pękła i zawaliła się jak zburzone wieże, grzebiąc przekonanie, które utrzymywało się tak długo, że niemal stało się prawem. Wszyscy musieli się podporządkować. Nawet inni Królowie Głębi. Tymczasem ja się postawiłem. Buntownik.

– Wronia Stopa to dupek – odrzekłem – ale i tak jest wart więcej od ciebie. Od tego wszystkiego.

„A co by na to powiedział Nall? Co Pani Fal miałyby do powiedzenia na temat lojalności wron?” – zakpił Acradius.

Otrząsnąłem się jak pies, który wyszedł z czarnego wzburzonego oceanu. Świat poza wejściem do jaskini zawirował, światła zatańczyły mi przed oczami, pęknięcia na niebie buchnęły niemal nieopanowanym ogniem. Nieszczęście sięgało do mojego wnętrza. Chwytało mnie i napełniało, tak że wkrótce mogłem stać się jego częścią na równi ze skrzelakami, dępami i wszystkimi innymi koszmarami, które od tak dawna starałem się powstrzymać. Sam to sobie zrobiłem, uczyniłem siebie częścią jego szaleństwa. Nie wiedziałem, czy naprawdę rozmawiam z Acradiusem, czy może jest to kolejna halucynacja, przypadkowa wizja zesłana po to, by mnie oślepić, spętać, przyprowadzić bliżej. Co było prawdziwe?

Oparłem głowę o kolana, ale Nieszczęście dalej napierało, chwytając moje myśli. Czerwono-czarna pustynia rozciągała się we wszystkich kierunkach, wnosząc się i opadając nierównymi falami. Niektóre kierunki były północą, inne także północą, a jeszcze inne

również północą. Otaczały mnie możliwości i różnice, chaotyczne wyziewy promienistej nicości, która mogła być wszystkim, jeśli tylko się w nią uwierzyło. Miałem łzy na twarzy. Nie wiedziałem, jak się tam znalazły ani do kogo należały. Tak wielu rzeczy nie wiedziałem. Tyle rozumiałem, pojmowałem, jak i dlaczego wszystko działa, ale to już nie miało znaczenia. Wiedza bez celu. Bez powodu. Oto esencja wszechświata: chaos i entropia.

Chmury kłębiły się na niebie. Gęste i ciemne, fioletowe i masywniejsze niż kiedykolwiek. Byłem bezpieczny w jaskini. Mogłem tutaj beczynn timer leżeć, czekając, aż moje ciało się rozpadnie, a kości wrosną w skałę. Nie trzeba się bać, nie trzeba wychodzić tam, gdzie świat wyrządza krzywdę i pali żywym ogniem, a udręki przeszłości zlatują się, żeby uderzać mnie haczykowatymi dziobami jak sępy rozdzierające padlinę.

– Musisz poznać prawdę – powiedziała Nenn.

– Prawdę? – Niemal zakrztusiłem się tym słowem. – Nie ma prawdy. Jest tylko chaos. Nieporządek. Tylko bezkresne życie, śmierć i cierpienie. Nie chcę prawdy.

– Może i nie – westchnęła – ale jej potrzebujesz. – Wzięła mnie za rękę i postawiła na nogi. Na zewnątrz lunął czarny deszcz, uderzając z sykiem o rozgrzaną ziemię.

– A jeśli nie chcę poznać prawdy? – spytałem.

– To, czego chcemy, nie ma aż takiego znaczenia – odparła Nenn. – Najwyższy czas, żebyś ją poznał. W przeciwnym razie nie doprowadzisz tego do końca.

– Deszcz – powiedziałem. – To wspomnienia Nalla. Historia Upadku Wron.

Nenn pokiwała głową. Czekwała na mnie.

– Jesteś gotowy?

– Chyba tak. – Nadszedł czas stawić temu czoło. – Tak. Jestem gotowy.

Uderzyły pierwsze krople, a ja nawet ich nie poczułem. Moja skóra zrobiła się zbyt zaskorupiała, zbyt łuskowata, zbyt stwardniała za sprawą skażenia Nieszczęściem. Rozłożyłem ręce i wystawiłem się na działanie deszczu.

Pojawił się ból. Początkowo ukłucia, potem pieczenie. Przez chwilę myślałem, że popełniłem straszliwy błąd. Stałem bez koszuli, z głową odchyłoną do tyłu i zamkniętymi oczami, pozwalając, by ogień czarnego deszczu mnie obmywał. Niech przyjdzie, niech pali. „Zapytaj nieba” – powiedział Nall. Jakaś częśćka mnie wiedziała, co musi się stać. Co muszę zobaczyć. Czy jestem wystarczająco silny, by to znieść? Zaraz się dowiem.

Deszcz spadł z pełną siłą i po chwili całkowicie mnie przemoczył. Był zimny, ale ledwie zauważałem ból, który przeszywał skórę i mięśnie. W moim umyśle zaczęły przeskakiwać obrazy. Jakaś zwyczajna, pospolita twarz. Twarz mężczyzny jednego z wielu, jednego z tysięcy. Nall, Bezimienny, ale zarazem martwy. Wdychałem wilgoć, która paliła wewnątrz moich ust i język. „Wytrzymaj” – powiedziałem sobie. Kurczowo uczepiłem się tego słowa. Trzymałem się go tak, jakby wszystkie inne słowa przestały istnieć. Nie pamiętałem, jak się znalazłem w tym miejscu i dlaczego tutaj stałem, wiedziałem tylko, że muszę wytrzymać. To tylko ból. Zresztą będzie gorzej.

Mijały minuty wypełnione niekontrolowaną, dziką pogonią myśli i obrazów. Myśli tak genialnych i głębokich, że sam nigdy bym ich nie pomyślał, obrazów rzeczy tak małych, że żaden człowiek nie mógłby ich zobaczyć, a także nieopisanie ogromnych. Oto wiedza czarownika wyrzucona w niebo, z którego opada na kulących się śmiertelników.

A potem je zobaczyłem.

Miejsce mocy. Nie rozbite jak wtedy, gdy podróżowałem Bramą Zmierzchu, ale takie, jakim widziałem je za pierwszym razem. Bezkresna równina pokryta idealnie białym lodem, pod bezkresnym czarnym nocnym niebem z milionem gwiazd jasnych jak nadzieja. Chociaż zdawałem sobie sprawę z dotkliwego zimna, nie mogło mnie ono dotknąć. Czulem otaczającą mnie moc, kosmiczną mgiełkę w powietrzu. Ciało, które zajmowałem, siedziało ze skrzyżowanymi nogami jako jeden z wierzchołków trójkąta.

Wronia Stopa tkwił w pobliżu; policzki, nos i usta miał czarne od odmrożeń. Pusty Grób zamykał trójkąt, a lodowate zimno nie wpływało na jego nieokreślone oblicze. Bezimienni byli zjednoczeni, po raz pierwszy od stuleci. Byli moimi braćmi, podobnymi w swojej odmienności i zupełnie różnymi we wszystkim innym. W chwili zachłanności zapragnąłem dowiedzieć się, czym naprawdę są. Wspomnienia Nalla nie odpowiedziały na moje życzenie. Byłem tylko obserwatorem.

Prowadzili bitwę, która trwała od miesięcy.

Łatwo jest nienawidzić Bezimiennych. Wydaje się, że w ogóle o nas nie dbają i kierują się tylko własnym interesem. A jednak tutaj siedzieli, pogrążeni w bitwie woli z Królami Głębi, i tylko ich walka utrzymywała Śpiącego pod falami. Utrzymywała nas przy życiu. Łańcuchy myśli i mocy rozciągały się od nich jak niewidzialne linie, wbijały się w lód, płonęły na niebie. Migoczące niewidzialne sieci podtrzymywane wyłącznie siłą koncentracji.

Nall sunął wzdłuż jednego z łańcuchów, badając, szukając. Za pośrednictwem jego myśli zobaczyłem Królów Głębi, którzy zebrali się razem o pół świata od tej lodowej równiny. Siedzieli nad spokojnym morzem o wodzie czystszej od najszlachetniejszego kryształu, na wyspie pokrytej białym piaskiem, pod jaskrawo świecącym słońcem. Pięć istot, równie wyjątkowych jak Bezimienni. Iddin, złowroga chmura, bezoka i płacząca. Nexor, stary ogień, który bezustannie kłębił się i płonął. Philon, którą pozlepiane siwe włosy okrywały jak pogrzebowy całun. Balarus, brudna smuga myśli w powietrzu. No i Acradius, rozgrzany jak piec i pełen złości. Pięć

wierzchołków demonicznej gwiazdy. W promieniu mili piasek pokrywały złożone symbole, których wiatr nie rozwiewał. Otaczały relikty przeszłości, przedwieczne artefakty nasycone potężną magią. Miecze, korony, wysadzone klejnotami kielichy. Zmumifikowane ciała, podarte buty, złamana strzała. Królowie Głębi stworzyli własne miejsce mocy. Za pośrednictwem wylewającej się z nich energii wyczuwałem Śpiącego. Nie zbudził się, ale zdawał sobie sprawę z ich obecności, gdy wspólnie posyłał w jego stronę swoją energię. Zjednoczeni wspólnym celem, tak jak przeciwstawiający się im Bezimienni.

– Porusza się – odezwał się Nall. Wróciłem na lodową równinę. – Przegrywamy. Nawet tutaj brakuje nam sił, by go zatrzymać.

– Nie – warknął bezgłośnie Wronia Stopa. – Nie wpuszczę go z powrotem do świata.

– Mimo wszystko przegrywamy – odrzekł Nall.

Czułem, jak słabnie. Był zmęczony, zmuszony do wyłączenia wszystkich sił. Studnia mocy, która rosła w jego sercu, wysychała z każdym dniem, z każdą godziną. Nawet mówienie wiele go kosztowało. Bezimienni wrócili do walki, czym prędzej rozbijając zaklęcia rzucone przez Królów Głębi, rozmieszczając przeszkody na ich drodze przez pustkę, przez eter i na wszystkich innych szlakach. Panował spokój, ale ich umysły rozpaczliwie pracowały, by dotrzymać wrogom kroku. Królowie Głębi przeskakowali bariery, wiązali przeszkody w węzły, a potem uciszali kanały Bezimiennych. Ich czary nie ustawały.

Trzask rozwieranych powiek odbił się echem w umyśle Nalla. Oko, szersze od domu, otworzyło się w głębinach oceanu po raz pierwszy od tysiącleci. Pogrzebane w lodowatym oceanie, zobaczyło.

– Budzi się – rozległ się nowy głos. Sprawiał wrażenie zbyt delikatnego, by brać udział w tych tytanicznych wydarzeniach, ale trafił w moje serce z mocą, jakiej nie posiadał żaden oceaniczny demon. Był zbyt delikatny, zbyt ludzki. Z wysiłkiem potężniejszym niż cała magia, jaką zużywał na powstrzymywanie Śpiącego, Nall zdołał odwrócić głowę, z której posypały się okruchy lodu.

Ezabeth stała w złoto-niebieskim świetle, zjawia z lśniącą energią. Była wysepką piękna wśród palącego zimna. Wiatr nie dotykał jej kręconych włosów, nie poruszał sukienką, w której się pojawiła. Tą samą, którą miała na sobie w dniu, gdy spłonęła w świetle.

– Nie jesteś tutaj mile widziana, Jasna Pani – warknął Wronia Stopa. – Nie wtrącaj się.

– Śpiący się budzi – odburknęła Ezabeth. – Czuję, jak wgniata mnie w światło. Nadchodzi. Musicie natychmiast pokrzyżować im plany.

– Nie jesteś jedną z nas – stwierdził Wronia Stopa. – Nie jesteś Bezimienną, tylko wynaturzeniem. Precz stąd.

Rzucił się z powrotem w sieci mocy, odrzucając Ezabeth, ale Nall wciąż na nią patrzył.

– Potrzebujemy cię – rzekł. – Dołącz do nas.

– Powiedz mi jak. – Ezabeth zamigotała, a wtedy przez jej niematerialną połyskującą postać zobaczyłem odległy horyzont, płaski i przechodzący w niebo. – Nigdy nie pokazałeś mi jak.

– Musisz się stać Bezimienną – wyjaśnił Nall. – To wszystko. Masz niezbędną moc. Stałaś się światłem. Oddałaś się tej idei z takim zaangażowaniem, że ta zapragnęła się z tobą zjednoczyć. Ale wciąż trzymasz się świata. A dopóki to robisz, on nie pozwoli ci wstąpić na wyższy poziom. Dołącz do nas.

– Nie mogę – odparła Ezabeth. Jej frustracja i pragnienie odniesienia sukcesu, za którymi tak bardzo tęskniłem, przeszły mi serce. Znowu jej zapragnąłem, tak samo jak przez te wszystkie lata. – Nadal nie rozumiem. Minęło tyle lat, a ty wciąż trzymasz to przede mną w tajemnicy. Powiedz mi prawdę!

Pojawiło się drżenie wyczuwalne w płytach ziemi. Tak dalekie, że niemal niedostrzegalne, a jednak lód wokół zamarzniętych oczu Wroniej Stopy popękał, gdy ten otworzył je minimalnie szerzej. Dostrzegłem w nich coś, czego nigdy się nie spodziewałem. Przerażenie.

– Powiedziałem ci wszystko, co mogłem – odrzekł Nall. – Albo to zrozumiesz, albo nie.



– Wywołują go na powierzchnię – powiedziała Elizabeth łamiącym się metalicznym głosem – Wywołują Śpiącego.

Poczułem gorący gniew Wroniej Stopy, tak głęboki i silny, że wypływał z niego falami, wlewając się w magię.

– Musimy natychmiast działać – wyszeptał Płytki Grób, co zabrzmiało jak szelest całunów. – Natychmiast, natychmiast.

Nie było żadnych błysków, ognia ani kolorów, gdy Bezimienni przeciwstawili połączoną siłę woli Królom Głębi, opadając na nich tak, jakby próbowali powstrzymać otwarcie grobowca. Policzki Nalla pokryły czerwone linie popękanych naczyń krwionośnych. Lód, który wypełniał zagłębienia jego twarzy, potrzaskał i odpadał ostrymi odłamkami. Magia opadła całym swoim ciężarem.

Gdzieś bardzo daleko złowieszcze oko nadal się otwierało. Śpiący budził się z długiego otępienia.

Bezimienni zaczęli bełkotać bez sensu. Przekazywali sobie polecenia, a może zaklęcia, tłumaczyli sposób użycia mocy, która nigdy nie powinna zostać uwolniona. W przyływie desperacji powracały dawne kłótnie i swary.

– W ten sposób ich nie powstrzymamy – rzekł Nall.

– Porażka oznacza unicestwienie – odrzekła Elizabeth.

– Pozostało tylko jedno wyjście – stwierdził Wronia Stopa. – Wiedzieliśmy, że może do tego dojść. Bezpośrednie uderzenie. Pani Fal musi działać.

– To zbyt niebezpieczne – wyszeptał Płytki Grób. – Zbyt niebezpieczne, zbyt niebezpieczne. Podczas takiego ataku nawet my stalibyśmy się bezbronni.

– Nie mamy innego wyboru – odburknął Wronia Stopa.

– Możemy się wycofać – odrzekł Nall. – Zawsze pozostaje ucieczka. Ocalimy tyle mocy, ile się da. Wycofamy się na drugą stronę zachodniego oceanu i poprosimy o sojusz z Wężami Ziemi.

– Nie pozwolę, żeby odebrali mi tę ziemię – warknął Wronia Stopa. – Nigdy. Odwrót oznacza powolną śmierć, a ja nie mam zamiaru przegrać. – Posłał uderzenie myśli, które bez trudu przebyło tysiące mil, pokonało morza i lądy, o których istnieniu nie miałem pojęcia, i dotarło do Pyre, gdzie Pani Fal spoczywała

w głębinie swojej laguny. – Teraz – polecił jej Wronia Stopa, chociaż wszyscy Bezimienni to poczuli. – Uderz teraz. Zniszcz ich pole reliktyw, póki są w głębokim transie, a może zwyciężymy.

Pani Fal nie odpowiedziała, ale wzdłuż psychicznego łącza popłynęła jej dzika radość. Niczym jakiś straszliwy kraken, została uwolniona, czego od tak dawna pragnęła.

Ciężar powolnej podróży Śpiącego ku przebudzeniu przygniatał Bezimiennych.

Wokół dalekich linii mocy prądy oceaniczne, którymi manipulowano przez trzy długie lata, łagodnie i w idealnej zgodności zmieniły kurs. Nieznacznie skorygowały kierunek, tworząc nowe fale, nowe kanały przepływu. Ogromne masy skryte w lodowatym mroku głęboko pod falami poruszyły się. Delikatne szarpnięcia w płytkich wodach wokół dalekich ciepłych brzegów ustąpiły. Wzburzone wody wokół przylądków złagodniały, zakołysały się rybackie łodzie na spokojnych falach. Wszystkie oceany świata poczuły moc Pani. Ale nie tylko jej moc. Pani Fal nie rozkazywała oceanowi, tylko nim była. Nagle zrozumiałem, że właśnie na tym polega bycie Bezimiennym.

Do umysłu Nalla napłynęła fala. Nie różniła się od innych fal na oceanie, o którego istnieniu nie wiedzieli moi ludzie. Ale w odróżnieniu od pozostałych nie opadała, tylko się wznosiła. Rosła, nabierając pędu, zasilana pięćdziesięcioma tysiącami łączących się prądów, wzniesiona nagłym przypływem energii. Pani gnała ją naprzód, gromadząc prądy, zwiększając pęd. Na oceanie urosła ściana wody, która przyćmiłaby Wielką Iglicę. Niosła ze sobą kłębiące się wieloryby i ławice ryb, miotała solą i odrzucała z drogi okręty jak zabawki. Opadła w stronę wyspy Królów Głębi, ich pola reliktyw. Tysiące ton ryczącego oceanu. Taka potęga mogła zmieść z powierzchni ziemi królestwo, zatopić górę. Zobaczyłem wizerunek Pani w spienionej wodzie, jej dziką radość spowodowaną tym, że wreszcie mogła uwolnić swoje najwspanialsze dzieło.

Fala dotarła do wyspy i z ogłuszającym trzaskiem zatrzymała się, kipiąc białą pianą i kaskadami wody. Iddin i Balarus wstali ze swoich miejsc i przeciwstawili jej swoją wolę. Powstrzymali falę.

Wyczułem wściekłość Pani, furie wywołaną napotkanym sprzeciwem. Wlała swoją energię w masy wody, gwałtownie rozszerzając swoją magię, a Królowie Głębi zrobili to samo, próbując powstrzymać żywioł. Nie bali się o siebie. Nawet tak potężna fala nie mogła ich zniszczyć, choćby strzaskała ciała, które obecnie zamieszkiwali, ale potrzebowali reliktyw, których moc wykorzystywali do przywołania Śpiącego. Nie mogli dopuścić do ich zniszczenia albo zagubienia.

– Powstrzymują nas – wyszeptał Płytki Grób. – On się budzi.

Śpiący otworzył jedno z setek oczu. Po raz pierwszy od tysięcy lat w jego głowie zbudziły się niczym uruchomiona maszyna myśli. Świadomość zakwitła jak fajerwerk na nocnym niebie.

– Zaatakujcie Śpiącego – powiedziała Elizabeth – dopóki jest słaby. Nie macie innego wyjścia.

– Milcz, duchu – odburknął Wronia Stopa. Krew popłynęła mu z oczu, gdy jego ciało zaczęło ustępować pod naciskiem siły woli niezbędnej do pozostania w walce. Jedna z kości w jego ręku pękła. – Jesteśmy za daleko, żeby uderzyć w ten sposób. Dzieli nas pół świata. Nawet gdybyśmy dysponowali taką mocą, nie mamy awatara, który mógłby ją dzierżyć.

– Więc użyjcie mnie – odrzekła Elizabeth. – Nigdzie nie istnieję, ale jestem obecna wszędzie, gdzie pojawia się światło. Mogę przekazać waszą potęgę.

Czułem więc pulsującą między Bezimiennymi, myśli tak szybkie, że nie ubierali ich w słowa, nowe plany, które powstawały i upadały.

– Odbierze nam moc – syknął Płytki Grób.

– Nie – sprzeciwił się Nall. – Nie zrobi tego.

– Skąd możesz wiedzieć?

Pełne krwi oczy Nalla były niemal smutne.

– Ponieważ nie jest jedną z nas. Wciąż ma imię. – Mięśnie całymi miesiącami zamrożone na kamień napięły się i Nall odwrócił głowę w stronę Jasnej Pani. – Ruszaj, Elizabeth Tanzo. Uderzymy za twoim pośrednictwem.

Ściana wody wciąż wznosiła się na pół mili, podtrzymywana przez niewidzialne siły, ale zaczynała maleć. Prądy, którymi

pokierowała Pani, buntowały się i próbowały powrócić do swojego naturalnego rytmu i biegu. Wbrew jej woli oceany świata starały się odrzucić ten nowy, nienaturalny schemat.

Ezabeth zniknęła z jednego miejsca mocy i pojawiła się w innym. Unosiła się w powietrzu, migocząca, niematerialna drobinka światła wysoko ponad kłębiącym się oceanem. W dole powstał potężny wir, gdy liczne falujące kończyny Śpiącego zaczęły mieszać wodę. Płomienie, które stale próbowały ją pochłonąć, tańczyły wokół jej stóp. Nall czuł moc, która w niej wezbrała; wciąż była malutka w porównaniu z lewiatanem z głębin.

– Możliwe, że tego nie przeżyjesz – powiedział.

– Wszystko kiedyś się kończy – odrzekła Ezabeth. – Poza tym umarłam już dawno temu. Jestem gotowa.

Chciałem krzyknąć, rozkazać jej, by przestała, ale nie było mnie na miejscu, tylko oglądałem coś, co wydarzyło się przed laty.

Jakimś cudem wiedziała, co ma robić. Oni wszyscy wiedzieli. Ezabeth zanurkowała w stronę oceanu, przyzywając każdy strzęp mocy, jaki udało jej się znaleźć i zachować od dnia, gdy uratowała mnie przed sługami Saravora. Otoczyły ją szalejące płomienie. Płonęła jaśniej od letniego słońca, goręcej od siódmego piekła, a Królowie Głębi wyczuli nowy atak. Nexor i Philon wstali i przeciwstawili jej siłę swojej woli. Posłali ku Ezabeth falę mocy, ale zanim ta trafiła w cel, Bezimienni włąli w Jasną Panią swoją własną magię, rezygnując z prób unieruchomienia Śpiącego, skoro już czterej Królowie Głębi wdali się z nimi w walkę.

Specjalnością Nalla były podstępny, sprytne oszustwa i iluzje. W eksplozji jego mocy dostrzegłem przebłysk człowieka, którym kiedyś był, tak doświadczonego przez los i samotnego, że porzucił wszelkie pozory prawdy. Kłamstwa pochłonęły go, odbudowały i stał się Bezimiennym.

Płytki Grób był całunem śmiertelności. Uwięziony między dwoma światami, zarazem żywy i umarły, był niepewnością, jaka pojawia się w chwili przejścia między tymi stanami. Wokół niego wirowało zbyt wiele szaleństwa, bym mógł poznać jego początki.

Zobaczyłem także młodzieńca, którego okrutny los zmusił do robienia rzeczy, których nigdy nie chciał, porzucenia wszelkich pozorów człowieczeństwa i zajęcia miejsca pośród ptasich padlinożerców.

Światło Elizabeth tysiącrotnie przybrało na sile, gdy Bezimienni włąli w nią swoją energię. Opróżnili siebie, a świat jęknął pod wpływem tego wyładowania mocy. Królowie Głębi, którzy przeciwstawiali się Jasnej Pani, zostali odrzuceni na bok, a ich bariery pękły jak szkło. Kiedy Elizabeth runęła poprzez wodę, pod wpływem jej żaru powstał tunel, którym popędziła w stronę dna, gdzie światło nigdy nie dociera i panuje ciśnienie, które zmiażdżyłoby wszystkie kości w ciele człowieka, a potem zderzyła się ze Śpiącym.

Wtedy się zatrzymała. Stwór składał się nie tylko z ciała i kamienia, ale był czymś bardziej pierwotnym, co żyło na długo przed pojawieniem się ssaków, ptaków i ryb. Działała tylko najprostsza część jego umysłu, ale nawet ona dysponowała magią, która była w stanie oprzeć się połączonej furii Bezimiennych. Ognista energia wwiercała się w Śpiącego. Ciało było nieistotne. Pozostała tylko moc.

– Nie przegram! – ryknął Wronia Stopa. – Nigdy nie przegram!

Bezimienni krzyczeli jednym głosem. Ich moc była na wyczerpaniu, włąli każdą kroplę w ten ostateczny desperacki atak. W ich miejscu mocy niebo wyło i pękało, a nad równiną rozbrzmiewał rozdzierający jęk. Lód odkształcił się i z ogłuszającym chrzęstem pękł. Wirujące fragmenty lodowca wzleciały w niebo pośród wściekłych krzyków.

– To za mało – wyszeptał Płytki Grób.

– Potrzebujemy więcej mocy – rzekł Wronia Stopa, a w jego zdesperowanym głosie pobrzmiwał lęk. Związał się z wyrachowaną naturą wron, ponieważ niezależnie od tego, kto żyje i umiera, wrona nigdy nie widzi porażki, a jedynie kolejną szansę. Teraz zobaczył, jak ta szansa się wymyka.

– Oddajcie wszystko – westchnął Nall. – Wszystko! – Jego awatary na całym świecie kolejno padały, gdy wysysał z nich każdą cząstkę

mocy.

– Za mało – szepnął Płytki Grób.

Wronia Stopa patrzył posepnie, a krew ciekła ze szczelin w jego skórze. Jedna ręka płonęła gwałtownym ogniem. Zmarszczki na jego twarzy wygładziły się, a potem skóra pękła i wyłoniły się spod niej ostre czarne pióra. Skupił wzrok na Nallu. Jego gniew złagodniał, a w oczach pozostały tylko stal i determinacja.

– Zawsze można znaleźć więcej mocy – rzekł.

W tych ostatnich chwilach Nall zdał sobie sprawę, że Wronia Stopa coś ukrywa. Nall, Pani Fal i Płytki Grób oddali wszystko, ale nie kruk. Te ptaki wygrywają, ponieważ potrafią się dostosować i zawsze biorą to, czego potrzebują. Warto o tym pamiętać.

Bezimienni całkowicie się przed nim odsłoniли.

– Nie– syknął Nall. – Potrzebujecie mnie. Beze mnie Maszyneria nie wystrzeli i nawet wy pozostaniecie bezbronni.

– Twoja Maszyneria już nas zawiodła – odrzekł Wronia Stopa. – Ale ja przetrwam.

Zakłęcie Wroniej Stopy wyrwało serce Nalla z jego piersi, rozsadzając żebra, i pochłonęło moc, która następnie pomknęła poprzez pustkę do Elizabeth, ich narzędzia. Śmierć czarownika wyzwala straszliwą potęgę. Widziałem to w Kraterze Zimnego, a potem w Maszynerii zasilanej sercem Shavady. Nie po raz pierwszy Bezimienni zdradzili kogoś ze swojego grona.

Przyływ mocy przeniknął świat i Elizabeth spaliła fortyfikacje Śpiącego, przebijając je w fizycznym świecie pociskiem płonącej energii, ale także zrywając nieskończone i niemożliwe nitki magii, które je podtrzymywały. Mknący pocisk lśnił od środka, podświetlając ocean, rozpędzając na boki bezokie istoty krążące w ciemności. Ale Nall prawie nie zwracał na to uwagi. Popatrzył Wroniej Stopie w oczy, podczas gdy jego istota słabła, rozpadała się i pękała, szukając schronienia w kilku pozostałych ciałach. Z oblicza Wroniej Stopy nie dało się wyczytać wyrzutów sumienia, tylko pusty triumf. Awatar spłonął, rozpadł się na popiół i rozwiął na wietrze.

Otworzyłem oczy.

Już wiedziałem, czyje łzy spływają po mojej twarzy.

Byłem Nieszczęściem.  
Byłem Ryhaltem Galharrowem.

# 34

Od miesięcy nie czułem takiej jasności umysłu.

Wiedziałem, kim jestem. Wiedziałem, co należy zrobić. Nieszczęście wzbudzało we mnie dokuczliwe poczucie winy, ale w obliczu prawdy je odprawiłem. Nie byłem ciałem, zatrutym i skażonym po latach wchłaniania toksyn: istniałem wcześniej i będę istniał dalej, jeśli przetrwamy.

Wszystko stało się wyraźniejsze. Widziałem spływające promienie słońca, głębię kamienia. Nieszczęście tak długo otępiało mi umysł, że nie dostrzegałem prawdziwych szlaków. Wciąż było w moim wnętrzu, stanowiło część mnie, ale czułem się lżejszy, jakbym unosił się w powietrzu. Pozbyłem się dużej części wpływów Nieszczęścia, gdy przerzuciłem Amairę i Dantry'ego na drugi koniec pustyni, a czarny deszcz wypalił pleśń, która narosła wokół moich myśli. To nie było zwykłe równanie. Potrzebowałem prawdy i wreszcie ją odnalazłem.

Nie mogłem ryzykować powtórnego użycia szlaku krwi, by wrócić do Adrogorska. Zużyłem esencję Nieszczęścia, którą tak długo składowałem, by odesłać przyjaciół w bezpieczne miejsce. To była chwila słabości, a teraz nie wiedziałem, czy starczy mi sił, by doprowadzić zadanie do końca czy nawet uratować Valię. Położyłem dłoń na piasku, by odczytać zdradziecki, zmienny układ terenu wokół Adrogorska, a Nieszczęście powitało mnie z entuzjazmem. Pokonałem dzień drogi w niecałą godzinę.

Mury Adrogorska, nierówne i popękane, pojawiły się na horyzoncie. Wiedziałem, że wracam do nich po raz ostatni, i brzemień niesionych wieści mi ciążyło.

W świetle świtu w magicznie wydrążonej wyrwie w murze stała samotna postać i spoglądała na piaski z włócznie w dłoni.



– Źle to wróży, co nie? – odezwał się North. Warstwa pyłu z Nieszczęścia pokrywała jego przyciemniane szkła. – Powiniennem zakładać najgorsze?

Chociaż mój umysł unosił się na powietrznych prądach, ciało było wyczerpane. Napięte jak postronki mięśnie nagle odmówiły posłuszeństwa. Ciężko usiadłem na kawałku rozbitego muru, pogrążając się w zbroję. Powoli pokiwałem głową.

– Strażnicy przepadli. Wszyscy pozostali albo nie żyją, albo zaginęli. Chyba.

– Zawiodłeś nas – odrzekł, ale na mnie nie spojrzał. Zamiast tego patrzył w stronę Nieszczęścia. – Zawiodłeś nas i pozbawiłeś ostatniej szansy na obronę wrzeciona. Powiniennem cię za to zabić, ale jaki byłby w tym sens? – Powoli pokręcił głową z ponurym grymasem na ustach. – Kiedy tutaj dotrą?

– Zwolnili – odparłem. – Możliwe, że udało nam się ich opóźnić. Istota, która nimi kieruje, mocno dostała, a więź z Acradiusem osłabła. Ale i tak się zbliżają. Będą tutaj jutro. – Wracając z nieudanej zasadzki, obserwowałem wędrówkę księżyców. Rioque wisiał nad horyzontem, a Eala przemierzała niebo od zachodu. Do zaćmienia pozostał jeden dzień. Do tych kilku minut, gdy trzy potężne kryształowe soczewki przechwycą światło świata, o który wszyscy walczymy. Pomyślałem o cudach, których można by dokonać dzięki mocy serca potwora. Ciepło, światło i ruch dla tysięcy ludzi, na całe lata. A my zmarnujemy tę energię na przedłużenie bitwy, która toczy się od tysiąclecia i będzie dalej trwała po śmierci wszystkich, których znam. Cierpienie i nieszczęście, jedno wielkie niekończące się marnotrawstwo.

– Wyglądasz inaczej – zauważył North. – Brzmisz inaczej. Wróciłeś do nas, Galharrow?

– Czuję się inaczej – odpowiedziałem. Nie potrafiłem tego wytłumaczyć na tyle dobrze, by to cokolwiek zmieniło. Wszystko zyskało na ostrości. W końcu widziałem wyraźnie. Przyjąłem deszcz, a wraz z nim prawdę.

– Będzie trudno zdążyć – rzekł North.

– Może nam się udać na kilka godzin przed czasem albo spóźnimy się o kilka godzin – odparłem. – Trudno powiedzieć.

Kłamałem. Robole przybędą przed zaćmieniem.

– Nikt nie przeżył? Dovroi? Vurtna?

Pytanie Northa mnie zaskoczyło. Nie spodziewałem się, że zapamiętał ich nazwiska. Może za tymi okularami kryło się więcej człowieczeństwa, niż podejrzewałem.

– Nie, wszyscy pozostali zginęli.

– Oprócz ciebie, co nie?

Pokręciłem głową. North jeszcze mocniej wbił we mnie wzrok.

– Więc co nam pozostało? – spytał.

– Modlitwa – odrzekłem. – I to niedługo.

North zamilkł. Oparł się o kawałek popękanego kamienia i zapatrzył w Nieszczęście, jakby widział wroga na horyzoncie. Wkrótce rzeczywiście go zobaczy. Powinienem był pójść do wrzeciona, żeby powiedzieć Kanalinie i Valiyi, co się stało, ale wtedy przekazałbym im wieści o nieuchronnej zgubie. Postanowiłem jeszcze przez jakiś czas nie odbierać im nadziei. Tylko na tyle mogły ode mnie liczyć. Klarowność sytuacji nie zawsze jest błogosławieństwem.

– Miałem co do ciebie rację, Galharrow? – spytał North. – Nie, nie odpowiadaj. To zbyt obcesowe pytanie. Wygląda na to, że w całym tym chaosie tracę subtelność. Pewnie to miejsce tak na nas działa. Powiedz mi lepiej, co właściwie próbowałeś zrobić?

– To samo co wszyscy – odparłem. – Nie przegrać. Nie zginąć.

– Czyżby? – rzucił North kpiącym tonem. – Gdzie są pozostali kapitanowie Czarnoskrzydłych, Galharrow?

– Dobrze wiesz gdzie.

– Owszem. Wszyscy poszli do piachu. Trochę to dziwne, nieprawdaż? Odkąd kapitan Amaira odeszła, pozostałeś tylko ty.

Nie odzywałem się. Nie musiał wiedzieć, co zrobiłem, by odesłać Dantry'ego i Amairę do Łańcucha.

– Powiedz mi, Galharrow. Kiedy przyjdzie czas odpalić broń, czy starczy ci odwagi, by pociągnąć za spust?

– Będę na posterunku – odparłem. – Do samego końca.

– Nie ufam ci.

– A czy ja powinienem ci zaufać, North? Chcesz tam stanąć, otoczony światłem, i wywołać kolejną apokalipsę?

– Zrobię to, co będzie konieczne – odrzekł. – Śmierć budzi lęk, ale czy lepiej zostać przemienionym, spaczonym, zmuszonym do wiecznej służby istocie, która nazywa się imperatorem? Wolę umrzeć na stojąco, niż żyć na kolanach.

– I tak żyjemy na kolanach – zauważyłem. – Zwłaszcza ty i ja. Należymy do Bezimiennych.

– Być może właśnie to nas różni – powiedział North. – Wy, kapitanowie Czarnoskrzydłych, służycie, ponieważ przeraża was myśl o zerwaniu umowy i wypatroszeniu przez waszego pana. Ale ja kocham Panią Fal bardziej, niż wydawało mi się możliwe. Wiem, co powiesz: że Pani w jakiś sposób mnie do tego skłoniła. Ale to nieprawda. Sam do niej poszedłem. Pokochałem ją, zanim ją ujrzałem.

– Dlaczego?

– A dlaczego cokolwiek kochamy? Nie wiem. To wszystko nie ma sensu, prawda?

Oczywiście miał rację. Nie wiemy, dlaczego kochamy, tak jak nie wiemy, dlaczego nie potrafimy nad tym panować. Mieszanina tysięcy różnych płytek, które wspólnie tworzą mozaikę, zarazem piękną i chaotyczną, niedoskonałą i pełną wad, ale pragniemy tych wad, ponieważ pragniemy całości. Gdyby którekolwiek z nas mogło wybrać, gdzie i w kim się zakochamy, świat byłby prostszym i serdeczniejszym miejscem.

Ogarnięty nagłym gniewem North uderzył końcem włóczni o ziemię.

– Więc już po wszystkim, Galharrow? – burknął. – Naprawdę po wszystkim? Nie ma fosu w pojemniku, żadnych bełtów w kołczanie? To nie może tak się skończyć. Musi być coś, co możemy zrobić.

– Żeby powstrzymać roboli, potrzebna byłaby armia – odrzekłem. – A tutaj nie ma nikogo, tylko my dwaj i duchy.

\* \* \*

Usiadłem obok Valiyi. Spisywała ilość zapasów i amunicji na wozach. Ładunki z prochem, zapasowe wyciory i rolki bandaży ułożono w równych, podpisanych stertach, po jednej dla każdego pozostałego żołnierza. Potem przeszła do prowiantu. Straciliśmy tylu ludzi, że mieliśmy go w nadmiarze.

– Nie lubisz pasty z fasoli, prawda? – spytała.

– Nie lubię – potwierdziłem.

– A ja tak – odrzekła. – Zamiast tego przydzielę ci więcej solonej wieprzowiny. – Otworzyła kolejną skrzynkę i zaczęła liczyć pakunki.

– Valiyo.

– Albo marynowaną rybę, jeśli wolisz.

– Valiyo.

– Słucham? – Obróciła się w moją stronę.

– Odpocznij. Chociaż przez chwilę.

Zignorowała mnie i wróciła do inwentaryzacji zapasów. Policzyła słoiki z obrzydliwą marynowaną rybą, którą z jakiegoś powodu zajadałem z udawaną przyjemnością za każdym razem, gdy mnie nią częstowała. Nie potrzebowałem jedzenia z wozów, dopóki polowałem na istoty z Nieszczęścia. Każdy opróżniony słoik to marnotrawstwo, ale i tak je przyjmowałem.

– Proszę. – Podała mi pojemnik z fosem. – Przędzarze zabrali większość, kiedy zdezerterowali, ale ten zostawili. Przekaż go Maldonowi.

– Valiyo, po prostu...

Głośno zatrzasnęła skrzynkę. Jej ramiona zadrżały.

– Przekaż go Maldonowi – powtórzyła cicho.

Przywiesiłem sobie pojemnik u pasa. Nie miałem nic więcej do powiedzenia.

– Nie ma czasu na odpoczynek, Ryhalcie – syknęła. – Nigdy go nie było. Nigdy nie ma na nic czasu. – Odwróciła się w moją stronę. – Po co to wszystko zrobiliśmy? Dlaczego zrezygnowaliśmy ze wszystkiego, co mogliśmy mieć? Dla czegoś takiego? Dla jakiegoś marzenia?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Przesunąłem palcami po karwaszu z polerowanej stali na moim ręku i zauważyłem swoje

odbicie. Już siebie nie poznawałem. Moje oczy były pełne bursztynowego światła, a łuskowatą i gruzłowatą skórę przecinała pajęczyna czarnych kresek. Zęby przybrały zwierzęcy kształt kłów Shantara. Może dlatego łatwiej mi było się z tym pogodzić. Już dawno zrezygnowałem ze wszystkiego, co posiadałem.

Ale mój umysł stał się jaśniejszy. Deszcz mnie obmył i wypalił, przywracając do dawnego stanu. Nieszczęście wciąż stanowiło część mnie, było ze mną splecione, ale nie byłem Nieszczęściem. Byłem człowiekiem.

– Na mnie nigdy nic nie czekało – odrzekłem.

– To nieprawda – zaprotestowała Valiya. Po raz pierwszy w mojej obecności pozwoliła, by gorycz wypełniła ją i wylała się na powierzchnię, a jej oczy, niegdyś srebrne, zapłonęły cierpieniem znacznie jaskrawszym od magii. – Miałeś przyszłość, ale wybrałeś przeszłość. Tylko że ona nie istnieje, jest martwa, zamknięta. Więc popatrz przed siebie, psiakrew. Popatrz przed siebie i znajdź dla nas przyszłość, która nie kończy się włóczyniami roboli i światem w kajdanach.

– Jestem tylko człowiekiem – odparłem.

– Nie. – Odzyskała panowanie nad sobą, emocje cofnęły się do jej wnętrza. – Nie jesteś człowiekiem. Nie pozostało w tobie niemal nic ludzkiego. Zaszedłeś już tak daleko. Musisz iść jeszcze dalej. – Wskazała wozy, skrzynie z zapasami. – Zatkałam wszystkie kanały, jakie znalazłam, żeby nie wypuścić skrzelałów na powierzchnię. Przetrzęsnałam budynki w poszukiwaniu czegoś użytecznego. Zadbam o to, żeby każdy z naszych wojowników otrzymał to, co mamy najlepszego.

– Po co?

– Po wszystko! – wykrzyknęła Valiya. – Walczymy o wszystko. Nie dla ciebie, dla mnie ani dla Niej. Robimy to dla milionów ludzi w republice. Dla ziemi, po której chodzą, i nieba, które jest nad nimi. Ale ty tego nie rozumiesz. Nie chcesz zrozumieć.

– Wszyscy umierają – odrzekłem. – Wszystko upada. Rozejrzyj się. W tym mieście mieszkały tysiące. Sprowadziłem tutaj ludzi, by go bronić, a potem patrzyłem, jak giną. Wciąż tutaj są jako duchy, które

na nowo przeżywają swoje ostatnie dni w wiecznej ciszy. Za tysiąc lat żadne nasze czyny nie będą miały znaczenia.

Valiya nie mogła dłużej na mnie patrzeć. Odwróciła się w stronę wozów i zaczęła liczyć żalosne słoiki z marynowanymi rybami. Rybami, które kiedyś pływały, potem skonały w sieciach, zostały oprawione, zapakowane do pojemników i nigdy nie miały zostać zjedzone. Ich śmierć także nikomu się nie przysłużyła.

– Właśnie dlatego to ma takie znaczenie – odparła Valiya – ponieważ mamy mało czasu. Ponieważ życie jest krótkie i jeśli nie wykorzystamy go w pełni, nasze wysiłki naprawdę nie będą miały sensu.

– Mogę cię odesłać – powiedziałem. – Tak jak Amairę i Dantry’ego. Jeśli chcesz odejść, mogę cię tam przenieść.

– Nie. Nie możesz marnować sił na coś tak bezsensownego. A poza tym jestem tutaj potrzebna. Pomóż nam pokonać tę kolejną przeszkodę, Ryhalcie, a ja przeprowadzę nas przez ostatnią. Wiem, co muszę zrobić, nawet jeśli ty tego nie wiesz.

Patrzyłem na kolumnę od dawna martwych żołnierzy maszerujących ulicą. Dwaj z nich, młodzi chłopcy, gubili rytm i nie radzili sobie z halabardami. Chciałem zawołać ich oficera, żeby przywołał ich do porządku, ale się powstrzymałem. Przypomniałem sobie, że to tylko duchy. Musiałem się skupić. Nie mogłem pozwolić, żeby Nieszczęście znów mną zawładnęło i zepchnęło mnie w zapomnienie.

– Proszę – odezwała się Valiya. Nie zauważyłem, co zrobiła. Wręczała mi jakieś zawiniątko. – Powinieneś to wziąć.

– Co to jest?

– Przypomnienie. A oto kolejne.

Położyła dłoń na moim karku, pochyliła ku sobie moją twarz i pocałowała mnie w policzek. Czułem się niezręcznie. Skórę wciąż miałem podrażnioną po deszczu i zawstydzilem się, ponieważ smakowałem Nieszczęściem. Ale jej usta były ciepłe i w moim wnętrzu zbudziło się coś, co od dawna spało, targane dreszczami. To nie trwało długo. Zwykły całus w policzek, ale pozbawił mnie tchu bardziej niż jakakolwiek walka w ciągu ostatnich trzydziestu lat.

Uśmiechnęła się do mnie uwodzicielsko i otarła usta rękawem. Na pewno nie smakowałam najlepiej.

– Pamiętaj, kim jesteś, Ryhalcie – powiedziała. – Kapitanem Czarnoskrzydłych. Dowódcą. Zgubą Shavady. Wybawcą Valengradu. Przyjacielem, ojcem, a przede wszystkim człowiekiem, którym kieruje miłość. Stań się znów tym wszystkim dla mnie. Zrób to, co musisz, a ja zrobię to, co do mnie należy. Wiem, że to nie koniec. Ty także powinieneś to wiedzieć. Znajdź sposób, żebyśmy zyskali na czasie. To nie koniec.

– Skąd wiesz?

– Ponieważ na to nie pozwolę – odrzekła. – A teraz idź. Rozwiąż to. Jesteśmy tak blisko. A ja muszę rozdać pozostałym ludziom te zapasy.

Odwróciła się i znów zabrała do pracy, zupełnie jakby właśnie nie wywróciła całego mojego świata do góry nogami.

Los jest monetą wirującą na krawędzi tak cienkiej, że najlżejszy podmuch wiatru może ją od ciebie porwać. Ale czasami, w chwilach całkowitej pewności, musisz nakryć ją dłonią i dokonać wyboru.

# 35

Czarna nić, która prowadziła szarżę roboli przez pustynię, napięła się. Nieszczęście sprzeciwiało się temu porządkowi i kontroli. W kolumnę roboli wbiły się dępy, przelewając krew i rozdzierając ciała. Na drodze wojsk pojawiły się potężne rzaski, siekąc owadzimi odnóżami. Wybuchy podziurawiły ziemię, a z nieba spadły chmury długich na palec much Nieszczęścia, jakby kraina postanowiła rzucić przeciwko swoim wrogom wszystkie koszmary, jakie kiedykolwiek stworzyła. Mimo to armia brnęła naprzód, ignorując jęki rannych i pozostawiając ich na piasku, gdzie się wykrwawiali. Mieliśmy kilka godzin, zanim przybędą, by nas zniszczyć.

Trzy księżycy zbliżyły się do siebie, zniekształcając światło i rzucając je na nas. Świat nabrał tęczowych barw, migoczących i zmiennych, widmowe kolory i kwiaty słonecznego blasku upstrzyły popękane mury i piaskowe aleje, zaplamione czerwienią kości zatańczyły w olśniewającym przepychu. Zaćmienie było coraz bliżej.

Możliwe, że wszyscy umrzemy, zanim nadejdzie. Kiedy myślałem o tej niesprawiedliwości, gniew płonął we mnie jak rozżarzony węgiel. Po tym wszystkim, co zrobiliśmy, po wszystkich poświęconych istnieniach i przelanej krwi, robole mieli dotrzeć do nas na godzinę przed zaćmieniem. North mówił, że będzie trudno zdążyć, i miał rację. Prawie się udało. Ale prawie zwycięstwo to nie to samo co zwycięstwo. Prawie żywy to nie to samo co żywy.

Żołnierze krążyli po pałacu pewnym krokiem, stawiając barykady, kopiąc doły, tworząc strefy ataku, które miały zmusić roboli do wystawienia się na strzał. Wiedziałem, że jeśli dotrą do nas, zanim serce będzie gotowe, to wszystko na nic się nie zda. Tylko pałac dawał nam niewielką szansę na zatrzymanie roboli.



Czekaliśmy na szczycie pałacu, żałośnie nieliczni; Pierwszy stał ze skrzyżowanymi rękami, obojętny i beznamiętny jak marmur. Był teraz sam na świecie, jego przedwieczni bracia zostali rozerwani na strzępy na pustyni. Jeśli poczuł cokolwiek po ich śmierci, to nie dawał tego po sobie poznać. Całą szóstką patrzyliśmy na pustynię. Czworo kapitanów, Przędzarka z cytadeli i ślepe dziecko.

– Może nam się udać – orzekła Kanalina z nową determinacją. – Jeszcze tylko cztery godziny i księżycy ustawią się w jednej linii.

– Wrzeczono jest gotowe? – spytałem.

Obejrzałem się na olbrzymią konstrukcję z żelaznych i mosiężnych płyt, szklanych soczewek i miedzianego drutu. Gotowe wrzeczono stało na platformie. Jedyne w swoim rodzaju. Kiedy światło zacznie przez nie płynąć, nie da się go zatrzymać.

– Wszystko jest na swoim miejscu. Mogłabym zacząć już teraz – powiedziała niecierpliwie Kanalina. – Nie będzie się to równało z pełnym zaćmieniem, ale...

– Kiedy księżycy ustawią się w jednej linii, serce naładuje się w niecałą minutę – przerwałem jej. – Nie chcę, żeby przebywało poza skrzynią dłużej, niż to konieczne. Widziałas, co zrobiło długorogom. – Kanalina niechętnie pokiwała głową. – Przygotuj serce – poleciłem. – Zaczniemy, gdy tylko będzie to możliwe.

– A kiedy serce się naładuje? – spytała Kanalina, pocierając czoło. – Co wtedy?

– Wtedy Bezimienni odegrają swoją rolę, na czymkolwiek ona polega – odrzekłem. – Wronia Stopa twierdzi, że to broń. Zrobi z niej użytek.

– A my? – dopytywała Kanalina. Pokręciłem głową. Dopadną nas robole. A jeśli Wronia Stopa aktywuje serce, raczej nie wrócimy do domu. – Chyba nie spodziewałam się, że to przeżyję. To od początku była misja samobójcza. Przyszliśmy tutaj na śmierć.

– Nie na śmierć – sprzeciwiła się Valiya. Wzięła Kanalinę za rękę, a ta się wzdrygnęła, ale nie cofnęła dłoni. – Przyszliśmy tutaj, żeby inni mogli żyć. Żeby dzieci mogły dorosnąć, kochać, śmiać się i zestarzeć.

– Zestarzeć się – powtórzyła Kanalina. Na jej spękanych od pyłu ustach pojawił się słaby uśmiech. – Jakie to byłoby wspaniałe.

– Cztery godziny – odezwał się North. W jego głosie pobrzmiwała gorycz. – Nie mamy aż tyle. Patrzcie.

Wskazał w stronę Nieszczęścia, gdzie pośród chmur pyłu na horyzoncie zaroilo się od ciemnych kształtów.

Przybyli.

Wyczerpani, na wierzchowcach ledwo żywych po szaleńczej szarży przez pustynię, poszarpani i zakrwawieni po starciu z obrońcami Nieszczęścia, nie mogli przetrwać długo. Wściekła wola Acradiusa pędziła ich do utraty sił, aż z ich głów zniknęła wszelka myśl. Prowadził ich jeden nieposkromiony cel, gnał ich niczym huragan, tak że potykali się o siebie nawzajem i ślizgali na okrwawionych stopach. Obszarpana, zrujnowana armia. Ale mimo wszystko nadciągali.

Miałem nadzieję, że do tego nie dojdzie. Modliłem się do Ducha Miłosierdzia, by zapewnił nam niezbędny czas. Moja modlitwa nie została jednak wysłuchana. Jak zwykle.

– Ile czasu mamy? – spytała Valiya.

– Będą pod murami za niecałe trzy godziny – oszacowałem. – Trochę później nas dopadną.

– Musi być jakieś wyjście – wyszeptała Kanalina. Nie lubiła mnie, ale z czasem zacząłem podziwiać jej determinację.

– Możemy spróbować jeszcze jednego – odrzekłem. – Niech wszyscy zbiorą się razem.

Zgromadziliśmy się w piaskowym ogrodzie wokół pałacu. Zasłużyli, by to usłyszeć. Żołnierze, którzy zostali, byli bladzi jak ściana. Nie tylko dlatego, że byli ostatni. Stracili mnóstwo przyjaciół. Setki. A teraz zapewne przyszła ich kolej.

– Lepiej, żebyś miał cholernie dobry plan – powiedziała Kanalina. Krew odpłynęła jej z twarzy, oczy otaczały cienie. – Mamy pięćdziesięcioro ludzi, kilka lekkich dział, jednego Strażnika i mnie. Nie mamy dokąd uciec. Jeśli czeka nas zagłada, nie możemy dopuścić, żeby wrogowie zagarnęli wrzeciono. Nie dostarczę im tak potężnej broni. Prędzej ją zniszczę.

– Jeśli to w ogóle możliwe – odrzekłem – ale nie. Bez serca Acradius i tak wygra. Zostaniemy tutaj do końca.

– Naładowanie serca jest naszą jedyną nadzieją – stwierdził North. Popatrzył na mnie porozumiewawczo.

Bezimienni zużyli wszystkie siły, próbując utrzymać Śpiącego w głębinach, a on wiedział o tym równie dobrze jak ja. Miałem wrażenie, że coraz częściej staje po mojej stronie, i wcale mi się to nie podobało. Nie potrafiłem wybaczyć mu tego, co zrobił Giraltowi i Tnocie. Niektórych ludzi po prostu się nienawidzi na najbardziej pierwotnym poziomie.

– Twój ostatni plan zakończył się katastrofą, a teraz nadciągają ku nam tysiące roboli – powiedziała Kanalina. Zacisnęła zęby. – Nie przetrwamy tego.

– Nasze zadanie nigdy nie polegało na przetrwaniu – odparłem. – Mieliśmy tylko zapewnić ci wystarczająco dużo czasu, żebyś naładowała serce światłem, a potem zostawić sprawy w rękach Bezimiennych. To będzie musiało wystarczyć.

Żołnierze poruszyli się niespokojnie. Wiedzieli, że jesteśmy w poważnych opałach, ale to nie znaczy, że podobał im się plan bez drogi wyjścia.

– Zrobiliśmy co w naszej mocy, żeby wzmocnić fortyfikacje pałacu, ale jest nas za mało, by utrzymać mosty – oznajmił kapitan, który dowodził pozostałymi żołnierzami. Był starszym mężczyzną, któremu dawno temu coś odgryzło ucho.

– Nawet nie będziemy próbować – zgodziłem się. – Wycofamy się do pałacu, a potem wysadzimy mosty.

Księżycy skrzyły się nad naszymi głowami, coraz bardziej się do siebie zbliżając. Oszłamiająco barwne promienie, dzikie i jaskrawe, opadały na miasto jak snopy światła z reflektorów punktowych. Wyglądałoby to pięknie, gdyby nie czekająca nas zagłada.

Nie miałem nic więcej do powiedzenia.

– Jeśli wysadzimy wszystkie mosty... będziemy uwięzieni – zauważył kapitan. Nie zrozumiał. Nie zdawał sobie sprawy, że kiedy światło wpłynie do serca lodowego potwora, już nie będzie miało znaczenia, czy jesteśmy uwięzieni.

– Tak – wychrypiałem. – Nie zdołamy utrzymać nawet jednego mostu. Ale ta breja w fosie jest równie śmiercionośna dla robotów jak dla nas. Wessie ich jak ruchome piaski, a piach nie jest w niej zmieszany z wodą. To trucizna Nieszczęścia. Możemy odciąć ich od pałacu, a jeśli cokolwiek spróbuje przedostać się przez fosę, zatopimy to. To mało wyszukany plan, ale najlepszy, jakim dysponujemy.

– Przynajmniej polegniemy w walce – rzekła Kanalina.

– Tak.

Moja surowa twarz nie zdradzała żadnych emocji. Żadnego przymusu, żadnych gier. Żadnych słów nadziei, sugestii, że istnieje jakaś zmyślna droga ucieczki. Nie powiedziałem im całej prawdy, dopóki nie nadeszła godzina próby. Nie mogłem ryzykować, że zdezerterują albo odmówią wykonania rozkazu. Czasami sądzę, że się zmieniłem, ale to nieprawda. Wciąż traktuję ludzi jak narzędzia, jak zawsze. Nie prosiłem ich, by mi uwierzyli, ale by postanowili, jak długo pożyją.

– Wchodzę w to – rzekł North. – Tak trzeba zrobić.

– To nasza najlepsza szansa – zgodziła się Kanalina, chociaż wciąż sprawiała wrażenie rozgniewanej.

– Porozmawiajmy o tym – wtrącił kapitan. – Wydaje się, że nie mamy wielkiego wyboru, ale nie posłę swoich ludzi na śmierć. Wszyscy, którzy wolą spróbować swoich szans w Nieszczęściu, powinni otrzymać taką możliwość.

Pokiwałem głową. To był nasz najmocniejszy plan. Robole nie mieli maszyn oblężniczych i nie mogli przedostać się przez fosę, ale ich przywódcy mogliby wykazać się inwencją, a ja chciałem, żeby w razie czego na drugim brzegu czekali na nich uzbrojeni ludzie. Valiya stanęła u mojego boku.

– Desperackie czasy – zagadnęła.

– Najbardziej desperackie – zgodziłem się. – Nie musisz się do nas przyłączać.

– Muszę – odrzekła. – Nall wydał mi ostatni rozkaz. Zawarłam z nim układ, więc go wypełnię.

– Nall – powiedziałem, kręcąc głową. – Odszedł, ale wciąż pociąga za sznurki. O co cię poprosił, Valiyo?

– O niewiele – odpowiedziała – a zarazem o wszystko.

Żołnierze nie naradzali się długo. Kapitan wrócił z pochmurnym obliczem.

– Zaczniemy wyładowywać amunicję z wozów – oznajmił. Nie popatrzył mi w oczy, ale zasalutował, jakbym był dowódcą.

Skinąłem głową. Może nim byłem.

\* \* \*

Przeprowadzenie ludzi przez Nieszczęście było najtrudniejszą częścią planu. Deszcz nie pozwolił nam maszerować tysiącami, ale przewiezienie amunicji w beczkach zapieczętowanych woskiem nie stanowiło kłopotu. Marszałek Davandein wyposażyła nas w zapasy prochu dla tysiąca ludzi. Sześć wozów, na każdym tuzin beczek. Towar najlepszego gatunku. Poleciałem połowie ludzi wybić otwory na środku każdego z mostów. Zamierzaliśmy załadować do nich jak najwięcej beczek i dopiero je zdetonować. Gdybyśmy po prostu ustawili beczki na mostach, wybuch raczej by ich nie zburzył. Zapewne skończyłoby się na osmalonym i popękkanym bruku, a nie mogliśmy sobie pozwolić na żadne marnotrawstwo. Z kolei wybuch od środka pośle falę uderzeniową przez całą konstrukcję, niszcząc zworniki i burząc cały most. Dlatego postanowiłem umieścić ładunki pomiędzy przęsłami utrzymującymi mosty nad toksycznym ruchomym piaskiem. Miałem nadzieję, że to wystarczy.

Wkrótce mieliśmy się przekonać.

Kwatermistrz, który już dawno uciekł razem z większością naszych Przędzarzy, nie rozładował wozów. Po prostu wprowadził je do otwartej świątyni, by ochronić je przed deszczem. Wtedy był to dobry pomysł, ale teraz wozy z prochem były zablokowane przez dwa tuziny wozów z bronią i prowiantem. Przystawienie ich wszystkich trwałoby za długo, dlatego przenosiliśmy beczki ręcznie.

Zestawiałem beczki na ziemię – dźwigałem je bez trudu – a następnie podawałem zespołom złożonym z trzech albo czterech

mężczyzn, którzy uginali się pod ich ciężarem. Nikt nie stał z boku i nie czekał, aż inni go wyręczą. Kiedy wyładowaliśmy proch, rozdzieliliśmy się i potoczyliśmy beczki na mosty w nadziei, że pięćsetletnie nadwerżone przez Nieszczęście budowle nie oprą się temu, czym dysponujemy. Każdy z mostów miał mniej więcej tę samą szerokość. Valiya oszacowała, ile prochu będzie potrzebne do ich wysadzenia. Nawet Maldon się zaangażował i przycinał lonty do granatów.

– Szalony plan, co nie? – odezwał się North.

– Jak wszystko tutaj – przytaknąłem.

– Kiedy Przędzarka zacznie tkać, otrzymasz kolejne instrukcje?

Popatrzyłem na tatuaż na moim ręką. Od dawna milczał. Ale kiedy przyjdzie czas, Wronia Stopa się pojawi. Poświęcił wszystko, by nas tutaj doprowadzić. To ostatnie rozdanie. Rozpaczliwa próba, ale tylko na nią mógł liczyć. Podobnie jak Pani Fal.

– Wątpię, żeby chciał przegapić wielki finał – odrzekłem. – Może my wolelibyśmy być daleko stąd, gdy to się stanie, ale on na pewno przybędzie.

Kapitan wydawał polecenia i kolejne beczki toczyły się ulicami.

Davandein dobrze nas wyposażyla, a ludzie wyznaczeni do kopania dziur z dzikim zapałem rzucili się na kamienie pokrywające mosty. Udało im się zagłębić na pięć stóp. Nie potrzebowaliśmy samych beczek; podważyliśmy zapieczętowane wieka i sypnęliśmy ziarnistym prochem do otworów, jakbyśmy przelewali wino. Żołnierze byli tak dobrzy, jak mi obiecano, szybcy i skuteczni. Po ułożeniu lontów przysypaliśmy proch ziemią. Im bardziej ograniczona strefa wybuchu, tym lepiej.

– Wszyscy do tyłu – rozkazała Valiya, kiedy skończyliśmy.

– Lepiej zakryjcie uszy – ostrzegłem. – Będzie głośno.

Kapitan podpalił lont i schowaliśmy się w pobliskich ruinach. Przez niemal minutę nic się nie działo, a ja zacząłem się zastanawiać, czy lont nie zgasł. A potem przez dłonie zakrywające uszy przedarł się potworny ryk, który odbił się echem w całym mieście. Ziemia się zatrzęsała, ze stopionego stropu posypał się pył. Wybiegliśmy, żeby sprawdzić skutki naszych wysiłków. Potężna

chmura pyłu unosiła się w powietrzu nad mostem, którego środkowa część zmieniła się w ziejącą otchłań. Kawałki kamienia leżały po naszej stronie fosy, a z mazi w dole sterczały ostre krawędzie gruzów.

– A więc zadziałało – powiedziałem.

– Nie byłeś pewien, co nie? – spytał North.

– Nic nie jest pewne – odrzekłem. – Mamy niewiele czasu. Bierzmy się do pracy.

Drugi most runął w obłoku czerwonego pyłu, a kamienie z pluskiem spadły do trującej owsianki w dole. Odesłałem wszystkich, którzy nie byli potrzebni na moście, do pałacu, by zajęli swoje pozycje, a żołnierze potoczyli beczki w stronę ostatniej przeprawy. Znaleźliśmy się w pułapce własnej konstrukcji, a zburzenie ostatniego mostu przypieczętuje nasz los. Doprowadzimy nasze desperackie zadanie do końca we względnym spokoju. Ciekawe, czy przyniesie nam to jakąś pociechę, gdy będziemy powoli konać z głodu, oblężeni przez wroga.

– Utknę tutaj na zawsze, prawda? – spytał Maldon. Siedział na pustej beczce po prochu z kolanami pod brodą, a lont zwisał mu z drobnej dłoni. Żołnierze energicznie kopali ostatni dół na materiały wybuchowe. Wokół nich stały całe sterty beczek. Trzeci most był największy, najszerszy i zamierzaliśmy jednocześnie odpalić trzy osobne ładunki, by zburzyć środkowe przesło. Przygotowaliśmy w tym celu mnóstwo prochu.

– Nie liczyłbym na to – odrzekłem. – Na pewno nie, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem.

– Myślisz, że tak będzie?

Pomasowałem blizny, które wyciąłem na swoim ręku w Bezkresnym Braku. Wtedy nie rozumiałem ich znaczenia. Ale już je poznałem. Włożyłem w to wszystkie siły. Nie mogłem teraz zawieść.

– Nigdy niczego nie byłem tak pewien.

Maldon się uśmiechnął. To był prawdziwy uśmiech, jakiego nie widziałem od dnia, gdy zniknął z Valengradu. Mój stary przyjaciel

wciąż tam był, pod całym tym bólem i udręką, jakich doświadczył. Długo trwało, zanim to światło przebiło się na powierzchnię.

– Co to jest? – spytał, wskazując ciężkie płócienne zawiniątko, które przytroczyłem sobie do pasa. Prawie o nim zapomniałem.

– Podarunek od Valiyi. Chyba moje ego zaczyna dochodzić do głosu.

Maldon uśmiechnął się kpiąco.

– Na duchy, Ryhalcie. Pokonaliśmy długą drogę, czyż nie? A i tak wydaje się, że jest za wcześnie na koniec. Na siódme piekło, ależ bym się napił.

– Czemu, kurwa, nie?

Sięgnąłem pod płaszcz po piersiówkę, którą dała mi Nenn, jeszcze zanim wyruszyliśmy do Łańcucha. Była srebrna i wygrawerowano na niej inskrypcję „Zawsze z Tobą, szefie”.

– Myślałem, że raz na zawsze rzuciłeś picie – rzekł Maldon, kiedy wręczyłem mu piersiówkę.

– Zawsze to bardzo długo.

Maldon pociągnął łyk brandy. Kiedy sięgałem po flaszkę, North zbliżył się do naszego końca mostu. Niósł na ramieniu swoją włócznię o jadeitowym grocie. Skinąłem do niego głową, ale nie odwzajemnił pozdrowienia. Zatrzymał się na skraju mostu, w odległości pięćdziesięciu stóp, i zmierzył nas obu wzrokiem. Był spięty. Wszyscy byliśmy bliscy załamania nerwowego, ale u niego dało się to wyczytać z postury oraz nieobecnego wyrazu twarzy. Obserwował mnie surowym, ale spokojnym wzrokiem.

– Trzeba przejść na drugą stronę – powiedziałem. – Ten most musi runąć. Robole dotrą do nas za niecałą godzinę.

Plamki księżycowego blasku skrzyły się na ziemi, rozświetlając świat na czerwono, niebiesko, fioletowo, piaskowo i soczyście zielono. Pęknięcia na niebie zawodziły donośnie, przeciągle i głęboko. Ruszyłem w stronę mostu.

– Gdybym tylko mógł ci na to pozwolić – odezwał się North bez cienia żalu. – Ale twoja droga dobiegła końca.

Zatrzymałem się. Most prowadzący do pałacu znajdował się za jego plecami.



– Co ty wyprawiasz, North?

– Wiedziałaś, że do tego dojdzie – odrzekł. Zakręcił włącznią w powietrzu, a jej grot zaszurał po piasku. – Co się stało z kapitan Amairą? Gdzie twój przyjaciel przestępca? Wysłałeś ich na śmierć czy może sam ich zabiłeś, tak jak pozostałych kapitanów Czarnoskrzydłych?

– Nie rób tego teraz, North – warknąłem. – Cokolwiek wydaje ci się, że wiesz, mylisz się.

– Uważasz, że przechytryłeś cały przeklęty świat – ciągnął bez złości. Zdjął okulary i schował je do kieszeni. Przygotowywał się. Potem wykrzyknął na tyle głośno, żeby żołnierze na moście go usłyszeli: – Kapitan Josaf utonął w rowie?! Musiałby go przytrzymywać nie lada olbrzym. Kapitan Klaunus zginął w zamkniętym pokoju, z którego można było wyjść tylko przez okno? Ale ty przetrwałbyś upadek z wieży zegarowej, co nie? Kapitanowie Silpur i Vasilow usłużnie zniknęli podczas waszej wspólnej misji. Kapitan Linette uduszono garotą, a w pobliżu widziano Uroczygo? Ale to nie był Uroczy, prawda? To była ta istota wyglądająca jak dziecko, którą zabrałeś ze sobą do Nieszczęścia. – W jego oczach kłębiły się wzburzone fale. – Zdradziłeś pozostałych kapitanów. Potem zabrałeś naszych ludzi na beznadziejną misję i ich zniszczyłeś. Zdradziłeś Łańcuch. Zdradziłeś swojego Bezimiennego pana.

– Nie jestem wrogiem Łańcucha – odparłem. – Dobrze o tym wiesz, North. A on jest tylko dzieckiem, nie Uroczym.

W lodowatym uśmiechu Northa pobrzmiwały echa zatopionych okrętów i krzyki tonących marynarzy.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

Błyskawicznie wyciągnął pistolet i strzelił Maldonowi w pierś. Maldon spadł z beczki, zmieciony siłą strzału. Potoczył się po ziemi i znieruchomiał.

– Właśnie teraz musiałeś to, kurwa, sprawdzić? – warknąłem.

– Powinno nas być czworo – odrzekł North. Z lufy jego pistoletu unosiły się kłęby dymu. – Ja dla Pani, ty dla Wroniej Stopy, Strażnicy

dla Płytkiego Grobu, Winter dla Nalla. Ale zmierzmy się z robotami tylko w trójkę. Twój czas dobiegł końca.

– Chcesz, żebym po prostu odszedł?

– Nie, jesteś zbyt niebezpieczny. Już nawet nie jesteś człowiekiem. Pragniesz serca dla siebie? Właśnie dlatego zmieniłeś się w potwora? Chcesz osiąść moc serca, żeby stać się Bezimiennym i wrzucić nas wszystkich w ogień?

Ściągnąłem brwi. Odsłoniłem zęby jak pies. Sięgnąłem po miecz.

– Wiesz, na czym polega twój błąd? – warknąłem. – Wydaje ci się, że możesz mnie powstrzymać.

Spodziewałem się tej zdrady. Wronia Stopa, pomimo całego swojego samolubnego okrucieństwa, zamierzał wygrać. Ale wiedziałem, że Pani Fal nie ma zamiaru doprowadzić jego planu do końca. Na szali było zbyt wiele mocy, zbyt wiele mogła zyskać. Była wcieleniem próżności i nigdy nie pozwoliłaby na zmarnowanie takiego skarbu jak serce lodowego potwora, nawet gdyby to oznaczało oddanie Łańcucha. Nie była Wronią Stopą. Przetrawanie liczyło się dla niej bardziej od zwycięstwa. Po prostu nie spodziewałem się, że North wykona ruch tutaj i teraz.

North był tak szybki, jak twierdził. Pistolety błyskawicznie znalazły się w jego rękach i zniknął w obłokach dymu i ognia. Jeden z pocisków uderzył mnie w lewe ramię, drugi uwiązł w mięśniach brzucha. Ledwie poczułem oba trafienia, zignorowałem je, miałem to gdzieś. Przytrafiały mi się znacznie gorsze rzeczy i wychodziłem z nich z uśmiechem, a Nieszczęście już dawno uodporniło mnie na takie drobne zranienia. Zaszarżowałem na Northa, ale, na Ducha Sądu, facet był niesamowicie szybki. Podrzucił włócznię czubkiem buta, złapał ją i zakręcił wokół siebie, blokując moje uderzenie miecza pośród deszczu iskier. Ciąłem kolejny raz, ale odskoczył do tyłu, a jego włócznia zatańczyła w powietrzu. Wykonał kilka pchnięć w stronę mojej twarzy i klatki piersiowej, tak szybkich, że gdyby nie wsparcie Nieszczęścia, pierwszy z tych ciosów przebiłby mi gardło.

Żołnierze na moście przestali wsypywać proch do wykopanej dziury i patrzyli.

Nie bez powodu każda armia od zarania dziejów wyposaża ludzi we włócznie. Włócznia to królowa broni. Okazuje się, że mimo naszej pomysłowości i biegłości w obróbce metalu nic nie jest tak skuteczne jak kij z ostrym końcem.

Sparowałem dwa kolejne ciosy, odbijając drzewce na bok, i spróbowałem je chwycić, ale North był za dobry, za pewny, za szybki. Włócznia zataczała niewielkie śmiertelne kręgi, raz w jedną, raz w drugą stronę, wycofywała się i nacierała, aż w końcu nie byłem w stanie za nią nadążyć i dostałem w nogę. Jadeitowy grot trafił mnie w lewe udo, tuż nad kolaniem, rozdzierając skórzane spodnie do jazdy konnej i zadrapując ciało.

North się cofnął. Spodziewał się, że ten cios przebije mi nogę, ale moje wzmocnione Nieszczęściem ciało przyjęło na siebie i odbiło siłę uderzenia.

Zawarczałem gardłowo.

– Nie takiego efektu oczekiwałaś? – spytałem. – Jeszcze nie rozumiesz? Nie jestem tylko człowiekiem. Jestem czymś więcej niż każdy z was. Jestem...

Zamilkłem, kiedy fala lodowatego odrętwienia zalała moje kolano, i upadłem na piasek. Coś było nie w porządku. Cios Northa ledwie mnie drasnął. To było tylko zadrapanie. Ale zimno promieniowało ku górze, do uda, a także w dół, do kolana. Przycisnąłem dłoń do rany, cały czas wyciągając czubek miecza w stronę Northa.

– Twoja arogancja nie ma sobie równych – rzekł North. – Nie tylko ty planujesz z wyprzedzeniem.

– Co zrobiłeś?! – ryknąłem.

– Przecież ci mówiłem. – Pozwolił sobie na delikatny, okrutny uśmiech. – Tę broń wykuła Pani Fal. Jest wystarczająco silna, by powalić nawet najstraszliwsze potwory Nieszczęścia. Właśnie to zrobiła. Widzisz, Galharrow? Mieliśmy cię na oku od samego początku.

– O czym ty mówisz? – warknąłem.

Odrętwienie się rozprzestrzeniało. Przez rozdarcie w spodniach widziałem, że moja noga skrzy się jak diament. Stawała się coraz cięższa, gdy ciało przemieniało się, sztywniało, twardniało.

Rozerwałem materiał i popatrzyłem na swoją lśniąca, przejrzystą nogę, gładką jak u posągu. Widziałem mięśnie i kości pod skórą, ale one także twardniały, zmieniając się w migoczący diament. Czarne żyły dalej pompowały krew, tworząc mroczną sieć zamkniętą w szklanym więzieniu. Nieszczęście w moim wnętrzu zadrzało, wycofując się przed tą magią. Była inna, obca, surowa jak huk fal i uderzenia sztormu. To była moc Pani Fal. Nieszczęście próbowało na nią uderzyć, ale zostało odepchnięte. Zazgrzytało jak pazury na krzemieniu, ale było za słabe, żeby oprzeć się kłótwie Pani.

– Pamiętasz, jak rzuciłeś mi złamany bełt na tamtym zadupiu? – odezwał się North. Oparł się na włócznie. – Dałeś mi swoją krew, a Pani wykuła z niej tę włócznię. Wiedziała, że Wroniej Stopie nie można ufać. Ona tak wiele widzi, Galharrow. Wszystkie rzeki i oceany świata należą do niej. Wie, co twój pan zrobił. Dziwi mnie, że sobie tego nie uświadomiłeś. A we krwi kryje się wielka moc, Galharrow.

Próbowałem dźwignąć się na nogi, ale miałem całkowicie zeszywniałe kolano. Odrętwienie niepowstrzymanie sunęło w dół goleni. Nie mogłem stać. Ogarnęła mnie panika. Ujrzałem własną przedwczesną śmierć, i to nie podczas bitwy, jak zawsze sobie wyobrażałem, ale powolną przemianę w milczący kryształ. Ryknąłem i rzuciłem swoim mieczem w Northa, wkładając w to resztkę sił. North uchylił się elegancko i bez emocji, a miecz poszybował w dal.

– Twój pan zdradził Bezimiennych – powiedział spokojnie North. – Zdradził nawet Jasną Panią, która już dawno powinna była wstąpić w ich szeregi, ale Wronia Stopa ją zmiażdżył. Nigdy nie uruchomiłby swojej broni. Zachowałyby tę moc dla siebie. Dobrze o tym wiesz.

Jego słowa mieszały mi w głowie, ale nie mogłem się na nich skupić. Straciłem czucie w pachwinie i stopie. Moje ciało drętwiało cal po calu, gdy działała w nim magia Pani. Czułem, że Nieszczęście w moim wnętrzu wciąż stawia opór, toczy bitwy o gruczoły i tętnice, kurczowo chwytając się kości, by potęga Pani Fal go nie wypędziła. Z trudem nabrałem powietrza.

– Pani Fal nigdy nie sięgnie po tę moc – zarzęziłem. – Przegrałeś.

– Jeszcze nie teraz – odrzekł North. – Może nadszedł czas, by Pani Fal zawiązała nowy sojusz. Imperatora Głębi już nie da się powstrzymać. Ale moja Pani przetrwa.

Czułem coraz silniejszy ucisk w piersi. Mięśnie, które pozwalają mi oddychać, jakkolwiek się nazywają, zmieniały się w sztywne diamentowe płyty. Pomyślałem o Valiyi. Wyobraziłem ją sobie w dobrych czasach, gdy razem pracowaliśmy. „Popatrz na coś pięknego, gdy będziesz odchodził”. Amaira mi to kiedyś powiedziała.

Tak daleko zaszedłem. Byłem tak blisko końca i spotkało mnie takie upokorzenie. Co za śmierć.

Jeden z żołnierzy na moście stanął nad napełnionymi prochem dołami. Wyjął fosowy iskrownik i uniósł go nad pokładami czarnego prochu. Za wcześnie. Jeszcze nie ułożyliśmy lontu. Nagle fala przerażenia zalała moje sztywniejące ciało, gdy dostrzegłem bliźniacze strużki krwi wypływające mu z oczu. Poczulem smród gnijących wnętrzności, zobaczyłem różnokolorowe oczy.

Niemożliwe. Nie. Nie, nie, nie. Sądziłem, że znam zasady gry. Sądziłem, że wiem, kim są gracze. Przytłoczył mnie ciężar mojej arogancji.

Żołnierz był naprawionym. Saravor nie żył. Widziałem jego śmierć. Ale ten człowiek z jakiegoś powodu wypełniał jego wolę. Inny żołnierz krzyknął ostrzegawczo i skoczył w stronę mężczyzny krzeszącego iskry.

Most wybuchł z ogłuszającym rykiem. Stałem nieruchomo, patrząc, jak ciała żołnierzy lecą na wszystkie strony, a kamienie opadają śmiercionośnym deszczem. Fala uderzeniowa powaliła Northa i potoczyła go po ziemi. Echo huku pulsowało mi w uszach, ale moje ciało wciąż kawałek po kawałku tężało. Bronilem się, próbowałem poruszyć kończynami, zmusić magię Nieszczęścia, by mnie uwolniła, ale odrętwienie postępowało. Straciłem władzę w nogach.

Maldon, który po postrzale w serce udawał martwego, teraz zerwał się z ziemi i pobiegł w stronę Northa, trzymając w dłoni zakrzywiony czarny kolec długi jak moje przedramię.

Z warknięciem uniósł go obiema rękami nad głowę, gotów przebić Northowi plecy.

North usłyszał tupot stóp i chociaż leżał na piasku, zamachnął się włócznią. Drzewce zatoczyło obszerny łuk, trafiło Maldona w nogi i posłało go na ziemię. Maldon przetoczył się z jedną nogą złamaną pod kolanem. Z trudem wstał, ale znów upadł. North uderzył włócznią na oślep i jodeitowy grot wbił się Maldonowi w plecy. Chłopak wrzasnął, lecz przyjmował już gorsze ciosy, a poza tym magia włóczni była dostosowana do mnie. Ale chociaż pchnięcie nie mogło go zabić, przyszpiliło go do podłoża. Uniósł kolec Shantara i rzucił mi go ze stęknieniem.

Co miałem do stracenia?

Złapałem go bez słowa. Poczułem w dłoni pulsowanie przedwiecznej mocy z najczystszych dni po powstaniu Nieszczęścia. Taka broń powinna wystarczyć na Northa, ale właśnie wypuszczałem z płuc resztki powietrza, gdy moja klatka piersiowa zmieniała się w kryształ. Nie miałem niczego do stracenia. Żadnej drogi powrotu.

Wbiłem sobie kolec Shantara w szyję, mierząc w główną tętnicę. Poczułem ukłucie, a potem mrowienie wywołane jadem, i ścisnąłem worek jadowy. Czerń popłynęła moimi żyłami i poczułem gwałtowny ból, niczym mrówki zajadłe rojące się pod skórą, kłuszące i rozdzierające. Jad popełznął przez moje ciało i po chwili zalała mnie mroczna energia, rzucając wrzaskliwe wyzwanie. Miałem wrażenie, że mój umysł eksplodował i wzleciał ku niebu, gdy surowa, pierwotna moc przejęła nade mną kontrolę. To nie było zwyczajne zwierzę. Shantar był reliktem z początków Nieszczęścia, gdy przemieniająca moc działała najsilniej. Czystość Nieszczęścia stopniowo wypełniała moje ciało ogniem.

Powinna była mnie zabić, roztopić jak Strażników, ale już dawno stałem się odporny na nawet najgorsze trucizny Nieszczęścia. Byłem w nich skąpany. Stanowiłem ich część. Byliśmy jednością.

Poczułem euforię. Nagły przypływ mocy. Nieszczęście szalało we mnie, atakowało magię Pani Fal i ją wypierało. Odzyskałem czucie w klatce piersiowej i brzuchu, gdy mięśnie znów się rozluźniły

i zmiękły. Ołowiany pocisk, który North we mnie wpakował, wypadł i odbił się od kamieni. Moja skóra pociemniała i uniosły się z niej smużki dymu. W miarę jak moc mnie pochłaniała, czułem, że kości mojej twarzy wypaczają się i zastygają w nowych kształtach. Ukłucia bólu przeszywały moją szczękę oraz palce dłoni. Paznokcie czerniały i stawały się coraz twardsze i ostrzejsze. Skóra przybrała lśniąca obsydianową barwę ciała Shantara.

Nieszczęście przejęło moje ciało, ale nie utraciłem tożsamości, jakakolwiek ona była. Moje palce zmieniły się w czarne szpony i mogłem rozerwać człowieka z włócznie na strzępy. Mogłem rozerwać cały świat.

Krzyknąłem. Otoczył mnie obłok oleistego cienia, który wszystko przesłonił, rozpadając się i formując wirujący dym esencji Nieszczęścia. W moich oczach płonęła moc Shantara, a kiedy otworzyłem usta, by wydać z siebie ryk, poczułem, że zęby mam ostre jak noże.

North puścił się biegiem w stronę mostu. Czułem, jak umierający żołnierze gasną. Czułem mroczną obecność, która czekała na zdrajcę po drugiej stronie. Sądziłem, że już kiedyś się z nią uporałem, ale oto znów pojawiła się między nami. I chociaż jeszcze nigdy nie pochłonałem niczego, co mogłoby się równać z krążącą we mnie oszalamiającą i brutalną mocą Shantara, wszystko to teraz wydało mi się mało istotne.

Za murami poczułem armię roboi, która pokonywała ostatnie dzielące nas mile. Rozpaczliwie walcząc o zachowanie jasności umysłu, podczas gdy energia Nieszczęścia usiłowała zatopić moje myśli, zobaczyłem poprzez rozwiewające się kłęby dymu, że wybuch nie zniszczył mostu. Leżały na nim porozrywane i dymiące ciała, ale zdrajca zdetonował proch, zanim przysypaliśmy ładunek piachem, więc fala uderzeniowa skierowała się głównie ku górze. W kamieniach wykwitły trzy płytkie kratery, ale most był silny i szeroki, więc robole nadal mogli po nim przebiec jak stado szczurów.

## 36

Zdradzony przez wszystkich. Wrogowie przede mną i za mną, a we mnie szalejący ogień. Bezustanne zmiany. Fale rozpadu płynęły po mojej skórze, dym bił ze mnie, krwawiłem światłem z oczu.

Maldon zdołał stanąć na jednej nodze, podpierając się skrzyconą rusznicą jak kulą.

– Ryhalcie – zakaszlał poprzez dym. – Nie udało się. Most wciąż stoi. Na duchy, Ryhalcie, jesteście... jesteście...

Zadrzałem, gdy wypełniła mnie energia. Moje palce u stóp chciały zagrzebać się w piasku, zapuścić korzenie, zjednoczyć się z ziemią. Potrząsnąłem głową, odpychając Nieszczęście, które pragnęło mnie osiąść. Potrzebowało mnie. Potrzebowało ujścia dla całej tej mrocznej beznadziei, którą na nie zrzucano. Ale stawiałem mu opór.

Powinienem był wiedzieć, że ostatecznie wszystko wróci do Adrogorska, gdzie wydałem tamten druzgocący, poniżający rozkaz. Gdzie zrobiłem to, czego miałem nigdy nie zrobić w obliczu wroga. Stałem na czele tylnej straży. Moje zadanie polegało na powstrzymaniu roboli podczas ewakuacji resztek naszych sił. Ale wtedy popatrzyłem na roboli przygotowujących się do kolejnego krwawego ataku. „Wycofać się” – rozkazałem. Wycofać się i w nogi. W nogi aż do domu, gdzie schowamy się pod spódnicami naszych mam. Dlatego nie było tylnej straży i gdy robole rzucili się na naszych żołnierzy, uporządkowany odwrót zmienił się w chaotyczną krwawą rzeź.

Wycofać się.

Nie tym razem.

Tak wielkie poczucie winy. Żal za wszystko. Za porażkę, za rzeczy, które zrobiłem i których nie zrobiłem. Ból, gdy zobaczyłem, jak moi ludzie giną na mój rozkaz. Męczarnie, gdy przeczytałem, że moja



żona rzuciła się z wieży razem z dziećmi. Wyrzuty sumienia z powodu Elizabeth, której nie zdołałem ocalić, z powodu Nenn, której nie zdołałem ocalić, z powodu Vanzera i Herono, którzy zapłacili cenę za moje porażki. Nie byłem wystarczająco silny, sprytny, odważny. Adrogorsk mnie złamał i spędziłem życie na ukrywaniu się i uciekaniu, unikając bitew, których nie mogłem wygrać.

Pokochałem Elizabeth, ponieważ pozwoliła mi zobaczyć coś poza tą winą. Dała mi coś, o co mogłem zawalczyć. Za co byłem gotów oddać wszystko. Kochałem Tnotę, Amairę i Valiyę, a nawet w jakiś dziwny sposób Maldona. Popatrzyłem na czerniejący tłusty dym kłębiący się nad moją skórą. Co tam ukrywałem, poza poczuciem winy, jakie ma śmiercionośna broń? Może także winę Wroniej Stopy, tak czystą, że przybrała fizyczną formę. Ona nas otacza, więzi nas w naszym wnętrzu i czyni czymś mniejszym.

Czarna esencja Nieszczęścia wiała się we mnie, buchała dymem, wnikała w ziemię. Widziałem ich wszystkich wokół siebie. Widma z przeszłości, czekające z bronią na ramieniu. Czekały na mnie przez ten cały czas.

„Rozumiesz to, prawda? – powiedziała Nenn. Ale nie rozumiałem. – Jesteś tutaj dla niej. Ale my też jesteśmy tutaj dla ciebie. Nie tylko ja, Betch i Venzer. My wszyscy. Jesteśmy przy tobie, kiedy nas potrzebujesz”.

Potrzebowałem całej armii, by zatrzymać nadciągających roboli. Ale miałem armię.

– Wyjdę im naprzeciw – powiedziałem, podnosząc włócznię. – Zostańcie tutaj. Jeśli coś się przedrze, będziecie musieli to powstrzymać.

– Potrzebujemy cię tutaj! – odparł Maldon. – Trzeba powstrzymać Northa.

– Northem zajmę się później – odpowiedziałem. Byłem spokojny. Wszystko było tak, jak powinno być. – Ale teraz jestem potrzebny tam.

Jego pytania ucichły, gdy ruszyłem w stronę miejskich murów.

– Na pewno jesteś zadowolony ze swoich szans? – spytała Nenn, idąc u mojego boku.

– Nigdy nie jestem zadowolony ze swoich szans – odrzekłem – ale w końcu nigdy nie graliśmy uczciwie, prawda?

– Strasznie ich dużo. Myślisz, że dasz sobie z nimi radę?

– Nie. Oczywiście, że nie. Ale nie będę musiał.

Posłała mi zabrudzony uśmiech, który skradł mi serce.

– Na pieprzonego Ducha Nieszczęścia, on chyba nareszcie zrozumiał – oznajmiła.

– Najwyższy czas – zgodził się Betch. Marszałek Venzer z entuzjazmem pokiwał głową.

Biegłem cichymi ulicami Adrogorska, otoczony gwarem duchów. Tupały i uderzały drzewcami broni o ziemię. Pozdrawiałem je skinieniami głowy, odwzajemniałem saluty. Twarze, których nie widziałem od trzydziestu lat, twarze, które zapomniałem, twarze, które nigdy się nie zestarzały. Były mną i Nieszczęściem, należały do nas w równej mierze. Przeszedłem przez potężną pustą wschodnią bramę i stanąłem przed murami, wypatrując na horyzoncie nadciągającej armii. Tysiące kłębiących się kształtów uzbrojonych w lance, topory, miecze i nienawiść wystarczająco silną, by burzyć miasta. Wszystkich nas czekało takie bezmyślne, nieprzytomne oddanie, gotowość zabijania, ranienia i niewolenia wbrew rozumowi i wolnej woli.

„A więc nadszedł czas” – pomyślałem, wysyłając te słowa ponad Nieszczęściem, a Acradius usłyszał mnie w swojej czarnej żelaznej lektyce. Poczułem jego obecność; wznosiła się jak fala, która miała zalać Królów Głębi w ich miejscu mocy, rozpędzona, rycząca ściana zniszczenia.

„Widzę cię przed twoimi zburzonymi murami – odezwał się Acradius głosem cichym jak supernowa, delikatnym jak przewracający się dąb. – Po tylu przygotowaniach i wszystkim tym, co ty i twoi Bezimienni rzuciliście przeciwko mnie, teraz coś takiego staje mi na drodze?”

Nie rozumiał. Nie mógł zrozumieć.

„Ja stoję ci na drodze – odrzekłem. – A inni ludzie tacy jak ja również będą stawać przeciwko tobie aż do ostatniego tchu. Dopóki nie ustaną ostatnie bitwy, dopóki niebo nie zagotuje się i pękając nie rozerwie świata na strzępy. Ktoś zawsze stanie ci na drodze. Nigdy nie zdobędziesz władzy, której pragniesz. Nigdy nie będziesz całością. Na zawsze pozostaniesz niczym”.

Już widziałem pojedynczych zbliżających się jeźdźców. Ich wierzchowce ciężko dyszały i ledwo trzymały się na nogach, wycieńczone i zmuszone do wysiłku ponad siły, gnane samą siłą woli. Niektóre padały z wyczerpania, zrzucając jeźdźców. Ale chociaż byli w rozsypce, wciąż tworzyli armię.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, kapitanie – odezwała się Nenn.

– Nie musisz mnie tak nazywać, pani major – odrzekłem. – A może raczej pani generał?

– Zawsze najbardziej mi się podobało, kiedy byłeś kapitanem.

Księżycy były już tak blisko. Rioque, najwolniejszy na swojej orbicie, zaczął ustawiać się przed słońcem. Świat zaśnił czerwonym przepychem, krew na niebie, krew na ziemi.

– To były dobre czasy, prawda?

– Nie – odparła Nenn. – Przeważnie było do dupy. Ale przynajmniej to był nasz czas. Będę za tobą tęskniła, Ryhalcie.

– Ja za tobą też – odpowiedziałem. – Ponownie. Zawsze będę za tobą tęsknił.

Spletliśmy ręce. Popatrzyłem w oczy Betchowi, którego zabiłem swoim nożem, gdy nie mogłem uciec przed robotami. Rozumiał, że tak trzeba, ale poczucie winy ciążyło mi przez te wszystkie lata.

– Opiekuj się nią. Gdziekolwiek się znajdziecie, gdy to wszystko się skończy.

– Zawsze miałem taki zamiar – odrzekł Betch i objął Nenn ramieniem.

Rój nadciągał. Coraz szybciej i szybciej, popędzany mroczną wolą Acradiusa, która była jak tornado złości i tęsknoty. Skazona brzydota Nieszczęścia nie mogła się mierzyć z intensywnością tej nieludzkiej

nienawiści. Czysta nienawiść. To zawsze była słabość Królów Głębi. Nie mogli oprzeć się na niczym poza swoją wieczną ciemnością.

– Napijemy się po raz ostatni? – spytała Nenn.

– Na piekła, najwyższy czas – odrzekłem.

Wyjąłem piersiówkę, którą mi podarowała. Nie powinno to być możliwe, ponieważ była wtedy niematerialna i, jak sądziłem, istniała tylko w moim umyśle, ale to umysł kształtuje naszą rzeczywistość. Istnieje coś więcej niż piasek i woda, skóra i kość, żelazo i światło gwiazd. Bez naszych myśli nie ma niczego, tylko pusta, opuszczona płatanina malutkich cząsteczek, które twierdzą, że są odrębnymi bytami, ale tak naprawdę są tym samym. Jeśli Nieszczęście czegoś mnie nauczyło, to tego, że nasza rzeczywistość jest zmienna.

Uniosłem piersiówkę do ust i wlałem palącą brandy do gardła.

Uśmiechnąłem się. Zamknąłem oczy. Wyruszyłem we wszystkich kierunkach. W stronę nieba, w głąb ziemi, sięgnąłem swoimi przemienionymi zmysłami do Adrogorska i Nieszczęścia.

– Czuję to – powiedziałem. – Już rozumiem. Najwyższy czas wynagrodzić krzywdy.

Co sprawia, że jakieś miejsce istnieje? Skały, gleba, drzewa? Budynki, niebo, rzeki? Wszystkie te rzeczy, a także to, co żyje w nich i wokół nich, co je rozumie i im towarzyszy. Oni wciąż tutaj byli. Byli mną, a ja byłem nimi, tworzyli Nieszczęście tak samo jak wszystko inne. Nieszczęście to nie tylko zepsuta magia i skażone skały. To duchy, niebo i niekończący się ból wywołany tym, czym kiedyś było, do czego je zmuszono i czym się stało. Odpowiedziało na moje wezwanie.

„Co to jest? – zagrzemiał Acradius w moim umyśle. Głośny jak dotyk ojca, donośny jak letni uśmiech. Nie było w nim subtelności. Za dużo arogancji, za dużo ślepej dumy. – Wzywasz starą, martwą magię. Moc Serca Pustki już dawno się wyczerpała. Rozejrzyj się i zobacz, na co została zmarnowana”.

„Wcale nie została zmarnowana – odparłem. – Rozproszona. Rozrzuciona. Ale jej rdzeń pozostał. Była czymś strasznym i zniszczyła niezliczone istnienia, ale użyto jej, by kogoś uratować,

podczas gdy ty nie masz żadnego celu poza karmieniem własnego obłądu. Ta bezduszna kraina ma więcej skruchy od ciebie”.

Jeźdźcy mnie zauważyli. Popędzili chwiejące się wierzchowce, a gdy te upadły, powstali i puścili się biegiem. Po jednej stronie kolumny wyłoniły się spod ziemi ogromne skrzeczące piaskowe robale i zaczęły wbijać roboli w grunt i ich pożerać. Po drugiej stronie z obłoków mgły wysunęły się niezdrowo wyglądające dłonie, które ściągały jeźdźców z siodła, podczas gdy wierzchowce tratowały ciała innych, nienazwanych istot, które Nieszczęście postawiło na ich drodze. Ale wrogów wciąż były całe tysiące. Dopadną mnie w ciągu minut.

Esencja Nieszczęścia wezbrała we mnie, zadudniła w mojej piersi, znajdując nową formę, rozlewając się czarnymi żyłami, które przenikały moją skórę, ciało i kość. Przybrała na sile. Zakręciło mi się w głowie, świat zatrzęsł się przed oczami. Żaden człowiek nie powinien wchłonąć takiej mocy. Acadius miał rację: byłem głosem Nieszczęścia. Ujściem, dzięki któremu mogło czuć i przez które mogło wypuścić nagromadzone cierpienie i wściekłość w jednym potężnym wyładowaniu dzikiej furii. Byłem łącznikiem pomiędzy żywymi a umarłymi.

„Poczucie winy, czy właśnie tym zamierzasz ze mną walczyć?”. – Czulem kpinę w głosie nieśmiertelnego. Wypowiedzenie tych słów było poniżej jego godności.

Wbiłem tępą koniec włóczni w kruchą ziemię i wkręciłem go głębiej. Pociągnąłem za sznurek i zawiniątko, które wręczyła mi Valiya, rozwinęło się i załopotało na drzewcu, targane coraz silniejszym wiatrem. Pojawiła się srebrna pięść na szkarłatnym tle. Valiya cierpliwie pozszywała rozdarte kawałki mojej dumy w jedną całość.

– Widzisz to, Acradiusie?! – ryknąłem. – Pamiętasz ten sztandar, wzniesiony ponad murami miasta? To miasto jest moje. Powiedziałem, że będę na ciebie czekał. Oto jestem. Sprowadź tutaj wszystkie swoje siły.

Śmiech Acradiusa był jak ryk lawiny i świergot piskląt. Już nie rozbrzmiewał w moim umyśle, ale niósł się ponad Nieszczęściem,

rywalizując z wyciem popękanego nieba. Zobaczyłem twarz w chmurze pyłu wzbijanej przez jego armię, zwężone oczy i usta wykrzywione wściekłością.

„Twój opór to ostatni nędzny pokaz siły ze strony Bezimiennych, Synu Nieszczęścia. Gdzie są teraz twoi panowie? Bez nich jesteś niczym. Zostałeś sam”.

Popatrzyłem w lewo. Nenn stała swobodnie z mieczem na ramieniu. Po mojej prawej stronie Betch skinął głową.

– Nie – odparłem. – Nigdy nie jestem sam.

Wbiłem pięść w piasek Nieszczęścia i uwolniłem moc. To nie była tylko surowa, pierwotna magia. Nie tylko esencja Nieszczęścia, ale poczucie winy, które dręczyło tę rozbitą krainę przez dziewięćdziesiąt długich lat. Poczucie winy przedwiecznej istoty, którą zmuszono do niszczenia, oraz moje własne poczucie winy wobec wszystkich ludzi, których zawiodłem i straciłem przez lata, splotły się ze sobą jak węże i połączyły, pulsując pod piaskiem. Skłębione czarne cienie wypłynęły ze mnie i z rykiem rozpostarły się nad pustynią.

– Nigdy nie jestem sam – wyszeptalem głosem ostrym jak noże. A potem głośniejszym: – Powstańcie. Powstańcie, którzy walczyliście i zginęliście. Powstańcie, którzy krwawiliście, kochaliście i baliście się. Powstańcie przedwcześnie zgubieni i złamani. Powstańcie teraz ze mną i po raz ostatni stawcie czoło ciemności. – Wyprostowałem się i uniosłem pięść, a czarna energia wypłynęła ze mnie do ziemi i w powietrze, przesywając niebo. – Powstańcie ze mną, Dzieci Nieszczęścia.

Niebo ryknęło, jęk smutku i wściekłości odbił się echem, a biało- -brązowe pęknięcia zadrżały i zaiskrzyły błyskawicami w krwawym świetle. Ziemia zatrzęsała się pod nami, poruszyły się kamienie, wystrzeliły strumienie czarnej pary i zerwał się potężny wiatr. Oślepił mnie wirujący obłok czerwonego skażonego pyłu, z którego zaczęły się formować jakieś kształty. Wciąż oddawałem ziemi moc Serca Pustki, krzycząc i płonąc, doszczętnie zrzucałem dotkliwe poczucie winy, które ono nosiło w sobie przez dziesięciolecia.

Otworzyłem oczy.

Stali równo po mojej lewej i prawej stronie. Już nie byli duchami, ale wyrzeźbionymi z kamienia wizerunkami mężczyzn i kobiet z przeszłości. Niektórych znałem, inni zginęli w tej obłąkanej wojnie na długo przed moim narodzeniem. Siedzieli na widmowych koniach z przesypującego się piasku oraz stali całymi batalionami z pikami na ramieniu. Odłamki czarnego kamienia z Nieszczęścia służyły im za napierśniki, w oczach płonęło światło pęknięć na niebie. Duchy zamieszkujące te ciała świeciły jak gwiazdy, sączyły się ze swoich nowych form, nakładały na nie, powstrzymując je przed rozpadem. Armia. Cała przeklęta armia umarłych.

Moja armia.

Robole zatrzymali się w odległości dwustu jardów; nawet gnająca ich furia Acradiusa osłabła w obliczu tych upiornych wojsk.

– Zajmiemy się resztą, kapitanie – odezwała się Nenn. Lśniła tak, jakby była odlana z białej esencji Bezkresnego Braku. – Damy ci wystarczająco dużo czasu. Musisz być w pałacu, żeby doprowadzić to do końca.

Objąłem ją.

– To prawdziwe pożegnanie – powiedziałem.

– Wiem – odrzekła. – Ale założę się, że gdziekolwiek trafimy, czekają nas kurewsko ciekawe przygody. Poza tym dałeś mi jeszcze jedną okazję do zabijania roboli, a niczego więcej nie pragnęłam. Idziesz, mój piękny?

Betch podsadził ją na konia, a potem chwycił wodze swojego olśniewającego białego rumaka.

– Kochaj ją tak jak trzeba, Betch – powiedziałem.

– Zawsze – obiecał. Uśmiechnął się, a w tym uśmiechu być może pojawiła się odrobina przebaczenia.

– No dobra, skurwiele! – zawołała Nenn. – Za długo byliśmy martwi. Najwyższy czas się odegrać. Zatrzymamy ich, kurwa.

Robole zaszarżowali, a umarli wystawili przed siebie włócznie. Nenn wydała bitewny okrzyk, idealne zawrodożenie, które podchwyciły tysiące ryczących widmowych wojowników. Obie armie starły się z hukiem.

Dobylem miecza i puściłem się biegiem do miasta, pozostawiając włócznię z moim sztandarem. Zatoczyłem się, kiedy ból przeszył kość mojej lewej ręki.

– Kurwa, nie teraz – syknąłem, ale skóra coraz bardziej się rozpalala i czułem drążący ją dziób. Mój pan nadchodził. – Kurwa, nie teraz – powtórzyłem. Byłem tak blisko i ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałem, był Wronia Stopa jako świadek. Ale już tutaj był, wił się pod moją skórą i nie zamierzał odchodzić. Przeciągnąłem ostrzem miecza po stwardniałej skórze i przepiłowałem ją, prawie nic nie czując. Zamiast krwi z rany wypłynęły czarna maź i żółty płyn. Po chwili wyłoniła się mała głowa pokryta czarnymi piórami, lepka i śliska od oleju i wydzieliny.

– Galharrow – szepnęło pisklę. Ledwie słyszałem jego słaby głos ponad trzaskiem włóczni uderzających o tarcze, wrzaskiem roboli i bitewnymi okrzykami duchów. – Kapitan Pani Fal będzie chciała, aby przekazać jej moc serca. Musisz pozostać jedynym kapitanem. Przychodzę teraz do ciebie. Kiedy serce zostanie naładowane, będę z tobą, by pochłonąć jego moc. Nie pozwól, żeby cię uprzedzili.

Trochę się spóźnił z tym ostrzeżeniem. Popatrzyłem na ptaka w swojej ręce. Nie czułem gniewu. Nawet nie byłem zaskoczony.

– Nie ma żadnej broni – odrzekłem. – Nigdy jej nie było. Nie zamierzasz użyć serca przeciwko wrogowi. Chcesz się odbudować. Wszyscy Bezimienni od początku mieli ten sam plan.

– Czy wiedziałem, że Pani mnie zdradzi? Oczywiście – syknął Wronia Stopa. Łebek pisklęcia kołysał się na szyi, mlecznobiałe oczy niczego nie widziały. – Nall też by się tego domyślił, ale odszedł, zanim pojawiła się taka konieczność.

– Ponieważ go zabiłeś.

– Nie miałem wyboru. – Przez chwilę wydawało mi się, że w piskliwym głosie Wroniej Stopy pobrzmiwa ból. – Muszę wygrać za wszelką cenę, Galharrow. Akurat ty powinieneś to zrozumieć.

Miał rację i jeszcze nigdy nie próbował ze mną dyskutować. Zrozumiałem, jak bardzo jest bezsilny. Chwiał się na krawędzi życia, jeśli w ogóle można to nazwać życiem.

– Rozumiem – odrzekłem.



– Dobrze. Kapitan Pani spróbuje zagarnąć serce. Powstrzymaj ją.  
Nie spierdól tego.

# 37

Nie miałem czasu. Zaćmienie już prawie się rozpoczęło. Musiałem się pośpieszyć.

Pierwszy stał u stóp schodów prowadzących na dach pałacu. Miał podartą szatę, a mlecznobiałe ciało pod spodem było posiekane i podziurawione za sprawą dziesiątek otrzymanych ciosów. Jego tułów pokrywały rany postrzałowe, ale żadna z nich najwyraźniej nie robiła wrażenia na pierwszym spośród Marmurowej Straży. Nie miał broni. Potrzebował tylko swoich zakrwawionych pięści, a u jego stóp leżało strzaskane ciało.

North zapewne stawiał zaciekły opór. Świadczyła o tym liczba ciosów, które zadał Strażnikowi. Jego czarodziejska włócznia leżała na placu, połamana na kawałki, odrzucona jak śmieć. Ale niezależnie od tego, jak bardzo był szybki i wyszkolony, Pani Fal zaufała człowiekowi, a Płytki Grób oddał sprawy w ręce potwora.

Cieszyłem się, że nie musiałem mierzyć się z Northem. Miałem wrażenie, że w tym miejscu zapanował spokój, chociaż bitewny gwar przelewał się przez zburzone miejskie mury.

Pierwszy mnie zauważył, gdy szedłem przez dawne pałacowe ogrody. Księżycyce gromadziły się przed słońcem, zaćmienie było coraz bliżej, a świat płonął błyskotliwymi barwami tęczy. North leżał w pozycji, która wskazywała, że złamano mu kręgosłup jak gałązkę. Widziałem w myślach przebieg tej walki. North wił się i zadawał ciosy, włócznia kasała jak wąż, aż w końcu Pierwszy zdołał go chwycić ręką ciężką jak góra, podniósł i złamał na pół. Pamiętałem ciosy pięści Pierwszego, gdy powalił mnie na ziemię.

– Zejdź mi z drogi – powiedziałem. Mój głos był jak cień, jak warkot rodem z koszmarów.

W lewej dłoni trzymałem żalosego awatara Wroniej Stopy, prawą zaciskałem na rękojeści miecza.

– Był zdrajcą – odezwał się Pierwszy. Słowa z trudem formowały się w jego granitowych szczękach, a w jego szepcie pobrzmiwał trupi pył.

– Wiem. A teraz zejź mi z drogi – powtórzyłem.

– Księżyce ustawiają się w jednej linii – zapiszczał Wronia Stopa. – Bracie, potrzebują mnie na górze. Nie opóźniaj mnie.

– Księżyce ustawiają się w jednej linii – zasyczał Pierwszy. Uniósł pięść do ust, a jego długi czerwony język wysunął się, żeby zlizać krew Northa z warg. – Chodź.

Zawahałem się. Intuicja na chwilę mnie powstrzymała. North się nie śpieszył. Cierpliwie czekał na swoją chwilę. Kiedy Pierwszy się odwrócił, zobaczyłem, że plecy ma czyste, bez ani jednego śladu uderzenia, w odróżnieniu od klatki piersiowej i brzucha. Gdyby North postanowił pozbyć się Pierwszego, spróbowałby zepchnąć go z platformy albo strzelić mu z pistoletu w tył głowy. Ale ślady po kulach znaczyły tylko tułów olbrzyma.

To nie North zaatakował.

Zza stopionych skał po drugiej stronie ogrodu wyłonił się Maldon. Popatrzył znacząco na Pierwszego i pokręcił głową.

– Pierwszy – odezwał się powoli. – Nie jesteś już jednym z Marmurowych Strażników, prawda?

Karmazynowe oczy Strażnika zwróciły się w moją stronę. A potem powoli, jakby jego twarz po raz pierwszy musiała przybrać taki wyraz, do którego nie była stworzona, jego usta wykrzywiły się w uśmiechu.

Znałem to spojrzenie.

– Och, Galharrow. Zawsze wydaje ci się, że jesteś o jeden krok przed wszystkimi, a tak naprawdę zostajesz w tyle.

Znałem także ten głos.

– Nie wiem, w jaki sposób się tutaj znalazłeś – odpowiedziałem, wypluwając kolejne słowa przez zaciśnięte zęby. – Nie wiem, kurwa, jak udało ci się przetrwać. Po prostu cieszę się, że znów będę mógł cię zabić, Saravorze.

Strażnik się roześmiał.

– Zabić mnie? Nie sądzę. Nie potrafiłeś tego zrobić, gdy byłem człowiekiem. Popatrz na mnie teraz, Galharrow. Popatrz, jak się odbudowałem.

– Twoja krew – odrzekłem. Przypomniałem sobie strzaskane, zwęglone ciało, z którego jeden ze strażników odgryzł potężny kawał mięsa. Pierwszy połknął część Saravora, a czarownik wykorzystał to, by przejąć panowanie nad stworem.

– Czyż to nie pyszne? – spytał Saravor. – Co sobie myślałeś? Że wyruszyłem ze szlachetną misją ocalenia świata, rzucając się przeciwko stworom Bezimiennych? Nie wierzę, że kogokolwiek nabrałem, zwłaszcza ciebie.

– Nic ci to nie da – odparłem. Podniosłem wzrok na księżycy. Fale światła zalewały niebo, rozplywając się jak ognista zorza. – Pokonałem cię zbyt wiele razy, by się tym przejmować.

– Nie mamy na to czasu – pisnął awatar Wroniej Stopy. Schowałem go do woreczka przy pasie.

– To ciało jest niesamowite – zachwycił się Saravor. – Ma w sobie esencję gór. Może wytrzymać moc serca potwora, którą przejmę. Jest na tyle silne, by wstąpić na wyższy poziom. – Wyprostował długie, blade palce, mokre od krwi Northa. – Na tyle silne, żeby znów cię zmiażdżyć.

Saravor zaszarżował, tupiąc potężnymi stopami o bruk. Uniosłem miecz do ramienia; miałem tylko kilka sekund, by zaplanować swój ruch. Miecz niewiele mógł działać przeciwko tej istocie, ale nie miałem pod ręką innej broni, a może brandy, którą wypilem, wzbudziła we mnie brawurę, na którą nie zasłużyłem.

Saravor rzucił się w moją stronę, próbując dosięgnąć mnie potężnymi pięściami, ale odskoczyłem do tyłu tanecznym krokiem i ciąłem na odlew. Ostrze odbiło się od kamiennej ręki, otwierając małą płytką ranę, która nie krwawiła ani go nie spowolniała. Ponownie się zamachnął, znacznie szybciej, niż powinien przy takich rozmiarach, a ja znów chwiejnie odskoczyłem i ciąłem go w ramię. Inny przeciwnik zatoczyłby się do tyłu, ale mój cios prawie nie naruszył marmurowego ciała. Olbrzym tym razem nie próbował

mnie chwycić, tylko machnął ręką na odlew, trafił mnie w napierśnik i wyrzucił w powietrze. Z trzaskiem potoczyłem się po ziemi. Nie czułem bólu. Nie byłem ranny. Po prostu straciłem równowagę. Nie tylko on mógł wiele wytrzymać.

Jeszcze raz.

Tym razem to ja na niego ruszyłem, trzymając się nisko na nogach, i wbiłem miecz w jego udo, ale nie było tam żywego ciała, a on wcale się tym nie przejął. Grzmotnął mnie pięścią w hełm, a ja zatoczyłem się do tyłu. Pchnąłem go mieczem w twarz, ale Saravor był nie tylko potężny, lecz i szybki, a przy ośmiu stopach wzrostu miał przewagę zasięgu. Zbił moje ostrze w dół i je przytrzymał. Uśmiechnął się jeszcze szerzej, pokazując zakrwawione zęby.

– Już nawet nie muszę ich naprawiać – wysyczał. – Wystarczy mi krew. North też jest teraz we mnie. Wiem wszystko, co wiedział, nauczyłem się tego, czego on się nauczył. Mogę się stać kimkolwiek. Mogę się stać każdym.

Wyrwał mi miecz z dłoni, a ja zatoczyłem się do tyłu. Miecz był bezużyteczny; nie sądziłem, że kiedykolwiek to powiem. Saravor skoczył za mną i objął mnie potężnymi rękami. Zamknął mnie w miażdżącym uścisku, a ja poczułem, jak mój poobijany napierśnik ugina się pod jego naporem, a stal trzeszczy. Po omacku szukałem pojemnika, który miałem przy pasie. Saravor przycisnął twarz do mojej twarzy, a ja zajrzałem w szaleństwo wirujące w jego krwawych oczach.

– Taki jesteś, kurwa, spragniony światła? – powiedziałem. Wyrwałem zawleczkę z pojemnika. – Proszę bardzo.

Pojemnik z fosem wybuchł pomiędzy nami z rozbłyskiem błękitno-złotego płomienia. Eksplozja odrzuciła mnie o pięćdziesiąt stóp ponad piaskowym ogrodem i uderzyłem o jedną z kolumn. Paski przytrzymujące moją zbroję spłonęły i zdarłem z siebie poobijany napierśnik, po czym zdjąłem hełm, plując pyłem. Malutki awatar Wroniej Stopy zmienił się w spieczone truchło. Stałem naprzeciwko Saravora z obnażoną piersią. Światło już od dawna nie mogło mi wyrządzić krzywdy, a patrząc na migoczącą, rozżarzoną chmurę dymu, przez chwilę miałem nadzieję, że jest po wszystkim.

Ale potem pośród dymu poruszył się jakiś cień. Pojawił się Saravor, wolniejszy, osmalony i zwęglony, ale wciąż uśmiechnięty.

– Zwykle sztuczki – rzekł. – Tylko tyle masz, Galharrow?

Kątem oka zobaczyłem Maldona, który wspinał się schodami na dach. Księżycy były już tak blisko, świat zalały migoczące cienie. Saravor zaatakował, był szybszy ode mnie, dym bił od niego jak od spalonego mięsa. Uderzenie o kolumnę pozbawiło mnie sił.

Kolejny cios Saravora rzucił mnie na ścianę. Pod wpływem jeszcze jednego uderzenia potężnej pięści moja głowa odskoczyła i huknęła o mur. Chrupnął kamień, trysnęła czarna krew. Olbrzym podniósł mnie jak dziecko i z dzikim rykiem cisnął w powietrze. Przebiłem sypiący się mur, wyrzucając w górę chmurę kamiennych okruchów. Splunąłem krwią, poczułem gorącą wilgoć i ostry ból żebra przebijającego skórę. Z trudem wstałem, ale Saravor znów do mnie dopadł. Powalił mnie na ziemię, łamiąc mi nos o kamień. Obraz rozmazywał mi się przed oczami. Jego dłoń odnalazła moje włosy, pociągnęła mnie do góry. Kolejny cios znów posłał mnie przez ścianę w deszczu tynku. Potoczyłem się bezwładnie po piasku, aż zatrzymałem się na starej wyschniętej fontannie.

Każda część mojego ciała pulsowała bólem. Pomimo ochrony Nieszczęścia Strażnik był niesamowicie potężny. Płytki Grób dał każdej ze swoich istot siłę góry, z której się narodzili. Światła tańczyły mi przed oczami, pęknięte żebro krzyczało, ze złamanego nosa wystrzeliwały ogniste iskry.

Zacisnąłem pięści. Nie miałem broni. Nie miałem sojuszników. Nie miałem wyjścia. Zostałem sam. Splunąłem krwią i okruchami ostrych zębów. Zmusiłem się do wstania, kiedy Saravor wyszedł z budynku, który zawalił się za jego plecami.

– Siła – powiedziałem. – Może w Valengradzie nie mogłem się równać z Pierwszym, ale popatrz, gdzie jesteśmy. – Zatoczyłem ręką koło. – To moje włości, moje miejsce mocy. Jestem Synem Nieszczęścia, do kurwy nędzy, a czym ty jesteś? Podrzednym czarownikiem w pożyczonym ciele.

– Jesteś tylko człowiekiem – syknął Saravor. Uniósł potężną pięść i zamachnął się na mnie.

Zatrzymałem ją w powietrzu. Poczułem się tak, jakby kopnął mnie koń, a moje stopy przesunęły się po piasku, ale nie upadłem. Czerwone oczy Saravora rozszerzyły się ze zdziwienia.

Ryknąłem i sam zamachnąłem się pięścią, a Saravor poleciał do tyłu i przebił pół stopionej kolumny. Wtedy na niego zaszarżowałem.

Brałem udział w wielu barowych awanturach, a ta bójka niczym się od nich nie różniła. Grzmotnąłem go pięścią w klatkę piersiową, a potem zacząłem taranować. Kiedy się zatoczył, próbując utrzymać się na nogach, pochyliłem się, uderzyłem go ramieniem w brzuch, uniosłem i wytrąciłem z równowagi. Siła Nieszczęścia krążyła we mnie, mocniejsza i dziksza niż kiedykolwiek, gdy pomknąłem do przodu i wepchnąłem Saravora na kolejną kolumnę. Czerwony kamień rozpadł się na nierówne odłamki. Czarownik machnął pięścią od dołu i trafił mnie w twarz. Zatoczyłem się, a on wstał pomiędzy gruzów. Kawałeczki kamienia sterczały z jego niezniszczalnego ciała, gdy na mnie ruszył, zadając cios za ciosem. Oddawałem za każdym razem, nie dbając o to, czy mnie trafia. Byłem od niego silniejszy i równie wytrzymały, i chociaż obaj chwialiśmy się na nogach, wymieniając razy, żaden z nas nie ustępował.

Księżycy, pierdolone księżycy były coraz bliżej. Nie miałem na to czasu.

Chwyciłem Saravora za szyję i uderzyłem go pięścią w oczy, raz, drugi, trzeci. Moje knykcie pękały pod wpływem siły uderzeń, a marmurowy mózg Saravora zapewne obijał się o czaszkę, ponieważ czarownik był wyraźnie oszołomiony. Odrzuciłem go kopniakiem na ścianę. W ten sposób nie mogłem go złamać. Równie dobrze mógłbym okładać pięściami dom. Dlatego zrobiłem to, co zawsze robię, gdy nie mogę wygrać w bezpośredniej walce: uciekłem.

Słyszałem, że za mną biegnie, kiedy dotarłem do schodów prowadzących na dach pałacu. Zmusiłem się do wspinaczki, czując, że nogi mi płoną, a dawna rana od włóczni groźnie przypomina o swojej obecności. Popatrzyłem w dół na ulice rozpostarte jak mapa i nagle go zobaczyłem. Saravor pędził w moją stronę; był olbrzymi,

otaczały go kłęby dymu i kamiennego pyłu. Przeskakiwał po pięć stopni naraz.

– Nic mnie nie powstrzyma! – wrzasnął. Otaczało go szaleństwo. – Nic mnie nie zabije. Nawet Nieszczęście. Twój pan nigdy nie zdobędzie tej mocy. Wszystko, do czego dążyłeś, skończyło się fiaskiem.

Nie potrafiłem powstrzymać nienaturalnego uśmiechu. Każdy wojownik pragnie przechwalać się i zdradzać swoje najtajniejsze plany w chwili triumfu, a ja czułem, że mój triumf się zbliża.

– To prawda, że nigdy nie zdobędzie tej mocy – odrzekłem – ale nie wiem, dlaczego zakładasz, że chciałem mu ją przekazać.

Oczy Saravora lekko się rozszerzyły, zanim znów na niego zaszarżowałem i razem spadliśmy ze schodów. Runęliśmy w dół ku ulicom i wejściu do kanałów, które Valiya czujnie nakryła kamienną płytą. Pokrywa pękła z trzaskiem, a ja wylądowałem na Saravorze, wbijając mu kolana w klatkę piersiową. Szeroko rozłożył ręce i nogi, broniąc się przed wpadnięciem do otworu, ale siła upadku go ogłuszyła. Z dołu dobiegł bełkot podnieconego i zniecierpliwionego chóru głosów.

– Siedemdziesiąt trzy, siedemdziesiąt dwa!

– Dobry wieczór, panie. Chcesz się zabawić?

– Nadchodzi śmierć!

Stoczyłem się z Saravora, chwyciłem go za jedną rękę i dźwignąłem ją do góry. Próbował mi się wyrwać – na Ducha Sądu, był równie nieustępliwy jak zima – ale miałem swobodę ruchów, więc oparłem się stopą o jego pierś i jeszcze wyżej uniosłem jego rękę. Wypełniała mnie ognista nienawiść wywołana tym, co zrobił Nenn, Dantry’emu i mnie, a także wszystkim innym ludziom, którym odebrał życie. Pchnąłem go stopą, a jego ramiona zagłębiły się w otworze.

– Nie w ten sposób – syknął Saravor spanikowanym głosem. – Nie w ten sposób!

– Nie przejmuj się – warknąłem. – Niczego, kurwa, nie poczujesz.

Pchnąłem po raz ostatni i Saravor runął na gęsty dywan kłębiących się gruszkowatych ciał. Nie zdążył wrzasnąć, zanim



skrzelaki wgryzły się w jego nogi, ręce i głowę. Malutkie, ostre jak brzytwa zęby wczepiły się w ciało, wstrzyknęły otępiającą, paraliżującą ślinę, a potem zaczęły szaleńczo przeżuwać. Próbował je odpędzać i strząsać, ale były ich setki. Nadciągały tunelem, by do niego dotrzeć i go posmakować. Zęby skrzelaków łamały się podczas żucia. Saravor zmiążdżył o siebie dwa stwory, rozgniółł trzy kolejne, ale kiedy jad zaczął działać, jego ruchy stały się wolniejsze. Paraliż ogarnął jego kończyny. Wpatrywał się we mnie z twarzą wykrzywioną niedowierzaniem, że po tym wszystkim, co osiągnął, zostanie zjedzony żywcem przez rój Dzieci Nieszczęścia. Powoli. Kurewsko powoli.

Pobiegłem w stronę schodów. Nie ma czasu, nie ma czasu. Księżyce ustawiają się w jednej linii.

Odgłosy dalekiej bitwy nie ustawały, gdy dotarłem do platformy.

Zostało nas tylko czworo.

Kanalina siedziała przy wrzecionie w grubych przemysłowych goglach na zaczerwienionej, spoconej twarzy i odczytywała wskazania zegarów. Szarpała kable, badając częstotliwość i metrum jak harfistka. Nie dało się patrzeć bezpośrednio na słońce, jego migoczące kolory były zbyt jaskrawe i chaotyczne. Valiya stała w niewielkim oddaleniu za żelazną skrzynią z sercem potwora. Maldon przykucnął przy schodach. Kanalina była zbyt skupiona na swojej pracy, by go zauważyć.

Zapewne wyglądałem potwornie, gorzej niż kiedykolwiek. Pokiereszowany, krwawiący, ze skórą jak zwęglone drewno. Valiya pobladła, gdy mnie zobaczyła, ale zapanowała nad sobą. Wiedziałem, co ma ochotę powiedzieć, a ona wiedziała, że nie mogę tego usłyszeć tak blisko końca.

– North i Strażnik? – spytała.

– Już ich nie ma – odrzekłem.

– Trzy minuty – odezwała się Kanalina podnieconym głosem. Chociaż zewsząd otaczało nas niebezpieczeństwo, za chwilę miała zaczerpnąć najczystszej mocy, jaka istnieje, opanować ją i związać. Nie wiedziała, co się wydarzy.

– Gotowy? – spytała mnie Valiya.

Wzięłem ją za rękę i pocałowałem wierzch jej dłoni.

– Nie mam wyjścia – odrzekłem. – Tak mi przykro.

– Wiem – przytaknęła. – Ale zrobisz to, co trzeba.

– Dwie minuty – powiedziała Kanalina, nie przestając przebierać palcami. – Ustawcie je na miejscu.

Popatrzyłem Valiyi w oczy, ale odwróciła twarz.

– Valiyo...

– Nie teraz – odparła. – Nie teraz. Przynieś serce.

Uklęknąłem i otworzyłem wieko skrzyni. Wewnątrz leżała skamieniała poczerniała bryłka, która mogłaby być kamieniem. Nie musiałem dotykać serca, żeby wyczuć kłębiący się wokół niego chaos. Czekąco tysiące lat, by wrócić do życia. Wyczuwało wzbierającą i skupiającą się wokół nas energię. Owinąłem je szmatą, wyjąłem ze skrzyni i zaniósłem do wrzeciona. Pod ogromnymi soczewkami znajdował się podest z czterema ramionami gotowymi, by pochwycić serce. Ostrożnie i z namaszczeniem, unikając miedzianych drutów i kryształów załamujących światło, ułożyłem je na podeście. Spoczęło na nim z sykiem. Niecierpliwie. Z wyczekiwaniem.

– Dziewięćdziesiąt sekund – odezwała się Kanalina. Założyła grube, ciężkie rękawice.

– Odsuń się od wrzeciona, Kanalino – powiedziałem. – Natychmiast.

Albo mnie nie usłyszała, albo początkowo nie zrozumiała, co mówię, ale szczęk odciąganej kurki zwrócił jej uwagę. Valiya celowała do niej z pistoletu. Z rozdziawionymi ustami Kanalina zsunęła gogle z twarzy.

– Co wy wyprawiacie? Zbliża się zaćmienie. Nie możemy teraz przerwać.

– Odsuń się albo cię zastrzelę – powiedziała Valiya. – Powoli.

– Oszałeliście! – wykrzyknęła Przędzarka. – To nasza jedyna szansa. Tylko tak możemy powstrzymać Acradiusa i ocalić republikę. Nie mamy innej broni...

– Bezimienni nigdy nie zamierzali użyć mocy serca przeciwko Acradiusowi – odrzekłem. Chwyciłem ją za rękę i podniosłem z krzesła. Esencja Nieszczęścia w mojej skórze w zetknięciu z fosem zazgrzytała jak paznokcie na tablicy. – Podobnie jak ja.

– Co... Nie... nie rozumiem... W takim razie... po co?

Odciągnąłem ją i przywołałem Maldona, który podszedł do nas ze swojego miejsca obok schodów, krocząc z większą determinacją i dumą niż kiedykolwiek w całym swoim życiu. Z wyprostowanymi

plecami i ramionami zajął miejsce przy wrzecionie. Splótł i rozciągnął palce.

Księżycy ustawily się przed słońcem i świat zapulsował, zalany złotem, błękitem i czerwienią. Kolejne fale światła rozplywały się po świecie, obmywając go pięknymi, oszalamiającymi barwami. Maldon zaczął pracować na wrzecionie. Początkowo czerpał tylko pojedyncze nitki, chwytając z powietrza kosmyki migoczącego koloru. Z trudem nadawał im nową formę, ale z czasem zaczęły do niego spływać z większą łatwością, podążając za swoimi poprzedniczkami. Stawały się coraz grubsze i mnożyły się, gdy wrzeciono przeciągało je przez swoje liczne soczewki. Prosto do serca.

Rozległo się warczenie, głos dawno umarłego boga, gdy czarna bryłka wessała światło. Serce łapczywie piło moc jak sucha gąbka nasiąkająca wodą. Na jego powierzchni falowały żyłki niebiesko-białej energii. Maldon nie przerywał, wciąż czerpiąc światło i posyłając je do serca potwora, kosmyk za kosmykiem, a wewnątrz wrzeciona świetlne liny migotały, wiły się i splatały w spirale, odpowiadając na wezwanie.

Na zachodnim horyzoncie pojawił się ciemny cień, który leciał ku nam po niebie. Ogromne stado kruków, które przybyły po swoją nagrodę. Wronia Stopa.

– Zdradziłeś swojego pana?! – wykrzyknęła Kanalina. – Planowałeś tę zdradę od początku?

– Nazywaj to jak chcesz – odrzekłem. – Dantry, Maldon i ja pracujemy nad tym od dawna. Masz szczęście. Będiesz mogła zobaczyć rezultat. – Zerknąłem na Valiyę. Powoli pokiwała głową. Niezależnie od zamiarów Nalla była po mojej stronie.

– Jeśli nie dla Bezimiennych, to dla kogo? – spytała ostro Kanalina. Przeszedłem przez platformę i stanąłem obok Maldona.

– Potrzebuję tego – odrzekłem. – Dziesięć lat temu odebrano mi coś cennego. Poprzysiągłem sobie, że niezależnie od ceny, nawet gdyby miało mi to zająć sto lat albo więcej, w końcu to odzyskam.

Kanalina szerzej otworzyła oczy.

– Duch w świetle – powiedziała. – Jasna Pani.

– Elizabeth Tanza została wypalona z tego świata i trafiła do światła. Zginęła, żeby ocalić nas wszystkich przed robotami. Uratowała też mnie. Nie tylko przed wrogiem, ale przed tym, czym się stałem. Nigdy się jej nie zrewanżuję, ale to jedno mogę dla niej zrobić. Mogę ściągnąć ją z powrotem.

– Ale jak? – zdziwiła się Kanalina. – W jaki sposób? Jasny Zakon sądził, że ona wraca, ale nie ma takiej mocy, która... – Popatrzyła na serce potwora. – Chyba nie mówisz poważnie.

– Całkowicie poważnie.

– Nie bądź głupcem – odburknęła. – Nie jesteś czarownikiem Bezimiennych. Nie potrafisz kształtować tych sił. Jeśli spróbujesz użyć mocy serca, by wyrwać ją ze światła, wyzwolisz nieprawdopodobnie silne odbicie. Spadnie na ciebie jak młot.

Pokazałem Kanalinie obnażoną rękę. Wciąż widniały na niej słowa wycięte na skórze.

STAŃ SIĘ KOWADŁEM.

– Sześć lat – powiedziałem. – Sześć lat nasiąkania Nieszczęściem. Sześć lat stawania się jego częścią. Już nie jestem tylko Ryhaltem Galharrowem. Jestem Nieszczęściem. Jestem kowadłem, na którym ta moc się rozbija.

Wskazała ręką opadające ku nam kłębowisko kruków.

– Wronia Stopa cię za to wypatroszy. Jesteś Czarnoskrzydłym, nosisz znak kruka.

– Być może – odparłem – ale nie zdąży mnie powstrzymać.

Ciało Maldona dymiło fosem. Czerpał światło migoczącymi włóknami, coraz szybciej i szybciej, a jego palce błyskawicznie poruszały się nad wrzecionem ściągającym moc z nieba. Powietrze wokół niego falowało od gorąca. Jedna z soczewek pękła, a strumienie fosu w niekontrolowany sposób rozlały się po platformie. Kanalina i Valiya przypadły do ziemi, a jeden z rozbłysków przeszył powietrze nad ich głowami. Pojedyncze włókno obmyło mnie, a następnie odbiło się i pomknęło ponad miastem. Niebo pociemniało, światło słońca skupiło się wyłącznie na nas.

Żelazne urządzenie nie mogło już dłużej wytrzymać takiego naporu. Podpory z metalicznym chrzęstem zaczęły się chwiać. Przewody odczepiały się i zrywały, szklane elementy pękały, zasypując serce odłamkami. Maldon z krzykiem ściągnął na nie ostatni snop światła, gruby jak pień drzewa. Promień trafił w cel, wijąc się jak węgorz na żyłce, czysty i olśniewający, a potem zniknął. Pośród strzaskanego wrzeciona serce potwora lśniło fioletowym blaskiem.

Przeniosłem wzrok ze stada ptaków na skarb, którego wszyscy Bezimienni tak rozpaczliwie pożąдали. Podszedłem do niego i podniosłem. Niewiele ważył, biorąc pod uwagę, że wewnątrz zebrała się cała furia kosmosu.

Zajrzałem w głąb serca potwora. Zobaczyłem inne czasy, dawne miejsca, w których istoty większe od gór przemierzały świat w jego pierwszych dniach. Zobaczyłem rzeki ognia i bezkresne lasy, kłębiące się burze, które trwały przez stulecia. Pierwotny świat, dawno zapomniany przez wszystkich poza śpiącymi przedwiecznymi, których teraz wykorzystywaliśmy do swoich celów. A wewnątrz wyczułem płonąca moc światła. Tyle światła, tyle mocy. Potęga mogąca doprowadzić do końca świata spoczywała na mojej dłoni.

– Lepiej uciekajcie – powiedziałem.

Valiya pchnęła Kanalinę w stronę schodów, ale sama została na platformie, wciąż celując w Przędzarkę z pistoletu. Maldon oderwał poparzone dłonie od stopionego metalu i chwiejnie ruszył za nimi.

„Galharrow – wyszeptały ptaki Wroniej Stopy na niebie. – Mieliśmy umowę”.

– Mieliśmy – odrzekłem – ale zdrada nie powinna być ci obca.

„Co ty robisz?” – spytał ostro, a jego słowa narodziły się w kształtach skrzydeł wypełniających niebo.

– A jak ci się wydaje? – rzekłem. – Zamierzam to spierdolić.

Przycisnąłem serce do piersi jedną ręką i odchyliłem drugą. Pięści nie zawsze stanowią dobre rozwiązanie problemu, ale w tym wypadku musiały mi wystarczyć.

Wbiłem pięść w serce lodowego potwora. Sięgnąłem po światło. Sięgnąłem po Elizabeth.

Świat zniknął w kataklizmie oślepiającej czystości. Pełna moc słońca skierowała się na zewnątrz, ale zderzyła się z Nieszczęściem. Niebo wrzasnęło, wydając ryk skrajnego bólu i wściekłości, gdy moc serca została uwolniona, a następnie odbita, kierując się nie tylko przeciwko mnie, ale przeciwko magii, która mnie przenikała i otaczała ze wszystkich stron. Każda siła wymaga przeciwnicy, która utrzyma ją w równowadze, a Nieszczęście i światło nigdy nie mogły stać się jednością. Fos napierał na mnie jak lanca, ale zdołałem mocno ją chwycić i skierować z powrotem ku światłu. Dwie rzeczywistości – duch w świetle i człowiek z fizycznego świata – które nie mogły się dotknąć ani przekroczyć bariery. Więcej mocy niż ma Maszyneria, więcej mocy niż ma bóg, odbicie, nad którym trzeba zapanować, by nie rozerwało świata na pół.

Nieszczęście cofnęło się i moje ciało stało się granicą. Czarne żyły skażenia sączyły się z mojej skóry, sycząc i parując w powietrzu. Czuję, jak moje kolejne warstwy spalają się, zwęgłają, wychodzą ze mnie, gdy światło usiłowało zniszczyć Nieszczęście, odbicie próbowało uderzyć w światło, które dało mu początek, a Nieszczęście pragnęło się zmieniać raz za razem, by dalej trwać.

Kiedy potężna moc serca zderzyła się z kowadłem Nieszczęścia, w które się zmieniłem, zobaczyłem oddzielającą je ścianę, barierę pomiędzy światami. Rzuciłem się w nią w ślad za Elizabeth.

W ogień.

W jasność.

W pustkę.

# 39

>Siedziałem naprzeciw niej przy stole.

Nikogo poza nami. Niczego poza stołem. Wokół nas jak okiem sięgnąć burza ognia. Żadnej podłogi. Żadnego nieba. Żadnych ścian. Tylko oślepiająca pożoga, a za mną ciemna przerwa między płomieniami prowadząca do prawdziwego świata. Stół nie był stołem. Był tylko ideą stołu.

Tylko my dwoje naprawdę istnieliśmy, ale w moim wypadku chyba zawsze tak było.

Ezabeth siedziała spokojnie z dłońmi na kolanach, wyprostowanymi plecami i poważną miną, która przykrywała smutek na jej twarzy. Połowa jej oblicza była gładka jak u kobiety w kwiecie wieku, druga połowa była pomarszczona, pożłobiona, częściowo pokryta bliznami. Wyglądała pięknie jak zawsze, jeśli kiedykolwiek istniała.

Może właśnie to jest zapomnienie. Zaświaty, jeśli coś takiego może istnieć. Mnie to wystarczało.

Ze wszystkich stron buchały płomienie, które tworzyły zapamiętałe kotłujący się korytarz. Esencję światła.

– Ocaliłam tę część siebie – odezwała się, gdy cisza osiągnęła grzmącą kulminację. – Musiałam mieć nadzieję, że to wystarczy.

– Wystarczy mi choćby najmniejsza częśćka ciebie – odpowiedziałem. Za szybko. Zbyt zachłannie. Jak dziecko.

– Nie – odparła. – To nieprawda, zarówno teraz, jak i wcześniej. Jestem tutaj tylko po to, by dotrzymać ci towarzystwa i... – Umilkła, jakby zabrakło jej słów. Odwróciła wzrok. – Dla mnie to też nie jest łatwe. Nawet ta częśćka mnie pamięta. Wciąż się jej trzyma. W końcu była taka jasna.

– Co takiego? – spytałem.



– Miłość – odpowiedziała. Potem uśmiechnęła się ze smutkiem, jaki zapewne czuje świat, gdy umiera ostatni osobnik potężnego gatunku. – Była wspaniała, czyż nie?

Ta ostateczność w jej głosie. Przytłoczył mnie ciężar jej słów. Nawet broń Wroniej Stopy nie mogłaby trafić mnie z taką siłą.

– To nie koniec – rzekłem. – Ona wciąż istnieje, dopóki jesteś ty, dopóki jestem ja. Ona wciąż istnieje.

Ezabeth wstała, przeszła z jednej rzeki ognia do drugiej.

– Miłość jasno rozkwita – powiedziała – ale jest równie niestała jak wiatr, Ryhalcie. Miałam nadzieję, że już to zrozumiałeś. Byłoby ci łatwiej. Wiatr się zmienia. Żyje tylko chwilą, a kiedy jego wycie ustaje, nie pozostaje po nim żaden ślad. Ale to nie znaczy, że jest słaby albo nie ma znaczenia. Świat się dzięki niemu zmienia. Wiatr wprawia w ruch nasiona, które lecą w inne miejsca, by dać początek nowemu życiu. Przewraca mury, które stały całymi wiekami, zatapia okręty albo chłodzi czoło dziecka. Ty i ja jesteśmy tacy sami. Jesteśmy wiatrem, który wieje przez świat. Zostawiliśmy swój ślad i to nie było jakie. Ale wiatr zmienia kierunek. Chmury pojawiają się i znikają, słońce wschodzi i zachodzi i nic nie pozostaje takie samo. Nie da się uchwycić ani miłości, ani wiatru.

Popatrzyła mi w oczy, a jej pewność siebie rozdarła mi klatkę piersiową. Serce. Wszystko.

– To niemożliwe – odparłem. Zerwałem się na nogi, czymkolwiek one były w tym miejscu, i nachyliłem się nad stołem. – Nie pozwolę na to.

– Dokonałeś wielkich rzeczy. Wielkich, krwawych i straszliwych. Ale wszystko dobiega końca. Nawet ty. Nawet ja. Byłam Ezabeth Tanzą, lecz wiatr się zmienił i ja muszę się zmienić razem z nim.

Uderzyłem pięścią w czerń stołu i rozbiłem go na okruchy myśli, które uniósł prąd. Płomienie wokół nas zakołysały się i zadrżały, wściekle wirując.

– Wszystko, co zrobiłem – zawołałem – wszystko, czym się stałem, było dla ciebie! Żeby sprowadzić cię z powrotem.

Pękła tama i wszystko się wylało. Wszystko, co kryłem w sobie przez ostatnie dziesięć lat, co mnie stworzyło, napędzało do

działania, pozwalało mi robić nieprawdopodobne rzeczy, stać się kowadłem, które wytrzyma uderzenie młota bogów.

– To nie koniec! – ryknąłem. – Rozbiłem dla ciebie rzeczywistość. Rozbiłem przestrzeń, światło i czas, ponieważ, niech to szlag, zasługuję na to, żeby cię odzyskać. A ty nie zasłużyłaś na śmierć. Choćbym miał zburzyć mury zaświatów i wyrwać na wolność każdą duszę, zrobię to. – Popatrzyłem w bezkresny, szalejący strumień ognia. – Słyszycie mnie? Duchu, bogowie, czy ktokolwiek włada tym światem? Słyszycie? Zabieram ją.

– Nie robiłeś tego tylko dla mnie – odrzekła Elizabeth cicho, spokojnie, jakby spodziewała się tej burzy. – Robiłeś to dla swoich przyjaciół. Dla Nenn i Tnoty. Dla swojego dziecka, Amairy. Dla dzieci, które straciłeś. No i dla Valiyi, którą kochasz, ale której nie możesz kochać, ponieważ tak kurczowo trzymasz się mojego wspomnienia, że rezygnacja z niego wydaje ci się zdradą. Ale to nie zdrada, Ryhalcie. Zrozumiesz to. Nasza historia odbiegała od naszych pragnień, ale i tak była udaną historią.

Przybliżyła się do mnie. Była drobna i krucha, ale kryły się w niej moc i mądrość, o jakich ja sam mogłem tylko pomarzyć. Zadrżała pośród ognistego piekła, spoglądając na mroczny portal za moimi plecami, który stał się mniejszy.

– Zamyka się – zauważyła. – Rozdarcie między światami się nie utrzyma.

– Więc zostanę tutaj.

Elizabeth pokręciła głową.

– Będzie mi brakowało tej cząstki siebie – stwierdziła. – Elizabeth Tanza, kobieta, bardzo cię kochała. Na duchy, nawet nie wiesz, jak bardzo. Kiedy byliśmy młodzi, za wszystko to, co zrobiłeś wtedy i później. Ale muszę odejść. Powinnam to zrobić, kiedy umarłam. Ale nie mogę odejść, dopóki moje imię wciąż ma taką moc. Rozumiesz to, prawda?

– Nie – odparłem. – Nie chcę zrozumieć.

– Muszę odejść – ciągnęła. – Byłam Elizabeth Tanzą, a potem miałam szansę stać się czymś innym. Nie udało się... ale już nie mogę być Elizabeth. Wiesz dlaczego, czyż nie?

Gorące łzy płynące po twarzy paliły mnie dziesięcioleciem nadziei i marzeń, które ukrywałem w miejscu nietkniętym przez światło.

– Powiedz – poprosiła.

Wrzasnąłem. Zacisnąłem pięści i zadrzałem pod wpływem bólu i wściekłości. To takie niesprawiedliwe.

– Powiedz – powtórzyła łagodnie. Wzięła mnie za rękę, a kiedy rozwarłem powieki, popatrzyła mi prosto w oczy. – Powiedz – szepnęła.

– Ponieważ musisz wstąpić na wyższy poziom – odrzekłem. – Musisz porzucić siebie. Właśnie to oznacza zostanie Bezimiennym.

Skłoniłem głowę ze smutkiem.

Ezabeth pochyliła się i mnie objęła. Mocno przycisnąłem ją do siebie i przytrzymałem, jakbym w ten sposób mógł zmienić los. To zawsze do tego zmierzało. Oczywiście, że tak. Nie mogło się skończyć inaczej.

– Będę inna – powiedziała. – Wiatr porusza się, gromadząc siły. Nie będę rozumiała miłości tak, jak rozumiem ją teraz. Ale muszę odejść. A nie mogę tego zrobić, dopóki moje imię wciąż w tobie żyje.

Płomienie wokół nas kłębiły się z rykiem, szalały jak huragan jaskrawego żaru, który chciał mnie wyrwać z miejsca i rzucić w sam środek ognistej furii. Portal coraz bardziej się kurczył, a wokół niego wirowały strumienie ognia. Już prawie zniknął. Stałem mocno na nogach i wziąłem głęboki oddech, a żar wpłynął do moich płuc. Ryk płomieni przybrał na sile.

– Wiem – powiedziałem. Nic więcej nie mogłem dodać. – Musisz odejść. Musisz zrobić to, dla czego straciłaś imię. – Rozejrzałem się. Wokół nas nie było niczego poza ogniem, który rozmazywał mi się przed oczami za sprawą łez. – Nie znam drogi powrotnej. Ja też już nie należę do tamtego świata.

Zacząłem się chwiać, tracąc oparcie na nieistniejącym gruncie. Coraz słabiej trzymałem się tego istnienia, a światło mnie wciągało. Jakaś częśćka mnie pragnęła tutaj zostać. Zamieszkać razem z Ezabeth w płonącej jasności jako duch czy cokolwiek innego, czym się teraz staliśmy. Z wielką ulgą zostawiłbym wszystko za sobą.

Obejrzałem się na ognisty strumień, ale już niczego nie dostrzegłem. Nieważne.

– Nie ma odwrotu – powiedziałem.

Czyjaś dłoń przebiła ścianę płomieni, a wokół niej zawirowały strumienie żaru. Po niej pojawiło się przedramię, na którym oślepiająco lśniły srebrzyste słowa odbijające piekło.

SPROWADŹ ICH Z POWROTEM.

Pojawiła się druga dłoń, która szarpała ogień, rozdzielała go, wrywała nowy otwór. W portalu zobaczyłem Valiyę, która stała z głową odrzuconą do tyłu i cichym krzykiem na ustach. Rozwarła przejście. Ocaliła ścieżkę. Dla mnie. Dla nas.

Nikt nigdy nie uśmiechał się z takim smutkiem jak teraz Elizabeth. Ostatnia część kobiety, za którą po tysiącokroć oddałbym życie, wciąż odczuwała ból.

– Człowieczeństwo – rzekła. – Tego nigdy nie potrafili zrozumieć. Wróg, Bezimienni, człowieczeństwo. To ono zawsze było kluczem.

– Ryhalcie – szepnęła Valiya. Nie widziała nas. Stała samotna w innym miejscu, powstrzymując ogień samą siłą woli. Po jej twarzy ściekały palące łzy. – Wróc, Ryhalcie. Proszę. Potrzebuję cię.

– Weź ją za rękę – powiedziała łagodnie Elizabeth – tak jak powinieneś wiele lat temu.

Ostatnia chwila w jej obecności. Tylko tyle mi pozostało i odczuwałem to silniej niż szalejącą wokół nas zawieruchę.

Obejrzałem się na Valiyę zasnutą mrocznymi płomieniami, ryzykującą wszystko – wszystko – dla jeszcze jednej szansy na przyszłość. Przyszłość, o której śniłem, ale której nigdy nie uznawałem za osiągalną. Ogień nie był moim miejscem. To nie był mój świat. Valiya zawsze mnie niosła i podtrzymywała, gdy robiłem to, co było konieczne.

Ja też jej potrzebowałem.

– Miałaś moje serce – rzekłem w końcu. – Ale rozumiem. Musisz odejść.

– Oboje musimy – odpowiedziała. Jej twarz rozjaśnił uśmiech, a smutek rozpląnął się w pięknie miłości, która nas łączyła. – Żegnaj, Ryhalcie.

– Żegnaj, Elizabeth.

Wziąłem ją za rękę i wyczułem kryjącą się za nią wielką moc, potężną, pełną wiedzy oraz furii, która musiała pozostać poza moim zasięgiem. Potem sięgnąłem do tyłu i chwyciłem inną dłoń, która zamknęła moją rękę w ciepłym uścisku i z siłą znacznie potężniejszą od wszelkiej magii wyciągnęła nas z ognia.

# 40

Zamrugalem. Siedziałem oparty o coś plecami. Nie wiedziałem, gdzie jestem.

Powoli wracała mi świadomość. Poczułem wokół siebie czyjeś ręce, czyjs ciężar. Podbródek należący do Valiyi opierał się o moje ramię. Miała rozpuszczone włosy, siwe kosmyki opadały mi na pierś. Słyszałem w uchu jej głos, ale nie rozumiałem, co mówi. Zacząłem odzyskiwać ostrość widzenia i popatrzyłem na swoje dłonie. Czarne żyły zniknęły, wypalone z mojego ciała. Skórę miałem podrażnioną i gładką, ale zarazem świeżą i czystą, wolną od barw Nieszczęścia. One również zostały wypalone. Przesunąłem językiem po zębach i odkryłem, że są zwykłymi zębami. Wciąż brakowało tych samych dwóch, ale już nie były zastrzone. Byłem nagi, gdyż ogień spalił doszczętnie moje ubranie, i nie miałem żadnych włosów na ciele. Śmiesznie byłoby się teraz tym przejmować.

Księżycy się przemieściły. Świat wciąż jaśniał kolorami, ale sprawiał wrażenie łagodniejszego, delikatniejszego, a niebo przestało wyc.

Podniosłem się, a Valiya pomogła mi utrzymać się na nogach.

– Udało się? – spytałem. Piekło mnie gardło, każdy mięsień bolał, jakby został wyprostowany uderzeniami młotka i przekształcony, a z mojego głosu zniknęła ostra chrypa. Nawet on sprawiał wrażenie świeżego i stworzonego na nowo.

– Ryhalcie – odezwała się Valiya. – Ona tu jest.

– Wiem.

– Ryhalcie – powtórzyła Valiya zdyszonym szeptem. – Jest olśniewająca.

Odwróciłem się, chwiejąc się na nogach, żeby zobaczyć moc, którą sprowadziłem na świat.

Bezimienna czarodziejka patrzyła na wschód. Była drobna, ale wyższa niż wcześniej. Złota od stóp do głów, z długimi powiewającymi włosami, na których końcówkach delikatnie tańczyły płomienie. Była nieskazitelna, oczyszczona z blizn życia. Miała na sobie srebrno-niebieską suknię, elegancką i skromną. Jej twarz miała mniej więcej kształt oblicza Elizabeth, ale zniknęły z niej wszystkie charakterystyczne cechy. Ogień, determinacja, inteligencja, a przede wszystkim miłość do świata i potrzeba jego ocalenia. Już nie była Elizabeth, tak jak ja nie byłem Nieszczęściem. Oddzieliliśmy się od swojej przeszłości, podpaliliśmy ją i pozwoliliśmy, by pożoga ją strawiła.

Kiedy odwróciła głowę, żeby popatrzeć w naszą stronę, zobaczyłem, że ma całkowicie puste oczy wypełnione światłem, na które nie chciałem patrzeć. Milczała z dłońmi splecionymi przed sobą.

Padł na nas cień, zaszumiały skrzydła i z nieba opadła nawałnica kruków; ptaki przysiadły na niskim murze otaczającym platformę. Największy z nich, o starych, potarganych piórach, sfrunął na środek platformy. Popatrzył kolejno na nas oboje.

– A więc to tak – odezwał się Wronia Stopa. W jego słowach kryła się cała ciemność nocy. Nie wystarczy nazwać tego furiją. Ludzkie istoty nie są zdolne do odczuwania takiego gniewu, jaki wzbudził w nim mój czyn.

– Witaj, bracie – odezwała się migocząca kobieta. Miała głęboki głos, który brzmiał jak dźwięk gongu rozbrzmiewający w sali z kolumnami. – Przybyłeś powitać mnie na tym świecie.

– Tak ci się wydaje? – warknął Wronia Stopa.

– Nie pytam, tylko mówię ci, że przybyłeś mnie powitać. Jeśli chcesz, możesz popatrzeć, jak niszcę wrogów, których nie udało ci się pokonać.

– Zwracasz się do mnie z takim brakiem szacunku? Ty, która dopiero się narodziłaś i zostałaś częścią tego świata?

– Na szacunek trzeba sobie zasłużyć – odparła. – Jesteś słaby. Wycieńczony. Może z czasem staniesz się użytecznym sojusznikiem,

ale nie masz niczego, czego bym potrzebowała. Bądź wdzięczny, że dostrzegam w tobie potencjał.

– Co takiego? – warknął Wronia Stopa. Donośny skrzek wyraził jego oburzenie.

Coraz więcej skrzydlatych padlinożerców usiłowało przysiąść na murze, ale było tam zdecydowanie za mało miejsca. Pozostałe krążyły wokół platformy, kracząc i skrzecząc.

– Żyjąc wiecznie, zapominamy, że jesteśmy tylko częściami większej całości – odezwała się złota postać. – Nawet ty, Wronia Stopo. Mam teraz w sobie tak wiele mocy, taki ogromny potencjał. Nie chciałabym ich marnować na niszczenie także ciebie.

Kruk lekko się cofnął.

– Za kogo ty się uważasz? – zaskrzeczał. – Nie wiesz, do czego jestem zdolny.

– Jestem Jasną Panią – odrzekła. – I dokładnie wiem, do czego jesteś zdolny. Do niczego.

Wściekły ptak obrócił się w moją stronę. Valiya mocno zacisnęła rękę wokół mojej piersi. Położyłem dłoń na jej ręku.

– Ale ty – warknął Wronia Stopa. – Mój własny kapitan. Związałeś się ze mną. Przyjąłeś mój znak, a w zamian za to twoje dzieci przeżyły. Twoje cierpienie przejdzie do legendy. Twoje imię stanie się symbolem cierpienia. Dzieci będą odcinały sobie uszy, żeby nie słuchać o tym, co ci zrobiłem. Rozciągnę twoje życie do stu lat. Jesteś mój i...

– Już nie jest twój. A ja nie pozwolę, żeby jakakolwiek krzywda spotkała moich kapitanów albo tych, na których im zależy – przerwała mu Jasna Pani. – Teraz noszą mój znak.

Początkowo nie zrozumiałem, co miała na myśli, ale potem popatrzyłem na swoją rękę. Tatuaz z krukiem zniknął. Na jego miejscu znajdował się biało-srebrzysty feniks. Nagle poczułem na skórze jego delikatne ciepło. Jaśniejący wizerunek był stworzony z jej ognia. Valiya zbliżyła swoją rękę do mojej. Na miejscu ostatniej wiadomości od Nalla widniał obraz bliźniaczo podobny do mojego.

– Niemożliwe – warknął Wronia Stopa. Popatrzył na nas oboje, a ja zrozumiałem, jak próżne stały się jego groźby. Odzyskanie mocy



zajmie mu lata, a nawet dziesięciolecia, jeśli zechce rzucić wyzwanie Jasnej Pani, którą wypełnia po brzegi nowo narodzona energia.

– Wycofaj się do swojej kryjówki, bracie – odezwała się Jasna Pani.  
– Czekaj mnie dużo pracy. Nie zawracaj mi głowy, dopóki nie będziesz dla mnie użyteczny. Zanieś tę wiadomość pozostałym. Wciąż ich potrzebujemy.

Ptaki wzbiły się w powietrze z pełnym frustracji warknięciem, otaczając nas czarną chmurą kłębiących się piór. Jeden z nich próbował uderzyć mnie w głowę pazurami, ale zrobił to tylko na pokaz.

– Dobra robota – powiedziała Jasna Pani. Popatrzyła na Valiyę, a potem na mnie. – Jestem zadowolona z wszystkich rezultatów. – Miałem wrażenie, że na jej gładkiej, pozbawionej wieku twarzy mignął delikatny uśmiech. – Teraz sprowadzę apokalipsę na Imperatora Głębi i go przepędzę. Jest stary i zmęczony, a ja mam świeże siły. Nie będzie stanowił wielkiego wyzwania. Radzę nie patrzeć na wschód. Światło zapłonie bardzo jasno.

Po tych słowach zniknęła.

Valiya i ja w milczeniu staliśmy na platformie. Kawalek wygiętego żelaza oderwał się od pozostałości wrzeczona i z brzękiem spadł na ziemię.

– Już po wszystkim – powiedziała Valiya.

– Już po wszystkim – zgodziłem się.

– Co teraz z nami będzie? – spytała.

Feniks na mojej ręce jakby nieco się rozgrzał i zamigotały na nim płomienie. W myślach usłyszałem szept:

„Nieszczęście na razie śpi. Wojna ze światłem wyczerpała jego siły, a droga powrotna na zachód będzie stabilna. Upomnę się, gdy będę potrzebowała waszej pomocy”.

– No właśnie – odrzekłem. – Co z nami?

– Nic już nie jest takie samo – stwierdziła Valiya. – Bezimienni. Wojna. Wszystko się zmieniło.

– Wciąż jesteśmy sobą.

– Nie, my też jesteśmy inni.

– Może „inni” znaczy „lepsi”?

– Chyba tak.

Daleko na wschodzie ponad Nieszczęściem zapłonęło światło. Jasna Pani dotrzymała słowa. Nie tracąc czasu, stanęła do walki z Królami Głębi. Od dawna czekała, by się z nimi zmierzyć.

Na ulicach panowała cisza. Bitwa za murami się skończyła, a kiedy wyjrzałem na zewnątrz, zobaczyłem pole pełne trupów, ale tylko prawdziwych. Nenn dobrze się spisała. Duchy już odpoczywały albo odeszły. A może po prostu już ich nie widziałem. Czułem, że na swój sposób będę za nimi tęsknił. Ale podobnie jak w wypadku Elizabeth, ich czas nadszedł i dokądś się przenieśli.

Maldon i Kanalina czekali na nas u stóp schodów. Później przyjdzie czas na pytania. Spokój i ciszę zakłócały odgłosy potężnych wybuchów.

– Ja pierdołę, Ryhalcie, ubierz się – rzucił Maldon. Wyszczrzył się, jak na dupka przystało. – Więc wygraliśmy?

– Wygraliśmy – odparłem. – Dlaczego tak się drapiesz po rękę?

– Nie wiem, z jakiegoś powodu zrobiło mi się gorąco.

– Proszę, powiedz, że on nie... – zaczęła Valiya.

– Na razie o tym nie mówmy – przerwałem jej. – Z chęcią mu powiem, kiedy wrócimy do Valengradu.

Znalazłem zapasowe ubranie w jednym z wozów. Niezbyt na mnie pasowało, ale było lepsze niż nic. Zabraliśmy wszystko, co się dało, i zaprzęgliśmy kilka zwierząt. Prawie nie angażowałem się w przygotowania. Czułem się tak, jakby stratowało mnie stado wołów. Popatrzyłem w kierunku, który na jakiś czas miał pozostać zachodem.

– Kiedy jeszcze nosiłem mundur, mój dowódca powiedział mi, że do Nieszczęścia wkraczają tylko trzy rodzaje ludzi. Chciwcy, desperaci oraz głupcy.

– Którymi z nich jesteśmy? – spytała Valiya z uśmiechem. Wzięła mnie za rękę, a ja poczułem, że wszystko jest na swoim miejscu.

– Żadnymi. Jesteśmy zdeterminowani. Ostatecznie właśnie to miało największe znaczenie.

Rozpoczęła się nasza podróż powrotna do Łańcucha. Jasna Pani miała rację. Nieszczęście spało.

# 41

Błękitne niebo. Ciche niebo. Spokojne obłoki jak pyłki dmuchawca unoszące się na wiosennym wietrze. Oddychałem aromatem łąki. Smakowałem powietrze, gdy rok zwracał się w stronę lata. Rzeka na skraju pastwiska płynęła radośnie, moje bydlę pochylało głowę, by się napić. Było tak zielono. Słońce składało ciepłe pocałunki na mojej twarzy. Nie pamiętałem tak trwałego spokoju.

W odległości mili na drodze prowadzącej do posiadłości zobaczyłem powóz. Nie śpieszył się, miarowo jechał naprzód, głośno klekocząc. Powoli wstałem, czując w plecach każdy rok z mojego pięćdziesięcioletniego życia. Nie podobało mi się starzenie, ale przeważnie znośiłem je bez narzekania. Za długo siedziałem bez ruchu i pozwoliłem, żeby świeże wiejskie powietrze mnie uspiło. Właśnie tak wyglądało tutejsze życie. Zielone wzgórza, rolnicy, spokój. Winnica, prasa do winogron, konie, które trzeba podkuć, i służący, których trzeba zganić, gdy wymykają się razem, by oglądać gwiazdy, zamiast polerować srebra.

Na powozie nie było żadnych znaków, ale wiedziałem, kto nadjeżdża. Dotrze do willi przede mną. Ruszyłem w dół zbocza.

– Dzień dobry, panie Galharrow – odezwał się jeden z parobków, uchylając kapelusza.

– Chyba w tym roku czekają nas dobre zbiory – rzekłem. Nie znałem się na rolnictwie, ale wydawało mi się, że warto coś takiego powiedzieć.

– Na to wygląda, na to wygląda – zgodził się, gryząc źdźbło trawy.

Skinąłem do niego głową, uśmiechnąłem się i ruszyłem w stronę willi. To była piękna budowla z białymi ścianami i czerwonymi dachówkami, otaczająca z trzech stron podwórze, na którym stał powóz. Był pusty, a woźnica wylegiwał się na słońcu.

Valiya usłyszała, że wróciłem, i wyszła mi na spotkanie w korytarzu. Była rumiana i zdrowa, miała ciepłe policzki i lśniące oczy. Wyglądała przepięknie.

– Zastanawiałam się, dokąd poszedłeś – odezwała się wesoło, biorąc mnie za rękę. Delikatnie się uśmiechała. Miałem ochotę ją pocałować. Uchyliła się przed moimi ustami. – Nie teraz, mamy towarzystwo. – Mimo wszystko złapałem ją i pocałowałem, a ona na chwilę do mnie przywarła. Zawsze przenikał mnie wtedy prąd. – Chodź – powiedziała, odsuwając się i ciągnąc mnie w stronę kuchni.

Kobieta ubrana była cała na czarno: wysokie buty do jazdy konnej, dopasowana tunika i pas z mieczem. Posłała mi uśmiech, który kiedyś był idealny, ale teraz przecinała go cienka blizna prowadząca od ucha do podbródka. Wyglądała na zdrową i silną.

Minęło kilka miesięcy. Nie wiedziałem, co powie ani jak potoczy się nasze spotkanie. Amaira i ja przez kilka chwil patrzyliśmy na siebie. Od czego zacząć? Co powiedzieć? Nigdy nie radziłem sobie dobrze ze słowami.

– Dostałam twoje zaproszenie – odezwała się.

– Zaparzę herbaty – zaproponowała Valiya. Przeniosła wzrok ze mnie na Amairę. – Wszyscy się napiją? Dobrze. – Wyszła z pomieszczenia i zamknęła drzwi.

– Tylko nie ta paskudna herbata – powiedziała Amaira. Znów spróbowała się uśmiechnąć. – Niech Duch Miłosierdzia ma nas w opiece.

– Nigdy cię nie przeprosiłem – zagadnąłem.

Amaira podeszła do mnie, zarzuciła mi ręce na szyję, stanęła na palcach i delikatnie pocałowała mnie w policzek.

– Nie musisz – odrzekła. – Wiem, co zrobiłeś dla mnie i dla Dantry'ego. Dziękuję.

Usiedliśmy. Wciąż czułem się niezręcznie.

– Co u niego?

– Żyje spokojnie, stara się nie zwracać na siebie uwagi. Choć oczyszczono go z zarzutów, wielu ludzi wciąż jest wściekłych z powodu fabryk. Pomaga mi jak może. Wciąż zostało dużo do zrobienia.

– A ty się tym zajmujesz – odrzekłem.

– Mamy mnóstwo pracy. Kiedy Jasna Pani zaatakowała Acradiusa, stracił władzę nad Królami Głębi. Chociaż rozbiła jego armię i go odparła, oni nie zostali zniszczeni. Wciąż są gdzieś po drugiej stronie Nieszczęścia. Planują. Knują. Pewnego dnia powrócą. To tylko kwestia czasu.

– Wiem, ale miejmy nadzieję, że to się nie stanie zbyt szybko.

– A Jasna Pani? – zagadnęła Amaira. – Widziałeś ją ponownie?

– Nie, ale ona też gdzieś tam jest.

Sprawy przybrały lepszy obrót. Czarne deszcze przestały padać, a dotknięci nimi ludzie zaczęli wracać do zdrowia. Nie wiedzieliśmy, czy po prostu ich siła się wyczerpała, czy może Jasna Pani w jakiś sposób naprawiła świat. W każdym razie mieliśmy wrażenie, że ten odetchnął z ulgą.

– Jak Valiya znosi sielskie życie? – spytała Amaira.

– Przeważnie się nudzi, chociaż twierdzi, że jest zadowolona – odrzekłem z uśmiechem. – Widziałas kiedyś tak dobrze zarządzaną posiadłość? Zamierza wykupić gospodarstwa w sąsiedniej dolinie, chociaż się do tego nie przyznaje.

– A ty?

– Czytam. Mówię parobkom, że dobrze się spisują, jakbym miał jakiegokolwiek pojęcie o ich pracy. Wysłuchuję licznych dysput dotyczących tego, gdzie ludzie powinni stawiać swoje mury. Tutaj jest tak spokojnie. Podoba mi się.

Rozmawialiśmy o drobiazgach. Amaira sprawiała wrażenie znacznie starszej, ale w końcu widziała i robiła rzeczy, których nie powinna osoba w jej wieku. Zmienili się wszyscy, którzy nosili w sobie Nieszczęście i przetrwali. Nie chciałem pytać o jej pracę, ale wiedziałem, że to dla niej ważne. W końcu ten temat się pojawił.

– Wronia Stopa jest na ciebie wściekły – powiedziała – ale teraz chyba śpi. Gdzieś w Valengradzie pojawiło się nowe leże Panien Młodych, a może jest stare, tylko wcześniej go nie znaleźliśmy. Świat ani na chwilę nie przestaje się kręcić. Nie mogę zostać długo. Chciałam tylko sprawdzić, czy można wierzyć opowieściom, które słyszałam. Ryhalt Galharrow, rolnik dżentelmen.

– Trudno w to uwierzyć, prawda?

– Zbyt trudno – rzekła Valiya, wracając do kuchni. Podała nam paskudną herbatę, którą wypilem. Teraz zawsze ją piję, ale tylko dlatego, że ona lubi ją parzyć. – No, a teraz powiedz mi, co wiesz o tych Pannach Młodych.

\* \* \*

Spokojne życie nie mogło zadowolić Valiyi. Wróciłem razem z nią na pogranicze.

Pewnego wieczora stałem na murach Valengradu i spoglądałem na Nieszczęście, słuchając nowej pieśni, którą zaczęło śpiewać. Była inna. Odmieniona. Nikt nie wiedział, co to oznacza, ale lubiłem myśleć, że w nowych nutach jest mniej smutku. Nieszczęście znów zaczęło się zmieniać, a żyjące w nim istoty były nie mniej niebezpieczne niż dawniej, ale być może jakaś jego część złagodniała. A może po prostu na starość zrobiło się sentymentalne. Przez chwilę miałem wrażenie, że w pęknięciach na niebie widzę złocisty błysk, ognistą postać. Ale to zapewne była tylko moja wyobraźnia.

– Czy ostatecznie warto było?

Obejrzałem się. Byłem sam. Oparłem się o ścianę i podrapałem po rękę.

– Tak – odpowiedziałem. – Warto było.

– To jeszcze nie koniec.

– Nie – rzuciłem w pustkę. Dotarł do mnie szept niesiony wiatrem z ciemności.

– Ale będziemy gotowi.

Roześmiałem się w niebo. Nigdy nie byliśmy gotowi, ale to nas nie powstrzymało. Wrogowie wciąż gdzieś tam byli, ich zatrute myśli sięgały w naszą stronę, szukały przewagi.

Oczywiście znów będę na nich czekał. Nigdy nie spotkaliśmy kogoś bliższego bogom niż oni, a jednak będą musieli stanąć do walki przeciwko pyskatym Amairom, bystrym Dantrym, Valiyom

oraz temu irytującemu draniowi Maldonowi, który prawdopodobnie będzie żył wiecznie.

Przeciwko wolnym ludziom pod czystym niebem.

Ludziom, którzy widzieli lepszy świat, o który warto walczyć, i chcą go zachować.

Będą musieli stanąć do walki przeciwko mieczom, murom, prochowi i magii, ale przede wszystkim przeciwko nadziei.

Kiepskie szanse.